

# Robertson Imogen

## Narzędzia piekła

*Thornleigh Hall, wyniosłą siedzibę hrabiów Sussex, otacza ponura legenda, odkąd jej dziedzic zaginął, a ród, niegdyś znamienity, skarłał i podupadł...*

*Harriet Westerman, młoda właścicielka sąsiedniego majątku, znajduje okaleczone zwłoki, a przy nich rodowy pierścień Thornleighów. Czy są to doczesne szczątki zaginionego hrabiego?*

*Gabriel Crowther, ekscentryczny uczony-patolog, wydaje się jedynym, który potrafi potwierdzić jej podejrzenia. Jednak energia i temperament Harriet połączone z chłodną logiką i wiedzą Gabriela mogą nie wystarczyć, by odkryć straszliwą tajemnicę i zapobiec kolejnym zbrodniom...*

# CZESC 1

1

Piątek drugi czerwca 1780 roku,  
Zachodnia część Sussex, Anglia

Gabriel Crowther otworzył oczy.

- Panie Crowther?

Do pokoju wpadało blade światło poranka.

- Ktokolwiek to jest, odpraw go. Zamrugał. Pokojówka nie ruszała się z miejsca.

- Ona nie odejdzie, proszę pana. To pani Westerman z Caveley Park.

Mówi, że nie ustąpi. I poleciła panu to przekazać.

W wyciągniętej ręce służąca trzymała kawałek papieru. Starła się stać jak najdalej, jakby się bała, że jej pan ją ukąsi.

Takie najście było czymś niezwykłym. Od zeszłego lata, kiedy Crowther osiadł we wsi Hartswood, nieopodal Pulborough, bardzo się starał ignorować sąsiadów, szybko więc ich wizyty ustały. Nie potrzebował towarzystwa ludzi, z którymi mógłby spędzać czas, i nie miał najmniejszego zamiaru uczestniczyć w rozrywkach, piknikach czy prozonych obiadach, na których bawiła się tutejsza socjeta. Mieszkańcy okolicy nie spotykali go zatem zbyt często, jednak po miesiącu czy dwóch uważnej obserwacji wiele kobiet odkryło, że najlepszym sposobem uspokojenia dziecka jest postraszenie go panem Crowtherem i jego wielkim nożem. Gabriel studiował anatomię. Chciał poznać sposób, w jaki funkcjonuje ciało, zapis

pozostawiany przez życie w doczesnych szczątkach - a miał na to czas i środki.

Jego zwyczaje wkrótce stały się powszechnie znane. Dla osób wykształconych był człowiekiem nauki, odstręczającym z powodu braku manier; dla wszystkich zaś poniżej dziesiątego roku życia - szatańskim doktorem, który wycina dusze niegrzecznych dzieci, a potem je zjada. Pokojówka nadal stała z kartką w wyciągniętej ręce. Drżała. Crowther mruknął coś niechętnie, wyrwał jej świstek i otworzył mocnym strzepnięciem. Notatkę napisano na papierze listowym - jak zauważył, zabranym z jego biurka na dole - dłonią wykształconej damy. Autorka nie zwracała sobie głowy wyrazami szacunku czy przeprosinami za niepokozenie o tej porze i ograniczyła się do kilku słów: „Znalazłam zwłoki w swojej posiadłości. Trup miał poderżnięte gardło”.

Crowther oddał list pokojówce.

- Przekaż pani Westerman uszanowanie i powiedz, żeby poczekała, aż się ubiorę. Niech przygotują i przyprowadzą mi konia.

Służąca patrzyła na niego z szeroko otwartymi ustami.

- I proszę się tym zająć natychmiast, jeśli łaska.

Wieczor poprzedniego dnia,  
Sklep Muzyczny Adamsa, Tichfield Street,  
Nieopodal Soho Square w Londynie

Susan Adams przycisnęła ucho do drzwi. Pierwszego dnia każdego miesiąca ojciec urządzał w sklepie niewielki koncert dla sąsiadów i przyjaciół. Stało się to niemal rytuałem, odkąd zaczął odnosić skromne sukcesy, sztychując i drukując nuty dla rozmiłowanych w muzyce mieszkańców Londynu, a także sprzedając im zbiory popularnych pieśni i melodii. Było to swoiste podziękowanie za siedem pokojów, warsztat i ogród. Dzieci miały swoje zwyczaje. Jonathan zawsze przychodził do pokoju Susan, twierdząc, że stamtąd

lepiej słyszy muzykę, a potem już przed końcem pierwszego utworu zasypiał w wygodnym łóżku starszej siostry.

- Susan? - wymamrotał. - Ty też powinnaś się położyć. Możesz słuchać muzyki stąd, tu nie jest tak twardo jak na podłodze.

- Cii, Jonathan. Słucham.

Brat w końcu dał za wygraną i zakopał się w pościeli. Powietrze nadal było ciężkie od upału minionego, czerwcowego dnia.

- No dobrze, to opowiedz mi, co się tam teraz dzieje - ziewnął. Z uśmiechem odrzuciła jasny lok, który łaskotał ją w ucho, i zastanowiła się.

- Są już pan Paxton, pan Whitaker i panna Harding. Pan Paxton przyniósł wiolonczelę, pan Whitaker będzie grał na klawesynie, a panna Harding zaśpiewa. Teraz wszyscy piją poncz w sklepie.

- Dziś po południu pomagałem tam sprzątać.

Susan sama widziała, jak Jonathan usiłował pomóc służącej Jane, kiedy ona wraz z ojcem porządkowała nuty i partytury. Nie sądziła, aby w ogóle się na coś przydał, ale miał zaledwie sześć lat; ktoś, kto takjak ona był o trzy lata starszy, powinien potraktować to pobłażliwie. Ale potrafił być denerwujący, nic więc nie odpowiedziała.

- Krzesła ustawiono w długie rzędy. Pani Service siedzi skromnie w kącie, bo nigdy nie kupuje nut i nosi starą suknię. Zjawili się państwo Chase z Sutton Street. Pan Chase lubi posłuchać muzyki po pracy. I oczywiście przyszedł też pan Graves. Krzywi się i stara zetrzeć z palców resztki atramentu, które właśnie zauważył.

- A czy jest panna Chase? - dobiegł z łóżka zaspany głosik.

- Naturalnie - Susan podskoczyła i wyprostowała się, wskazując przed siebie bosą i niezbyt czystą stopką. - Właśnie wchodzi, o tak.

Przechyliła głowę na bok, poprawiła narzutkę na wątych ramionach i wsparła dłoń o talię. Drugą ręką zebrała poły koszuli nocnej, jakby to była wieczorowa suknia i ruszyła między wymaginanymi krzesłami, rozdzielając uśmiechy na prawo i lewo. Wydawało się, że pokój rozbrzmiał światłem świec i ożywił się rozmową.

Jonathan znów usiadł na łóżku.

- A czy pan Graves na nią patrzy?

- Tak, ze swojego kącika.

Wskoczyła na krzesło z wysokim oparciem, stojące obok wygasłego kominka, odgrywając rolę młodzieńca, który stara się wyglądać swobodnie, co nie całkiem mu się udaje. Otwierała usta, jakby chcąc się do kogoś odezwać, potem jednak spłoszona wracała do przyglądania się swoim paznokciom.

Jonathan roześmiał się głośno. Susan uniosła dłoń. Z pokoju pod nimi dobiegł pierwszy cichy dźwięk wiolonczeli pana Paxtona.

- Zaczynają.

Zeskoczyła z krzesła i znów przykucnęła z uchem przyciśniętym do szczeliny między deskami podłogi. Mogła dłońmi czuć muzykę dobiegającą z dolnej izby, mogła też czuć ją na swoich rozchyłonych wargach.

Crowther nie bał się ciszy, ale ten ranek wydawał się, jak na początek czerwca, nienaturalnie wręcz pozbawiony ptasiego śpiewu. Kiedy wyszedł z domu, jego gość zdażył już z powrotem wsiaść do bryczki i czekał wraz ze stajennym obok gotowej do drogi kasztanki. Pani Westerman skinęła głową na powitanie i gdy tylko ujął wodze, popędziła konia na gościniec. Dom Crowthera był pierwszym większym budynkiem we wsi i już po kilku chwilach znaleźli się wśród pól i żywopłotów. Milczenie kobiety zaskoczyło go, a nawet trochę rozgniewało. Spojrzał z boku na jej profil. Dopiero co przekroczyła trzydziestkę, nosiła się elegancko i dostatnio. Nigdy, nawet w pierwszym rozkwicie młodości, nie była urodziwa, twarz miała nieco zbyt pociągłą, ale smukła postać zdradzała zdrowe nawyki. Okryte rękawiczkami dłonie mocno trzymały lejce, a włosy o kolorze ciemnej czerwieni wiły się pod rondem jeździeckiego kapelusika.

- Podoba się panu? - zagadnęła. - Moja pokojówka Dydona zawsze się cieszy, gdy zgadzam się na ułożenie włosów. Ja uważam, że loki wchodzą mi do oczu.

Crowther drgnął i spojrzał przed siebie.

- Proszę o wybaczenie, nie miałem zamiaru się wpatrywać. Przez chwilę, może dwie, patrzyła mu prosto w oczy, a potem się uśmiechnęła. Zwrócił uwagę na ciemną zieleń jej oczu, zaskoczyło go, że przez moment zastawiał się, co też mogła sobie o nim pomyśleć.

- Nie, panie Crowther, to ja proszę o wybaczenie - odparła. - Muszę podziękować za to, że zechciał pan łaskawie wyruszyć tak wcześnie. Zastanawiałam się, co panu powiedzieć, i z przykrością muszę przyznać, że nie przyszło mi do głowy nic stosownego. Mogłabym zapytać pana, co sądzi o tym, jaka będzie dzisiaj pogoda i jak podoba się panu Hartswood, ale nie wiem, czy byłoby to stosowne, zważywszy na cel naszej wyprawy. Czekałam zatem na chwilę, gdy będę mogła być wobec pana nieuprzejma.

Prawie się uśmiechnął.

- Proszę mi opowiedzieć o swoim odkryciu i czemu wezwała pani właśnie mnie, a nie konstabla i sędziego?

Pokiwała głową i zadarła podbródek, jakby dobierała słowa. Mówiła lekkim tonem.

- No tak, mój parobek rzeczywiście pobiegł z tym do sędziego, ale zeszłej wiosny czytałam pański artykuł w „Sprawozdaniach z Posiedzeń Towarzystwa Królewskiego”; jeśli pan pamięta, pisał pan o znakach, które mordercy pozostawiają na ciałach swoich ofiar. Gdy znalazłam te zwłoki, pomyślałam, że zdołałby pan wyczytać z nich prawdę o ich śmierci, takjak Cyganie czytają z kart.

Spojrzał na nią ze zdumieniem, a ona nagle zmarszczyła brwi i odwróciła wzrok ku rozpościerającemu się przed nimi gościńcowi.

- To, że mam utrefione włosy, nie czyni mnie niezdolną do lektury. Crowther nie potrafił dociec, czy ma się czuć urażony jej tonem, czy raczej ją przeprosić, nie uczynił zatem żadnej z tych rzeczy. Zjechali już z głównego traktu wiodącego do Balcombe i dalej do Londynu i znaleźli się na węższej drodze, która, jak zgadywał, stanowiła granicę między ziemiami Caveley Park a tymi należącymi do wielkiej posiadłości Thornleigh Hall.

- Ciało leży w zagajniku, na szczycie wzgórza - oznajmiła pani Westerman. - Najdogodniejsza ścieżka prowadzi tam przez las, dalej musimy już iść pieszo. Mój służący zajmie się końmi.

Po oddechu brata Susan poznała, że zasnął. Muzyka ucichła wśród braw, głęboki kobiecy głos zapowiedział kolejny utwór. Dziewczynka wyteńczyła słuch, nagle zaskrzypiała podłoga w korytarzu, nieopodal drzwi jej pokoju. Aż podskoczyła. Usłyszała czyjaś rozmowę.

- Powiniennem to zrobić lata temu, po śmierci Elizabeth. Mówiła mi, że mam to zrobić, gdyż przeszłości należy mężnie stawić czoło, inaczej cię dopadnie. Ajednak zawsze znajdowałem jakiś powód, aby to odwlec. To ojciec. Na dźwięk matczynego imienia serce Susan ścisnęło się w piersi i na krótką chwilę zagubiła się w dziwnej mieszance bólu i ukojenia. Matka pachniała lawendą, miała miękkie brązowe włosy. Umarła tydzień po dniu, w którym urodził się Jonathan. Susan trzymała ją wtedy za rękę, dopóki ojciec nie powiedział, że pora już iść.

Drugi głos należał do pana Gravesa. Susan znała go prawie równie dobrze, co ojcowski. Niemal codziennie słyszała go w sklepie albo przy stole, odkąd jego właściciel przybył do Londynu. Rzadko jednak zdarzało się, by był tak cichy i tak poważny. Zastanawiała się, jak teraz wygląda twarz pana Gravesa, a jej buzia spochmurniała, nieświadomie go naśladowując. Choć nie zawsze miał czysty kołnierzyk, szare oczy zawsze były miłe. Chudy niczym trzcina, potrafił ją unieść i tak huśtać po sklepie, że niemal robiło jej się słabo ze śmiechu. Kiedyś na takiej zabawie przyłapała ich panna Chase. Pan Graves mocno poczerwieniał i zaraz opuścił Susan na ziemię. Dziewczynka nie sądziła, by panna Chase mogła mieć coś przeciwko tym igraszkom i w ogóle nie spostrzegła, że brązowe włosy pana Gravesa są zmierzwiłone.

- Niewiele opowiadałeś o czasach przed twym przybyciem do Londynu, Aleksandrze - powiedział teraz. - Jakiej mam ci udzielić



radę? Czemu utrata tego pierścienia tak bardzo cię martwi? Czy był cenny? Nigdy nie widziałem, abyś go nosił.

- Nie był dla mnie cenny, a przynajmniej tak sądziłem. - Nastąpiła chwila ciszy. - Sam się dziwię, że jego utrata tak mnie zaniepokoiła. Od kilku lat był tylko zabawką Jonathana, podobały mu się wygrawerowane na nim lew i smok. Trzymałem pierścień w biurku i pozwalałem mu się nim bawić, kiedy chciałem, aby zachowywał się cicho i spokojnie. Tyle tylko że ten pierścień stanowił ostatnie ogniwo łączące mnie z moim dawnym domem, a kiedy przepadł, znowu zacząłem się martwić. Może jestem coś winien tym, których tam zostawiłem, albo moim dzieciom. Powtarzałem sobie, że nic, ale coś nie daje mi spokoju.

- Musi istnieć jakiś powód powstrzymujący cię tak długo od powrotu - odezwał się Graves. - Pomyśl później o tym. Teraz jesteś szczęśliwy, a szczęście to rzecz krucha i delikatna. Jonathan nie będzie długo smucił się utratą pierścienia. Po co uprzykrzać sobie życie jakimś drobiazgiem, o którym po tygodniu się zapomni? Nie zwracaj na siebie uwagi bogów teraz, gdy wciąż masz tyle do stracenia.

- Masz rację... - Ojciec umilkł i znów westchnął. Susan poznała po jego głosie, że pociera teraz podbródek prawą ręką i przenosi ciężar ciała na zdrową nogę. - Może pierścień się odnajdzie i ja się uspokoję. Rano każę Jonathanowi przeszukać pracownię. Chociaż on jest przekonany, że nie zabierał go z biurka bez mojego przyzwolenia i złości się, iż mogłem pomyśleć o nim coś takiego.

Susan usłyszała w jego głosie śmiech i odwróciła się, by spojrzeć na łóżko, w którym spał brat. Nic nie mówił o pierścieniu od chwili, gdy rozplakał się, ujrawszy, że zniknął ze szkatułki, ale nie sądziła, by o nim zapomniał.

Dama w pokoju na dole zaczęła śpiewać. Dziewczynka wstała i otworzyła drzwi. Aleksander i pan Graves odskoczyli od nich, niczym dwójka łobuzów złapanych na gorącym uczynku. Z pokoju dzieci sączyło się światło, muskając ramiona Susan i rozpluwając się na półpiętro. Graves uśmiechnął się do dziewczynki.

- Słuchasz muzyki, Susan?

- Tak, ale o czym rozmawiacie? Czy papa wyjeżdża?

Ojciec spojrział gdzieś w przestrzeń między przyjacielem a córką i przyklęknął.

- Podejź tu, córeczko, i odpowiedz mi. - Podał jej wyciągniętą dłoń. - Czy jesteś szczęśliwa, Susan? A może chciałabyś mieć służącą, bryczkę, duży dom i sto pięknych sukienek?

Popatrzyła na niego, aby sprawdzić, czy sobie z niej nie kpi, lecz jego oczy były poważne. Oddech nieco pachniał ponczem. Poczula się zmieszana.

- Lubię ten dom. I mam siedem sukienek. - Usłyszała westchnienie ojca, ale on jednocześnie przytulił ją do siebie, z czego wywnioskowała, że odpowiedź go zadowoliła.

- A zatem dobrze. Skoro masz dosyć sukienek, nie sądzę, abym w ogóle musiał wyjeżdżać. Rad jestem, że lubisz ten dom. Mam nadzieję, że będziemy tu mieszkać jeszcze długo.

A potem puścił ją i powiedział:

- Teraz, skoro już się obudziłaś, możesz na jakiś czas przyłączyć się do nas. Pan Paxton zagra nam swój **Koncert**.

Przez resztę życia Susan poszukiwała tej muzyki albo jakiegokolwiek, która by ją przypominała, nie przez wzgląd na kunsztowne pasaże, ale na niesione nią wspomnienie długiego salonu oświetlonego blaskiem świec, widoku jej dawnych przyjaciół oraz sąsiadów, dotyku ojcowskiej piersi unoszącej się i opadającej pod jej małą dłoń, policzka przyciśniętego do srebrzystej tkaniny jego kamizelki.

## 2

Tego dnia panowała szczególnie ładna i szczególnie angielska letnia pogoda. Wiejski krajobraz Sussex przesycony był miły-

mi, soczystymi barwami tej pory roku. Łąkę, na której zatrzymali się Harriet wraz z Crowtherem, rozjaśniały wysokie jaskry i fioletowe osty, poranny wiatr, który poruszał roślinami, był leniwy i przyjazny. Każdy mieszkaniec miasta spodziewałby się tu chwili odpoczynku, podziwiałby okolice, a także rozważał swoje w niej miejsce. O tej porze roku dobrze było oddalić się od miasta, od jego zgiełku i odoru. Ziemia szykowała się właśnie do tego, by obdarować swoich właścicieli i ich dzierżawców. Dojrzewały plony, zwierzęta przybierały na wadze, gleba służyła tym, którzy opiekowali się nią w ciągu roku. Oto Anglia w całej swej krasie, obiecująca dobry wikt dla ciała, a także piękno karmiące i umysł, i duszę. Pani Westerman i Crowther pozostawiali jednak obojętni na tę scenerię. Nie zatrzymali się, by podziwiać malownicze spulchnione pola na stokach doliny, ani nie zadumali się nad wielkością ludu, który je uprawiał. Zniknęli w lesie, nie obejrzawszy się nawet za siebie. Stajenny zsiadł z kozła i zaczął się szykować do odprowadzenia zwierząt. Tylko one zdawały się podziwiać widoki i zrywały dzikie kwiecie aksamitnymi wargami.

Ścieżka kończyła się na polanie, prowadząc mniej więcej trzydzieści jardów przez wznoszący się, nierówny teren, pod zwisającymi konarami wiązów i dębów. Była sucha - Crowther starał się sobie przypomnieć, kiedy ostatni raz, zamknięty w gabinecie, słyszał szum deszczu - a powietrze aż ciężkie od woni lasu, oblekającego się właśnie w swój letni strój. Dziki czosnek, rosa... Gabriel pomyślał, że to cudowne miejsce do spaceru przed codziennymi obowiązkami - pewnie właśnie dlatego pani Westerman się tutaj znalazła.

Uświadomił sobie, że do tej pory nie zauważał, jak rok dąży ku pełni rozkwitu. Oczywiście, każdemu, kto by go o to spytał, odpowiedziałby, że jest drugi czerwiec, ponieważ datę poprzedniego dnia zapisał w notatniku, gdy zabierał się do pracy. Nie odczuwał zmian pór roku w kościach, na co narzekało wielu mieszkańców wsi. Zimę poznawał po tym, że był to najlepszy czas do przeprowadzania sekcji, w lecie służący częściej narzekali na przykre zapachy. Odwrócił się od świata i jego wielkości, ogromu, różnorodności, skupiając się

na tropieniu najmniejszych życiodajnych naczyń. Od lat pozostawał wierny tajemnicom, które mógł powierzyć jedynie swoim rękopisom. Minęło kilka miesięcy, zanim podniósł znad niego oczy. Teraz poczuł pierwsze krople potu pod bawełnianą koszulą, czuł, jak serce zaczyna się mozolić w trakcie wspinaczki. Te wrażenia były dla niego dziwnie nowe. Dotknął dłonią miejsca na twarzy, gdy dosięgło jej słońce przedzierające się przez liście.

Pani Westerman zatrzymała się i wskazała coś szpicrutą.

- To tam. Mniej więcej dziesięć jardów stąd, przy ścieżce do Thornleighów. Pierwsza zauważyła to moja suka. - Opuściła oczy ku drodze. - Zaprowadziłam ją do domu, nim ruszyłam po pana.

Głos miała całkiem spokojny, twarz może nieco zarumieniona, ale niewykluczone, że za sprawą wspinaczki. Ruszył we wskazanym przez nią kierunku i niemal od razu usłyszał za sobą ciche westchnienie i kroki. Zwłoki leżały tuż przy ścieżce. Można by je wziąć za stare ubrania, gdyby nie ramię, sterczące z ciemnoniebieskiego płaszcza, i woskowa szarość skóry.

- Czy ciało przenoszono? - zapytał.

- Nie. Zbliżyłam się na tyle, aby dostrzec, że to ktoś martwy, i aby stwierdzić, z jakiego powodu, uniosłam płaszczyk, a potem przykryłam ciało ponownie. To wszystko.

Nad trupem krążył niewielki rój much, oni zaś niczym wybredne dziewczęta na zakupach w Ranelagh Gardens obeszli krawędzie płaszcza, zaglądając we wszystkie zakamarki i zakątki. Crowther przykucnął, uniósł skraj materiału i spojrzał w martwe oczy trupa. Muchy bzyczały ze złością, odgonił je więc machnięciem ręki.

Słyszał nieraz dyskusje o tym, że w chwili śmierci źrenica utrwała ostatni widok, jaki oglądało oko. Ten pomysł intrygował go za młodu, w swoim dawnym domu eksperymentował na kilku nieszczęsnych psach oraz dwóch kotach, po czym odrzucił tę ideę jako nieprawdopodobną. Ślady morderstwa pozostawione na ciele były zarazem i subtelniejsze, i bardziej liczne. Wierzył natomiast, że często można wyczytać coś z wyrazu twarzy zwłok. Niektórzy zmarli

patrzyli ze spokojem, inni, jak ten, którego oblicze miał przed sobą, zdawali się tylko zaskoczeni i jakby rozczarowani. Mężczyzna nie nosił peruki. Włosy miał gęste, ciemnoblond. Crowther uniósł ciało, pomacał ziemię pod zwłokami, a potem tył płaszcza. Był suchy. Ciało już zeszywniało, ale nie do końca. Kiedy tylko położył trupa, muchy obsiadły go ponownie.

- Kiedy znalazłam ciało, pokrywała je rosa. Nie było tak sztywne jak teraz - oznajmiła Harriet.

Crowther skinął głową, nie podnosząc wzroku.

- Zatem uważam, że zmarł zeszłej nocy.

- Ze zamordowano go zeszłej nocy - poprawiła kobieta. Istotnie, rana na szyi nie pozostawiała żadnych wątpliwości.

Crowther jeszcze raz odpędził muchy. Pochylił się nad ciałem: jeden gwałtowny cios całkowicie przeciął tętnicę szyjną, jakby pozostawiając mężczyznę z dodatkowymi, otwartymi ustami. Nie cierpiał długo, pomyślał. Cios zadano z siłą, która wystarczyła, aby prawie odciąć głowę, z głębi rany przezierała biel kości kręgosłupa. Wielkość ciemnej plamy wokół kołnierza wskazywała, że serce jeszcze przez krótką chwilę pompowało krew. Crowther przesunął spojrzeniem po tułowiu mężczyzny. Miał na sobie dosyć czystą lnianą koszulę i haftowaną kamizelkę, uszytą z kosztowniejszego materiału. Ciemne plamy przypominały ohydne czarne bajora. Oczyma duszy widział, jak mężczyzna zostaje pochwycony i przytrzymany od tyłu, jak tnąc go nóż, a uwolniona krew spływa na ziemię gwałtowną śmiertelną strugą.

Rozejrzał się wokół. Na pniach drzew, dokładnie na wprost niego, widać było jej ślady, trochę krwi spłynęło też na ostatnie przekwitające konwalie. Kwiaty zdawały się blednąć pod jej ciężarem. Człowiek leżał dokładnie tam, gdzie upadł.

Harriet podążyła wzrokiem za spojrzeniem Crowthera.

- Istnieje legenda o tym, co podobno wydarzyło się niedaleko stąd - powiedziała. - Jakiś święty stoczył walkę ze straszliwym smokiem, a tam, gdzie krople krwi świętego spadły na ziemię, rozkwitły konwalie. -

Westchnęła. - Wątpię, byśmy za tę śmierć mogli winić smoka, zgodzi się pan ze mną, panie Crowther? Myślę, że to

w ogóle nie była walka. Jeden cios, od tyłu. Ten człowiek przypuszczalnie skonał, zanim zdążył upaść.

Crowther nigdy nie lubił pośpiechu przy pracy, a zapal tej kobiety zaczynał go drażnić. Ukarzał ją więc milczeniem i rozglądał się wokół, zwłaszcza za miejscem, w którym leżały zwłoki, tam gdzie mógł stać zabójca. Rozsunął kolczaste krzewy i sięgnął wśród porastającego je białego kwiecia, aby odjąć kilka nici, które tam dostrzegł. Wyciągnął chusteczkę do nosa, by je w nią owinąć. Dopiero gdy bezpiecznie spoczęły w jego kieszeni, raczył udzielić odpowiedzi.

- Doszła pani, jak sądzę, do tych wniosków za sprawą wielu przeczytanych lektur?

- Zirytowałam pana. Proszę o wybaczenie. - Szczerze tej odpowiedzi trochę go zakłopotła. Skłonił głowę.

- Nie, madame. Pani wnioski zgadzają się z tym, co i ja tu widzę. Przez chwilę milczała, obracając szpicrutę w palcach, a potem odezwała się łagodnie:

- Nie uważa pan, panie Crowther, że trudno jest wyciągać wnioski i nie mieć nikogo, z kim można by je omówić? Kogoś, kto wprawdzie powątpiewa w czyjś osąd, ale i zbyt mocno mu ufa. Nie popędzam pana. Może tylko chcę panu udowodnić, że nie jestem głupia i czyniąc to, zachowuję się jak głupiec. - Na chwilę ich spojrzenia się spotkały, potem znowu spuściła oczy. - A jeśli chodzi o pańskie pytanie, nie czytałam tyle, ile bym sobie życzyła. Na pana artykuł trafiłam całkiem przypadkowo. Być może właśnie ten mój brak odrazy wobec zwłok pana razi. Zanim kupiliśmy Caveley i przyszedł na świat Stephen, mój syn, przez trzy lata żeglowałam z mężem. Widywałam ludzi zabitych w czasie wojny i w czasie pokoju, pielegnowałam rannych, może więc widziałam więcej, niż powinnam.

Pani Westerman odwróciła wzrok, nieco zakłopotana. No tak, pomyślał, nachylając się znów nad ciałem, to wręcz uniwersalna prawda, że w obecności trupa ludzie często mówią więcej, niż zamierzali. Miał wrażenie, że rezultatem tego zjawiska jest ludo-

we przekonanie, iż zabity może wskazać mordercę, brocząc krwią w jego obecności. Naprawdę chodziło o to, że ludzie przejawiali jakąś dziwną skłonność do otwierania duszy i spowiadania się innym na widok tak wyraźnego memento mori.

Zaczął przesuwać dłońmi po zwłokach. Zatrzymał się na wypukłości w kieszeni kamizelki. Wetknął długie białe palce między srebrzyste fałdy jedwabiu, aby wyciągnąć stamtąd pierścień. Zaciążył mu w rękę, a gdy go odwrócił, dostrzegł herb wybity w złocie. Znał go z powozu, który od czasu do czasu przejeżdżał przez wieś, a także z bramy w wielkim parku. Usłyszał, jak jego towarzyszka głęboko wciąga powietrze i wyprostowuje się. Upuścił sygnet w jej wyciągniętą dłoń. Zacisnęła ją na pierścieniu, a Crowther mógłby przysiąc, że usłyszał, jak cicho zaklęła.

- To, rzecz jasna, herb Thornleighów - stwierdził cicho. - Pani Westerman, powinienem zapytać o to wcześniej: czy zna pani tego mężczyznę? Czy pochodzi z Hartswood? Czy to ktoś z pałacu?

Odpowiadając, w rytm słów uderzała szpicrutą o suknię. Nie odrywała oczu od zwłok, jednak jej ton sprawiał wrażenie, że myśli na głos.

- To ktoś obcy. Sądzę, że gdyby był z rodziny Thornleighów albo ze wsi, tobym go poznała, ale... jak pan sądzi, ile on może mieć lat i jaką pozycją cieszył się za życia?

- Dałbym mu od trzydziestu pięciu do czterdziestu pięciu lat.

Powiedziałbym też, że nie był ubogi. Nosił wierzchnie okrycie i płaszcz, dłonie ma raczej czyste, niepokaleczone. Sama może to pani zobaczyć.

Czy jest coś, pani Westerman, o czym pani wie, a ja nie?

- To tylko miejscowa legenda. Według tej opowieści najstarszy syn lorda Thornleigh jakieś piętnaście lat temu porzucił swoją rodzinę. Teraz byłby mniej więcej w takim właśnie wieku. Na imię miał Aleksander, wicehrabia Hardew. Na portretach, jakie widziałam, ma jasne włosy. Odeszła od ciała i odwróciła się, aby spojrzeć na ścieżkę wiodącą ku ziemiom lorda Thornleigh. Między drzewami zaszumiał wiatr,

delikatnie szarpnął brzegiem płaszcza Crowthera, jakby próbował zaciągnąć go z powrotem do jego gabinetu i książek, nim powiedziane zostanie coś więcej, zanim zostanie przekroczona jakaś granica.

- Widzi pan - mówiła dalej Harriet - zastanawiam się, czy aby ten nieszczęśnik nie jest dziedzicem wielkiej posiadłości moich sąsiadów, a jeśli tak jest, to czemu wróciwszy do domu, spotkał się z tak chłodnym przyjęciem?

### 3

Rankiem po koncercie Susan ćwiczyła w ojcowskim sklepie. Zastanawiała się, czy nie pospieszyła się, rezygnując ze służącej i powozu, które ojciec proponował jej wieczorem. Skwar był niemiłosierny, czuła, jak pot spływa jej pod pachami i na karku. W Londynie upał niósł ze sobą odór miasta. Miło byłoby wybrać się teraz na przejażdżkę kucykiem po parku, w ładnej sukience, a nie ślęczeć w sklepie, w otoczeniu stosów nut, które drukował i sprzedawał ojciec. W izbie zazwyczaj panował chłód, nawet latem. Było to długie i eleganckie pomieszczenie, gdzie nie stało nic poza klawesynem, kantorkiem pod jedną ze ścian i niewielką wystawą nut najnowszych melodii porozstawianych na pulpitych przy oknach - ale w piersiach Susan czuła już skwar powietrza. Jej dłonie znały ćwiczenie lepiej niż umysł. Potrafiła spoglądać na własne palce na klawiaturze i słuchać wysokich i niskich dźwięków instrumentu tak, jakby patrzyła na siebie z zewnątrz. Dzięki temu mogła sobie swobodnie rozmyślać, choć wydawała się zajęta. Pozwoliła zatem myślom wędrować po leżącym na zewnątrz mieście.

Widziała powozy zatrzymujące się pod sklepem i przyglądała się wysiadającym z nich damom. Nie zauważyła jednak nikogo w swoim wieku. Paniom w karocach zazwyczaj towarzyszyły służące lub



inne damy, nigdy jednak młode dziewczęta. Wszystkie były piękne, lecz wydawały się znużone, jakby noszenie ciężkich sukni stanowiło wyczerpującą pracę. Susan przypomniała sobie pewną damę, która kiedyś zjawiała się, gdy siedziała przy instrumencie, i chciała, aby zagrała na przyjęciu dla jej przyjaciół. Poprosiła ją o jakiś utwór Mozarta i oddała się rozkoszy, tak właśnie się wyraziła: „oddałam się rozkoszy!” Jej suknia robiła mnóstwo hałasu, na ustach miała coś czerwonego. Zbliżyła twarz do buzi Susan i oznajmiła, że dziewczynka jest „uroczym stworzeniem”. Ale Susan wcale się to nie podobało. Podobnie jak jej ojcu. Do damy odnosił się dosyć chłodno i już nie powróciła. Oznajmił córce, że gdyby kiedyś spotkała na ulicy „tę kobietę”, nie wolno jej nigdzie z nią iść. Susan zastanawiała się, czy nie była to aby córka Koryntu. Słyszała o takich paniach: za pieniądze pozwalały mężczyznom całować się i robić inne rzeczy, ale było to coś, o czym ojciec nie pozwoliłby jej wiedzieć, więc go nie wypytywała. Przychodziły też inne damy i uśmiechały się do niej, ale nie podchodziły. Ojciec często prosił ją, aby zagrała im coś z muzyki, którą sprzedawali, by mogły się przekonać, czy im się to podoba, i kupiły nuty. Wszystkie te panie wydawały się Susan na wpół tylko żywe. Uważała, że taki powolny chód musi być straszny. Spostrzegła, że jej palce grają już następną wariację.

- Susan, wszyscy potrzebujemy czasu na myślenie - powiedział ojciec, uśmiechając się znad kantorka. - Wiem doskonale, że przez ostatnią chwilę ani trochę nie byłaś skupiona. Jeśli chcesz teraz skończyć, możesz to zrobić. W przeciwnym razie nie zapominaj, że pod techniką gry poszukujesz prawdziwej muzyki.

Dziewczynka uniosła wzrok, ojciec odgarnął z oczu kosmyk jasnych włosów. Uśmiechnęła się i zakłopotana wróciła do instrumentu, starając się pamiętać o muzyce. Pod jej palcami narastały i opadały kontrapunkty. Aleksander kochał muzykę. Na tyłach domu kryło się mechaniczne urządzenie napędzające jego przedsięwzięcie, przechowywano tam miedziane płyty, na których sztychował nuty, tam również stały prasy, które odciskały je na papierze. Całą swoją

miłość i rzemiosło chciał przekazać córce, choć czasami, kiedy porównywał gorący metal ze słabymi i niechętnymi klawiszom rączkami Susan, muzyka wydawała się tyranem i oprawcą, jakby szydziła sobie z dziewczynki, wyprzedzając zawsze to, czego sama potrafiła dokonać, co sama wiedziała. Tak często widywała ojca późną porą, znużonego przeglądaniem rachunków, aby podejrzewać, że i on odczuwa to samo. A jednak muzyka była teraz jej matką i ukochaną ojca. Przez dziewięć lat swojego życia Susan czuła się w niej zanurzona. Nie potrafiła sobie wyobrazić niczego innego.

Wszedł jakiś dżentelmen, skłonił nieznacznie głowę przed obydwojgiem, a potem odwrócił się, by poszperać wśród nut leżących na ladzie. Susan spojrzała na niego jeszcze raz. Może to jednak wcale nie był dżentelmen? Gdy ojciec wrócił do swoich ksiąg, nieznajomy zaczął mu się ukradkiem przyglądać, mrużąc oczy, jakby coś szacował. Dziewczynka zmyliła grę, mężczyzna zauważył to i przeniósł na nią wzrok. Jego skóra miała żółtawy odcień, a gdy się uśmiechnął, zobaczyła, że brakuje mu przednich zębów. Właśnie wtedy raz jeszcze zabrzmiał dzwonek u drzwi i jakaś dama w spódnicy tak szerokiej, że pomieściłaby trzy inne, weszła, głośno witając się z Aleksandrem. Żółtawy człowiek wymknął się przez drzwi, nim znów zdążyły się zamknąć. Susan się wzdrygnęła. Niepokój, jaki przyniósł ze sobą, towarzyszył jej przez resztę poranka i mimo wysiłków ćwiczenia muzyczne poszły na marne.

4

Caveley Park, własność pani Westerman, był dobrze utrzymanym, miłym majątkiem, rozkwitającym pod ręką nowych gospodarzy. Posiadłość, rzecz jasna, nie dorównywała wielkością swojemu najbliższemu sąsiadowi, dworowi Thornleigh, ale komandor Westerman był utalentowanym, a nawet szczęśliwym dowódcą, co

pokazywały rozmiary zakupu i staranność, z jaką zajęto się przemeblowaniem domu oraz inwestowaniem w ziemię. Jego żona zyskała sobie opinię zdolnej gospodyni prowadzącej jego interesy, a to, co robiła, podziwiano w okolicy i nierzadko naśladowano.

Kiedy po raz pierwszy rozmawiali o zakupie posiadłości, Harriet Westerman wcale nie miała zamiaru pozostać na lądzie, później jednak rozliczne okoliczności sprawiły, że jej obecność w majątku stała się zarówno praktyczna, jak i niezbędna, gdyż mąż w dalszym ciągu przebywał za granicą, początkowo na kanale La Manche. Od Nowego Roku rozpoczął służbę dla króla w Indiach Zachodnich. Porzuciła więc życie na pokładzie okrętu lub w jakimś odległym wojskowym porcie oraz jadanie obiadów czasem z możnymi i królami, a czasem z rybakami i niższymi oficerami z coraz bardziej niewygodnych zakątków rozrastającego się imperium. Zamiast tego podjęła osiadły żywot szanowanej damy z prowincji.

Pierwszą ze wspomnianych wyżej okoliczności stanowiło uświadomienie sobie, że posiadłość takich rozmiarów wymaga znacznie większej uwagi niż te nieregularne i niepewne kontakty, na jakie pozwalała służba komandora na okręcie marynarki wojennej Jego Królewskiej Mości. Drugą stanowiły narodziny jej syna, Stephena, który choć teraz był silnym i kwitującym dzieckiem, był niegdyś słaby i chorowity - nie służyło mu morskie powietrze. Powiła go na pokładzie okrętu, zmagającego się z dziwnymi jak na tę porę roku wiatrami, w trakcie powrotu z Indii Wschodnich. Rok wcześniej Westermanowie utracili dziecko, a żal po tamtym chłopczyku wciąż bolał ich jak niewielka paląca rana. Ich synek urodził się i zmarł na drugim krańcu świata, żył zaś jedynie tak długo, aby otrzymać imię. Jego małe ciało złożono w ziemi kościoła Kompanii Wschodnioindyjskiej w Kalkucie. Harriet wciąż jeszcze czuła pod stopami ów mały skrawek obcej ziemi, nawet wędrując ścieżkami porośniętymi angielską lawendą. Rzadko o tym rozmawiała, nawet z siostrą. Westermanowie uczyniliby wszystko, co tylko w ich mocy, aby drugi raz nie przeżywać podobnej rozpaczki. Rozważali pozostawienie drugiego chłopczyka na lądzie, pod pieczę jakiejś szanowanej

rodziny, komandor jednak zdecydowanie bardziej cenił opiekę matczyną. Trzecią okoliczność, która już sama w sobie zdawała się wystarczać, stanowiło to, że ojciec pani Westerman, skromny duchowny z zachodniej Anglii, od paru lat wdowiec, nie zdołał wydobrzeć po upadku z konia i zmarł, pozostawiając bez opieki młodszą córkę, Rachel, ubogą, zaledwie czternastoletnią dziewczynkę, niezdolną samodzielnie iść przez świat. Pani Westerman przybyła zatem do posiadłości wraz z dzieckiem i nie powróciła już na morze. Dozorowała ziemie komandora, a siostrze zaproponowała, że przyjmie ją pod swój dach na stałe. Pojawienie się pani Westerman wraz z panną Trench zostało radośnie przyjęte przez sąsiadów, Harriet stała się cenioną członkinią miejscowej społeczności, gdyż powszechnie znano jej rozsądek, niezłomne zasady, jak również wartość ziem komandora. Czasem może bywała zbyt ostra i mało entuzjastyczna, sprzeciwiając się starszym sąsiadom, gdy uważała, że błędzą w sprawach domowych i politycznych. Potknięcia owe zrzucano jednak na karb jej niezwykłych doświadczeń, wynikających z podążania za mężem przez cały świat, i zwykle puszczano płazem. Co do jej siostry, sądzono, że jest osobą wywierającą dobroczynny, oczyszczający wpływ na domostwo, a miejscowe matrony zachęcały ją, aby się za taką uważała. Dla Rachel jednak własne rozczarowania bywały w przeszłości okazją do smutnych refleksji, a jej przyszłość wciąż rysowała się mgliście. Panna Rachel Trench, popijając poranną czekoladę i podziwiając rozciągający się z salonu widok na lasy, usłyszała z holu gwar głosów oraz ujadanie ogara siostry. Dopiero jednak zduszony pisk Dydony, pokojówki, sprawił, że wstała, by wyjrzeć przez drzwi. Pani Heath-cote spojrzała na nią, a potem zagoniła służącą z powrotem do kuchni. William, parobek, skłonił się pannie Trench, ale zanim zdołała się odezwać, ruszył przez główne drzwi, po drodze naciągając kapelusz na uszy. Rachel spojrzała na gospodynię, która zdawała się bardzo

blada. Dziewczyna poczuła, jak sama blednie w oczekiwaniu złych wieści.

- Co się stało, pani Heathcote? Czy moja siostra...

- Pani Westerman ma się dobrze, ale, panno Rachel, w zagajniku odnaleziono ciało mężczyzny z poderżniętym gardłem...

Panna Trench poczuła, że świat wokół niej wiruje i wyciągnęła rękę, aby oprzeć się o drzwi. W nagłym przeblysku świadomości usłyszała głos szwagra. Gdy pewnego popołudnia siedzieli przy kolacji, poprosiła go o parę przydatnych porad zebranych w latach jego podróży. Zaśmiał się wtedy i rzekł:

- Moja droga siostrzo, jeśli nadejdzie trzęsienie ziemi, stań pod framugą i czekaj, aż się skończy.

Pani Heathcote zrobiła w jej stronę dwa drobne kroki, zasłaniając tym samym cofającą się służącą.

- Proszę się nie niepokoić. Mówią, że to ktoś obcy. Gospodyni położyła dłoń na ramieniu dziewczyny. Rachel pokiwała głową i nie waząc się spojrzeć kobiecie w twarz, wróciła do salonu.

- Co dalej będzie z ciałem? Czy już coś pani postanowiła? - zapytał Crowther.

- Wysłałam wiadomość do młodszego syna lorda Thornleigh, Hugh.

Właściwie posłałam tam pańskiego człowieka, kiedy czekałam, aż się pan ubierze. Jeśli to Aleksander, pewnie zapragną przenieść go do posiadłości, jeśli nie, możemy go przyjąć w Caveley, w moim domu i czekać na sędziego.

Crowther uznał, że nie zdradzi tego, co sądzi o ludziach, którzy wydają polecenia cudzej służbie.

- Wie pani zapewne - zauważył tylko - że przez cały rok starałem się poznać swoich sąsiadów tak niewiele, jak to możliwe.

Uśmiechnęła się pod nosem.

- Czy chodzi panu o inne starania niż przyglądanie się tym, którzy przechodzą przed pańskim domem? Dostrzeżono już pański zwyczaj przyglądania się sąsiadom przez okno w salonie niczym okazom z jakiejś wystawy.

Crowther poczuł, że go rozgryzła, ale pani Wersterman nie miała zamiaru się z nim drażnić. Spoważniała.

- Spodziewam się, że chciałby pan dowiedzieć się czego<sup>^</sup>więcej o rodzinie Thornleighów? A więc dobrze. Thornleigh Hall nie jest zapewne najbogatszą posiadłością w hrabstwie, ale jedną z najroz-leglejszych. Lord Thornleigh jest earlem Sussex i jego majątek jest stosowny do tej wysokiej pozycji. Należy do nich wszystko, aż po widnokrąg, a nawet nieco za nim. Sam dwór jest wspaniały, skryty przed oczyma sąsiadów w wielkim parku i pełen skarbów, i dzisiejszych, i dawnych. Po prostu чудо. Nie byłam tam od dawna, chociaż zarządca oprowadza po nim ciekawskich. Powiedziano nam, że przebywał tam ostatni król we własnej osobie. Zdaje mi się, że mają nóż Jakuba I, w szufladzie, aby pokazywać go każdemu, kto tylko o to poprosi.

Szpicruta ze świstem powędrowała nad jej ramieniem, ku wzgórzom, na które właśnie się wspięli.

- Należą też do nich wszystkie ziemie na wschód od wsi. To ładna posiadłość, chociaż podejrzewam, że obecnie zarządzana rabunkowo.

- Czy lord Thornleigh nadal tam mieszka?

- Tak, wraz ze swoją drugą żoną. Jest bardzo chory. Wkrótce po tym, jak sprowadziliśmy się do Caveley, razila go apopleksja i od tamtej pory nie mówi. Pokazuje się też bardzo rzadko i nikt o nim nie wspomina. Zajmuje się nim służba, mieszka na piętrze. W rodzie jest trzech synów. Najstarszy Aleksander, ów zagubiony dziedzic, oraz Hugh, którego wkrótce pan spotka, to synowie pierwszej żony lorda Thornleigh. Jego druga żona także powiła chłopca, Eustachego.

- Widziałem ją, przejeżdżała z nim obok mojego domu.

- O tak. - Harriet umilkła, jakby nie wiedząc, co powiedzieć dalej. - Hugh służył w wojsku w Ameryce i został ranny. Wrócił prawie cztery lata temu, gdy jego ojciec zachorował.

Crowther pomyślał o dżentelmenie, którego kiedyś spostrzegł we wsi.

Szukał właśnie książki, jaka miała mu towarzyszyć przy

kolacji, i z salonu od frontu, bo tam właśnie ją znalazł, zauważył mężczyznę, jak gawędzi z przyjaciółmi pod stajniami, nieopodal frontowych drzwi anatoma. A może raczej usłyszał głośnie powitanie i rzucił okiem przez okno, aby się dowiedzieć, któż to ma powód, aby tak jawnie okazywać zadowolenie z siebie samego. Był to młody krzepko wyglądający dżentelmen. Crowther poczuł typową dla ludzi w jego wieku mieszaninę zazdrości i wzgardy wobec młodych. Rozmyślał o tym uczuciu w mroku pustego pokoju, gdy nagle młodzieniec odwrócił się, aby kogoś powitać. Gabriel zobaczył, że prawą stronę twarzy nieznajomego, od środka policzka po linię włosów, pokrywają blizny, a jedno oko jest zamglone i martwe. Nawet w ciemnościach wieczoru skóra wyglądała, jakby świeżo ją zdarto. Jakby diabeł tak pozazdrościł młodzieńcowi urody, że mu ją odebrał.

- Postrzał z muszkietu - powiedział Crowther sam do siebie, a potem dostrzegł zdziwienie Harriet. - Widziałem go przez frontowe okno - oznajmił z nikłym uśmiechem. - Takie obrażenia są widoczne.

W tej właśnie chwili usłyszeli odgłos kroków. Ścieżką od Thornleigh Hall zbliżał się szybko wspomniany wcześniej dżentelmen.

Rysy i postura świadczyły o tym, że jest przystojny, ale szrama była poważna, wyraz twarzy brzydki, a strój nieco niechlujny. Gdy odległość między nimi zmalała, Crowther skorzystał z okazji, aby przyjrzeć się Hugh, jakby był okazem na stole sekcyjnym: popękane naczynka wokół nosa, ziemista cera i podkrążone oczy. Pijak. Ze wszech miar prawdopodobne, że z daleko posuniętą chorobą wątroby. Gabriel nie zdziwiłby się, gdyby wyczuł wino w jego oddechu, nawet o tak wczesnej porze. Wciąż zastanawiał się, dlaczego w wielkich rodach było tylu synów, którym nie udało się, według jego opinii, zostać dżentelmenami.

Już z pewnej odległości Thornleigh odezwał się zachrypłym barytonem:

- Pani Westerman, czy wie pani, ile razy przez te lata, odkąd wróciłem do domu, proszono mnie, abym oglądał trupy ludzi, którzy mogliby okazać się moim bratem? Pewnie cztery. Dwóch

włóczęgów, którym spodobało się umrzeć w Pulborough, nie pozostawiając żadnego przekonywającego adresu, jeden nieszczęśnik, który utonął w Tar i wyciągnięty został miesiąc później, gdy rodzona matka już by go nie poznała, i jeszcze jeden trup w Ashwell, który okazał się ciemnowłosy i o głowę niższy od Aleksandra, gdy ten opuszczał dom. A teraz jeszcze pani, madame, przetrząsa okolice, aby znaleźć mi następnych.

Crowther spojrział na swoją towarzyszkę. Po raz pierwszy tego ranka wyglądała na zdumioną, pomyślał, że chyba dostrzegł drżenie jej dłoni. Zrobił krok do przodu i uklonił się na tyle nisko, by można było w tym dostrzec sarkazm.

- Tym razem ten dżentelmen postarał się o to, by zostać zamordowanym niedaleko pańskiego domu. Zatem kłopot został ograniczony.

Młody mężczyzna drgnął i zwrócił się twarzą do niego. Crowther pomyślał, że zapewne stał tam, dokąd uszkodzony wzrok pana Thornleigha nie sięgał. Hugh nie odezwałby się w taki sposób do damy, gdyby wiedział, że nie jest sama. Młodzieniec zdawał się krzepki mimo widocznych skutków pijaństwa. Zapewne jeździł konno, choć jego ciało zaczynało już z wolna obrastać tłuszczem. Crowther wyobraził sobie, jak wyglądałoby to umięśnione ramię, gdyby zdjąć z niego skórę. Pan Thornleigh odchrząknął i zachował przynajmniej tyle przyzwoitości, by wyglądać na nieco zakłopotanego.

- Jest pan znawcą filozofii naturalnej, panie Crowther?

- Istotnie.

- Nazywam się Hugh Thornleigh. - Młodzieniec uklonił się i potrząsnął głową. Chyba stracił nieco pewności siebie. - Proszę o wybaczenie, pani Westerman. Doprawdy odezwałem się nieuprzejmie. Dziękuję za list i mam nadzieję, że wstrząs spowodowany odnalezieniem nieszczęśnika nie był zbyt wielki - znów przerwał i odchrząknął. - Mam nadzieję, że rodzina pani pozostaje w dobrym zdrowiu.

Teraz Crowther nieomal go polubił. Mimo pozorów grubiaństwa pozostały w nim jeszcze resztki uroku i ujmujący szacunek wo-



bec pani Westerman. Tak jakby Hugh, potrząsając głową, przesunął maskę i odsłonił swoje lepsze ja. Niedźwiedź we fraku. Udomowiona bestia. Crowtherowi przypominał jego własnego brata.

Pani Westerman nadal jednak była zagniewana. Odezwała się chłodno, a mówiąc do młodzieńca, raczej patrzyła poprzez niż na niego.

- Wszyscy zdrowi, panie Thornleigh. Oto ciało. - Końcem szpicruty ściągnęła płaszcz z twarzy trupa. Hugh wciągnął powietrze.

- Sądziłem, że to jakiś włóczęga. Mówi pani, że został zamordowany...

Czy coś przy nim znaleziono?

Harriet upuściła w wyciągniętą rękę Thornleigha pierścień, a potem cofnęła się, wsuwając rękawiczkę. Hugh wzdrygnął się, biorąc pierścień, który zalśnił, odbijając słoneczne światło.

- Nic poza tym?

- Nie skończyliśmy jeszcze przetrząsać mu kieszeni - oświadczył

Crowther. - Czy zna pan tego człowieka?

Hugh zrozumiał, o co chodzi, i zeszywniał.

- Jestem pewien, że to nie Aleksander, choć to mężczyzna w jego wieku i o jego kolorze włosów. Raz jeszcze proszę o wybaczenie, madame. Nie wiem, jak ten człowiek wszedł w posiadanie pierścienia, który istotnie należy do Aleksandra. Noszę niemal taki sam. - Wyciągnął lewą rękę, pokazując błyszczący na środkowym palcu pierścień, bliźniaczy z tym, który znaleźli.

- Jest pan pewien? - zapytała Harriet. - Mówił pan, że nie widział Aleksandra od wielu lat.

- Ostatni raz widziałem go w sześćdziesiątym piątym, na krótko przed wstąpieniem do mojego regimentu. Jestem pewien. Gdyby to Aleksander leżał przede mną, poznałbym go, nieważne po ilu latach. Ten człowiek nic dla mnie nie znaczy. Nie może być moim bratem. Mój brat jako dziecko upadł i złamał nogę. Potem zawsze lekko utykał. Zapewne mógłby pan stwierdzić, czy ten człowiek odniósł podobne obrażenia, gdyby poddał go pan dokładnym badaniom? Być może proszę o zbyt wiele.

- Istotnie, to wszystko by wyjaśniło i chętnie za czas jakiś zbadam ciało. Hugh szybko skinął głową.

- Może to posłużyć jako dowód dla koronera i jego ludzi, a pan zyska moją wdzięczność. Mimo to w głębi serca jestem pewien, że to nie Aleksander. I dzięki za to Bogu.

Pani Westerman westchnęła.

- Cieszę się, że to słyszę. Ciało leżało na ziemi Caveley Park, każę zatem przenieść biedaka do dworu, do czasu aż przybędzie sędzia i dowiemy się, co należy dalej uczynić, chyba że ma pan jakieś obiekcje, panie Thornleigh.

Hugh spojrział na nią może dłużej, niżli powinien, a gdy tak patrzył, Crowther dostrzegł przemykający po jego twarzy wyraz tęsknoty i zakłopotania, jak u wiernego psa. No cóż, młody, okryty bliznami weteran w sąsiedztwie, mąż gdzieś daleko za morzem... Uśmiechnął się do siebie. Chyba robił się romantyczny.

- Absolutnie żadnych, pani Westerman. Czy mogę jeszcze jakoś pomóc?

- Nie. Służący z Caveley wkrótce tu będą i zajmą się ciałem.

- Doskonale. - Skłoniwszy się tylko raz obojgu, Hugh odwrócił się i ruszył w dół wzgórza, tak szybko, jak tylko mógł, żeby nie biec.

- On pije - stwierdził Crowther, patrząc, jak niebieski frak znika w leśnej gęstwinie.

Harriet oparła się o jesion rosnący na skraju ścieżki.

- Obawiam się, że tak. Posiadłością opiekuje się zarządca, Wick-steed, a on spędza czas w towarzystwie butelki.

- W końcu go to zabije. I to szybko, jeśli będąc tak młodym człowiekiem, jest już w takim stanie.

- I bardzo dobrze.

Crowther odwrócił się. To niewątpliwie niezwykła kobieta, ale powiedzieć coś takiego! Nie przypuszczał, że słowa jakiegokolwiek damy zdołają go wyprowadzić z równowagi. Widać jego maniery są nadal lepsze, niżli sądził. Pani Westerman patrzyła w ziemię przed sobą, stukając szpicrutą. Po chwili usłyszeli kolejne kroki. Ścież-

ką nadchodził stajenny Harriet z kimś jeszcze. Harriet westchnęła i uniosła wzrok.

- Mój biedny, spokojny zagajnik. Taki w nim ruch tego ranka jak na Cheapside.

Wydała służącym polecenia spokojnym, rozsądnym głosem, a potem zwróciła się do Crowthera.

- Zechce pan pójść ze mną do domu, panie Crowther. Spotkamy się z sędzią, a potem przyjrzymy temu człowiekowi trochę dokładniej.

Stajenny z pomocnikiem ruszyli zabrać ciało do Caveley. Gabriel zwrócił uwagę na to, jak pani Westerman spoglądała na ścieżkę, którą właśnie odszedł Hugh. Zdawało się, że złość kobiety już minęła, w jej oczach pozostał teraz tylko żal.

## 5

Ze strachu, że to Hugh poderznął sobie gardło niemal tuż pod /T/ jej domem, Rachel aż pobladła ze zdenerwowania, ale teraz doszła już do siebie na tyle, by móc powitać siostrę i pana Crowthera, a także bez drżenia rąk nalać obojgu herbaty

Dotąd widziała pana Crowthera raz czy dwa na ulicy, a także raz w oknach na piętrze jego domu, gdy wpatrywał się w gościniec najwyraźniej nieświadom niczego, co jest przed nim. Kiedy pojawił się w okolicy, słyszała od pokojówki różne plotki na temat tajemniczego samotnika, ale niewiele o nim myślała, bo przez rok, który spędził w Hartswood, głowę miała zajęta własnymi troskami. Teraz ucieszyła się, że ma sposobność przyjrzeć mu się bliżej. Przypuszczała, że ma po pięćdziesiątce. Nie nosił peruki, był bardzo blady i niemal żałośnie chudy, ale jego postawa i spokojna pewność siebie nadawały mu prezencję, która budziła jej podziw. Spodziewała się po nim braku ogłady, jaki jej zdaniem cechował ludzi skupionych na własnej

profesji, a jednak ruchy miał bardzo płynne. Kiedyś musiał bywać w towarzystwie. Rysy jego były regularne, wargi cienkie, a wyraz twarzy, jeśli nawet nie miły, to też nie nieprzyjazny. Rozejrzał się po salonie z uprzejmą ciekawością. Rachel uznała, że może go polubić.

Zwykle nie uważała siostry za najuprzejmieszczą panią domu, ale nawet ją zaskoczył brak jakiejkolwiek próby nawiązania rozmowy z ich gościem. Harriet patrzyła tylko przez pokój, podpierając ręką podbródek i stukając się palcami w policzek. Rachel poczuła, że obowiązki gospodyni spadły teraz na jej barki. Była młoda i dlatego gotowa zastąpić innych w wykonywaniu ich powinności.

- Cieszę się, że pana widzę, panie Crowther. Jest pan dla naszej społeczności zagadką.

Gabriel spojrzął na siostrę pani Westerman i z wysiłkiem starał się przypomnieć sobie, jak się nazywa.

- Nie bywam w towarzystwie, panno Trench. Niewątpliwie ze stratą dla mnie.

Harriet parsknęła.

- Oczywiście, panie Crowther. Moja siostra gra w tryktraka i wista niczym szatan. Stroniąc od swych sąsiadów, stracił pan zaiste wiele podniecających wieczorów. - W jej głosie zabrzmiało szyderstwo, a Rachel wyczuła, że kieruje je do niej. Zarumieniła się i szybko wstała.

- Proszę mi wybaczyć - oznajmiła. - Muszę porozmawiać z panią Heathcote o obiedzie.

Crowther ledwie zdążył się uklonić, nim wyszła z pokoju. Harriet patrzyła za nią ze zmarszczonymi brwiami.

- Uraziłam ją. Czasami jestem nieczułą siostrą. Ale ona ma zaledwie osiemnaście lat i jak na swój wiek jest zbyt świętoszkowata.

Crowther nie powiedział nic, tylko dalej obserwował panią Westerman znad krawędzi wytwornej filiżanki do herbaty.

- Staram się zdecydować, co należy teraz uczynić, panie Crowther, a próby biednej Rachel, aby być uprzejmą, tylko mnie rozdrażniły.

Gabriel spytał dosyć łagodnie:

- I do jakich wniosków pani doszła? Co należałoby uczynić? Spojrzała w kąt pokoju.

- Opowiem panu, co się teraz wydarzy, i ufam, że zwróci mi pan uwagę, jeśli moje wnioski okażą się błędne.

Skinął głową.

- A więc dobrze. Najpierw przybędzie tu sędzia i powie, że koroner został już wezwany i zjawi się wraz z ławnikami Pod Niedźwiedziem i Koroną jutro po południu. Poprosi nas o zdanie i zgodzi się, że powinniśmy zbadać ciało, szukając dalszych wskazówek co do tego, kim mógł być ów człowiek i dlaczego tu przybył, a także sprawdzić, czy nasz nieznany przyjaciel doznał złamania nogi takiego, jakie z pewnością musiałby mieć Aleksander. - Kolejne punkty opowieści wyliczała na palcach. - A my nie znajdziemy nic do dodania ponad to, co już wiemy. Jutro koroner wysłucha nas jak na dżentelmena przystało, a ława uzna, że nieznajomy zabity został przez innego nieznajomego z nieznanych powodów oraz poprosi Boga, aby ulitował się nad jego duszą. W najlepszym razie ktoś powie, że widział go, jak przybywa z Londynu, bo stamtąd, jak wiadomo, przybywa wszystko, co złe i grzeszne. Koroner i ława dojdą zatem do wniosku, że jego śmierć podążyła za nim z miasta i na tym sprawa się zakończy. No, nie całkiem, będziemy jeszcze pilnie obserwowani przez dzień albo dwa po pogrzebie, w celu sprawdzenia, czy nie wykopie pan ciała, żeby prowadzić na nim swe bezbożne eksperymenty.

Crowther się uśmiechnął.

- Tak będzie.

Przez krótką chwilę milczeli oboje.

- Myśli pan, że znalazł się w tych lasach przez przypadek? Pytanie brzmiało lekko, ale kiedy odpowiadał, Harriet patrzyła na niego bardzo uważnie.

- Nie. Sądzę, że miał się tam z kimś spotkać i albo tamta osoba, albo ktoś inny, kto wiedział o spotkaniu, zaatakował go i zabił.

- A zważywszy na miejsce spotkania...?

- A zważywszy na miejsce spotkania, zapewne spodziewał się tam zobaczyć albo z kimś z Thornleigh, albo z Caveley. Wiem, że pani uważa tak samo, choć wątpię, by podejrzewała pani kogoś ze swoich domowników. Samo zrozumienie przebiegu spraw nie zapewni nam jednak niezbędnej pomocy.

Pani Westerman wstała i podeszła do przeszklonych drzwi, wychodzących na trawnik z boku domu.

- Mój mąż i ja byliśmy może naiwni, kiedy kupowaliśmy tę posiadłość. Niełatwo mi utrzymać majątek tej wielkości, doglądać spraw męża, gdy on jest tak daleko. Na początku robiłam to wszystko dla niego i dla syna. - Odwróciła się szybko, uśmiechając do Crowthera. - Mam też córkę Annę, ma zaledwie sześć miesięcy. Urodziła się dzień przed wyjazdem jej ojca do Indii Zachodnich. - Gdy mówiła o swoich dzieciach, jej twarz nieco złagodniała. Gabriel przygotował się już na dłuższą rozmowę o ich nadzwyczajnych uzdolnieniach i przymiotach, ale Harriet wróciła do głównego wątku. - Gdybym szła sama własną drogą, porzuciłabym to nawet teraz, ale potrafię być uparta, panie Crowther. To mój dom, ta wioska jest moim domem, choć Thornleigh siedzi tutaj nad tym wszystkim jak wielki czarny gawron. Z tą rodziną coś jest nie w porządku. Jest w niej jakaś rana i to z gangreną, to pewne.

Odstawił filiżankę i spojrzał na nią ze znużeniem.

- I ośmielę się dodać, że była pani tego pewna już od jakiegoś czasu - powiedział - a teraz uznala pani, że ma wszelkie moralne prawa, jakie może dać trup odnaleziony na pani ziemi, aby przeżyć przygodę, odsłaniając tę prawdę. To ciekawa odmiana po zarządzaniu posiadłością. A skoro przed chwilą opisała pani lorda Thornleigh jako gawrona zagnieżdżonego w swej dolinie, chyba nie mogę pozwolić, aby stał się dla pani ptakiem unoszącym się ponad okolicą. Raczej czarnym smokiem w swojej jaskini.

Spojrzała na niego zaskoczona.

- Cieszę się, że pana wezwałam, panie Crowther. Jest pan bardzo szczery.  
- Wyrwała mnie pani z łóżka przed południem, okazała straszliwy brak szacunku dla miejscowych lordów i co najmniej raz zakląła

w mojej obecności. Nie powinna pani oczekiwać, że będę się kłopotał zwykłymi formami uprzejmości.

Nie dostrzegła śladu uśmiechu, który złagodziłby te słowa.

- Proszę tego nie robić - odparła i wyglądała na bardziej zadowoloną, niżby się spodziewał. - Zapewne ma pan rację w swoich metaforach. Zawsze czułam pociąg do smoków, choć nie obrażałabym ich, porównując do rodziny Thornleighów. Thornleigh Hall może być gniazdem złośliwego pająka, jeżeli znów zechcę wyrazić się retorycznie. Teraz pozwolił sobie na uśmieszek.

- A zatem nie jest pan ciekaw? Nie chce pan się dowiedzieć, jak umarł ten człowiek i z czyjej ręki? Te nici, które zebrał pan w zagajniku... Uznałam tamto działanie za znak, że ciekawi pana zagadka.

Westchnął i poprawił się na krześle.

- Madame, to nie jest salonowa gra. Tu nie odgaduje się odpowiedzi i nie zyskuje za to uprzejmego aplauzu. Trzeba zadawać impertynenckie pytania i choć działa się w słusznej sprawie, nie usłyszysz się za to podziękowania. Wielu dobrych mężczyzn i kobiet odmówiło podążenia tą drogą i może pani też powinna pomyśleć o wzięciu z nich przykładu. Ja ograniczyłem swą pracę do zmarłych, albowiem zmarli mówią więcej prawdy i są często lepszym towarzystwem niż żywi. Od wielu lat wolę martwego psa od talii kart. - Harriet, zaskoczona, uśmiechnęła się, a on mówił dalej bez emocji. - Być może pomogę pani usunąć to gniazdo pajaków, smoków czy gawronów i zrobię to z lepszej pozycji. Ja nie mam nic do stracenia.

- A ja? Czy chodzi panu o moją reputację? Wszyscy wiedzą, że umiem wyrażać się bez ogródek, ale tak, ma pan rację, mogę poczynić jej większe szkody, zajmując się tą sprawą. Niech i tak będzie. Muszę robić to, co uważam za słuszne, jeśli mam bez lęku spojrzeć mojej rodzinie w oczy. Pańska pomoc byłaby nieoceniona, chociaż zastanawiam się, jak mogłabym o nią prosić. Nie ma pan wprawdzie nic do stracenia, ale też nie potrafię dostrzec w tym żadnego dla pana zysku. Nie schlebiam sobie tak bardzo, by sądzić, że proponuje pan

swoje usługi dla samej przyjemności przebywania w moim towarzystwie.

- A może powinna pani. Uniosła brwi ze zdumienia.

- Nie, madame, nie mam zamiaru flirtować z panią, ale mówiła mi pani o niebezpieczeństwie życia w samotności i o tym, jak czyjś osąd może się przez to zniekształcić.

Spojrzał smutno na wzór na dywanie.

- W swojej obecnej pracy natrafiłem na złe miejsce, nie odrywa mnie pani zatem od niczego ważnego, a z mojego artykułu dowiedziała się pani o tym, że od czasu do czasu okazuję zainteresowanie poszukiwaniem dowodów morderstwa. Nie mam więc nic lepszego do roboty, jak pomagać pani w rujnowaniu jej reputacji.

- Jakiegokolwiek kierują panem motywy, proszę przyjąć moją wdzięczność. Do pokoju weszła pokojówka.

- Przybył sędzia, proszę pani.

- Znakomicie, Dydono.

Gość wszedł tak energicznie i uśmiechnął się do Harriet z tak serdecznym zadowoleniem, że aż przytłoczył szczupłego Crowthera.

Sędzia Bridges był postawnym mężczyzną mniej więcej dziesięć lat starszym od Gabriela. Nie dałoby się go wziąć za nikogo innego jak dżentelmena z angielskiej prowincji, i to ze starej szkoły. Miał czerwoną cerę i duży brzuch człowieka lubiącego zajęcia na świeżym powietrzu oraz hałaśliwe biesiady. Jego postać była zbyt masywna, jak na wytworny salon - zdawał się napierać na ściany, szukać wśród mebli miejsca ku temu, aby emanować tu dobrą wolę, ile tylko możliwe. Patrząc na niego, Crowther natychmiast poczuł się zmęczony.

Sędzia rzucił się ku nim z wyciągniętymi rękoma.

- Droga pani Westerman, cóż za przyjemność panią widzieć! Prawdziwa to ozdoba poranka! I jak zwykle wygląda pani jak okaz zdrowia! Muszę się dobrze pani przyjrzeć, moja droga. Jak pani wie,



pani Bridges nie da mi odpocząć, póki nie wyciągnie ze mnie wszystkiego na temat pani wyglądu i wszelkich nowin! A panna Rachel jest w tym miesiącu trzykroć piękniejsza niż w zeszłym, już spotkaliśmy się w holu. Zbyt rzadko się spotykamy, moja droga. Oboje z żoną tak uważamy i ona wciąż mi o tym mówi!

Harriet podeszła do niego z uśmiechem i uściśnięła mu dłoń z wielką życzliwością.

- Cieszę się dobrym zdrowiem, jak sam pan widzi. Może pan zanieść o nas wszystkich dobre wieści. Stephen rozkwita, jest bardzo silny, a ostatnie listy od komandora Westermana mówią o dobrych wiatrach i dobrych oficerach! Innymi słowy, dobrze się wyraża o tych, których ma pod dowództwem.

Sędzia nieco spoważniał.

- Może ma jakieś wątpliwości co do Rodneya? - Harriet nie odpowiedziała. - No cóż, jeszcze zobaczymy, jeszcze zobaczymy. Spojrzał badawczo na Crowthera, który zapadł w wąły cień, jaki zaoferować mógł pokój, jakby bojąc się, że Bridges go pożre.

- Sędzio, oto pan Crowther, który zeszłego lata zamieszkał w posiadłości Laraby. Panie Crowther, oto nasz miejscowy przedstawiciel sprawiedliwości i dobry przyjaciel, sędzia Bridges.

Wymienili ukłony, a twarz sędziego jeszcze bardziej pojaśniała przez wzgląd na przewidywaną nową znajomość.

- Słyszałem o pańskiej reputacji człowieka nauki i cieszę się, że pana poznałem. Bardzo się cieszę. - Przez chwilę bacznie patrzył Crowtherowi w oczy. Potem, odwróciwszy się do gospodyni, w jednej chwili stał się poważny i zatroskany. - A teraz, pani Westerman, proszę mi opowiedzieć o tej smutnej sprawie. Wszystko co wiem, to że dziś rankiem w pani lasach znaleziono jakieś ciało.

Harriet podzieliła się z nim wszystkim, co wiedzieli na temat śmierci nieznanego, i o przekonaniu żywionym przez Hugh Thornleigha, że nie był on jego bratem. Twarz sędziego stawała się stopniowo coraz bardziej ponura, a w miarę jak pani Westerman opowiadała, nie potrafił powstrzymać się od okrzyków: „Och, jakże to smutna sprawa! Jakież to wstrząsające!”

Harriet skończyła, sędzia przez kilka chwil milczał.

- Jestem w kłopotcie, pani Westerman. Rzecz jasna, możemy rozpytywać po wsiach, czy przez ostatnie dwa dni nie widziano tam nikogo obcego i czy zdarzyło się coś, co mogłoby wzbudzić podejrzenia. Obawiam się jednak, że wykracza to poza całe moje doświadczenie. Droga pani, jesteśmy starymi przyjaciółmi, zatem bez ogródek powiem, że czuję się wielce nieswojo. To prawda, należy się wywiedzieć więcej. Pierścień stanowi rzecz kłopotliwą, czyni sprawę mroczniej szą, znacznie mroczniej szą. Czy rodzina zna losy Aleksandra w ciągu ostatnich lat?

- Nic o tym nie wiem.

- Krążyły różne pogłoski, mówiono głównie o Londynie. Nie słyszałem, by o tej sprawie rozmawiano we dworze. Tak, należy wezwać koronera i ławników. Mógłbym też wziąć jednego z pani parobków, aby pokazał mi miejsce zbrodni, i rzecz jasna, gdy obejrzę ciało, szybko skreślę list czy dwa. Doprawdy smutna to sprawa. -Odwrócił się do Crowthera. - Czy zechciałby pan dokonać niezbędnych oględzin ciała? Bylibyśmy panu ze wszech miar wdzięczni.

Gabriel się skłonił. Sędzia promieniał.

- Oczywiście, oczywiście. Kapitalnie. Dzielny człowiek.

- A kto jest koronerem? - zapytała Harriet.

Bridges wydawał się mówić zarówno do swych rozmówców, jak i do kominka, a czyniąc to, w zamyśleniu drapał się po peruce.

- Taki złośliwy człowieczek spod Gasserton. Podjął się tych obowiązków, aby dodać blasku swej adwokackiej karierze. Przypuszczam, że zwoła posiedzenie na jutro po południu, Pod Niedźwiedziem i Koroną. Poproszę panią, aby tam przybyła. I bez wątpienia jeden z ławników opíše to wszystko dla londyńskich gazet, w dzisiejszych czasach niestety zawsze tak czynią. Jakie to przykre.

Harriet położyła dłoń na rękawie sędziego

- To nieważne. Czy zje pan z nami obiad, gdy skończymy już badać ciało?

Jeśli nawet dostrzegła w oczach sędziego błysk w reakcji na wiadomość, że ona również będzie uczestniczyć w oględzinach zwłok razem z Crowtherem, nie dała nic po sobie poznać.

- Pani Heathcote jak zwykle chce, byśmy zasiedli do stołu o czwartej.

Jeśli, rzecz jasna, zezwoli na to pani Bridges.

Sędzia od razu wyjaśniał.

- Czemuż by nie? Skoro dostarczę jej szczegółowych wieści o pani samej i tym, czym się pani zajmuje, chętnie wypuści mnie i na większą część wieczoru! Pojadę do koronera i zadbam o to, by zwołano ławników.

Harriet dotknęła dzwonka. Pojawiła się Dydona, aby odprowadzić sędziego.

Bridges odwrócił się do Crowthera.

- Do pańskich usług - oznajmił i skłoniwszy się, wyszedł z pokoju.

6

Kiedy sędzia zabrał się do gromadzenia tych niewielkich sił prawa, jakie miał do dyspozycji - siebie, koronera oraz konstabla, wybranego przez parafian jako osoba, która mogła im przysporzyć najmniejszych kłopotów - Harriet wyprowadziła Crowthera z domu. Skręcili w stronę budynków gospodarczych i gdy minęli obecne, wspaniałe stajnie, pani Westerman zabrała anatoma do mniejszego budynku w rogu podwórza, gdzie za dawnych czasów trzymano konie w Caveley Park. Otwarta przestrzeń pod północnym i południowym murem była podzielona na trzy puste teraz zagrody, na wschodniej ścianie mieściło się duże nieoszkłone okno z rozwartymi okiennicami. Gołe belki, niczym duchy, wchodziły w cień pod dachem, a kamienną posadzkę pod stopami okryły wzorami mocne promienie słońca wpadające z okna i z drzwi. W powietrzu unosiły

się kłębki kurzu i siana. Części uprząży wciąż zwisały z wielkich żelaznych ćwieków pomiędzy zagrodami, powietrze pachniało lawendą i starą skórą. Pośrodku umieszczono długi stół, zazwyczaj -jak przypuszczał Crowther - wystawiany na dziedziniec przy okazji świąt i dożynek. Teraz ułożono na nim ciało, skromnie okryte białą lnianą płachtą. Wyglądało to jak ofiarny ołtarz. Na ławie pod oknem leżały ręczniki, stały miednica i dzban.

Uczony położył dłoń na czole i westchnął. Kiedy znów otworzył oczy, poczuł na sobie wzrok Harriet. Głowę przechyliła na bok.

- Proszę mi wybaczyć, ale wygląda pan na na bardzo zmęczonego, panie Crowther.

- To prawda, pani Westerman. Mam zwyczaj pracować nocą, a rano leżę długo w łóżku, oczywiście wtedy, gdy nie muszę oglądać dżentelmenów zarżniętych w sąsiedztwie.

Złożył dłonie i rozciągnął palce, aż trzasnęło, a potem dodał tonem znawcy:

- Nie będzie to pełna sekcja. Nie mamy odpowiedniej pogody, jutro muszą obejrzeć ciało ludzkie koronera, a zresztą możemy mieć pewność co do tego, jak umarł ten człowiek. Ograniczmy się zatem do oględzin zewnętrznych i zbadajmy nogę, szukając starej rany.

Harriet wyprostowała się, skinęła głową. Gabriel podejrzewał, że walczy z chęcią odruchowego zaskutowania.

Zdjął płaszcz i odwrócił się, by powiesić go na dogodnym gwoździu, kiedy dostrzegł swoje narzędzia, owinięte w miękką skórę, leżące na ławie obok dzbanka i miednicy.

- Skąd się tu wzięły?

- William wziął je od pańskich służących, kiedy wracał przez wieś.

Gdyby ich pan nie potrzebował, zostałyby zwrócone, nimby się pan zorientował, że je zabrano.

- Świetnie prowadzi pani dom.

- William i David byli na morzu ze mną i z moim mężem. Mąż pani Heathcote wciąż pod nim służy. Nie znalazłabym nigdzie lepszej służby. Pokojówki przychodzą i odchodzą, ale myślę, że żadna dama nie zdołałaby mieć lepszych czy też bardziej lojalnych służących.

Crowther odwrócił się z powrotem do trupa. Zastanawiał się, czy panna Rachel Trench była kiedykolwiek na morzu, a jeśli nie, to co sądzi o ludziach, którzy ją otaczają.

Spodziewał się, że teraz pani Westerman go opuści, a jednak tak nie uczyniła. Zamiast tego podwinęła rękawy amazonki i włożyła fartuch, aby okryć spódnicę. Spostrzegłszy jego zdumione spojrzenie, posłała mu ostrożny półuśmiech.

- Powiedział pan, że nie będzie to pełna sekcja.

- Istotnie.

- A zatem sądzę, że wystarczy mi odwagi.

Podeszła do ciała i odsunęła lnianą płachtę, a potem, zaciekawiona, pochyliła się, by przyjrzeć dłoniom trupa.

Crowther studiował z najlepszymi chirurgami i nauczycielami anatomii w Europie. Byli to zapracowani, praktyczni ludzie; główną ich cechą stanowiła ciekawość, a subtelność przytępiona została stykaniem się z nieboszczykami i niezbędnymi kontaktami z półświatkiem porywaczy zwłok oraz hien cementarnych. Widział mnóstwo rozciętych i pokiereszowanych zmarłych, często stał na podłodze śliskiej od krwi i wdychał powietrze gęste od ludzkich wydzielin, podczas gdy gromadka mężczyzn w upudrowanych perukach kłębiła się nad zwłokami, by przyjrzeć się jakiejś osobliwości wskazanej im przez ich nauczycieli. Ale nigdy jeszcze nie oglądał widoku tak zdumiewającego lub też tak dziwnie pięknego, jak Harriet Westerman ujmująca sztywną pięść trupa w białe dłonie i nachylająca się, aby obejrzeć martwe ciało. Szara woskowa skóra zestawiona z delikatnym rumieńcem kobiecej twarzy oraz bystrością oczu zdawała się stanowić metaforę iskry bożej. Gdyby jej oddech teraz musnął ową dłoń i znowu uczynił ją ciepłą i żywą, Crowther uwierzyłby w cud.

- On coś trzyma. Czy ma pan szczypcę?

- Oczywiście.

Wręczył jej narzędzie i patrzył, jak Harriet wciska je między palce mężczyzny. W skupieniu przygryzła wargi.

- Jest!

Promieniejąc, oddała mu szczypcę. Między ich srebrnymi cienkimi końcami Crowther dostrzegł skrawek papieru. Oderwany róg kartki.

- Miał coś ze sobą. Notatkę albo list, związane z pierścieniem, i to mu zabrano - stwierdziła.

- Może. A może to po prostu rachunek od jego krawca. Zmrużyła oczy.

- Wątpię, aby ktokolwiek szedł na spotkanie w lesie, w ciemnościach, z rachunkiem od krawca zaciśniętym w dłoni. Chociaż rozumiem pana.

Działam zbyt pochopnie.

Chwyciła skrawek papieru, zawinęła go w chusteczkę i odłożyła.

- Być może zbyt się pani spieszy, ale metody pani są właśnie takie, jakie sam bym doradził.

- Zapomniał pan, że czytałam pański artykuł i przyglądałam się panu dziś rano. Jestem pilną uczennicą.

Crowther na chwilę uniósł brwi, a potem wrócił do oględzin ciała.

Płaszcz nie odsłonił niczego poza sakiewką z kilkoma szylingami. Buty były zakurzone, ale całe, ubranie dobrej jakości, chociaż miejscami nieco wytarte, jednak tylko materiał i krój kamizelki zdradzały człowieka modnego. Czyżby kupując ją, człowiek ów pofolgował sobie w swej skromnej egzystencji? Czy była to próba uszlachetnienia się? Crowther potarł materiał kamizelki między kciukiem a palcem wskazującym, wyczuwając jakość tkaniny. Kiedyś sam mógłby taką nosić.

- Jak daleko jesteśmy od Pulborough? Czy zatrzymuje się tu dyliżans pocztowy? - zapytał, a Harriet spojrzała na niego zaskoczona. - Nie musiałem podróżować od czasu przyjazdu do Hartswood - wyjaśnił.

- Pulborough leży mniej więcej cztery mile stąd. Dyliżans do Londynu przejeżdża tędy we wtorki, a z Londynu w czwartki. Zastanawia się pan, jak dotarł tu do nas?

- Istotnie. I najbardziej prawdopodobne jest, że przybył z Londynu, zapewne dyliżansem, a potem ruszył pieszo. Stąd kurz na jego stopach.

Pani Westerman skinęła głową, a potem podniosła ręcznik, zwilżyła go i spokojnie zaczęła oczyszczać z krwi straszliwe rozcięcie na szyi.

Crowther przyglądał się przez chwilę, a potem sam wziął ręcznik i zaczął robić to samo z drugiej strony. Ich milczenie trwało kilka minut. Gabriel powoli zaczynał odczuwać w pomieszczeniu aurę szacunku i pokory, przenikającą go aż do szpiku kości. Znał ją z własnej pracowni, spływała na niego, gdy skupiał się na ciałach, naczyniach, przez które tak pośpiesznie i czasem tak okrutnie przerwane przepłynęło życie. Dawno temu odkrył, że spośród wszystkich jego uczuć to właśnie najbliższe było religii.

Wrócił pod okno i upuścił ręcznik do miednicy, przez chwilę patrząc, jak woda wokół rozkwita różem. Przypomniał sobie słowa Harveya:

„wszystkie członki żywione są, pojone i napędzane krwią, która jest ciepła, doskonała, pełna waporów, pełna ducha...” Ta cudowna substancja przepływająca przez serce każdego z ludzi, niezależnie od jego stanu, symbol miłości i śmierci, ściekała mu właśnie z palców. Znowu pomyślał o ciemnych śladach na pniach w zagajniku, zastanawiał się, ile jeszcze czasu minie, nim dzieci uczynią z nich świątynię grozy.

Przykucnął, aby na nowo przyjrzeć się ranie, i z ogromną delikatnością położył palec na krawędziach rozciętej skóry.

- Pani Westerman - jego głos po długiej ciszy zabrzmiał nienaturalnie głośno. - Jeśli ma pani odwagę, proszę podejść, spojrzeć na tę ranę i powiedzieć mi, co pani widzi.

Zielonkawe oczy kobiety zatrzymały się przez chwilę na jego twarzy.

Potem Harriet z wolna podeszła do krawędzi stołu, wciąż trzymając w rękach zakrwawiony ręcznik, i skupiła uwagę dokładnie na wskazanym przez Crowthera miejscu. Skrzywiła się na widok grozy rany, odezwała się jednak opanowanym głosem:

- Tu, z prawej strony, rana jest głębsza. Jeżeli zatem zaskoczono go od tyłu... - Zmarszczyła brwi.

Crowther wyjął nóż z leżącego za nim zawiniątka.

- Czy mogę?

- Oczywiście.

Stanął za nią, ujął nóż w prawą dłoń i powiedział:

- Patrzy pani przed siebie...

- Czekaając, aż ten, z kim mam się spotkać, pojawi się na polanie...

- Ja podchodzę za panią. Łapię panią za ramię. - Położył lewą dłoń na jej barku, a prawą przeniósł nóż przed Harriet, trzymając go parę cali od jej gardła. W ustach nagle poczuł suchość. Zobaczył siebie, tę kobietę oraz zwłoki jakby z dużej wysokości.

- Widzę - powiedziała pani Westerman. - Gdy zakończono cięcie, siła przyłożona została na prawą stronę rany. Został zamordowany przez mężczyznę, który faworyzował prawicę.

- I który był mniej więcej tego samego wzrostu, jako że cięcie dotarło prosto do kręgosłupa.

Harriet patrzyła na nóż, wciąż unoszący się przed nią.

- A gdyby to pan miał podciąć mi gardło - zauważyła - rana najprawdopodobniej skierowana byłaby w górę, ze względu na pana wzrost.

Uklonił się i ostrożnie odstąpił od niej.

Kiedy Crowther szukał na dolnych kończynach trupa śladów po złamaniu, pani Westerman stanęła nieco z boku. Przeciął ciało, odsłaniając kość od kolana po kostkę. Znowu poczuł pot gromadzący mu się na karku. W obu nogach kość była solidna i jednolita. Gdy pracował, Harriet nie odzywała się, tylko kiwała głową, kiedy pokazywał jej, że kości są całe. Obserwowała bacznie, jak z powrotem okrywa nogę ciałem, a następnie zakrzywioną igłą własnego projektu zszył skórę jedwabną nicią. Zrobił to starannie i nawet spodziewał się pochwały, ale gdy uniósł wzrok, zobaczył tylko, że kobieta myślami jest już gdzie indziej.

- To była tchórzliwa napaść - oznajmiła.

- Podcięcie komuś gardła od tyłu, w nocy? Tak, to tchórzostwo albo desperacja. Nigdy nie pomyśli pani, że była to sprawa honorowa.

- Tak, ale zastanawiałam się, kiedy ciął pan jego golenie. Morderstwo popełniono szybko i po cichu. Nie ma żadnych śla-



dów, wskazujących, że dokonano go w gniewie, podczas walki czy kłótni.

- Ale mogło dojść do wymiany zdań, później morderca powrócił.

- Być może. W obu wypadkach dokonano morderstwa i zabrano notatkę. Notatkę, ale nie pierścień. Nietrudno go było znaleźć, a wskazywał on na powiązanie sprawy z rodziną z Thornleigh Hall. Jeśli morderstwa dokonano z taką dbałością o skrytość, jak wskazuje rana, czemu sprawca nie zabrał pierścienia i nie ukrył ciała, choćby pobieżnie?

Crowther podszedł do dzbanka i przez chwilę nie wiedział, jak obmyć dłonie, nie brudząc naczyń. Harriet podeszła i uniosła dzban, by oblać mu nadgarstki. Oczyszczył z krwi krótkie paznokcie, wziął świeży ręcznik i zaczął wycierać palce, spoglądając w ciemną przestrzeń pod dachem, ponad ich głowami. Pani Westerman okryła zwłoki.

- Może ktoś przeszkodził mordercy - powiedział do pustego powietrza nad nimi.

- Ktoś inny przybył na umówione spotkanie? To interesujące. Panie Crowther, musimy więcej wiedzieć o tym człowieku. Nie był ani bogaty, ani biedny, ani wysoki, ani niski. Po prostu nijaki.

- Słusznie, pani Westerman. Chociaż jego ubrania coś nam mówią. To one przekonały mnie, że nie jest to Aleksander Thornleigh.

- Jaśnie pan Aleksander Thornleigh, wicehrabia Hardew. Syna earla należy tytułować odpowiednio, nawet in absentia.

- Będę o tym pamiętał - zgodził się. - Tak jak mówię, różnica między płaszczem a kamizelką przekonuje mnie bardziej niż całość kości w jego nodze czy nawet słowa jego brata. Ten człowiek wydał sporą sumę na kamizelkę, ale nie na płaszcz podróżny. To wskazuje na kogoś, kto lubi w towarzystwie udawać osobę majątniejszą, niż zdradza nam to jego płaszcz. Pan Thornleigh zaś, jak mi pani mówiła, przed piętnastu laty porzucił z własnej woli tytuł i fortunę.

Harriet bezradnie rozłożyła ręce.

- Jak na człowieka tak niechętnie patrzącego bliźnim w oczy, jest pan subtelnym znawcą psychologii - oznajmiła i skłoniła głowę.

Rozległo się delikatne pukanie i w szparę otwartych drzwi zajrzała Dydona. Gdy dostrzegła, że ciało jest okryte, z jej twarzy zniknął lęk i weszła do środka na tyle daleko, aby dygnąć.

- Proszę mi wybaczyć, madame. Sędzia wrócił ze wsi, a kucharz może już podać obiad.

- Zaraz przyjdziemy. - Pokojówka z ulgą zatrzasnęła drzwi. - Harriet z lekkim uśmiechem odwróciła się do Crowthera. - Chyba dokonaliśmy całkowitych oględzin ciała nieszczęśnika, jakich mogliśmy się spodziewać. Teraz powinniśmy lepiej zaznajomicie sprawą miejscowe władze. - Skierowała się ku drzwiom, ale Crowther nie ruszył się z miejsca i odchrząknął. /

- To ja dokonałem oględzin ciała. I to cała ekspertyza, jaką mogę zaoferować w tej sprawie. Muszę zatem spytać panią, czemu uczyniła mnie pani swoim współnikiem w rozwiązywaniu zagadki?

- Bo myślę, że jest pan z natury człowiekiem o jasnym umyśle i odludkiem, który niewiele zważa na towarzyskie układy. Jest pan przez to dla mnie bardzo ważny. Ufam, że będzie pan szczery i uczciwy. Zdążył pan już być względem mnie bardzo nieuprzejmy, tym bardziej zatem jestem przekonana, że pana potrzebuję. W tej okolicy niewielu jest ludzi myślących niezależnie, bez uprzedzeń i inteligentnych, zwłaszcza teraz gdy mój mąż przebywa na morzu. Może nie mam innego wyboru.

- A czy mąż pani pochwaliby działania pani w tej sprawie? Spuściła wzrok.

- Raczej nie. Jest bardziej obyty ode mnie i bogaty. - Crowther skrzywił się. - Ale zanim o tym usłyszy, minie sześć tygodni, a kolejnych sześć, zanim jego połajanki dotrą do Caveley. Kiedy wróci, będzie mógł oczyścić pokład z bałaganu, jakiego tu narobię. Czynił już tak w przeszłości. Czy to pana martwi?

- Nie. Choć może powinno to martwić panią. Uśmiechnęła się słabo, a potem, nie mówiąc nic więcej, ruszyła w stronę drzwi.

Ojciec - Susan biegiem wróciła do sklepu z salonu. Zatrzymała się gwałtownie w progu, widząc, że Aleksander wygląda przez witrynę na ulicę i nieco zbyt późno przypomniała sobie, że teraz, gdy ma dziewięć lat, ojciec spodziewa się, że nie będzie już biegała po domu niczym ulicznik. Odwrócił się, a choć zmarszczył brwi, powodem nie było zachowanie córki, lecz własne myśli. - Martwisz się czymś, tato? A może chciałbyś coś zjeść? Jane i ja upiekliśmy ciasto! - Nagle spoważniała. - Wciąż zamartwiasz się swoim pierścieniem? Tak mi przykro, że nie zdołaliśmy go odnaleźć. Uśmiechnął się do niej.

- Nie. Postanowiłem już go nie żałować, a słowa o cieście brzmią nader zachęcająco.

Znów zerknął w stronę okna.

- Myślę, że wszystko skończy się dobrze. Lord George Gordon wzburzył tłum. Oni uważają, że danie katolikom prawa do posiadania własności to obelga dla każdego anglikanina i chcą powstrzymać uchwalenie zezwalającej na to ustawy. Głupcy. Właśnie był tu pan Graves i powiedział mi, że parlament jest obleżony, ale tutaj nie musimy martwić się motłochem. Czy Jonathanowi brakuje pierścienia? Rozmyśla o nim więcej niż ty czyja.

W głowie Susan zamigotał cień wspomnienia. Zobaczyła przed oczami obraz pierścienia i przypomniała sobie coś, co powiedział Jonathan, kiedy kilka dni temu wrócił ze spaceru. Mówił o jakiejś kamizelce.

Właśnie otwierała usta, by oznajmić o tym ojcu, gdy do pokoju wpadł jej brat.

- Precz z papizmem! Precz z papizmem! - krzyczał, wymachując w powietrzu chustką do nosa. Aleksander chwycił go w ramiona.

- Nie trzeba pytać, czy bawiłeś się poza domem, mój drogi panie. Bacz jednak na swoje słowa, młody człowieku. Ranią twych przyjaciół, a i tobie nie przynoszą chluby.

Jonathan zmieszał się trochę i już miał o coś zapytać, kiedy ojciec go uciszył. Za nim pojawiła się służąca; wyglądała na zdenerwowaną.

- Mówią, że tłumy wracają spod Westminsteru i że są rozzłoszczone. Chłopiec otworzył usta, by znowu krzyknąć, widząc jednak spojrzenie ojca, umilkł.

- Niepokoisz się o bliskich, Jane? - Aleksander spojrzał na dziewczynę z serdeczną troską.

- Trochę, proszę pana. Powiadają, że tłum idzie na bogate domy, ale wszyscy wiedzą o naszej religii, a w domu została tylko matka. Boję się.

- Tak, musisz do niej iść. I przekaż jej nasze najlepsze życzenia. Jane, która zaczęła rozwiązywać fartuszek, gdy tylko padły pierwsze słowa Aleksandra, teraz pospiesznie odezwała się znowu:

- Dziękuję! Wrócę, kiedy wszystko ucichnie. Panna Susan i ja upiekłyśmy ciasto, które nada się na obiad, jest też ser i chleb na wieczerzę.

- Damy sobie radę. Idź zobaczyć się z rodziną i wracaj, gdy będziesz mogła.

Susan rozejrzała się wokół z nieszczęsną miną. Jeszcze nigdy nie widziała Jane tak zdenerwowanej, nie podobał się jej także ton ojcowskiego głosu. Jane zniknęła w kuchni, a Aleksander położył dłoń na ramieniu córki.

- Nie lękaj się, młoda damo. To tylko głupcy, którzy czynią mnóstwo zamieszania, aby w ten sposób się zabawić. Jesteśmy bezpieczni. A teraz chodźmy i spróbujmy tego waszego niezwykłego ciasta.

Crowther i Harriet zbliżali się właśnie do przeszklonych drzwi, wychodzących na trawnik od frontu, gdy usłyszeli dźwięk mocnego klapsa oraz pełen zaskoczenia dziecięcy okrzyk. Gabriel spojrzał na towarzyszkę, która szybko weszła po kilku stopniach do domu. Ruszył za nią i zobaczył Rachel, z zaczerwienionymi policzkami,

jak trzyma za ramię mniej więcej pięcioletniego chłopca i energicznie nim potrzasa. Na policzku malca widniał czerwony ślad, w wolnej ręce ścisnął malarski pędzel. Głos dziewczyny drżał, pełen złości.

- Stephen, niegrzeczny urwisie! Jak mogłeś?

Chłopiec dostrzegł Harriet w drzwiach, wyrwał się i podbiegł do niej. Ukrył buzię w fałdach matczynej spódnicy, zanosząc się płaczem. Panna Trench, widząc ich oboje, wzdrygnęła się. Wyciągnęła przed siebie dłonie.

- Harriet, tak mi przykro. Nie zamierzałam tego zrobić, ale on z czystej złośliwości namalował czarne kropki na całym moim obrazku, a był właśnie taki, jak chciałam!

Harriet przyklękła, by mocniej objąć chłopca i wyjąwszy mu z dłoni niebezpieczny pędzel, bez słowa wręczyła go Crowtherowi, po czym zmierzwiła synowi włosy. Płacz nieco ucichł. Malec ukrył buzię w jej szyi i wymamrotał coś wśród szlochu.

- O co chodzi, dziecko? Nie słyszę cię - zapytała łagodnie, nie patrząc na siostrę.

- Gawrony. Zapomniała o gawronach - powiedział, a jego głos wzniósł się do pełnego gorzkiego lamentu. - Ja tylko pomagałem! - Znowu wtulił twarz w szyję Harriet, a małe piąstki złapały za kołnierz jej amazonki.

Rachel wyglądała na jeszcze bardziej strapioną. Crowther został w cieniu rzucanym przez zasłony, tak jakby mogło to dać mu jakąkolwiek osłonę przed uczuciami latającymi po pokoju niczym chińskie fajerwerki w Vauxhall. Spojrzał na brudny pędzel trzymany w ręku.

Harriet poczekała, aż chłopczyk się uspokoi, a potem odezwała się łagodnie:

- A może ciocia Rachel nie życzyła sobie gawronów na swoim obrazku? Pomyślałeś o tym? Nie spodobałoby ci się, gdyby pomalowała wszystkie twoje żołnierzyki na żółto, prawda? Nawet gdyby sądziła, że będą lepiej wyglądać.

Szloch chłopczyka nagle umilkł. Odsunął się od matki, jakby rozważał tę straszliwą możliwość. Pokręcił głową, a ona ujęła

niewielką twarzą w dłonie i uśmiechnęła się do niego, a potem ucałowała gładkie czoło.

- Młody człowieku, nie wyglądasz, jakby ci się stała wielka krzywda. Przepróż teraz ciocię, a ona może nie zechce pomalować twoich żołnierzy.

Stephen zerknął na Rachel, a potem podszedł do niej ostrożnie.

- Przepraszam, ciociu. Myślałem, że będzie ładniej z gawronami. - Namyslił się chwilę i wyciągnął rękę. Rachel przyklękła i ujęła ją z wielką powagą.

- Nie zrozumiałam, że chcesz mi pomóc, Stephenie. I bardzo mi przykro, że się tak rozgniewałam. Będziemy znowu przyjaciółmi?

- A nie pomalujesz mi żołnierzyków na żółto? Bo oni wszyscy powinni mieć czerwone kurtki.

Pokręciła głową. Crowther przyłapał się na uśmiechu i wyszedł z cienia zasłon. Stephen z ulgą dał susa przed siebie, aby cmoknąć ciotkę w policzek, potem wydobył się z jej objęć, odwrócił i stanął jak wryty na widok Gabriela, górującego w drzwiach nad matką i kręcącego pędzlem między palcami.

- Kim pan jest, proszę pana?

- Nazywam się Gabriel Crowther.

Chłopczyk zastanowił się chwilę, a potem wybałuszył oczy.

- Czy pan zjada dzieci?

Uczony chwycił go delikatnie w pasie i uniósł, aż szczupłe ciało znalazło się na tyle wysoko, by mógł spojrzeć malcowi w oczy.

- Nie tak często, jak bym chciał.

Stephen spojrział na niego z prawdziwym podziwem i satysfakcją, wsadzając sobie do buzi małą piastkę. Obwieścił wszystkim, że pani Heathcote upiekła ciasto i pozwoliła mu wyjść okruchy z blachy, po czym wybiegł. Harriet uśmiechnęła się do Crowthera, a potem zwróciła się ku siostrze.

- Tak mi przykro, Harriet. Nie chciałam... Popatrzyła na nią zirytowana i uniosła dłoń.

- To nie pasuje do ciebie, Rachel.

Panna Trench się zarumieniła.

- Byłam zdenerwowana, i to bardziej niż sądziłam. Przez chwilę, gdy usłyszałam o zwłokach, myślałam...

Harriet przyłożyła dłoń do czoła, a potem przeszła przez pokój, ujęła siostrę za ramiona i poprowadziła ku krzesłu.

- Jakże mi przykro, Rachel. Nigdy bym nie pomyślała... Byłam dla ciebie niemiła, a ty pewnie chętnie posłałabyś nas wszystkich do diabła.

Dziewczyna pokręciła głową.

- To było głupie i trwało zaledwie chwilę. Crowther znieruchomiał.

- Przykro, że mnie oglądał pan w takim nastroju. Jestem zawstydzona. Jej siostra się roześmiała.

- Rachel, ja sama powiedziałam dziś panu Crowtherowi co najmniej siedem szokujących rzeczy. Prawda, panie Crowther? Gdyby chciał, mógłby nam zepsuć opinię w całym hrabstwie. Ponieważ jednak pan Crowther, ogólnie rzecz biorąc, niechętnie bywa w towarzystwie, nie może uczynić naszej reputacji większych szkód niż my same. Niech pan usiądzie, proszę pana.

Rachel patrzyła na Crowthera, jak siadał ostrożnie, umieszczając pędzel w wazie na stoliku z boku.

- Nadal jednak martwi mnie, że był pan świadkiem mojego złego zachowania. Mam nadzieję, że postara się pan źle o mnie nie myśleć i zdaję się, podobnie jak siostra, na pańską dyskrecję.

Crowther poczuł ciepło jej spojrzenia, a głos dziewczyny wydał mu się błogosławieństwem. Rachel, obok wspólnej w tej rodzinie urody, cechującej także starszą siostrę, miała prawdziwie kobiecy wdzięk.

Włosy panny Trench były bardziej miodowe niż u Harriet, chociaż blask słońca rozniecił w nich ogień i sprawił, że zaśniły. Oczy były równie zielone, jak u siostry. Może tylko nieco łagodniejsze i większe, choć bliskie pokrewieństwo między innymi pozostawało wyraźne. Rachel była szczuplejsza, niż powinna, co nadawało jej delikatność, której, jak zauważył Crowther, brakowało pani

Westerman. Młodsza z sióstr zachowywała świeżo rozkwitłą młodość cery. Wyglądała, jakby jeszcze nie doświadczyła srogości pogody. I jej także nie uznano by za wyjątkową piękność, a jednak poczuł, jak w piersiach odezwał się mu dawny charakter miłośnika pięknych kobiet.

- Będę milczał do śmierci, madame. Harriet uniosła brwi.

- Miejmy zatem nadzieję, że nie okaże się to konieczne. - Crowther poprawił się na krześle. - A teraz, Rachel, powiedz, czy ukryłaś gdzieś w domu sędziego Bridgesa?

Dziewczyna zakrztusiła się cichym śmiechem.

- Jest w bibliotece, kończy pisać listy. Powinniśmy już siadać do obiadu, bo rozzłościemy kucharza i panią Heathcote. Ona uwielbia sędziego i jak sądzę, na stół trafi cała spiżarnia. Biada nam, jeśli to zepsujemy.

Odwróciła się w stronę Crowthera.

- Czy przyłączy się pan do nas? Zjemy całkiem nieformalnie, a pan będzie ze wszech miar mile widziany.

Crowther odniósł wrażenie, że w jakiś sposób i niewiele mając na to wpływu, wydał się jej nieco śmieszny.

- Obawiam się, że nie, panno Trench, chociaż dziękuję za zaproszenie. Jadam zwykle o późniejszej godzinie i w domu.

Harriet nieco znudzonym tonem, który wskazywał, że te towarzyskie przepychanki nużą ją, powiedziała:

- Panie Crowther, proszę się dać namówić. Sędzia z pewnością zje z nami, a ja będę rada móc porozmawiać o pańskich wrażeniach związanych z tym, co zaszło.

Zachęcający uśmiech panny Trench sprawił, że przyjął w końcu zaproszenie i uklonił się najzręczniejszym, jak potrafił, siedząc na brzegu jednego ze starannie wytapicerowanych krzesełek pani Westerman.

- Powiem pani Heathcote - oznajmiła Rachel, dygając przed nim, i spiesznie wyszła z pokoju. Drzwi nie zdążyły się za nią zamknąć, gdy Crowther usłyszał stukot jej bucików o kamienną posadzkę korytarza. Biegła tak, jakby nadal była małą dziewczynką.



Harriet podeszła do eleganckiego biurka w rogu salonu i zaczęła przeglądać starannie ułożoną korespondencję. Crowther zrozumiał, że nie tylko załatwia tutaj sprawy związane z prowadzeniem gospodarstwa, ale także odpoczywa. Salon był urządzony praktycznie, nowoczesnymi meblami, w dobrym guście, bez przytłaczających ozdóbek i bibelotów. Na półkach nad biurkiem stały książki oprawione w brązową skórę. Na stolikach i na półce nad kominkiem ustawiono starannie dobrane bibeloty. Najwyraźniej mąż Harriet zgromadził w trakcie wojaży sporo pieniędzy, a majątek powierzył dobremu zarządcy. Harriet z westchnieniem odłożyła papiery.

- Nic tu istotnego. A zatem chodźmy na obiad.

Zazwyczaj gdy sklepowy dzwonek rozlegał się w trakcie posiłku, Jane wchodziła do salonu i powiadamiała ich, czy potrzebna będzie obecność pana. Tym razem jednak pobiegła do domu rodziców i Susan zerwała się na równe nogi, słysząc dźwięczny mosiężny dzwonek. Popędziła do sklepu, zanim ojciec zdołał odłożyć serwetkę.

Zdażyła już zapomnieć o mężczyźnie z żółtawą twarzą. On zaś ostrożnie zamknął za sobą drzwi sklepu, zasunął rolety, a potem odwrócił się ku dziewczynce, z takim samym nieprzyjemnym uśmiechem jak rano. Zatrzymała się przed nim gwałtownie. Uczynił krok w jej stronę i nachylił się.

- Jak brzmi twoje imię, młoda damo?

Jego oddech pachniał niczym Shambles Lane, kiedy rzeźnicy wyrzucają zepsute mięso.

- Susan Adams.

To zdawało się go bawić.

- Adams, mówisz? Urocze, urocze. Susan Adams, czy twój ojciec jest w domu, a także mały braciszek?

- Czym mogę służyć, proszę pana?

Susan odwróciła się i zobaczyła ojca, który bez surduta i z surowym spojrzeniem szedł do sklepu. Delikatnie usunął dziewczynkę

z drogi. Z wdzięcznością skryła się za nim zadowolona, że trzyma dłoń na jej ramieniu.

Nieznajomy popatrzył Susan w oczy przez chwilę, która zdawała się bardzo długa, a potem powiedział:

- Sądzę, że może pan. Kazano mi przekazać panu wiadomość ze dworu.

Susan zobaczyła gwałtowny ruch mężczyzny i usłyszała jęk ojca, taki jaki czasem wydawał, gdy podnosił plik nut. Nagle mocno oparł się na jej ramieniu, straciła równowagę pod jego ciężarem - oboje ciężko upadli na podłogę. Dziewczynka usiadła z trudem i rozejrzała się wokół oszołomiona. Nieznajomy stał nad nimi, ciągle uśmiechnięty. Trzymał w ręku coś, czego wcześniej nie zauważyła, czerwone i wilgotne. Słyszała, jak ojciec oddycha z trudem i nierówno. Odwróciła się ku niemu, przyciskał dłoń do boku, tam gdzie został uderzony, oczy miał szeroko otwarte ze zdumienia. Znow spojrzała w górę, na żółtawego mężczyznę, jakby szukając wyjaśnień. Odwzajemnił spojrzenie.

- Spokojnie, dziecko. Wkrótce będzie po wszystkim.

Nie była w stanie się poruszyć, ręką odnalazła dłoń ojca i poczuła, że on mocno ją ściska. Jonathan, znudzony tym, że tak długo przebywał na uboczu, zawędrował do przedpokoju.

- Tato, jeśli ty nie chcesz, czyja mogę zjeść kruszonkę?

Żółtawy człowiek szybko podniósł wzrok i uśmiechnął się nikczemnym uśmiechem. Susan pomyślała, że musi być bardzo stary. Skórę pokrywały mu głębokie zmarszczki, przypominała źle sklejoną porcelanę. Kapelusz, głęboko naciśnięty na perukę, miał zatłuszczony i wytarty.

- Witaj, malcze! Chodź tu do nas na chwilę. - W jego głosie zabrzmiało ponaglenie. Susan otworzyła usta, ale głos miała zdławiony.

- Jonathanie, nie!

- No, chłopcze, nie słuchaj swojej niegrzecznej siostry. Chodź tu, gdy ci każą dorośli.

Susan nie widziała brata, tylko błysk w oczach mężczyzny. Nie odrywając ich od chłopczyka, nieznajomy otarł nóż o wnętrze okrycia. Poczula, że serce wali jej tak mocno, jakby biło ostatni raz.

Właśnie wtedy mosiężny dzwonek zabrzmiał ponownie i jak zwykle szybkim krokiem wszedł pan Graves.

- Aleksandrze! - zawołał. - Nie uwierzysz, dokąd dotarła tłuszczka! Czynią starania, by... Dobry Boże! Co się dzieje?

Żółtawy człowiek wydał z siebie wrzask wściekłości i odwrócił się w stronę drzwi. Susan zobaczyła, że Graves rusza w jego stronę, tarasując mu drogę. Nieznajomy machnął ręką, robiąc nią szeroki łuk, a pan Graves zatoczył się i upadł na bok. Mężczyzna wybiegł na ulicę, drzwi zatrzęsły się za nim z grzechotem. Jonathan zaczął krzyczeć. Graves z trudem uniósł się na kolana, poczołgał w stronę Susan i Aleksandra.

- Dobry Boże! Dobry Boże! Aleksandrze!

Dziewczynka znowu spojrzała na ojca i zobaczyła na jego kamizelce obcy, czerwony wykwit, dokładnie tam, gdzie spoczywały ich mocno ściskające się dłonie. Poplamiony był nawet krawat, dziś rano przecież czysty. Jane będzie narzekała na dodatkowe zajęcia.

Pan Graves jęknął, a potem spojrzał na dziewczynkę.

- Susan? Susan! Jesteś ranna?

Na jego twarzy widniała cienka czerwona linia, gdzieniegdzie z czerwonymi koralikami, niczym drogocenne kamienie nanizane na sznurek. Złapał Susan za ramiona, potrząsnął nią.

- Jesteś ranna, dziewczyno?

Spojrzała na niego zaskoczona, jakby głos Gravesa dochodził z daleka. Jonathan wpadł w histerię, musi pilnować, aby siedział cicho, bo obudzi mamę, a ona potrzebuje bardzo dużo odpoczynku. Pokręciła głową. Pan Graves nadal nie spuszczał z niej wzroku.

- Idę po chirurga. Zamknij za mną drzwi i otwórz je tylko mnie, rozumiesz? Tylko mnie! - Odwrócił się do płaczącego chłopca. -

Jonathanie, przynieś papie trochę wody. - Położył dłoń na

ramieniu Aleksandra. - Nie ruszaj się. Nie! Na litość boską, nic nie mów. Aleksander spróbował unieść dłoń. Chrapliwy oddech zamienił się w słowa. Obaj mężczyźni spojrzeli na siebie.

- Graves, opiekuj się nimi.

- Obiecuję. A teraz... - Wstał i podniósł Susan na nogi, zmusił ją, aby puściła ojcowską dłoń. Dziewczynka pisnęła jak kopnięty psiak. Znowu złapał ją za ramiona i spoglądając prosto w oczy, rzekł:

- Podejdź do drzwi. I zamknij je za mną. - Starła się przytaknąć.

- I pamiętaj, nie wolno ci ich otwierać nikomu, dopóki nie wrócę. Zapamiętasz to?

Jeszcze raz przytaknęła. Wtedy zaciągnął ją pod drzwi i czekał na zewnątrz ze wzrokiem oszalałym z niecierpliwości, póki nie usłyszał odgłosu klucza przekręcanego w zamku. Wtedy biegiem puścił się wąską uliczką.

Susan patrzyła za nim, zastanawiając się, czemu biegnie tak szybko, a potem wróciła do ojca.

Przycupnęła obok niego na podłodze, delikatnie uniosła mu głowę i położyła sobie na kolanach. Próbowwała dać ojcu trochę wody, którą Jonathan przynosił ze stolika, szlochając za każdym razem, gdy uronił kroplę w pośpiechu. Było ciężko, bo dłonie miała śliskie i czerwone, uznała jednak, że nieco płynu wlało się między wargi ojca. Braciszek wtulił się w jej bok, przesunęła się trochę bliżej niego. Kiedy się poruszyła, z przykrością dostrzegła, że czerwień tworzy kałużę, w której ubrudziła się jej sukienka i spodenki Jonathana. Odstawiła szklanekę z wodą i znów troskliwie chwyciła ojca za dłoń. Chłopczyk złapał go za drugą. Oddech Aleksandra stawał się coraz bardziej urywany, wolniejszy. Zmusił się do otwarcia oczu.

- Susan...

Nie poruszyła się. Wszystko odsunęło się gdzieś w dal, tak jak dzieje się tuż przed zaśnięciem. Świat wokół niej zaczął się rozmazywać.

Pogładziła ojca po włosach. Zmierzwiły mu się, kiedy upadł, a on zawsze dbał o to, by wyglądać schludnie.

- Susan... - Głos miał tak niski, że ciężko go było usłyszeć. - Słuchaj... pod ladą jest czarne drewniane pudełko, schowane pod nutami Bononciniego.

- Ucichł na chwilę i znowu zamknął oczy. Słyszał tylko pojedyncze hausty powietrza. Susan dalej gładziła go po włosach. Znowu otworzył oczy, utkwił spojrzenie w jej źrenicach. - Musisz je ze sobą zabrać, dokądkolwiek pójdziesz... O tym, co w nim znajdziesz, porozmawiaj z panem Gravesem. - Znowu zamknął oczy i wciągnął łyk powietrza. Coś pociekło mu z kącika ust, coś gęstego i czerwonego. Jonathan znowu zaczął płakać i zakrył oczy.

- Susan, nie wiń mnie...

Nie odpowiedziała, tylko dalej gładziła ojca po włosach. Przypomniła sobie, jak kiedyś leżała chora w łóżku. Pamiętała chłód matczynej ręki, gładzącej jej czoło i to, jak jej śpiewała. Ojciec znowu odetchnął, przeszedł go dreszcz. Poczula, że ścisnął jej dłoń niemal boleśnie mocno, a potem uścisk gwałtownie zelżał. Jonathan przełknął ślinę i uniósł wzrok ku siostrze.

- Cii, Jonathanie, papa potrzebuje odpoczynku. - Oblizwała wargi i nie przestając głaskać ojcowskich włosów, zaczęła śpiewać łamiącym się, zdławionym głosem:

***Zaśniesz, już zaśniesz, me małe dziecię? Niebo ciemnieje już na świecie.  
Zaśniesz, już zaśniesz, me drogie dziecię? Niebo ciemnieje już na świecie.***

Dotrzymała słowa i nie wpuściła do sklepu nikogo, dopóki kwadrans później nie powrócił Graves, za którym podążał zdyszany i zręczący chirurg. Musieli przedzierać się przez tłum zatroskanych mieszczan zgromadzonych przy drzwiach. Słyszeli oni krzyki i widzieli biegnących mężczyzn. Przyciskali nosy do szyb w oknach i wołali coś na widok wyprostowanych pleców małej dziewczynki, która wraz z bratem klęczała w bezkresnej, zda się, kałuży ojcowskiej krwi, gładząc zmarłego po włosach i mruczając mu kołysankę.

Obiad w Caveley Park okazał się całkiem przyjemny, choć Crowther mówił bardzo niewiele, a wszyscy pamiętali o ciele nieznanego leżącym w stajni.

Na stół wnoszono kolejne dania, domownicy częstowali się sami i usługiwali sobie nawzajem. Chrobotanie noży o talerze i błogość, jaką daje dobrze przyrządzone, smaczne jedzenie, tworzyły nastrój niezbędny dla nowinek i pytań sędziego, a także przyjaznych odpowiedzi udzielanych mu przez Harriet i Rachel.

Crowther słuchał bez większego zainteresowania, póki nie usłyszał, jak Harriet, odpowiadając na jakąś uwagę sędziego, dotyczącą Thornleigh Hall, mówi:

- Mój drogi panie, mam nadzieję, że nie będzie pan miał mi za złe, że pytam w takich okolicznościach, ale ciekawi mnie wrażenie, jakie wywarł na panu lord Thornleigh. Tak niewiele o nim wiemy. Co pan o nim sądzi, jako o człowieku, sprzed choroby?

Bridges nie odpowiedział od razu, tylko nieco odsunął od siebie talerz.

Wydał wargi, pierwszy raz tego popołudnia, zastanowił się, nim odezwał - a gdy to zrobił, głos miał poważny i pełen troski. Crowtherowi wydawało się, że miejsce sędziego zajął teraz całkiem rozsądny człowiek, czy też może dostrzegł, jak zdejmuje noszoną zwykle maskę. Przyglądał mu się z nowym zaciekawieniem.

- No cóż, z trudem da się o nim rzec coś dobrego.

Powoli i długo nabierał powietrza, błędząc wzrokiem po do połowy pełnym talerzu, chociaż jasne było, że widzi coś całkiem innego.

- Znałem go w pełnym rozkwicie jego życia, chociaż nie byliśmy sobie bliscy, jako że jego ranga i fortuna znacznie przewyższają moją. Był bardzo dumny i nie potrafiłem polubić ludzi, którymi się otaczał. Miałem wrażenie, że gardzili tymi, z którymi mieli do czynienia. Wśród jego domowników żadne dobre, szlachetne istoty by nie przetrwały, a tych, co trwali przy nim, nie miałem powodu ko-

chać, a raczej, by im nie ufać, gdyż zawsze zdawało mi się, że w jego służbie powodzi im się lepiej, niż mogłyby na to pozwolić ich zalety. Uniósł spojrzenie, przez chwilę łącząc je ze wzrokiem pani Westerman. Potem odchrząknął, jakby chciał się pozbyć kłopotliwego posmaku.

- Ale to bezpodstawne uprzedzenia. Nie wolno mi mówić źle o kimś, kto tak srodze podupadł.

Crowther odezwał się pierwszy raz, odkąd zasiedli do obiadu:

- Rozumiem, sir, że lord Thornleigh padł ofiarą apopleksji już kilka lat temu.

Sędzia pokiwał głową i nieznacznie wzruszył masywnymi ramionami.

- Panie Crowther, nie jestem znawcą medycyny, ale tak właśnie sądzę.

Stało się to w ciągu roku od jego drugiego ślubu. Utracił niemal całą zdolność poruszania się i mówienia. A jednak żyje. Nie umiem powiedzieć, jaka to może być egzystencja, jednak żyje. Może Wszechmocny w swej bezkresnej łasce daje mu czas, aby odpokutować grzechy młodości, chociaż służba twierdzi, że to teraz pod każdym względem idiota.

- Czy ma wiele do odpokutowania? - lekkim tonem spytała Rachel.

Sędzia nie słuchał jej, zamiast tego uniósł głowę i wpatrzył się w kąt jadalni.

- Uznaliśmy, że nie pożyje długo po ataku, a jednak żyje. Dobrze to świadczy o opiece, jaką jest otoczony, choć wydaje mi się, że takie życie to okrutny los, którego nie mógłbym życzyć nikomu.

- Proszę mi wybaczyć - odezwał się Crowther - ale mówi pan tak, jakby go podejrzewał o grzech większy niżli pycha.

- Może i tak. Ale teraz owo podejrzenie musi pozostać tajemnicą znaną tylko mnie i Bogu. Nie będę oczerniał człowieka, który nie może dać na to odpowiedzi, ani narażał dam na wysłuchanie niemiłych historii. Wiem, pani Westerman, że ma pani odwagę żołnierza, ale są rzeczy, co do których nie chciałbym, by je z moich ust usłyszała pani siostra.

Rachel spuściła wzrok na talerz, a Harriet uśmiechnęła się do sędziego, jednocześnie kładąc dłoń na rękę siostry.

- Jutro będzie padać, nieprawdaż? - zapytała beztrąsko, a sędzia od razu podjął temat. Dopóki panie nie udały się na spoczynek, nie powiedziano już niczego istotnego.

Nalano wina i służący mogli odejść, a Crowther wrócił do rozmowy o podejrzeniach żywionych przez sędziego. Starszy mężczyzna postawił przed sobą kieliszek i wolno pokręcił głową. Gabriel spod na wpół przymkniętych powiek patrzył na pulchne czerwone oblicze Bridgesa. Pozwolił, aby cisza między nimi przeciągnęła się tak długo, by w pokoju wytworzyło się napięcie. Sędzia skrzywił się nieco i bezmyślnie zaczął obracać w tłustych palcach delikatny kieliszek Harriet. Crowther zastanawiał się, czy jest on w jego ręku całkiem bezpieczny.

- Pani Westerman chciałaby poznać prawdę o tym, co się tu wydarzyło - odezwał się w końcu Crowther. - To oczywiste, że podejrzewa Thornleigha o ciemne sprawy, morderstwo zaś wydarzyło się na jej ziemi. Nie zadowolili się stwierdzeniem: „zabity przez nieznaną sprawców”. Poprosiła mnie o pomoc, a ja dałem słowo, że jej pomogę. Gdy Crowther mówił, sędzia odstawił kieliszek. Jego rysy wyrażały głęboką uwagę. Gabriel miał wrażenie, że jego towarzysz słucha nie tylko słów, ale i tego, co pomiędzy nimi, tego, co się za nimi kryje. Czuł, że jest właśnie w pewien sposób oceniany.

- Dobrze, panie Crowther, opowiem panu o tym, skoro mnie pan wypytuje - odparł sędzia ponuro. - Nie mam jednak żadnego powodu, by sądzić, że w jakikolwiek sposób łączy się to ze śmiercią naszego nieszczęśnika. Przyciągnął pan moją uwagę, twierdząc, że mówi pan w imieniu rodziny, chociaż czasem mam wrażenie, że w innym miejscu powodziłoby się im lepiej. Przy całym swoim doświadczeniu, zyskanym na szerokim świecie, pani westerman nie pojęła jeszcze sposobu pociągania za małe sznureczki, które trzymają nas razem i na naszym miejscu w takiej społeczności jak tutaj. Pan też nie. Właśnie dlatego, mimo że głowa rodziny Thornleigh



pod pewnymi względami została odcięta, są nadal wielką siłą. Mały Król to fundament naszego hrabstwa. A ona chce załomotać do jego bram i krzyczyć o morderstwie! Jej mąż ma swoje koneksje, oczywiście, ale niezbyt mocne. Mogę przedstawić panu swoją opowieść, ale radzę o niej zapomnieć i wrócić do swojego poprzedniego odosobnienia. Proszę też nakłonić panią Westerman, by ograniczyła się do dotychczasowych obowiązków.

Wnętrzem dłoni potarł podbródek.

- Może ta historia posłuży za przypowieść o tym, że koniec końców, mądrze jest pozostawiać sprawiedliwość w Bożych rękach.

Uniósł wzrok i spojrzał Crowtherowi prosto w oczy, a potem pociągnął łyk wina i usadowiwszy się na krześle, zaczął mówić.

- A zatem, kiedy byłem młodym człowiekiem, jakieś czterdzieści lat temu, zanim jeszcze pani Westerman przyszła na świat, a lord Thornleigh ożenił się po raz pierwszy, na skraju wsi Harden, półtora mili na południe stąd, zaginęła pewna dziewczynka. Było to dobre dziecko, ulubienica okolicznych mieszkańców i dobrze wychowywana. Zebrano grupy poszukiwaczy i po niedługim czasie odnaleziono jej ciało. Nazywała się Sarah Randle. Miała dwanaście lat.

Sędzia przerwał i znów upił łyk wina z kieliszka. Kiwnął głową, gdy Crowther ponownie mu go napełnił.

- Z przykrością powiem, że to ja ją znalazłem. Chciałbym przeżyć życie wolny od tamtego obrazu, ale jedyna przysługa, jaką mogę jej wyświadczyć, to pamiętać. Wybrałem się akurat na przejażdżkę i natknąłem na poszukiwaczy, gdy zbliżali się do lasów na obrzeżach Harden. Znałem to dziewczę, zsiadłem więc z konia, aby się do nich przyłączyć. Był letni wieczór, mniej więcej ta sama pora roku co teraz, powietrze ciepłe i delikatne, ścieżki i pola tętniły życiem, zdawało się, że wszystko staje się samo w sobie doskonalsze, a ona była taka drobna i blada. Porzucono ją kilka jardów od najwęższej z leśnych ścieżek. I to, że tam leży poraniona i nieruchoma, wśród życia tak rozbuchanego i pełnego wigoru, zdawało się jeszcze gorszym złem. Twarz miała niczym nienaznaczoną, za to ubranie czarne od

krwi. Ktoś dźgał jej ciało jakby w szale. Na piersi i brzuchu naliczyłem trzysta ran. Miała na sobie odświętne ubranie, potargane i zakrwawione... Kiedy ją znaleźliśmy, zachodziło słońce, niebo było złote i czerwone, zasłonięte wspaniałymi purpurowymi chmurami uchodzącego dnia. Te dwa obrazy są w mej głowie połączone. Jej biedne ciało i ta wspaniałość słońca, kryjącego się na zachodzie. Biedna, niewinna istota. To nie była łatwa śmierć ani szybka.

Crowther nie ufał sobie na tyle, by się teraz odezwać, szczególnie że dostał się we władanie zdolnego gawędziarza. Czuł na plecach ciepło zachodzącego słońca, słyszał gwar ptaków w żywopłotach.

- Brzuch miała nabrzmiały - mówił dalej sędzia. - Bez wątpienia była brzemienna.

- I nikt nie wiedział, kim mógł być ojciec?

- Przez następne miesiące krążyły plotki, które zaszkodziły wielu porządnym ludziom. Była bliska rozwiązania, jak mniemam, nie wtajemniczyła żadnego ze swoich przyjaciół ani siostry, z którą spała w jednym łóżku. Wzburzony tłum pojmał jakiegoś wędrownego handlarza, wstawiły się jednak za nim dwie czy trzy osoby lepszego stanu, a że ujęto go bardziej z żalu niż z wściekłości, uszedł cały i zdrow. Na pogrzebie była cała wieś, ale nie pojawił się lord Thorn-leigh. Gdy jednak chowaliśmy biedną grzesznicę, przejeżdżał obok z jednym ze swych przyjaciół. Śmiali się z czegoś, a ja podniosłem wzrok znad Biblii i napotkałem jego spojrzenie. To, co zobaczyłem na jego obliczu, jest jedynym powodem podejrzeń, jakie żywiłem wobec tego człowieka. Zmroziło mi to wtedy duszę, a wspomnienie mrozi ją do dziś. Był triumfujący, zadowolony. I całkiem szalony.

Jakiś służący przeszedł korytarzem obok jadalni, szurając butami.

Crowther pociągnął spory łyk wina.

- I nikt nie zgłębiał jego związków z tą dziewczynką? - zapytał.

- Powiedziałem już chyba dość na temat jego charakteru, aby zrozumieć, dlaczego nikt nie miał odwagi, by badać to bliżej - odparł sędzia. -

Dziewczynka na pewno nie miała żadnej pani Westerman, która wystąpiłaby w jej sprawie, nikogo tak niesłychanie naiwnego. A jeśli nawet miała, może go ostrzeżono, a on pojął lekcję. Pani We-

sterman też zapewne pójdzie tą samą ścieżką. - Sędzia wyglądał na rozgniewanego. - Skoro mała Randle nie potrzebowała obrońcy, nie musi go mieć tamten człowiek w lesie. Thornleigh stracił najstarszego syna dla świata, drugi syn pije i żyje jak idiota, a trzeciego wychowuje dziwka - przy tych ostatnich słowach głos mężczyzny stał się niemal chrypliwy. Crowther nie poruszył się, tylko przyglądał się swym złożonym dłoniom, z twarzą pozbawioną wyrazu.

- Powiedział pan, że Sarah Randle zmarła przed pierwszym ślubem lorda Thornleigh?

Bridges znowu uniósł oczy, jakby zaskoczony, że przemawia, i to do drugiej osoby. Wzruszył ramionami, odezwał się zwykłym tonem.

- W rzeczy samej. Następne lata spędził w Londynie, a potem wrócił do nas z żoną. Nie było to szczęśliwe małżeństwo, chociaż pierwsza lady Thornleigh urodziła mu przed śmiercią dwóch synów, jak sam pan wie. Trzy dziewczynki zmarły, zanim skończyły cztery lata.

- A ona umarła przy porodzie?

- Nie, zmarła trzy lata po narodzinach Hugh. Obawiam się, że śmierć jej córek uczyniła ją... nieco nerwową. Od jej śmierci aż do drugiego małżeństwa pana Thornleigha rzadko go widywaliśmy. Mieszkał głównie w mieście, przyjeżdżał tylko polować wraz z niewielkim gronem znajomych i nigdy nie miał ochoty zostawać tu dłużej. Chłopców wychowywała służba, potem wysłano ich do szkoły. Jako młodzieńcy zdawali się całkiem przyzwoitymi ludźmi.

Przesunął nieco krzesło.

- Jestem panu wdzięczny za zbadanie biedaka, ale chciałbym, aby się pan już nie kłopotał tą sprawą. Pani Westerman, a nie chcę tu okazać braku szacunku, potrafi być impulsywna i zbyt prędką w osądach. To kara, jaką płaci za swą wielką energię, jestem zatem zadowolony, że pan jej doradza, gdy komandor Westerman znajduje się daleko, bo to on służy zazwyczaj jako jej kotwica w rzeczywistości, o ile dobrze rozumiem jak się sprawy mają.

Crowther nieznacznie się skłonił. Sędzia pokiwał głową, interpretując gest rozmówcy zgodnie z tym, czego pragnął.

- Musi pan, i to szybko, dotrzeć do miejsca, gdzie może stać się nieszczęście. I jeśli pan mu nie zapobiegnie, będzie pan też winny temu, co się stanie. Pana rodzinne związki, jeśli pan się w to wtrąci, mogą również przynieść panu szkodę. - Sędzia przerwał, patrząc, jak na czole Crowthera pojawia się lekka zmarszczka. W jego głosie zabrzmiał łagodny jasny ton. - Może powinienem panu powiedzieć, skoro rozmawiamy tak otwarcie, że wiem, iż nie urodził się pan jako Gabriel Crowther.

Cisza, która zapadła, była jak uderzenie. Uczony ani drgnął. Kąciki grubych czerwonych ust sędziego uniosły się lekko.

- Panie Crowther, jestem tym, na kogo wyglądam. W mej karierze były też jednak inne rozdziały i zachowałem niektóre ze zwyczajów, których się wówczas nauczyłem. Staram się dowiedzieć nieco o ludziach w okolicy, coś innego od zwyczajnych plotek. Nie będę się do pana zwracał żadnym innym imieniem ani też tytułem innym niż ten, jaki sam pan sobie wybrał, mogę zapewnić, że moje badania były dyskretne, a milczenie na ten temat absolutne. Do czasu. Nikt poza mną w całym hrabstwie, przynajmniej wedle mojej wiedzy, nie podejrzewa, aby był pan kimś innym niż ten, za kogo się pan podaje. Nie powiem już nic więcej ponad powtórzenie prośby, aby się pan postarał powstrzymać panią Westerman, dla jej własnego dobra.

Crowther wsłuchiwał się w powietrze przepływające przez jego płuca. Nie ufał sobie na tyle, aby się odezwać. Sędzia westchnął głęboko i pogładził zarost, zanim odezwał się znowu, tym samym cichym głosem.

- Jestem bardzo przywiązany do rodziny z Caveley Park. Chciałbym uzyskać od pana zapewnienie, że ma ona protekcję i wsparcie ze strony człowieka tak zdolnego i inteligentnego jak pan.

Gdy Crowther wreszcie przemówił, jego głos zdawał się rozlegać gdzieś w oddali.

- Jak pan rzekł, może w tym nie być żadnej wielkiej tajemnicy, ale uczynię wszystko, co w mojej mocy, aby wesprzeć tę rodzinę.

Sędzia podniósł butelkę i napełnił kieliszki, uśmiechając się szeroko, jakby uważał Crowthera za wspaniałego druha i uroczego kompana. Z jego głosu zniknęła powaga, znowu stał się jowialnym wiejskim dżentelmenem, jakim na pozór się wydawał.

- To doskonale. Ale niech mi pan powie, czy to właśnie pańską kasztankę widziałem w stajni, kiedy tu przybyłem? Poluje pan? Bardzo mi przypomina klaczkę, którą miałem, gdy byłem chłopcem. Była nadzwyczajnym skoczkiem...

Crowther pozwolił mu mówić i pił wino, chociaż nagle zaczęło gorzko smakować.

## 9

Pan Graves obiecał nie wychodzić z domu, a państwo Chase oraz ich córka z chęcią pozwolili mu czuwać nieopodal pokoju dziecięcego, gdzie spali Susan i Jonathan. Zabrał dzieci do domu starych przyjaciół Aleksandra, gdy tylko okazało się, że dla jego druha nic już się nie da zrobić i zanim pozwolił komukolwiek obejrzeć swoją ranę. Pieczęta mocno, ale ten ból był niczym w porównaniu ze straszliwym uciskiem, jaki czuł w gardle. Zastanawiał się, czy Susan kiedykolwiek dojdzie do siebie. Od czasu, gdy ją znaleźli, była blada, milcząca, wyjąwszy tylko chwilę, gdy ponownie odsunął ją od ciała ojca, a ona wydała z siebie tak okropny krzyk, że wiele osób spośród tłumu się przeżegnało. Poszukiwano mężczyzny o żółtej cerze, ale nikt nie potrafił powiedzieć, jak się nazywa, a przy narastającym w mieście zamieszaniu nie było też nikogo, kto zdołałby swobodnie się za nim rozejrzeć.

Do pokoju weszła panna Verity Chase, niosąc szklanekę.

- Panie Graves, niech pan trochę tego wypije. To środek na wzmocnienie od mojej matki, myślę, że składa się głównie z brandy. Ona i kilka sąsiadek poszły zająć się Aleksandrem i wziąć nieco

ubrań dla dzieci. Musi pan wiedzieć, że ta ich dziewczyna, Jane, wróciła wraz z matką, kiedy tylko dotarły do nich wieści. Zajmą się sklepem. Ale, panie Graves, co będzie potem? Dzieci to teraz sieroty. Czy zna pan jakąś rodzinę, która je przygarnie? Jeśli nie, musimy mieć nadzieję, że spadek pozwoli opłacić dla nich jakąś szkołę. Ale jeśli są ubogie i nie mają żadnych krewnych, którzy by o nie walczyli, ich życie będzie ciężkie. Pan Graves przesunął dłonią po twarzy i panna Chase nagle poczuła się okropnie głupio. Mówiąc pierwsze słowa, jakie przyszły jej do głowy, do strasznego wypadku, którego padł ofiarą, dodała jeszcze zmartwienia. Patrzyła, jak trzyma szklankę dłońmi, które nagle się postarzały.

- Niewiele mam, nic ponad to, co mogę zarobić piórem. Marny ze mnie opiekun, ale zawsze będę miał dla nich kątek. Mam nadzieję, że pani pozostanie ich przyjaciółką. - Skinęła głową. - A co do rodziny... to może być trudne, ale trzeba spróbować.

Wyciągnął długie nogi, z odruchem grozy spostrzegł, że na butach wciąż jeszcze widać krew przyjaciela, zaschłą i kruszącą się. Znow się wyprostował i umilkł, bo nie chciał już nic robić ani mówić.

Brandy uderzyła w żołądek i rozżarzyła się tam na krótko, nim chłód i ciemność ciała na nowo ją zgasiły. Bliskość panny Chase była kojąca. W przeszłości stanowiła udrękę i rozkosz, cenioną, gdy Graves należał do grona jej wielbicieli, nigdy jednak jeszcze nie odczuwał tego tak jak teraz. Nim się odezwał, znow spojrzał na dziewczynę, a potem z powrotem na szklankę trzymaną w dłoni.

- Aleksander powiedział mi, że opuścił rodzinę, kiedy ożenił się z miłości. Jak sądzę, jego rodzinie powodzi się co najmniej dobrze. Zastanawiał się, czy uczynił właściwie, odcinając dzieci od ich dziedzictwa, wydawał się jednak zadowolony, że uniknął wpływu tamtego domu. Nie sądzę, aby naprawdę nazywał się Adams.

Panna Chase, wstrząśnięta, spoważniała.

- Co zatem robić?

Graves niezgrabnie poprawił się na krześle i rozejrzał po pokoju, jakby mógł znaleźć odpowiedź ułożoną na pogrzebaczu albo wiszącą na chwoście dzwonka.

- Rano pójdę do magistratu i do koronera, a potem pochowamy go pod tym nazwiskiem, jakie sobie wybrał. Musimy to zrobić, gdyż nie ma żadnej innej rodziny, która by o to zadbała.

- Nie domyśla się pan, czemu Aleksandra zamordowano w taki sposób? Zadawszy to pytanie, panna Chase podniosła ze stolika obok robótkę i pozwoliła, aby upłynęło kilka chwil. Odkryła jednak, że dłonie wciąż drżą jej za bardzo, aby mogła zajmować się tak misterną pracą, odłożyła zatem robótkę na kolana i przesunęła koniuszkiem palca po wypukłym wzorze. Graves zmarszczył brwi, a rana na jego twarzy wygięła się boleśnie.

- Nie mam pojęcia. Nie sądzę, by chodziło tu o karty czy kobiety. - Uniósł ręce ogarnięty rozpaczą. - Może dowiemy się więcej, kiedy Susan postanowi mówić, jeśli w ogóle postanowi. Ale ja nie potrafię jej przepytować.

Ostatnie słowa powiedział z wysiłkiem i bardziej poczuł, niż usłyszał łagodną odpowiedź panny Chase: „oczywiście”.

Do pokoju wszedł jej ojciec, pulchną dłonią zapobiegł próbie powstania przez Gravesa z krzesła.

- Chłopcze, nawet nie myśl o tym, aby się podnosić. Przygotowałem ci łóżko w bocznej izbie, obok pokoju dziecięcego. Nie ma tam wielkich wygod, ale sądzę, że tej nocy, im bliżej będziesz dzieci, tym łatwiej odpoczniesz.

- Jakie wieści, ojczu? - zapytała Verity. Pan Chase spojrział strapiony i przygryzł paznokcie. - Proszę, nie gryź kciuka, mój panie.

Słowa te dziewczyna wypowiedziała odruchowo, jednak zmieszła się, bo zwróciła ojcu uwagę. Pan Chase zdawał się jednak nie żywić urazy.

- Opowiadają, że lorda Bostona wywleczono z karocy, ale nikt nie doznał większych szkód niż podarcie ubrania i szwank na honorze. Zdaje się też, że połowa Izby Gmin potraciła peruki. Ach, ci

wszyscy wielcy legislatorzy tego kraju! Szamoczący się, z tymi swoimi pięknymi okryciami w strzepach i łkający niczym niemowlaki!

Na myśl o tym, przez moment walczył, aby zachować stosowną powagę, gdy jednak myśli odpłynęły, jego głos złagodniał.

- Pod Izbą Gmin pojawiło się wojsko, aby ponownie wyprowadzić posłów, nic jednak nie można uczynić tłuszczy, póki nie zostanie odczytana Ustawa o zamieszkach, sędziowie zaś albo się pochowali, albo są obłączeni. To zła noc, zła noc.

Graves wzdrygnął się i spojrzał na szeroką twarz pana Chase'a.

- Kogo zatem mamy powiadomić o śmierci Aleksandra? Odpowiednie władze... przecież musi zostać pochowany. A dzieci?

Wielka dłoń pana Chase'a znowu łagodnie poklepała go po ramieniu.

- Graves, zrobi pan rano tyle, ile zdoła. Ale jeśli dobrze mi się zdaje, prawo ci nie pomoże, dopóki trwają rozruchy. Pozwól nam zająć się sobą i pochowaj go stosownie. Wystarczająco wielu może zaświadczyć, co się stało, kiedy zamęt minie i prawo znów stanie po naszej stronie.

Graves poprawił się na krześle.

- Dziękuję, że pozwala mi pan pozostać blisko dzieci.

- Drogi chłopcze, jakże mógłbym cię teraz odesłać z pokrojoną twarzą, kiedy cały Londyn szykuje się, by iść w ogień? Rad jestem, że do nas przyszedłeś. Świadczy to o zaufaniu, chłopcze, co sobie cenię. Miejsce, gdzie mieszkasz, nie nadaje się dla rodziny, a dzieci nie mogą przecież pozostać w sklepie. Nie, musimy się tutaj zabarykadować, strzec dzieci i mieć oko na pijaków i rozbijaków plątających się na zewnątrz. - Zobaczył przestrach na twarzy córki. - Moje dziecko, Broggs i Freeman poszli, by zabrać twoją matkę do domu i zobaczyć, czy ciało biednego Aleksandra jest bezpieczne. Słyszałem, że tłum wtargnął do sklepu winnego jakiegoś katolika. Teraz są pijani i żądni wszystkiego, co zdołają pochwycić. To był mroczny dzień, a kto wie, co przyniesie nam poranek.



Crowther spędził jeszcze jakiś czas z paniami, podczas gdy sędzia zabawiał je rozmową. Sporo dyskutowano na temat sytuacji w Ameryce i udziału w tym wszystkim komandora Westermana - najwyraźniej niezwykle istotnym, chociaż Gabriel nie poświęcał tym sprawom większej uwagi. Słyszając jednak ton konwersacji, domyślał się, że komandor jest nader kochany i wyczekiwany przez rodzinę.

Portret komandora wisiał po prawej stronie kominka. Był to człowiek młody i energiczny. Crowther zastanawiał się, czemu pani Westerman powiesiła obraz właśnie tutaj, w oficjalnym salonie, a nie w pokoju, gdzie zajmuje się większością codziennych spraw. Może nie chciała stale być pod jego okiem. Z pewnym dystansem przyglądał się Harriet w blasku świec - jej gestykulacji, grze czerwieni na jej włosach, kiedy entuzjastycznie kiwała głową, słysząc jakiś banał, wygłoszony przez sędziego. Zastanawiał się, jak jej zachowanie by się zmieniło, gdyby wiedziała o rozmowie obu mężczyzn. To, że podejmuje Bridgesa tak serdecznie, wydało mu się nagle niedopuszczalną naiwnością. Jakże mogłaby zrozumieć brudy morderstw, skoro takiego człowieka ma za przyjaciela? Nie, i tak jej nie powstrzyma. Sędzia za bardzo rozgniewał Gabriela, w dodatku czyniąc to, wzbudził podejrzenie, że ma jakiś związek ze zwłokami w stajni.

Crowther wyszedł pierwszy, zasłaniając się znużeniem, którego już nie odczuwał. Pozwolił koniowi przejść własnym tempem przez bramę Caveley, a potem skierował zwierzę z powrotem do wsi, jedynie naciskając mu bok kolanem.

Wieczór stawał się coraz ciemniejszy, choć niechętnie, tak jakby trzymał się miłego czerwcowego słońca możliwie jak nadłużej.

W pewnym sensie Gabriel czuł się lepiej dowiedziawszy się, że ktoś zna tajemnicę jego tożsamości. Ostry mróz, jaki przeszył mu kości, zelżał, ale nadal było mu nieswojo. Mur, który wznosił

między sobą a swą przeszłością, który zaledwie godziny temu zdawał się tak solidny, zrobił się teraz słaby i zmurszały. Sędzia nie miał powodów, żeby go wydać, w każdym razie nie teraz, ale jeśli w życiu kieruje się polityką, kiedyś może uznać, że wyjawienie tajemnicy Crowthera bardziej się opłaci niż zatrzymanie tej wiedzy dla siebie. A ponieważ Crowther nie miał zamiaru ani się wycofywać ze sprawy, ani też namawiać pani Westerman, by to uczyniła, moment ów mógł nadejść bardzo szybko.

Poczuł złość na samego siebie, bezpieczna egzystencja nagle wydała się pozorem. Zbudował sobie poczucie własnej godności, opierając się na iluzji. A gdyby prawda była powszechnie znana w okolicy, co powiedziałby świat? Czy potępiłby damy z Caveley, że przyjmują go w swoim domu? Podniósł kołnierz płaszcza i pozwolił koniowi iść swobodnie. Przypuszczalnie nikt by ich nie potępił, a nawet gdyby tak się stało, mało prawdopodobne, żeby pani Westerman się tym przejęła. Jej mąż mógł jednak myśleć inaczej, a co gorsza, pewnie chciałaby Crowtherowi współczuć, on zaś nie wiedział, czy zniósłby jej litość. Znowu stałby się tylko chodzącym dziwadłem. Ludzie wytykaliby go palcami na ulicy, opowiadając jego historię sąsiadom. Zostałby zhańbiony opowieściami straszniejszymi niż mroczne baśnie, powtarzane dziś o nim i jego rzeźnickim nożu.

Nigdy nie powinien pisać tamtego artykułu, lecz dał się skusić pochlebcom. Był próżny, w tym cały kłopot, westchnął, przesunął dłonią po czarnej grzywie konia, wyczuwając pod palcami jej chropowatość. Stał się Gabrielem Crowtherem ponad dwadzieścia lat temu, podróżował pod tym nazwiskiem i studiował, używając go, korespondował oraz zawierał umowy, aż wreszcie poczuł, że bardziej doń należy niż to, z którym się urodził. Tydzień po śmierci brata włożył je niczym nową skórę i opuścił Anglię, by studiować anatomię w Niemczech. Tak oto w trzydziestym roku życia zmienił coś, co od czasu do czasu ciekawiło go za młodu, w swój cel i zajęcie, jakiemu poświęcił czas. Przemierzał oddziały szpitali, w Anglii i za granicą. Mógł płacić za przywileje, nie troszcząc się komisjami

egzaminacyjnymi oraz walką o płatną posadę w szpitalu - i tak robił. Od początku inni studenci go lekceważyli. Gdy tylko spostrzegli, że nie stanowi dla nich konkurencji w ubieganiu się o posady, przestawali się nim interesować. Był z tego rad, czując się zbyt stary i znużony, by dzielić ich rozrywki oraz przyjaźń. Studia zawiodły go do sal wykładowych całej Europy, gdzie badał ciała ludzkie, patrząc, jak są otwierane, oraz uczył się dokonywania takich samych, a nawet dalej idących badań. Nie był wrażliwy ani sentymentalny. Robił to, co miał zrobić dla swoich przełożonych, zabierał spod miejskiej szubienicy ciała świeżo straconych, poddawał je sekcji i badał, a z uzyskanych informacji czynił pożytek, opracowując własne teorie i hipotezy. Swoją wiedzą zasłużył sobie na szacunek nauczycieli, nawet jeśli odstręczały ich jego maniery. Po dziesięciu latach wrócił do Londynu, aby prowadzić badania wraz z Johnem Hunterem, człowiekiem utalentowanym i energicznym, dla którego wykonał swoje najlepsze prace, chociaż wtedy nie przypisywał sobie jakiegokolwiek zasługi. Latem znad żywo płotu wędrowały ku niemu zapachy dziwnych okazów, za które Hunter płacił krocie, byle tylko dostać je w swoje ręce, a potem pod nóż: krokodyla, przywiezionego żywcem aż z Afryki w ładowni kupieckiego statku, zniechęconego ze starości lwa, którego badacz nabył od wędrownej menażerii. Przez jakiś czas i jeden, i drugi dzielił z nim dom. Crowther dobrze się czuł w kręgu dociekliwej inteligencji Huntera, jego szorstkiej pogardy żywionej względem głupców i ignorantów. Włości Huntera zawsze pełne były najdziwniejszych bożych stworzeń, a być może jeszcze dziwniejsze odwiedzały sale, gdzie wykładał.

Crowthera od lat ciekawiły ślady, które gwałtowna śmierć pozostawia na ciele. Czynił obserwacje i dokumentował je, przekazując światu swoje wnioski w anonimowych artykułach, dyskusjach czy korespondencji. Tylko raz podpisał się nazwiskiem Crowther w gazecie, a ta akurat wpadła w ręce jego sąsiadki. Uwagi poczynione przezeń były ogólne, konkrety odnosiły się tylko do eksperymentów przeprowadzanych na zwierzętach, a gdy koledzy zachęcali

Gabriela, by bardziej zagłębił się w to zagadnienie, zawsze odmawiał. Gdy kwestionowano jego pracę, wolał się wycofać niż dalej głosić swe idee. Zastanawiał się, czy pani Westerman czytała ironiczne odpowiedzi na ów artykuł, dociekające, czemuż to pan Crowther nie zrobił użytku z wielu ofiar morderstw, jakich mógł dostarczyć Londyn. List kończył się konkluzją, że gdyby do głowy jakiegoś szaleńca przyszedł pomysł, by zaatakować miejskich bezdomnych, to Gabriel bez wątpienia okazałby się ich aniołem zemsty. Przeprowadzka do Hartswood i kupno Laraby House stanowiły próbę odcięcia się od tej gałęzi studiów, i cierpliwe wnoszenie wkładu do rosnącej wiedzy jego epoki poprzez małe, ale użyteczne odkrycia różnych drobnych szczegółów. Próba ta zakończyła się porażką: jego praca w ciągu ostatnich paru lat nie dawała dobrych rezultatów, a teraz znowu pojawił się trup.

Crowther rozejrzał się po głębokich cieniach alejki i na głos wypowiedział sylaby swego utraconego imienia. Przywołały obraz ojca, rodowego majątku, brata. Ujrzał twarze z dzieciństwa i z młodości, a także wczesnego wieku dojrzałego, poczuł, jak się wokół niego tłoczą. Wmawiał sobie, że zostały już zapomniane, chociaż w głębi serca wiedział, że nie jest wobec siebie tak szczery, jak uważa, i że przez te wszystkie lata nie opuściły go nawet na chwilę. Wyjawszy więc bystre oko i dar zręcznej ręki, to właśnie stanowiło o tym, co o sobie wiedział: był człowiekiem, który zobaczył własnego brata powieszzonego za zamordowanie ojca. Człowiekiem, który ze złością i goryczą wyrwał się z rąk tego brata, kiedy zapewniał go o swej niewinności i błagał o pomoc. Całe jego życie, całe istnienie wiązało się z tymi zgonami i z tamtym postępkim. Reszta to tylko przebranie igr. No cóż, koniec końców ucieczka okazała się niemożliwa. Musiał więc zawrócić i raz jeszcze spojrzeć światu w twarz. Westchnął, spoglądając na swoje dłonie. Tak mocno zacisnął wodze wokół palców, że zeszywniały i bolały z braku dopływu krwi. Uwolnił ręce i poczuł kłujące ciepło powracającego krążenia. Musi zaryzykować i sprawdzić, jak świat na to zareaguje.

Kilka jardów przed nim spod żywoplotu przemknął nagle jakiś cień. Ktoś stanął na drodze, wyczekując. Crowther oderwał się od swoich myśli i wrócił do terażniejszości. Gdyby ten człowiek chciał go obrabować czy zabić, byłby mu za to wdzięczny.

- Kapitan Thornleigh? - rozległ się głośny szept, niecierpliwy i nerwowy. Gabriel nadal miał podniesiony kołnierz płaszcza. Poczuł, jak strach znika, a wzrasta ciekawość. Zamiast odpowiedzieć, zatrzymał konia. - Kazałeś mi czekać, kapitanie. Moja służąca będzie niespokojna, jeśli nie wrócę przez cały wieczór. Przykro mi, że się nie powiodło z Brookiem, ale muszę wiedzieć, co pan chce, żebym powiedział jutro. Za nic w świecie nie przysporzyłbym kłopotów dworowi, ale myśli mam niespokojne, kapitanie.

Człowiek zrobił krok przed siebie i dopiero wówczas dostrzegł twarz Crowthera. Jego własna zrobiła się biała.

- Proszę wybaczyć pomyłkę, jaśnie panie, myślałem, że przybył pan ze dworu. Nie chciałem przeszkodzić panu w przejażdżce. - Spuścił wzrok i zszedł ze ścieżki. Gabriel nie poruszył się jednak, lecz nadal przyglądał się twarzy mężczyzny. Było to oblicze szerokie i przyjazne, należące do człowieka w średnim wieku i o średniej zamożności. Poczuł, jak w głowie zaczyna mu jaśnieć wątle światelko rozpoznania.

- Prowadzi pan w wiosce sklep bławatny.

Mężczyzna niechętnie uniósł wzrok i uśmiechnął się, nie do końca przekonywająco.

- W rzeczy samej, jaśnie panie - odparł, wodząc wzrokiem po alejce. - To ja sprzedałem rękawiczki, które pan teraz nosi. Zapamiętałem to, gdyż panowie zwykle sami przychodzą je sobie kupić, ale pańska pokojówka Betsy zjawiała się ze starą parą i staraliśmy się znaleźć nowe o odpowiednim rozmiarze oraz jakości. Mam nadzieję, że się nam to udało ku pańskiemu zadowoleniu.

Crowther pojął delikatną reprimendę zawartą w tych słowach. Czyżby uraził poczciwca, nie zjawiając się osobiście u niego w sklepie i nie omawiając z nim kroju oraz nie dokonując przymiarek? Zaiste, sposób, w jaki należało zachowywać się na wsi, był równie

złożony, jak na europejskich dworach. Uniósł dłoń, w słabnącym świetle przyjrzał się swojej rękawiczce, tak jakby czynił to pierwszy raz w życiu. Człowiek ten miał bystre oczy, skoro rozpoznał własne dzieło o tak późnej porze i z takiej odległości.

- Mam nadzieję, że są wygodne - zapytał niecierpliwie sklepikarz.

- Bardzo, panie...

- Cartwright, proszę pana. Joshua Cartwright. Jest to napisane nad drzwiami mego sklepu.

Crowther złożył ręce na wodzach, patrząc, jak pan Joshua Cartwright wodzi wzrokiem w lewo i w prawo po ścieżce.

- Czy oczekuje pan pana Hugh Thornleigha?

- Dla mnie on jest kapitanem Thornleighem. Zawsze nim będzie. Tak, czekam na niego, jak pan rzekł, chociaż mogłem się w tym pomylić, a zatem ruszę teraz do domu, błagając pana o wybaczenie. Nie lubię opuszczać sklepu na długo. Z powodu śmierci tamtego człeka moja służąca będzie się o mnie troskać, a nie chcę, by wyszła szukać mnie wśród ciemności. To nie byłoby właściwe.

- Istotnie - przytaknął Crowther, uśmiechając się chłodno.

- A zatem dobrej nocy.

Sklepikarz potykał się trochę, wspinając przełazem pod podejrzliwie dobrodusznym spojrzeniem Crowthera, i ruszył w stronę wsi, sadząc wielkie kroki przez cierpliwe trawy łąki. Co chwila odwracał się, jakby z nadzieją, że Crowther po prostu zniknie, ale najwyraźniej nie zwalniał przy tym kroku, co stanowiło godny podziwu manewr na nierównym gruncie. Gabriel trwał spokojnie w siodle, póki rękawicznika nie wchłonął mrok drogi między pierwszymi zagrodami. Potem zeskoczył z konia i poprowadził go za żywopłot. W ten sposób znalazł się tam, gdzie wcześniej stał Cartwright, i oparł się o niski przełaz. Miał nadzieję, że nie będzie musiał długo czekać.

Szczyście mu sprzyjało. Księżyc niewiele przesunął się po niebie, gdy anatom usłyszał, że ktoś zmierza ku niemu konno, podobnie jak wcześniej zobaczył to człowiek, który zaskoczył go na trakcie.

Jeździec odezwał się i Crowther od razu rozpoznał Hugh Thornleigha.

- Joshua? Crowther milczał.

- No i co znów tam dla mnie masz? Twoja pomoc, czy też pomoc tego Cartera Brooka, wielce mi się doprawdy przysłużyła. Nie musimy więcej rozmawiać. Nie ślij mi wieści, lepiej daj swojej Hannah jakąś monetę, niech ma na maść na obolałe stopy. Musi być wyczerpana, tyle już razy wysyłałeś ją dzisiaj na wycieczkę do dworu.

Słowa te wypowiedane były bełkotliwie. Ku Gabrielowi wyciągnęła się dłoń w rękawiczce.

- No, weź to, Cartwright.

Crowther zbliżył się nieco i opuścił kołnierz płaszcza.

- Dziś może pan zatrzymać swoją monetę, panie Thornleigh. Joshua uznał, że musi wrócić do sklepu. Był chyba jednak bardzo zatroskany tym, co ma jutro powiedzieć koronerowi.

Hugh był tak zaskoczony, że aż szarpnął wodzami. Koń parsknął i zaprotestował, potrząsając łbem.

- Pan Crowther! Ma pan talent do podchodzenia mnie od tej strony, z której jestem ślepy. Co ma oznaczać to czajenie się w krzakach?

- Jest taki miły wieczór. Nie muszę spieszyć się do domu.

- Ach tak! To przypadek, nieprawdaż? To przez pana Joshua uciekł? Do licha, co pana obchodzi, z kim chciałem się spotkać i kiedy?

Crowther z miną niewiniątka otworzył szeroko oczy i zwlekał z odpowiedzią, póki Hugh nie uspokoił wierzchowca.

- Sądzę, panie Thornleigh, że dziś może to budzić powszechniejsze zainteresowanie. Kim jest Carter Brook i w jaki sposób miał pana wspomóc?

- Raz jeszcze pytam, cóż pana to obchodzi? Jakim prawem mnie pan przepytuje?

- Dla powszechnego dobra, oczywiście.

Hugh parsknął, a Crowther podszedł do niego na kilka kroków.

- A skoro większą część dnia spędziłem, badając ciało owego pana Brooka, powiedziałbym, że moja ciekawość jest w związku z tym i w tych okolicznościach zarówno słuszna, jak i naturalna.

- Dopiął pan swego. Nigdy nie spotkałem się z panem Brookiem - Thornleigh ściszył głos - chociaż miałem to zrobić zeszłej nocy. Powstrzymano mnie od dotrzymania umówionego terminu, ale miałem zamiar spotkać się z nim w zagajniku. Kiedy wreszcie udało mi się tam dotrzeć, nie zastałem nikogo, czekałem zatem, aż mój płaszcz zaczął nasiąkać wilgocią, a potem wróciłem do domu. To właśnie jego gardło mogło zostać podejrzięte, nigdy jednak nie widziałem tego człowieka, nie mogę więc stwierdzić tego na pewno. Wciąż nie widzę powodu, aby odpowiadać panu na te pytania.

- Będzie pan musiał odpowiedzieć na nie przed kimś potężniejszym ode mnie.

- Jest pan religijny, Crowther? Jak to się ma do bezczeszczenia i okaleczania ciał?

Gabriel uniósł brwi.

- Miałem na myśli koronera.

- Postanowiłem opowiedzieć wszystko koronerowi - odparł Hugh ze wściekłością. - Cartwright nie ma powodu zawracać mi głowy. No cóż, to prawdopodobne, że ciało należy do Cartera Brooka.

- Zakładam, że opowie pan też koronerowi, jaką sprawę miał pan do tego człowieka?

- Został wynajęty, by wywiedzieć się o adres mojego starszego brata. Miałem nadzieję, że osiągnął pewien sukces. Na to wskazywałby pierścień, ale tego, czego się dowiedział, nie może już zdradzić. Crowther zerwał jeden z białych kwiatów porastających żywopłot i wpatrzył się w ciemność.

- O tak, został bardzo skutecznie powstrzymany od dzielenia się swoimi sekretami.

Hugh spojrzał bacznie na starszego mężczyznę.

- Twierdzi pan, że jego zadanie i śmierć mają ze sobą jakiś związek? - Zaśmiał się. Gabriel pomyślał, że ów dźwięk przypomina odgłos wydany kilka chwil temu przez konia. - Nie, Crowther, podąża



pan fałszywym tropem. Jestem po prostu człowiekiem, nad którym wisi najgorszy na świecie rodzaj pecha. Gdy tylko próbuję postawić krok do przodu, zawsze ześlizguję się w tył. Powiedziałbym raczej, że to z Londynu podążyły za nim jakieś ciemne sprawy. Crowthera nie ciekawiły dalsze wywody Thornleigha.

- A czemu zaaranżował pan spotkanie z nim nocą, z dala od swojego domu?

- Może miałem nadzieję, że będzie to piękna noc - kpiąco odparł Hugh.

- Czy sklepikarz, pan Cartwright, zdołałby rozpoznać ciało?

- Myślę, że się znali. Joshua spotkał Brooka w Londynie i wynajął w moim imieniu. Poproszę go, aby sam zgłosił się do koronera.

Crowther pokiwał głową i ruszył w stronę swojego konia. Hugh zadart podbródek.

- Myślę, że został pan urobiony przez panie z Caveley. - Gabriel usłyszał w głosie Thornleigha ostry ton. - Musi to być dla pana ekscytujące. Proszę uważać, bo to paskudna, natarczywa rodzina. Jeśli ją pan odwiedzi więcej niż dwa razy, już po sąsiadach będą mówić, że stara się pan o rękę tej małej. A starsza to jędza i sawantka, każdy to wie. Komandor pewnie się cieszy, że mógł ją zostawić na brzegu i ruszyć własną drogą. Może poza domem spotka kobiety które lepiej znają swoje miejsce i obowiązki.

Crowther powoli odwrócił się ku swojego rozmówcy, strząsając z czubków palców resztki zerwanego kwiatu.

- Słyszałem, że wielu rozczarowanych mężczyzn znajduje pociechę w winie i rozpuście. Jest pan tego dobitnym przykładem. Zastanawiam się, czy to pańskie nieszczęście sprawiło, że stał się pan tym, co mogę zobaczyć, czy też pańskie zachowanie ściągnęło to nieszczęście.

W wyraźnie wypowiedzianych w wieczornej ciszy słowach najgorszy był brak emocji. Earl nie zdołałby chłodniej przemówić do swojego psa.

Crowther widział, że dopiekły Thornleighowi do żywego. Nawet w półmroku można było dostrzec, jak nieokaleczony policzek młodzieńca mocno poczerwieniał.

- Chce pan, bym poprosił pana o wyznaczenie sekundantów? Crowther się uśmiechnął. Oto rezultaty tego, że ruszył się z izby, gdzie wykonywał sekcje: ujawnienie jego tajemnicy, morderstwo, pojedynki, zaginięci synowie oraz martwe dziewczynki. Powinien staranniejszym zamykać za sobą drzwi.

- Jeśli chce pan walczyć, z pewnością się stawię, Thornleigh. Chociaż ostrzegam, o świcie zawsze mam pewną rękę. Wątpię, aby pan mógł powiedzieć to samo.

Przez chwilę wytrzymywali swe spojrzenia.

- Do licha z twymi oczyma, Crowther - szepnął Hugh, mocno szarpnął wodzami i zawrócił szybko ku Thornleigh Hall.

Gabriel wyprowadził swojego konia na alejkę i dosiadł go, wzdychając z wysiłku. Spojrzał w górę, zobaczył, jak pojawiają się pierwsze gwiazdy. No tak, pomyślał, musimy iść tam, gdzie prowadzą nas znaki. Pójdziemy ścieżką wskazaną przez ciało do początku i źródła, rozlana krew musi nas zabrać do samego sedna sprawy. Nie pójdzie drogą doradzoną przez sędziego. Teraz musi się przekonać, dokąd zawiodą go jego kroki, a jeśli rodzina z Caveley ma zapłacić za swoją ciekawość, niech i tak będzie. Staną się dzięki temu mądrzejsi, a pani Westerman przecież wręcz się pali do nauki. Pomyślał o Hugh, jego okaleczonej twarzy i martwym oku. Zastanowił się, jak bardzo tą okaleczoną skórą diabeł zaznaczył go jako swą własność. Panie z Caveley kiedyś go lubiły, a teraz pani Westerman cieszy się, widząc, jak zapija się na śmierć. Popędził konia.

Siodmy kwietnia 1775 roku, Boston,  
Zatoka Massachusetts, Ameryka Północna

Kapitan Hugh Thornleigh z piątej kompanii wiercił się przy biurku i wpatrywał w ścianę swej kwatery, starając się uporządkować myśli. Niewiele rozumiał z zawilej sytuacji politycznej w koloniach, a jeszcze mniej o nią dbał. Nie zawracał sobie głowy prawnymi

szczegółami związanymi z podatkami i herbata. Wojsko było dla niego sposobem na życie, nie tylko przez możliwość dodania większej chwały rodowi i zapewnienia sobie wygodnego życia, niezależnego od rodzinnego majątku, ale także dlatego, że umiało robić pożytek z ludzi czynu, takich jak on. Miał wprawdzie nadzieję, że pewnego dnia będzie prowadził do bitew armie, a nie kompanie, ale znajdowanie powodów do tych bitew pozostawiał komu innemu. Troszczył się o tych, których miał pod swoją komendą, toteż znano go jako dobrego dowódcę. Gotów był do bitki, ale i do śmiechu czy wyduszenia komuś powietrza z płuc serdecznym klepinięciem po plecach. Do pełni szczęścia potrzebował tylko żony, aby ją rozpieszczać, oraz syna, którego nauczyłby strzelać. Teraz jednak musiał napisać ten list do ojca. Zaczął go tak:

„Ojczy!

Chciałbym, by od czasu naszego przybycia do Ameryki mieć dla Ciebie lepsze wieści. W Bostonie sytuacja jest dość przyjemna - to ładna, zielona, pofalowana kraina, nie taka jak nasza - a zatem zaopatrzeni jesteśmy sownie, a nasi ludzie są zdrowi i zazwyczaj pilnują służby. W mieście jest kilku dżentelmenów, z którymi w każdym miejscu na świecie z przyjemnością zasiadłoby się do obiadu, maniery pospółstwa jednak cechuje całkowity brak szacunku dla czyjejkolwiek pozycji. Trudno to przekazać, nie chodzi bowiem o bezczelność taką jak u londyńskiej tłuszczy, ale raczej zdradliwy zwyczaj zachowywania się tak, jakbyśmy wszyscy byli ulepieni z jednakiej gliny. Na przykład - jeśli posilas się poza regimentem, każdy może poczęstować Cię swoją strawą i rozpocząć rozmowę, jakbyście właśnie obaj wrócili z pola. Ten brak szacunku dla stanowiska oraz pozycji, obecny wśród prostych ludzi, stanowi, jak sądzę, źródło owego buntowniczego nastroju, który nadciąga niczym zaraza z otaczającej nas okolicy i jest obecny w samym mieście. Ludzie zbroją się, a chociaż nie są doborowymi żołnierzami i z każdą ich siłą, poza najliczniejszą, niewielką kompanią Jego Królewskiej Mości miałyby

krótką rozprawę, zaczęli gromadzić się w dużej liczbie i w groźnym nastroju. Pewnie musimy ubić ich sporo, zanim zechcą z powrotem wrócić na swoje miejsce. Zaiste, smutny to stan, gdy poddani Króla stają naprzeciwko siebie w takich okolicznościach".

Hugh przerwał i znów zaczął wpatrywać się w ścianę, marszcząc czoło, aż w końcu wezwał go jakiś głos dobiegający od strony drzwi.

- Thornleigh, odłóż pióro. I tak nikt nie przeczyta ani słowa, które napiszesz. Dostałem właśnie rozkaz sprawdzenia, jak się sprawy mają z organizacją szpitala. Pójdiesz ze mną?

Hugh odwrócił się z uśmiechem. To jego przyjaciel, Hawkshaw, tak drobny i chudy, że wyglądał, jakby go skreślono z kawałków sznurka.

Thornleigh wyprostował się i odłożył pióro na list, z niezgrabną delikatnością niedźwiedzia, biorącego się do przystrojenia salonu różami. Hawkshaw szybko przeszedł przez izbę i zerknął mu przez ramię na zapisaną stronę.

- Thornleigh, nie chodziłeś do szkoły? Mój nauczyciel dałby mi baty za takie paskudne pismo.

Hugh uśmiechnął się szeroko.

- Stary Lobster Grimes siekł mnie po rękach aż do krwi. Zabawne, nigdy nie pisałem przez to choć trochę lepiej. Pójdę z tobą do szpitala, chociaż nie mogę przepuścić kolejnego żaglowca, nie składając ojcu raportu. Lubi ogłaszać w Izbie, że ma wiadomości z pierwszej ręki.

Hawkshaw się skrzywił.

- Boże! Politycy! No, a może jednak nic z tego nie wyjdzie. Musimy zachowywać się uprzejmie i elegancko i pilnować, żeby mieć suchy proch. Tymczasem odetchnijmy nieco świeżym powietrzem, popatrzmy na te wszystkie piękne zielone wzgórza oraz gościńce jak wędrowcy, póki nie musimy baczyć na niejako żołnierze.

- Nie przybyłem tutaj, aby podziwiać krajobrazy. Hawkshaw nie odpowiedział, patrzył przez okno na ciche ulice miasta. Wzdłuż szerokich miłych dróg rosły zasadzone w różnych odstępach drzewa, co sprawiało, że panowała tu atmosfera spokoju

i stałości. Tuż pod oknem przechodziła jakaś kobieta, za nią podążała służąca. Dama zarumieniała się na widok oficera, potem z uśmiechem odwróciła twarz.

- Ach, te piękne panie z miasta - mruknął Hawkshaw. - A przecież mogłaby mi poderżnąć gardło zaraz po tym, jakby ze mną legła, a potem sprzedałaby moje pistolety ochotnikom i obwołała się Córą Wolności. - Z szelmowskim uśmiechem odwrócił się ku Thornleighowi. - Dlatego właśnie odwiedzam tutejsze damy, mając ze sobą tylko pałasz, tak aby nie kusić ich patriotycznej żarliwości.

Hugh się roześmiał.

- Thornleigh, krążą słuchy, że niektórzy z nas już wkrótce zażyją ruchu. Mówi się o marszu na Concord, aby zbawić ich od broni, którą, jak podejrzewamy, tam gromadzą.

Thornleigh parsknął.

- Ciężko to nazwać działaniem. Kradłem jabłka z sadu sąsiadów, bardziej narażając na szwank życie i zdrowie. Rebelianci to tchórze i awanturnicy. Kiedy tylko zobaczą przed sobą kompanię brytyjskich żołnierzy, oddadzą nam wszystko, o co poprosimy.

- Chciałbym mieć twoją pewność. Może w tej chwili nie wyglądają jak armia, widać jednak w ich oczach zdecydowanie, które powinno każdego żołnierza uczynić czujnym. Pamiętaj, że niektórzy z nich walczyli razem z nami w ostatnich wojnach. Raporty nie mówiły o nich złych rzeczy.

- A co wskóra samo zdecydowanie przeciwko kuli, bagnetowi i wyszkolonym ludziom? Determinacja nie sprawi, że staną się odporni na kule.

- Nasze czerwone kurtki też nie.

- To są przecież farmerzy! Myśliwi! Jeśli potrafią przeładować raz na minutę, sam kupię im tę całą herbatę i znaczki, jakich chcą.

- Jeśli trafiają za każdym strzałem - stwierdził cicho Hawkshaw - nie muszą się martwić tym, że strzelają wolno.

Kapitan Thornleigh nie był z natury skory do refleksji tak jak jego przyjaciel. Przyjaźń, która nawiązała się między nimi, odkąd przeniesiono tu Thornleigha, zaskoczyła wielu w regimencie.

W gronie oficerów mówiono o nich Byk i Ogar, ale nawet jeśli któryś z nich o tym wiedział, żaden się tym nie przejął.

Wyszli z izby, wiatr trzasnął za nimi okiennicami, więżąc między nimi firanki. Stłumione uderzenie zabrzmiało niczym echo wystrzału niosące się ponad wodą.

Budynek zarekwirowany na szpital był kiedyś portowym magazynem. Najwyraźniej chirurg uznał przybycie oficerów za obelgę i powitawszy ich krótko, odwrócił się ku pielęgniarce, dwóm żonom sierżantów z regimentu, aby dalej uczyć je przygotowywania bandaży, gości zaś poprosił, żeby wszelkie pytania zadawali jego asystentowi.

Młodzieniec, którego wskazał, wstał znad biurka. Był dobrze zbudowany, śniady, poruszał się ze swoistym wdziękiem. Thorn-leighowi przypominał lisy, widywane w jego posiadłości. Wrażenie to pogłębiały wystające kości policzkowe oraz ostrożnie szacujące spojrzenie ciemnych oczu.

- Nazywam się Claver Wicksteed - przedstawił się. - Panowie to kapitanowie Thornleigh i Hawkshaw. Pułkownik przysłał panów, aby zobaczyli, jak dajemy sobie radę?

- Owszem. - Thornleigha nieco odstręczyło zachowanie tego człowieka. Wicksteed w dalszym ciągu mu się przyglądał.

- A jak dajecie sobie radę? - zapytał bez ogródek Hawkshaw. - Macie wszystko, czego wam trzeba? Jest pan nowicjuszem, jeśli chodzi o leczenie, nieprawdaż?

- Nie wiem, czy to, co robię, godzi się nazywać leczeniem. Chirurg powiedział, że potrzebuje pomocy i oto jestem. On kroi i zszywa ludzi, ja ich przytrzymuję, a potem on pisze zapotrzebowanie na noże oraz igły. Chcielibyście panowie się rozejrzeć?

Kapitanowie przytaknęli, a Wicksteed się uklonił.

- Bardzo dobrze. Tę izbę zarezerwowaliśmy na operacje. Jak panowie widzą, można tu wnosić ludzi bezpośrednio z przystani. Zmieści się ich tutaj siedmiu naraz.

Hugh nie potrafił oprzeć się wrażeniu, że w pobliżu tego człowieka czuje się niespokojny. Wicksteed był równie szczupły jak

Hawkshaw, lecz cała jego postać zdawała się jakby wić. Kiedy mówił, trzymał dłonie złożone, chociaż prawa ręka czasem wędrowała, podkreślając jakiś punkt poczynionych przygotowań, tylko po to, by znów mocno klasnąć o lewą, jakby była jakimś krnąbrnym zwierzakiem, który wyrwał się dozorczy. Zdawało się, że maści przed sobą powietrze, czyniąc je czymś znacznie gęstszym, czym ciężiej jest oddychać. Przeszli szerokim korytarzem do większej sali, z trudem dotrzymując Wicksteedowi kroku.

- Na tej sali postawimy większość łóżek, trzeba też będzie rozłożyć cały zapas słomy.

Znowu prawa ręka poleciała w górę, aby machnięciem w powietrzu przedstawić ów ładunek.

- To największa niepodzielona przestrzeń w całym budynku. Wysokie sklepienie może nam zapewnić dużo czystego powietrza, co jak mi mówiono, jest niezbędne w izbie pełnej chorych.

- Tak, to naprawdę wielka sala. Mam nadzieję, że nie będziemy mieli sposobności, aby ją zapełnić - zauważył Hawkshaw. Jego rozmówca zamrugał, a potem wzruszył ramionami.

- Jeśli pan tak mówi... Chociaż obecnie jesteśmy jednym z dwóch porządných szpitali na wyspie, a jest nas tutaj, żołnierzy, bardzo wielu. I dotychczas szczęśliwie uniknęliśmy wielkiej zarazy, ale kto wie, co przyniesie lato.

- Wicksteed - na dźwięk głosu Hugh mężczyzna całym ciałem gwałtownie odwrócił się w jego stronę - jeńcami będą się zajmować w więzieniu Stone?

- Tak jest. Kto wie, czy buntownicy zechcą zabierać ze sobą swoich rannych, czy też pozostawią ich nam, abyśmy się nimi opiekowali? Najprawdopodobniej wielu z nich łączy więzy krwi, a wspólna krew może sprawić, że człowiek niesie swego towarzysza dalej, niż powinien. Jedyną rodziną, która mnie kiedykolwiek gdziekolwiek zaniósła, była armia, a i tak muszę jeszcze sprawdzić, czy wzięła mnie tam, gdzie odniosę jakąś korzyść. No cóż, ci, których pozostawią, najprawdopodobniej znajdą się poza zasięgiem naszej pomocy.

- Lubisz tu pracować, Wicksteed? - zapytał Hawkshaw po chwili milczenia.

Mężczyzna znowu wzruszył ramionami i przygarbił się pod ścianą.

- Na razie, kapitanie Hawkshaw. Musimy przecież korzystać z szans, które się przed nami pojawiają.

Hugh zaczynał się nudzić.

- Hawkshaw, wszystko tutaj spoczywa w dobrych rękach. Czy możemy już wracać i złożyć raport?

- Oczywiście.

To, co Wicksteed mówił o więzach krwi, zirykowało Thornleigha, psując mu dobry zazwyczaj humor. Zabolało, jakby Wicksteed ukąsił go swoimi ostrymi białymi zębami. Po powrocie do kwatery po raz pierwszy od lat pomyślał o bracie, o Aleksandrze. Mało się znali, wkrótce po śmierci matki zostali wysłani do osobnych szkół dla młodych dżentelmenów, jednak zawsze chętnie się z nim spotykał. Brat bardziej sobie cenił książki niż ci, których młodszy Thorn-leigh wybierał na przyjaciół, ale dobrze się między nimi układało.

Aleksander dorósł w końcu pod opieką jakiejś rodziny, a nie w świecie pełnym wzajemnych sporów, bójek i podłej strawy, który wśród klas wyższych uchodził za świat edukacji. Odszedł ze szkoły, zanim skończył dziesięć lat, oznajmiając, że zamieszka w Chiswick z panem Aristonem-Greyem. Człowiek ów był dżentelmenem i muzykiem. Ich ojciec uznał ten pomysł za śmieszny, ale w obliczu spokojnej determinacji syna dał wreszcie za wygraną. A raczej przestał troszczyć się o całą sprawę i pozwolił dziedzicowi robić, co chce.

W tym domu Aleksander poznał swoją przyszłą żonę. Pozostał tam aż do osiągnięcia dojrzałości, a potem przeprowadził się na sąsiednią ulicę, ignorując mody oraz zwyczaje swojej klasy, chociaż uposażenie dostawał szczodre i nieobciążone żadnymi warunkami. Hugh słyszał, jak mówi o swojej ukochanej tylko jeden raz, podczas ostatniej wspólnej wizyty braci we dworze. Pojechali konno na północny skraj ziem Thornleighów, a gdy przyglądali się grze świeateł na bezmiarach, które Aleksander miał odziedziczyć wraz z tytułem



earla oraz całą tą pompą, jaką dać może wysoka pozycja, po prostu oznajmił bratu, że spotkał kobietę, którą będzie kochać po kres swych dni i którą zamierza poślubić. Hugh najpierw się roześmiał nienawykły by mężczyźni rozmawiali ze sobą tak subtelnym językiem, ale na widok łagodnego, niemal współczującego uśmiechu brata powstrzymał brutalne słowa i spoważniał.

- Czy ona jest odpowiedniego stanu i pozycji? - zapytał.

- Nie. - Aleksander się uśmiechnął. - Jest doskonała, ale nie ma odpowiedniej pozycji. Porozmawiam z lordem Thornleigh, choć podejrzewam, że mnie wydziedziczy. Nie szkodzi. Elizabeth odziedziczyła trochę pieniędzy, ja zaoszczędziłem jeszcze więcej z tych, które dawał mi ojciec, a odebrana przeze mnie edukacja uczyniła dla mnie zarabianie na życie bardziej możliwym niż dla wielu mężczyzn mego stanu. Ruszamy razem do Londynu i zobaczymy, jak nam pójdzie.

- Będziesz pracował? - zapytał Hugh zdumiony.

- Tak! Wielu tak czyni. A ja wolę mieć miłość Elizabeth i zarabiać na nią, niżli... - uniósł dłoń i pozwolił jej zakreślić rozciągający się przed nimi krajobraz - niżli to wszystko.

- Jakie to romantyczne!

Jego brat sięgnął do kieszeni płaszcza, wyjął miniaturę w srebrnej oprawie, którą otworzył, aby pokazać wizerunek narzeczonej. Ukazała się podobizna nadzwyczaj urodziwej kobiety, śmiejącej się do oglądającego dużymi niebieskimi oczyma.

- Stałem artystą za plecami, kiedy robił szkice. Dla mnie ona tak właśnie wygląda. I cóż, nie sądzisz, że jest tego warta?

- Czy jakakolwiek kobieta na świecie może być warta takiej ofiary? A co zamierzasz uczynić, kiedy ojciec umrze? Przyjdiesz i odbierzesz posiadłość?

Aleksander zmarszczył brwi.

- Może mnie to nęcić, aby zjawić się tu ponownie, ale nie sądzę. Kiedy lord Thornleigh umrze, możesz ogłosić mnie zmarłym i samemu zostać earlem.

- Dziękuję.

- Ja wiem, że to ci się wydaje dziwne, ale nigdy nie znalazłem tutaj szczęścia, może wyjąwszy chwile w twoim towarzystwie. Z Elizabeth jestem szczęśliwy na co dzień. To większy dar niż cały ten splendor i pozłota, w które opływa ojciec.

- Dobrze ci życzę - mruknął Hugh.

- Dziękuję. A gdybyś kiedyś mnie potrzebował, jestem pewien, że znajdziesz sposób, aby mnie odszukać. Są więzy, które nas łączą, więzy krwi, ważniejsze od tytułów i ziemi. Jeśli nie będziesz mógł sam się uwolnić, wezwij mnie, a ja w ten czy inny sposób do ciebie przybędę. Aleksander cmoknął językiem, jego koń wstrząsnął grzywą i ruszył w dół wzgórza.

## CZESC 2

# 1

Sobota, trzeci czerwca 1780 roku

Tego dnia Harriet Westerman wczesnie zabrała się do swoich zajęć. Najpierw poszła do wąskiej izby na piętrze, tam gdzie jak wiedziała od chwili, gdy zbudziło ją słońce, będzie teraz pracować pani Belinda Mortimer. Pani Mortimer szyła ubrania dla mieszkańców kilku dworów w sąsiedztwie, a od czasu do czasu spędzała po dwa albo trzy dni w każdym z nich, by zająć się bielizną i sukniami dla pań, a także zrobić wszystko, co dobrze urodzonym dyktowały i subtelna moda, i praktyczność. Tkaniny kosztowały niemało i tylko najrozzutniejsi wymieniali to, czego można było użyć ponownie albo przerobić. Pani Mortimer nie zwykła plotkować i Harriet wiedziała, że nie zdoła jej przymusić, aby zdradziła dobre i złe uczynki swoich klientów. Nikt nie będzie lubił służącej, o jakiej wiadomo, że zdradza sekrety rodzin, u których pracuje. Przystanęła na chwilę, rozmyślając o tym, a potem otworzyła drzwi pokoju zarezerwowanego do użytku pani Mortimer. Wyszła stamtąd prawie po godzinie, mimo powściągliwości Belindy, wiedząc więcej niż do tej pory, zyskała też nowego chłopca stajennego w osobie kuzyna krawcowej. Złożyła chusteczkę do nosa od Crowthera, tę z kilkoma włóknami wewnątrz, i schowała do kieszeni spódnicy.

Długo trwało, zanim Harriet zjawiła się w pokoju, gdzie spożywano śniadanie, chociaż tego ranka nie zatrzymywała się, by odwiedzić syna i córeczkę. Zamiast tego, przechadzając się po sadzie leżącym na wschód od domu, czas jakiś rozmyślała o rzeczach, jakich właśnie się dowiedziała. Była dumna z drzew rozkwitających pod jej opieką i odkryła, że wywierają na nią kojący wpływ. Ruch liści na wietrze przypominał o morzu. Kiedy zamykała oczy, niemal słyszała odgłosy wiatru i fal, sprawiających, że belki żaglowca przesuwają się i jęczały. Prawie czuła w powietrzu intensywny zapach soli, choć teraz znajdowała się daleko w głębi lądu.

W holu, oznajmiono jej, że przybył Crowther i jest już przy stole śniadaniowym, gdzie wraz z jej siostrą popija czekoladę. Siedzieli blisko siebie, nad otwartym szkicownikiem Rachel, który leżał między nimi na blacie. Dziewczyna uniosła wzrok ku wchodzącej siostrze.

- Harriet, pan Crowther przeglądał moje szkice kota pani Heathcote i uważa, że mam talent!

wyglądała na tak zadowoloną z siebie jak ów kot, wobec którego Harriet nigdy nie żywiła ciepłych uczuć.

- Mówi jednak, że muszę zrozumieć układ zwierzęcych mięśni, aby oddać je prawidłowo jak da Vinci! Następnym razem, gdy będzie miał martwego kota, obiecał, że mogę przyjść i popatrzeć na sekcję. Prawda, że to miłe z jego strony?

Harriet uniosła brwi.

- Doprawdy czarujące, okropna istota.

Rachel z powrotem spuściła wzrok na szkicownik, przekartkowała go i wzruszyła ramionami.

- Naśladuję cię we wszystkim. A to właśnie ty mi powiedziałaś: „nie wolno nam obawiać się wiedzy”.

Siostra wzięła kawę ze stolika i usiadła.

- Cytowałam kogoś innego. To brzmiało *aude sapere* i jak sobie przypominam, ich autor źle skończył. Są jednak gorsze słowa, wedle których można żyć.

Crowther uniósł brwi.

- To był Horacy. Usunął się z aktywnego życia, by osiąść w swej posiadłości. Wielu uznałoby go za szczęśliwca.

Harriet nie dała po sobie poznać, że w ogóle to usłyszała. Nastąpiła chwila ciszy. Rachel przeniosła spojrzenie z siostry na Gabriela i wstała, wzdychając.

- Wyobrażam sobie, że macie własne sprawy do omówienia, a zatem was zostawię. Harriet, przyszedł list od sędziego. Leży na twojej paterze.

- Widzę. Pewnie to szczegółowe wiadomości o tym, kiedy zacznie się przesłuchanie.

Uniosła oczy, aby spojrzeć na łagodną twarz siostry. Rachel byłaby doskonałą ochmistrzynią w domu jakiegoś bogacza, nie szukała bowiem w życiu innej satysfakcji, jak zapewnianie wygody tym, których kochała. Harriet poczuła przypływ ciepłych uczuć do siostry, zmartwił ją jednak cień zazdrości, jaki znalazła skryty wśród tych emocji. Weszła w rolę, którą przygotowała dla niej siostra, i czuła się w niej niewygodnie. Świat oferował dary, ale często były to troski opakowane w ładne papierki.

Rachel zamknęła drzwi za sobą, a Harriet zauważyła, że Crowther patrzy na nią znad gazety. Uchwycił jej spojrzenie i znów powrócił do strasznych oraz zabawnych historii, z których składał się „Daily Advertiser”. Czytał go, póki pani Westerman nie zdecydowała się odezwać.

- Zdaje się, że zrobił pan z niej swoją ulubienicę - zauważyła. Crowther zerknął na nią.

- Czuję się zaszczycony. Ale może już nie chceć mojej przyjaźni, gdy oskarżę o morderstwo mężczyznę, którego kocha.

Harriet ucichła.

- Aczkolwiek - kontynuował, składając gazetę, a mówił takim tonem, jakby gawędził o pogodzie - to jest brutalny, nieprzyjemny człowiek. Zeszłej nocy o mało nie wyzwiał mnie na pojedynek.

Harriet odwróciła się gwałtownie. Otworzyła usta z zaskoczenia i przewróciła filiżankę. Nieco kawy rozlało się po obrusie.

- Do diabła! Zniszczyłam komandorowi następny obrus. -wstała i zaczęła trzeć plamę szmatką, ale ślad powiększył się i pociemniał. - Na jaki pojedynek? O czym pan, na Boga, mówi?

Podniosła chusteczkę i z zamiarem ukrycia plamy ułożyła ją starannie, dodając:

- A co do wrażenia, że Thornleigh kiedyś wzbudził uczucie w mojej siostrze, to zapewniam pana...

Uniósł dłoń.

- Pani Westerman, proszę nie pozwalać mi, bym wystraszył panią aż tak, że będzie pani bronić reputacji i postępowania pani siostry czy też siebie samej. Jestem pewien, że obie panie jesteście bez zarzutu.

W jego głosie było tyle oschłości, że Harriet poczuła się nieswojo. Próbowwała się zastanowić, jaki wizerunek ich obu objawił mu się poprzedniego dnia. Przed oczyma stanął jej straszliwy obraz: najgorsze cechy rozdmuchane i przejaskrawione, motywy małostkowe i niegodziwe.

- A teraz uważa pan, że chcę zaatakować Thornleighów z zemsty za porzucenie mojej siostry?

Głos miała jasny i dźwięczny jak kryształ. Crowther spojrzał na nią zaskoczony. Harriet dostrzegła, że krawat ma zawiązany bardzo niedbale, a na rękawie okruszki chleba. Zrobiło jej się przykro, gdy zauważyła, że przez to wcale nie poczuła się lepiej.

- Nie, madame - odparł spokojnie. - Ja tak nie sędzę, chociaż Hugh może, w jakimś momencie, powiedzieć tak pani sąsiadom. -Westchnął i poprawił się na krześle. - Oboje wiemy, że jakakolwiek nasza rozmowa o związkach pani siostry z panem Hugh Thornleighem jest niewłaściwa, a ja zdaję sobie sprawę, że nie jestem pani powiernikiem ani doradcą. A jednak nieznamość tej materii sprawia, że pogrążam się w jeszcze głębszych ciemnościach. Wczoraj wieczorem sędzia próbował skłonić mnie do przekonania pani, by nie brnęła dalej w sprawy Thornleigh Hall. To mnie zirytowało. Zapewniał jednak, że rzecz może przybrać nieprzyjemny obrót, a skoro pani jest zbyt delikatna, by opowiadając mi o Hugh Thornleighu,

nie martwić się o swoją reputację, to może miał rację i lepiej, by zajęła się pani wyłącznie swoim gospodarstwem.

Mówiąc to, nieco podniósł głos. Harriet spuściła wzrok i pokiwała głową.

- Ufam panu - stwierdziła po prostu. - A poza tym z jakiegoś dziwnego powodu cenię sobie pana dobrą opinię. - Wygładziła obrus. - Nie jestem pewna, czy zachowałam się odpowiednio. To śmieszne, bo lubię sobie powtarzać, że nie dbam o to, co świat o mnie myśli. Ale widzę, że niemiło mi jest mówić o tych sprawach.

- Bardzo wątpię, pani Westerman, w to, że cokolwiek pani powie, zmieni opinię, jaką mam na pani temat.

Powiedział to niemal czule, a kiedy Harriet uniosła wzrok, zrobiła to z uśmiechem i delikatnym rumieńcem.

- To brzmi niemal jak wyzwanie. Dobrze więc, będę tak szczera, jak tylko potrafię. I przykro mi, że stałam się zbyt wrażliwa.

Oparła łokcie o stół, a podbródek na dłoni. Gdy mówiła, palce drugiej ręki wystukiwały nieregularny rytm na poplamionym obrusie.

- Jak sam pan widział, Hugh wrócił z wojny w Ameryce z pokiereszowaną twarzą i okiem. Było to niedługo od czasu, gdy kupiliśmy Caveley. Również lady Thornleigh spotkaliśmy ledwie dwa miesiące temu. Aż do choroby lorda Thornleigh nikt z rodziny się nie pokazywał. Myślę, że Hugh pragnął pozostać w wojsku, ponieważ rana nie przeszkadzała mu w żołnierskim rzemiośle, ale gdy usłyszał o chorobie ojca i o tym, że los Aleksandra wciąż jest nieznany, uznał, że jego obowiązkiem jest wracać do domu. Po raz pierwszy spotkał wówczas swoją macochę. Zanim stała się lady Thornleigh, była tancerką i jest tylko o rok czy dwa starsza od Hugh. Nie są sobie przyjaźni. Cieszyłam się jednak, że powrócił i stał się tutaj częstym gościem.

Spojrzała gdzieś w przestrzeń po swojej lewej stronie, a Crowther czekał w milczeniu, aż zacznie mówić dalej.

- Hugh nie był wówczas taki jak teraz. Może nieco skłonny do przechwałek, dosyć głośny, chodziło tu jednak wyłącznie o dobry



humor i szlachetność ducha, która potrzebowała tylko zachęty. Nie pił, w każdym razie nie bardziej niż inni mężczyźni, a ponieważ życie we dworze nie było radosne, zdawał się szczęśliwy, że przesiaduje tu z nami, dzieląc się ze mną wojennymi opowieściami albo słuchając czytającej Rachel. - Uśmiechnęła się. - Wie pan, ona ma do tego talent. Powinnam ją posłać na scenę.

Crowther odwzajemnił uśmiech. Potem odchylił się w krzesło, złożył dłonie i czekał na dalszy ciąg.

- Jak więc mówię, wydawał się zadowolony, ale nadal pozostawał człowiekiem strapionym. Od czasu do czasu miewał ponury nastrój, zdarzyło się, że wstał i w pół słowa wyszedł z domu. Nigdy nie dociekałam przyczyny tego dziwnego odchodzenia. Przy obu okazjach rozmawialiśmy o niezbyt interesujących sprawach gospodarskich. Crowther rozprostował palce, najwyraźniej zajęty kontemplowaniem paznokci, i przemówił jakby w przestrzeń.

- Wie pani lepiej niż większość ludzi, że czas spędzony w walce potrafi czynić dziwne rzeczy z duszami najdzielniejszych osób.

Podniosła z obrusa łyżeczkę do herbaty i zakreśliła nią między palcami.

- Tak właśnie sądziłam. Dlatego zbyt się nie przejęłam i kiedy dostrzegłam uczucie rodzące się między panem Thornleighem a moją siostrą, pomyślałam, że może mu ono pomóc. - Jej uśmiech stał się nieco krzywy. - Prawdę mówiąc, ucieszyłam się, że Rachel usatkuje się tak szybko i korzystnie. Sądziłam, że wszystko już postanowione, poza ostateczną decyzją, i że on czeka tylko na przyjazd komandora, aby poprosić o jej rękę.

- A potem?

- Potem zaczął się zmieniać. To było jakieś dwa lata temu, dwa lata po tym, jak wrócił do Thornleigh. Pił więcej, jego nastrój stał się bardziej ponury. Czasem zdawał się całkiem szalony. - Crowther wyczuł w jej głosie żal i współczucie. - Pewnego wieczoru zjawił się u nas bardzo pijany. Wręcz krzyczał. - Zacisnęła usta. - Kazałam Davidowi i Williamowi wyrzucić go za drzwi. Padły gorzkie słowa.

- A pani siostra?

- Podejrzewam, że wkrótce po tym próbowała się z nim porozumieć, a on powiedział jej... nieprzyjemne rzeczy. Przez jakiś czas była zrozpaczona i nieszczęśliwa.

Harriet pochyliła głowę, wsparła czoło na dłoni. Łyżeczka trzymana w drugiej ręce z głuchym odgłosem padła na stół.

- Byłam głupia. Nie powinnam jej pozwolić na tę przyjaźń, ale mamy tutaj niewiele towarzystwa, a ja szczerze wierzyłam, że on ją kocha. Mój mąż mawia, że jestem naiwna, czasami nie stanowiłam dla niego takiego wsparcia w jego karierze, jak powinnam.

- Alians z tak wielkim rodem miałby swoje zalety.

- James to świetny dowódca. A co do pana Hugh Thornleigha: tak, był dziwny, ale także... - znów zaczęła kręcić łyżeczką, patrząc, jak jej trzonek łapie promienie słońca wpływające do pokoju, a potem odbija na ściany - ...panie Crowther, lubiłam jego towarzystwo. Obie czułyśmy się istotami, które znalazły się poza swym naturalnym środowiskiem. - Spojrzała zrezygnowana, powalając, aby odbicie światła przesunęło się po włoskim pejzażu, wiszącym nad pustym kominkiem. - Uważam, że ta historia wyrządziła naszej rodzinie poważną szkodę. Latem mój mąż przybył na kilka miesięcy do domu i zmusił nas do bywania na wszystkich spotkaniach towarzyskich w promieniu pięciu mil. Rachel ma słodką naturę, każdy, kto ją spotka, wie, że nie jest intrygantką, mój mąż to dżentelmen w każdym calu, zachowanie zaś Hugh w dalszym ciągu jest.. Tak, ludzie zaczęli mówić, że biedna Rachel uniknęła nieszczęścia. A ja byłam zadowolona. Bardzo nas zmęczył.

Crowther poczekał, aż Harriet uniesie oczy i napotka jego spojrzenie, a wtedy zapytał ją łagodnie:

- Czy sądzi pani, że istnieje jakiś związek między zmianą jego zachowania a wczorajszymi wydarzeniami?

Harriet przechyliła głowę.

- Ona się lęka, że zrobiła coś źle, coś, co sprawiło, że Hugh przestał ją kochać, ja zaś chciałabym, by się pod tym względem uspokoiła. Od tamtego czasu nie jest szczęśliwa.

- A pani, pani Westerman? Czy pani także chciałaby się uspokoić pod tym względem?

Nie odpowiedziała, tylko ze smutkiem pokiwała głową. Crow-ther znów skierował spojrzenie na koniuszki palców.

- Czy mniej więcej w owym czasie zdarzyło się jeszcze coś niezwykłego?

- Zjawił się ten jego nowy zarządca, Wicksteed. Powiem o nim panu tyle, ile mogę.

Crowther porzucił studia nad swoimi paznokciami i zmiotł z rękawa nieco okruchów, dopiero teraz je zauważywszy.

- Doskonale. Jestem bardzo zadowolony, że nie okazałyście się panie parą jędzowatych intrygantek. Zanim jednak opowie mi pani o zarządcy, ja opowiem pani o mojej rozmowie z sędzią i wieczornym spotkaniu z panem Hugh Thornleighem.

Harriet zaśmiała się z przerażeniem na widok tego, co pozostało z jej kawy, i wciąż jeszcze nieco się krztusząc, machnęła ręką, aby kontynuował opowieść.

- Bardzo dobrze. Opowiem zatem, ale tylko pod warunkiem że przestanie się pani bawić tą łyżeczką.

Odłożyła ją bardzo zgrabnie i usiadła prosto jak wzorzec skupionego słuchacza.

## 2

Aleksandra postanowiono pochować na cmentarzu przy kościele Świętej Anny, mniej więcej pół mili od jego domu. Istniały znacznie piękniejsze miejsca pochówku, ale właśnie tam spoczywała jego żona i pan Graves wierzył, że Aleksander nie życzyłby sobie rozdzielenia z nią. Przede wszystkim Graves poczytywał sobie za obowiązek dotarcie do kancelarii parafii i dowiedzenie się, co prawo może uczynić w kwestii ścigania zabójcy. Poranek zaczynał

dopiero wstawać nad miastem, gdy wyruszył, powierzywszy dzieci opiece panny Chase. Susan wciąż milczała, teraz jednak była raczej skupiona niż ogłuszona, Jonathana raz po raz ogarniała nagła fala żalu, która porywała i porzucała chłopczyka, tak jak chciała.

Graves szybko natknął się na ślady wydarzeń zeszłej nocy. Wstrząsnęło nim zniszczenie katolickiego kościoła przy Golden Square. Na ziemi leżały rozrzucone stronice, powyrywane z psalterzy i modlitewników, osmalone, poranione trzepoczące słowa. Dymiące pogorzeliisko rozłożyło się pośrodku jakby zakłopotanego prostokąta kamienic. Dostrzegł prety ławek oraz inne części wyposażenia kościoła, sterczące wśród popiołów jak poczerniałe żebra zwierzęcia zaskoczonoego przez pożar lasu.

Zatrzymał się na chwilę, obok niego przystanął jakiś całkiem zwyczajnie wyglądający jegomość, właśnie przemierzający plac.

- To straszne, prawda, jaśnie panie? Czyż oni nie wiedzą, że używamy tej samej Biblii?

Potał zarost na podbródku, a trzymany przez siebie lniany tobolek pełen rozmaitych rzeczy wygodniej ułożył na ramieniu.

- Jak można mienić się obrońcą prawdziwej wiary, a potem palić kościół? Chciałbym to wiedzieć.

Graves ze smutkiem pokiwał głową, a potem odsunął się zaniepokojony. Niczym diabeł, co przybywał, aby porwać ich z ruin zniszczonego kościoła, prosto z czarnych i lepiących się popiołów powstał jeszcze jeden człowiek. Pokuśtykał ku nim, z kapelusza zwisała mu mokra błękitna kokarda, plecy miał umorusane sadzą od ognia, przy którym prawdopodobnie spał. Graves i jego towarzysz nie ruszali się z miejsca, nieznajomy zaś, zataczając się, szedł ku nim poprzez plac, mylnie biorąc obu mężczyzn za admiratorów dzieła swych kompanów. Spojrzał na nich, a potem nachylił się ku twarzy Gravesa i patrząc na niego z ukosa oraz mrugając, oznajmił:

- Przecz z papizmem!

Gravesa zdjęło obrzydzenie, kiedy poczuł odór strawionego alkoholu w oddechu natręta. Odepchnął go od siebie. Protestancki

bohater wciąż jeszcze miał zbyt wiele w czubie, by utrzymać równowagę, zatoczył się więc do tyłu, potknął na resztkach spalonego krzyża, leżących mu u stóp, i gwałtownie wylądował na zadku.

Towarzysz Gravesa roześmiał się serdecznie. Mężczyzna zignorował go, wpił za to wściekłe spojrzenie w młodzieńca.

- Dostaniesz za to, ty katolicki bękarcie! Poznam cię jeszcze i dopadnę! Nie poruszył się, aby wstać, Graves zaś odwrócił się na pięcie, nie kłopotując odpowiedzią, i ruszył dalej swoją drogą. Całą tę wyprawę odbył jednak na próżno. Budynek magistratu obiegił tłum, nie pozwalając mu wejść. Uwięziono kilku uczestników zamieszek z zeszłej nocy, mieli zostać przesłuchani, potem zamknięci w Newgate, aby oczekiwać na sąd. Gravesowi wydawało się, że wśród tłumu dostrzegł czerwone kurtki. Na stopniach budynku żołnierze strzegli bramy.

- To sprawa morderstwa! - zaprotestował. - Muszę rozmawiać z sędzią! Kilka osób odwróciło się, by zmierzyć go spojrzeniem od góry do dołu.  
- Morderstwo to będzie, jeśli wyślą więźniów do lochu. Każdy z nich to prawdziwy protestancki bohater.

Graves spróbował przedostać się do przodu, lecz odepchnął go dwukrotnie większy mężczyzna o groźnym wyglądzie.

- Wynoś się stąd, chłopcze. Twoje sprawy mogą poczekać. Graves uczynił jeszcze jedną próbę i ten sam mężczyzna mocno wykręcił mu ramię, a potem szepnął do ucha z obrzydliwą poufałością:  
- Czy twej sprawie przysłuży się to, że tłum rozszarpie cię na strzępy? Wynoś się, powiedziałem.

Graves się wycofał. Jediną pociechą mogły być słowa pana Cha-se'a wypowiedziane zeszłego wieczoru, ruszył zatem omówić sprawy pogrzebu z księdzem od Świętej Anny. Proboszcz okazał się zatroskany i życzliwy. Pomysł, by pochować Aleksandra teraz, a zwrócić się do koronera, gdy w mieście już się uspokoi, uznał za rozsądny.

Graves na chwilę wrócił do swojego mieszkania - izby w jednej z nędznych kamienic w okolicy Seven Dials - aby zmienić ubranie, na którym ciągle jeszcze dostrzegał ślady krwi przyjaciela. Kiedy się przebrał, dłuższą chwilę spędził przed poplamionym i zakurczonym lustrem. Nie wygląda już na młodzika. Rana wciąż była świeża i wyraźna, ale prawdziwą zmianę stanowiła powaga w oczach, powaga, której nie rozpoznawał.

Owen Graves miał zaledwie dwadzieścia jeden lat. Przybył trzy lata temu z prowincji, z domu swego ojca w Cotswold, postanawiając w Londynie utrzymać się z pióra. To uczyniło wyłom między nim a rodziną, która usiłując z pensji duchownego żyć jak szlachta, liczyła, że może właśnie on dzięki studiom prawniczym osiągnie jakąś lepszą pozycję. Owen jednak okazał się romantykiem. Przez trzy lata trudził się, aby się wykarmić i odziać za pomocą pióra, a choć jego pracę często podziwiano, jeszcze nie stała się dochodowa.

Najlepiej pisał o muzyce, oferując krótkie sprawozdanie z koncertów rozmaitym gazetom, mającym bawić i informować mieszkańców stolicy, wydawcy często narzekali jednak, że chociaż Graves ma dobre pióro, cechuje go nieszczęsna skłonność do skupiania się bardziej na muzyce i tym, jak ją odebrał, niż na wymienianiu słynnych osobistości obecnych na koncercie, jak również prezentacji ich stroju czy zachowania. Często zatem próbował łączyć to, co niezbędne, z tym, co uważał za istotne, twierdząc, że jakaś osoba nadająca ton towarzystwu została szczególnie oczarowana melodią albo utworem. Sztuczka ta nieźle mu służyła, ci bowiem, których obdarzył wielką, muzyczną wrażliwością, rzadko chcieli jej zaprzeczać - i tak jakoś żył z trudem.

Kochał muzykę od dzieciństwa. Matka Owena miała piękny sopran, lecz zrezygnowała z kariery śpiewaczki, aby poślubić mężczyznę, którego kochała, i żyła z nim niemal w ubóstwie. Według rodzinnej legendy sam pan Haendel miał powiedzieć, że jej zniknięcie ze sceny to wielka strata i ogromna szkoda. Ojciec opowiadał to z dumą każdemu nowemu znajomemu, Graves zauważył jednak, że matka zawsze się krzywi, kiedy słyszy tę opowieść.

W mieście pan Graves spotkał Aleksandra na jednym z pierwszych koncertów, których wysłuchał w stolicy. Tak był wtedy zauroczony muzyką, że nie mógł się powstrzymać, by podczas przerwy nie podzielić się swoją przyjemnością z siedzącym obok dżentelmenem. Okazało się, że wychwala utwór będący również ulubionym utworem tamtego, jego opinii wysłuchano zatem z uznaniem.

Aleksander, będąc mężczyzną znacznie starszym, przez pierwsze miesiące zastępował Owenowi rodziców, dodając młodzieńcowi otuchy oraz udzielając rad, choć żaloba po stracie żony, Elizabeth, była jeszcze świeża. Graves odwdzieczył się miłością i lojalnością, a także swym entuzjazmem i energią. Dom Adamsa stał mu się niemal drugim domem. Dzieci były dlań niczym młodsze rodzeństwo, którego sam nigdy nie miał. W ich paplaninie znalazł ucieczkę od własnych lęków i niepowodzeń, a w Aleksandrze mentora, który obdarzył go zaufaniem. Teraz zaś musiał naprawdę zasłużyć na to, co tak łatwo mu wtedy przyszło.

Kolejne wyjście z domu wymagało od Gravesa wielkiego wysiłku woli. Zanim ruszył, przesunął luźne kartki po blacie stołu, jak dziecko przesuwające kaczęńce w sadzawce i nie wiedząc czemu, zastanowił się, czy jeszcze kiedyś tu wróci oraz jakim rodzajem człowieka się stanie, zanim znowu uniesie skobel.

Pomysł, by złożyć tego ranka wizytę lady Thornleigh, nie sprawił Harriet żadnej przyjemności. Odwiedziny takie zdawały się nie na miejscu, a pani Westerman nie miała ochoty znaleźć się w położeniu, gdy ktoś może potępić jej postępowanie.

Powód wizyty był niejasny nawet dla niej. Owszem, chciałyby zaprowadzić Crowthera do Thornleigh Hall i sprawdzić, czy i on wyczuwa tam aurę zepsucia, był to jednak dość mętny początek śledztwa w sprawie odnalezionych w zagajniku na wzgórzu zwłok. Tak właśnie powiedziała Crowtherowi i uspokoiła się nieco, słysząc, że jego zdaniem należałoby coś takiego uczynić.

- W mojej pracy, pani westerman - rzekł - często musimy badać sprawy ogólne, dopóki nie znajdziemy szczegółów, których mo-

żemy się uchwycić. Żywi pani pewne podejrzenia, których nadal nie da się wyrazić słowami. Musimy się rozejrzeć, mając na uwadze te odczucia, i zobaczyć, czy zdołamy dodać ciała szkieletowi naszych argumentów. A co do samej wizyty, sąsiedzi po prostu uznają, że jest pani dumna z tego, iż wyciągnęła mnie z mojej pustelni i paradyje ze mną jak z lampartem na łańcuchu.

Harriet nigdy nie umiałaby sobie wyobrazić powściągliwego i kostycznego Crowthera jako lamparta, ale obraz rozśmieszył ją, a jednocześnie dodał jej nieco odwagi.

Dużo wody upłynęło od czasów, gdy obie rodziny czyniły coś więcej poza wymianą uprzejmości za pośrednictwem służących. Rachel uznała, że ma obowiązek odwiedzić Thornleigh Hall razem z siostrą. Harriet uznała, że w ten sposób odpowiednio się zaprezentują, miała też niejasne wrażenie, że jest prawie okrutna, gdy podczas jazdy powozem ku głównej bramie dworu dzieliła się z Crowtherem wiadomościami, które rankiem zdradziła jej malutka krawcowa. Od czasu do czasu zerkąta na błądy profil siostry, Rachel jednak była zajęta przyglądaniem się mijanym widokom i udawaniem, przynajmniej jak na razie, że niczego nie słyszy. - Okazało się, że pani Mortimer koniec końców jest całkiem dobrze zaznajomiona z mieszkańcami dworu. Ostatniego zarządcę Thornleigh Hall uważano za człowieka surowego, ale praktycznego. Nie cieszył się popularnością wśród dzierżawców, był jednak ulubieńcem swego pana. Nieco ponad dwa lata temu pojawił się niespodziewanie Claver Wicksteed, a Hugh oznajmił, że ma zamiar uczynić go zarządcą. Jego poprzednik został zwolniony z odprawą pozwalającą mu kupić mały sklepik i odszedł w ciągu tygodnia. W uszach brzmiały mu jeszcze wyrzekania dzierżawców.

Crowther odwrócił się ku Harriet, unosząc brwi. Oboje zwrócili uwagę na zbieżność pojawienia się Wicksteeda ze zmianą zachowania Hugh.

- Czy powiedziała coś konkretnego? Czy Wicksteed zajął się czymś więcej niż zwykle obowiązki zarządcy? - spytał.



Wzruszyła ramionami. Crowther zawsze uważał, że u kobiet gest ten jest wulgarny, nauczył się już jednak pozwalać pani Westerman na wszelakie swobodne zachowania.

- Nie, chociaż oczywiście w tak wielkim majątku zajęć jest wiele. Wziął się do rent i napraw i nikt już więcej nie zobaczył Hugh zajmującego się sprawami posiadłości. Był czas, gdy sam zarządzał majątkiem, ale czas ów przeminął. Wszystko przechodzi przez Wicksteeda, a pan Thornleigh w ogóle o to nie dba.

- Dziwne, że nie zdecydował się zaszyć gdzieś w Londynie. Harriet pokiwała głową.

- Ja też byłam zaskoczona, że znów nie wyjechał. Wydawało się, że jest niespokojny, ale nie odwiedził stolicy, odkąd przybył Wicksteed. Wedle słów pani Mortimer, Wicksteed rządzi w posiadłości, a podejrzewam, że to przeczy jej poczuciu, jaki powinien być właściwy porządek rzeczy. Jedyne osoby we wsi, które dobrze wyrażają się o Wicksteedzie, to te młode dziewczęta, z którymi nie miał do czynienia.

Crowther spojrzał na nią pytająco.

- Nie, nie mam na myśli żadnego skandalu. Nigdy go nie widziano, by zalecał się do jakiegoś miejscowego dziewczęcia. Jeśli jego wygląd zdobywa dlań przyjaciół, to w sposobie załatwiania spraw przejawia taką brutalność i tak dobrze zna dobrodziejstwa, które daje zajmowanie się posiadłością, że bezlitośnie wykorzystuje swą przewagę. Myślę, że znajduje w tym przyjemność.

- Musimy chyba przyjąć, że Wicksteed i pan Thornleigh znali się już wcześniej?

- Tak. Pan Hugh powiedział nam wkrótce po przybyciu Wicksteeda, że służyli razem na początku rebelii w Ameryce, chociaż nigdy nie słyszałam, aby wymieniał jego nazwisko, gdy wcześniej opowiadał nam o swoich przygodach. A ja już po miesiącu od jego powrotu do domu sądziłam, że mogę wymienić po imieniu każdego człowieka z jego regimentu.

Rachel odwróciła się od okna i spojrzała na Crowthera.

- Amerykanie mają chyba całkowite prawo do głoszenia niepodległości, prawda, panie Crowther? Dlaczego nie mieliby się sami

rzadzić? Uważam, że to wielki wstyd, iż mój szwagier James musi walczyć na takiej wojnie.

Jej siostra wyglądała na rozzłoszczoną, wyprostowała się.

- Mój mąż wypełnia swój obowiązek.

Rachel wyciągnęła rękę i poklepała siostrę po kolanie, jak matka dodająca otuchy dziecku.

- Oczywiście, Harriet. I jestem z niego bardzo dumna, robi taki dobry użytek z pieniędzy, które dostaje za wzięte łupy. Nie podobają mi się tylko rozkazy, jakie dostaje.

Obie kobiety promieniowały spokojną pewnością siebie, którą Crowther uznał za interesującą. Wyrażały to w różny sposób, zauważył jednak, że charakteryzowała je ta sama silna wola. Zastanawiał się, jaki był ich ojciec.

- Panno Trench, jest pani obrończynią wolności - zauważył. Nagrodzony został uśmiechem.

- Owszem. Ale jeśli ma pan do powiedzenia jakieś nieprzyjemne rzeczy o rodzinie Thornleighów, proszę zrobić to teraz. Jesteśmy już w parku.

Dwór Thornleigh Hall wzniesiony został przez drugiego earla tego rodu dwieście lat temu. Przez pokolenia wielokrotnie i pod wieloma względami go ulepszano, tworząc elegancki, imponujący budynek.

Szeroka fasada z białego kamienia pełna była wysokich regularnych okien, jakby wewnątrz gmachu mieścił się aż nadmiar pomieszczeń.

Dwór obmyślono raczej tak, by robił wrażenie, a nie zapraszał i taki też był, począwszy od rozległych trawników, po ozdobne sadzawki

obramowujące wejście, od wielkiej bramy, która mogłaby połknąć cały ich powóz, po niezliczone kominy, kojarzące się bardziej z miastem niż domem jednej rodziny, od rzeźbionych herbów nad drzwiami, po misterne kamienne przeplatania pod każdym oknem - wszystko to mówiło o bogactwie i potędze właścicieli, tak pewnych siebie, że nigdy nie musieli kłopotać się czymś tak małym, jak pojedyncza istota ludzka przekraczająca ich progi.

Nie wysiadając z powozu, przekazali wyrazy uszanowania dla lady Thornleigh i tak szybko, jak przypuszczali, zaproszono ich do środka.

Po wejściu do holu obie siostry i pokojówka, która ich prowadziła, zatrzymały się na chwilę, pozwalając Crowtherowi chłonąć wspaniałość miejsca. Wielkie olejne malowidła wisiały po obu stronach klatki schodowej, która rozciągała się przed nimi, prowadząc ponad głowami ku salonom na pierwszym piętrze. Obrazy przedstawiały głównie sceny biblijne oraz mityczne bestie zabijane przez herosów o ciałach niemal karykaturalnie doskonałych. Towarzyszył im szereg portretów rodowych, gdzie wszyscy przedstawieni na nich w całej okazałości wielmoże otoczeni byli insygniami bogactwa, sztuki i władzy.

Z podnóża schodów Crowther mógł spojrzeć w sklepienie. Kopulasty świetlik zapewniał tyle jasności, by można było podziwiać freski pokrywające sufit. Przedstawiały niebiosa, piekło oraz rodzinę Thornleighów zgromadzoną wokół Dzieciątka Jezus, siedzącego w ramionach swojej Matki i z Thornleigh Hall sądzącego wszelkie stworzenie. Najwyraźniej właściciele dworu uważali, że to właśnie ich dom wybrany zostanie na miejsce, gdzie dokona się Sąd.

- Sufit pomalowano wkrótce po tym, jak obecny earl odziedziczył tytuł po ojcu - powiedziała Harriet. - O, tam jest dzisiejszy lord Thornleigh, obok Michała Archanioła.

Uczony spojrzał we wskazanym kierunku. Przystojny mężczyzna o pociągłej twarzy i w gronostajach wyglądał tak, jakby nic sobie nie robił z archanioła i jego płonącego miecza nad swoją głową. Pobożnie unosząc złożone ręce ku Dzieciątku Jezus, lord Thornleigh zerkał jednocześnie do tyłu, ku mękom potępionych dusz, jeśli nie z przyjemnością, to w każdym razie z zadowoleniem. Wizerunek ów sprawił, że Crowther poczuł się nieswojo.

Służąca najwyraźniej uznała, że przerwa trwała już wystarczająco długo.

- Proszę tędy, madame. - Kiedy prowadziła ich schodami, Crowther bezmyślnie liczył ubranych w liberie lokajów, stojących wśród cennych dzieł sztuki. Znudził się jednak, gdy doliczył do pięciu, i przyspieszył kroku, aby zrównać się z paniami.

Bawialnią, gdzie czekała pani domu, tak biła w oczy, że Crowther zląkł się, czy nie poczyni jego wzrokowi stałego uszczerbku.

Pokój był złoty, wyłącznie i wręcz przytłaczająco. Tapiseria przedstawiała złote kwiaty lili, wyciśnięte na aksamicie jaśniejszego podłoża, odsunięte zasłony obszyto ciężkim złotym brokatem, złote oparcia krzesel zdobił nadmiar rzeźbionych cherubinów, chmur i rogów obfitości; portrety na ścianach ujęto w ciężkie złoczone ramy. Półkę nad kominkiem zastawiono złotymi bibelotami, pośrodku stał zegar, wysoki prawie na jard, gdzie krzepcy złoci pastuszkowie i złote pasteczki na złotych wzgórzach przygotowywali się, aby małymi złotymi młoteczkami wygrywać kwadransy na złotych dzwoneczkach.

Kobieta czekająca w tej bawialni wyróżniała się wśród owego przepychu niczym pojedyncza lilia na wysadzonym klejnotami ołtarzu. Była mniej więcej w wieku Harriet i nieco od niej wyższa. Kiedy weszli, patrzyła pochylona przez jedno z wysokich okien frontonu budynku. Odwróciła się, gdy pokojówka zaanonsowała gości, i przez dłuższą chwilę spoglądała na nich w milczeniu. Teraz właśnie, pomyślał Crowther, objawiło się piękno.

Lady Thornleigh miała ciemne włosy, duże oczy i pełne usta. Zarys jej ciała, widoczny pod formalną, dopasowaną suknią, zdobioną koronkami, sugerował kształty, które należałoby wielbić. Byłaby doskonałą modelką dla każdego artysty, pragnącego przedstawić Marię Magdalenę. Płynąca od niej zmysłowość przewyższała nawet przygniatająca obecność złota. Crowther poczuł, jak robi mu się sucho w ustach, i zastanawiał się, czy pani Thornleigh zawsze wita gości na stojąco i czy każdą wizytę zaczyna od chwili milczenia, aby mogli ją podziwiać oraz przywyknąć do jej obecności wśród nich.

- Pani Westerman, całą wieczność wchodziła pani po schodach.

Widziałam, jak wysiada pani z powozu już dziesięć minut temu.

Harriet ruszyła przez pokój.

- Nie mogłyśmy się oprzeć temu, milady, aby się nie zatrzymać, żeby pan Crowther mógł podziwiać malowidła.

- Och. - Lady Thornleigh wzruszyła ramionami. - Są okropne, ta krew, jaką trzeba codziennie oglądać, wchodząc schodami. Chciałam, aby je stąd zabrano, lecz mój syn Hugh nie chciał o tym słyszeć.

Mówi, że to nasze dziedzictwo. Też mi dziedzictwo, ja wolałabym coś weselszego. Teraz pijam kawę w salonie na górze, mogę więc uniknąć spoglądania na nie przed śniadaniem.

Spojrzenie pięknych oczu przesunęło się po Crowtherze, a on poczuł się nagi i bezbronny niczym ukarane dziecko.

- Lady Thornleigh, czy mogę przedstawić pana Gabriela Crowthera? - powiedziała Harriet. - Mieszka w Laraby House, we wsi.

Gabriel skłonił się, lady Thornleigh odwzajemniła mu się lekkim dygnięciem. Ruchy miała pełne doskonałej gracji, choć wkładała w nie minimalny wysiłek. Crowther przypomniał sobie, że ongiś była tancerką. Chciałby móc obejrzeć ją na scenie.

- Tak, poznaję pana. wymieniliśmy wyrazy uszanowania, kiedy przybył pan do wsi.

- Lady Thornleigh, byłem niewolnikiem swych badań.

Spojrzała na niego znowu, patrząc przez dłuższą chwilę z szyderczym uśmiechem. Słowo „niewolnik” zdawało się sprawiać jej przyjemność. Przerwała tę chwilę ciszy szelestem sukni.

- Usiądźmy zatem. Panno Trench, miło mi tu panią widzieć.

Kiedy lady Thornleigh zajmowała się wymianą uprzejmości, robiła to z tak źle skrywanym znudzeniem, że Crowther niemal się roześmiał. Gdy usiedli, odchyliła piękną głowę i wezwała lokaja, krzycząc głośno, jak przekupka zachwalająca makrele.

- Duncan! - Złote drzwi otworzyły się ponownie, służący wetknął przez nie głowę w kunsztownie upudrowanej peruce. - Herbaty! - Głowa kiwnęła i wycofała się.

Lady Thornleigh znowu chwilę stała przed nimi.

- Panie Crowther, czy podoba się panu moja bawialnia? Earl uszykował ją dla mnie jako komplement, gdy się pobieraliśmy. Mówił, że do mnie pasuje. Wtedy uznałam to za wielką dobroć, teraz jednak zastanawiam się, czy sobie ze mnie nie dworował.

Ziewnęła lekko, osłaniając usta dłonią. Crowtherowi nieodparcie kojarzyła się z kotem, a uśmiech na jej czerwonych wargach sprawiał, iż żywił nadzieję, że nigdy nie zostanie ptaszkiem, którego

lady Thornleigh wybierze, by się nim zabawiać. Ukłonił się lekko. Harriet poprawiła spódnicę.

- Mam nadzieję, milady, że lord Thornleigh miewa się dobrze? Lady Thornleigh odchyliła nieco głowę, by podziwiać złocony sufit.

- Cały czas tak samo. To takie ponure: wychodzi się za człowieka dla jego zalet, a potem on je traci.

Powoli przenosiła spojrzenie na każde z nich.

- Jakże zajmującym był towarzyszem, zanim go poślubiłam. Zawsze miał do powiedzenia wiele mądrych rzeczy o swych przyjaciółach i sąsiadach. Jaka szkoda, że przed chorobą nigdy nie spotkał dam z Caveley Park.

Lady Thornleigh umilkła, pozwalając owemu stwierdzeniu przez chwilę wisieć w powietrzu, a potem zwróciła spojrzenie ku Crowtherowi.

- Jak państwo wiedzą, najpierw bawiliśmy w Londynie. Earl często spacerował ze mną po londyńskich parkach, a wszystkim tym księżnom wdowom poszło w pięty. O tak, potrafił nauczyć je grzeczności. Wszyscy się go bali. A teraz ludzie po prostu się nad nim litują.

Nikt nie umiał znaleźć na to odpowiedzi. Nawet jeśli lady Thornleigh uznała ową ciszę za niezręczną, niczego nie okazała. Teraz skupiła uwagę na Rachel.

- Panno Trench, muszę pani podziękować za medykamenty, które nam pani przysłała. Pachniały ohydnie, sama pani przyzna, ale pielęgniarzka powiedziała, że złagodziły te dolegliwości, na które jest podatna skóra lorda Thornleigh.

- Podczas ostatniej choroby mego ojca zapewniały mu one nieco ulgi - odparła łagodnie Rachel.

Harriet spojrzała na siostrę zaskoczona. Lady Thornleigh zauważyła to i szeroko otwierając oczy, przechyliła głowę na bok.

- Nie wie pani o tym, pani Westerman, że siostra stała się aptekarzem? Wkrótce usłyszysz pani, jak połowa Hartswood chwali jej maści na skórę. - Odwróciła się ku Rachel i podniosła dłoń,

aby żartobliwie pogrozić jej palcem. - Powinnaś je, moja panno, wycenić na szylinga, to błąd sprzedawać je tylko za sześć pensów. Ludzie cenią sobie rzeczy, jeśli muszą za nie płacić. Bierz od nich szylinga, a będą mówić, że to cudowny środek, któż bowiem zechce poślubić głupca wydającego pieniądze na jakieś bzdury?

Po tej chwili ożywienia lady Thornleigh siadła na krześle, z prawdziwą przyjemnością obserwując zdumienie Harriet. Potem znowu odwróciła wzrok, aby spojrzeć gdzieś w złote powietrze.

- To zdumiewające, jak mało niektórzy ludzie wiedzą o tym, co dzieje się w ich własnym domu.

Uniosła dłoń ku twarzy i na chwilę przygryzła dolną wargę, poprawiając ciemny pukiel.

- A to przecież nie jest wielki dom. Crowther kaszlnął.

Rytuał podawania herbaty trwał. Gabriel zauważył, że Harriet czuje się trochę zagubiona w obecności żony earla. Sposób, w jaki podjęła temat zwłok odnalezionych w lesie, wydawał się dość nieporadny.

- Czyż to nie dziwne, lady Thornleigh, że przy trupie znaleziono pierścień wicehrabiego Hardew?

Lady Thornleigh ziewnęła. Nawet dłonie ma wyjątkowo pięknej, pomyślał Crowther. Nim odpowiedziała, uniosła jedną z nich do ust. Piękno dłoni to zawsze kwestia proporcji, sprawa długości kości palców względem ich połączenia tworzącego śródrezcze, proporcji tłuszczu i mięśni i, oczywiście, jakości oraz właściwości skóry.

- Zapewne znalazł go w Londynie, rozpoznał herb i szedł do dworu, aby zobaczyć, czy uda mu się uzyskać od Hugh jakąś nagrodę - oznajmiła, wzruszając ramionami. - Ja właśnie tak bym zrobiła.

Harriet na chwilę zmarszczyła brwi, potem jednak mozoliła się dalej.

- Dziwne jednak, że od tak dawna nie było żadnych wieści o wicehrabim Hardew, a teraz nagle pojawił się pierścień. Wicehrabia opuścił dom, zanim przybyliśmy do Caveley. Nie sądzę, abym kiedykolwiek słyszała o szczegółach tej sprawy.

- Nie słyszała pani? No tak, zawsze uważałam, że jest pani ponad taki sentymentalizm. No cóż, możemy spędzić czas, opowiadając tę historię raz jeszcze. Jak się nad tym zastanowić, jest nawet zabawna.

Lady Thornleigh umilkła, aby sięgnąć po jedno z wykwinnych ciastek podanych do herbaty i skubnęła je białymi zębami. Chyba jej nie smakowało, odłożyła je z nieznacznym grymasem odrazy i wybrała z tacy inne. To musiało być lepsze, gdyż mówiąc, trzymała je między białymi palcami.

- Aleksander zakochał się w kimś z tej rodziny, u której mieszkał na stacji. To rodzina z Chiswick o zabawnym nazwisku. Ach tak, Ariston-Grey. Trąci mi to banalną francuszczyzną. Jacyś muzycy. Owdowiały ojciec ze swoim potomstwem. Aleksander miał bzika na punkcie muzyki. Starzec umarł, przygrywając na skrzypcach ku uciesze rodziny, chociaż jestem pewna, że mój mąż płacił mu wystarczająco dużo za przechowywanie Aleksandra przez te wszystkie lata i nie musiał zabawiać ludzi wygrywaniem nut.

- A może, lady Thornleigh, czynił tak z miłości do muzyki -podsunęła Rachel.

- Skoro pani tak twierdzi, panno Trench. - Lady Thornleigh spojrzała na nią lekko zdumiona. - Ja miałam styczność z muzyką wyłącznie w związku z moją profesją. Żaden rzeźnik w wolnej chwili nie zabija zwierząt dla rozrywki. Czemu skrzypek miałby grać w wolnym czasie? Rachel nie znalazła na to odpowiedzi i milady mówiła dalej:

- Co zabawne, dama owa okazała się tak straszliwie cnotliwa, że nie mógł jej mieć, uprzednio nie poślubiwszy. Mąż mój straszliwie się rozżłościł. Uznał Aleksandra za śmiesznego głupca. Twierdził też, że skoro nie potrafi jakiejś dziewczyny skłonić do przychylności, nie żeniąc się z nią, z pewnością nie nadaje się również do tego, by zarządzać posiadłością, jako że rabowano by go na każdym kroku. Jak wszyscy mówią, Aleksander był zatrwająco wręcz prostolinijny, zanim więc zdołalibyście splunąć, opuścił dom, gotów wziąć za żonę tę dziewczynę wraz z nędznym groszem, jaki pozostawił skrzypek. Od tamtej pory o obojgu słuch zaginął.



Zjadła odrobinę ciastka.

- Mówiłam, że to zabawne. Oczywiście i lorda Thornleigh miano za nieco śmiałego, skoro ożenił się ze mną, sędzę jednak, że to raczej zarozumiałość Aleksandra i jego żalosne peany na temat cnót wybranki niż nierówność tego związku sprawiły, że zerwali ze sobą.

Otarła okruchy z ust i uśmiechnęła się w koci sposób.

- Mamy tyle pieniędzy, że Thornleighowie mogliby się żenić z biedaczkami przez pięć pokoleń i wciąż byłyby tu rasowe konie oraz lód w lipcu.

Ciemne oczy powędrowały ku twarzy Rachel.

- O tak, gdyby tylko naprawdę chcieli to czynić.

Reszta wizyty składała się już tylko z kilku banałów oraz próby rozmowy o pogodzie. Lady Thornleigh ziewała tak szeroko, że Crowther obawiał się, by nie wywichnęła sobie pięknej szczęki. Czynione przez nią uwagi były bardzo niemiłe. Spodziewał się, że Rachel oraz Harriet wyjdą stąd bardzo rozeźlone, obie jednak stały się jakoś dziwnie wyrozumiałe.

Poczuł się zaskoczony tą szlachetnością.

- Nikt w Londynie nigdy jej nie przyjął, nawet gdy lord Thornleigh był zdrowy, stąd te opowieści o straszaniu księżnych - oznajmiła Harriet, gdy powóz ruszył.

- Ale dlaczego nie stara się teraz poznać więcej przyjaciół, kiedy jej mąż zachorował? - zapytał Crowther. - Sądziłbym, że po roku małżeństwa ma na tyle szerokie znajomości, by ochoczo wydawać jego pieniądze.

Rachel odwróciła się od okna i wygładziła suknie.

- Tak naprawdę ma niewiele własnych pieniędzy. I musi stale przebywać tam, gdzie jest lord Thornleigh, aby w ogóle cokolwiek otrzymywać.

Zapisy w intercyzie były bardzo dokładne. Gdy lord Thornleigh umrze, ona zostanie opiekunką ich małego synka i zyska władzę nad pieniędzmi chłopca, choć i tego jest niewiele. Resztę będzie dostawać z łaski nowego earla, Aleksandra, jeśli zostanie odnaleziony. Hugh również ma niewiele.

Na jej miejscu zapakowała-

bym w koc ten okropny zegar i uciekła do Londynu, ale ona jest na to przypuszczalnie zbyt leniwa.

Panna Trench zauważyła, że zarówno Crowther, jak i Harriet spoglądają na nią zdumieni, szeroko otwierając usta.

- Pan Thornleigh mi o tym opowiedział - odparła z lekką przekorą. - A poza tym, Harriet, mówiłam ci, że robię maści na skórę, według starych receptur mamy. Po prostu nie słuchałaś - dodała nieco nadąsana. - Gdybyś mnie słuchała, zauważyłabyś, zajmując się rachunkami na następny kwartał, że zarobiłam cztery funty.

Harriet patrzyła na nią oszołomiona.

- Panno Trench, udało się pani zaskoczyć siostrę tak, że aż oniemiała. To chyba duże osiągnięcie.

Rachel napotkała spojrzenie Crowthera i uśmiechnęła się wesoło.

- Jeśli ciekawią panią zapalenia skóry, mam kilka książek, które mogę pani pożyczyć. Nie są to lektury, jakie zwykłem polecać damom, ale skoro uznaje to pani za zajmujące...

Panna Trench wyglądała na bardzo zadowoloną. Crowther chwilę wyglądał przez okno, starając się, aby jej uśmiech zbyt nie rozmroził mu kości. Zrobił to w samą porę, by dostrzec jakąś postać stojącą pod wielkim portykiem dworu. Był to mężczyzna szczupły, ale jeśli Gabriel mógł to stwierdzić z odległości, dobrze zbudowany. Nie był to Hugh Thornleigh, nie wyglądał też na lokaja. Włosy miał ciemne. Stał nieruchomo, spoglądając na oddalający się powóz. Jego postawa zawierała w sobie spokój, który Crowther uznał za dziwnie niepokojący.

### 3

Zrób pani przejście! No, Joe, rusz się i przynieś krzesło pani Westerman. Ruszże zadek, mówię ci, na litość boską! Pani Westerman, proszę mi wybaczyc.

Rankiem zwłoki przeniesiono ze stajni Caveley do komory przy gospodzie. Piętnastu ławników, zwołanych poprzedniego wieczoru przez koronera spośród bywalców oberży Pod Niedźwiedziem i Koroną, miało możliwość pocmokania nad nimi z dezaprobatą i wnikliwego wpatrywania się w oczy zmarłego. Teraz zaś ławnicy, koroner, a także świadkowie i gapie cisnęli się w niskiej surowej izbie z tyłu gospody.

Michaels, właściciel, mawiał, że ma zamiar urządzać w niej koncerty oraz zabawy taneczne, Harriet podejrzewała jednak, że izba zbyt dobrze nadaje się na zimowy schowek solonej wieprzowiny oraz worków z ziemniakami, by opłacało się poświęcić ją czemu innemu. Elegancką bajeczkę o tym, że znani muzycy szykują się już do całodniowej podróży z Londynu, aby zabawić tutejszych ziemian, w dalszym ciągu rozpowiadano jednak po sąsiedztwie, tak jakby sama pogłoska zwiększała sławę okolicy.

Michaels był ogromnym mężczyzną, który życie rozpoczął na londyńskich ulicach, a za sprawą miłości do koni, szczęścia oraz głowy do interesów po czterdziestce stał się człowiekiem zamożnym i właścicielem kwitnącego przedsięwzięcia. Nikt nie wiedział, jakie nosi imię i czyje w ogóle kiedykolwiek miał. Dzieci, przyjaciele, nawet żona nigdy nie zwracali się do niego inaczej. Co rano można go było znaleźć przy piwie i gazecie, otoczonego gwarem domostwa -do potomstwa karczmarza często dołączali kuzyni oraz siostrzeńcy, o których mówiono, że potrzebują jego hojnie rozdawanej, szorstkiej miłości. Powiadano, że to do niego wielu zwraca się o rozsądzenie sporów i że zawsze okazywał się sprawiedliwy, wręcz z urodzenia nieprzekupny. Niektórzy mieszkańcy wsi martwili się, że sędzia nie zgodzi się na takie obejście swej władzy lokalnego przedstawiciela prawa, ale Harriet od dawna uważała, że Bridges zawarł z Michaelsem jakieś porozumienie.

Radowała się wsparciem karczmarza także teraz. Michaels przepchnął się przez tłum i postawił dla niej krzesło nieopodal stołu, wokół którego zasiedli ławnicy. Zjawilo się sporo okolicznych mieszkańców, choć szlachta najwyraźniej uznała, że cała ta sprawa

jest jej niegodna - albo jeszcze o niej nie usłyszała. Tak właśnie pomyślała Harriet, rozglądając się wokół. Pani Westerman stwierdziła też, że większość wiejskich sklepików pozamykano przez wzgląd na nieobecność sprzedawców, właścicieli i klientów. Crowther zajął miejsce za nią. Gdy go rozpoznano, wśród tłumu rozległo się kilka pomruków, ale niesłusznie oczekiwał oznak wrogości. Mężczyzna, którego jak sądził, mógł znać jako ojca swej pokojówki, mruknął coś w jego stronę i zanim Gabriel się spostrzegł, został przezeń obdarowany krzesłem i wcale nie nieprzyjaznym ukłonem.

Rozejrzał się wokół. Uszykowanie izby przypominało kościół, gdzie ławnicy odgrywali rolę panny młodej, koroner pana młodego, zaś stojący i siedzący wzdłuż ścian gapie - rodziny i przyjaciół. Po drugiej stronie pomieszczenia dostrzegł Hugh Thornleigha. Jak zwykle wyglądał niechlujnie i jakby nie na swoim miejscu. Crowther zauważył, że usadowił się tak, iż większość pomieszczenia pozostawała przed nim ukryta ze względu na ślepotę prawego oka. Z jego lewej strony, opierając się nieco o krzesło, siedział ten sam szczupły mężczyzna, którego Gabriel widział na schodach Thornleigh Hall. Człowiek ten był czarniawy, rysy miał ostre. Crowther pomyślał, że wygląda nieco zbyt wyraziście, aby przez kobiety zostać uznanym za prawdziwie przystojnego. Kości policzkowe miał trochę zbyt wystające, podbródek zbyt wysunięty do przodu. Zapewne niedawno skończył trzydzieści lat, tyle co Hugh Thornleigh, chociaż prezentował się znacznie lepiej. Przypominał nieco karykatury wielkich aktorów, które widywał w „Illustrated News”. Nawet dla człowieka powściągliwego w ruchach jak Crowther towarzysz Thornleigha zdawał się nienaturalnie spokojny. Mówił coś do swego pana, a po wygięciu szyi Crowther poznał, że Hugh go słucha. Pytając zerknął na swoją towarzyszkę. Uchwyciła jego spojrzenie i szybko kiwnęła głową. A zatem to właśnie jest Claver Wicksteed. Mężczyzna zdawał się błyszczeć niczym wypolerowany. Crowther zastanawiał się, czyjego źrenice nie są aby białe wśród jasnej tęczówki, jakby zrobione z cienkiej okleiny, składającej się z macicy perłowej i klonu. Wicksteed miał figurę wręcz śliczną, niczym przyciągający

spojrzenia mebel w komnacie pięknej damy, Gabriel jednak powątpiewa! w jakość wykonania. Hugh z surową miną, wpatrywał się w zakurzoną podłogę obok własnych skrzyżowanych kostek.

Crowther obejrzał się do tyłu, pochwycił uprzejmy uśmiech oraz ukłon sędziego, który rozmawiał z dwójką mężczyzn w średnim wieku, zapewne farmerów. Zwróciwszy ponownie oczy przed siebie, zobaczył Joshuę Cartwrighta, który stał ponury pod oknem. Sklepiarz nie odzywał się do nikogo, tylko ściągał kłaczki z rękawa, aż uczony zaniepokoił się, czy pod koniec spotkania nie będzie miał całkiem łąsych mankietów. Koroner rozejrzał się wokół, potem wstał i uciszył tłum.

Zgromadzeni uciszyli się nawzajem, szmer dotarł aż do tylnych drzwi, gdzie wzmocnił go pomruk Michaela. Zapadła cisza. Koroner był wyraźnie zadowolony z osiągniętego efektu.

Przedstawiono dowody oraz zadano pytania. Harriet opowiedziała, jak znalazła zwłoki podczas porannej przechadzki, mówiła o swoim pomysłe, by zwrócić się zarówno do Crowthera, jak i sędziego, a także by posłać po Hugh. Dodała, iż ten ostatni stwierdził, że to nie jego brat. Wspomniany dżentelmen odwrócił się na krześle o trzy czwarte, aby widzieć przemawiającą panią Westerman. Twarz nadal miał ponurą.

Krótkiej opowieści Harriet wysłuchano z szacunkiem. Przewodniczący ławy podziękował w imieniu wszystkich za to, co uczyniła, a także za to, iż uprzejmie raczyła zjawić się tu i porozmawiać z nimi. Kiedy mówiła, Crowther zauważył w jej zachowaniu jakieś nienaturalne napięcie, chęć, by patrzeć na koronera oraz przewodniczącego zza długich rzes, skrywających zielony błysk oczu. Dostrzegł w tym niemy apel do dżentelmenów, by obchodzili się z nią łagodnie. Zareagowali na to stosownie i gdy usiadła, w powietrzu dawało się niemal wyczuć atmosferę męskiej troskliwości. Tylko Hugh i Wicksteed nie spoglądali na panią Westerman z dobrotliwą pobłażliwością.

Rzuciła Crowtherowi przepaszające spojrzenie. Cały ten popis zrobił na nim wrażenie, dobrze bowiem potrafił dostrzec zalety, a także ochronę, jaką w podobnych okolicznościach mogło dać nie-

co kobiecej powściągliwości. Wyobrażał sobie jednak, że pani Westerman nie lubi udawać kogoś innego, niż jest, i współczuł jej, iż takie zachowanie okazało się konieczne. Zastanawiał się, czy kobiety w ogóle potrafią być sobą, skoro uciekają się do takich sztuczek. Nigdy jednak nie poznawszy niebezpieczeństwa, na które może się narazić szczerą niewiasta, powstrzymał się od osądu. Rozmyślenia przerwał mu głos koronera wzywającego jego nazwisko.

Gabriela również wysłuchano z szacunkiem, chociaż nie udało mu się wzbudzić sympatii wśród zgromadzonych. Opowiedział o ranie, o prawdopodobnym czasie zgonu oraz o tym, że zbadał całość dolnych kończyn zwłok. Czasem musiał przerywać, aby swój zawodowy żargon tłumaczyć na język zrozumiały dla ławników. Gdy wspomniał o uwadze Hugh Thornleigha, że Aleksander utykał po wypadku w młodości, zdziwił się, słysząc potwierdzenia wykrzykiwane przez niektórych mężczyzn: „Prawda, prawda! Tak się stało, gdy miał siedem lat!” Cała wieś zgodziła się odegrać dla sądu rolę chóru. Crowther odniósł niemiłe wrażenie, że jest aktorem dającym przedstawienie na Drury Lane. Sądząc po tonie pytań i odpowiedzi, zgromadzeni generalnie sądzili tak samo, jak lady Thornleigh: iż obcy przybył, szukając nagrody za odnalezienie pierścienia, do zguby doprowadziły go zaś jakieś sprawy, które podążyły za nim. Nie okazano więc zaskoczenia, że koroner, wezwawszy Joshuę Cartwrighta, zachowywał się jak mag, wyciągający spod koszuli szczególnie dużego królika.

Joshua faktycznie miał w sobie coś z królika, zgromadzeni musieli go od czasu do czasu zachęcać, aby się odezwał. Przyznał, że to ciało człowieka, którego znał, Cartera Brooka. W imieniu Hugh Thornleigha poprosił go, by spróbował odnaleźć ślad jego starszego brata, wicehrabiego Hardew.

Zgromadzeni byli zdumieni, szmer szeptów wzmógł się i zanikł niczym przelotny deszcz. Zadano kilka pytań o rodzinę i pozycję Brooka, a Joshua podzielił się z ławnikami oraz całą izbą tym, że jego zdaniem Brook nie ma żadnej rodziny. Potem jednak przysiągł, jakby chcąc usprawiedliwić to, że sprowadził do wsi podobnego typu, iż

napisze do gospodyni Brooka, powiadamiając ją o tym, co się stało, co pozwoli jej swobodnie dysponować własnością zmarłego, a także ponownie wynająć pokój. Koroner uznał ten pomysł za rozsądny i zaproponował Cartwrightowi możliwość spisania jego wniosków pod koniec dzisiejszego dnia oraz włączenia do nich wszelkich informacji, jakie uzna za odpowiednie.

Chór wyraził satysfakcję serią pomruków i skinieć głową, które rozchodziły się od widzów po ławników i z powrotem, wznagając jak fale na małej sadzawce. Coraz więcej osób i coraz dłużej wpatrywało się w tył głowy Thornleigha, rozległo się też powszechne westchnienie ulgi, kiedy wreszcie kopnięciem odsunął krzesło i wstał. Zwracał się bezpośrednio do koronera, ale Crowther, widząc jego zarumienioną twarz, mógł stwierdzić, że jest świadomy wpatrzonych weń oczu zgromadzonych.

- Chciałem wiedzieć, gdzie jest mój brat, i zapewnić go, że niezależnie od jego sytuacji będę rad, widząc go tu znowu.

Pomruk akceptacji.

„Dobrze, dobrze”, stwierdził jakiś bas od strony drzwi. „Oto nasz zacny kapitan”, powiedział ktoś inny.

Koroner spojrział surowo na gapiów, a oni ucichli. Crowther nie odrywał oczu od Hugh, widząc, jak po jego twarzy na dźwięk głośno wypowiedzianej wojskowej rangi przemyka grymas bólu.

- Carter Brook napisał do mnie, twierdząc, że ma dla mnie jakieś wieści i dogodnie będzie mu przekazać je osobiście. Poprosiłem go o przyniesienie na dowód czegoś związanego z moim bratem, gdyż w przeszłości nieraz bywałem zwiedziony fałszywymi tropami.

Jakkolwiek prowadziłby się Hugh, widać było, że mieszkańcy wsi wciąż skłonni są go lubić, ponieważ znowu wśród tłumu rozległy się głosy:

„Prawda, prawda” i „To straszne, naprawdę straszne utracić brata”. Jakiś wysoki dyszkanat zagubiony wśród kurtek gdzieś z tyłu zapiszczał: „Jakie to diabelnie bezmyślne, tak stracić syna”. Hugh jeszcze bardziej poczerwieniał, chociaż nadal się nie odwracał, za to Michaels gwałtownie uniósł masywną głowę ku temu, który się odezwał.

- Baker, już ci mówiłem, że jak nie pijesz, to masz trzymać gębę na kłódkę.

Wszyscy się roześmiali.

- I, do diabła, wyrażaj się ładnie, bo jest tu dama. Wszyscy się z tym zgodzili.

Koroner, jak usposobienie godności, odczekał, aż zgromadzenie znów ucichnie i dał znak Hugh, by mówił dalej.

- Nie spotkałem się z Brookiem o umówionej porze. Młody Thorpe chciał się ze mną widzieć i rozmawialiśmy jakiś czas o zmianach, które zamierza wprowadzić na dzierżawionych ode mnie gruntach.

Tłum jęknął i roześmiał się, a Crowther zauważył, że jakiś młodzieniec kuli się pod ścianą, jakby chciał stać się niewidzialny i przeniknąć ją, i rumieni się ze wzrokiem spuszczonego pod nogi.

Harriet nachyliła się do Gabriela i szepnęła:

- To bystry chłopak i głowę ma pełną pomysłów ulepszeń. Ale nie ma pojęcia, kiedy rozmowa z nim staje się męcząca. Sądzę, że niektóre z jego wynalazków podwyższyłyby mój dochód o dziesięć funtów rocznie, ale unikam go, chyba że czuję się wyjątkowo cierpliwa.

Hugh poczekał, aż gwar ucichnie.

- A zatem spóźniłem się na spotkanie z Brookiem o co najmniej godzinę.

- No to się panu udało - rozległ się jakiś głos z tyłu. Młody Thorpe wyglądał na bardzo skruszonego.

Koroner zwrócił się w stronę zgromadzonych.

- Czy mogę przypomnieć, dżentelmeni, że rozmawiamy tu o sprawie morderstwa?

Dało się słyszeć nieco szurania stóp i do izby powróciło trochę powagi.

Koroner ponownie zwrócił się do Hugh.

- Chciałbym wiedzieć, dlaczego nie zaprosił pan tego człowieka, by poczekał na pana w pańskim domu.

Thornleigh zdawał się nieco zakłopotany, a Crowther zauważył baczne spojrzenie Wicksteeda wbite w plecy mężczyzny.



- Obawiałem się, że wieści, jakie mógł przynieść, są delikatnej natury. Takiej, iż wymagana może być ostrożność. - Hugh chrząknął. - W mierze, w jakiej ufam swym domownikom, nie chciałem zwracać niczyjej uwagi na moje poszukiwania ani na to, czego mógłbym się dowiedzieć, zanim będę miał czas, aby zastanowić się nad wszystkim.

Ciekawe, w izbie nie rozległy się teraz żadne pomruki, ani aprobaty, ani zwątpienia, trwała jedynie spokojna cisza, jakby tę decyzję można było osądzić i tak, i tak.

- A gdy dotarł pan do miejsca, w którym mieliście się spotkać...?

- Nikogo tam nie było. Czekałem dość długo, wypaliłem cygaro, wreszcie ruszyłem z powrotem do domu. Dopiero później dowiedziałem się, iż znaleziono jakieś ciało.

Koroner i ławnicy spowaźnieli. Hugh miał chyba zamiar usiąść, ale koroner uniósł dłoń.

- Jeszcze jedno, czy ten pierścień, który przyniósł ze sobą Brook, był bardzo cenny?

Hugh spojrział na niego zaskoczony.

- Trudno mi powiedzieć. Jest złoty i jak mniemam, dość ciężki. Mam go tu ze sobą.

Sięgnął do kieszeni i rzucił klejnot przewodniczącemu ławy. Mężczyzna chwycił pierścień w powietrzu, potem wraz z towarzyszami pochylił się, w wielkim skupieniu oglądając pierścień.

- Co na to powiesz, Wilton? - zawołał Michaels ze środka izby. - Twój wuj jest jubilerem w Pulborough, prawda?

Najwyraźniej zdaniem tłumu owo pokrewieństwo było na tyle bliskie, by Wiltona, małego człowieczka o przetłuszczonych włosach, uczynić ekspertem, a zatem przekazano mu pierścień i wszyscy czekali w napięciu na to, co ogłosi.

- Co najmniej dwa funty - stwierdził z absolutnym przekonaniem. - Nawet ze zdrapanym herbem.

wszyscy pokiwali głowami ze znawstwem, a pierścień oddano koronerowi, który wręczył go Hugh z wyszukaną grzecznością.

Zasadniczo w izbie nie było miejsca, gdzie ławnicy mogliby się naradzić, stłoczyli się zatem w najdalszym rogu pomieszczenia, a wszyscy zgodzili się nie przyglądać im, póki nie skończą. Zwróceniem plecami do zgromadzonych, starali ze sobą rozmawiać tak głośno, jak tylko się dało. Jakiś mały chłopiec, Crowther domyślał się, że to potomek Michaela, przecisnął się przez tłum ze szklanką lemoniady dla pani Westerman. Harriet obdarzyła go wielkim uśmiechem, który przyprawił malca o rumieniec. Gdy tłum przesunął się wokół nich, znalazła sposobność, aby wyciągnąć rękę i złapać młodego Thorpe'a za rękaw. Odwrócił się do niej, wciąż z miną winowajcy, dość zawstydzony.

- Thorpe, mówiłam właśnie panu Crowtherowi, że w zeszłym roku twoje pomysły z pewnością powiększyłyby mój dochód z posiadłości o dziesięć funtów.

Młodzieniec pokraśniał z zadowolenia i wyprostował plecy.

- Dziękuję pani, pani Westerman. Przykro mi, że zatrzymałem pana Thornleigha, jednak ten Wicksteed - wręcz wypluł jego imię - powiedział mi, że właśnie jest dobry moment, aby go zagadnąć. Wiedziałem, że powinienem się pospieszyć, ale sprawa, którą chciałem objaśnić panu Hugh... - Zbierał się właśnie do tego, co jak obawiał się Crowther, mogło być bardzo długim objaśnianiem, kiedy Harriet położyła palec na ustach.

- Thorpe, sadzę, że ławnicy podjęli już decyzję. Spójrz, koroner rozmawia z przewodniczącym.

Młodzieniec pokiwał głową, uśmiechnął się raz jeszcze, a potem odszedł. Harriet odwróciła się na krześle, w kierunku ławy. Crowther nachylił się ku niej.

- Mówiła mi pani, że nikt nie zwraca się do pana Thornleigha w sprawach posiadłości?

- Tak - zgodziła się - ale młody Thorpe potrafi być natarczywy.

Crowther popatrzył na nią, zastanawiając się, jak opisać wyraz jej twarzy. Kiedy zdecydował się na „zadowolenie z siebie”, koroner właśnie zaczął mówić.

- Pragnę podziękować wszystkim, którzy przemawiali, dziękujemy także ławnikom. Sądzymy, że człowiek ten został zabity przez kogoś, kto planował zrabowanie pierścienia. Przypuszczalnie podążał za Brookiem z Londynu i skorzystał z tego, że Brook udał się w jakieś odludne miejsce. Sądzymy, że pan Hugh Thornleigh wystraszył go tak, iż uciekł, nim zdołał zabrać pierścień. Ławnicy pragną wyrazić przed panem Thornleighem swoje ubolewanie, iż nie zdołał usłyszeć od Brooka żadnych wieści o swoim bracie.

Po izbie rozszedł się basowy pomruk zgody. Ławnicy zdawali się na wpół przytomni.

- Przedstawiłem tu nasze wnioski, a jeśli wszyscy się z nimi zgadzamy, zapiszę je i będziecie je mogli panowie podpisać. Nie będę się trudził ponownym odczytywaniem przysięgi: wszyscy słyszeliście ją wystarczająco dobrze za pierwszym razem.

Ławnicy przytaknęli na różne sposoby i darowali sobie przysięgę.

Koroner rozejrzał się wokół, aby sprawdzić, czy w izbie zapanowało odpowiednie skupienie, następnie wyciągnął przed siebie dokument, wysuwając ręce, dopóki nie ujrzał tekstu wystarczająco wyraźnie. Wtedy odczytał:

„My, ława, uznajemy, co następuje: nieznana osoba, nie mając Boga przed oczyma, została nakłoniona przez diabelskie knowania, aby pójść w lasy Caveley Park i nocą pierwszego czerwca Roku Pańskiego 1780 zadać Carterowi Brookowi, obcemu w tej parafii, brutalny, a śmiertelny cios w szyję ostrym narzędziem, który to Brook tam zaraz zmarł.

Rzeczni ławnicy, pod przysięgą wyżej wspomnianą, twierdzą, że rzeczona nieznana osoba, po tym, jak popełniła rzeczoną zbrodnię i morderstwo w wymieniony uprzednio sposób, zbiegła nocą, gwałcąc pokój naszego wymienionego wyżej Pana, a także Króla, jego Korony oraz czci”.

Wszyscy ławnicy uroczyście pokiwali głowami, po izbie rozeszło się westchnienie satysfakcji. „Zacna mowa”, rozległ się bas przy drzwiach, „prawie tak dobra jak w kościele”, oznajmił ktoś inny. Koroner nieco się zarumienił i odłożył kartkę, uśmiechając się ze

swojego krzesła do wysokiego niczym wieża Michaela, który stał w drzwiach.

- Taka praca wzmacnia pragnienie. Czy bar jest otwarty?

- Zawsze mam coś do picia dla królewskich sług, przyjacielu. I tak samo dla członków ławy. Reszta płaci za siebie.

Izba zaczęła szybko pustoszeć.

Wokół otwartego grobu zgromadził się spory tłum. Słyszając pośród różnorodności zgromadzonych, wieść o śmierci Aleksandra i jego pogrzebie powędrowała z jednego krańca miasta na drugi. Nawet w dniach zamieszek i niepokoju sąsiedzi rozmawiali z sąsiadami, a słowa płynęły tam i z powrotem, aż zdało się, że każdy wdychał najświeższe wieści wraz z powietrzem. Aleksander Adams przez lata spędzone w Londynie zyskał sobie i utrzymał wielu oddanych przyjaciół. Przybyli niemal wszyscy muzycy z Drury Lane. Graves widział, jak wspólnie tłoczą się dwa kroki za nim, jakby ich długie, wzajemne obcowanie na ciasnej scenie sprawiło, że ścisk zrobił się dla nich czymś naturalnym, nawet gdy wokół nie było ścian.

Przybyli także kompozytorzy, którzy polegali na Aleksandrze w kwestii sztychowania oraz drukowania ich dzieł. Zjawił się pan Paxton i spróbował powiedzieć coś do Susan, ale słowa zamarły mu w gardle, wszystkim więc, co zdołał uczynić, było położenie na chwilę dłoni na jej ramieniu. Potem szybko się odwrócił i odszedł między nagrobkami, a jego wypolerowana laska błyszczała w słońcu.

Dzień był upalny i niemiły. Wszędzie wokół widać było ślady zamieszek z nocy. Na ulicach panował spokój, ale w powietrzu dawało się wyczuć napięcie, jakiś niesympatyczny nastrój. Kiedy kondukt przybył na cmentarz przy kościele, ujrzano mężczyznę drzemającego w poprzek rynsztoka, tak że niosący trumnę musieli go obejść. Miał

on kapelusz obwiązany wstążką, w pijackim śnie tulił do siebie kawałki poszarpanego futra, jakby stanowiły jedyną jego miłość i troskę. Między zgromadzonymi prześlizgnął się konstabl parafii, stary, brudny, starannie unikający zwracania na siebie uwagi kogokolwiek, kto mógłby zażądać od niego pomocy w obronie swej własności przed tłuszczą. Mruczał pod nosem: „Biedny pan Adams, biedny pan Adams, w jakichże czasach żyjemy”, aż wreszcie Graves, obawiając się, że może jeszcze bardziej przygnębić Susan, zmarszczył brwi, nakazując mu milczenie.

Dziewczynka nadal nic nie mówiła, ale Owen miał nadzieję, że powoli wraca do siebie. Bez zastanowienia podał jej dłoń, gdy stanęli przy trumnie obok drzwi sklepu, a Susan bez namysłu ją ujęła. Jonathan chwycił jej drugą dłoń. Nie mógł ruszyć, dopóki nie poczuł obok siebie panny Chase. I tak oto niezgrabnie, nieporadnie, cała czwórka poszła za trumną jako główni żałobnicy.

Na wszelkie pytania związane ze śmiercią Aleksandra tłum znalazł już odpowiedź poprzez własnych wywiadowców, Graves zaś czuł, że oczy wszystkich tu obecnych przypatrują się ranie na jego twarzy, kiedy wydaje im się, że on tego nie widzi. Zastanawiał się, czy zostanie mu jakaś blizna. Cięcie nie było głębokie, a panna Chase starannie utrzymywała je w czystości, chociaż często zastanawiał się, czy woda w Londynie jest do tego stosowna.

Pastor oczekiwał ich przy grobie. Słońce właśnie stało w zenicie i pastor wyraźnie cierpiał z powodu upału. Nadał policzki, pot spływał mu spod peruki po bruzdach czerwonej twarzy. Uśmiechnął się jednak do Susan, ugiął stare kolana, by powiedzieć coś do Jonathana. Szepnął im obojgu co nieco o ceremonii, jaka miała się odbyć, powiedział także, że ich tata jest już w niebie. Następnie stanął przy mogile i odchrząknął.

Zanim zdołał się odezwać, pod bramy cmentarza podjechały dwie karoce z herbami earla Cumberlandu i wicehrabiego Carnathly. Tłum zauważył to i zaszemrał. Susan nie podniosła wzroku. Obaj parowie byli wielbicielami muzyki, a Graves wiedział, że Aleksander korespondował z nimi oraz regularnie przekazywał im próbki swo-

ich nowych prac. Przesłanie własnych karoc, aby teraz asystowały pogrzebowi przy furtach, stanowiło piękny sposób okazania szacunku zmarłemu.

Graves zobaczył, że Susan w końcu odwraca się i bez emocji patrzy na karety. Jonathan wpatrywał się w konie z szeroko otwartymi oczyma. To były cudowne zwierzęta. Graves miał nadzieję, że karoce zostaną tu na tyle długo, by chłopczyk zdążył podejść i porozmawiać z woźnicami. On sam dałby teraz wszystko, by w delikatny, formujący się dopiero umysł włożyć inne obrazy niż te, których świadkiem chłopiec był wczoraj. Odniosł też wrażenie, że ogląda wszystko z wielkiego dystansu i wysokości: zgromadzonych mężczyzn i kobiety, z powagą przesuających się w orszaku pogrzebowym, sposób, w jaki dłoń Susan zaciska się wokół jego dłoni, kiedy na pokrywą trumny padły pierwsze łopaty ziemi. Zauważył swojego znajomego, pisarza z Grub Street, który notował wieści dla „Daily Advertiser”, przyuczajony gdzieś z tyłu. Wyglądał na tak samo głodnego i znużonego jak Graves, młodzieniec nie potrafił więc mieć mu za złe, że po cichu wypytuje o coś sąsiada Aleksandra. Strony z nowinami trzeba było czymś wypełnić, należało zaspokoić ciekawość ludzi. Dziennikarz uniósł wzrok i napotkał spojrzenie Gravesa. Popatrzył z zaciekawionym, ale Owen pokręcił głową, wycofał się więc z ukłonem.

Pastor zakończył modlitwę i tłum zaczął odchodzić od grobu, pozostawiając kościelnemu zasypianie dziury w ziemi. Sam Graves nie ruszał się, pozwalając Susan wszystko oglądać. Wiedział, że co do Jonathana myśli panny Chase podążają tym samym torem co jego. Gdy tylko zgromadzeni zaczęli się przesuwać, poprowadziła chłopczyka w stronę koni. Graves widział, jak wita się z woźnicami. Malca posadzono na koźle i pozwolono mu trzymać lejce, potem znalazł się z powrotem na ziemi, aby pogłaskać chrapy pierwszej pary z zaprzęgu earla Cumberland. Graves spojrział na Susan. Ona też przyglądała się Jonathanowi. Oczy i policzki miała mokre od łez i nie mógł się powstrzymać, aby nie przytulić jej delikatnie. Jakiś czas chlipała mu w płaszcz, a potem jęknęła głośno. - Panie Graves? - zapytała drżącym głosem.

- Tak, Susan?

- W sklepie jest pudełko, papa kazał mi go pilnować i trzymać przy sobie. Chyba o tym zapomniałam. - Głos miała teraz spokojny, mówiła szeptem. Graves ledwie ją słyszał. - Może pójdziemy tam i weźmiemy je?

Pamiętam, gdzie jest schowane, papa mi powiedział.

- Oczywiście.

Przeszli obok ostatnich żałobników, każdy z nich wymamrotał kondolencje i uchylił kapelusza przed małą dziewczynką. W końcu dotarli do panny Chase i gdy Graves wyjaśnił, jaką mają teraz misję, Susan poszła po brata. Dzieci mówiły coś między sobą - Jonathan rozejrzał się dokoła, szeroko otwierając oczy, jakby bał się każdej możliwości rozdzielenia, potem stopniowo uspokoił się dzięki siostrzanym szeptom i czułości. Widać było, że dziewczynka czeka na odpowiedź, a Jonathan powoli jej przytakuje. Potem odwróciła się, podeszła do Gravesa i panny Chase, a następnie ze spokojem, od którego pękało serca, oznajmiła:

- Jestem gotowa, panie Graves. Czy możemy iść? Ukłonił się i podał jej ramię.

## 5

Pani Westerman, Crowther oraz Rachel byli jedynymi żałobnikami na pogrzebie Cartera Brooka. Gdy przybyli na cmentarz, kościelny wraz z pomocnikami spuszczał już trumnę do mogiły. Idąc ścieżką, która prowadziła spod bramy kościoła ku cmentarzowi, spostrzegli, że mężczyźni chwilę rozmawiają ze sobą, a następnie najmłodszy z nich, właściwie jeszcze chłopiec, odłożył łopatę i pomknął do zakrystii. Crowther uśmiechnął się pod nosem. Chłopiec po chwili spieszenie wrócił z pastorem, poprawiającym koloratkę, i starającym się wyglądać tak, jakby zamierzał się tu znaleźć od samego początku.

Crowther zerknął na pannę Trench. Zjawili się tutaj z jej namowy. Niezwykły, wijący się strumień wieści rozplątał się po domostwach, dotarł od chłopaka kościelnego do rzeźnika, który następnie znalazł się w Caveley Park z wołowym udźcem, w ten więc sposób Rachel wiedziała, że pogrzeb odbędzie się wieczorem, zanim Harriet i Crowther zdążyli w ogóle o tym pomyśleć. Gdy wszyscy powrócili z przesłuchania, zastali stół nakryty do późnego obiadu. Panna Trench uważała, że powinni szybko się z nim uporać, by w ciągu godziny wrócić do wsi. Jej siostra zaprotestowała.

- Rachel, musimy mieć chwilę spokoju! I trochę czasu, aby porozmawiać o tym, co zaszło! - Spojrzała na siostrę szeroko otwartymi oczyma z małej sofy, na którą ciężko opadła. - Największą przysługą, jaką możemy oddać panu Brookowi, jest dowiedzenie się, dlaczego zginął i z czyjej ręki. Nie sądzisz przecież, że zrobił to jakiś pechowy złodziejasek, prawda?

Ale szczupła postać Rachel aż jaśniała przekonaniem o moralnej słuszności, takim, jaką daje i dać może tylko osiemnaście lat.

- Nie. Chciałabym wierzyć, ale nie mogę. Ale, Harriet, możesz się przecież zastanawiać nad tym później albo jutro. I pan też, panie Crowther. A ten biedny człowiek zostanie pochowany tylko raz i sądzę, że ktoś powinien być tego świadkiem. Chcielibyście, aby złożono was do grobu w samotności, nieopłakiwanych?

- Wątpię, czy będzie mnie to wówczas obchodziło. - Harriet, widząc, że skończyły jej się argumenty, porzuciła próby zachowania umiarkowanej delikatności. Skrzyżowała ramiona na piersiach. - I jak w ogóle możemy go opłakiwać? Poznaliśmy tego człowieka, kiedyjuż był zimny.

Rachel chwyciła siostrę za rękę, a zdawało się, że za chwilę nastąpi jej na stopy.

- Harriet, należy to zrobić i ty o tym wiesz. Byłaś świadkiem jego śmierci, bardzo dobrze, bądź zatem i świadkiem jego pogrzebu. Jakimkolwiek był człowiekiem, należał do bożych stworzeń i zasługuje na to, byśmy wyświadczyli mu tę uprzejmość.

Harriet była niewzruszona - tylko, jak zauważył Crowther, zmarszczyła nos na wspomnienie Boga. Rachel zmrużyła oczy.



- Jeśli chcesz przez cały wieczór rozmyślać o śmierci, równie dobrze możesz się tym zajmować w ciszy cementarza.

Te słowa sprawiły, iż jej siostra roześmiała się i wreszcie zgodziła. Zanim kolacja trafiła do ich żołądków, już ponownie ruszali do wsi, tym razem pieszo, Harriet bowiem miała wrażenie, że powozem byłoby zbyt pompatycznie jak na tak krótką wizytę.

Pani Westerman na widok pastora, drepczącego w stronę mogiły, poczuła zadowolenie. Dobrze, że siostra zmusiła ją do tej wycieczki. Miejsce było naprawdę odpowiednie do rozmyślań o śmierci. Nie zaskoczył jej werdykt koronera, chociaż zastanawiała się, ilu mieszkańców wsi weni uwierzyło. Taki wyrok stanowił wygodną wymówkę, z łatwością można przecież zaakceptować pomysł, że dwaj rabusie, spokojnie, przez dzień drogi ścigali się, walcząc o pierścień. Przez chwilę zastanawiała się, czy w to nie uwierzyć. Mogłaby wówczas uśmiechać się z zadowoleniem, niczym wiejska matrona, bawić dziecko i podobnie jak siostra dostrzegać tylko to, co widoczne tuż przed nią. Skrzywiła się, nie, taka maska byłaby nieprawdziwa i nieuczciwa, jak w ogóle coś podobnego przyszło jej do głowy! Ksiądz zauważył grymas i przez chwilę wydawał się zmieszany. Sprawdził coś w modlitewniku, lękając się, że sroga pani Westerman przyłapała go na błędzie. Uspokojony czytał dalej.

Harriet popatrzyła na siostrę. Rachel była zupełnie zadowolona z siebie. Więcej od pani Westerman wiedziała o sekretach życia na prowincji. Cały kłopot polegał na tym, że naprawdę miała dobre serce. To dawało jej cierpliwość i przekonanie o moralnej słuszności, których czasem siostra jej zazdrościła, a czasem uważała za nieznośne. Kiedy zakończono już odmawianie modlitw, Rachel podała pastorowi dłoń z uśmiechem, który sprawił, że wielebnego wręcz komicznie przepełniła duma. Harriet i Crowther ukłonili się, a niewielkie zgromadzenie ruszyło z powrotem do Caveley. Każde z nich szło pogrążone we własnych myślach i ku własnemu celowi.

Nie uszli daleko, gdy ujrzeli przed sobą sylwetkę jakiegoś mężczyzny. Nadchodził wieczór, było jednak tyle światła, by dostrzec,

zanim jeszcze się zbliżyli, że to Hugh Thornleigh. Crowther bardziej wyczuł, niż zobaczył lekkie wahanie w krokach Rachel, a kątem oka zauważył, jak dziewczyna stanowczo unosi podbródek. Cóż, to pewnie udreka, pomyślał, żyć w pobliżu nieczułego kochanka. Zastanawiał się, czemu Harriet nie zabrała stąd siostry. Może to sama Rachel zdecydowała, by na co dzień stawiać czoło swym demonom. Crowther nie uważał tej sytuacji za dobrą dla łagodnego umysłu, nieważne, jak bardzo koilyby go pracowitość i pobożność.

Hugh dostrzegł ją i się odwrócił. Wymienili ukłony.

- Przybyłem na pogrzeb Brooka - oznajmił. - Pomyślałem, że ktoś powinien tu być, a Cartwright nie był w stanie. Niezbyt mu się podobają te spotkania z podejrzanymi osobnikami. Widziałem państwa, ale pomyślałem, że nie będę niepokoić. To dobrze, że właśnie państwo są tutaj. Dobry wieczór.

Nikt nie miał wątpliwości, że słowa te skierowane były do Rachel, wszyscy jednak uprzejmie udawali, że Hugh zwraca się ogólnie do nich. Harriet odchrząknęła, jakby chciała coś powiedzieć, choć doprawdy nie wiedziała, co mogłaby rzec. Uratował ją okrzyk dobiegający od strony wznoszącego się za nimi zbocza, na skraju parku Thornleigh Hall. Po stoku pędził jakiś chłopak, podarta kurta łopotała za nim, stopy ślizgały się po mokrej trawie.

- Panie Thornleigh, panie Thornleigh, niech pan przyjdzie, szybko!

- Co się stało?

Chłopiec zatrzymał się przy nich i o mało nie upadł. Był bardzo blady.

- Opiekunka Bray! W chatce więdźmy.

Odwrócił się i popędził z powrotem w stronę, skąd przybiegł. Crowther spojrzał na Harriet, która unosiła poły spódnicy, by ruszyć w ślad za chłopcem.

- To stary domek dozorczy, na skraju lasu - rzuciła krótko. Ruszyła w górę zboczem, za nią podążyli Crowther, Rachel

i Hugh. Za linią drzew u szczytu wzniesienia Gabriel dostrzegł

niewielki zrujnowany domek. Istotnie, puściwszy wodze wyobraźni, można w nim było zobaczyć chatę odpowiednią dla czarownicy. Ściany i dach miał podziurawione, ocienione drzewami, kamienny mur porósł bluszcz. Szerokie drzwi stały otworem, kurczowo uczone ostatnich zawiasów. Jakby umówieni, zatrzymali się przed zasłoną wiszącą w wejściu. Chłopiec wskazał w tamtą stronę, bladość sprawiała, że na twarzy barwą wyróżniał się jedynie kurz. Wyglądał jak sentymentalna alegoria pastuszka. Weszli do środka, Hugh na przodzie. Z trudem starali się wypatrzeć jakiś sens wśród wzorów światła i cieni. Nagle Rachel krzyknęła, odwróciła się i osunęła w ramiona Harriet, która objęła siostrę, szeroko otwartymi oczyma patrząc przed siebie, za jej głową. Obaj mężczyźni stanęli się, jakby zatrzymani wielką falą odpływu. Z jednej z krokwi, biegnących nad ich głowami, zwisało ciało kobiety. Twarz miała czarną, język na wierzchu. Jej stopy dyndały w powietrzu zaledwie kilka cali nad kamienną podłogą. Przy akompaniamencie skrzypienia drewna i powroza ciało obracało się powoli, pod wpływem delikatnego wietrzyku. W pewnej chwili jej twarz odwróciła się ku nim. Harriet poznała ją, nawet tak zniekształconą. Była to opiekunka Bray, kobieta służąca w Thornleigh Hall, która niczym dar od Boga zjawiała się wkrótce po tym, jak lord Thornleigh zachorował. Od tamtej pory troszczyła się o niego. Harriet odwróciła się, osłaniając siostrę. Zaciśnęła mocno powieki i czekała, aż serce zacznie jej wolniej bić.

- Musimy ją zdjąć - rozległ się głos Crowthera. - Czy ta beczułka jest solidna?

Usłyszała głucho uderzenie buta o drewno, gdy beczułkę przewrócono i wypróbowano, a następnie chrobotanie drewna o kamień, gdy ktoś ciągnął antałek po posadzce.

- Panie Thornleigh, ma pan nóż?

Nastąpiła chwila ciszy, potem trzask otwieranego ostrza i straszliwy skrzyp odcinanej liny. Harriet przypomniała sobie odgłosy, jakie w czasie bitwy dochodziły z izby, gdzie leżeli ranni. Zawsze się jej zdawało, że zza przekleństw, jęków i eksplozji słyszy chrobot

chirurgicznej piły tnącej kość. Rozległ się trzask, gdy sznur ustąpił, i pełne wysiłku jęknięcie Hugh, który podjął brzemie, jak również westchnienie, gdy ułożył już ciało na ziemi.

- Nie żyje? - odezwał się Thornleigh.

- O, tak - oschle stwierdził Crowther.

Harriet otworzyła oczy. Gabriel klęczał obok ciała, Hugh stał z boku.

- Do diabła!

Przekleństwo Hugh rozbrzmiało echem w pustej chacie i niczym odgłos strzału wystraszyło gawrony, przycupnięte na drzewach. Odfrunęły ze wściekłym wrzaskiem. Rachel wzdrygnęła się, a potem uwolniła z objęć siostry. Starannie unikając patrzenia tam, gdzie leżało ciało, ruszyła do drzwi. Harriet odwróciła się i usłyszała, że siostra rozmawia z chłopcem.

- Jak ci na imię?

- Jack.

- Musisz stąd wyjść. - Wyciągnęła dłoń, a malec wetknął brudne palce w jej czarną rękawiczkę i pozwolił się wyprowadzić na blaknące światło dnia.

Harriet oparła się plecami o chropowatą ścianę i już uspokojona, obserwowała Crowthera. Uczony przesunął spojrzeniem po zwłokach, jakby czytał jakiś tekst. Uniósł dłonie, by odchylić fałdy płaszcza oraz powróz na szyi kobiety, następnie zwrócił wzrok ku Harriet. Pojęła, o co mu chodzi.

- Czy mógłby pan sprowadzić tutaj swoich ludzi, panie Thornleigh? Tym razem ciało pod każdym względem jest pańską sprawą.

Hugh rzucił jej wściekle spojrzenie i wyszedł. Kiedy Harriet usłyszała kroki cichnące na zewnątrz, przeszła przez pokój i przykucnęła naprzeciwko Crowthera.

- Rozzłościła go pani i to sprawiło, że wyszedł szybciej. Ale obawiam się, że jeszcze szybciej tu wróci.

Uśmiechnęła się lekko i wskazała drzwi, za którymi czekali Rachel i chłopak. Potem uniosła palec do ust. Crowther skinął głową.

Znów spojrzał na ciało, nagle marszcząc brwi, i uniósł nadgarstek opiekunki. Były na nim bardzo wyraźne sińce, tam gdzie arteria promienista chowała się pod miękkim ciałem spodu przegubu. Były również podskórne krwiaki po bokach ręki, tam gdzie przedramię łączy się z delikatnymi kośćmi dłoni. Mógł bez trudu poruszać zwłokami, pani Bray zmarła nie dalej niż kilka godzin temu. Harriet zdjęła rękawiczki, upchnęła je do kieszeni wierzchniej sukni i widząc to, co dostrzegął Crowther, podniosła lewą dłoń opiekunki. Było tam jeszcze więcej sińców nad przegubem. Uniosła martwą dłoń, przejechała palcem po odcisniętej bruździe. Zdrapała coś końcem palca, a potem pokazała Crowtherowi. Spojrzał. Jakieś włókno. Delikatnie odłożyła dłoń zmarłej.

- Sznur - oznajmiła cicho, krzyżując ramiona.

Crowther poczuł, jak zimno przepływa mu przez brzuch, chociaż wieczór był ciepły. Znowu uważnie przyjrzał się prawej dłoni opiekunki, rozprostował jej palce jak ktoś, kto leniwie bawi się ręką ukochanej na sofie w salonie. Jeden paznokieć był złamany, pod trzema znalazł resztki skóry i krwi. Uniósł wzrok, aby sprawdzić, czy Harriet dokładnie się temu przygląda i czy pojęła to, co widzi. Usta miała zaciśnięte, całe ciało napięte z uwagą. Gabriel odłożył dłoń opiekunki Bray, po czym oboje, jakby kierowani jedną myślą, spojrzeli na wykrzywioną twarz zmarłej.

- Odetnę sznur od szyi - cicho oznajmił Crowther. Tam, gdzie powróż cisnął gardło, póki go nie zadławił, widać było purpurową bruźdę. Długimi palcami wymacał kręgi na karku. Nie pękły, a zatem Bray umarła z braku powietrza. Nie była to łatwa śmierć. Gabriel przypomniał sobie, jak na polecenie profesorów wystawał pod szubienicami, mając nadzieję, że dzięki datkom i pomocy strażników, powstrzymujących tłuszczę, zdobędzie ciało do sekcji. Oglądał zarówno szybką, jak i powolną śmierć przez powieszenie. Jeśli pod ciężarem ciała nieszczęśnikowi nie pękł kark, czasem jego przyjaciele biegli pod szafot, uwieszając się całym ciężarem nóg, by agonია zakończyła się możliwie szybko. Widywał matki, ciągnące stopy swych

synów - przyspieszenie śmierci było ostatnią przysługą, jaką mogły oddać swoim dzieciom. Najbardziej nieprzyjemne były towarzyszące wszystkiemu odgłosy, zmagania powietrza, beużytecznie bulgoczącego w zamkniętym naczyniu gardła, świst nóg, dyndających jak u marionetki, cały ten taniec na sznurze. Zastanowił się, czy ktokolwiek złapał opiekunkę Bray za nogi, aby skrócić jej konanie.

Harriet delikatnie zaczęła obmacywać potylicę zmarłej. Przypomniała sobie, jak zrobiła to samo z kadetem służącym pod dowództwem jej męża, podczas ich ostatniego wspólnego rejsu. Chirurg odjął chłopcu nogę w kolanie, ale i tak uśmiercił go odłamek, który znalazła wbity w potylicę, skryty między gęstymi czarnymi włosami. Gdy tylko wspomnienie wydobyło się na powierzchnię i opadło gdzieś w głąb myśli, wyczuła nierówność powierzchni z tyłu czaszki. Podniosła dłoń, ubrudzoną nie do końca jeszcze zaschlą krwią i pokazała to Crowtherowi. On także pomacał to miejsce głowy, następnie delikatnie przesunął dłonią po reszcie ciała, nie odkrył już jednak nic istotnego.

Uczony wstał i przyjrzał się belce ponad nimi. Zwisająca stamtąd lina wyglądała teraz niewinnie. Harriet próbowała oczyścić dłoń chusteczką, ale cienki materiał okazał się na to zbyt delikatny. Mruknęła coś pod nosem, Crowther bez słowa wręczył pani Westerman swoją chustkę. Otarła krew z palców i wciągnęła rękawiczkę. Oddała szmatkę, przepaszająco kręcąc głową.

- Nie zwróciłam uwagi, gdzie była beczułka, kiedy tu weszliśmy - mówiła ściszym głosem i Gabriel pojął, że przez cały czas bierze pod uwagę możliwą obecność podsłuchujących ich osób.

Uczony uznał, że chyba nie powinien czuć się zaskoczony, iż jej myśli podążają tym samym torem, co jego.

- Zaraz sobie przypomnę. Tam. - Wskazał ścianę po lewej. - Leżała na boku, mogła się tam poturlać, gdy opiekunka Bray ją kopnęła.

Spojrzała na niego pytająco, unosząc brwi.

- Nie, pani Westerman, nie oszalałem. Ta kobieta została na pewno zamordowana, ale zastanawiałem się, jak ława może to wszystko przekręcić i zrobić z tego samobójstwo.

- Harriet! - Rachel próbowała odnaleźć siostrę w półmroku, nie spoglądając na ciało. Crowther dostrzegł, że pani Westerman rzuca szybkie spojrzenie na swoją rękawiczkę i mocniej naciąga ją na nadgarstek.

- Tak, Rachel?

- Coś jest tutaj, na zewnątrz. Ktoś rozpałił ognisko, popiół wciąż jest ciepły. Zdaje się, że coś tam jest...

Harriet i Crowther byli przy niej, zanim zdołała dokończyć zdanie.

Wskazywała na coś nad głową Jacka, niedaleko w lesie, tuż obok ścieżki prowadzącej do zrujnowanej chaty. Była to kupka świeżego popiołu ma gołej ziemi, a w niej kilka osmalonych kawałków drewna oraz podejrzanie blady popiół ze spalonego papieru. Gabriel przysunął dłoń do ogniska. Pozostał już tylko bardzo delikatny ślad ciepła, bez wątplenia jednak żar nadal się tlił. Harriet ostrożnie pogrzebała w popiele kawałkiem cienkiej gałązki.

- Nie widzę liter - powiedziała.

Crowther wetknął nóż Thornleigha głębiej w popiół i na czubku ostrza podniósł nieco większy kawałek papieru, ocalały z płomieni. Był zapisany po obu stronach, wydawał się dolnym rogiem ćwiartki papieru.

- To jakieś listy. Jestem pewien. - Wskazał kolejny skrawek, z którego dało się odczytać słowo „Hall”. Harriet nie odpowiedziała. Patrzyła na jego ręce z przerażeniem. Spojrzenie Gabriela podążyło za jej wzrokiem. Na nożu, który trzymał, widać było ciemne plamy. Wzdrygnął się.

- To nóż Hugh Thornleigha? — szepnęła. Kiwnął głową.

- Harriet, znaleźliście coś?! - wołała do nich Rachel.

Pani Westerman wstała szybko, zasłaniając Crowthera przed siostrą.

- Listy. Ale wszystkie spalone.

Jack oderwał wzrok od lasu, któremu pilnie się przyglądał.

- Opiekunka Bray zawsze lubiła dostawać listy - oświadczył. Harriet poczuła podniecenie. Ostrożnie podeszła do chłopca i uklękła obok niego.

- Kto pisał do niej listy?

Chłopiec wyglądał na nieco oszołomionego i zerknął ku Rachel, która uśmiechnęła się. To dodało mu odwagi.

- Przychodziły z Londynu. Ale z nikim nie chciała o tym rozmawiać. Niektórzy uważali, że zadziera nosa, bo jak przychodził jakiś list, nie mówiła, co w nim jest. Ale poza tym była dobra. W wolnym czasie kupowała słodycze i rozdawała je. - Wargi chłopca gwałtownie zadrżały.

- Nie będę już musiał zajmować się jego lordowską mością? Skoro ona nie żyje? Nie lubię go.

Rachel przykucnęła i objęła ramieniem boleśnie chude barki.

- Czemu go nie lubisz?

Chłopiec spojrzał jej w twarz oczyma wielkimi jak spodki.

- Bo on wydaje takie straszne dźwięki, madame. Na przykład takie. Nagle zajęczał, opuścił szczękę, szarpnął głową do przodu i za-kołysał nią na boki. Harriet zadrżała.

Odgłos kroków na ścieżce uchronił ich od konieczności udzielenia odpowiedzi. Był to Hugh, po jego bokach szli dwaj służący. Jeden niósł na ramieniu końską derkę. Harriet odwróciła się do Crowthera, który wciąż stał przy ognisku, z nożem Thornleigha w dłoni.

Hugh kazał służącym pójść do chatki, sam zaś podszedł do reszty.

- Czy pan poluje, panie Thornleigh? - zapytał uczoney. - Czy ostatnio zażywa pan więcej ruchu?

Wjego głosie brzmiał chłód.

- Owszem, ruch jest dobry.

Crowther wyciągnął wjego stronę nóż. Thornleigh złapał za rękojeść, dostrzegł poplamioną klingę i gwałtownie wciągnął powietrze.

- Co pan nim robił? Ja zawsze czyszczę nóż!

- Może - odparł uczoney oschle - pańskie myśli zajmowały akurat inne sprawy. Nie uczyniłem tym nożem niczego poza odcięciem sznura, na którym wisiała opiekunka Bray. Na ostrzu jest krew. Możliwe, że ta krew ma dzień albo dwa.



Hugh zbladł. Jaskrawa plama blizny stała się jeszcze czerwiejsza.

- Pewnie to krew królika czy zająca. Widać zapomniałem wytrzeć nóż.

Gabriel napotkał jego spojrzenie.

- Jestem przekonany, że to krew jakiejś niewinnej istoty. Hugh zacisnął pięści, uczony zaś poczuł, że on sam gotuje się do uchylenia przed ciosem lub zadania go samemu. Młodzieniec jednak odzyska! panowanie nad sobą.

- Teraz ja zajmę się opiekunką Bray. Byłbym wdzięczny za opuszczenie mych ziem.

Crowther uklonił się nisko. Harriet ostrożnie ujęła rękę siostry. Poczowała, że Rachel drży i odwróciła się ponad jej ramieniem, aby spojrzeć na sąsiada.

- Raczej ziem pańskiego ojca, panie Thornleigh. Czyż nie powierzono ich panu do czasu powrotu pańskiego brata?

Hugh uklonił się bez słowa i wraz z Crowtherem, zmierzającym za dwoma siostrami, z wyniosłym spokojem zebrał się do odejścia. Harriet niemal czuła na plecach wściekłe spojrzenie Thornleigha.

- Harriet, czy ty myślisz, że Hugh... - usłyszała cichy szept siostry. Przycisnęła mocno ramię Rachel, uciszając ją.

## 6

Skrećili w Holland Street, droga stała się wąska. Zwolnili kroku, ale Graves nie wiedział dokładnie, co ich powstrzymuje. Ulice były jak na sobotę bardzo ciche, kilku przekupniów zachwalało towary niemal spokojnie. Nic nie wyglądało normalnie ani zwyczajnie, Owen jednak nie miał pojęcia, czy chodzi o atmosferę panującą na ulicach, czy o ów ciężki mrok, jaki niósł w sobie. Z okien i drzwi wyglądało wystarczająco dużo gapiów, by dostrzeżono ich przybycie.

W drzwiach pojawiali się czeladnicy i służący z domów sąsiadujących ze sklepem Aleksandra. Kucharka perukarza wcisnęła Susan w rękę serwetkę z piernikiem „dla małego pana Adamsa”. Dziewczynka popatrzyła na nią pustymi oczyma i przyjęła paczuszkę z nieznacznym dygnięciem. Dorastała w strachu przed tą zwałistą i chyba zawsze przyprószoną mąką kobietą, odkąd ta przyłapała ją, gdy zakładała sędziowską perukę i skazywała inne dzieci z ulicy na straszliwe kary. Susan podziękowała, kucharka odwróciła się, by otrzeć fartuchem łzy. Zdołali przejść zaledwie kilka kroków, gdy dziewczynkę znów powstrzymała jakaś niewieścia ręka. Pochylała się ku niej chuda, jakby ptasia twarz pani Service. Kości na karku wystawały, przeguby nie były grubsze od przegubów Susan. Wdowa Service była biedna i często głodowała, ale z godnością zносиła swój los. Mieszkała w izdebce naprzeciwko sklepu. Od czasu do czasu dobrzy ludzie przynosili jej jakieś robótki krawieckie, chociaż powszechnie wiadano, że nie jest zbyt zręczna i pracę dawano jej bardziej z miłosierdzia niż innego powodu. Susan uważała, że pani Service zdaje sobie z tego sprawę. Kiedy dziewczynka ćwiczyła grę na fortepianie, wdowa zawsze otwierała okno. Czasem Susan widziała, jak wychyla się trochę, aby usłyszeć muzykę wśród gwaru ulicy. Susan nie mogła grać głośniejsze, ale w duszy zawsze dedykowała swoją muzykę słuchaczom.

Pani Service, nieco zdenerwowana, wyciągnęła przed siebie niewielką broszkę z kameą, z wyobrażonymi na niej owocami oraz kwiatami.

- Chciałam to dać na pogrzebie, ale było zbyt wielu ludzi - rzekła pośpiesznie, zmęczonymi oczyma spoglądając na Gravesa i Susan. Potem znów wbiła wzrok w ziemię. - Twój ojciec kiedyś ją podziwiał. Byłoby dla mnie wielką przyjemnością wiedzieć, że teraz ty ją masz i może przypinasz od czasu do czasu. Tak bardzo lubiłam cię słuchać, jak grasz. - Głos jej nieco zadrżał.

Dziewczynka wzięła broszkę.

- Jest bardzo ładna.

Pani Service rozplakała się i odwróciła od nich.

Jane czekała pod drzwiami sklepu, wyciągnęła ku nim ramiona. Susan zaszlochała krótko i wyrwała się panu Gravesowi, aby podbiec do dziewczyny i ukryć twarz w jej fartuchu. Owen szybko ruszył za nią, a potem zerknął do izby, tak dyskretnie, jak tylko zdołał. Jane przyłapała go na tym i się ukloniła. Podłogę wyszorowano do białości. Susan wyprostowała się, ścisnęła dłoń Jane, a potem odwróciła w stronę sklepu.

- Co teraz będzie, panie Graves? - zapytała młoda służąca. Owen spojrział na kurz na swoich butach i wzruszył ramionami.

- Nie wiem. Mam nadzieję, że istnieje jakiś testament. Czy Aleksander z czymś pani zalegał?

Jane machnęła przecząco ręką.

- Dostałam pieniądze dwa dni temu. Pan Adams zawsze był punktualny. Choć bardzo młoda, ledwie dwudziestoletnia, Jane roztaczała już wokół siebie aurę rozsądku i dobrej woli, sprawiając, że Owenowi wróciło nieco nadziei, gdy patrzył na jej szczupłą, ale wyprostowaną i silną postać.

- Czy mogłabyś przez jakiś czas mieć baczenie na sklep i na dom? - zapytał. - Zanim nie skończymy robić tego, co trzeba uczynić?

Jane milczała przez chwilę. Podjąwszy w końcu decyzję, strzepnęła fartuch i spojrzała Owenowi prosto w oczy.

- Zastanawiałam się, czy pan o to poprosi i jakiej powinnam udzielić odpowiedzi. I oto proszę. Tak, chętnie się tym zajmę. Ale jak pan sądzi, czy wolno zatrzymać mi przy sobie matkę? Nie chciałabym być tutaj zupełnie sama ani pozostawiać ją samą.

Dotknęła dłonią głowy, wspominając niebieskie kokardy noszone przez uczestników rozruchów, tych, co zeszłej nocy palili katolickie kościoły przy Duke Street i Golden Square.

- Ona też by tego chciała - dodała. - Jest teraz u przyjaciółki na Soho Square, czeka na wiadomość ode mnie.

- Może powinniśmy zapytać Susan.

Jednak kiedy weszli do sklepu, dziewczynki nigdzie nie było widać. Gravesa ogarnął niepokój. Zawołał ją, może nieco głośniejszym głosem, niż trzeba. Wyskoczyła zza kantorka.

- Tutaj jestem. - Dostrzegła ulgę na jego twarzy i spojrzała z nieco większym zrozumieniem. - Pomoże mi pan? To jest ciężkie.

Przesunęła plik nut, odsłaniając czarne drewniane pudełko, na tyle duże, by dało się w nim zmieścić ręcznie zapisaną stronę bez konieczności jej składania. Szkatułka była też głęboka, Owen jęknął z wysiłku, umieszczając ją na ladzie. Zadbał, aby stała pewnie, i przedstawił Susan propozycję Jane.

- Tylko jeśli się panienka na to zgodzi - szybko dodała służąca. - Jeśli panienka uzna, że tak będzie dobrze.

Dziewczynka przygryzła wargę i szybko kiwnęła głową. Grzebień, którym panna Chase spięła jej włosy, zadrżał.

- Tak, proszę. To bardzo miłe ze strony pani matki, że chce tu być. Skrzywiła usta, a Jane w pośpiechu okrążyła ladę, by stanąć obok niej.

- Panienko! Proszę tylko spojrzeć na swoje włosy. Znowu powychodziły panience loczki, a ojciec lubi, jak panienka wygląda schludnie.

Podniosła dłoń, żeby umieścić loki Susan z powrotem na miejscu, a czułość tego gestu oszołomiła dziewczynkę. Rozplakała się głośno.

Graves uznał, że najlepiej na chwilę zostawić je same i ruszył do bawialni.

Posprzątało już resztki obiadu, tak straszliwie przerwane, w izbie było czysto i jasno, tak jak zwykle. Owena ogarnęła nagle przemożną chęć, żeby cofnąć czas, by Aleksander wszedł teraz do środka i zaprosił go na rodzinny posiłek. Rozmawialiby, starszy z mężczyzn łagodnie kpiłby sobie z niemej adoracji panny Chase przez Owena, a Graves pytałby o nowiny ze sklepu. Potem obejrzeliby jakieś nowe nuty, które akurat wpadły Aleksandrowi w ręce, i tak upłynąłby wieczór.

Westchnął ciężko, rozejrzał się po izbie, nie mając w głowie żadnej jasnej myśli, a potem widząc w kącie otwarty sekretarzyk

Adamsa, podszedł doń, zastanawiając się, czy znajdzie tam jakiś ślad testamentu albo może wskazówkę, jak ma wypełniać obowiązki, które pozostawił mu przyjaciel.

Sekretarzyk był schludny i porządny. Widok ów przygnębił Gra-vesa, pomyślał o porzrzuconych papierach wokół jego niewielkiego stolika. O lampę umieszczoną nad blatem dbano troskliwie. Sekretarzyk mieścił rząd przegródek na rachunki, dokumenty oraz korespondencję. Stało tam też niewielkie pudełko, w którym Aleksander trzymał pierścień. Graves postukał w nie paznokciem. Nadal było puste.

Owen usiadł ze smutkiem przy blacie, podniósł skraj bibuły, pewien, że nie jest w stanie wziąć na swoje barki żadnych zadań. Pod bibułą leżała kartka. Wyciągnął ją i odczytał pierwsze słowa listu rozpoczętego w dniu koncertu. U góry widniało nazwisko, adres i data: trzydziesty pierwszy maja 1780 roku, zapisane pewną i zdecydowaną ręką przyjaciela. List zaczynał się tak:

„Mój Drogi Hugh.

Wiesz, jak sądzę, aż za dobrze o powodach, które spowodowały moją rozłąkę z dworem, ale jakieś dziwne poczucie straty i świadomość tego, że moje dzieci rosną bez matki i niepewne własnej przyszłości, sprawiły, że"

Więcej Aleksander nie napisał. Graves poczuł, że coś ściska mu serce. Przypomniawszy sobie rozmowę z przyjacielem, jaką odbyli tamtego wieczoru, dziwne pytania zadawane córce oraz decyzję, że będzie nadal żył takim życiem, jakie sobie wybrał, nie próbując pojednania z rodziną. Przygryzł wargę. Gdyby doradził mu wtedy inaczej, może ukończyłby list. Powinien wówczas dokładniej wypytać Aleksandra, zanim się w ogóle odezwał. Może jego rady za bardzo dyktowała własna duma.

Wszak sam opuścił rodzinny dom i zachęcając Adamsa, by trzymał się z dala od swojego, chciał może wzmocnić swoją decyzję. Przypomniawszy sobie ciężar i rozmiary czarnej szkatułki z pokoju, pomyślał, jak troskliwie Aleksander ukrył ją pod starannie ułożonymi dokumentami w powszechnie do

stępnym pomieszczeniu. Może właśnie tam znajdzie odpowiedzi i pomoc.

Wstał szybko, gdy jednak skierował się w stronę drzwi sklepu, jego uwagę zwrócił jakiś ruch za oknem, na podwórzu. Serce Owena zamarło. Zobaczył żółtawą chytrą twarz, która pojawiała mu się w myślach, odkąd ujrzał przyjaciela umierającego na podłodze. Ten człowiek był tutaj, przypatrywał mu się przez okno. Graves zachwiał się i cofnął o krok. Obaj mężczyźni chwilę spoglądali na siebie przez szybę, każdy wytrzymał spojrzenie drugiego, a potem Graves wydał z siebie wściekły ryk i ruszył ku drzwiom, wiodącym z kuchni na podwórze. Żółtawy mężczyzna odwrócił się i wybiegł bocznym przejściem na Tichfield Street.

- Morderca! Zabójca! Tam! Tam! - wrzasnął Owen i rzucił się w pogoń za nim.

Ulica ożyła, jakby ów człowiek, biegnąc, rozdawał pobudzającą innych energię. Rozległy się okrzyki, kamienice wręcz same zdały się pochylać do przodu. Do pościgu przyłączyło się więcej osób. Jakaś kobieta skuliła się pod ścianą z krzykiem, kiedy żółtawy mężczyzna otarł się o nią, po czym wpadł w Little Angel. Poślizgnął się na błocie, ale wstał i biegł dalej, zanim Graves zdołał uczynić cokolwiek poza muśnięciem ręką skraju jego brudnego płaszcza. Uciekinier zrobił błąd, skręcając w tamtą stronę. Po nocnych zamieszkach londyńczycy rozglądali się teraz czujnie. Widząc biegnących mężczyzn i słysząc krzyki: „morderca”, dołączyli do pościgu. Żółtawy chwycił koszyk jakiegoś chudego straganiarza i cisnął nim w goniących. Po ziemi rozsypały się przypalone paszteciki, ktoś się potknął, pozostali jednak biegli dalej, na czele z Gravesem, któremu brakło już tchu w piersiach. Handlarz krzyknął, splunął na żółtawego mężczyznę, ten jednak odepchnął go i popędził dalej. Dotarł niedaleko, bardzo niedaleko. Gwałtownie skręcił w Chapel Street, roztrącając ludzi i ich dobytek, ale jakiś gruby woźnica, słysząc okrzyki ścigające zbiega, rzucił się ku niemu z prawej strony i przewrócił w błoto i śmieci zaścielające ulicę. Całym ciałem przycisnął uciekiniera do ziemi. Tłum wyciągnął ku niemu ramiona, ktoś zabrał mu nóż z kieszeni. Żółtawy mężczyzna szarpał się

i w pojedynkę nikt by go nie utrzymał, nie miał jednak szans w walce z dwudziestoma. Trzymali go i pchali do przodu. Graves stanął przed nim i nie czekając, by powietrze napłynęło mu do płuc, zadał cios pięścią, trafiając żółtawego w podbródek. Tłum musiał podtrzymać jeńca, gdyż runął bez zmysłów.

- Dobra robota - usłyszał Graves czyjś głos. Jakiś barczysty mężczyzna wystąpił naprzód i położył mu rękę na ramieniu. - Ale go nie zabijaj, bo będziemy musieli ciebie też zabrać. Kto to jest?

- To on zabił Aleksandra Adamsa - wydyszał Graves.

Tłum zaszemrał, rozległy się krzyki. Barczysty jegomość z powagą pokiwał głową.

- Który magistrat jest najbliżej?

- Addington, Addington! - zawołali gapię.

Pojawił się wózek pchany przez jakiegoś młodzika. Wtłoczono tam żółtawego mężczyznę, jednym sznurem obwiązano mu przeguby, drugim kostki u nóg. Głowa podskakiwała więźniowi jak u kukły przed spaleniem, gdy zgromadzeni ruszyli ku budynkowi magistratu, aby zażądać sprawiedliwości.

Gdy Graves wychodził od Chase'ow, czuł się zniechęcony i znużony.

Wieczorem przyniósł nowiny Susan i pannie Chase. Najpierw powiadomił je o schwytaniu żółtawego człowieka, potem bez większych ceregieli o swoich zeznaniach oraz o tym, że towarzyszący mu tłum z zadowoleniem przyjął fakt, iż jeńca posłano do Newgate, gdzie będzie czekał na sąd w Old Bailey, co ma się odbyć w przyszłym tygodniu.

Żółtawy zhardział, gdy tylko zobaczył, co się święci i że jego położenie jest niemal beznadziejne. Nie mówił nic poza przekleństwami, groził Gravesowi i dzieciom wszelką wyobrażalną zemstą, ale nie podał ani swego nazwiska ani powodu ataku na Aleksandra. Tłum lżył go, a sędzia, wyczerpany i złęczony, w ciągu trwającej pół godziny drogi do domu w Covent Garden tylko kiwał głową, następnie wysłuchał zeznań Gravesa, a potem odesłał żółtego mężczyznę pod strażą.

Tłum towarzyszący Owenowi traktował go jak bohatera. Graves z trudem zdołał uwolnić się od gratulacji. Mógłby upić się teraz na rachunek tych ludzi, dręczyły go jednak myśli o Susan i pannie Chase, czekających nań wraz z czarnym pudełkiem. Gdy mijał Seven Dials, wiedział już, że jego sława rozeszła się daleko. Sąsiedzi podchodzili, by poklepać go po plecach, ukłonić się czy uśmiechnąć znacząco. Nogi bolały go po gonitwie za żółtawym mężczyzną, kostki dłoni miał posiniaczone. Nie pomyślał nawet o tym, by zajrzeć do swej izby, lecz minął ją, zmierzając do Sutton Street, do rodziny Chase'ow. Obok niego poruszył się jakiś cień. Owen gotował się już do uśmiechu i zbycia gratulacji machnięciem dłoni.

- Wielki z pana bohater, panie Graves!

Poczuł, jak coś ściska mu serce. Znał ten głos. To nie miało być miłe spotkanie. Cień wyprostował się pod ścianą. Wysoki, pomarszczony mężczyzna o pozieleniałych z brudu zębach uśmiechnął się jak krokodyl, którego Owen w zeszłym roku widział na wystawie w Vauxhall.

- Dobry wieczór, panie Molloy.

- Nieprawdaż? Jedna tylko rzecz mogłaby uczynić go miłszym... - urwał na chwilę i pchnął Gravesa w cień, gdyż obok przetoczyła się grupka mężczyzn z niebieskimi kokardami na kapeluszach, o twarzach czarnych od sadzy. Gdy przeszli, puścił ramię Gravesa, i mówił dalej, jak gdyby nigdy nic. - A tą rzeczą są moje pieniądze.

- Nic nie mam.

- Nie kupiłbyś pan sobie tego ładnego płaszcza albo nowych butów.

Krawiec pokazał mi pański rachunek, a ja albo dostanę pieniądze, albo do poniedziałkowego wieczoru znajdziesz się pan w Marshalsea.

Cały czas z twarzy nie schodził mu uśmiech. Graves uniósł ramiona.

- Na litość boską, miejże pan litość! Zamordowano mojego przyjaciela, jego dzieci powierzono mej pieczy! Nie dam rady zdobyć pieniędzy w kilka dni.

- Tak, synu, słyszałem już o tych twoich przygodach. Cała parafia o tym gada. O tak, to ze wszech miar zaszczytne. Podziwiam



to i przykro mi z powodu twej straty, wiedz jednak, że na litości człowiek się nie bogaci. A ja chciałbym być człowiekiem bogatym. Adams miał w sklepie ulokowany niezły mająteczek, nieprawdaż? Graves zeszywniał.

- Myśli pan, że miałbym okraść jego dzieci? Jakąż to kreaturą pan jest? Molloy śmiał się póty, póki nie musiał zaczerpnąć oddechu i splunąć na ziemię.

- Kreaturą, doprawdy? Może, ale przynajmniej zapłaciłem za płaszcz, który noszę. - Graves poczerwieniał. - Dwadzieścia szylingów, tyle wynosi dług. Nie chciałbym kłopotać pana, domagając się pieniędzy od pana Chase, a zatem póki jesteś pan pod jego dachem, pilnuj swych drobnych wydatków.

Owen poczuł, że blednie.

- Jakie dwadzieścia szylingów? Nie byłem winien więcej niż połowa tej sumy.

- Wy, pisarzyny, nigdy nie pojmujcie, o co chodzi z odsetkami, czy więc pan to teraz zrozumie? - Molloy ze smutkiem pokiwał głową, rozmyślając nad tymi, którzy w dzisiejszych czasach uchodzili za wykształconych. - Teraz możesz pan dostać jakąś małą nagrodę albo poprosić o coś, jeśliś zbyt zajęty bieganiem po ulicach, aby ćwiczyć swe rzemiosło. To już twoje zmartwienie. Zadbaj pan tylko, żebym do pory poobiedniej w poniedziałek trzymał swoje pieniądze w garści, a ja uchylę przed tobą kapelusza nader przyjaźnie. Ale jeśli się spóźnisz, zamkną cię w więzieniu, nim zdążysz splunąć.

Owen poczuł jak opadają mu ramiona.

- Aja ułatwię ci sprawę, Graves. Będę chadzał nieopodal Sutton Street przez najbliższy dzień czy dwa. Tak oto będziesz pan wiedział, gdzie mnie znaleźć.

Molloy przyłożył dłoń do róna kapelusza i bezszelestnie zniknął w cieniu. Graves przez chwilę stał przygarbiony, a potem wyprostował plecy i ruszył w stronę domu pana Chase'a.

Osiemnasty kwietnia 1775 roku, Boston,  
Zatoka Massachusetts, Ameryka Północna

Sprawa była niefortunna, kapitana Devaille'a uważano za głupka i nikt w całym regimencie nie potrafił zrozumieć, czemu nie przeniesiono go gdzie indziej, gdy wysyłano ich do Ameryki - nawet jednak on nie odezwałby się tak, jak to uczynił, gdyby wiedział, że Hugh może go usłyszeć. Thornleigh zatrzymał się w drzwiach do kasyna oficerskiego, aby otrząsnąć z butów nieco bostońskiego błota, Hawkshaw wszedł kilka chwil przed nim, na jednym oddechu pozdrawiając kolegów oficerów i wołając o wieści oraz o klaret.

Kapitan Devaille, usłyszawszy go, nie odwracając się, zawołał:

- Hawkshaw! Jesteś blisko z Thornleighem, prawda? Jak przyjął wieści o tym, że earl Sussex poślubił swoją dziwkę? Jakaż to matka czeka nań teraz w domu!

Zapadła straszliwa cisza, Devaille odwrócił się gwałtownie na krześle i zaklął, widząc w drzwiach cień szerokich ramion Hugh. Stał tam całkiem bez ruchu, blady. Pięści miał zaciśnięte.

- Thornleigh, proszę o wybaczenie - wykrztusił Devaille. - Ja... mój ojciec mi to napisał, list przyszedł ledwie godzinę temu.

Hugh zrobił krok do przodu, twarz i zachowanie zdradzały chęć mordy.

Hawkshaw szedł przed nim, patrząc na Devaille'a.

- Nie było nas. Jeszcze nie patrzyliśmy, czy przyszły do nas jakieś listy. To niewątpliwie jakaś pomyłka.

Devaille wyglądał, jakby zaraz miał zemdleć. Nie potrafił wytrzymać spojrzenia czarnych oczu Hugh, wpatrujących się w niego znad ramienia Hawkshawa.

- Niewątpliwie, Hawkshaw. Oczywiście.

- To przypuszczalnie jakiś inny earl Sussex - odezwał się czyjś głos.

Hawkshaw spojrział wściekle w tamtą stronę. To Gregson, starszy wiekiem porucznik, który w swej dobrze skrojonej kurtce wyglądał, jakby pomylił kasyno z bawialnią u księżnej. Uśmiechnął się słodko, a Hawkshaw zwrócił się do Thornleigha:

- Wyjdź teraz ze mną. Zobaczymy, jakie to wieści mamy z Anglii. Hugh zrobił kolejne pół kroku przed siebie, najwyraźniej go nie słysząc. Krzesło Devaille'a zachrobotło o kamienną podłogę.

- Do licha, Hugh - westchnął Hawkshaw. - Jutro będzie dosyć czasu, żeby zabijać i dać się zabić.

- Jutro to będzie podkradanie masła ze stołu w pokoju dziecięcym - zabrzmiał znowu głos Gregsona. - Musimy szybko przejść przez wieś, wysadzić ten proch, jaki uciulali rebelianci, a potem na jednej nodze wracać do siebie.

- Zbyt otwarcie mówisz o planach naszej armii - stwierdził Hawkshaw. Gregson uniósł dłoń, jakby łagodnie odganiał złość kolegi.

- Jesteśmy wśród przyjaciół.

Zanim Hawkshaw zdołał odpowiedzieć, Hugh odwrócił się i wyszedł zatraskując drzwi z hałasem. Jego druh potarł się po twarzy i ciężko opadł na krzesło. Postawiono przed nim jedzenie oraz wino.

- Dzięki, Hawkshaw - mruknął cicho Devaille.

- Devaille, jesteś przeklętym idiotą - odparł bez większego żaru. - A jeśli walczysz równie beztrosko, jak paplesz, nie będziesz mnie już długo martwił.

I zaczął jeść.

Gdy popołudnie przeszło już w wieczór, obóz wypełniło podniecenie przed spodziewaną akcją.

Słowa Devaille'a zostały potwierdzone, wpieryw przez jakiegoś innego oficera, u którego w liście z domu pojawiła się ta sama plotka, potem przez ustęp w mającym miesiąc egzemplarzu „Gentleman's Magazine”, krążącym po kasynie. Do Hawkshawa gazeta dotarła otwarta na odpowiedniej stronie, czyjś kciuk wskazywał środkowy akapit.

„Zdaje się, że nikt, nawet najświetniejsze osobistości naszego kraju, nie jest odporny na straszliwe namiętności i wpływ wy-

wierane przez piękność. Posiadacz jednego z najstarszych w Anglii i najbardziej nieskalanych tytułów earlowskich lord T. z T. Hall w Sussex postąpił wbrew życzeniu swych przyjaciół i ostatnio poślubił pannę Jemimę B., znaną pod zawodowym pseudonimem Wspaniała Jemima w czasach, gdy zaszczycała publiczność w Covent Garden pokazem tańców ze wszystkich stron świata. Rzeczona dama znana jest jako przyjaciółka kilku innych arystokratów, jednak nie ich żon. Boli to nas, albowiem nie sposób nam się powstrzymać od wytknięcia, iż wicehrabia H., syn i spadkobierca lorda T., został usunięty ze swej rodziny za to, że mniej więcej dziesięć lat temu z honorem pokochał i zapragnął poślubić skromną, lecz piękna damę niepokalanego charakteru. Od tamtej pory zaginał po nim ślad".

Hawkshaw cisnął gazetę i wybiegł na zewnątrz. Szedł bez celu, póki nie znalazł się na skraju obozu. Z nieba przed nim zaczynało już znikać światło. Pomyślał o czekających ich jutro zadaniach. Czuł jak nienaturalny spokój rozplywa mu się po ciele, jak zwykle przed akcją i w jej trakcie. Uśmiechnął się, jakby witał starego znajomego. Usłyszał za sobą kroki. To Gregson, pewnie też szukał odrobiny spokoju. Podeszedł, ukłonił się i zaproponował cygaro ze skózanego etui, jakie nosił w kieszeni na piersi. Hawkshaw zawahał się chwilę, wziął cygaro, podziękował sztywno, zapalił i wciągnął gęsty szary dym, tak by krążył mu wewnątrz ust.

- Widziałeś Thornleigha? - zapytał Gregson. Hawkshaw pokręcił głową.  
- Postanowiłem zostawić go sam na sam z własnymi myślami. Dostał listy z domu. Przypuszczalnie jest w nich coś od earla. Ale znasz Thornleigha. Z żadnym z nas nie będzie chciał rozmawiać o swojej rodzinie.

Usłyszeli za sobą trzask łamanej gałązki.

- Kto tam? - zawołał Gregson ku cieniom rzucanym przez niewielką kępkę niskich drzew, kilka jardów od nich. - Wychodź i pokaż się!

W nikłym świetle wieczoru pojawił się szczupły mężczyzna w średnim wieku. Pod pachą trzymał chrust na opał.

- Przepraszam. Nazywam się Shapin. Pomagam w kuchni.

Mężczyzna trzymał przed sobą drewno tak, jakby podawał dokumenty do sprawdzenia. Ubrany był w strój z samodziału jak farmerzy i robotnicy rolni. Grzbiet miał nieco przygarbiony, na mocno opalonej skórze blado połyskiwała długa blizna. W akcencie słyszało się amerykańskie przeciąganie zgłosek, ale wciąż dawało się odnaleźć w nim starą angielską wieś, niczym zapach kobiety na chusteczce, gdy dziewczyna dawno już odejdzie.

- Co tu robisz, Shapin, czając się w ciemnościach?

Shapin wyglądał tak, jakby sądził, że w obecnych okolicznościach to niezbyt mądre pytanie, i złożył patyki do kupy.

- Zbieram opał, panie. Usłyszałem nazwisko Thornleigh i podszedłem. Czy służy tu syn earla Sussex? Czy to pan Aleksander, czy może pan Hugh? - Spoglądał na nich wyczekująco. Oficerowie wymienili spojrzenia, a Hawkshaw wzruszył ramionami.

- Wielmożny Hugh Thornleigh jest kapitanem grenadierów w moim regimencie.

Shapin zdawał się zadowolony.

- Dobrze wiedzieć! Widzi pan, służyłem tej rodzinie w Anglii. Znałem panicza Hugh, kiedy był małym chłopcem, zanim jeszcze umarła jego matka.

Wydawało się, że Shapinowi nagle przyszła do głowy jakaś myśl.

Poczerwieniał i przygarnął patyki do piersi.

- Muszę wracać. W kuchni będą na mnie czekać.

Zanim oficerowie zdolali ponownie się odezwać, już zmierzał z powrotem do obozu. Patrzyli, jak odchodzi.

- Hawkshaw, myślisz, że on może być szpiegiem?

- Nie, a jeśli tak jest, to bardzo słabym.

Obaj dżentelmeni zwrócili uwagę z powrotem ku cygarom i rozmowie o nadchodzącej akcji.

Hawkshaw, wypełniwszy swoje obowiązki, nie potrafił znaleźć sobie miejsca. Pomyślał, że musi odpocząć przed czekającym go nocnym marszem, ale nim minęła godzina, postanowił odwiedzić Shapina w kuchni. Miał jakiś bliżej niesprecyzowany plan przedstawienia go Hugh, aby wyrwać druha z ponurego nastroju, w jaki wpadł na wieść o ojcowskich zaślubinach. Nie spotkał się jednak z miłym przyjęciem. Kiedy zapytał o Shapina, kwatermistrz go skłął.

- A, to pan wystraszył Shapina, kapitanie?

- Nie pojmuję, jak mógłbym go zdenerwować.

- Ale ktoś to uczynił. - Mężczyzna splunął na klepisko. - Przyszedł tutaj cały blady i rozglądał się, jakby postradał zmysły. Potem rzucił chrust i czmychnął, jakby gonił go sam diabeł.

- Twierdził, że coś go łączy z rodziną kapitana Thornleigha w Sussex. Jeden z przechodzących obok amerykańskich rojalistów usłyszał to i się roześmiał.

- O to właśnie chodzi. Deportowano go tu za okradanie ich, dobrych dwadzieścia lat temu. Zawsze się zastanawiałem, czemu spędza czas, kręcąc się wokół naszego obozu. Bóg mi świadkiem, nie ma on powodu, żeby miłować Anglię. Pewnie pomyślał, że kapitan Thornleigh zjawił się tu specjalnie po to, aby go powiesić.

- Powiedziałeś, za kradzież? - Hawkshaw odwrócił się do niego.

- Tak, właśnie tak słyszałem. Chciałbym prosić, żebyście przestali nam przysyłać swoich szubrawców. I bez tego mamy tu mnóstwo ludzi do powieszenia, dziękujemy za więcej - przerwał i podrapał się po brodzie. - Zaraz po przybyciu próbował wybawić nas od trudów pilnowania go. - Przesunął palcem po gardle, a Hawkshaw przypomniał sobie bliznę. - Okazało się, że nie jest w tym lepszy niż w złodziejstwie. Załatano go i znowu wysłano do pracy.

- Nie próbował wracać do domu, kiedy minął czas jego zsyłki?

- Wątpię, czy miał do czego wracać. Wielu z nich po dziesięciu latach traci ochotę albo jakikolwiek pomysł na powrót.

Hawkshaw zmarszczył brwi.

- Jak myślisz, dokąd się udał?

- Zapewne zastanawiał się, z kim ma trzymać, i wybrał buntowników.

Następnym razem, kiedy go zobaczycie, będzie machał ku wam jakąś flintą po babci.

Oficer pokiwał głową i wyszedł z budynku.

## CZESC 3



# 1

Niedziela, czwarty czerwca 1780 roku

Crowthera zaskoczyło to, jak szybko zasmakował w życiu i atmosferze Caveley Park. Tego ranka gospodyni uśmiechnęła się do niego, otwierając drzwi, i został zaproszony do salonu, by tam czekać, aż panie wrócą z kościoła. Przez okno widział, jak mały chłopczyk biega po trawnikach, naśladowując lot gawronów, pod okiem piastunki, trzymającej w ramionach niemowlę, córeczkę Harriet. Gdy Crowther sam był chłopcem, nie mógł się uchylić od obowiązku chodzenia na nabożeństwo, dopóki nie nauczył się zaszywać w jakiejś kryjówce. Musiał tylko wybrać moment tak bliski chwili, gdy rodzina zbierała się już do wyjścia, aby wszelkie dokładne poszukiwania stały się bezcelowe. Ten zaś chłopiec miał pełną wolność i możliwość przebywania na powietrzu, jakby stanowiło to jego naturalne prawo. Zastanowił się, czy Stephen wzorem ojca ruszy w morze. Kolejnych parę lat zabawy, a potem życie wśród soli i wybijania szklanek.

Crowther patrzył, aż chłopiec uniósł wzrok i zauważywszy go, pomachał rączką. Piastunka widząc to, również odwróciła się i uniosła z uśmiechem dłoń. Gabriel odwzajemnił uśmiech, pozwolił swej dłoni zatrzepotać w górę i opaść, gdy malec pobiegł dalej. Serce ścisnęło mu jakieś niezwykle u niego uczucie. Odstąpił od okna. Nie czekał długo. Zamieszanie pod drzwiami i wykrzykiwane

przez Stephena powitania obwieściły powrót Harriet i Rachel. Pani Westerman energicznie wkroczyła do pokoju. Rozradowane oczy błyszczały, syn tańczył wokół niej. Rachel weszła za nią, nieco spokojniej. Crowther wstał, ale machnięcie rąk nakazało mu siadać. Harriet zdjęła kapelusz i rzuciła go na stół, a potem ciężko opadła na sofę. Rachel podniosła kapelusz, wyprostowała wstążki. Później ostrożnie zdjęła własne nakrycie głowy.

- Crowther! Rada jestem, że się pan zjawił. Martwiłyśmy się swoją reputacją, a tu stałyśmy się jaśniejącymi latarniami moralności. Pani Heathcote!

Wezwana dama wsunęła głowę do pokoju. Uśmiechała się szeroko.

- Madame, życzy sobie pani kawy?

- Bardzo proszę. Co cię tak rozbawiło, moja pani? Czyżby David opowiedział ci o naszej roli w dzisiejszym kazaniu? Czyż nie czujesz się uhonorowana, mogąc pracować u takich wzorów cnót niewieścich?

Pani Heathcote nadal się uśmiechała.

- To zaiste prawdziwy zaszczyt, madame. - Odwróciła się do Rachel. -

Czy mogę to już zabrać, proszę pani? - Wzięła kapelusze obu sióstr.

Crowther czekał, a gdy Harriet na niego spojrzała, uniósł brwi pytająco. Wybuchnęła śmiechem, poprawiła fałdy sukni, a potem usadowiła sobie Stephena na kolanach i zmierzwiła mu włosy.

- Och, to wszystko jest aż za głupie. Pastor wybrał na dzisiejsze czytanie przypowieść o dobrym samarytaninie i podał mnie wraz z Rachel za przykład, w związku z naszym uczestnictwem w, jak się wyraził: „ostatnim osamotnionym obrządku opuszczonego życia”. Zauważyłam, że zbytnią wagę przykładu do aliteracji, dla lepszego efektu. Ktoś powinien mu o tym powiedzieć.

Mówiąc to, zaczęła ściągać rękawiczki. Stephen chciał jej pomóc i zdawało się, że cały czas grozi mu, iż spadnie ze swej grędy, z takim wigorem usiłował pociągać za ich palce. Crowther przez

chwilę pomyślał o krwi na wewnętrznej stronie dłoni opiekunki Bray.

- Nonsens, jego samego by tam nie było, gdybyśmy się nie zjawili, a moja siostra musiała nas do tego przymusić, używając niecznych sposobów.

Rachel to jedyna osoba, która może się nie rumienić, słysząc takie słowa.

Panna Trench w trakcie tej przemowy starała się wyglądać serio, ale się jej nie udawało. Przy ostatnich słowach stała się nieco poważniejsza.

- A pan Thornleigh? On powinien tam przyjść.

Crowther zerknął na Harriet. Zmarszczyła nos, patrząc na niego, choć nie do końca wiedział, o co chodzi. Harriet serdecznie wyściskała syna, postawiła go na ziemi, a potem przytrzymała na odległość ramion. Dłonią ujęła mu brodę.

- Młody człowieku, masz włosy w nieładzie. No już dobrze, na razie dość się nas naoglądałeś. Teraz idź i odpowiednio się umorusaj, aż zawołamy cię na obiad.

Malec uśmiechnął się i pobiegł z powrotem na trawnik. Rachel odwróciła się do uczonego.

- Wiem o tym nożu, panie Crowther. O tym, że był poplamiony.

Nakłoniłam Harriet, aby powiedziała mi o tym, zanim zeszłej nocy położyłam się spać.

Starsza z kobiet pochyliła się do przodu, z łokciami spoczywającymi na kolanach, i oparła podbródek o dłoń.

- Była ze wszech miar natarczywa, dopytywała się, czy może posłuchać, jak dziś rano będziemy rozmawiać o naszych odkryciach. Zgodziłam się, jeśli pan nie ma nic przeciw temu.

Crowther poczuł na sobie wzrok Rachel i niezgrabnie poprawił się na krześle.

- Panno Trench, z jak najwyższym szacunkiem, pani Westerman to kobieta zameżna i o dużym doświadczeniu. Będę tu jednak poruszane sprawy oraz stawiane hipotezy, które mogą okazać się nieodpowiednie dla kogoś...

- Panie Crowther, nie jestem dzieckiem! - zaprotestowała Rachel.

Gdy to mówiła, otworzyły się drzwi i do pokoju wsunęła się pani Heathcote, niosąc kawę.

- Nie będzie się panienka wydawać dzieckiem, jeśli nauczy się trzymać swój temperament na wodzy, jeśli mogę się tak wyrazić. - Położyła tacę na kolanach Harriet, po czym odwróciła się do anatoma. - Panie Crowther, siostry Trench to dobre dziewczęta. Ale słysząc czasem, jak puszczaają im nerwy, pomyślałby pan, że nie mają pojęcia, jak należy się zachowywać w poważnym domostwie. Może jednak dorosną z upływem lat.

Odwróciła się, nie czekając na odpowiedź, i z uniesioną głową pozeglowała ku wyjściu. Crowther spoglądał na nią, szczerze zdumiony. Obie kobiety przez chwilę wydawały się nieco przygnębione, ale roześmiały się, widząc wyraz twarzy Gabriela. Harriet zaczęła nalewać kawę.

- Panie Crowther, trzeba panu wiedzieć, że jestem panią tego domu tylko za pozwoleniem pani Heathcote. I obawiam się, że ona mi wszystko zabierze, jeśli uzna, że się źle zachowuję. Stwierdziła, że trzeba nam matki, skoro naszą własną utraciliśmy, kiedy Rachel była jeszcze dzieckiem, i teraz wchodzi w jej rolę.

Rachel wzięła od siostry filiżankę kawy i podała ją Crowtherowi.

- Jej mąż jest taki sam. James mawia, że jest dowódcą tylko tak długo, jak Heathcote uważa, że dobrze sobie radzi. Kiedy oboje są w domu, czujemy się naprawdę sterroryzowani.

Crowther uśmiechnął się i wypił nieco kawy, a potem zauważywszy, że Rachel patrzy na niego ze spokojną uwagą, westchnął.

- Panno Trench, nie chciałem, żeby pani słyszała naszą rozmowę, bo mam do powiedzenia nieprzyjemne rzeczy i nie chciałem pani niepokoić. -

Rachel zarumieniła się i przygryzła wargi. - Często jednak to, co w naszym wyobrażeniu zostało powiedziane, jest zwykle gorsze od tego, co naprawdę się powie, a zatem skoro udało się pani przekonać siostrę, ja nie wyrażam więcej żadnych obiekcji.

Rachel wzięła kawę i usadowiła się przy stole z wyraźną satysfakcją.

- Dziękuję. A teraz - przeniosła spojrzenie z jednego na drugie - wyjaśnijcie mi wszystko od samego początku.

Szkatułkę postawiono pośrodku stołu. Susan, Graves i panna Chase usiedli wokół, podejrzliwie przyglądając się gładkim czarnym ściankom. Jonathan i pani Chase, z rękami wygodnie złożonymi na wydatnym brzuchu, stali z boku. Cała rodzina właśnie wróciła z kościoła. Nastął czas, który wspólnie wybrali jako chwilę otwarcia pudełka. Pani Chase rozejrzała się wokół, a potem powiedziała do stojącego przy niej chłopczyka:

- Jonathanie, może pójdziemy pomóc kucharce? Mam też pudło wstążek, które trzeba poukładać. Zostawimy ich tutaj z papierami?

Malec zastanawiał się chwilę z powagą, a potem skinął głową i dał się wyprowadzić z pokoju. Drzwi zamknęły się za nimi.

- No i co, Susan?

Graves próbował się uśmiechnąć. Uniosła ku niemu wzrok.

- Panie Graves, kim jest ten człowiek? Nie wygląda pan na zadowolonego ze spotkania z nim.

- Nazywa się Molloy. Miałem z nim sprawę do załatwienia, przyrzekam jednak, że nie miało to nic wspólnego z twoim ojcem.

Pokiwała głową i z wysiłkiem przekreśliła szkatułkę w swoją stronę, a potem uniosła wieko.

W środku znajdowały się głównie dokumenty, ale na nich leżały dwa małe zawiniątka z miękkiej skóry. Susan uniosła pierwsze i bez słowa wręczyła Gravesowi. Wziął ją od niej, a dziewczynka patrzyła uważnie, kiedy odwijał opakowanie. Ukazała się miniatura matki Susan. Pamiętał, jak kiedyś pokazywał mu ją Aleksander. Większa wersja tego samego portretu wisiała w salonie domu Adamsa, aby stamtąd doglądać wszystkiego - mały obrazek zawierał jednak w sobie subtelność, której zabrakło dużemu malowidłu. Wręczył miniaturę dziewczynce, zatrzymała ją w dłoni.

- Jonathan i ja jesteśmy teraz na świecie całkiem sami? - szepnęła.

Graves poczuł, że coś ściska go za gardło, ale powoli skinął głową.

- Pan i panna Chase będziecie nam pomagać, prawda, panie Graves?

- Zawsze.

Otarła oczy czubkami palców i wyjęła kolejne małe zawiniątko, wręczając je Owenowi. Potrząsnął nim delikatnie, na rękę wypadła mu piękna ślubna obrączka ze złota. Pierścionek wyłożony maleńkimi szafirami zamigotał. Graves wyobraził sobie, jak klejnot rozgrzewa mu się na dłoni.

- To chyba twojej matki, Susan.

Wzięła ją od niego, dotknęła delikatnie klejnotów czubkami palców. Ramionami wstrząsnął dreszcz. Panna Chase położyła dłoń na bark dziewczynki.

- O co chodzi, Susan? Przykro ci na to patrzeć? Mała rozglądała się niespokojnie.

- Nie wiem, co mam z tym zrobić! Mam to teraz nosić? Chyba jest za duża na mój palec. A jeśli spadnie mi na ulicy?

Ukryła twarz na piersiach młodej kobiety i zaczęła płakać tak bardzo, że Graves zaczął się o nią obawiać. Uchwycił spojrzenie panny Chase i otworzył usta, w nadziei że znajdzie takie słowa, które mógłby wypowiedzieć. Dziewczyna nieznacznie pokręciła głową, tuliła dziewczynkę i przemawiała do niej kojąco, dopóki szloch trochę nie ucichł. Potem sięgnęła do szyi i zdjęła zwykły, złoty łańcuszek, ukryty pod sukienką.

- Susan, kochanie, mam pomysł. Sądzę, że chciałabyś bardzo nosić matczyną obrączkę. Zawieś ją sobie na tym starym łańcuszku ode mnie. Dziewczynka uniosła wzrok niepewnie, ale z nadzieją.

- Ale on jest pani - zaprotestowała.

Panna Chase patrzyła na nią bardzo poważnie.

- To prezent ode mnie. Spójrz, zapięcie jest bardzo mocne. - Susan manipulowała przy małym zatrzasku, przygryzając wargę. - A teraz możesz założyć na niego pierścionek i zapiąć go sobie na szyi.

Susan pozwoliła włożyć sobie przez głowę delikatny łańcuszek i podniosła obrączkę, tak że zabłysło w niej światło.

- No i proszę - oznajmiła panna Chase, odchylając się z zadowoleniem do tyłu. - Możesz nosić łańcuszek pod sukienką jak ja, dzięki temu pierścioneł będzie zawsze blisko twego serca, bezpieczny jak w Banku Anglii.

Dziewczynka uśmiechnęła się, schowała łańcuszek pod ubraniem, a potem znowu skryła się w objęciach panny Chase. Graves patrzył na nie. Zajrzeli w głąb pudełka, wielka sterta papierów w środku sprawiła, że dziewczynka aż skuliła się w jej ramionach. Panna Chase, troskliwie podtrzymując dziewczynkę, sięgnęła do wieka i je zamknęła. Graves drgnął, jakby chciał zaprotestować, dostrzegł jednak rozkazujące spojrzenie młodej kobiety.

- Na dziś wystarczy. Przyjrzymy się papierom później. Mogą poczekać, a sądzę, że ja i Susan powinnyśmy przejść się wokół placu.

Usłyszał, jak dziewczynka wzdycha z ulgą, i nie powiedział ani słowa.

## 2

Harriet upiła łyk kawy z filiżanki, niecierpliwie stukając stopą w dywan. Crowther dziwił się, jakże w ogóle dawała radę utrzymywać w ryzach swą energię na niewielkiej przestrzeni okrętów Jego Królewskiej Mości. Nawet tu, na prowincji, nigdy nie dość jej było miejsca. Zastanawiał się nad tym, ona zaś zbierała myśli, aby przemówić do siostry. Nie ograniczała jej może przestrzeń fizyczna, lecz delikatny nacisk oczekiwań i zwyczajów, które zaplatały otaczający je świat w tak ścisłe więzy. Niewidzialne, z materii tak delikatnej jak jedwab, a jednak mocne i ciasne. Potem wychyliła się na swoim krześle i zaczęła mówić.

- Wygląda na to, że Hugh poprosił Joshuę Cartwrighta, aby znalazł kogoś, kto odszuka Aleksandra, dziedzica lorda Thornleigh i jego tytułu. Do tej misji zaangażowano Cartera Brooka, który najwyraźniej coś znalazł.

Domyślamy się tego za sprawą pierścienia Aleksandra, który Brook miał przy sobie, ale kiedy szedł na spotkanie z Hugh, został w lesie zaatakowany i zamordowany, zanim cokolwiek zdołał mu powiedzieć.

- Tak mówi pan Hugh Thornleigh - mruknął Crowther, patrząc na Rachel. Zauważył, że musiała to już przemyśleć, gdyż sugestia, że człowiek, którego ongiś kochała, może być kłamcą i mordercą, nie wywołała u niej żadnej reakcji.

Zamiast tego spokojnie odezwała się do siostry:

- Źródłem tego musi być z pewnością albo odnalezienie Aleksandra, albo zapobieżenie jego odnalezieniu.

- Tak. - Harriet, mówiąc, wyglądała przez okno. - Jak wiesz, to, kto otrzyma cały majątek i tytuł, zależy od odnalezienia Aleksandra. Jeśli nie zdoła się go wysledzić albo zostanie odnaleziony martwy lub uznany za zmarłego po przeprowadzeniu dokładnych poszukiwań, wówczas wszystko odziedziczy Hugh. Obecnie to on zarządza majątkiem, na mocy niepisanej zgody.

Crowther odchrząknął.

- Zastanawiałem się, dlaczego do tej pory rodzina nie podjęła żadnych kroków, aby uznać wicehrabiego Hardeu za zmarłego. Jego nieobecność bardzo się wszak przedłużyła i zdaje się, że niczego o nim nie słyszano. Harriet wzruszyła ramionami.

- Obecny lord jeszcze żyje. Może to oznaczać, że rodzina nie uważa sprawy za pilną. Przetrwał już pięć lat w takim półzyciu.

- Nie wierzy pani w to, że Hugh pragnie odziedziczyć tytuł?

- Uwierzyłabym z trudem!

- Owszem. Z tego, co widziałem, sędzę, że pragnie tylko dzielić swój czas między polowania i butelkę. Ale mogę się bardzo mylić. Coś go gryzie, czyni zgorzkniałym. Może dlatego, że odpowiada za majątek rodziny, ale nie ma mocy, aby się nim cieszyć. Może więc,



jak twierdzi, pragnąć powrotu Aleksandra albo też może chcieć posłać zaginionego dziedzica do wszystkich diabłów.

Crowther i Harriet tak zagłębili się w rozmowie, że gdy Rachel odezwała się, spokojnie i stanowczo, oboje odwrócili się, jakby zaskoczeni tym, że w konwersacji uczestniczą trzy osoby.

- Zakładając, że wszystko, co Hugh i pan Cartwright powiedzieli przed koronerem, jest prawdą, a motywem działania Hugh jest wyłącznie dobro rodziny, a nie jego obecne w niej położenie... czemu nie polecił swemu zarządcy, Wicksteedowi, aby spróbował odnaleźć brata? Od czasu jego przybycia pod jego pieczę zostawił wszystkie sprawy posiadłości.

- Potrafię z tego wyciągnąć taki wniosek, że Hugh chciał zebrać informacje i wykorzystać je w sekrecie, co powiedział podczas przesłuchania - odparł Crowther. - Byłem trochę zaskoczony i nieufny, gdy swą tajemniczość przypisał potrzebie dbałości o uczucia lady Thornleigh. Chyba że przypuszczał, iż może ona źle potraktować Aleksandra lub odnosić się do niego niemile, gdyby był w tarapatkach albo - tu przerwał na chwilę - w jakichś hańbiących okolicznościach. Choć z drugiej strony jej przemowa o utarciu nosa księżnym świadczy o tym, że nie przykładła większej wagi do tego, gdyby jej pozycja okazała się... niestała. Jeśli Aleksander żyje, byłaby zależna od jego dobrej woli, podobnie jak Hugh. Jeśli nie bardziej.

Rachel przytaknęła. Crowther odchylił się na krześle, zetknął palce czubkami i mówił dalej:

- Przed kim zatem Hugh pragnął utrzymywać sprawę w tajemnicy? Czy to Wicksteed jest wobec niego bardziej lojalny, ze względu na służbę w armii, czy też lady Thornleigh zyskała na niego wpływ? A jeśli Hugh obawia się obojga? Pani Westerman, co też powiedziała nasza dama od igły?

Harriet skrzywiła się.

- Krążą ponoć plotki, że Wicksteed stał się użyteczny dla lady Thornleigh i jakiegokolwiek były ich wcześniejsze stosunki, nikt we dworze nie sądzi, by Wicksteed był teraz ulubieńcem Hugh.

- Musi się czuć bardzo samotna w takim wielkim domu -mruknęła Rachel.

- I jest. - Crowther pochylił się w fotelu. - Czy lady Thornleigh obawia się pasierba?

- On z trudem znosi jej obecność i chyba w ogóle o niej nie myśli - odparła Harriet. - Przynajmniej takie odniosłam wrażenie, kiedy byliśmy w przyjaźni - umilkła i popatrzyła na Crowthera z powagą. - Ale zawsze uważałam, że jest coś tajemniczego w jego kontaktach z Wicksteedem. Ten człowiek ma w posiadłości wielką władzę, a ja odniosłam wrażenie, że przez to Hugh czuje się nieswojo. Nie potrafię zrozumieć, czemu umieścił człowieka, którego nie darzy sympatią, na tak wysokiej pozycji we własnym domu.

- Przyjmujemy więc, że Wicksteed to człowiek o niejasnym pochodzeniu i jakiegokolwiek talenty czy zalety posiada, nie wiemy o jego dotychczasowym życiu niczego, co upoważniałoby go do zarządzania jedną z najbogatszych posiadłości w kraju. A jednak tam jest. Crowther podrapał się po podbródku.

- Zastanówmy się, co możemy zrobić, aby dowiedzieć się więcej o tym człowieku. Jeśli wie o jakimś sekrecie, dzięki któremu może trzymać Hugh w garści, mało prawdopodobne, by chciał powrotu prawowitego dziedzica do Thornleigh Hall. Wicksteed nie będzie miał takiej samej władzy nad Aleksandrem, jeśli zostanie on odnaleziony i wróci do domu. Harriet wpatrywała się w swoją filiżankę z kawą, jakby szukając w niej odpowiedzi.

- To ma sens - zgodziła się.

- Ale jakaż jest natura tej władzy, którą Wicksteed posiada nad Hugh? Czy ona naprawdę istnieje? Może po prostu Hugh uważa go za dobrego zarządcę, nawet jeśli go nie lubi? - odezwała się Rachel z powątpiewaniem.

Crowther spojrział na nią z powagą.

- Musimy podejrzewać wszystko i nie wierzyć w nic, dopóki nie będziemy mieli na to dowodu.

- Panie Crowther, to brzmi jak jakaś niemoralna filozofia. -Panna Trench uśmiechnęła się, a on odwzajemnił uśmiech.

Harriet znowu zaczęła stukać palcami o tkaninę pokrywającą sofę.

- Pani Mortimer nie wie nic o tym, by Wicksteed trzymał pana w garści, a jeśli Belinda Mortimer czegoś nie wie, to nie wie tego także nikt inny w okolicy. Sądzę, że powiedziała mi już wszystko.

- Jej kuzyn, ten, którego przyjąłeś do stajni, wygląda na bardzo bystrego - oświadczyła Rachel.

Harriet roześmiała się.

- Zamierzam wydać twoje zyski ze sprzedaży maści na skórę, aby go zatrudnić i kupić jemu i Jamesowi nowe buty.

- Jeśli Hugh jest niewinny - oznajmiła Rachel z westchnieniem - to nie sądzi pan, panie Crowther, że Wicksteed mógł zabić Brookę, aby Hugh nie dowiedział się, gdzie jest Aleksander?

- Możliwe. Wygląda na to, że wszystko, co Wicksteed posiada, musiał sam sobie wywalczyć. A powszechnie wiadomo, że gdy ktoś osiąga z trudem pozycję albo majątek, to nie ma wcale ochoty się z nimi rozstawać.

Rachel spojrzała ze smutkiem przed siebie, prawą ręką poskubała rąbek sukni i oznajmiła ściszym głosem:

- W przeciwieństwie do Aleksandra, który po prostu wszystko to porzucił. Crowther poczuł ciarki ma karku, a gdy się odezwał, jego głos zdawał mu się bardzo odległy.

- Z zasady, gdy dorastamy, mając czegoś pod dostatkiem, mniej to sobie cenimy.

Każde z nich w milczeniu przez kilka chwil wpatrywało się w różne fragmenty listowia, kunsztownie wyobrazonego na dywanie komandora. Harriet odezwała się pierwsza.

- Panie Crowther, sypie pan dzisiaj epigramami. Powinniśmy zebrać je wszystkie w książce dla pożytku społeczeństwa. - Nieznacznie uklonił się jej ze swojego krzesła. - Musimy pójść i zobaczyć się

z panem Thornleighem - oznajmiła i dodała, zwracając się do siostry: - Nie ty, moja droga, tylko pan Crowther i ja.

- wątpię, aby uczynił coś innego poza posłaniem nas do diabła, nie wspominając już o tym, by wyjawiał nam, czemu, jeśli w ogóle, Wicksteed ma go w garści.

- No to mu na to pozwólmy. Ale jeśli jest niewinny, musimy spróbować mu pomóc.

- A opiekunka? Dlaczego ją zamordowano? - Rachel uniosła ku nim wzrok. - Zakładam, że to nie ze swojej ręki poniosła śmierć.

- Została zamordowana - ponuro stwierdził Crowther. - Nie mam co do tego wątpliwości.

Harriet wstała i zaczęła krążyć po salonie między anatomem a siostrą. Rachel podążyła za nią spojrzeniem. Gabriel złożył dłonie jak do modlitwy i dalej wpatrywał się w podłogę, słuchając rozmowy obu kobiet.

- Jaki udział mogłaby mieć w tej sprawie? - zastanawiała się na głos Harriet.

- Może znała sekret, dzięki któremu Wicksteed trzyma Hugh w garści - odparła Rachel.

Harriet zatrzymała się.

- Pewnie właśnie o tym traktowały jej listy. Ale skąd mogła cokolwiek wiedzieć, mając do czynienia z domem dość krótko, skoro nie wiedziała o tym nawet pani Mortimer, bywająca tam regularnie od czasów jeszcze przed narodzinami Hugh i Aleksandra!

Crowther poczuł, że w głowie otwiera się przestrzeń gotowa na nową ideę. Dokoła wręcz wisiały strzępki natchnienia. Gdyby tylko zdołał je jakoś razem złożyć w mózgu... coś, co pragnęło przybrać kształt.

- Kiedy opiekunka lorda Thornleigh przybyła do dworu? - zapytał.

Harriet wzruszyła ramionami.

- Czy nie zjawiała się, niemal przypadkiem, miesiąc czy dwa po tym, jak lord Thornleigh zapadł na zdrowiu?

Rachel przytaknęła.

- Tak, jechała właśnie do Brighton, aby zamieszkać tam u siostry, i po drodze usłyszała o lordzie Thornleigh. W przeszłości zyskała doświadczenie związane z tą chorobą, pracując jako opiekunka, postanowiła zatem zboczyć z drogi z Pulborough i zaproponować swoje usługi. Przyjęli ją z radością.

Obie kobiety patrzyły z zaciekawieniem na Crowthera, widząc napięcie obecne w szczupłym ciele. W głowie uczonego myśli splatały się niczym lina, a on zawstydził się tym, że czerpie wielką satysfakcję z ich skupionych na sobie spojrzeń. Kiedy ponownie się odezwał, nie sposób było nie skojarzyć go z aktorem deklamującym na scenie.

- Oczywiście. Tajemnicze listy z Londynu. Jej przybycie w odpowiedniej chwili, a potem jej zamordowanie. Już rozumiem! -Uniósł wzrok znad podłogi, oczy na tle bladej twarzy stały się wręcz nienaturalnie błękitne. - To Aleksander ją wysłał.

### 3

Harriet szybko zjadła obiad, Crowther niczego prawie nie brał do ust. Kiedy tylko służba pozostawiła ich samym sobie, ponownie wrócili do tezy, że to Aleksander mógł wysłać opiekunkę Bray do Thornleigh Hall. Kobiety zdawały się z tym zgadzać.

- Nie mamy żadnego dowodu - stwierdził Gabriel zmęczonym głosem po raz trzeci.

- Jutro odbędzie się przesłuchanie - odparła Harriet, nieco przygnębiona. - Może opiekunka Bray miała przyjaciół we dworze, o których jeszcze nie wiemy. Mogą nas o czymś powiadomić.

- Mam nadzieję, że dla własnego dobra nie znają oni adresu Aleksandra - westchnęła Rachel. - Taka wiedza jest bardzo niebezpieczna.

Crowther i Harriet nagle ucichli i spojrzeli na nią.

- Gdybym była na waszym miejscu - mówiła dalej - przed pójściem do dworu i żądaniem, aby Hugh powiedział nam, czy jest w mocy swego zarządcy, dowiedziałabym się, co można wydobyć od pana Cartwrighta. Wszak to jedyna osoba, o której wiadomo, że spotkała Cartera Brooka żywego. Taki był nieszczęśliwy, gdy się o tym dowiedziano, że może nie powiedział jeszcze wszystkiego, co o nim wie.

Crowther pokiwał głową.

- Panno Trench, ma pani całkowitą rację. Być może to najlepszy tor działań.

Rachel nałożyła sobie trochę ryby i zadziornie uśmiechnęła się do siostry.

- Pewnie nie będzie chciał się z wami spotkać. Harriet, proponowałabym ci długi spacer w skwarze, do wioski i nagłe omdlenie pod jego sklepem. Crowther zobaczył uśmiech na ustach pani Westerman i zauważył:

- Panno Trench, gdy urodziła się pani jako kobieta, ten kraj stracił wielkiego generała.

- Od czasu do czasu każda kobieta musi myśleć niczym generał - odpowiedziała, nieznacznie skłaniając głowę. - Z pewnością uraduje się pan na wieść, że kraj stracił także wielką aktorkę, kiedy moja siostra wybrała życie szacownej mężatki.

Harriet odwzajemniła ukłon, uśmiechając się figlarnie.

- Nie jestem pewna, czy teraz zachowuję się jak szacowna mężatka.

Jej siostra nieco szerzej otworzyła oczy.

- Harriet, nie mówiłam, że jesteś szacowną matroną, ale że wybrałaś sobie takie życie!

Crowther zastanowił się, czy pani Westerman nie rzuci w nią chusteczką.

Pannę Trench ocaliło to, że drzwi otworzyły się i wkroczyła pani Heathcote, aby posprzątać ze stołu.

Rachel wcale nie przesadziła w ocenie umiejętności siostry. Gabriel zobaczył, jak Harriet przygotowuje się, zbliżając do okiennic

sklepu Cartwrighta, bierze pospieszne, płytkie oddechy. Gdy całym ciężarem ciała opadła na niego akurat w takim miejscu, by zdołał sięgnąć kołatki, uczone sam nie potrafił odróżnić prawdziwego zasłabnięcia od tych symptomów, które pokazała pani Westerman. Miał tylko nadzieję, że przedstawienie dane przez niego okaże się temu równe. Pospieszenie dwakroć zastukał do drzwi, otworzyła mu pokojówka o miłej buzi.

Dziewczę, które, jak mniemał, spłoszyło się, pozostawiono samotnie. Gdy na wpół prowadził, na wpół niósł Harriet, służąca nie potrafiła zrobić nic poza otwieraniem i zamykaniem ust. Gabriel pchnął pierwsze ujrane drzwi, wiodły one do skromnego salonu. Poprowadził Harriet do krzesła.

Pokojówka spoglądała na nich nerwowo, a potem stwierdziła sztywno:

- Pan Cartwright przekazuje wyrazy ubolewania, ale dziś jest bardzo zajęty i nie może nikogo przyjąć.

Crowther wywołał na twarz srogi grymas i gwałtownie odwrócił się do niej.

- Drogie dziewczę, czy sądzisz, że pani Westerman i ja mamy zwyczaj składać wizyty w taki sposób? Pani Westerman zasłabła w upale i potrzebuje jakiegoś miejsca, by wypocząć. Jeśli o mnie chodzi, twój pan może sobie iść do diabła.

Harriet uniosła wzrok i zarumieniła się. Oddychała płytko, oczy miała wilgotne, spojrzenie proszące.

- Hannah, potrzebuję tylko szklanki wody i czasu, aby dojść do siebie. Wczoraj znaleźliśmy opiekunkę Bray... Zaczęłam myśleć o jej biednej twarzy i...

Crowther patrzył z podziwem, jak po jej policzku spływa wielka łza. Bez namysłu jedną dłonią chwycił nadgarstek Harriet, drugą zegarek i zaczął badać jej puls. Hannah z cichym westchnieniem postąpiła krok do przodu.

- Oczywiście, przyniosę wodę. Niech pani tutaj zostanie, madame. -

Rzuciła Gabrielowi gniewne spojrzenie i odwróciła się tak szybko, że zaszumiały jej spódnice. Zatrzasnęła za sobą drzwi.

Pani Westerman puls miała spokojny i miarowy, każdy człowiek mógłby sobie takiego życzyć. Crowther uniósł oczy znad zegarka i napotkał jej spojrzenie. Mrugnęła do niego. Usłyszeli jakąś cichą rozmowę dobiegającą z korytarza. Drzwi otworzyły się i wszedł przez nie sam pan domu. Niósł wodę, idąc zaś, pochylał tułów, jakby zdawało mu się czymś niebezpiecznym trzymać głowę wyżej niż którykolwiek z gości.

- Droga pani westerman! Tak mi przykro, że źle się pani poczuła!

Podał szklanke. Harriet chwyciła ją drżącą ręką.

- Panie Cartwright, przykro mi, że pana niepokoję. - Zatrzepotała rękami, on zaś zbył jej przeprosiny. - Jak mniemam, zna pan pana Crowthera.

Panie Crowther, oto pan Cartwright.

Uczony wyprostował się i spojrzał w dół.

- Ach tak! Rękawicznik!

Cartwright uśmiechnął się trochę krzywo.

- Zgadza się, panie. Jak miałem już okazję zaznaczyć, moje nazwisko widnieje nad drzwiami. Proszę usiąść. - Ponownie otworzył drzwi na korytarz. - Hannah! Jeśli łaska, przynieś nieco lemoniady.

Harriet uniosła rękę.

- Zbyt pana kłopotujemy.

- Ani trochę, ani trochę, pani Westerman.

Crowther usiadł, z przekonywajaco znudzonym westchnieniem. Zapadła cisza, obaj mężczyźni przyglądali się pani Westerman. Upiła łyk wody, a potem, jakby trzymanie szklanki wymagało od niej zbyt wielkiego wysiłku, odstawiła ją na pobliski stolik. Potem oznajmiła mocniejszym już głosem:

- A więc to pan, panie Cartwright, znalazł dla pana Thornleigha nieszczęsnego Brooka. Jak to się stało?

Niewysoki człowieczek zeszywniał, zmieszany. Hannah powróciła z lemoniadą i trzema szklankami. Harriet jakby nieco zapadła się w krzesło i wzięła szklanke ze słabym „dziękuję”. Gdy jednak służąca wyszła z izby, jej stan się poprawił. Przypatrywała się teraz panu Cartwrightowi ze spokojną przyjazną uwagą. On zaś zerkał od



jednego gościa do drugiego, a skóra zrosiła mu się potem. Przypominał Crowtherowi zapędzoną w róg jaszczurkę.

- Jest taka kawiarnia, którą zwykłem odwiedzać, kiedy jeżdżę do Londynu po towar. Stamtąd znałem Brooka, zresztą bardzo słabo. Może kiedyś, rozmawiając z kapitanem Thornleighem, wspomniałem o pewnych osobach, które spotkałem w Londynie.

Najwyraźniej starał się przynajmniej udawać nieco bardziej odprężonego i odchylił się w krzesło, zakładając nogę na nogę. Crowther zauważył, że jego pantalone mają charakterystyczny odcień żółci.

- Mam zwyczaj, aby czasem, dla uciechy przyjaciół, sporządzać krótkie charakterystyki osób, które spotykam w wielkim mieście. Zawsze liczę na to, że będę miał coś ciekawego do opowiedzenia kapitanowi Thornleighowi, kiedy się z nim zobaczę.

Harriet uśmiechnęła się radośnie.

- Ależ to wspaniale, mieć taki talent do zabawiania! Cartwright uniósł dłoń, jakby chciał odgonić tę pochwałę, nabrał też nieco kolorów.

- Czyli kapitan wiedział, że może pan znaleźć dlań jakąś pomoc?

- Tak sądzę, chociaż zaznaczyłem, że nie mogę ręczyć za charakter Brooka i jak najbardziej radziłem kapitanowi Thornleighowi, aby nie wykladał żadnych pieniędzy, nie otrzymawszy wpierw dowodu.

Crowther złożył palce i pozwolił spojrzeniu wędrować powoli po Cartwrightcie póty, póki nie nabrał pewności, że człowiek ów jest świadom, iż jest przesłuchiwany i robi mu się z tego powodu nieswojo.

- Panie Cartwright, dlaczego odnosząc się do pana Thornleigha, zawsze używa pan jego stopnia wojskowego?

Człowieczek znowu się zjeżył.

- Panie Crowther, kiedyś miałem żonę i syna. A także córkę, chociaż jej teraz tu nie ma i jest zamężna, dzięki Bogu. Zarówno żonę, jak i syna straciłem w pierwszych latach rebelii w Ameryce.

Mego syna zabito w Bostonie, a żona zachorowała i zmarła w ciągu miesiąca od nadejścia tych wieści. Kapitan Thornleigh znał mego chłopaka od urodzenia. Zaniósł go do obozu na własnych plecach i trzymał za rękę, gdy umierał.

Crowther znowu pomyślał o maskach, jakie noszą ludzie, wtopionych w ich skórę niczym nakładana co dzień szminka. O ileż bardziej zajmujący się stawali, gdy żaloba albo troska zmywały z nich farbę.

- Pierwszą rzeczą, jaką kapitan Thornleigh uczynił po powrocie, było przyjście do mnie. Zanim jeszcze ruszył do własnego domu, by zmienić płaszcz, przybył właśnie tu, by mi powiedzieć, że Tom umarł jak mężczyzna. To coś, co uczyniłoby dumnym każdego ojca.

- Tak, to było bardzo zacne z jego strony - cicho powiedziała Harriet. Mężczyzna pociągnął nosem i przytaknął.

- Pamięta też o mnie po tych wszystkich latach. Dziś rano przyniósł mi ze dworu butelczynę czegoś mocniejszego wraz z przeprosinami za wmieszanie mnie w całą historię. Może czasem język miewa ostry, a maniery szorstkie, ale wciąż ma dobrą duszę. A jeśli poprosiłby mnie o jakąkolwiek przysługę, to bym mu ją wyświadczył. To niewiele jako podzięką dla kogoś, kto był przy moim chłopcu, gdy umierał, i zadbał, aby nie konał samotnie. Nasz Tom na pewno nie czuł się zlekniiony z kapitanem Thornleighem przy sobie. Jeśli poprosi mnie o znalezienie kogoś, kto będzie w swych dociekaniach skrupulatny i przebiegły, ruszę na skraj świata, by to uczynić.

Crowther pozwolił, by łód w jego głosie nieco stopniał.

- Czy pański syn znał również Clavera Wicksteeda? - spytał. Pan Cartwright zebrał się w sobie i zaskoczony uniósł wzrok, wzruszając ramionami.

- Tak, znał, chociaż w listach od Toma była tylko jedna o nim wzmianka. Jak sędzę, pan Wickstead nie był jego ulubieńcem. Tom uważał, że jest szpiegiem. Powiedział, iż chłopcy mu nie ufali, bo zawsze coś sobie zapisywał w małych, oprawnych w skórę kajeci-

kach. Dotąd to czyni. Wystarczająco często widywałem go, jak zapisywał coś Pod Niedźwiedziem i Koroną, z kieliszkiem stojącym obok niego.

Chociaż teraz bardziej trzyma się dworu niż na początku. W ostatnich miesiącach widzimy go rzadziej nawet od kapitana Thornleigha. -

Cartwright zmarszczył czoło. - Ale Wicksteed nie kłopotał się tym, aby powiedzieć mi cokolwiek o Tomie. Pewnie zresztą nigdy nie wiedział o tym pokrewieństwie. On troszczy się tylko o siebie i swoją pozycję.

W głosie rękawicznika zabrzmiała gorycz. Harriet piła lemoniadę.

- Zdaje się, że pan Thornleigh ufa panu bardziej niż własnemu zarządcy, sadząc po jego prośbie związanej z Brookiem.

Cartwright podrapał się pod uchem.

- Nie wiem, pani Westerman, czy powinienem to mówić. Najprawdopodobniej kapitan Thornleigh po prostu zapamiętał, że wspominałem w rozmowie o Brooku albo o podobnym człowieku.

Harriet przytaknęła. Crowther przechylił głowę na bok.

- Widział pan Brooka, gdy zmierzał na spotkanie z panem Thornleighem? Cartwright gwałtownie drgnął.

- Widział go pan? No, panie Cartwright, niech pan nam powie - nalegała Harriet.

Rękawicznik rozejrzał się wokół zdenerwowany.

- A jakie to ma znaczenie? Koroner powiedział, że zabił go jakiś złodziej, który przyszedł za nim z Londynu. Dajmy temu spokój.

- A opiekunka Bray?

- To było samobójstwo, tak mówią. Na pewno. Musiała być przygnębiona ciągłym towarzyszeniem lordowi Thornleighowi, a jeśli zapragnęła spalić swe papiery przed uczynieniem tak rozpaczliwego kroku, czemuż by miała tego nie zrobić?

- Panie Cartwright, cokolwiek się mówi, niech pan wie, a jest to pewne jak to, że tutaj siedzę, że ta nieszczęsna dama została zamordowana - oznajmiła Harriet. - i na pewno ma to związek ze śmiercią Brooka, czy pan tego nie widzi? Przypuszczalnie ma pan rację,

twierdząc, że pańskie spotkanie z Brookiem tuż przed jego śmiercią pozbawione jest znaczenia, ale proszę opowiedzieć nam wszystko, co tylko pan może. Chciałabym się mylić, ale nie potrafię spać spokojnie i myśleć o moim małym chłopczyku, mojej siostrze czy też bawić się beztrąsko z moim dzieciątkiem, gdy podejrzewam, że się tutaj dzieją jakieś ciemne sprawy. Jest pan dobrym człowiekiem i ojcem. Czułby pan to samo, prawda?

Odwołanie się do Cartwrighta jako opiekuna stanowiło mądre posunięcie. Rękawicznik spojrział na swoje kolana i westchnął. Potem jednak postanowił mówić.

- Spotkałem się z Brookiem, kiedy szedł do miasta. Rozmawiałem z nim.  
- Widział pan kogoś na gościńcu, kto podążał za nim? - spytał Crowther.  
- Nie, panie. - Cartwright zerknął na nich ze smutkiem. - Obawiam się, że nie.

Gabrielowi zrobiło się niemal przykro.

- A co wydarzyło się między Brookiem a panem?  
- Pozdrowił mnie na skraju wsi, aby podziękować za załatwienie pracy. Zdawał się wielce z siebie zadowolony. - Cartwright przerwał i spojrział na nich z poczuciem winy. - Pokazał mi pierścień. Mówił, że zdobył go, gdy rodzina wyszła w odwiedziny do sąsiadów. Co świadczy, że mógł się tym też przechwalać gdzie indziej i niewłaściwemu człowiekowi, czyż nie?

Harriet odezwała się bardzo łagodnie, jakby wysuptywała pasmo niezwykle delikatnego włókna.

- Czy powiedział panu, jak zdobył pierścień?

Cartwright powrócił do kontemplowania swojego kolana i od-kaszlnął, zanim odpowiedział:

- Mówił, że zabrał go z biurka tego mężczyzny, w jego salonie. Z biurka Aleksandra.

Crowther poczuł, że język robi mu się nabrzmiały i ciężki.

- A powiedział panu, gdzie jest Aleksander? Rękawicznik wyglądał na bardzo przygnębionego.

- Zapisał to na skrawku papieru - wymamrotał.

Harriet gwałtownie uniosła wzrok i napotkała spojrzenie Crow-thera.

- Machał nim, mówiąc o pieniądzach, jakie zań dostanie - ciągnął Cartwright. - Mówił, że to lepsze od weksła. Staralem się sobie to przypomnieć. Mówilem kapitanowi Thornleighowi, że próbowałem, ale nic mi nie przychodziło do głowy. Może Meadow Street? Nie jestem pewien.

Crowther poczuł, jak serce łomocze mu w piersi. Harriet oblizwała wargi.

- Czy powiedział coś jeszcze o Aleksandrze?

- Tylko tyle, że odnalezienie go to była diabelnie trudna robota. Nowe nazwisko, nowe otoczenie. Mówił też, że nie sądzi, by jakikolwiek inny człowiek w Londynie zdołał tego dokonać, jemu zaś udało się w dużej mierze za sprawą szczęścia. Wspominałem mu kiedyś o tym, że Aleksander miał bzika na punkcie muzyki i najpierw podążył właśnie tym tropem. Wyjawiłem mu też to, co wiedziałem o Aleksandrze, o tym jak wygląda, o jego chorej nodze. We właściwe miejsce zaprowadziło go jakieś napotkane dziecko. Przypadkiem. Uważał, że jest bardzo sprytny, skoro zabrał też ze sobą rysunek herbu Thornleighów. - Ponownie na nich spojrzął. - Robiło się późno, więc sobie poszedł. Nigdy jeszcze nie widziałem nikogo tak zadowolonego z siebie.

- Był pieszo? - dopytywał się Crowther.

- Tak. Na pewno zatrzymał się w Pulborough. - Mały człowieczek znowu na nich patrzył. - Nie wiedziałem, co mam mówić na przesłuchaniu. O nic mnie nie pytali. Opowiedziałem potem o wszystkim panu Hugh, ale Wicksteed cały czas siedział obok niego i zdaje się, że to jedynie rozjątrzyło problem. Chciałbym móc wyraźniej zobaczyć ten papier w myślach.

Crowther zamrugał, przyglądając się złożonym dłoniom.

- Panie Cartwright, umysł to wielka tajemnica. Niech pan stara się zbytnio z nim nie zmagać. Gdy będzie się pan zajmował codziennymi sprawami, proszę od czasu do czasu odegrać sobie

w wyobraźni spotkanie z Brookiem. Może pan wiedzieć więcej, niż pan sądzi.

Cartwright spojrział na niego z nadzieją.

- Naprawdę pan tak uważa?

- Takie rzeczy już się w przeszłości zdarzały.

- Byłoby to dla mnie wielką ulgą, gdybym zdołał pomóc kapitanowi.

Uczynię tak, jak pan radzi.

Odeszli wkrótce potem, wymieniwszy stosowne uprzejmości i wyrazy uszanowania. Crowther odwrócił się, aby spojrzeć na rękawicznika, zatopionego w myślach. Stał w drzwiach wychodzących na ulicę, dokąd ich odprowadził. Spojrzenie wylupiastych oczu wlepił w ziemię, delikatnie poruszał wargami, starając się odnaleźć zagubione włókna pamięci - jedyne, co jak się zdawało, wiązało teraz Aleksandra z Hartswood.

4

Po drodze do Caveley pani Westerman szła zatopiona w myślach.

Crowther rozglądał się wokół, poprzez gęste i grube żywopłoty, nabrzmiałe od świeżych pędów, pączków dzikiej marchwi i zwojów bluszczu. Zastanawiał się, jak pod zarządem nowego właściciela stoją jego dawne ziemie. Nigdy nie spotkał się z człowiekiem, który kupił posiadłość. Od jego plenipotenty wiedział, że był to browarnik, który zgromadziwszy fortunę oraz wydawszy córkę za lorda, chciał móc kęs dobrej ziemi nazwać własnym. Adwokat powtórzył mu słowa mocodawcy: „Prawdziwy Anglik nigdy nie będzie naprawdę szczęśliwy, jeśli nie zyska kawałka ziemi, by wykarmić z niego dzieci”. Crowther rad był, że pozbył się posiadłości. Dopóki nie powieszono starszego brata, ta ziemia nigdy nie miała należeć do niego, podobnie jak tytuł, powinna więc uznać nowego pana i rozkwitać pod mądrą ręką, nie pod starym zarządem.

Zauważył, że skręcili ku zagajnikowi, gdzie pani Westerman znalazła Brooka. Zerknął ku swej towarzyszce, zastanawiając się, czy kierunek jej kroków był nieświadomy, czy też wynika z jakiegoś planu. Uchwyciła jego spojrzenie i pojęła niezadane pytanie.

- Zastawiałam się, czy jest jeszcze coś, czego możemy się dowiedzieć z miejsca pierwszego morderstwa. Nie zauważylibyśmy spalonych listów obok chatki wiedzmy, gdyby Rachel nie dostrzegła ogniska.

Crowther zastanowił się przez chwilę.

- Sądzi pani, że możemy odnaleźć na przykład niedopałek cygara pana Thornleigha, jeżeli czekał tam, tak jak mówił?

Przytaknęła.

- To oczywiście niczego nie dowiedzie, ale bardziej bym mu ufała, gdybyśmy coś znaleźli.

Dotarli na miejsce i pani Westerman podeszła do niewielkiej ławki na polanie. Usiadła, jakby czekała na umówione spotkanie. Potem nachyliła się do przodu, dłonią w rękawiczce rozgarnęła zeschnięte liście u stóp.

Crowther stał obok i się jej przyglądał. Pracowała z delikatną, skupioną uwagą, za każdym przesunięciem dłoni poszerzając jego łuk. Przy tej pracy nieco przygryzła dolną wargę.

- Ach! - Wyprostowała się, trzymając między kciukiem a palcem wskazującym grubo brunatny niedopałek cygara. Gabriel podszedł i wziął go od Harriet, potem długo trzymał przed nosem, ona zaś otrzepywała rękawiczkę z kurzu.

- Tak, tak sadzę, pani Westerman. - Położył sobie niedopałek na dłoni, popukał weń paznokciem. - Mogę powiedzieć, że nie leżał tu długo i że swego czasu sporo z niego wypalono.

- Czyli że Hugh przesiedział tu czas jakiś. - Rozejrzała się wokół, podpierając pięścią brodę. - Ale Brook został zaskoczony, jest więc mało prawdopodobne, by Hugh, jeśli to on jest mordercą, czekał tutaj na niego całkiem na widoku.

- A to, że pierścień pozostawiono przy ciele, świadczy o tym, iż morderca nie miał czasu, by szukać go po popełnieniu zbrodni, jest

więc równie mało prawdopodobne, by po dokonaniu morderstwa spokojnie palił cygaro.

- Mało prawdopodobne, ale nie niemożliwe. Hugh mógł w ogóle zapomnieć o pierścieniu i chciał się uspokoić przed powrotem do domu.

- Istotnie.

Crowther wyjął chusteczkę, schował w nią niedopałek, niepewny, po co to czyni. Pomyślał tylko, iż okazałby brak szacunku wobec wysiłków Harriet, gdyby rzucił go z powrotem na ziemię. Pani Westerman znów się rozejrzała. Liście dębu rosnącego na zboczu przed nimi poruszyły się na wietrze, gęste kwiecie wśród trawy pochyliło się do przodu i ponownie opadło w tył.

- Wiele bym dała, by zajrzeć do notatników Wicksteeda - rzuciła.

- Sądzi pani, że zapisał wszystko, co wie? Nikt nam wszak nie mówił, że jest półgłówkiem.

Crowther usiadł obok niej, twarzą zwrócony ku miejscu, gdzie znalazła Brooka. Przez jakiś czas nie odpowiadała. Spokój tego miejsca, jego urok sprawiły, że powoli nasiąkał tą atmosferą. Znalazł się gdzieś wysoko, wśród chmur. Spojrzał w górę, tam gdzie nabrzmiewały i wznosiły się wśród błękitu i liści. Harriet odezwała się tak, jakby w ich rozmowie nie pojawiła się żadna przerwa.

- Myślę, że jest on człowiekiem inteligentnym i bezwzględny. Ale podejrzewam, że to ja wciąż nie chcę nazwać Hugh mordercą.

Ktokolwiek zabił Brooka, musiał też mieć udział w śmierci tamtej biednej kobiety. Nie przebaczyłabym sobie, gdyby człowiek, któremu ufałam, ją powiesił. Muszę o niej pamiętać, a to sprawia, że krew staje mi w żyłach. Walczyła, ale pomoc nie nadeszła.

Crowther pozwolił, by w jego myślach pojawił się ów obraz. Starsza kobieta... czyją zwabiono, czy przyszła do chatki z własnej woli, z listami w dłoni? Może, ale któż ją zwabił? Nie przychodził mu do głowy nikt, z kim mogłaby umówić się na takie spotkanie, poza Hugh. To on szukał Aleksandra. Jeśli zdecydowała się ujawnić to, co ponoć wiedziała o miejscu pobytu jego brata, poszłaby właśnie



do niego. Z kimkolwiek zgodziła się spotkać, przybyła z ufnością i została zaatakowana. Musiała zrozumieć, że ten, z kim się spotkała, chce ją skrzywdzić, dlatego uderzyła go i drapała.

- Czy dziś rano rodzina Thornleighów pojawiła się w kościele? - zapytał nagle.

- Tak. Lady Thornleigh przyszła pod rękę z Hugh. Lubi od czasu do czasu dawać ludziom okazję, żeby ją podziwiali, a my podziwiamy. Nic na to nie poradzę.

- A Wickstead? - Przytaknęła głową. - Zakładam, że już by mi pani powiedziała, gdyby ktoś z nich miał widoczne zadrapania.

Nie patrzyła na niego, chociaż w jej głosie usłyszał nutę złośliwej wesołości.

- O tak, sądzę, że raczej bym tak uczyniła.

- Jeśli nie została podrapana twarz, to najprawdopodobniej ramiona napastnika. - Crowther wyobraził sobie mężczyznę ze sznurem czekającego w chatce na opiekunkę, jak zdejmuje płaszcz, aby przygotować się na czekający go wysiłek, związany z zabijaniem innej istoty ludzkiej. Przebieg tej sceny przesuwiał mu się w głowie. Widział kobietę ze skrępowanymi nadgarstkami, szarpiącą się i patrzącą na sznur przerzucany przez krokiew.

- Musiała być zakneblowana - odezwała się Harriet.

Droga na szubienicę, w otoczeniu wyjącego i szydzącego tłumu, nie mogła być bardziej przerażająca od leżenia w chatce w letnie popołudnie, ze skrępowanymi liną przegubami i gardłem zakneblowanym delikatnym płótnem. Spojrzał na las.

- Wiem, że nie szuka pan pociechy, ale proszę sobie przypomnieć tamten cios w tył głowy. Mogła już być nieprzytomna wskutek owej rany, gdy morderca zakładał jej pętlę na szyję.

- Może. Rana była krwawa, ale czaszka nie pękła. Był to prawdopodobnie cios mający powstrzymać jej szamotaninę, gdy krępowano jej nadgarstki. Szarpiąc nimi, ocknęła się.

Crowther czuł teraz na policzku suchą ziemię, obolałą głowę, rozpaczliwe szarpanie przegubów. Widział półmrok, wysokie buty jakiegoś dżentelmena pojawiające się w zasięgu wzroku i znikające

podczas powolnych przygotowań. Poczul, jak przechodzi mu po skórze dreszcz, tak jakby do krwi została wstrzyknięta rtęć, śliska i chłodna.

- To jest prawdopodobne. - Na chwilę zacisnął powieki. - Powinniśmy zwrócić się do sędziego, by przeszukał Thornleigh Hall. Niech u każdego w tym domostwie poszuka zadrapań. Sądzi pani, że się odważy?

Przesunęła się nieco na ławce, aby spojrzeć na Gabriela, głowę przechyliła w bok.

- Może gdyby koroner uznał tę sprawę za morderstwo, ale wątpię. Nawet jeśli znalazłby coś podejrzanego, jakieś zadrapania, dałoby się je wytłumaczyć, a wyniki z tego nieprzyjemności byłyby wręcz ogromne. Crowther z wolna pokiwał głową i wstał.

- Musimy zatem znaleźć to sami. I to szybko, bo za trzy, cztery dni wszelkie rany, jakie opiekunka Bray zadała swemu zabójcy, zostaną wyleczone i stracimy odpowiednią chwilę.

Graves poczul, że ciężko mu na sercu. Wyperswadowawszy Susan i pannie Chase powrót do stołu, na którym czekała szkatułka, podszedł tam sam. Wpierw uniósł plik papierów, które leżały w pudełku, okazało się jednak, że to popsute kopie jakichś starych nut. Ścisnęło go w dołku. Nie uświadamiał sobie dotąd, jaką wiarę pokłada w zawartości szkatułki.

Wstał, aby ukryć emocje przed paniami, i zbliżył się do okna, chcąc spojrzeć w dół, na ulicę - tylko po to, by spostrzec, iż patrzy na zadartą do góry twarz Molloya. Odsunął się gwałtownie.

Panna Chase wzięła papiery, starannie odwróciła je przed nim na drugą stronę, a potem oznajmiła:

- Panie Graves, sądzę, że coś odnalazłam.

Usiadł naprzeciw niej, ona zaś przesunęła ku niemu po stole jakiś list. Spisała go czyjaś prosta, lecz staranna dłoń - zgadywał, że niewieścia. Data wskazywała, że pochodzi sprzed czterech lat. Owen spojrzął na Susan, która mrugnęła przyzwalająco, i zaczął czytać na głos:

„Drogi Panie Adams

Przyjęto mnie we dworze z prawdziwą ulgą. Jak sądzę, ludzie tu nie mają doświadczenia w postępowaniu z taką chorobą jak ta, co dotknęła earla. Niemal całkowicie stracił zdolność mówienia, a oni boją się wydawanych przezeń dźwięków. Mniemam jednak, że nadal pozostaje takim, jakim był zawsze, i rada jestem, mogąc temu nieszczęsnemu dżentelmenowi zapewnić taką wygodę, jaką jestem w stanie. Moja pani przybywa tu od czasu do czasu i sądzę, że jemu sprawia przyjemność spoglądanie na nią. Podziwiam jej postanowienie o pozostaniu w rezydencji. Zapytała, czy earl kiedykolwiek jeszcze będzie zdolny podróżować, i posłała mu gorzkie spojrzenie, kiedy rzekłam, że jak mniemam, należałoby mu to odradzić. Sądzę jednak, że earl musiał przeoczyć to spojrzenie, albowiem w dalszym ciągu wyglądał na bardzo zadowolonego. Powiadają, że pan Hugh Thornleigh postanowił za kilka miesięcy powrócić z wojen w Ameryce, aby zająć się sprawami posiadłości, kiedy tylko zdoła zapewnić sobie przeprawę.

Powinnam raz jeszcze podziękować Panu za skierowanie mnie na tę posiadłość, która, jak sądzę, wielce będzie mi odpowiadać i za to, że w swej życzliwości przygotował mnie Pan do podróży. Tak jak się ugodziliśmy, będę pisywała co sześć miesięcy i oczywiście zachowam milczenie o tym, co się wydarzyło. Naturalnie i bez Pana nieustającej szczodrości spełniłabym Pańskie życzenia pod tym względem.

Naj szczerzej Panu oddana

Madeleine Bray"

Graves przesunął dłonią po czole.

- Co to ma znaczyć? Kim są ci ludzie? Panno Chase, słyszała pani o nich? Susan, znasz któreś z tych nazwisk?

Dziewczynka pokręciła głową, wyglądała na strapioną. Graves zmartwił się, że powiedział wszystko z większym żarem, niż zamierzał.

Panna Chase chwyciła małą rączkę i poklepała ją. Następnie powiedziała powoli:

- Czy to nie ten earl, który kilka lat temu poślubił jakąś tancerkę, a potem w ciągu roku się rozchorował?

Owen zmarszczył brwi, spoglądając na blat stołu przed sobą, starając się powiązać różne wątki. Panna Chase mówiła dalej:

- Może Aleksander miał rodzinę w tamtej posiadłości. Był wszak człowiekiem wykształconym. Przypomniałam sobie, że kiedyś słuchałam jakiegoś dżentelmena, który odebrał bardzo dobre wychowanie w wiejskiej posiadłości. Był synem zarządcy, otrzymał gruntowne wykształcenie, a potem zajął miejsce ojca. Jednak rozstał się z rodziną jako młodzieniec, wolał odejść i zebrać własny majątek niż dbać o własność innego człowieka.

Pan Graves zerknął na swoje paznokcie, a potem zacisnął palce.

- Co się z nim stało? - zapytał.

- Wzbogacił się i kupił sobie własną posiadłość. Myślę, że tak teraz wygląda świat. Dzielni ludzie potrafią iść sami swoją drogą, jeśli nie zbędzie im odwagi. - Spojrzała na niego z łagodnym uśmiechem. Poczuli, że mu nieco lżej na sercu.

Susan przysunęła w stronę Gravesa kolejny list, jej gładkie czoło ściągnęło się w dziwnym grymasie.

- Co za dziwny list? Myślę, że chyba od tej samej pani! Czy przeczyta to pan, panie Graves? Nie jestem pewna, czy dobrze go pojmuję.

Wziął od niej kartkę i odchrząknął.

„Thornleigh Hall, Sussex Drogi Panie Adams

Wszystko dzieje się tutaj dalej tak samo, jak ostatnio. Pan Hugh Thornleigh i lady Thornleigh nie są sobie zbyt przyjaźni, a to wstyd, kiedy rodzina nie potrafi żyć ze sobą w zgodzie w takim czasie, nieprawdaż, panie Adams? Dowiedziałam się jednako, że najstarszy syn, Aleksander, wicehrabia Hardew, zniknął stąd kilka lat temu. Zaiste, miałam sposobność obejrzeć portret tego dżentelmena w jego młodych latach, gdy wraz z gosposią czyściłam kilka minia-

tur i usłyszałam całą tę historię. Opowiedziałabym ją teraz Panu, ale podejrzewam, że już Pan ją zna! Nie chcę Pana w żadnym razie niepokoić, panie Adams. Pański sekret, obiecuję, nigdy nie wydobędzie się z mych ust ani też nigdy już nie poczynię doń żadnej aluzji.

Oddana

Madeleine Bray"

Graves przerwał lekturę, a w izbie zapadła ciężka cisza. Spojrzał uważnie na dziewczynkę, starając się poznać, czy wszystko zrozumiała.

Susan wpatrywała się w blat stołu. Nie czuła nic poza łagodnym ciężarem obrączki na szyi. Zaginiony syn? Aleksander? Jej ojciec miał na imię Aleksander i był dżentelmenem, jednak czy mógł być kimś aż tak wielkim? Kiedy spacerowali po parku, widywała earłów. Żaden z nich nie przypominał taty, żaden też nie zdawał jej się miły. Zaszło jej w ustach. Zamrugła i uniosła wzrok, spoglądając w ciemnoniebieskie oczy Gravesa.

- Czy mój papa może być synem tego chorego człowieka? Owen zwilżył wargi i nieco bezradnie spojrzął na trzymany w ręku papier.

- Zdaje się, że te pani Bray to właśnie miała na myśli! Susan, wszystko to wygląda bardzo dziwnie. Czy twój ojciec powiedział ci kiedykolwiek coś, co mogłoby świadczyć...

Dziewczynka gwałtownie pokręciła głową.

- Nie. Tylko wtedy, gdy zapytał o karety i suknie.

- Tutaj musi być jeszcze coś. - Graves ponownie sięgnął do pudełka. -  
Przejrzyjmy te kartki, jedna po drugiej.

Znowu zajęli się szkatułką, przewracali na drugą stronę każdą kartę wydającą się pociętymi nutami i potrząsali każdym zawiniątkiem, sprawdzając, co kryje w środku.

Odkrycia dokonała panna Chase. Znalazła trzy karty schowane w pliku nut, który Graves uprzednio odłożył, uznając za osłonę zawartości pudełka.

- Tutaj, tutaj, panie Graves!

Rozpostarł papiery na stole. Były to świadectwo małżeństwa oraz dwa inne dokumenty, potwierdzające narodziny Susan i Jonathana. Nazwiska z aktu ślubu brzmiały Elizabeth Ariston-Grey i Aleksander Thornleigh. Dzieci nazywały się Susan i Jonathan Thornleigh.

Wpatrywali się w dokument tak długo, aż Graves nabrał pewności, że rozpozna ów charakter pisma nawet na łożu śmierci. Spojrzał na dziewczynkę.

- Wygląda na to... - Głos mu się łamał, przełknął ślinę, Susan zaś wpatrywała się weń szeroko otwartymi oczyma. - Wygląda na to, iż Aleksander cały czas chciał, abyście mieli możliwość powrotu do rodziny Thornleighów, jeśli tylko tego zapragniecie. Nie ma wątpliwości. To wasze prawdziwe nazwisko.

- Czyli, że ja nie nazywam się Susan Adams?

- Jesteś córką swego ojca, a on był człowiekiem zbyt honorowym, aby odmówić ci tego, czego odmówił sam sobie.

Uniósł wzrok, czując na sobie spojrzenie panny Chase. Uśmiechnęła się do niego i kiwnęła głową. Susan gwałtownie uniosła rękę, zasłoniła sobie usta, wydając cichy okrzyk.

- Ale nie wolno nam mówić, nie wolno nam niczego o tym mówić! To nie są dobrzy ludzie! - Jej oczy wypełniły się łzami.

Panna Chase chwyciła ją za rękę i ukryła ją między własnymi dłońmi.

- O co chodzi, Susan? Dlaczego nie są dobrymi ludźmi? Dziewczynka gwałtownie patrzyła to na jedno, to na drugie.

- Tamten człowiek, tamten żółtawy człowiek powiedział, że ma wiadomość ze dworu! Tak właśnie powiedział: „wiadomość ze dworu”. To musi być ten dwór, prawda? Jeśli coś powiem, wyśle kolejnego człowieka, żeby zabił Jonathana i mnie.

## 5

Gdy schodzili w dół zbocza ku Caveley, myśli Harriet nadal krążyły wokół dziennika Wicksteeda.

- Musi istnieć jakiś sposób, żebym mogła obejrzeć te papiery. Istnieje wystarczająco dużo spraw łączących obie posiadłości, aby usprawiedliwić mą wizytę u tamtejszej ochmistrzyni czy samego Wicksteeda. Gdybym tylko zdołała dotrzeć do jego biura i znaleźć sposób, by pobyć tam sama przez chwilę...

Crowther westchnął.

- Pani Westerman, przecież zarządca może nie przechowywać dziennika w biurze, a jeśli zawiera on jakiegokolwiek tajemne treści, z pewnością jest zamknięty na klucz.

Spojrzała na niego rozgniewana, a potem miękkim skórzanym trzewikiem odrzuciła z drogi jakąś nieznośną gałązkę.

- A jednak spróbuję. Nie zostawię tego. - A gdy Crowther pozwolił sobie wznieść oczy do góry, dodała: - A ma pan jakiś inny plan?

Przyjrzał się ziemi przed sobą.

- Nie.

- No to dobrze.

Przed nimi rozległo się trzaśnięcie zamykanych drzwi. Spojrzawszy w tamtą stronę, ujrzeli Rachel spiesznie zmierzającą ku nim przez trawnik. Popatrzyli po sobie, zobaczyli nawzajem odbicie własnych trosk i przyspieszyli kroku, aby do niej dołączyć.

- Panie Crowther, Harriet! Dzięki Bogu! Pan Cartwright! Harriet wydała się zaskoczona.

- O co chodzi? Byliśmy u niego ledwie pół godziny temu.

- Właśnie przyjechał Michaels. Cartwright bardzo się rozchorował, a lekarz jest teraz u chorego w Pulborough. Panie Crowther, Michaels przybył prosić pana o pomoc.

Była bardzo błada. Uczony nie pomyślał nawet o tym, by zadawać jakies pytania czy zaprotestować. Zobaczywszy, że Michaels czeka już w siodle, przy rogu domu, z koniem Gabriela obok, ruszył

ku niemu szybko. Wskoczył na wierzchowca z wigorem, który jeszcze kilka dni temu uznałby u siebie za niemożliwy.

- Jest bardzo źle? Michaels podał mu wodze.

- Bardzo.

Rosły mężczyzna wpił pięty w końskie boki, a Crowther ruszył za nim galopem. Kopyta wzbijały tumany kurzu i zdźbła traw. Trzymali się w siodłach prosto i pewnie. Kątem oka dostrzegł pozostawione z tyłu kobiety, blade i tak teraz dalekie na wielkim trawniku Caveley.

Harriet odwróciła się ku siostrze, biorąc ją pod ramię.

- Co wiesz? - zapytała.

Rachel była zarumieniona, oddech wciąż miała płytki.

- Niewiele. Michaels zjawił się chwilę temu. Cartwright dostał gwałtownych boleści. Michaels spotkał jego służącą na ulicy, jak wypłakiwała oczy, bo nie mogła znaleźć lekarza, no i zajął się wszystkim. Harriet poczuła, jak w głowie tłoczą jej się nagle lęki, poczuła też, że jej dłoń, spoczywająca na ramieniu Rachel, drży.

- Chodźmy do środka i wyślijmy do Crowthera Davida. Może przekazywać wiadomości od nas i z powrotem. I jeszcze, Rachel...

-Siostra lękliwie uniosła ku niej wzrok. - Nie chcę, żeby ktokolwiek z mojej rodziny robił użytek z jakichkolwiek prezentów, jakie otrzymaliśmy z Thornleigh Hall. Czy znajdziesz sposób, aby to uczynić? I to dyskretnie?

Rachel zbladła, ale przytaknęła i ruszyła w stronę domu.

Michaels poprowadził Crowthera do wnętrza domu oraz w górę wąskich schodów, do pokoju Cartwrighta. Zapach wymiocin i żółci po otwarciu drzwi starczyły, by Gabriel się zachwiać. Obaj mężczyźni zatrzymali się, potem oberżysta zabrał krzesło ze środka pokoju i usiadł na nim w kącie. Był cichy, przypominał jednak czujnego psa. Uczony ruszył w stronę łóżka. Okazało się wilgotne od potu, obok stała miednica, do połowy wypełniona żółtawymi wymiocinami.



Cartwright jęknął i otworzył oczy. Widząc Crowthera, spróbował się podnieść.

- Panie Crowther? Nic panu nie jest? A pani Westerman...? Gabriel przysiadł na skraju łoża i ujął przegub mężczyzny. Puls był taki jak u człowieka wycieńczonego, słaby i nierówny.

- Ja czuję się dobrze, a panią Westerman pozostawiłem w doskonałym zdrowiu.

Cartwright opadł z powrotem na poduszki, powieki mu opadły.

- Dzięki Bogu. Lękałem się... - Jego ciałem szarpnęły konwulsje; podciągnął kolana do piersi z cichym jękiem. Crowther zdjął wierzchnie okrycie.

- Panie Michaels, proszę o wodę i całą sól, jak jest w domu. Musimy zrobić, co w naszej mocy, aby to z niego wydobyć.

Nie rozglądał się, usłyszał jednak, jak oberżysta wstaje i szybkim krokiem wychodzi z pokoju. Cartwright spróbował ponownie otworzyć oczy, ciężko dysząc.

- Zostałem otruty, panie Crowther?

- Tak się obawiam.

- I to mnie zabije?

Gabriel zawahał się, a potem odważnie spojrział w zaczerwienione oczy pacjenta.

- Gwałtowność ataku może świadczyć o tym, że podziałała na pana mocna dawka. Przeczyścimy pana jednak i ozdrowienie jest możliwe.

Kolejny krzyk. Kostki palców Cartwrighta zbieleły, szczęki zacisnęły się. Kiedy spazm minął i chory rozluźnił dłonie, Gabriel ujrzał wewnątrz nich rany tam, gdzie zadbane paznokcie wbiły się w ciało. Sklepikarz przez chwilę oddychał ciężko, potem znowu uniósł wzrok.

- To przyszło nagle. Jakiś dziwny smak...

- Jak metal?

- Tak. - Cartwright wydawał się zaskoczony. - Skąd pan wie?

- Arszenik. Potem przyszedł gwałtowny ból głowy i mdłości?

Cartwright znowu przytaknął, chociaż teraz trzymał oczy zamknięte. Skórę miał wilgotną i żółtą. Crowther odgarnął mu włosy z czoła.

- Mam tu kilka rzeczy pod ręką, możemy zatem sprawić, aby było panu lżej. - Nie wiedział, czy został usłyszany.

Michaels wrócił, tym razem z Hannah depczącą mu po piętach.

Crowther wymieszał sól z wodą i podsunął to rękawicznikowi do ust.

Uświadomił sobie, że to pierwszy żywy pacjent, z jakim ma do czynienia.

Wątpił, aby ten przypadek dobrze zapisał się w jego karierze. Dawka musiała być duża, a poza oczyszczeniem żołądka i czuwaniem niewiele dało się zrobić. Efekt podania soli okazał się niemal natychmiastowy.

Cartwright jęknął i zwinął się na łóżku, aby ponownie z wymiotować do miski, która stała w plamie słonecznego blasku późnego popołudnia, owinięta prześcieradłem chorego. Spadło na nie nieco żółci, pryskającej choremu z ust. Było też trochę krwi. Uczony zastanawiał się, czy to żołądek już krwawi, ale chyba Cartwright w jednym ze spazmów przygryzł sobie wnętrze ust.

Wziął szklanekę, napełnił ją czystą wodą, uniósł pacjenta, otaczając mu barki ramieniem, a potem napoił. Rękawicznik upił chciwy łyk i opadł Crowtherowi na ramię. Trochę wody spłynęło mu z ust na policzki.

Crowther wyjął chusteczkę i delikatnie otarł mu twarz. Chory puścił go, znowu zaczął dyszeć, ciało szykowało się do następnego ataku. Na chwilę otworzył oczy, ich kąciki czerwieniły się szkarłatem krwi. Przypominało to stawanie twarzą w twarz z samym piekłem.

- Panie Crowther, czy to długo potrwa? - wydyszał.

- Może dzień.

Chory burknął coś i się odwrócił. Gabriel wstał.

- Dziewczyno, umiesz czytać? - zapytał Hannah. Przytaknęła. - Idź do mego domu i przynieś mi z gabinetu flakon z napisem „waleriana”.

Wyglądała na zagubioną. Crowther westchnął zniecierpliwiony. Michaels otworzył szufladę w niewielkim stoliku pod ciemną ścianą z tyłu izby i wskazał przechowywane tam atrament oraz papier. Anatom podziękował mu, a potem zapisał słowo na kartce.

- Tu jest klucz. Moi służący pokażą ci, gdzie jest kredens. Wracaj szybko.

Pospiesznie wyszła z pokoju, Gabriel bez ruchu patrzył, jak zamykają się za nią drzwi.

- Panie Crowther, wie pan, co mu jest? - odezwał się Michaels.

- Z gwałtowności ataku i metalicznego smaku, jaki zauważył, wnoszę, że to arszenik.

- Jest jakaś nadzieja? Crowther pokręcił głową.

- Kiedy Hannah wróci, zejść z nią na dół i pozatykam flaszki.

- Proszę też sprawdzić strawę, jeśli pożywiał się w ciągu ostatniej godziny.

- Dlaczego pytał się o pana i panią Westerman?

- Byliśmy tu niedawno, aby zapytać, czy widział Brooka, kiedy szedł do miasta - odparł Crowther. - Poczęstował nas lemoniadą.

- Która nie wyrządziła państwu szkody.

- Jak sam pan widzi. Michaels przygryzł palec.

- A widział Brooka?

- Tak. W dodatku Brook pomachał mu przed nosem adresem wicehrabiego Hardew, tyle że Cartwright go nie zapamiętał. Michaels zacisnął pięści.

- To pan znalazł opiekunkę ze dworu?

- Tak.

- Widzę, że i ją też zamordowano. Chociaż wszyscy we wsi usiłują sobie wmówić, że to samobójstwo.

- Tak. Zamordowano ją. - Crowther nie powiedział nic więcej, tylko wziął jeszcze jedno krzesło i postawił je obok głowy pacjenta. Potem usiadł, jakby szykując się do długiego czuwania.

Michaels spojrział nań z ukosa.

- Po co pan posłał?

- Po opiaty. To powinno na koniec zmniejszyć bóleści. Oberżysta westchnął i znów zasiadł na swoim miejscu w cieniu.

Rachel uniosła książkę, a potem odłożyła ją znowu, wpatrując się w ten sam akapit, który już dwukrotnie przeczytała bez zrozumienia.

Harriet w dalszym ciągu chodziła tam i z powrotem po pokoju. Zabrzmiało delikatne pukanie do drzwi, po czym weszła pani Heath-cote ze złożoną na pół kartką. Pani Westerman wyrwała ją z dłoni gosposi i otworzyła, przygryzając wargę.

- Harriet?

Pani Westerman wetknęła siostrze notatkę w dłoń.

- Został otruty. Niczego już się nie da zrobić.

Pani Heathcote wzdrygnęła się, ale zaraz opanowała.

- Poślę Davida po nowiny, madame. Chyba że to właśnie jest wiadomość, rzecz jasna.

Harriet pokiwała głową, nie podnosząc wzroku.

- Proszę tak zrobić. To nie jest wiadomość.

Crowther nie wiedział, czy Michaels posłał po sędziego, czy też wieści rozeszły się same, bez ludzkiej interwencji. Jakkolwiek było, Bridges zjawił się i porozmawiawszy z pokojówką, zajął miejsce w gęstniejących ciemnościach, obok Crowthera i Michaelsa. W pokoju było duszono, cuchnęło, a chociaż uczony otworzył okno, brakło powiewu, który przyniósłby nieco ulgi. Cartwright majaczył, wzywał żonę i syna, czasem z rozpaczliwą tęsknotą, czasem radośnie, jakby ich widział przed sobą. Bridges poczekał, aż Gabriel jeszcze raz ochłodzi pacjentowi czoło i zmierzy pulsujące z wysiłkiem tętno, a potem wziął anatoma pod ramię i wyprowadził na korytarz.

- Sądzi pan, że to trucizna? - zapytał.

- Jestem tego pewien.

- Czyjego umysł wciąż jest jasny? Czy zdołamy dowiedzieć się od niego, skąd to się wzięło? A może to jakiś wypadek?

- Dałem mu środek nasenny. Jeśli chce pan z nim porozmawiać, niech pan to zrobi teraz, potem będę musiał zaaplikować go szczerzej. Jego męki są niesłychane.

Sędzia wciągnął powietrze przez zęby i pokiwał głową.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze. Jak pan sądzi, z czym podano truciznę?

- Jeszcze nie zbadałem butelek ani pożywienia w kuchni, ale podejrzewam okowitę, którą otrzymał od pana Thornleigha. Służąca mówiła, że wypił jej trochę zaraz po tym, jak wyszliśmy, ja i pani Westerman. Objawy pojawiły się tak nagle i były tak ciężkie, że nie sadzę, aby istniała jakaś inna przyczyna. Lemoniada, którą wspólnie piliśmy, najwyraźniej nie została skażona. Może pan to poznać po tym, że stoję tutaj i z panem rozmawiam - powiedział Crowther szorstko i bez ceregieli.

- No tak - odparł sędzia. - Chyba że to tylko jego szklanka została skażona, jak pan się wyraził.

- Możemy to wyjaśnić dość szybko, za pomocą eksperymentu. Proszę podać nieco tego trunku jakimukolwiek psu na ulicy. Jeśli nie skona w ciągu godziny, może pan sobie wierzyć, w co tylko zechce.

- Bardzo dobrze, bardzo dobrze, panie Crowther.

Sędzia położył dłoń Gabrielowi na ramieniu i trzymał przez chwilę jak człowiek łapiący równowagę na rozkołysanym statku.

- Twierdzi pan, że opiekunka również została zamordowana?

- W rzeczy samej. Wątpi pan w to?

- To nie jest kwestia wątpliwości, po prostu nie umiem pojąć, co się tutaj dzieje. Może to tylko seria niezwiązanych ze sobą, nieszczęśliwych wypadków?

- To niemożliwe. Ci ludzie zostali zamordowani i to nie przez samotnego złodzieja.

- Pan wskazuje na pana Hugh Thornleigha.

- Gdyby Aleksander nie został nigdy odnaleziony lub zostałby odnaleziony martwy, wówczas on dziedziczy posiadłość! Kto jeszcze może wynieść z tego jakąś korzyść?

Sędzia spojrział na niego surowo w półmroku.

- A gdyby usunięto obu braci? Jednego skrytobójczo, a drugiego w majestacie prawa, kto wtedy korzysta? Nie spodziewałbym się, by to właśnie panu tak bardzo się spieszyło ujrzeć człowieka dyndającego na szubienicy za zamordowanie kogoś ze swojej rodziny.

Crowther poczerwieniał.

- Nie spieszy mi się, jak się pan raczył wyrazić, do ujrzenia kogokolwiek dyndającego na szubienicy. Proszę mnie jednak nie prosić, bym uwierzył, że był to wypadek albo że opiekunka Bray popełniła samobójstwo po to, aby chronić Hugh!

- Hugh może być lepszy od swej opinii.

- Nawet jeśli jest mordercą?

- Nie do końca daję wiarę, że popełniono tu morderstwo.

- Może chciałby pan porozmawiać o tym z ofiarą? Crowther otworzył drzwi do sypialni. Michaels zajął miejsce

Gabriela przy łóżku, a teraz się przesunął, ustępując mu go. Dał znak anatomowi, tak iż ten pomyślał, że rozmowa za drzwiami nie przebiegła całkiem niesłyszalnie. Bridges pochylił się nad łóżkiem, chrząknął.

- Panie Cartwright, przykro mi widzieć pana w takim stanie! Cóż się tutaj wydarzyło? Jakaś pomyłka z domowymi truczkami?

Chory otworzył oczy, a sędzia nieco się wzdrygnął. Z ust Cartwrighta wydobywał się rzęzący, przerywany oddech.

- Wody-jęknął.

Crowther napełnił szklanę, przesunął się obok sędziego, aby dać choremu pić. Joshua opadł na łóżko, potem westchnął i znów otworzył oczy.

- Może. Tak, może. Zeszłej niedzieli truliśmy myszy. - Pełnymi rozpaczycy oczyma spojrzął w okrągłą twarz sędziego. - Napilem się wody z tym trunkiem, który mi przyniósł kapitan Thornleigh. Może tak musiało być. Sędzia zakołysał się do tyłu na piętach i uśmiechnął z zadowoleniem, spoglądając niewinnie na Crowthera. A on milczał, choć nie kłopotał się, by ukryć wzgardę. Nie winił Cartwrighta. Jeżeli rękawicznik pragnął wierzyć, że jest ofiarą wypadku i ta wiara da mu ukojenie, niechże tak będzie.

Wlał do szklanki z wodą kilka kropel z brązowej buteleczki. W wodzie zawirowała jasna purpura. Podał napój pacjentowi. Oczy chorego nagle się otworzyły i wpiły spojrzenie w twarz Gabriela.

Cartwright uniósł rękę, powstrzymał szklanę, a zakrwawioną dłoń z mocą zacisnął na przegubie anatoma, przyciągając go do swoich ust. Gabriel poczuł z nich odór śmierci.

- Tichfield. To była Tichfield.

Crowther pokiwał głową ostrożnie, na znak, że zrozumiał. Z członków Cartwrighta ustąpiło napięcie, opadły powieki. Dał się napoić i z przeciągłym westchnieniem znowu ześlizgnął się w fale swej udręki. Sędzia podszedł bliżej.

- Co on panu powiedział?

- Nic, majaczenia umysłu. - Crowther nie odrywał oczu od twarzy oberżysty. - Już więcej nie przemówi.

Minęła trzecia rano, kiedy David po raz ostatni powrócił do Caveley. Panie nie położyły się jeszcze spać. Harriet nie zrezygnowała z czuwania, Rachel nie chciała jej opuszczać. Poślaniec wszedł, nie zdejmując płaszcza, i wręczył list pani Westerman. Połowę tego, co na niej było, potrafiła odczytać z samego wyrazu jego twarzy. Uśmiechnęła się z wielkim smutkiem. W blasku świec poślaniec zdawał się błądy i zatroskany.

- Dziękuję, Davidzie. Sprawileś się bardzo dobrze, odpocznij. Przez chwilę patrzył tak, jakby chciał jeszcze coś powiedzieć, potem odwrócił się, ale znów zatrzymał się przy drzwiach.

- Chciałem tylko powiedzieć, panno Rachel, że pan Crowther postąpił jak dżentelmen. Mam nadzieję, że i ja będę miał taką opiekę, gdy przyjdzie mi odejść. Chociaż liczę na to, iż nie będę miał aż tak ciężkiej śmierci. - Wyszedł, zanim zdołała odpowiedzieć.

Drzwi zatrzasnęły się za nim, Rachel wstała, zajmując miejsce za krzesłem Harriet, tak że mogła jej czytać przez ramię. List był zwięzły i konkretny.

„Już koniec. Dawka była ogromna. Wiem, gdzie jest Aleksander”.

Dziewiętnasty kwietnia 1775 roku, Boston,  
Zatoka Massachusetts, Ameryka Północna

Wyruszyli jak chłopcy, którym obiecano zabawę, a już następnego wieczoru do obozu wracała wstrząśnięta i skrwawiona armia. Hawkshaw miał na szczęce dziurę po garłaczu jakiegoś farmera, podczas odwrotu spod Lexington rebelianci zabili trzech ludzi z jego kompanii. Nie widział Hugh od czasu rzezi Krwawych Aniołów, gdy buntownicy wykorzystali przewagę dawaną przez ostry zakręt na otwartej przestrzeni, by napaść i rozgromić jego ludzi. Nigdy jeszcze nie stawał na tak otwartym polu. Piękne, zalesione wzgórza i doliny, nieregularne drogi i rzeczne szlaki czyniły tę okolicę dobrą do uprawy roli, walczyć wśród nich było jednak diabelnie ciężko. Kiedy żołnierze przedzierali się z powrotem do Concord, rebelianci pojawiali się znikąd, niektórzy wychodzili wprost na nich, aby oddać strzał, nawet jeśli czyn taki oznaczał pewną śmierć. W przyszłości armia już nigdy nie podejdzie równie beztrudno do spotkania z tymi ludźmi. Choć obdarci i niezdyscyplinowani, okazali się dzielni i wiedzieli, jak wykorzystywać teren, by dawał im przewagę.

W stosunkowo spokojnej kwaterze Hawkshaw zdjął płaszcz i spróbował przemyć ranę. Zacerpnął do ust nieco wody z misy i wypluł ją, gęstą od krwi. Widział nawet kobietę, która z jednej z farm po drodze strzelała ramię w ramię z mężem. Obydwoje zabito, a ich dom podpalono, ale tamta scena nadal mroziła krew w żyłach. Skoro nawet niewiasty tak walczyły, jak wielkiej siły trzeba, aby ich poskromić? Więcej żołnierzy niż było teraz, a zapewne także więcej niż wkrótce przybędzie. Teraz zapędzono ich w ową przeklętą zatokę, niczym zwierzę w jakąś jamę. Rebelianci wydawali mu się bandą chłopców, miotających ostrymi kamieniami w niedźwiedzia. Może w bezpośredniej walce nie mieli szans, ale jeśli zwierzę nie mógł wyciągnąć pazurów, a odłamki skał były wystarczająco ostre, każdy rozsądny człowiek wiedziałby, na kogo postawić.

Drzwi za nim otworzyły się. Uniósł wzrok, spodziewając się służącego ze świeżą koszulą. Pojawił się jednak Hugh. Wyglądał na



znużonego, ramiona miał przygarbione, choć Hawkshaw nie dostrzegł żadnych ran. Przez chwilę spoglądali na siebie z satysfakcją, potem Thornleigh wysunął ku niemu podłużną butelkę.

- Proszę. Przyniosłem to dla ciebie. Ojciec przysłał ponad pół tuzina butelek brandy, w kasynie mogą wypić zdrowie jego i jego nowej żony. My użyjemy tego trunku do przemycia ran.

Hawkshaw wziął od niego butelkę. Uniósł ją wysoko, pociągnął długi łyk i wypłukał nim dziąsła. Alkohol dotarł do rany, oficer się skrzywił. Nie był w stanie powiedzieć niczego o jakości trunku, czuł tylko kurz i własną krew.

Hugh przyglądał się mu.

- Możesz mówić? - zapytał.

- Tak, wyglądało gorzej, niż jest. Ale nie oczekuj ode mnie długich przemów. Kogo straciłeś?

Hugh kopnął ścianę, bez rozmachu, jednak na tyle mocno, aby zadrżały deski podłogi.

- Czterech dobrych ludzi. Younga, Spicely'ego, Balia i Toma Cartwrighta. Spicely jeden z pierwszych został zabity na moście. Te bydlaki go oskalpowały. Cartwright miał ciężką śmierć. Dołączył ledwie pół roku temu, przybył tu z moich włości i dostał w brzuch. Patrzył mi w oczy, dygocząc na wózku, a ja potrafiłem myśleć tylko o tym, jak żałośnie wyglądają te rzadkie wąsiki, które starał się zapuścić. Ciągle jeszcze był dzieciakiem. I cały czas wpatrywał się we mnie, jakbym był jakimś bogiem, co go może uleczyć potrząśnięciem dłoni czy mówieniem, żeby był dzielny.

- To dobrze, że z nim byłeś.

- Dużo mu to dało. Do diabła z tym! Czterech dobrych ludzi! i po co? Żeby wyrzucić pół tony kul do bajora i spalić dwa armatnie wózki.

Hawkshaw podał mu butelkę brandy i Hugh pociągnął długi łyk.

- Nie możemy sobie pozwolić na takie marnowanie ludzi. Dwóch jest rannych, miesiąc minie, zanim wydobrzeją. Znowu muszę uzupełnić stan kompanii. A co u ciebie? Widziałeś już swoich rannych?

- Oczywiście. Parkinson nietęgo wygląda. Pozostali, którzy wrócili, wyżyją. Dzięki Bogu, Percy narobił wystarczająco dużo hałasu, by pozwolono mu pójść i zabezpieczyć nasz odwrót. Gdyby nie on, byłoby nas tu znacznie mniej.

Hugh ciężko opadł na łóżko.

- Poślę mu trochę tej brandy.

Hawkshaw przez chwilę patrzył na niego w ciszy, a potem wziął się do usuwania krwi i brudu z paznokci.

- Wiesz, to prawda z tym małżeństwem. - Hugh popatrzył na coraz bardziej pustą flaszkę. - Oczywiście, wiesz. Ojciec pisze, że jego żona będzie ozdobą Thornleigh Hall i Londynu.

Hawkshaw usiadł na pieńku i bez słowa wyciągnął rękę po butelkę.

- Mój ojciec nas ośmieszył i myśli, że to świetny żart. Mam nadzieję, że się nim zadławi.

- Spotkałem dziś starego przyjaciela twojej rodziny. Hugh uniósł pytająco brwi.

- Człowieka nazwiskiem Shapin. Usłyszał, jak Gregson wymienia twoje nazwisko. Twierdzi, że znał cię jako dziecko.

- Nie przypominam sobie.

- Zdaje się, że był służącym, zesłanym za kradzież w czasach, kiedy jeszcze byłeś dzieckiem.

Hugh wzruszył ramionami, sięgając po butelkę.

- Dziwię się, że ojciec nie postarał się o to, by go powieszono. Nigdy nie przebaczał cudzych grzechów.

Przyłożył butelkę do czoła, jakby spodziewał się odnaleźć za jej sprawą chłód i ukojenie.

## CZESC 4

1

Poniedziałek, piaty czerwca 1780 roku

Susan usnęła, teraz jednak, gdy światło zaczęło pełzać między okiennicami i usłyszała znajome odgłosy londyńskich ulic, które zaczynały drgać niczym pijak budzący się z koszmarnych snów, zdawało jej się, że przez całą noc leżała, wpatrując się w cienie na suficie.

Zapytała Gravesa i pannę Chase, czy będzie mogła powiedzieć bratu o niezwyklej zmianie sytuacji i o ich perspektywach. Wszyscy troje postanowili nie mówić nic nikomu innemu, dopóki nie uznają, że nadszedł odpowiedni czas. Oznajmienie Jonathanowi o wszystkim wydawało się Susan właściwe, choć decyzja, aby tak uczynić, okazała się łatwiejsza niż sam czyn. Obiecała sobie, że zrobi to po kolacji, później stwierdziła, że chłopiec jest zmęczony i potrzebuje odpoczynku. Teraz zaś leżała bezsennie, starając się znaleźć odpowiednie słowa, łagodne i trafne, i takie, które łatwo dałoby się pojąć.

Westchnęła, usiadła, a potem zamasyżując postawiła nogi na podłodze, aby spojrzeć na brata śpiącego w łóżku obok. Jasne włosy Jonathana rozsypały się na poduszce, ramiona rozrzucił tak, jakby we śnie wbiegał po jakimś stromym zboczu. Buzię miał gładką i bladą, niczym pierwsze chmurki. Bez ceregieli potrząsnęła go za ramię.

- Jonathanie! Jonathanie, wstawaj!

Drgnął i otworzył oczy. Ujrzała w nich to samo oszołomienie, jakie ona czuła, gdy budziła się w obcym pokoju. Kilka chwil spokoju, a potem zwątpienie, gdy nie chciały się pojawiać znajome sprzęty z ich pokoju nad sklepem przy Tichfield Street. Następne zaciśnięcie powiek i nieznaczny ucisk w piersiach, gdy przypomniała sobie, gdzie jest i co się wydarzyło.

- Jonathanie, muszę ci coś powiedzieć. Podniósł się na łokciu i przetarł oczy.

- O co chodzi?

- Obudziłeś się?

- Pewnie, że się obudziłem. Właśnie mną trzęsałaś.

- Nie nazywamy się Adams, tylko Thornleigh. A ty przypuszczalnie jesteś wicehrabią i pewnego dnia zostaniesz earlem.

Jonathan zmarszczył czoło. Nie ruszył się z pościeli.

- Earlem czego?

- Sussex. Spojrzał na nią.

- Czy to stamtąd jest ten obrazek?

- Jaki obrazek?

- Na pierścieniu papy. Ze smokiem i ptakiem trzymającymi tarczę. Może tamten człowiek wie.

- To jest feniks, a ty pleciesz androny. Jaki znowu człowiek? Jonathan usiadł i oznajmił z oburzeniem:

- Wcale nie plotę andronów! Ten człowiek pokazał mi obrazek, taki sam jak na pierścieniu i zapytał, czy go widziałem. Powiedziałem mu o pierścieniu, a on stwierdził, że jestem mądry. Potem obiecał, że wróci i da mi kamizelkę, taką samą, jaką on miał. Podobała mi się, była ładna. Ale on nie wrócił.

- Kiedy to było, Jonathanie? Jaki człowiek?

- Dawno. Już ci mówiłem. Nazywał się Carter.

- Może to on zabrał pierścień! - Głos jej się załamał. - Czy nie wyglądał jak... tamten drugi człowiek?

Chłopiec pokręcił głową.

- Nie, był miły. Czemu chciałby zabrać pierścień? Przecież już miał ten obrazek.

Zastanowili się nad tym przez chwilę, a potem malec spojrział na siostrę, przechylając głowę na bok.

- Skoro ja jestem wicehrabią, to znaczy, że ty jesteś lady? Susan pomachała stopą.

- Pewnie tak.

Jonathan ziewnął i ułożył się znowu w pościeli, z głową na poduszce.

- No to każą ci się uczyć francuskiego. Susan wytrzeszczyła na niego oczy.

Crowther nie wrócił do domu dopóty, dopóki ciała Cartwrighta stosownie nie obmyto i nie odziano. Czas między śmiercią a chwilą, gdy kobiety oznajmiły, że zwłoki są już czyste i spoczywają w kuchni, spędził z Michaelsem, popijając czerwone wino. Rosły oberżysta opuścił pokój, gdy tylko Gabriel długimi białymi palcami zamknął oczy zmarłemu, lecz wrócił po kilku chwilach z butelką burgunda, ścisną w olbrzymiej dłoni niczym zabawką. Niósł też dwa kieliszki, które szybko przetarł skrajem koszuli i bez słowa postawił na stole.

Crowther ze skinieniem głowy wziął podawany mu kieliszek i wypił duży łyk. Zastanowił się, czy zostanie poproszony o dokonanie sekcji zwłok. Właściwie nie miał na to ochoty. Widział już efekty zatrucia arszenikiem na organach pewnego psa w Londynie i nie sądził, aby przyjrzenie się temu, co trucizna robi z wnętrzem człowieka, powiększyło zasób jego wiedzy. Poczul wino w pustym żołądku. Rozgrzało go. Nie myśląc o tym, co robi, wyprostował nogi i westchnął. Michaels prawie na niego nie patrzył.

- Wszystkie butelki i słoiki są pozamykane - oznajmił. - Nie jadł niczego od śniadania. Może jednak powinien pan zabrać tę butelkę ze dworu, co została otwarta, i zamknąć na klucz w swoim gabinecie.

Crowther, zaskoczony, uniósł wzrok.

- Sądzi pan, że nie jest tu bezpieczna?

Michaels wzruszył ramionami i rozprostował grube palce.

- Nie jestem pewien, panie Crowther. Są dwie flaszki. Z jednej pito, z drugiej nie. Dla mego spokoju niech pan weźmie tę otwartą. Wolałbym nie mówić, co mam teraz myśleć, po prostu nie wiem.

Crowther nie odpowiedział, pił tylko dalej wino. Siedzieli w ciszy, póki nie ujrzeni dna butelki, a niebo za oknem zaczęło szarzeć, przechodząc z letniego brzasku w pierwsze światło dnia. Drzwi otworzyły się i weszła miło wyglądająca kobieta, zdecydowanie stawiająca kroki. Zebrała stos prześcieradeł i wyniosła je tylnymi drzwiami. Wróciwszy, położyła Michaelsowi dłoń na ramieniu. Ujął ją i przez chwilę trzymał przy policzku. Kobieta nachyliła się, aby pocałować go w czubek głowy, a Crowther poczuł, jak mu się serce ku nim wyrywa. Do tej pory nie widział jeszcze żony oberżysty, nie przypuszczał, że to taka schludna i młoda niewiasta, nie sądził też, że we dwoje będą stanowić taką alegorię domowego wsparcia. Wyczuła chyba jego spojrzenie i uniosła ku niemu wzrok.

- Panie Crowther, pan i mój mąż powinniście teraz iść do domu i odpocząć. Hannah i ja będziemy tu czuwać.

Pokiwał głową, ale gdy wstał, nogi poniosły go znowu na piętro, do izby chorego. Na niewielkim mosiężnym talerzyku przy ścianie paliły się zioła, po obu stronach zmarłego stały świece. Hannah siedziała na tym krześle, które Crowther zajmował przez większość nocy, i pośpiesznie wstała, gdy drzwi otworzyły się ze skrzypieniem. Gabriel gestem dłoni kazał jej pozostać na miejscu. Spojrzał w twarz leżącego na łóżku. Zmarłego Cartwrighta nie dało się pomylić z odpoczywającym człowiekiem. Wszystko, co ludzkie, już opuściło ciało. Uczony dostrzegł, że Hannah ociera łzy.

- Byłaś przywiązana do swego pana? Pokiwała głową, nieco wystraszona.

- Tak. I...

Pewnie ze zmęczenia stał się łagodniejszy, bo ton głosu miał delikatniejszy niż zazwyczaj.

- I co, dziecko?

Westchnęła, położyła dłoń na łóżku, obok swojego pana.

- Sędzia Bridges pytał o różne rzeczy, o trucie myszy. Boję się, że powiedzą, iż to moja wina. - Poklepała dłonią ramię zwłok, jakby uspokajała dziecko. - Że to ja go skrzywdziłam.

- Wiem, że go nie skrzywdziłaś Uśmiechnęła się, pospiesznie i z wdzięcznością.

- Jeśli nie znajdziesz posady gdzie indziej, chętnie cię przyjmę w mym domu.

- Bardzo bym chciała, panie. - Spojrzała znów na leżące obok ciało. - Ale tymczasem, moje miejsce jest tutaj.

Crowther pokiwał głową z nie mniejszym szacunkiem niż ten, jaki okazałby księżnej. Opuścił pokój, zatrzymał się tylko, aby odebrać jakieś zawiniątko od Michaela, a potem wyszedł frontowymi drzwiami i ruszył do domu.

## 2

Susan myślała, że obwieściwszy nowiny bratu, zdoła w końcu zasnąć, ale rozbudziła się jeszcze bardziej. Ostrożnie podeszła do okiennicy i ją popchnęła. Wzdrygnęła się, kiedy jasność poranka poraziła jej oczy. Pokój, który dzieliła z Jonathanem, mieścił się na wysokim piętrze domu. Mogła stamtąd spoglądać na miasto, wydychające w powietrze dziwaczne kłęby dymu, jakby pół tuzina olbrzymów zapaliło w Londynie pierwszą fajkę. Coś przykuło uwagę dziewczynki, spojrzała w dół. Mężczyzna, który tak interesował się panem Gravesem, spoglądał teraz prosto na nią. Uchwycił jej spojrzenie i zdjął kapelusz z rozmachem, który sprawił, że się uśmiechnęła. Potem rozejrzał się na lewo oraz na prawo, następnie uniósł dłoń, aby na nią skinąć. Zmarszczyła brwi. Skinął raz jeszcze. Odwróciła się w stronę izby. Pan Graves nie lubił tego człowieka, widziała to. Nie wyglądał na zadowolonego, kiedy nieznajomy znalazł



się w pobliżu. Może jeśli go poprosi, to sobie stąd pójdzie. Nie chciała, żeby pan Graves był niezadowolony. Chciała, żeby przebywał razem z nią i Jonathanem.

Krótko i stanowczo kiwnąwszy główką, jakby do własnych myśli, ubrała się pospiesznie i podreptała przez śpiący dom. Przekręciła klucz do drzwi frontowych tak cicho, jak tylko zdołała. Jedna ze służących właśnie czyściła palenisko w salonie od frontu i zaskoczona odwróciła się, aby na nią spojrzeć. Dziewczynka uśmiechnęła się do niej nieznacznie, ale w milczeniu, i wyslizgnęła na ulicę. Pokojówka, niewiele starsza od Susan, patrzyła na nią zmieszana.

Na ulicy było spokojnie. Susan dzielnie podeszła do Molloya.

- Ty jesteś panną Adams, prawda?

Twarz miał bardzo pomarszczoną, ale nie żółtawą. Poczowała się dziwnie uspokojona. Niemal go poprawiła, ale przypomniała sobie niebezpieczeństwa wiążące się z jej nowym nazwiskiem i pokiwała głową.

- A pan jest panem Molloyem. To przez pana pan Graves jest niezadowolony.

Zarechotał głośno, dziewczynka aż odskoczyła o krok. Uniósł jedną dłoń, aby ją uspokoić, drugą wyjął chusteczkę i otarł oczy.

- Czyżby, panienko? Naprawdę? To zaiste powód do niezadowolenia być komuś winnym pieniądze, a jeszcze większy, gdy dochodzi do rozliczenia. Czy to go zadowala, czy nie, dzisiaj muszę zostać spleacony, albo do obiadu zobaczę, jak pana Gravesa zamykają za długi. Mam żonę i dzieci na utrzymaniu.

- Jak to „zamykają”? - Zmarszczyła brwi, patrząc na niego.

- W więzieniu, panienczko - oznajmił, starannie składając chusteczkę i chowając do kieszeni kamizelki. - Będzie tam musiał zostać, jeśli nie dostanę swoich pieniędzy.

Susan przechyliła głowę na bok.

- Czy pańska żona i dzieci są głodne? Zdawał się zaskoczony.

- Nie, słoneczko, jeszcze nie. Ale któregoś dnia mogą znaleźć się w potrzebie właśnie przez te dwadzieścia szylingów. Sama wiesz, że los potrafi odwrócić się w sposób szybki i nagły.

Zgodziła się, że to prawda.

- A zatem musimy dbać o naszych przyjaciół, a pieniądze to mój najlepszy przyjaciel.

Spojrzała na niego, szeroko otwierając oczy ze zdumienia.

- Pan Graves to najlepszy przyjaciel mój i mojego brata. A pan chce mi go zabrać.

Wysunął podbródek.

- Wcale nie. Chcę tylko pieniędzy.

Pogładził się z tyłu głowy i spojrzał za dziewczynkę, w głąb ulicy. Susan nadal wpatrywała się w czubek jego podbródka.

- Ja nie mam żadnych - powiedziała.

Molloy w dalszym ciągu przeczesywał wzrokiem ulicę nad głową dziewczynki i wruszył ramionami. Zagryzła wargi, potem głęboko westchnęła i zaczęła ściągać z szyi złoty łańcuszek.

- Ale mam ten pierścionek.

Popatrzył w dół, dosyć szybko. Spojrzeniem uchwycił złoty blask obrączki oraz skrzenie kamieni. Głos jego stał się niski i pożądlivy.

- Zróbmy tak, dziewczeczko! Zróbmy tak! Będziemy kwita, jeśli to mi dasz.

- Jeśli ja to panu dam, to zostawi nas pan i nie zabierze pana Gravesa?

Pokiwał głową.

- Kiedy dostanę to do ręki, słoneczko, będzie bezpieczny jak nigdy dotąd.

- Należał do mojej matki - odparła spokojnie. Molloy znowu rozejrzał się po ulicy.

- Twoja matka chciałaby, żebyś zatrzymała swych przyjaciół przy sobie, prawda?

Susan się zastanowiła. Mogła przecież zachować miniaturę, a wolała raczej mieć pana Gravesa niż pierścień. Poczwała łyzy cisnące się do oczu.

Odgoniła je mruganiem. Dziwne, taka mała rzecz może zapewnić Gravesowi bezpieczeństwo. Szkoda, że tamten żółtawy człowiek nie dał jej szansy na jakieś targowanie się.

- Muszę zachować łańcuszek, ażeby panna Chase nie dowiedziała się, że go nie mam.

Sięgnęła do szyi, aby rozpiąć łańcuszek. Molloy umilkł na chwilę, potem wzruszył ramionami.

- Dobrze, panienczko, zatrzymaj łańcuszek, daj tylko pierścionek.

Wyciągnął rękę, trąc kciukiem o czubki palców. Nagle rozległy się jakieś kroki i lichwiarz, spojrzawszy ponad jej głową, zaklął. Susan usłyszała, że ktoś ją woła i odwróciła się, z dłońmi wciąż przy karku. W ich kierunku zmierzała panna Chase. Włosy miała rozpuszczone, a oczy błyszczące. Gdy do nich podeszła, położyła dłoń na ramieniu Susan. Molloy zeszywniał i nieco zbladł.

- Panie Molloy! Proszę się wytłumaczyć!

- Panno Chase, to takie drobne sprawy. - Lichwiarz koniuszkiem języka przesunął po wąskich wargach. - Nie ma się czym przejmować.

Serce Susan zaczęło łomotać.

- Proszę, panno Chase! Wystarczy, że pozwolę mu wziąć tę obrączkę, a on nie zabierze pana Gravesa do więzienia. Proszę mi na to pozwolić. Nie chcę, żeby pan Graves odchodził.

Ostatnie słowa były niemal szlochem. Susan poczuła, że panna Chase mocniej zaciska dłoń na jej ramieniu. Spojrzała na Molloya.

- Straszy pan dzieci dwa dni po tym, jak były świadkami zabójstwa własnego ojca? Jak pan w ogóle śmie mienić się człowiekiem?

Molloy wyprostował się, choć ciągle unikał spoglądania pannie Chase w oczy.

- Z pewnością to wszystko bardzo smutne, panienko. Ale interesy to interesy. Możesz mi dać ten pierścionek, słoneczko. Panna Chase nie ma tu nic do powiedzenia.

- Czyżby? - Panna Chase spąsowiała. Susan znowu położyła dłoń na zapięciu łańcuszka.

- Musi mi pani pozwolić. Proszę.

Panna Chase wyjęła zza paska niewielką sakiewkę.

- Ile wynosi ten dług, Molloy? Prędeż sama zapłacę, niż pozwolę obrabować to dziecko.

Wymamrotał coś pod nosem. Susan była przekonana, że nie powinna tego słuchać.

- Dwadzieścia szylingów. I nie ma w tym żadnego rabunku, panno Chase. Nie ma pani prawa tak mówić.

- Zastanawiam się, co ludzie powiedzą, kiedy o tym usłyszą. - Brwi panny Chase ściągnęły się złowrogo.

- Nie może pani płacić! - Susan tupnęła nóżką. - Jemu się to nie spodoba. Wie pani, że się nie spodoba. Będzie mu wstyd i nigdy już z nami nie będzie. To ja muszę zapłacić. On się opiekuje mną! To my jesteście jego dłużnikami, nie pani!

Panna Chase wyglądała na zakłopotaną. Susan wpatrywała się w nią z rozpaczliwą powagą. Molloy uśmiechnął się pod nosem.

- Mnie tam obojętne, kto płaci, ale mam jeszcze inne sprawy do załatwienia, dlatego gdybyście mogły się panie pospieszyć...

Panna Chase spojrzała na niego szyderczo.

- Siedź pan cicho, Molloy. Wałęsa się pan tu od paru dni, a ja mam rozum. Lichwiarz opuścił głowę.

- No dobrze, Susan. Pożyczę ci dwadzieścia szylingów - i gdy dziewczynka zaczęła protestować, dodała - a ja zatrzymam ten pierścionek w zastaw. W ten sposób będziesz wiedziała, że pieniądze są twoje i że możesz je wydać na co tylko zechcesz.

Molloy nie podnosił wzroku, kreślił tylko butem półksiężyc w kurzu ulicy.

- Panno Chase, widzę, że panna się wprawia w moim fachu. Spojrzała na niego z odrazą, ale nic nie odpowiedziała. Serce Susan podskoczyło radośnie.

- Tak, to byłoby w porządku. A kiedy już będę damą, zwrócę to pani - dziewczynka przerwała. - I kupię pani karete, jeśli będzie pani chciała.

- Dziękuję, Susan. Mój ojciec ma już powóz i z przyjemnością się nim podzielę.

Dziewczynka przyjęła odpowiedź z ukłonem.

Dobito targu. Susan wzięła pieniądze od panny Chase i wrzuciła pierścionek w jej dłoń. Ta wzięła go niechętnie, jednak ponaglana determinacją błyszczącą w oczach dziewczynki schowała go bezpiecznie do sakiewki. Susan, z promiennym uśmiechem dziecka kupującego łakocie, umieściła należną sumę w dłoni Molloya. Odwróciła się, ale panna Chase nadal trzymała jej dłoń na ramieniu.

- weksel, Molloy.

Uśmiechnął się smutno i wyciągnął z kurtki opasy portfel, wypchany brudnymi papierami. Niektóre były pomięte i teraz starał się je wyprostować.

- Jest pani ostrożna w interesach, panno Chase, szkoda, że musi pani siedzieć w domu i malować parawany.

Znowu nie odpowiedziała, tylko przypatrywała się uważnie, jak przetrząsa papiery. Krzywiąc się, wyciągnął jedną z pliku zapuszczonych kartek i wetknął Susan w dłoń. Panna Chase cały czas mu się przypatrywała.

- Czy jest tam napisane, że dług został spłacony?

Susan przez chwilę spoglądała obojętnie na liczby, potem odwróciła kartkę.

- Tak, tutaj jest, panno Chase.

- Doskonale.

Molloy wsadził pieniądze do portfela i włożył go z powrotem do płaszcza, poklepując delikatnie, gdy usadowił się na sercu.

- Interesy z wami, moje panie, to czysta przyjemność. Młody Graves to szczęściarz, że ma takich przyjaciół.

Susan spojrzała nań, przechylając głowę w bok.

- A teraz pan ma swoich przyjaciół. - Uśmiechnął się niepewnie. -

Szylingi. Powiedział pan, że to pańscy przyjaciele.

wybuchnął śmiechem.

- W rzeczy samej, słoneczko, w rzeczy samej!

Uchylił zatłuszczonego kapelusza i odwrócił się, by odejść ulicą, pogwizdując przy tym.

Panna Chase przykucnęła, tak że ona i dziewczynka spoglądały sobie nawzajem w oczy.

- Powiedz mi, kochanie, kiedy jesteśmy same. Czy zdołałaś powiedzieć coś Jonathanowi?

Poczucie niezależności i poczucie siły Susan zdawały się odpływać.

Spojrzała na pannę Chase z ogromnym smutkiem.

- Tak, a on powiedział, że będę się musiała uczyć francuskiego! Panna Chase roześmiała się dźwięcznie, a potem wstała, na chwilę przytuliła dziewczynkę do siebie i zaprowadziła z powrotem do domu.

### 3

Crowther przeciągnął się i jęknął. Samo pukanie do drzwi wystarczyło, aby go obudzić, teraz zaś słychać było jeszcze jakieś głosy. Zwłóknął się z łóżka i zaczął ubierać, otrząsając się z resztek zbyt krótkiego spoczynku. Przerwał. Przysiągłby, że słyszał psi skowyt. Pokręcił głową i sięgnął po koszulę. Nocne czuwanie znużyło go, czuł się stary.

- Dziewczyno, wiem, że śpi! Przecież czuwał przy jego łóżku aż do świtu. Ale muszę się z nim zobaczyć, a ty musisz go obudzić.

Był to głos Michaela. Jeszcze raz rozległ się tamten skowyt. Widać oberżysta przyprowadził ze sobą jakiegoś psa. Usłyszał, jak pokojówka protestuje, choć jej słowa brzmiały niewyraźnie.

- No idź tam i go obudź, na litość boską, Betsy. Albo zamknę twemu ojcu kredyt Pod Niedźwiedziem i Koroną i powiem mu dlaczego, zobaczysz! Znowu piskliwa mamrotanina.

- Nie, nie chcę zostać w bibliotece, dziękuję! Myślisz, że kim jestem?

Poczekam w holu. Idź i obudź go, zanim stracę cierpliwość.

Crowther otworzył drzwi od sypialni i wyjrzał na korytarz.

- Michaels, nie ma już potrzeby, sam to załatwiłeś. Uśmiechał się, gdy jednak dostrzegł spojrzenie oberżysty, patrzącego nań z okrytej półmrokiem sali na dole, spoważniał.

- Co się stało? - Ruszył w dół schodów. - Betsy, proszę kawę. Do gabinetu.

Michaels, jakby czując się nieswojo, spojrzął na trzymanego u swego boku na rzemiennej smyczy psa. Był to chart, czarna suka, nieco poszarzała wokół pyska.

- Panie Crowther, ale pies...

- Nieważne.

Gabriel pchnięciem otworzył drzwi z lewej strony holu i puścił gościa przodem. Następnie ruszył ku okiennicom, pozwolił wejść letniemu światłu. Odwrócił się. Wydawało się, że zarówno Michaels, jak i pies z osłupieniem oglądali pokój.

Było to miłe, wygodnie wyposażone pomieszczenie, wyłożone malowaną boazerią. Poprzedni właściciel używał go jako jadalni, ale Crowther nie przyjmował gości i potrzebował przestrzeni do swoich badań. Wzdłuż jednej ze ścian ustawił półki z tymi książkami i preparatami, które najbardziej cenił. Pośrodku izby stał długi, grubo ciosany stół, wygładzony ciągłym szorowaniem, taki jaki znaleźć można w kuchniach lepszych domów. Na blacie leżały rozłożone instrumenty chirurgiczne. Po drugiej stronie pokoju, pod parą kandelabrow z brązu stał pulpit pisarski, na którym leżał otwarty porzucony notatnik. Uwagę Michaela przykuły jednak preparaty. Stanowiły one rezultat niemal dziesięciu lat badań i starannego kolekcjonowania. Crowther odwiedzał aukcje w Londynie i Europie, podobnie jak inni ludzie mający pieniądze i wolny czas, nie kupował jednak włoskiej sztuki czy marmurowych fragmentów starożytnych dzieł. Nabywał części ciała. W każdą wstrzyknięto barwną żywicę, by pokazać poszczególne naczynia i formy, jakie w sobie nosimy. Pływały w ciężkich słojach z alkoholem, wraz z dziwadłami rozwoju, otwarte niczym nieznanne teksty oczekujące, aby uczyć się z nich. Oczywiście Michaelsa wędrowały po półkach.

- Co to takiego? - Wskazał delikatne maswerki pary ludzkich płuc. Stanowiły wspaniały przykład sztuki preparatorskiej. Każde naczynie, którym powietrze wciągane jest do organizmu, wisiało niczym ogołocona gałązka w spokojny dzień, olśniewająco splecione, delikatne jak koronka.

- To płuca pewnego młodzieńca z Lipska.

Ręka oberzysty spoczęła na piersi. Poczul, jak się unosi i opada mu pod dłonią.

- To piękne - oznajmił.

Gabriel uśmiechnął się do siebie i ustawił krzesło obok stołu pośrodku pokoju.

- Proszę usiąść.

Drzwi otworzyły się i weszła Betsy. Postawiła kawę między nimi. Kiedy służąca rozstawiała filiżanki, noga Michaela podskakiwała ze zniecierpliwienia. Pies zdawał się mniej strapiony. Ziewnąwszy szeroko, zwinął się pod krzesłem i oparł pysk na przednich łapach. Betsy wyszła, nadal nie patrząc na półki, a gdy drzwi się zamknęły, Crowther wypowiedział jedno tylko słowo.

- I?

Michael zaciśnął pięść, wetknął ją sobie w drugą dłoń.

- Kuchnia w domu Cartwrighta została doszczętnie roztrzaskana.

Uczony pochylił się do przodu.

- Dobry Boże. A pańska żona i Hannah? Michael uniósł wzrok, uśmiechając się krótko.

- Obie są zdrowe i bardziej zagniewane niż zaleknione. Nie słyszały, aby ktokolwiek wchodził, a kiedy zaczęły się hałasy, odkryły, że nie mogą wyjść z sypialni. Gdy wszystko ucichło, moja żona wyszła przez okno i przybiegła po mnie.

Napotkał spojrzenie Crowthera.

- Ma pan tę butelkę?

Uczony wstał bez słowa i podszedł do szafki w najciemniejszym kącie pokoju. Wyciągnął klucz z kamizelki, otworzył szafkę, wyjął



zawiniątko, które oberżysta wręczył mu w nocy. Wziął je i położył na stole, a potem znowu podniósł filiżankę z kawą.

- Świetnie - oznajmił Michaels.

- Kto to zrobił?

Michaels odłożył porcelanę Crowthera z ostrożnością mężczyzny, delikatnie obchodzącego się z zabawkami z domku dla lalek swojej córki.

- Podejrzewam, że ludzie od sędziego.

- Dlaczego? - Crowther pokręcił głową.

- Słyszałem, jak wczoraj rozmawiał z panem za drzwiami. On naprawdę myśli, że to zrobił Hugh, ale boi się tego, co się stanie, gdy lady Thornleigh i jej syn obejmą posiadłość we władanie. Ona jest sprytna. A oni się nie lubią - wyjaśnił Michaels. - Podejrzewam, że poznali się w Londynie, zanim jeszcze wyszła za earla i teraz ona uważa, że Hugh potraktował ją źle. Kiedy się tu pojawiła, wyglądała tak, jakby zamierzała uprzykrzyć mu życie. Potem lord Thornleigh zachorował i wszystko się zmieniło.

Crowther powoli kiwał głową.

- A zatem on myśli, że to Hugh i chce go chronić.

- Zobaczysz pan sam dzisiaj po południu, na rozprawie. Koroner będzie się wił jak królik w sidłach, nie wiedząc, kto koniec końców stanie się teraz jego zwierzchnością.

- A pan też myśli, że to Hugh jest trucicielem?

- To on dał mu butelkę, prawda? Lubilem go jako chłopca, ale w Ameryce stało się z nim coś złego... i nawet gdyby ta dziwka zaczęła pobierać nasze podatki i uczyła swego małego synka, jak nas traktować z góry, to wolałbym raczej mieć do czynienia z nią niż z mordercą. - Spojrzał Gabrielowi w oczy, które na smagłej twarzy anatoma pobłyskiwały błękitem niczym lodowe drzazgi. - Istnieje coś takiego jak sprawiedliwość, prawda, panie Crowther? Pan i pani Westerman o tym wiecie. Widzę to po tym, co czynicie.

- Robimy, co w naszej mocy. Rozumiem, że swój los kładzie pan po naszej stronie?

Michaels poprawił się nieco na krześle.

- Myślę, że właśnie tak uczynię, zawsze mogę wszak sprzedać oberżę i wyprowadzić się, w przeszłości miałem już wystarczająco dużo ofert kupna. W każdym razie właśnie dlatego przyprowadziłem psa. Sprawdźmy na suce tę butelkę i zobaczymy, czy koroner chce nas zmusić, abyśmy przymknęli oczy.

- Dobrze, ale powinniśmy posłać po pastora.

- Dla psa?

- Po to, aby był jeszcze jednym świadkiem tego, co się wydarzy.

- Poślijmy po niego, panie Crowther - zgodził się Michaels.

Po powrocie do domu panna Chase cały czas trzymała dłoń na ramieniu Susan i usiadła obok niej na sofie w salonie. Dziewczynka popatrzyła na młodą kobietę, wciąż jeszcze zarumienioną po spotkaniu z Molloyem. Zobaczyła, jak po jej ładnych rysach przemykają zmieszanie, litość oraz, jak uznała, rozbawienie. Panna Chase pokręciła głową, mając nadzieję, że w ten sposób ułoży swoje myśli, a potem zaśmiała się pod nosem.

- Susan, nie mam pojęcia, co uczynić. Mam powiedzieć panu Gravesowi, co zrobiłaś?

Susan przygryzła wargę

- Nie wiem. Nie chcę, żeby się martwił Molloyem, ale czy nie sądzi pani, że poczuje się niezręcznie, wiedząc, iż to my spłaciłyśmy jego dług?

Panna Chase z powagą przytaknęła, spoglądając na złożone dłonie i dając dziewczynce czas na zastanowienie.

- Może pomyśli, że Molloyowi serce się odmieniło z naszego powodu i na jakiś czas dał mu spokój? - zaproponowała Susan.

Kobieta wsunęła jej kosmyk włosów za ucho.

- Mądre dziecko - oznajmiła. - To możliwe. Sądzę, że on teraz myśli tylko o tobie i o Jonathanie.

Susan na chwilę uniosła oczy.

- I o pani.

Panna Chase popatrzyła na nią poważnie, potem z powrotem opuściła wzrok.

- Myślę, że bardzo ważne jest, abyś wiedziała, iż obojętnie, co się stanie, Graves i ja nigdy cię nie opuścimy. Pozostaniemy twymi przyjaciółmi - powiedziała po chwili.

Dziewczynka poczuła, jak coś ją ściska za gardło.

- Papa też nie zamierzał nas zostawiać.

Panna Chase rozpostarła ramiona i przygarnęła małą do siebie. Susan zapłakała na jej miękkim ramieniu, czuła włosy młodej kobiety opadające na jej szyję, delikatne głaskanie na plecach. Pomyślała o ojcu, podziwiającym ją z uśmiechem; usłyszała jego dźwięczny śmiech i jej obolałe serce zabiło nierówno, z wysiłkiem, jakby dopiero co zaczęło ponownie się poruszać. Płakała, ale łzy smakowały już inaczej.

Harriet obudziła się wcześniej, mimo że zeszłej nocy czuwała. W domu panowała cisza, wyszła z pokoju, skrzyła ku schodom, prowadzącym do pokoju dziecięcego w najwyższej części domu, potem delikatnie otworzyła drzwi. Stephen we śnie toczył jakieś bitwy, ramię w ramię z ojcem. Pościel wokół siebie miał skłębioną, nocną koszulę wilgotną i pomiętą na drobnej piersi. Pani Westerman uklękła obok łóżka i zsunęła malcowi włosy z policzków, wymamrotał coś i obrócił się, nie budząc. Nigdy nie przestawała zachwycać się pięknem dziecka, które wydała na świat. Skórę miał białą jak świeże poranne mleko, doskonale gładką. Jej dłoń przez chwilę spoczywała na policzku chłopca. Przyjemność z tym związana była rodzajem idealnego bólu.

Drzwi otworzyły się delikatnie, weszła przez nie mamka z niemowlęciem. Kobiety uśmiechnęły się do siebie, gdy piastunka sadowiła się na bujanym fotelu, nieopodal wygasłego kominka - tam gdzie na twarzączkę dziecka nie padało słońce. Dziecko zaczęło pożywiać się łapczywie, a Harriet poczuła tępe szarpnięcie, jakby wspomnienie.

Wiedziała, że damy ojej pozycji coraz częściej same karmią dzieci. Po wydaniu na świat Stephena, pływając na skrawku Anglii dowodzoną przez jej męża, nie miała innego wyboru, jak karmić go sama. Ale swą małą dziewczynkę, Annę, wręczyła innej

kobiecie, kilka godzin po urodzeniu, aby dalej zajmować się sprawami posiadłości.

Patrząc teraz na córkę, żywiła nadzieję, że decyzji tej nie podyktowała płeć dziecka. Jej mąż pragnął dziewczynki, ona też chciała dziecka należącego bardziej do niej niż Stephen kiedykolwiek mógł - ale gdy akuszerka ułożyła noworodka w jej ramionach, wraz z pierwszym porażającym przyływem miłości poczuła również swoistą bezradność. Kimże ty się staniesz, pomyślała, przyglądając się maleńkim paznokietkom, ciemnemu meszkowi włosów, innemu niż u Stephena. Będiesz mężatką. Szczęśliwą albo nieszczęśliwą. W życiu podejmiesz tylko jedną decyzję, od której wszystko zależy. Waga owego spostrzeżenia zaparła jej dech, akuszerka zaś zabrała dziecko, sądząc, iż matka jest jeszcze wyczerpana porodem. Słyszała, jak dziewczynkę oddają mamce, a ona udawała, że śpi, spoglądając z sypialni na swoje ogrody - chociaż, rzecz jasna, tak jak wszystko, co miała na sobie albo jadła czy też koń, na którym jeździła, pióro, którym spisywała rachunki - należały one do jej męża. Żyła na jego koszt, jak każda pięknie odziana dama na tym świecie.

Stała za mamką i przyglądała się pijącej mleko dziewczynce. Ruch odciągnął uwagę dziecka, które jęknęło i nie chciało już wracać do piersi. Harriet skuliła się.

- Ciii, maleńka. - Piastunka uśmiechnęła się łagodnie, a potem odezwała do swej pani: - Potrzymają pani przez chwilę, madame?

Harriet pokręciła głową.

- Anna jest taka sama jak ja. Nie cierpi, gdy się jej przeszkadza przy śniadaniu. - Nachyliła się, by wetknąć palec w maleńką, zaciśniętą piąstkę. Oczy dziecka otworzyły się nagle, przez długi czas matka i córka patrzyły sobie prosto w oczy. Harriet, niczym we mgle, ujrzała wszelkie możliwe ścieżki, którymi mógł podążać jej los. Dziecko zaczęło się wiercić, otworzyło różowe usteczka z miękkim miauknięciem. Mamka poprawiła je sobie na kolanie.

- Pięknie rośnie, madame.

- To dobrze. Dzięki twojej opiece. - Pani Westerman znowu wstała i wyprostowała się. Potem wyszła z pokoju, nie oglądając się, pozwoliła, aby drzwi zamknęły się za nią bezgłośnie.

4

Godzinę później Harriet zdecydowanym krokiem weszła do prywatnego gabinetu Wicksteeda i, nie czekając na zaproszenie, usadowiła się na niskim fotelu obok okna. Zarządca zaskoczony uniósł wzrok znad biurka, przy którym właśnie coś pisał, wstał i pospiesznie się uklonił.

Harriet machnęła dłonią, zachęcając, aby usiadł z powrotem i zaczęła ściągać rękawiczki. Obserwował ją bez słowa, jakby przypatrywał się dzikiemu, lecz niegroźnemu stworzeniu: małpce za szybą, ptakowi w klatce. Pani Westerman miała zamiar go sprawdzić, tymczasem sama stała się obiektem badań. Z pewnością był to mężczyzna, który wiedział, jak przyglądać się kobiecie i sprawić, aby czuła się obnażona. Zastanowiła się, czy Jemima, obecna lady Thornleigh, potrafiła znaleźć coś miłego w tym spojrzeniu, brutalnie wręcz przenikliwym, zdumiewającym i nieruchomym. Wzrok zarządcy trzymał na uwięzi. Zanim Harriet się odezwała, przełknęła ślinę.

- Proszę mi wybaczyć, panie Wickstead, najście o tak wczesnej porze. - Mężczyzna mruknął pod nosem jakąś grzecznościową formułkę, lecz nie dała mu skończyć. - Chciałabym jednak sprawdzić sumę, za jaką sprzedano pewnego ładnego deresza, którego w marcu nabyliśmy u pana dla mojej siostry.

Wzdychając, zerknęła na zarządcę zza rzes.

- Obawiam się, że do swoich ksiąg wpisałam złą liczbę. W kolumnie nie zgadza mi się teraz suma, niezależnie od tego, ile razy liczę, i sędzę, że właśnie przy tej kwocie mogłam popełnić błąd. U mnie cena ta wynosi dwanaście gwinei, ale dwadzieścia jeden zda-

je mi się właściwszą ceną za tak pięknego wierzchowca. Jeżeli na tym polega błąd, wszystkie sumy zaczną mi się zgadzać!

Spojrzała na niego z nadzieją. Wyraz twarzy mężczyzny się nie zmienił.

- Chętnie to sprawdzę, pani Westerman. Księgi z marca znajdują się w głównej kancelarii, chociaż sędzę, że ma pani rację i że właściwa kwota wynosi dwadzieścia jeden gwinei.

Harriet poufale nachyliła się do przodu.

- A czy mógłby pan, panie Wicksteed? Byłoby to miłe z pana strony. Wie pan, komandor nie cierpi zastawać po powrocie do domu rachunków w stanie innym od nieskazitelnego ładu.

Zarządca wstał i rozejrzał się po pokoju.

- To może potrwać kilka chwil.

- Z najwyższą przyjemnością poczekam! - Harriet odchyliła się w fotelu. -

Chciałabym też prosić o jeszcze jedną przysługę. Pańska gosposia zna przepis na potrawkę z zająca, którą uważam za wręcz cudowną.

Obiecałam pani Heathcote, iż postaram się odkryć jej sekret. Czy mógłby pan ją poprosić, aby spisała dla mnie recepturę? .

Wicksteed zmarszczył brwi. Harriet zastanowiła się, czy nie przeszarżowała. Spojrzał na nią i nagle się uśmiechnął. Rzadko widywała, aby to robił, dlatego poczuła się zaskoczona. Miał bardzo białe zęby. Poczuła się jak dziecko, które w swej niewinnej głupocie uczyniło coś czarującego. Odwrócił się i energicznie wyszedł z pokoju.

Kiedy tylko trzasnęła zapadka, uśmiech zniknął z twarzy pani Westerman. Już zaczęła podnosić się z krzesła, gdy nagle drzwi otworzyły się znowu. Harriet zdołała jednak przekreślić się tak, jakby nie czyniła nic, poza poprawianiem się w fotelu. Wicksteed nadal się uśmiechał.

- Może mógłbym służyć pani jakimś poczęstunkiem, gdy będzie pani czekała?

- Nie, nie trzeba, jest mi tu doskonale, dziękuję - zapewniła Harriet.

Uklonił się i zamknął drzwi. Bardzo powoli policzyła do dziesięciu, następnie wstała z miejsca i szybko podeszła do biurka, za którym siedział Wicksteed. Na blacie leżał stos papierów, ale ona przede wszystkim myślała o legendarnym dzienniku. Szybko przejrzała schludne przegródki, z nadzieją poszukując brązowych kajetów, dzienników. Małe biureczko miało dwie szuflady. Pierwsza otwierała się dosyć łatwo, spoczywały w niej tylko zapasowe gęsie pióra i papier. Na drugą założono małą, mosiężną kłódkę, nieustępującą pod naciskiem. Zakłęła pod nosem, rozmyślając, czy ktoś w jej posiadłości ma doświadczenie tak rozległe, że obejmujące także włamania i czy ów ktoś zdołałby ją tego nauczyć. Powinna się nad tym zastanowić.

Na zewnątrz rozległ się jakiś hałas. Przerwała, licząc głośne uderzenia serca, dopóki w korytarzu nie ucichły kroki. Potem przejrzała stos papierów na bibularzu. Były to szkice albo częściowe szkice listów. Przez kilka chwil grzebała wśród nich, marszcząc czoło. Wicksteed okazał się bardzo dokładny. Przyłapała się na myśli, że zarządca pisze nieco zbyt kwiecicie, zbyt wyszukanie jak na dżentelmena... Kolejne fragmenty zdań zaczęły łączyć się jej w głowie.

- Czyżby? - mruknęła. - A więc o to chodzi?

Znowu usłyszała kroki. Opuściła papiery i odwróciła się do okna. Kiedy Wicksteed otworzył drzwi, dosyć gwałtownie, była w stanie zejść mu z widoku. Zatrzymał się w progu. Harriet spoglądała na niego wyczekująco.

- Oto receptura od naszej kucharki. - Podał jej przepis. Starannie złożyła kartkę i wetknęła do rękawiczki. - I miała pani rację. Kwota istotnie wynosi dwadzieścia jeden gwinei.

Klasnęła w dłonie.

- Jaki pan miły! To świetnie!

Spojrzenie zarządcy powędrowało po pokoju, ku papierom na biurku. Harriet zauważyła, czując narastający ucisk w gardle, że zamkniętą szufladę wyciągnęła nieco poza otaczające ją deseczki. Wicksteed napotkał wzrok kobiety, ona zaś poczuła, że jej uśmiech zaczyna gasnąć.

- Mam nadzieję, pani Westerman, iż uzyskała pani już wszystkie informacje niezbędne do swych rachunków.

Oschły głos zarządcy zdawał się smagać jej plecy.

- Myślę, że mam ich teraz wystarczająco dużo, panie Wicksteed. - Jej własny głos był może odrobinę zbyt lekki. - Dziękuję za pomoc.

Ruszyła się, jakby chciała już odejść, ale mężczyzna stał nadal w drzwiach, podnosił i opuszczał zapadkę, przypatrując się jej uważnie.

- Czy mogę zawrócić pani głowę, spytawszy o nowinki? - powiedział. - Słyszałem, że zeszłego wieczoru Joshua Cartwright zachorował, a pan Crowther nim się opiekował. Czy wie pani, co stało się później?

Harriet zaschło w ustach. Wicksteed uniósł ku niej spojrzenie. Oczy miał ciemne i podkrążone.

- Umarł dziś nad ranem - oznajmiła cicho. - W straszliwych boleściach. Zarządca oderwał od niej wzrok.

- Biedny człowiek!

Nie poruszył się, tylko w dalszym ciągu ostrożnie podnosił i opuszczał zapadkę, jakby zafascynowany jej niepotrzebnym klekotem. Harriet czekała, aż zarządca się odezwie, sama starając się zachować spokój. Zapadka ciągle trzaskała. Kiedy pomyślała już, że następny trzask doprowadzi ją do hysterii, mężczyzna nagle przerwał. Odezwał się, a Harriet mogłaby przysiąc, że usłyszała w jego głosie syk węża.

- Zdaje się, że nikt z nas, nieważne, jak wysoko stoi, nie jest w stanie uniknąć straszliwych wypadków tudzież wielkiej i radykalnej zmiany, prawda? - Uśmiechnął się trupim uśmiechem, a potem, z nagłą energią, otworzył drzwi na tyle, aby zdołała przejść. - Ale przepraszam, odrywam panią od jej ksiąg.

Harriet zabrakło słów, by coś powiedzieć, minęła więc zarządcę z ukłonem. Musiała przejść tak blisko niego, że poczuła zapach oddechu mężczyzny, słodki, zmieszany z lawendą. Pospiesznie wyszła



z domu i szybko ruszyła ku własnej posiadłości. Policzki miała zarumienione, serce tańczyło jej za żebrami.

Pan Graves za bardzo się martwił, co ma począć z dziećmi, aby przy śniadaniu dostrzec na twarzach Susan i panny Chase porozumienie i triumf. Gdy wczoraj wieczorem badał zawartość czarnego pudełka, objawiło jeszcze inne skarby. Bardzo chciał wiedzieć, jakiej rady udzieli mu teraz rodzina Chase'ow.

- Panie Chase, znalazłem testament - oznajmił, wkładając dokument w serdelkowate palce swego gospodarza.

Pan Chase pokiwał głową ostrożnie i wyciągnąwszy binokle z kieszeni kamizelki, zaczął czytać.

- Panie Graves, został pan zatem wyznaczony opiekunem dzieci.

Susan pisnęła cicho z radości, a Jonathan klasnął w dłonie. Pan Chase zerknął na Gravesa znad okularów, gdy ten odwzajemniał uśmiech dzieci.

- To wielka odpowiedzialność jak na kogoś tak młodego. Mam nadzieję, że nie urażę pana, gdy rzeknę, że to źle, iż Aleksander złożył na pana taki ciężar.

Dzieciom zrzędyły miny, ale Graves wyciągnął ku nim rękę pomiędzy bułeczkami a dzbankami z kawą.

- Przecież na pewno nie sądził, że kiedykolwiek będzie potrzebne przekazywanie nad nimi opieki. Jestem zaszczycony, że tak dobrze o mnie myślał.

Pan Chase krzywił się nadal.

- Tak, tak. To bardzo zacne i szlachetne, i ja też wiem, iż jest pan dobrym człowiekiem. Ale czy na pewno jest pan stosownym opiekunem dla tak młodych istot? Sam pan ledwie odnalazł własne miejsce w świecie.

Graves odruchowo zerknął na ulicę, tam, gdzie jeszcze wczoraj wystawał Molloy. Nikogo nie było. Odwrócił się do Chase'a z poważną twarzą.

- Oczywiście, ma pan rację. Ale jestem uprawniony do przejęcia sklepu, jeśli to potrzebne, gdyby ci, którzy mają do niego większe prawo - opuścił wzrok - nie byli w stanie sami tego uczynić.

- Może to być punkt sporny, biorąc pod uwagę to, co odkrył pan w związku z rodziną Aleksandra.

- Jak pan rzekł.

- Ale przecież powiedziałam panu, co mówił tamten człowiek. - Susan patrzyła na nich szeroko otwartymi oczami. - Nie możemy pozwolić, aby się dowiedział, gdzie jesteśmy. Ludzie z dworu wysłali go, żeby nas pozabijał.

Pan Chase miał bardzo ponurą minę.

- Jeśli tak jest w istocie, spotka ich kara. Ale masz rację, moja droga, nie bój się, musimy być dyskretni. - Raz jeszcze spojrzął na Owena. - Cóż pan proponuje, Graves? Pan i dzieci mogą pozostawać tutaj tak długo, jak będzie to potrzebne.

- Jest pan bardzo szlachetny. - Owen przerwał, a potem oznajmił:

-Wnoszę, aby napisać do najbliższego magistratu, jeśli zdołam się dowiedzieć, kim jest ów człek.

Susan pokręciła gwałtownie głową.

- Nie, Susan, nie martw się - odparł pospiesznie Graves. - Poprosimy, aby wszelkie odpowiedzi wysłano na adres kawiarni Pod Białym Koniem.

Nie musimy im mówić, gdzie mieszkamy.

Dziewczynka znowu przygarbiła ramiona.

- Zatem zobaczymy, gdzie jesteśmy - oznajmił młodzieniec.

- Bardzo dobrze, panie Graves. To brzmi rozsądnie, byłbym jednak rad, mogąc porozmawiać z panem więcej o tych sprawach. - Pan Chase odłożył serwetkę. - Może wybierze się pan ze mną na przechadzkę? Chciałbym zobaczyć, jak wygląda sytuacja w mieście i cieszyłbym się z pańskiej kompanii. Moja córka i żona zajmą się dziećmi pod naszą nieobecność. - Odwrócił się ku córce. - Spełnij zachciankę starego człowieka, moja droga. Nie idź za nami ulicą. Pan Graves i ja, gdy wrócimy, będziemy wiedzieć więcej, ale myślę, że na ulicach jest zbyt niespokojnie jak dla damy.

## 5

Pastor był bardzo niezadowolony. - Z pewnością sędzia... - zaczął.

Michaels odpowiedział mu niemal warknięciem.

- Sędzia ma już wystarczająco dużo do roboty. Pańskie słowo jest równie dobre, jak kogokolwiek innego w tej parafii.

Pastor postanowił nie odpowiadać wprost.

Stojąc na tylnym podwórzu domu Crowthera, tworzyli dość dziwną grupkę: Hannah, blada, ale pewnie trzymająca się na nogach, Michaels, niczym chodzący dąb, z niczego niepodobającym psem u stóp i pastor, cały czerwony na twarzy, a w dodatku Crowther, z zawiniątkiem pod pachą.

- A więc dobrze - oznajmił Michaels. - Najpierw, Hannah, chcę, abyś spojrzała na tę butelkę i powiedziała, czy to z niej właśnie Joshua pił zeszłego popołudnia i czy wygląda ona tak, jak wtedy, gdyśmy ją zapieczętowali.

Energicznie wystąpiła do przodu, kiedy uczone rozwinał pakunek i pokazał jej flaszkę. Nachyliła się, przesunęła palcem po pieczęci.

- Jest taka, jak wtedy, panie. - Uniosła wzrok na pastora. - Proszę spojrzeć, воск, jaki nalaliśmy wokół zatyczki, jest taki sam, jak zeszłego wieczoru. To był kolorowy воск z naszych kuchennych świec. Proszę spojrzeć! Tu jest miejsce, gdzie pozwoliłam, aby воск opadł krzywo, bo ręce mi trochę drżały.

Pastor napotkał spojrzenie Michaelsa i pospiesznie schylił się, by lepiej zobaczyć wskazywane przezeń miejsce. Potem rozejrzał się po zgromadzonych i zaszurał nogami.

- Owszem, widzę, widzę.

Drzwi do domu otworzyły się ze stukotem i ujrzeli panią Westerman wchodzącą na podwórze.

- Dzień dobry, panie Crowther, witam panów, witaj, Hannah. Pańska służąca oznajmiła mi, że zamierza pan dzisiaj zabić psa.

Panowie ukłonili się, Hannah dygnęła. Crowther odpowiedział znużonym tonem:

- Istotnie, pani Westerman. W każdym razie tego się właśnie obawiam. Czy życzy sobie pani to zobaczyć?

- Jeśli wolno.

Michaels odwrócił się do Hannah.

- Nie ma potrzeby, abyś tu dłużej wystawała, jeśli sobie tego nie życzysz. Służąca szybko zerknęła na uczonego.

- Nie boję się na to patrzeć - odparła - ale w kuchni wciąż panuje straszliwy nieład.

Crowther mrugnął do niej:

- Nie wątpię w twą odwagę, najlepiej więc wróć do swych zajęć.

Wychodząc, uśmiechnęła się do niego i do Harriet, kiedy ją mijała.

- Nie chciałabym was opóźniać, wypyując o kuchnię Cartwrighta - powiedziała żona komandora - ale jeśli chcecie skłonić tego biednego psa, żeby wypił trunek, czy nie lepiej wylać mu go na jakieś mięsiwo?

Mężczyźni spojrzeli po sobie zaskoczeni i przytaknęli. Harriet z westchnieniem ruszyła z powrotem do kuchni. Po kilku chwilach wyłoniła się stamtąd, niosąc kawałek wołowego udźca na popękany talerzu. Crowther podejrzewał, że to jego dzisiejszy obiad. Pies wywęszył zapach i zaskomlał. Pani Westerman podsunęła mu wołowinę, patrząc, jak w oknie z tyłu domu pojawia się, a potem znika twarz służącego.

- Pani Westerman, jest pani prawdziwą służebnicą nauki.

Nie raczyła odpowiedzieć, przysiadła tylko na skraju wysokiej grządki z ziołami. Crowther złamał pieczęć, wylał mniej więcej szklanekę płynu na mięso i do miski. Pies zaskomlał znowu. Michaels odruchowo wyciągnął rękę, by pogłaskać go po głowie i pociągnąć za miękkie czarne uszy. Gabriel zawahał się. Oberżysta dostrzegł to i popatrzył na anatoma ze smutnym uśmiechem.

- Tak trzeba, panie Crowther. Może na jej mogile też umieszczę napis „Służebnica nauki”.

Pies spojrzał w górę, ku swemu panu i polizał go po dłoni. Crowther postawił miskę, a Michaels poluzował smycz. Suka podbiegła do talerza, na chwilę zatrzymała się, żeby go obwąchać, potem zaczęła jeść z apetytem. Stali wokół, przypatrując się jej. Pies powyciągał z misy ostatnie ochłapy, usiadł, aby cieszyć się nimi, przykucnąwszy krzywo na kamiennej posadzce. Co jakiś czas zerkał w górę, jakby obawiał się, że dziwne postaci wokół spróbują wydrzeć mu łup. Mijały kolejne minuty suka machała ogonem, zdawało się, że chce się zdrzemnąć.

Harriet pomyślała, że powinna poprosić Betsy, by przyniosła jej herbaty. Zerwała liść szaławii z grządki i roztarta między palcami, zbliżając do nosa, aby poczuć woń. Nagle rozległo się przenikliwe skomlenie.

Spojrzała na psa. Suka ciasno stuliła uszy przy głowie, prześlizgnęła się ku butom Michaelsa. Crowther podniósł talerz i trzymając go za najdalszy brzeg, zabrał do pompy, gdzie go wypłukał, nappełnił wodą, a następnie postawił przed psem. Suka zatopiła w nim pysk, chłepcząc chciwie, znów zaskomlała, raz jeszcze zadrżała i zaczęła wymiotować. Crowther dotknął rękawa pastora, który się wzdrygnął.

- Proszę zwrócić uwagę na żółć. Jest typowa dla arszeniku, taka sama jak u Cartwrighta.

Duchowny pokiwał głową, oczy miał szeroko otwarte. Michaels przykucnął i pogłodził sukę po bokach. Patrzyła na niego. Harriet poczuła, że coś szczypie ją pod powiekami.

- To nie potrwa długo - powiedział Crowther.

Pies zawył i zaczął drapać łapami, pazury zgrzytały o kamień. Oberżysta nadal trzymał mu dłoń na głowie.

- Spokojnie, moja miła, spokojnie.

Suka spróbowała znowu polizać mu rękę, a potem nagle zaskowyczała.

Harriet zacisnęła zęby. Zwierzę kwiliło i wilo się pod ciężką dłonią Michaelsa. Crowther przykucnął obok, spoglądając w źrenice zwierzęcia.

- Michaels, niech pan uważa, żeby pana nie ugryzła.

Znowu spojrzał na zegarek. Oberżysta nie odrywał wzroku od psa.

- Nie, nie robi tego. Cokolwiek się stanie.

Pies szarpnął się i pisnął raz jeszcze, popatrzył na nich, a potem w niebo, widoczne nad murem dziedzińca. Zwymiotował niemalże z westchnieniem, jego klatka piersiowa zadrżała. Ucichł. Crowther zatrzasnął zegarek, sprawiając, iż pastor aż podskoczył.

- Minęło pół godziny od chwili, gdy zaczęła jeść. Pastor, bardzo blady, przytaknął.

- I potwierdzi pan to, co widział, na przesłuchaniu tego popołudnia?

- Tego popołudnia, dlaczego... Tak, oczywiście.

Michaels klęczał obok martwego psa, głaszcząc go po uszach. Harriet patrzyła na nich.

- Biedny mały piesek - oznajmiła. Zmięty listek szaławii wypadł jej spomiędzy palców.

## 6

Grawes nigdy by się nie spodziewał, że pan Chase potrafi iść tak szybko. Nawet gdy wokół gotował się skwar dnia, a tłum napierał, popychając ich niebezpiecznie blisko kół karocy i furmanki, jadących High Holbron, on parł do przodu. Lud Londynu rozstępował się, poznając silną wolę i mocną rękę. Owen dreptał w ślad za nim, od czasu do czasu trącany ramieniem przez tych, którzy mijali starszego mężczyznę. Gubił krok na śmieciach i gruzie rozsypanym po chodnikach. Zastanawiał się, czy sam przypadkiem nie jest teraz świadkiem jakiejś demonstracji mającej zilustrować to, jak skromne są jego siły w porównaniu z solidnością jego gospodarza. Z tego powodu odczuwał zarówno urazę, jak i podziw dla Chase'a. Rankiem szybko uspokoił dzieci, ale pierwszym odruchem po ujrzaniu własnego nazwiska, jako wykonawcy woli Aleksandra, był lęk. Nie pozwoliłby nikomu nazwać się tchórzem, ten jednak obowiązek stanowiął ciężar, który go przerażał.

Pan Chase nagle przystanął, a pogrążony w myślach Owen niemal wpadł na niego.

- Tędy, panie Graves. Wolałabym załatwić to z panem poza domem i sądzę, że moja kawiarnia świetnie się do tego nada.

Młodzieniec włożył rękę do kieszeni. Miał przy sobie cztery szylingi, a chociaż winien je był Molloyowi, starczyłyby, żeby w miejscu publicznym sprawić wrażenie dżentelmena. Dotarli w pobliże kawiarni. Okazała się miłym budyneczkiem, przez którego wysokie okna widział klientów zgromadzonych przy fajkach i gazetach. Między nimi stały dzbanki z kawą z długimi uchwyty, niczym nargile w arabskich domach przy nabrzeżu. Gdy wchodzili do środka, pan Chase pozdrowił z pół tuzina ludzi, znalazł jednak w jakimś odludnym kąciku stolik tylko dla siebie i Owena. U młodej kelnerki, która powitała go jego nazwiskiem, zamówił coś do picia i palenia.

Graves rozejrzał się wokół. Każda z owych kawiarni, które w ostatnich latach ściśle wplotły się w sukno Londynu, przez kilka miesięcy istnienia dorobiła się własnego charakteru i własnej klienteli. Na Fleet Street, gdzie Graves zwykle przychodził ukoić frasunki lub czcić prawdziwe czy urojone sukcesy, klienci zdawali się przygnębieni i zgorzkniali albo głośno wymieniali się kąśliwymi uwagami i złośliwymi żarcikami. Nie dało się zrobić dwóch kroków, by jakiś kolega czy przypadkowy znajomek nie położył na rękawie poplamionej tuszem dłoni, chcąc szepnąć jakąś plotkę, ponarzekać na oburzające traktowanie przez wydawcę bądź też stwierdzić, że został obrażony w źle odczytanych oraz źle zrymowanych wersach innego literata. Niektórzy drapali się po niedopasowanych perukach, mrużąc oczy w dymie, i starali się odnaleźć fruważący gdzieś nad sobą stosowny wyraz, dobrze brzmiącą frazę, pozwalającą spuentować akapit tak, by przyjaciele im zazdrościli, a wrogowie legli pokotem niczym drewniane żołnierzyki. Jeszcze inni, rozsiadłszy się przy szerokich stołach, przechwalali się zamówieniami i przyszłymi sukcesami, najwyraźniej nieświadomi, że nikt z ich towarzyszy nie chce spojrzeć im w oczy.

Graves zawsze czuł przyływ współczucia na widok tych chwalipiętów, wiedząc równie dobrze, jak dobrze znał samego siebie, że ich biurka okrywa kurz, a stronice są puste. Nikt, kto poważnie zabiera się do jakiejś pracy, nie opowiada o niej z taką dumą i przyjemnością. Tylko sama idea potrafi być równie zachwycająca. Owen, gdy opuściła go już wiara w samochwałów i wierszokletów, ustawicznie poszukujących patrona lub przeklinających wrogów, uwierzył, że prawdziwymi literatami są ludzie cisi, jakby nieobecni, z głębokimi zmarszczkami na czołach, czyniący wrażenie, jakby niemal zalewali się łzami.

Ulubiona kawiarnia pana Chase'a była znacznie przytulniejsza. Siedzieli tam ludzie równie dobrze ubrani, jak pan Chase i w większości równie dorodni. Nie żywili pretensji do ostatniej mody -dżentelmeni nie mieli kamizelek bogato haftowanych czy obwieszonych łańcuszkami i dewizkami, ale ich krój był dobry, a jakość sukna zacna. Gravesowi przypomniały się dwa pręgowane koty jego matki, lśniące, szczęśliwe zwierzęta, po udanym polowaniu liżące łapy przed kominkiem. Interesy musiały iść dobrze, mimo niepokojów w mieście. Owen potrafił sobie wyobrazić, że słyszy wśród tych rozmów i brzęku kubków ciche mruczenie: odgłos wydawany przez ludzi, którzy nawet pijąc i pykając z fajeczek, zarabiają więcej pieniędzy niż ich rodziny, a także inne osoby na ich utrzymaniu są w stanie wydać.

Graves spojrział ku swemu towarzyszowi.

- Panie Chase, czy sądzi pan, że uczestnicy zamieszek zostali straceni? Starszy mężczyzna uniósł wzrok, jakby zdumiony odkryciem, że nie jest sam.

- Co, chłopcze? Tak, być może. Dowiemy się za kilka godzin. Pociągnął się za płatek ucha, spojrzenie mu nieco spochmurniało.

- Przy drzwiach stoi pan Landers. To katolik, ma zacny, mały składzik w Smithfields i wygląda teraz dość mizernie. A tam, w drugim rogu, to Granger, jego rywal: byłby w stanie bez namysłu



podburzyć przeciw niemu tłuszczę, gdyby tylko wiedział, że w przyszłości nie będziemy go o to podejrzewać i stronić od niego. Musimy czekać i mieć baczenie. Gorzelnicy oraz piwowarzy robią się nerwowi. Ci od Gordona uznali, że warzenie piwa i gorzałki to katolickie zajęcia, a i motłoch chętnie by złupił i spalił jakąś destylarnię.

Graves skrzywił się i znowu rozejrzał po pokoju. Pod pozorami dostatku, jakie dostrzegł na początku, widział teraz oznaki roztargnienia i troski. Cichy szmer rozmów jakby zmienił tonację w jego uchu. Poczłł teraz unoszące się w powietrzu napięcie, okryte dobrymi manierami czy małomównością.

Pan Chase westchnął.

- Ja, mój chłopcze, chciałbym porozmawiać o czymś innym, dotyczącym dzieci.

Graves zeszytniał. Od świtu układał własne plany, związane z przejściem przedsiębiorstwa Adamsa na Tichfield Street oraz zarządzaniem nim dla dobra dzieci. Jakiegolwiek byłyby ich nowe perspektywy, wiedział, że przez krótki czas mógłby zapewnić im tam bezpieczny dom. Gotował się już do udzielania wyjaśnień, kiedy pan Chase powstrzymał go uniesieniem ręki.

- Miałem nadzieję, że w czarnej szkatułce Aleksandra będzie coś innego - oznajmił. - Coś, co zaoszczędziłoby mi potrzeby osobistej rozmowy z tobą. Ale obawiam się, że nie ma tam nic takiego, bo inaczej zobaczyłbym to na twojej twarzy.

Owen zarumienił się, co wywołało uśmiech jego towarzysza.

- Widzę, że umiem całkiem trafnie czytać z ciebie, młody człowieku. Nie wstydz się. Otwarte oblicze dobrze mówi o twojej duszy. - Pyknął z fajeczki. - Znałem Aleksandra od jego pierwszych dni w mieście. To ja pożyczyłem mu pieniądze na założenie przedsiębiorstwa. - Graves usiłował się wtrącić, mężczyzna jednak nie przerwał. - To była tylko pożyczka i została spłacona w terminie. Sklep nie jest obciążony.

Znowu zrobił przerwę, położył na blacie stolika tłąstą dłoń, jeden po drugim unosząc i opuszczając palce, jakby przypatrywał się funkcjonowaniu nowej mechanicznej zabawki.

- Dałbym wszystko, aby nie mówić ci tego, co zamierzam teraz rzec. To był błąd Aleksandra i... no proszę. Nie mógłbym jednocześnie wiedzieć o tym i ci o tym nie powiedzieć. Nie mogę też przestać o tym wiedzieć, choć może bardzo bym chciał.

Graves napił się kawy, czekał. Nigdy jeszcze nie widział, aby pan Chase wyglądał na tak zakłopotanego. Cały czas obciągał kamizelę na wydatnym brzuchu, aż Owen zaczął się bać, że porozrywa sobie starannie obszyte dziurki od guzików.

- Aleksander nie opuścił rodziny tylko ze względu na miłość do swej żony.

Graves siedział bardzo cicho. Pan Chase spojrział na niego, potem znowu na swoją kamizelkę, między kciukiem a palcem wskazującym kręcił kościanym guzikiem.

- Podejrzewał o coś swego ojca. O jakieś poważne przestępstwo. Coś, co w każdym bądź razie wzbudziło jego obrzydzenie. Wiesz, jego matka zmarła, gdy był ledwie pacholęciem.

Pan Chase puścił guzik i zaczął nerwowo pykać z fajeczki, jakby pragnął się skryć za obłokiem dymu. Zerkał na boki, przenosząc spojrzenie od brązowych oczu młodzieńca ku jakiemuś punktowi w przestrzeni.

- Nie może mi pan powiedzieć jeszcze czegoś? - Graves popatrzył nań uważnie.

Pan Chase przygarbił ramiona i skupił spojrzenie gdzieś ponad barkiem Owena.

- Nie. Był pijany, kiedy mi to powiedział. Wspomniał też coś o jakimś medalionie. Cynowym medalionie.

- Aleksander był pijany?

- Miał słabości, jak każdy człowiek, chociaż od narodzin dzieci nigdy nie widziałem go, aby tknął choć kropelkę czegoś mocniejszego niż poncz. Początki jednak były trudne, dla niego i dla Elizabeth. Nie do takiego życia przywykł. Odłożył więc dumę na bok i wziął się do roboty. Zrobił pierwsze sztance, spartaczył wszystko, stracił przez to kilka funtów, co go wtedy mocno uderzyło po kieszeni. Ale

gdy następnego dnia poszedłem się z nim zobaczyć, z powrotem był przy pracy. I w końcu ją pokochał.

Graves usiadł wygodnie na niewielkiej ławie z ciemnego drewna.

- Rozumiem. I naprawdę nie może mi pan powiedzieć nic ponadto?

- To może nic nie być. Albo okaże się jakaś bzdura.

- Gdyby pan sądził, że to bzdura - odparł Owen - w ogóle by mi pan o tym nie mówił.

Chase uśmiechnął się niechętnie.

- Być może. Dodaję tylko swoje ostrzeżenie do ostrzeżenia udzielonego nam przez Susan, by zachować ostrożność względem dworu. Aleksander miał powód, żeby trzymać się z dala, a my musimy być przezorni i strzec dzieci.

Graves właśnie otwierał usta, by powiedzieć coś jeszcze, gdy nagle drzwi do kawiarni otworzyły się gwałtownie. Jakiś chłopak w brudnym za dużym płaszczu, z twarzą pokrytą sadzą i strużkami potu, przytrzymał drzwi i wrzasnął na całą izbę. Niebieska kokarda na kapeluszu zwisała mu do przodu, niczym jakiś popędzający go, pijany diabeł.

- Ludzie są gotowi! Pilnujcie swych spraw, dżentelmeni! Precz z papizmem!

Kilka osób wstało, pan Landers przeżegnał się i przepchnął na zewnątrz lokalu. Nastąpiło ogólne zamieszanie, zabierano rachunki i płaszcze. Pan Chase miał ponurą minę.

- Chodź, chłopcze. Zobaczymy, co się dzieje.

## 7

W sali na tyłach oberży Pod Niedźwiedziem i Koroną znowu zrobiło się tłoczno, chociaż mieszkańcy Hartswood na

odzieniu i skórze przynieśli wonie i smaki pełni lata, nastrój panował ponury. Cicho brzęczały strach oraz poczucie zagrożenia. Wieści przechodziły z ust do ust, szeptane pospieszne. Mężczyźni i kobiety nachylali ku sobie głowy, a potem odsuwali je od siebie, pobladli. Harriet zauważyła, że wchodząc, rozgląda się po izbie jak zwierzę, szukając dróg ucieczki i kryjówek.

Koroner nie zasiadł jeszcze na swym krześle, przycupnął w najdalszym kącie sali. Obok stał sędzia, trzymając go za łokieć, pełna twarz była mocno zarumieniona. Koroner unosił ku niemu wzrok, Harriet zaś przypomniła sobie króliczka, którego miała, będąc dziewczynką. Gdy do klatki zbliżał się ktokolwiek inny niż jego pani, zwierzak wzdrygał się, płasko kładąc uszy. Oczka otwierał szeroko, drżał mu nosek. W końcu dopadł go lis. W kącie naprzeciwko przebierali nogami członkowie ławy, wyglądali jak przerażona trzódka, kulili się i spoglądali sobie na buty. Crowther ustawił krzesła. Rachel i Harriet usiadły obok niego. Obecność pastora powstrzymała ich od jakiegokolwiek rozmowy. Pani Westerman szepnęła tylko Gabrielowi coś o swojej wizycie u Wicks-teeda i w odpowiedzi otrzymała jedynie skinienie głową. Jej znaczące spojrzenia nie spotkały się z odzewem lepszym niż zmarszczenie brwi czy machnięcie ręką. Rachel zatrzymała Jacka, chłopca, który znalazł ciało opiekunki Bray. Próbowała z nim porozmawiać, ale Harriet widziała, że siostra wędruje myślami gdzieś daleko. Chłopak musiał ze dwa razy powtarzać jej, co należało do jego ulubionych obowiązków u Thornleighów. Zjawił się w towarzystwie Hugh, a właściwie tuż za nim - ale gdy w tłumie dostrzegł pannę Trench, ruszył prosto do niej i chwycił ją za rękę. Thornleigh pozdrowił ich tylko i się odwrócił. Sędzia puścił w końcu łokieć koronera i omiótł izbę spojrzeniem. Sztywno skłonił się przybyszom z Caveley Park, zdawało się, że już ma ku nim podejść, gdy pastor cichcem prześlizgnął się do jego boku. Bridges schylił głowę, aby go posłuchać, potem rzucił alarmujące spojrzenie w ich stronę oraz tam, gdzie przy masywnym ogromie Michaela stały Hannah i wiotka żona karczmarza.

Crowther, nie spuszczać z nich oka, nachylił się lekko ku pani Westerman, i odezwał się, niemal nie otwierając usta.

- Sędzia obawia się, że zagrozimy szubienicą panu Thornleighowi, a wolałby raczej, by tak się nie stało. - Zauważył, że Harriet zeszywniała. - Może próbować podważyć to, co mamy do powiedzenia. Pani Westerman, czy jest pani pewna, że powinna być tutaj?

Harriet rozejrzała się wokół. Sąsiedzi mieli skupione twarze, z wyrazem niepewności. Nie było w tej sali nikogo, kto nie wiedziałby o śmierci Joshui, i nikogo, jak podejrzewała, kto nie wiedziałby o eksperymencie z psem. Przesłuchanie miało dotyczyć sprawy Madeleine Bray, w izbie panował jednak podwójny strach przed morderstwem.

- Zostaniemy. Proszę mi powiedzieć, gdzie jest Aleksander? Crowther powoli zamrugął.

- Znam nazwę ulicy w Londynie, ale pani Westerman, muszę pani wyznać, że sędzia wie o mnie coś, czego pani nie...

Odwróciła się i spojrzała nań przenikliwie, lecz nim zdołał powiedzieć coś jeszcze, koroner zajął miejsce.

- Zebraliśmy się tutaj, aby rozpatrzeć sprawę śmierci panny Madeleine Bray, która, jak się zdaje, powiesiła się tej soboty, w starej chatce na skraju lasów Thornleigh Hall, zaraz po...

Powszechnie wstrzymano oddech, ale z tyłu izby dobiegł jakiś pomruk.

- Człowieku, zamordowano ją! Też mi coś, „powiesiła się"! Harriet zerknęła na Michaela, który przepchnąwszy się do nich, z niewzruszoną uwagą spoglądał na koronera. Od strony okna ktoś inny burknął:

- Joshuę też wczoraj zamordowano. Czy to również nazwiemy wypadkiem?

Tłum zaszemrał, zgadzając się z jego słowami. Koroner spoglądał po zgromadzonych, oblizywał wargi. Sędzia podniósł głos.

- Istnieje dowód, że tamta śmierć również była wypadkiem -oznajmił, a wśród zgromadzonych rozszedł się szmer. - Muszę mieć

tu ciszę. Panowie... i panie - dodał, kłaniając się Harriet oraz Rachel, a potem, przerzucając papiery, mówił dalej, pociągając nosem: - Pani Westerman, przykro mi znów tu panią widzieć.

Harriet nieco się zarumieniła, ale w dalszym ciągu patrzyła prosto przed siebie. Koroner znowu odchrząknął, zatoczył koło spojrzeniem, ona zaś sobie wyobraziła, jakby wyglądał, gdyby zerwała mu perukę i podeptała ją. Obraz ów dał jej ponurą satysfakcję, chociaż starała się nie uśmiechać.

- Za pozwoleniem, my jesteśmy tu tylko po to, by rozmawiać o śmierci opiekunki Bray - sztywno nadmienił koroner. - Ławnicy przyjrzeni się ciału w kaplicy Thornleigh Hall. - Crowther specjalnie odwrócił się na krześle, by popatrzeć w stronę sędziego stojącego równie nieruchomo, jak Michaels przy drugiej ścianie. Bridges przyjął jego spojrzenie ze spokojem. - i nie ujrzeliśmy żadnego dowodu na coś podejrzanego - kończył pośpiesznie koroner.

Crowther wstał.

- Nonsens!

Zgromadzeni zaczęli poszeptywać. Koroner zamachał rękami.

- Panie Crowther, proszę usiąść! To jest sąd!

Uczony nadal stał. Trzymał laskę, stuknął jej końcówką w kamienne płyty podłogi, tak że dźwięk rozbrzmiał echem niczym wystrzał z pistoletu.

- A co z jej nadgarstkami? - zapytał ostrym tonem. - Co z otarciami po sznurze na nadgarstkach? Nikogo z was to nie zadziwiło? A rana na głowie?

Hałas w pokoju nabrzmiał do ryku.

- Słuchajcie go!

Crowther zwrócił się do ławników.

- Kiedy panowie oglądali ciało, czy był z wami jakiś chirurg? Koroner machał rękami ku zgromadzonym, z których wielu wstało i cisnęło się do przodu. Harriet dostrzegła, że jeden z farmerów się przeżegnał.

- Panie Crowther, nie było czasu, aby sprowadzić jakiegoś innego chirurga, a my uznaliśmy, że pan jest może nieco, hm, zbyt bliski tym wydarzeniom.

- To wielka szkoda! - zawołał ktoś.

- Jakby kto mnie pytał, powiem, że to podejrzana sprawa -warknął inny głos.

Harriet zauważyła, że tym razem Michaels nawet nie drgnął, by uciszyć tłum.

- Powiedz o tych śladach! Kto ją zabił? - domagał się ktoś inny.

Jeden z ławników zrobił krok do przodu i oznajmił:

- Nie widzieliśmy nadgarstków, miała długie rękawy. A włosy całkiem schludne.

- Nie tak było, kiedy my ją oglądaliśmy - głośno oznajmił Crowther. - Proponuję wam, panowie, byście ją obejrzelili raz jeszcze, jeśli to przesłuchanie nie ma stać się farsą.

Ławnik rozejrzał się po swoich towarzyszach i widząc, że przytakują, spytał nieco zawstydzony:

- Pójdzie pan z nami i pokaże nam to, panie Crowther? Zanim jeszcze anatom zdołał odpowiedzieć, rozmowę uciął zawzięty głos koronera:

- Dosyć, Edwardzie Hedges! Twoja funkcja ławnika nie obejmuje przemawiania do zgromadzonej tu publiczności.

Po zebranych rozeszło się jeszcze więcej szeptów i cichych przekleństw. Pan Hedges odwrócił się do koronera z wyrazem urażonej niewinności na twarzy.

- Ja tylko powiedziałem...

- Dosyć, mówię! Panie Crowther, proszę usiąść. Sąd pana nie słucha.

- To do licha z sądem! - rozległ się czyjś okrzyk ze środka tłumy. Rozległy się śmiechy, nawet Harriet się uśmiechnęła. Wyciągnęła rękę i chwyciła dłoń Rachel, przytrzymując ją mocno na swym kolanie. Sędzia zrobił krok do przodu. Był bardzo czerwony.

- Panie Crowther! Jakim prawem poucza nas pan co do naszych spraw? Michaels zeszywniał. Crowther odwrócił się ku Bridgesowi i spojrzał nań z góry, znad swego długiego nosa.

- Mam wykształcenie z zakresu anatomii oraz filozofii naturalnej. Może od niedawna mieszkam w tej wsi, jednak jestem i pozostaję zatroskanym królewskim poddanym. Wszelką wiedzę, jaką mogę zaoferować ławie, daję darmo. Nie wygląda na to, by przy oględzinach udzielono ławnikom pomocy.

Zgromadzeni zgotowali mu owację. Sędzia patrzył na uczonego przez dłuższą chwilę i czekał, aż w izbie znowu zapanuje spokój. Twarz Bridgesa zdawała się niemal czarna, tak bardzo spłoszyły mu mięsiste policzki.

- A owe kwalifikacje zyskał pan pod nazwiskiem Crowther czy swoim prawdziwym mianem?

Harriet gwałtownie, nim zdążyła się opanować, spojrzała na anatoma.

Ręka Rachel zadrżała w jej dłoni. Crowther poczuł, że skóra na karku mu ziębnie. Został zdemaskowany, zastanawiał się jednak, czy sędzia istotnie jest tak dobrym taktykiem, jak o sobie mniema. Za wcześnie wyciągnął asa z rękawa. Nawet teraz, gdy czekał, przez te długie, ciche chwile, aż przyjdą doń właściwe słowa, zastanawiał się, czego Bridges lęka się aż tak bardzo, że tak szybko wyłożył na stół swoją jedyną mocną kartę.

Rozejrzał się wokół. Michaels patrzył nań spokojnie, inne oczy, młodych i starych mieszkańców wioski, obserwowały go z ostrożną uwagą.

Kiedy był małym dzieckiem, brat nakłaniał go, aby razem odgrywali krótkie scenki dla domowników ojca. Brat to uwielbiał, głodny uznania w szeregu twarzy przed sobą. Gabriel zawsze pragnął się wtedy skurczyć, pospiesznie wypowiedzieć swoje kwestie i wycofać się do bezpiecznych kulis. Prędko wykrzykiwał tekst. Na próbie brat ciągał go za rękaw, radząc:

- Spokojnie, bracie. Niech się pochyla, żeby cię słyszeć. Zyskaj ich uwagę, a nie zagłuszaj ich swoją przemową.



Crowther zastanowił się, czy te nauki teraz by mu się przydały. Pozwolił spojrzeń wędrować z wolna po tłumie, a potem spojrział w dół, na laskę. W końcu przemówił.

- Zmusił mnie pan, abym przypomniał sobie to, o czym usiłowałem zapomnieć, odpowiem panu jednak i przekażę swą historię. Pozwólmy ludziom osądzić, czy jestem zdolny do tego, by czynić jakieś uwagi. Tłum zdał się szeptać i wzdychać.

- Przyszedłem na świat jako drugi syn baron Keswick - przerwał, jakiś baryton z tyłu izby odezwał się wyraźnie:

- Jest z północy. Nic dziwnego, każdy chciałby to ukryć. Uciszono owego człowieka, chociaż po izbie, niczym bryza, przemknął cichy śmiech. Pojawił się i na wąskich wargach Crow-thera, unosząc nieco kąciki ust. Tylko sędzia był całkiem odporny, jego tęga postać zastygła w bezruchu. Harriet popatrzyła tam, gdzie siedzieli Hugh z Wicksteedem. Thornleigh przyglądał się swoim butom, ale zarządca odwrócił się i patrzył z uprzejmym zaciekawieniem. Uśmiech opuścił twarz anatoma, który ciągnął dalej:

- Mój ojciec został zamordowany prawie dwadzieścia lat temu, a mojego brata powieszono za tę zbrodnię.

Przypomniał sobie występ Harriet w trakcie ostatniego przesłuchania, jej trzepoczącą skromność, która we wszystkich mieszkańcach wsi wzbudziła opiekuńcze instynkty. Oczy trzymał spuszczone, głos miał łagodny. Czuł, jak tłum wyteża uwagę. Nie myliłeś się, bracie, pomyślał.

- Nie chciałem tytułu, a więc zrzekłem się go i od tamtej pory, przez całe lata, poświęciłem swój czas nauce. Ukryłem się przed przeszłością w księgach, wśród najbardziej uczonych ludzi. Poznałem wiele tajemnic ludzkiego ciała, które jest cudem, jaki każdy z nas nosi ze sobą. Jeśli zdołałem dodać choć trochę do naszej wiedzy o nas samych, umrę jako szczęśliwy człowiek.

Wyczuł w izbie ciepło sympatii. Ludzie uwielbiają porządne tragedie, pomyślał. Litość i strach opływały go niczym ciepłe wody, w których można utonąć.

- Crowther to nazwisko rodziny mej matki. Mam doń wszelkie prawa. Pod względem prawnym i moralnym. - Uniósł wzrok, pozwolił, aby w jego głosie zjawiała się typowa oschłość. - Ale jakiegokolwiek jest moje nazwisko albo też jakie są pańskie... - tu przerwał - ...insynuacje, proszę mi powiedzieć, co to ma wspólnego z faktem, że opiekunce Bray przed powieszeniem skrepowano przeguby i że uderzono ją w głowę. Pozwolił, by jego głos stawał się coraz głośniejszy, osiągając coraz wyższe tony. Poderwał nim tłum do oburzonego wycia, przyznawali mu rację. Uwaga zgromadzonych w izbie, pełna wrogości i oburzenia, zwróciła się ku sędziemu, a on, zbyt rozeźlony, żeby odczuć nastrój panujący w izbie, parsknął:

- Panie Crowther, może pańskie przeżycia zmały panu umysł. Wziąwszy pod uwagę tak pożałowania godną przeszłość, powinno się panu wybaczyć to, iż wszędzie dopatruje się pan morderstwa. Gabriel poczuł ciężar zmęczenia i irytacji. Do diabła z nimi. Chciał tylko wyjść i znowu znaleźć się wśród obcych. Tłum spoglądał na niego z wahaniem. Harriet puściła dłoń siostry i wstała.

- A co ze mną, panie Bridges? Jakież to przeżycia zmały mój umysł? Widziałam te same ślady, które opisał pan Crowther. - Poczwała, że się czerwieni. - I sędzę, że to podłe zmuszać kogoś, aby publicznie wyznawał swą tragedię. Jeśli pan Crowther życzył sobie utrzymać swą przeszłość w tajemnicy... - przerwała na chwilę - to ma on takie samo prawo do prywatności, jak każdy wolno urodzony Anglik!

W izbie wybuchł zgiewk nabrzmiały aprobata. Nawet sędzia zaczął rozglądać się wokół, za późno zrozumiawszy, że źle rozegrał sprawę. Michaels oparł się wygodnie o ścianę, uśmiechając pod nosem.

- Chodźmy i obejrzyjmy jeszcze raz tę opiekunkę! - Harriet kątem oka zobaczyła, że Hannah przykłada do ust trąbkę z dłoni.

- Sprawiedliwości! W imię króla! - wołali inni.

Koroner rozpaczliwie machał rękami, próbując przekrzyczeć tłum.

- Proszę! Proszę! Dajcie nam zająć nasze miejsca. - Odwrócił się tam, gdzie siedział Hugh Thornleigh. - Panie Thornleigh, był pan tam, kiedy odnaleziono ciało. Widział pan rzeczony ślady?

Tłum ucichł. Każda osoba w pomieszczeniu wstrzymała teraz oddech i czekała, aż Hugh przemówi. Thornleigh nie wstał, wydawało się, że mówi do własnych butów.

- Tak, to ja ją odciąłem. Nie potrafię powiedzieć, czy były to ślady po sznurze. Widziałem tam różne ślady, to prawda.

Tłum mruknął i zakrzyknął. Sędzia pobladł. Odwrócił się na pięcie i wypadł z izby. Krzyk znowu się wzmógł. Wicksteed przyłożył dłoń do ust, tak jak czyniłby ktoś, kto skrywa uśmiech. Koroner zatrzęsł się, głos miał drżący i piskliwy.

- To nie do przyjęcia. Nie mogę w ten sposób prowadzić posiedzenia! Posiedzenie zawieszono. Wrócę do tego za tydzień.

- Nie zwracaj sobie głowy, lizusie! - zawołał jakiś głos z tyłu. Koroner zebrał papiery, drobnymi kroczkami oddalił się w ślad za sędzią, pozostawiając ławników z rozdziawionymi ustami, pozbawionych przywództwa. Rachel poczuła jakąś dłoń, delikatnie ciągnącą ją za rękę. Spojrzała na bladą twarz małego Jacka.

- Nie będę zeznawać? Pan Thornleigh mówił, że mam zeznawać. Rachel usłyszała, jak tłum wokół nich kołysze się, krzyczy.

- Nie, Jack. Myślę, że nie dzisiaj.

## 8

To doprawdy było ekscytujące - stwierdziła sucho Rachel, gdy ba zaczęła pustoszyć. Harriet poklepała ją po dłoni, a potem odwróciła się, aby trochę spłoszona spojrzeć na anatoma. Teraz, gdy opuściła go już złość, wyglądał bardzo blado i na starszego, niż go dotąd znała. Opuścił głowę, dłonie zacisnął na główce laski, kunsztownie

wykonanej z czarnego i mocnego drewna. Główka, na wpół przykryta cienkimi palcami Crowthera, była kulą zdobionego srebra.

- Nie widziałam jeszcze, by używał pan laski. Nie patrzył na nią.

- Pani Westerman, jestem w bardzo delikatnym wieku. Strata jednej nocy odpoczynku potrafi uczynić ze mnie starca.

- Nie jest pan aż tak stary.

W głosie Harriet zabrzmiała nuta uśmiechu; uniósł wzrok, zrobiło jej się przykro, iż jego twarz wyglądała tak oschle i gorzko.

- Doprawdy, madame? Jakże jestem rad, że pani tak uważa.

W tonie głosu Gabriela była wrogość, wystarczająca, aby przyprowadzić Harriet o rumieniec i skłonić ją do odwrócenia wzroku. Zanim dało się powiedzieć cokolwiek więcej, Michaels powrócił do izby.

- Przymuszono go - oznajmił. - Właśnie aresztował Hugh za zamordowanie Joshui Cartwrighta.

Rachel zasłoniła usta dłonią, Harriet szybko wstała.

- Tutaj? Teraz? Oberżysta przytaknął.

- Sędzia powiedział, że po zeznaniach pastora i Hannah, choć na razie, dokonano tego nieformalnie, ma pozostawać w domu. Przypuszczalnie z nadzieją, że wpakuje sobie kulę w łeb i zaoszczędzi nam procesu. Jeśli dobrze znam Thornleigha, może tak zrobić, winny czy niewinny.

Crowther się nie poruszył.

- Może tak będzie dobrze.

Harriet zrobiło się gorąco. Gwałtownie odwróciła się do uczonego.

- Naprawdę? Może sędzia miał rację i ta pańska sekretna przeszłość... -

położyła na słowo „sekretna” wystarczający nacisk, by się skrzywił - uczyniła z pana miłośnika prostych rozwiązań. Jestem zaskoczona, że pańskie dociekania zaprowadziły pana aż tutaj, skoro bardziej pan sobie ceni prostotę niż prawdę.

Nagle wyczuła okrucieństwo we własnych słowach i przyłożyła dłoń do oczu.

- To nie w porządku. Musimy myśleć dalej i to szybko. Proszę, niech pan pozwoli, że pójdziemy gdzieś, gdzie możemy swobodnie porozmawiać. Dostrzegła, że Crowther nieco pobladł, a paniczny lęk, że w jednej chwili zerwała istniejące między nimi nici zaufania, przyprawił ją o dreszcze. Do oczu cisnęły jej się łzy.

- Jakże pan może tak po prostu sobie tutaj siedzieć?

Nie spojrział na nią. Poruszały się tylko jego zaciśnięte wąskie wargi.

- Pani Westerman, zdaje się, że pani może tutaj przemawiać swobodnie. Zagryzła wargi. Zabrakło jej słów. Przez dłuższą chwilę patrzyła na niego, a potem odwróciła się z jękiem rozczarowania czy żalu. wstała, by wyjść z izby, bo potrzeba ruszenia się dokądkolwiek była zbyt silna, by się jej oprzeć.

- Panie Crowther, nie sądzę, aby Hugh Thornleigh był winien którejkolwiek z tych śmierci. Sam pan wskazywał inne rozwiązania... Crowther napotkał spojrzenie jej oczu, jego własne niemal przysłaniały ciężkie powieki. Usta wykrzywił mu szyderczy uśmiech.

- Może osamotnienie uczyniło mnie skorym do fantazjowania. Nie przestawała na niego patrzeć.

- Proszę nam pomóc.

Powrócił spojrzeniem ku srebrnemu kłębowisku owoców i winorośli na głowicy laski. Zastanawiał się, jacyż to bogowie skłonili go, aby zabrał ją ze sobą właśnie dzisiejszego popołudnia. Było to jedyna, pozostająca w jego posiadaniu, rzecz, która kiedyś należała do ojca. Rachel także odczekała chwilę, wpatrując się w ostry profil uczonego, a potem uświadomiła sobie, że nie uzyska już żadnej odpowiedzi, odwróciła się więc i ruszyła za siostrą spokojnym krokiem, z przygarbionymi ramionami. Michaels wyciągnął przed siebie ręce i wyjął coś, co utkwilo mu pod paznokciem prawego kciuka.

- Panie Crowther. To straszne stworzenia, prawda... ci inni ludzie...

Gabriel wstał i wyszedł stanowczym krokiem. Na zewnątrz mężczyźni i kobiety przerwali swoje rozmowy, aby na niego spojrzeć. Ruszył dalej. Gravesa zaskoczyło to, jak blisko byli Leicester Fields. Nie miał pewności, czy pan Chase życzy sobie, aby nadal mu towarzyszył, jako że wyszedł swym trudnym do dotrzymania krokiem. W głowie Owena wciąż wirowała niedokończona opowieść o Aleksandrze, miał nadzieję dowiedzieć się czegoś więcej, niezależnie od tego, co pan Chase mówił o swej niewiedzy.

Weszli na otwartą przestrzeń Leicester Fields i natychmiast do ściany jednego z graniczących z nią domów przycisnął ich potok ludzi z oszalałymi oczyma, którzy wyjąc, pędzili ku Charing Cross Road wystraszoną krowę. Ktoś zawiązał zwierzęciu na głowie niebieską kokardę, ktoś inny ciągnął biedne zwierzę za koniec ogona. Na czas jakiś krowa stała się ich maskotką. Mężczyźni klepali ją po bokach, rozdzielwszy się, poganiali z uciechą. Twarze mieli wykrzywione, oczka błyszczące, małe. Gdy jeden z ludzi smagnął zwierzę batem przez zad, zamuczało cicho, zaskoczone i pokuśtykało przed siebie.

- Przecz z papizmem! - zawołał, a jego towarzysze objęli się z uciechą i poczęli krzyczeć, pchając przed sobą nieszczęsne stworzenie. Gravesowi przypomniały się diabły, jakie widywał na freskach w ojcowskim kościele. Niektóre zamalowano, bo zadawane przez nie tortury okazały się zbyt okrutne dla coraz bardziej łagodnego Kościoła, w dzieciństwie fascynowały go ocalałe wizerunki: małe, ciemne ciała potępieńców. Pomyślał, że teraz znowu je widzi, w osmalonych twarzach zwolenników anglikanizmu odzianych w łachmany, w ich dzikim upodobaniu do bezczeszczenia i publicznie zadawanej przemocy. Przez chwilę czuł się zląknięty jak dziecko. Potem usłyszał, jak pan Chase mówi z trudem: - Dobry Boże! - Graves odwrócił się, by zobaczyć, co wskazuje jego towarzysz. - To dom lorda Saville'a!

Owen chadzał tamtędy wystarczająco często, aby wiedzieć, co powinien zobaczyć: szykowny, kamienny fronton, o czystych stopniach i wypolerowanych mocowaniach. Po tym wszystkim przesunęła się jednak czyjaś ciemna ręka i to, co zdawało się ongiś solidne, wygodne, stanowiło symbol bogactwa i kultury, teraz stało w ogniu. Płomienie wychodziły z górnych okien, liżąc mur w ich pobliżu, wyciągały pomarańczowe jęzory ku dachówkom, zasysały rynny. Z pierwszego piętra przez palące się draperie buchał dym. Niżej, tam gdzie ogień wciąż jeszcze tylko ślizgał się i wił, Graves dostrzegł jakieś poruszające się cienie. Co chwila któryś z nich wyłaniał się, okopcony, roześmiany i rzucał na ulicę swój łup. Przyglądająca się tłuszcza wiwatowała i tańczyła, pokryte sadzą, rozradowane twarze jaśniały, dzikie, z otwartymi ustami. Owen złapał oddech i wymamrotał: „jaśnieją morza, lecz nie własnym blaskiem, one błyszczą łuną Troi”.

Pan Chase odwrócił się ku niemu, zdziwiony.

- O co chodzi, Graves?

- To cytat z Wergiliusza. Przekład pana Cowpersa. Pan Chase kaszlnął i odwrócił się, aby patrzeć na pożar.

Żar płomieni stał się teraz zbyt gorący nawet dla najzuchwalszych łupieżców. Ostatni rabuś właśnie gramolił się oknem salonu, paliły mu się poły kurtki, pod pachą ścisnął wielkie złoczone lustro. Z tuzin ludzi zdusiło na nim płomienie, kiedy potykając się, wszedł w tłum, roześmiany niczym dziecko. Klepali go po wąskich barkach, jakby właśnie uratował się z pożaru. Między stłoczonymi ludźmi Graves dostrzegł stos łupów, leżący na ulicy. Przypominało to oglądanie wyprutych wnętrzności, rzuconych na podwórko sklepu rzeźnika. Ujrzał złoczone krzesła poustawiane na sztorc, z nogami połamanymi i roztrzaskanymi, książki otwarte i podarte, łopoczące bezradnie stronice. Wielkie gobeliny ciśnięto na ziemię, teraz tłum mocował się z nimi, chcąc z nich uczynić prowizoryczne płaszcze i koce. Tylko tyle im było trzeba. Dzień, dwa, jakiś głupiec pojawi się z petycją i już w Londynie nic nie jest święte czy bezpieczne. Myśli pana Chase'a musiały podążać tym samym torem.

- Panie Graves, krocymy wąską ścieżką.

Młodzieniec nie odpowiedział, tylko powoli zamknął oczy i wciągnął w płuca dym. Starał się wyczuć na języku jego strukturę, jakby miał o nim napisać, przywołać ją. Nawet z tej odległości czuł, że twarz grzeje mu żar płonącego, rozbitego domostwa. Gwałtownie otworzył oczy i uważnie spojrzął na Chase'a.

- Panie Chase, a ten medalion? Myślałem o nim. Czy należał do matki Aleksandra?

Starszy mężczyzna odwrócił się w stronę ognia ku bełkoczącemu, hałaśliwemu tłumowi.

- Do jakiegoś dziewczęcia. Tylko tyle wiem.

Z drugiego końca ulicy dobiegł krótki, głośny wiwat. Graves i pan Chase, podobnie jak grabieżcy, odwrócili się i ujrzeli oddział wojska, z karabinami na ramionach. Zbliżał się przez pustą przestrzeń Leicester Fields. Żołnierzy było ledwie dwudziestu, jednak dyscyplina i zdecydowanie widoczne w ich marszu sprawiały, że wyglądali jak ludzie, z którymi trzeba się znacznie bardziej liczyć.

- Dziewczęcia?

Chase nadal przyglądał się żołnierzom.

- To wszystko, co powiedział. „Myślę, że to należało do jakiegoś dziewczęcia”.

Czerwone kurtki żołnierzy odbijały się od zieleni, białe szamerunki błyszczały, ciemne drewno muszkietów wyglądało groźnie. Za nimi szła gromada ludzi z wiadrami. Graves pomyślał, że przybyli za późno, aby ocalić cokolwiek z domu, lecz beznadziejność tego przedsięwzięcia nie powstrzyma ich choćby przed próbą. Motłoch jakby się skurczył, zrobił mniej zuchwały czy też mniej pijany, ludzie skulili się, pochyłili głowy. Oficer kazał wojsku zatrzymać się dziesięć jardów przed tłuszcą.

- Porzućcie wszystko, co wzięliście, i opuśćcie to miejsce. Rozkazuję wam w imieniu króla!

To najwyraźniej starczyło. Tłum, dotąd niesforny, zaczął rzednąć, nadąsany jak przejedzone dziecko. Ludzie z wiadrami pobiegli naprzód. Graves zastanawiał się, czy któregoś z nich coś łączyło z rodziną lorda Saville'a. Po twarzy co najmniej jednego spływały



łzy. Po co w ogóle podjęli taki wysiłek? Być może czynili tak dlatego, by później móc sobie ze spokojem rzec, że przynajmniej próbowali. Oficer przyglądał się, jak gaszą pożar, i właśnie wtedy z wycofującej się tłuszczy poleciał jakiś kamień, twardy i szybki. Uderzył jednego z żołnierzy nad okiem. Czoło mężczyzny spłynęło krwią, on zaś szybko zsunął muszkiet z ramienia, w pozycji do strzału. Dowódca wystąpił naprzód.

- Opuść broń, Wilson. Strzelacie na mój rozkaz albo w ogóle. Wilson zamarł na chwilę, następnie znów zawiesił muszkiet na ramieniu i otarł krew z oczu, cały czas mając spojrzenie utkwione w cofającym się tłumie.

- Skurwysyny z krwawymi grzbietami! - krzyknął ktoś z tłuszczy, kiedy ludzie dotarli już na drogę. Żołnierze nawet nie drgnęli, tylko stróżowali, dopóki ostatni z grabieżców nie umknął z placu. Był to chudy mężczyzna, zerkający za siebie. Zanurkował między nogami towarzysza we względnie bezpieczne osłonięte miejsce, byle dalej od lśniących luf karabinów.

Graves spojrział na pana Chase'a.

- Mówią o nich, że mają krwawe grzbiety z powodu koloru mundurów? Starszy mężczyzna przytaknął.

- A także przez to, że armia lubuje się w dyscyplinie. Każdy człowiek z tego oddziału poza ranami bitewnymi ma też na plecach blizny po batogu. Chase w dalszym ciągu przyglądał się płomieniom i próbom ich zduszenia podejmowanym przez ludzi z wiadrami. Graves zauważył starszego mężczyznę, jak przystanął i też spoglądał z żalem na pożar niczym dziecko, którego ulubioną zabawkę zniszczył beztroski akt dorosłych.

- Zastanawiałem się, dlaczego Aleksander powierzył dzieci twojej, a nie mojej opiece - cicho powiedział pan Chase, nie patrząc na Gravesa. - Może mimo to, że opuścił swą rodzinę, mimo grzechu, który go od nich odepchnął, nadal pragnął, aby jego dzieci wychowywał dżentelmen.

Owen zmarszczył brwi z zaskoczenia.

- Jest pan dżentelmenem. Chase się nie uśmiechnął.

- Nie, chłopcze. Stałem się kimś w tym rodzaju, ale obaj wiemy, że to nie wszystko. Nieważne, do ilu wielkich domów wejdę, zawsze wyczują tam ode mnie woń warsztatu i składu. Anglio! Urodziłem się taki, jak ci ludzie tutaj - machnął dłonią ku szeregom żołnierzy - i każdy Anglik to pozna, gdy tylko otworzę usta albo złożę ukłon. Zastanawiam się, czy

Aleksander był tego świadom, gdy wpisywał właśnie twoje nazwisko.

Masz coś, czego nie mam ja, chociaż mógłbym kupić ciebie i tuzin tobie podobnych za te drobne, które noszę w kieszeni.

Graves wbił spojrzenie w ziemię, a pan Chase odwrócił się doń, uśmiechając półgębkiem.

- To nie twoja wina, chłopcze. Nie chciałem cię urazić. - Ujął ręką ogrodzenie przed sobą, jakby gotując się, by je wyrwać. - W każdym razie wychowałem córkę godną dżentelmena. To moja pociecha.

Graves się zarumienił.

- W rzeczy samej, panie - powiedział. - W rzeczy samej.

## 9

Dzień chylił się już ku wieczorowi. W Caveley Park panowała cisza. Harriet i Rachel siedziały w długim salonie i nie odzywały się słowem, choć żadna z nich nie udawała, że jest zajęta czymkolwiek innym poza własnymi myślami. Gdy wróciły do domu, Harriet spędziła godzinę na piętrze. Przy posiłku panna Trench zauważyła, że siostra płakała. W czasie obiadu podjęły marną próbę rozmowy. Niestety, cisza usadowiła się na stołowej zastawie niczym kurz. Czas kapął z wolna, odmierzany kwadransami przez wysoki

skrzyniowy zegar na korytarzu. Kuranty zaczynały już grać Harriet na nerwach, małe mosiężne młoteczki odnajdywały jakieś zasupłane włókna w jej kręgosłupie i wprawiały je w wibracje. Rozległo się delikatne pukanie do drzwi. Weszła pani Heathcote z listem do Rachel.

- To ze dworu, panienko - oznajmiła. Nie patrząc jej w oczy, wycofała się. Harriet spojrzała na siostrę zmęczonym wzrokiem. Młodsza z kobiet otworzyła list i przeczytała go, a następnie złożyła ponownie. Wyciągnęła go ku żonie komandora:

- Przykro mi, Harriet. Nie mogłam postąpić inaczej. Kiedy poszłaś na górę, żeby wypocząć, wysłałam list do pana Thornleigha, po prostu by mu oznajmić, że moim zdaniem nie jest winny stawianego mu zarzutu, i zapewnić, że jeśli starczy mu cierpliwości, to prawda w końcu wyjdzie na jaw.

Harriet popatrzyła na spokojną twarz siostry. Postępek taki był dla Rachel czymś typowym, aktem życzliwości i wielkoduszności, na który ów człowiek nie zasługiwał. Miała nadzieję, że w końcu pojawi się ktoś, kto będzie cenić jej czułą troskę. Tę dziewczynę powinno się za nią kochać, chronić.

- Oczywiście, kochanie - powiedziała. - Nikt nie mógłby cię za to winić. Palce Rachel wciąż trzymały kartkę. Harriet czekała, aż siostra będzie już gotowa, aby oddać list w jej ręce. Gdy rozkładała kartkę, czuła, że pulsują jej skronie. Odkąd wróciły do domu, czuła się słaba jak dziecko. Rzadko płakała, a kiedy jej się to zdarzało, szloch pozostawiał ją pustą i zagubioną. Odczytała niezgrabną bazgraninę Hugh. Niewiele miała do odcyfrowania.

„Dziękuję, panno Trench. W przeszłości cierpliwość mi się nie przysłużyła, ale i działanie nie poprawiało mego losu. Wdzięczny jestem, że ma mnie Pani za niezdolnego do takich zbrodni”.

Hugh dodał jeszcze wyrazy uszanowania dla nich obu i podpis. Harriet obróciła list w dłoniach, jakby miała nadzieję, że w rogu kartki ukaże się jakaś nabazgrana sekretna wiadomość.

- Ciekaw jestem, co miał na myśli. Rachel, z odpowiednim nastawieniem można by to było odczytać jako przyznanie się do winy.

Siostra uniosła ku niej wzrok, marszcząc nieco brwi.

- Sądziłam, że kiedy pisał „działanie”, miał na myśli wysłanie Brooka na poszukiwania Aleksandra. Przecież to zdaje się początkiem wszystkich tych okropności.

Harriet przytaknęła i trochę się skrzywiła. Ból głowy szalał, nie ustępował. Dręczył ją cały wieczór, powtarzała jednak, że nic jej nie dolega. W przyszłości okaże więcej zrozumienia damom, mającym upodobanie do migren i nerwów.

- Nie rozmawialiśmy o panu Thornleighu już od dłuższego czasu.

Dziewczyna uśmiechnęła się z goryczą.

- Czyżby? Mam wrażenie, że od ostatnich kilku dni rzadko rozmawialiśmy o kimkolwiek innym.

- Wiesz, co mam na myśli.

Rachel nie uniosła wzroku, tylko przykryła ręką dłoń siostry.

- To przejdzie, Harriet. Przez jakiś czas byłam bardzo nieszczęśliwa, wiesz o tym. Nawet teraz, od czasu do czasu, bywam trochę nieszczęśliwa, ale to bardziej wspomnienie smutku niż sam smutek. Czy to ma sens?

Harriet przytaknęła.

- Tak mi przykro, Rachel - powiedziała.

- Niepotrzebnie. - Dziewczyna spojrzała na nią z wielką czułością. - To nie stało się z twego powodu, a chociaż wierzę, że Hugh jest niewinny, nie chciałabym teraz zostać jego żoną i nie życzyłam sobie tego już od wielu miesięcy. Daję słowo... Nie byłabym taką żoną, jakiej mu trzeba, ani on nie jest człowiekiem, który uczyniłby mnie szczęśliwą. Bywały jednak chwile, kiedy opowiadał o swych kampaniach z takim przejęciem albo o planach związanych z posiadłością, że miało to w sobie wiele szczeroci. Harriet, tęsknię za tym, aby znowu myśleć o przyszłości z podobnym zadowoleniem i ekscytacją, to wszystko.

Harriet zacisnęła dłoń na siostrzanej ręce, pochyliła głowę.

Znowu rozległo się pukanie, w drzwiach raz jeszcze zjawiała się pani Heathcote, tym razem z weselszą miną. Kobiety spojrzały na nią zaskoczone:

- Pan Crowther do pani, madame, i jakiś pan Clode. Wracając do domu, nie mówiły o Crowtherze, chociaż Harriet rozmyślała na jego temat, a swój ból głowy przypisywała głównie jemu i jego zbrodniczej rodzinie. To nie w porządku mieć do niej żal, że poznała prawdę. Leżąc w łóżku, na piętrecie, ułożyła mglisty plan złożenia Gabrielowi jutro rano wizyty. Postanowiła domagać się, by powiedział, czego się dowiedział od Cartwrighta o Aleksandrze. Żadne jednak oburzenie, na jakie potrafiła się zdobyć, nie tłumilo żalu wywołanego wycofaniem się Crowthera, a także jej własnymi, pełnymi złości słowami. Gdy więc zaanonsowano Gabriela, wstała ostrożnie. Jeżeli przywita je swym oschłym uśmiechem, podejdzie do niego i poda mu dłoń z radością, wątpiła jednak, by jego demony dało się usunąć tak łatwo. Chociaż, jeśli tak jest, to po co w ogóle przyszedł?

Crowther wciąż wyglądał na znużonego, a jego ukłon był w najlepszym razie zdawkowy. Harriet poczuła ukłucie żalu. Stała wyprostowana, na powitanie uśmiechnęła się przelotnie i ostrożnie. Za anatemem do pokoju wkroczył drugi, znacznie młodszy mężczyzna, ciemnowłosy i szczupły, odziany szykownie w gustowne ubranie, otoczony aurą ogromnej powagi. Uśmiechnęła się doń milej, sądząc, że teraz chyba go rozpoznaje, widziała tę twarz gdzieś z tyłu tłumu na rozprawie.

Crowther przepuścił go, nie patrząc w oczy żadnemu z nich.

- Pani Westerman, panno Trench. Czy wolno mi przedstawić pana Daniela Clode'a?

Rachel wstała. Obie kobiety dygnęły, a pan Clode uklonił się. Wydawał się trochę nieswój, nie potrafił się wyzbyć zatroskanego uśmiechu. To dżentelmen, uznała Harriet, choć nie próżniak.

Crowther mówił dalej:

- Pan Clode jest adwokatem z Pulborough. Odwiedził mnie wieczorem po przesłuchaniu i usłyszawszy, jak wyjaśniał sprawę, poprosiłem, aby wyłożył to przed wami, szanowne panie.

- Miło mi pana poznać, panie Clode - oznajmiła Harriet. - Proszę usiąść. Uczynił to, z nieznacznym uśmiechem, kłaniając się.

- Dziękuję, pani Westerman - mówił łagodnym barytonem, z nieznacznym śladem miejscowej miękkiej wymowy. - Poznałem nieco ten dom, kiedy byłem chłopcem, mój wuj miał jakąś sprawę do załatwienia z poprzednimi właścicielami. Zdaje się, że obecnie ta posiadłość ma się bardzo dobrze.

Harriet powiedziała coś w podziękowaniu, uznając, że człowiek ten wygląda na bardzo rozsądnego. Gdy umilkł, jej spojrzenie powędrowało tam, gdzie siedział Crowther, zadumany nad swą łaską, tak samo jak w izbie na tyłach oberży Pod Niedźwiedziem i Koroną. Uznała, że nie potrafi wytrzymać tego napięcia, jakie stworzyli między sobą, i zanim świadomie podjęła decyzję, już wstała. Pan Clode wstał również, nieco zaskoczony. Crowther zerknął na kobietę z grymasem.

- Panie Clode, proszę wybaczyć mi niegrzeczność, ale zanim posłuchamy tego, co ma pan do powiedzenia, muszę zadać panu Crowther pytanie na osobności. Rachel, może poprosiłabyś panią Heathcote o przekąski dla naszych gości?

Odwróciła się do anatoma.

- Panie Crowther, proszę ze mną na chwilę. - Nie czekając, aż Gabriel wstanie, wyszła z pokoju, zmiierzając korytarzem ku pustej jadalni i przytrzymując drzwi, póki za nią nie podążył. Pozwoliła, by się zamknęły za nią dopiero wtedy, gdy anatom wszedł już do pokoju. Oparła się o nie plecami.

W jadalni nie zapalono świateł, znaleźli się w świetle łabędzio-szarych cieni. Crowther przez chwilę stał pośrodku pokoju, aż stało się jasne, że Harriet wcale nie zamierza się odzywać. Wtedy, prawie nie patrząc w jej stronę, burknął:

- Słucham panią, madame?

Poczuła, jak opanowanie pęka we niej z trzaskiem, niczym sucha gałąź pod stopą.

- Żadne „słucham, madame”, Crowther! Jak pan śmie? Jak pan śmie nas nienawidzić za to, że znamy twój sekret? To jest u pana

odpychające. Żałuję tego, co powiedziałam, ale byłam na pana wściekła. Przecież to nie my upubliczniłyśmy pańską sytuację. Nic o niej nie wiedziałyśmy. Boi się pan naszego współczucia? Nie dostanie go pan ode mnie. Stać pana na luksus ucieczki od wszelkich nieprzyjemności, jakie niesie życie. Mogę jedynie tego pozazdrościć. Patrzył na nią ze zdumieniem, bardzo blady.

- Nieprzyjemności, pani Westerman? Waży się pani nazywać to, co stało się w mej rodzinie, nieprzyjemnością?

Zganiła się za to słowo, ale parła dalej przed siebie, niósł ją wiatr i nie było już odwrotu.

- A jednak pragnie pan współczucia. Przepraszam. - Patrzyła mu w oczy i nie bała się. - Crowther, do kroćset, ależ z pana dziwadło! Jestem wprost zaskoczona, że do tej pory nie miał pan już z pół tuzina nazwisk, skoro tak pan reaguje, gdy ktoś pozna pańską przeszłość. To niezwykle, jak duma potrafi z mężczyzny uczynić tchórza!

Zrobił krok w jej stronę, poczuła drzwi za plecami.

- Gdyby była pani mężczyzną - powiedział cicho - zabiłbym panią za taką uwagę.

Poczuła, jak jej ręka drży, ściśnięta za plecami. Odwróciła głowę, by jej oczy znalazły się dokładnie naprzeciwko jego oczu.

- To nie uczyniłoby mego twierdzenia ani mniej, ani bardziej prawdziwym.

Ich twarze znalazły się od siebie na odległość oddechu. Czują łomot serca, myślała o Gabrielu, jak go znalazła wśród jego preparatów, odwróconego plecami do świata, myślała szybko i jasno. O tym, jak po raz pierwszy oderwała go od tego strumienia życia z dnia na dzień, od swoistego rodzaju spokoju i z powrotem pchnęła ku bardziej rwącym prądom. Do oczu znowu napłynęły łzy. Odgoniła je mruganiem.

- Przepraszam, Crowther, bardzo przepraszam. Przepraszam, jeśli wmieszanie pana w to wszystko sprawiło mu przykrość.

Jej współczucie było tysiąc razy trudniejsze do zniesienia od gniewu.

Dwadzieścia lat żalu porwało Gabriela niczym powódź. Wypuścił laskę, która upadła ze stukotem, i odwróciwszy głowę od Harriet, schował twarz w dłoniach. Zadrżały mu ramiona, z piersi

wyrwał się cichy jęk. Kobieta nie poruszyła się, czuła jednak, jak jej ciało się odprężyło. Cienie w jadalni sprawiły, że Crowther wyglądał teraz jak samotna istota trwająca wśród chłodu i ciemności, lecz zarazem to coś niewygodnego i okrutnego, istniejącego między nimi, pękło. Dało się zmyć, niczym zbudowana przez dziecko tama na strumieniu, przewyciężona wiosennym przypiływem.

Przykucnęła, aby podnieść laskę. Długa spódnica codziennej sukni omiotła podłogę. Nie wstała od razu, lecz pozostała na miejscu, unosząc tylko wzrok. Crowther westchnął ciężko i przesunawszy dłonią po twarzy, powoli przeszedł obok Harriet. Zbliżył się do jednego z wysokich wąskich okien, przez które do jadalni wpadało światło. Wyjrzał na drogę pod domem. Okno było otwarte, wiaterek przesunął firanki. Owiewał dąb strzegący frontonu gmachu, niosąc ze sobą ciężkie wspomnienia skwaru dnia, pozwalając im wpłynąć do sypialni. Zapach był pełen spokoju, kojący.

- Wybacz mi.

Jego głos brzmiał chropawo jak u człowieka, który nie odzywał się przez wiele lat i jeszcze się nie przyzwyczyił, że znowu składa słowa. Harriet wstała, podeszła do niego, stając z boku. Nic nie mówiła, ale wkładając mu laskę w rękę, pozwoliła palcom spocząć na jego rękawie i pozostawiła je tam, spoglądając na dąb. Minęła cała minuta, zanim się odezwała.

- To drzewo jest jednym z powodów tego, że zamieszkaliśmy w Caveley. Mąż powiedział, że na morzu mniej się będzie o nas martwił, wiedząc, że mamy jako strażnika takiego przyjaciela.

Gabriel nie odpowiedział od razu, ale gdy to zrobił, jego głos brzmiał już zwyczajnie.

- Naprawdę potrzeba pani strażnika, pani Westerman? Uśmiechnęła się.

- Wolę myśleć, że nie, ale każdy potrzebuje sojuszników, zgodzi się pan ze mną, panie Crowther?

- Być może.

Zerknęła w górę i ujrzała, jak na ustach anatoma unosi się widmo jednego z jego zmęczonych uśmiechów. Ból głowy zelżał nieco.



- Chce pan o tym w ogóle rozmawiać? Wiedział, co ma na myśli, i powoli pokręcił głową.

- Nie, nie teraz. Może kiedyś, w przyszłości. Dziś chcę posłuchać tego, co ma do powiedzenia pan Clode.

Wspólnie stali w ciemności jeszcze chwilę, pozwalając, aby spokój zapanował między nimi. Wtedy Gabriel podał pani Westerman ramię i ruszyli do wyjścia.

- Przepraszam, że jeszcze nie opowiedziałem pani o Aleksandrze...

Obawiałem się, że ktoś nas podsłucha. Carter Brook znalazł go na Tichfield Street.

Harriet szeroko otworzyła oczy.

- Wiem, gdzie to jest. Niedaleko Soho Square. Uśmiechnęła się i Crowther otworzył jej drzwi do salonu.

- No, Crowther, może w końcu zdołamy jakoś zrozumieć to wszystko.

## **10**

Rachel i pan Clode stali, gdy Crowther wraz Harriet weszli do pokoju. Panna Trench oprowadzała teraz gościa po salonie, pokazując zgromadzone w nim pamiątki i opisując, gdzie pani Westerman wraz z mężem znaleźli je podczas swych wojaży. Harriet czasem zastanawiała się, czy Rachel aby nie zna jej przygód lepiej niż ona sama. Gdy weszli, siostra właśnie śmiała się z dosyć zakłopotanego wyrazu twarzy swego towarzysza, kiedy patrzył na to, co wyrzeźbiono na niewielkim kościanym flecie. Żona komandora miała nadzieję, że dla ich wspólnego dobra poważny młodzieniec nie będzie przyglądał się rzeźbie zbyt bacznie. Instrument pochodził z jednej z wysp Indii Zachodnich, grano na nim podczas rytuałów płodności. Rachel spojrzała na siostrę, a Harriet uśmiechnęła się do niej. Pan Clode ponownie się im uklonił i bardzo ostrożnie odłożył flet na stół. W oczach miał błysk, który sprawił, że pani Westerman

pomyślała, że przyglądał się małemu instrumentowi dokładniej, niż miała nadzieję. Zdenerwowała się, czując rumieniec.

- Proszę wybaczyć, panie Clode, że kazałam panu czekać. Mam nadzieję, że Rachel nie zanudziła pana morskimi opowieściami.

Uśmiechnął się.

- Pani Westerman, przewędrowaliśmy Indie tam i z powrotem, przemierzyliśmy Europę i złożyliśmy krótką wizytę na Gibraltarze. Jeszcze nigdy tak dobrze się nie bawiłem.

Rachel wyglądała na zadowoloną.

- Jest pan bardzo miły - stwierdziła Harriet, skłaniając głowę.

- Pani Westerman, bardzo mnie to zainteresowało. - Popatrzył na nią całkiem poważnie, spostrzegła, że ma ładne czarne włosy i niebieskie oczy, a to właśnie pierwsze zauważyła, gdy spotkała swego przyszłego męża. - Ledwie byłem poza hrabstwem, a chętnie bym podróżował.

Radością było słuchanie o pani przygodach, panna Trench zaś opowiada je bardzo dobrze.

Zastanowiła się, ile może mieć lat - dwadzieścia pięć, dwadzieścia sześć? Zanim zdołała się powstrzymać, przyłapała się na myśli o tym, jak dobrze on i Rachel wyglądają razem.

- Jestem pewna, że opowiada je lepiej niż ja czy mój mąż i wierzę, że w jej opowieści wydawali się odpowiednio bohaterscy. A teraz, panie Clode, jestem do pańskiej dyspozycji, jeśli jest coś, o czym chciałby nam pan oznajmić.

Natychmiast zmarszczył brwi, kilka minut potrwało, nim znaleźli sobie odpowiednie miejsce, by usiąść.

- Być może, mam nadzieję, że pani mi wybaczy, powinienem wyjaśnić, dlaczego wpieryw nie porozmawiałem z sędzią. Uczyniłbym tak, ale oczywiście w związku z aresztowaniem pana Thornleigha zaraz po zawieszeniu rozprawy... Krótko mówiąc, kilka godzin spacerowałem po okolicy, a jako że informacja, którą posiadam, nie jest ściśle poufna i ujrzawszy was oboje na przesłuchaniu... Sędzia zaś nie zdawał się...

Widać było, że czuje się nieswojo, ale decyzję podjął już w trakcie owej przechadzki i chyba nic, co tutaj ujrzał, nie skłoniło go do

jej zmiany. Harriet zastanawiała się, czy Clode'a coś łączy z Michaelsem. Crowther obrócił laskę w dłoniach i rzekł spokojnie:

- Rozumiemy pana, panie Clode. I szanujemy pańskie skrupuły.

Młodzieniec skłonił głowę.

- Dziękuję. Mój wuj to starszy wspólnik w naszej kancelarii w Pulborough. Pracuję z nim od dwóch lat, ale teraz jest nieobecny i sądziłem, że mógłbym poszukać państwa porady, skoro sędzia jest... niedostępny.

- Dziękuję panu za zaufanie - odparła Harriet.

Odczekali kolejną chwilę. Clode spojrział na swój mankiet. Pani Westerman poczuła, jak wzbiera w niej niecierpliwość, utrzymała się jednak w ryzach, dopóki młodzieniec nie odezwał się ponownie:

- Opiekunka lorda Thornleigh, Madeleine Bray zostawiła pod naszą pieczęcią swą ostatnią wolę.

Harriet nagle wyprostowała się i radośnie spojrzała na Crowthera. Ten uniósł dłoń, jakby chciał coś powstrzymać.

- Pani Westerman, tyle wiem i ja. Gdy pan Clode mi o tym powiedział, poprosiłem go, żeby towarzyszył mi tutaj.

Harriet poczuła się zadowolona, choć także trochę winna. Nie wydawało się bowiem czymś stosownym czuć zazdrość o informację, ona też miała sekrety. Radowała się, że Clode tym, co chce oznajmić, podzieli się z nimi obydwójkiem. Uczony ponownie spojrział na Daniela.

- Proszę mówić, panie Clode.

- Sporządzenie testamentu było jednym z pierwszych zadań, jakich podjąłem się u mego wuja, dobrze zatem pamiętam panią Bray. Kiedy usłyszałem w mieście o jej śmierci, postanowiłem wziąć udział w przesłuchaniu, żeby zobaczyć, czy uda mi się skontaktować z jej spadkobiercami. Mój wuj i ja jesteśmy wykonawcami jej ostatniej woli. Uczony pokiwał głową, przyjrzał się paznokciom prawej dłoni. Clode popatrzył nań trochę niepewnie. Rachel dostrzegła to i się uśmiechnęła.

- Proszę się nie kłopotać panem Crowtherem, on tak zawsze czyni, kiedy jest szczególnie zainteresowany tym, co zaraz będzie powiedziane.

Gabriel spojrział na nią, unosząc brwi.

- Pan tak robi, przecież pan wie - oświadczyła. Przytaknął skinieniem głowy.

- Wygląda na to, że panna Bray miała w świecie niewielu krewnych czy przyjaciół, pozostawiła im jednak więcej, niż ktokolwiek mógłby się spodziewać. Swojej starej przyjaciółce, pani Service z Tichfield Street w Londynie, należy przekazać sumę pięćdziesięciu funtów.

Harriet gwałtownie, z klaśnięciem zwarła mocno dłonie. Clode poczekał chwilę, ale skoro pani Westerman się nie odzywała, mówił dalej.

- I jakąś małą broszkę z kameą, którą otrzymała od matki pani Service, życzyła sobie jednak, aby ta trafiła do córkowej „dobroczyńcy”. Córka owa ma na imię Susan. W rzeczy samej, ta część testamentu wydała mi się nieco dziwna i sędzę, że należy zwrócić na to czyjąś uwagę, że ów dobroczyńca, jak twierdziła zmarła, również mieszka przy Tichfield Street i „używa nazwiska” Aleksander Adams.

Clode w ogóle nie dostrzegł wrażenia, jakie jego słowa wywarły na słuchaczach, albowiem znowu zmarszczył czoło, wpatrując się w mankiet.

- Spisując to, pomyślałem, że to dziwna fraza i wypytywałem o to.

Okazała się ze wszech miar uparta, na obliczu zaś miała wyraz prawdziwego zadowolenia, kiedy podkreślała to sformułowanie...

Przerwał i uniósł wzrok. Cała trójka wpatrywała się weń tak, jakby właśnie dokonał w schludnym salonie jakiejś cudownej albo straszliwej sztuki. Poczuł się nieco zakłopotany.

- Żywię nadzieję, że nie uczyniłem nic złego, dzieląc się z państwem owymi informacjami.

Crowther uśmiechnął się nieznacznie sponad laski.

- A zatem Aleksander nosi teraz nazwisko „Adams”?

Pani Westerman wstała, twarz miała zarumienioną, oczy jej błyszczały.

- On ma dziecko! Crowther!

Panna Trench pochyliła się, najwyraźniej głęboko skupiona.

- Cii, Harriet - powiedziała szybko. - To nazwisko... Pamiętam, że tego ranka... - Potem z okrzykiem przerażenia zerwała się na równe nogi, pobiegła do biurka w drugim krańcu salonu, wyciągnęła stamtąd „Daily Advertiser” i przybiegła z powrotem.

Crowther podniósł się jej na spotkanie, pan Clode wstał zakłopotany, bo nie chciał być jedyną osobą, która siedzi. Harriet złapała siostrę za rękę.

- Rachel, o co chodzi?

Młodsza z kobiet zaczęła przewracać stronicę trzymanej gazety, a potem wcisnęła ją w ręce pani Westerman.

- Tutaj, Harriet, tutaj!

Zrobiła krok w tył, potknęłyby się, gdyby pan Clode nie podtrzymał jej za łokieć i nie poprowadził do krzesła. Popatrzyła na niego z wdzięcznością. Harriet przejrzała stronę i uniosła dłoń do ust. Uczony postukał w dywan końcem laski.

- Pani westerman, na miłość boską, niech mnie pani nie trzyma w niepewności.

Harriet zaczęła czytać drżącym głosem:

- „Na Tichfield Street popełniono straszliwą zbrodnię”. -Crowther gwałtownie zwrócił ku niej wzrok. Czuła, jak drży jej ręka i musiała się uspokoić, by móc czytać dalej. - „W zeszły piątek, wśród niepokojów czynionych przez motłoch, dokonano jak najokropniejszego mordu w sklepie muzycznym i drukarni pana Aleksandra Adamsa, na Tichfield Street”. Crowther! Oni go zabili!

- Proszę czytać dalej, jeśli łaska, pani Westerman.

- „Jakiś mężczyzna, którego tożsamość wciąż pozostaje tajemnicą, przybył do sklepu, kiedy pan Adams i jego dzieci spożywali obiad, po czym zabił właściciela jednym okrutnym ciosem noża w brzuch. Zdaje się, że gdyby przypadkowo nie zjawił się wówczas przyjaciel ofiary, ów diabeł w ludzkiej skórze mógłby też zgasić młode żywoty dwojga bezbronnych dzieci pana Adamsa, osieroconych

przez matkę: Susan Adams, ledwie dziewięcioletniej oraz jej młodszego brata, Jonathana". Dzieci żyją! - Uchwyciła spojrzenie Crow-thera i czytała dalej: - „Morderca wtopił się w tłum, a chociaż pan Adams żył jeszcze wystarczająco długo, aby pocieszyć dzieci oraz powierzyć opiekę nad nimi swemu przyjacielowi, wysiłki chirurga nie starczyły, aby go ocalić”.

Rozejrzała się wokół. Rachel była blada, pan Clode zdezorientowany, lecz przerażony. Crowther tak mocno zacisnął dłonie na gałce laski, że aż pobiełały mu palce.

- Kim jest ten jego przyjaciel? Trzeba go ostrzec! Jest jeszcze coś... „Motywem zbrodni najprawdopodobniej mógł być rabunek, jednak, o Anglio, cóż to znaczy, że takiego morderstwa dokonuje się w biały dzień, w domu szanowanego człowieka, który pozostawia synka i córeczkę samych, w tym okrutnym, pełnym zamętu świecie. Na pogrzeb pana Adamsa przybyli jego liczni przyjaciele, przepełnieni szacunkiem dla cechującej ofiarę zbrodni wielkiej wiedzy o wspaniałej muzyce, dostępnej w tym mieście, oraz dla zaangażowania pana Adamsa w przedstawienie najlepszej jakości nut najbardziej wyszukany gustom”. Harriet opuściła gazetę obok siebie. Crowther niemal czuł, jak wokół pani Westerman, wśród rosnących cieni, krążą lęki i przerażenie, potwory wyobraźni sięgały ku ciemnoczerwonej sukni, ciągnęły za włosy długimi woskowymi palcami.

Pani Clode rozejrzała się wokół oszołomiony.

- Nie pojmuję. To ten człowiek, który był dobroczyńcą opiekunki Bray? Rachel twarz miała spokojną, lecz spojrzenie zdawało się puste. W głosie dziewczyny zabrzmiał głuchy ton, który sprawił, że Clode poczuł się tak, jakby się zgubił wśród chłodnej nocy.

- Uważamy, że Aleksander Adams przyszedł na świat jako Aleksander Thornleigh, dziedzic Thornleigh Hall i wicehrabia Hardew.

Teraz to Clode zbladł. Harriet odezwała się gdzieś w przestrzeń:

- I miał dzieci.

Crowther znowu pochylił się nad laską.

- Mogą nie pochodzić z legalnego związku. Pani Westerman pokręciła głową.

- Jeśli Aleksander porzucił swój ród z miłości do ich matki, to na pewno ją poślubił i dzieci są legalne.

Pan Clode wstał ponownie, z gwałtownym pośpiechem.

- One są w niebezpieczeństwie - oznajmił. Nikt nie odpowiedział.

- Panie Crowther, prawda, że tak jest? Nie mam pańskiej wiedzy o całej tej sprawie, widzę jednak, że działa tu czyjaś zdesperowana ręka i rozszerza swe wpływy na Londyn. Nawet dziecko by to spostrzegło. Musimy ostrzec dzieci, ostrzec ich przyjaciół, jak powiedziała pani Westerman: zabrać je w jakiejś bezpieczne miejsce, dopóki nie minie zagrożenie.

Gabriel nie unosił wzroku znad laski. Nawet przez odległość dzielącą go od tego człowieka poczuł u Daniela przyływ świeżej krwi, rozedrganą energię. Na jego ustach pojawił się ostrożny uśmiech.

- Tak. Myślę, że uchwycił pan sedno sprawy, panie Clode.

Daniel zerknął na Rachel, wpatrującą się intensywnie w kąt pokoju, a potem z powrotem na Harriet i Crowthera, z których każde najwyraźniej przebywało we własnym świecie. Odezwał się spokojnie:

- Proszę pozwolić mi jechać.

Harriet jakby się ocknęła i zmarszczyła brwi.

- Nie, panie Clode, to ja pojedę.

- Proszę mi wybaczyć, pani Westerman, ale to nie ma sensu. - Młodzieniec zrobił krok naprzód. - Dzieci nie będą bezpiecznie, dopóki zbrodniarz nie zostanie doprowadzony przed oblicze sprawiedliwości. Pani może w tym pomóc znacznie skuteczniej niż ja. Proszę pozwolić mi jechać. Mogę wyruszyć natychmiast i do świtu dotrzeć do Londynu.

Harriet zawahała się. Pomyślała o własnych dzieciach śpiących teraz na piętrze, potem szybko kiwnęła głową i odwróciła się. Lęk i zamęt dzisiejszego wieczoru wciąż trzymały ją za gardło.

- Chciałbym tylko znać jakiejś miejsce, dokąd można by zabrać te dzieci, gdyby zaistniała taka potrzeba. Im bliżej są Tichfield Street,

w tym większym znajdują się niebezpieczeństwie, chociaż nie sądzę, aby dom ich dziadka był dla nich bezpiecznym miejscem, jeśli... -spojrzał na nich - ...jeśli dobrze pojąłem sytuację.

Crowther szybkim krokiem podszedł do sekretarzyka Harriet.

- Co do bezpiecznego miejsca, sądzę, że mogę je zapewnić. Wyciągnął kartkę papieru i przyjrzał się piórom pani Westerman, wreszcie, mrużąc, wybrał jedno, które mu odpowiadało.

- Napiszę panu list do pana Johna Huntera. Był moim nauczycielem w Londynie, to człowiek wielki z licznym powodów i rozsądniejszy niż większość ludzi. Ma dom przy Earl's Court. Przyjmie tam pana, jeśli uzna pan to za niezbędne. Jest szorstkim człowiekiem i ma dziwny dom. - Anatom posypał kartkę piaskiem. - Zna także paru osobników, którzy mogą się przydać, jeśli zagrozi panu niebezpieczeństwo.

Złożył list i wręczył Danielowi, który pytająco zmarszczył brwi.

- Chodzi o hieny cmentarne oraz tym podobnych osobników, panie Clode

- wyjaśnił Crowther. - Jest anatomem tak jak ja, i to wielkim, ale jego

zapotrzebowanie na materiał do badań doprowadziło go do różnych dziwnych przyjaźni. Może pan jednak powierzyć mu życie swoje oraz tych dzieci. Nie zdradzi pana, nawet jeśli sam król wraz z arcybiskupem Canterbury dobijaliby się do jego drzwi, domagając się wydania was.

Harriet otrząsnęła się z wytworów swej wyobraźni i także ruszyła szybko do biurka, zmuszając anatoma, by zszedł jej z drogi. Niecierpliwie otworzyła niewielką szufladkę z boku stolika o miodowym kolorze.

Wyciągnęła szkatułkę z pieniędzmi, a otworzywszy ją kluczem trzymanym w kieszeni, wyjęła plik banknotów. Daniel zdawał się nieco urażony, spróbował powstrzymać panią Westerman machnięciem ręki.

Ona jednak tupnęła z gniewem.

- Niechże pan to weźmie, panie Clode! Może pan potrzebować pieniędzy na wydatki, których nie przewidywał pan, wychodząc dziś rano z domu.

Znowu się zawahał, dostrzegając jednak sens w słowach Harriet, przyjął pieniądze z ukłonem.



- Jestem wdzięczny, że pani mi zaufała, pani Westerman. wydała się zaskoczona tym spostrzeżeniem. Daniel widział, jak wymienia z Crowtherem spojrzenia.

- Chyba wszyscy panu ufamy, panie Clode. Czy popełniamy błąd? Pokręcił głową.

- Nie, nie popełniacie państwo błędu. Mogę ruszać już teraz. Czy wolno mi napisać list, który zostałby wysłany rankiem do Pulborough? Nie chciałbym, aby moi rodzice martwili się o mnie. Napiszę, że interesy zatrzymały mnie tu na kilka dni.

- Oczywiście - powiedziała Harriet. - Rachel, weź dla pana Clode'a jakiś płaszcz do konnej jazdy od Davida. My opowiemy mu, czego się dowiedzieliśmy.

Harriet i Crowther, nie kłopotując już się tym, by usiąść, przekazali młodzieńcowi wszystko, co od piątkowego świtu zobaczyli, pomyśleli albo podejrzewali. Clode niewiele mówił, a wszystkie jego pytania były inteligentne oraz rzeczowe. Wiedział już o najważniejszych sprawach, gdy wróciła Rachel, niosąc płaszcz i niewielką torbę z prowiantem zabranym z kuchni, w którym nie zabrakło pół butelki najdroższej brandy z piwniczki Harriet. Potem ruszył w drogę.

Drzwi zamknęły się za nim, a Rachel, Harriet i Crowther patrzyli na siebie bez słowa. Kiedy zjawiała się pani Heathcote, aby posprzątać prawie nietknięte przekąski, czyniąc to tak sprawnie i szybko jak porucznik przygotowujący pokład przed bitwą, żona komandora wyprostowała się za biurkiem.

- Bardzo dobrze - powiedziała. - i co teraz?

Siedemnasty czerwca 1775 roku,  
Breed's Hill w pobliżu Charlestonu,  
Zatoka Massachusetts, Ameryka Północna

Spróbuj wyobrazić sobie mgłę. Pełźnie od strony spokojnej rzeki i jest tak gęsta, że wzrokiem sięgasz jedynie na odległość kilku jardów, nieważne, w jakim kierunku spojrzysz. Wciąż jest zabarwiona na żółto

światłem słońca, którego już nie widać, gryzie cię w nos i usta niczym dym. Dym prochowy. Cały świat unurzany w spalonym prochu. Dźwięki niosą się niczym stłumiony grom; nie potrafisz już odróżnić od łomotania własnej krwi tupotu twych nóg i nóg twojego oddziału, uderzających butami o ziemię. Oczy ci łzawią. Jedno zapuchło, rozrywający ból jak szczur uwięziony w czaszce. Wyrwałbyś je i odrzucił, gdyby nie to, że ręce nie mogą się oderwać od muszkietu. Powietrze pełne jest świstu i wybuchów. Słysząc jęki i okrzyki, niektóre daleko, inne nagle tuż pod stopami. Czujesz ciepłą wilgoć i żar wypalający się na policzku. Złe, małe kulki grzechoczą obok. Nie potrafisz dostrzec, skąd nadlatują ani jak są blisko. Nagle w półmroku przed sobą widzisz rozbłysk wybuchającego prochu. Jesteście już prawie przy nich. Człowiek po prawej potyka się, klniesz nierówności ziemi i sięgasz, aby pomóc mu wstać. Dopiero gdy pochylony z wysiłku podnosisz jego chyboczącą się głowę na wysokość swego zgarbionego ramienia, dostrzegasz, że nie żyje. Ma zmiecione pół twarzy. Pozwalasz mu upaść. Wzywasz otaczających cię ludzi i brniesz do przodu, z nastawionym bagnetem, wiedząc, iż niemożliwe jest, abyś ocalał, pewne zaś tylko, że zabierzesz ze sobą jednego z tych morderczych sukinsynów, kryjących się za palisadą. Jesteś zdecydowany wnieść nieco swojego piekła do ich reduty, w sam jej środek. Jesteś tam. Płot między tobą a tym drugim człowiekiem ustępuje pod twoim ciężarem, a jemu nie udaje się załadować broni. Unosi wzrok ku twojej twarzy, górujesz nad nim, gdy przykuca nad ładownicą, w koszuli z samodziału i wymiętym kapeluszu. Widzisz kawałek starej gazety u jego stóp, zasypany okruchami. Musiał się pożywiać przed ostatnim atakiem. Przyniósł sobie coś z domu. Widzisz wszystko, nie odrywając wzroku od jego twarzy. Unosisz lufę i wbijasz piętnaście cali stali sterczącej z lufy twego karabinu prosto w jego pierś, dźgasz, wypuszczając powietrze z płuc, choć on cały czas się w ciebie wpatruje. Na ustach pojawiają mu się krwawe bąbelki, oczy mętnieją. Bagnet pogrąża się tak głęboko, że aby go wydobyć, musisz odepchnąć się stopą od mostka. Odwracasz się, szukając kogoś innego. To taniec. Świat spowalnia, masz płynne ruchy. Masz sporo czasu, aby znaleźć

kolejnego partnera, posłuchać impulsu nakazującego ruch, potem uwolnić się i odwrócić ku komuś nowemu, i jeszcze jednemu - na jego panewce skwierczy proch, coś leci prostu ku twojej twarzy. Czekasz, aż świat ogarnie czerń, ale nie, strzał chybia. Nadchodzi chwila, kiedy on to dostrzega, a ty unosisz broń i rzucasz się przed siebie. Tamten zgina się w pół. Potykasz się o niego, potem stajesz na równe nogi. Twoje spojrzenie przykuwa kolejny człowiek, który odskakuje. Jest zbyt powolny. Po prawej błyska strzał, podnosi go i rzuca na ziemię, na trawę, ciało drży z szoku i rozpaczy.

Sen kończy się, świat znowu przyspiesza, czujesz, że rozpaczliwie łapiesz oddech, a dłonie trzymające łożę broni masz śliskie od ludzkiej krwi.

Ktoś stoi obok ciebie. Oczy ma tak samo czarne i rozpalone jak ty.

- Thornleigh, tutaj już skończyliśmy. Reduta wzięta. Chryste, człowieku! Twoja twarz!

Spluwasz na ziemię, wszędzie wokół leżą ciała. Niektóre w lnianym samodziale, inne w krwawej czerwieni, takiej jaką ma twoja kurtka. Nic nie mówiąc, odwracasz się ku plaży. Słyszysz jęk po prawej. Przykucasz, rozpoznajesz jednego ze swoich ludzi. Kładziesz mu ramię na szyi, sam obejmujesz go w pasie, ciągniesz z powrotem na plażę. Gdy docierasz do łodzi, niesiesz już trupa.

Na ulicach było pełno ludzi, zakrwawionych i rannych. Jechali na wozach do lazaretów albo kuśtykali za tymi wozami. Gdy Thornleigh mijał ich, niektórzy się kłaniali. Hugh zatrzymał się w dokach, tylko by złożyć meldunek i zaraz potem ruszył w stronę szpitala, który ledwie kilka tygodni wcześniej wizytował z Hawkshawem. Chciał sprawdzić, czy są tam jacyś ludzie z jego oddziału, a jeśli tak, co może dla nich zrobić. Z trzydziestu żołnierzy pod jego dowództwem po walce tylko czterech było w stanie samodzielnie chodzić. Widział trupy dziesięciu. Teraz ruszył szukać pozostałych. W oknach co elegantszych domów w Bostonie pozamykano okiennice. Cywile, głównie starsi mężczyźni w perukach oraz dopasowanych kubrakach, niepewnie stawali na szczytach schodów, oszołomieni i zatro-

skani, spoglądając na powolną krwawą paradę. Kiedy Hugh wszedł przez szerokie wrota starego składu, trafił na prawdziwą jatkę. Na podjeździe pełno było rannych. Jęczeli i broczyli krwią, czekając na swą kolej u chirurga. Pomiedzy nimi chodziło kilka tutejszych kobiet, rozdając wodę, brzegi długich spódnic miały zbrukane krwią. Jedna z dziewcząt, z chustką przytkniętą do twarzy, odwróciła się ku skrawkowi cienia. Nawet w mroku dostrzegł, że zsiniały jej usta, a jedną rękę przyciska do kamiennej ściany. Kiedy stamtąd odeszła, za jej dłonią pociągnął się rdzawy ślad krwi. Zastanawiał się, czyje ostatnie chwile właśnie oglądała. Zaczerpnął wody z beczki i rozdał ją. Wołania o coś do picia dochodziły z każdej strony. Niektórzy pytali o jego oddział, inni kładli mu na rękawie czarne i czerwone dłonie, starali się zatrzymać tak długo, by opowiedzieć swoje historie o rzezi, jaką na wzgórzu ujrzeli wokół siebie. Cały sztab Howe'a zginął albo odniósł rany, z pół kompanii grenadierów zostali pojedynczy żołnierze, podobnie jak oddział Hugh. Zwycięstwo, ale za jaką cenę?

Cofając się spod Lexington, upoili się swą mocą, teraz byli już trzeźwi niczym sam diabeł. Jakiś żołnierz zwinął się w kłębek pod ścianą, szlochał i starał się powstrzymać łzy, wtykając sobie pięść w usta. Młoda kobieta próbowała podejść do Thornleigha i opatrzyć mu ranę. Niosła skrawek płótna i miednicę, już zaróżowione i brudne. Odepchnął ją bez słowa, kiedy usłyszał, że ktoś woła jego nazwisko. Uniósł wzrok. Jakiś młody chłopak z kompanii Hawkshawa leżał podparty o białą ścianę. Hugh podszedł do niego. Chłopak miał szarą woskową twarz. Przebiegł spojrzeniem po jego ciele. Rana brzucha. Chirurdzy nic już nie mogli dla niego uczynić. Thornleigh bez słowa przykucnął obok i wyciągnął zza pazuchy metalową flaszkę, wciąż do połowy napelnioną weselną brandy od ojca. Przytknął ją rannemu do ust. Żołnierz wypił, skrzywił się, kiedy gorąco przeszło mu przez gardło.

- Dziękuję, panie kapitanie. Dobrze smakuje.

Zaśmiał się, a to szarpnęło raną i zmieniło się w kaszel, pluł z ust gęstą czerwienią. Hugh znowu podał mu flaszkę. Ranny napił się,

przepraszającym gestem, kiedy Thornleigh łagodnie odsuwał piersiówkę, starał się otrzeć szyjkę skrajem koszuli.

- Nie wiem, czy już pan słyszał, kapitanie? Kapitan Hawkshaw poległ. Hugh poczuł się tak, jakby ktoś zadał mu pięścią cios w brzuch. Zwiesił głowę.

- Widziałeś to? - zdołał tylko powiedzieć. Ranny przytaknął.

- W drugim natarciu był na przodzie. Ten chudy sukinsyn, na którego szedł, poczekał, aż się zbliży, i trafił go prosto w czoło. On po prostu upadł - chłopak przerwał. - Te małe gówna mają mocne nerwy, w każdym razie niektórzy z nich. Załatwiłem go chwilę później, a potem... - położył dłoń na czerwonej babraninie na brzuchu - potem jego kumpel załatwił mnie.

Thornleigh pokiwał głową, którą rozsadzał ból.

- Wybuchł panu muszkiet, kapitanie?

Hugh dotknął prawej strony twarzy. Poczuł raczej żywe ciało niż skórę.

Dotyk jakby obudził ranę; paląca fala przeszła mu przez policzek, eksplodując bólem pod okiem, próbując dosięgnąć jego pola widzenia, aż wreszcie zdało się, iż niemal widzi jej zarys. Uspokoił się.

- Owszem. Czyjś strzał wytrącił mi karabin z ręki w pierwszym szturmie. Radziłem sobie z bronią jakiegoś martwego buntownika, ale nie polubiła mnie jako swego pana.

Ranny się uśmiechnął.

- Buntownicza broń, widzi pan? - zaśmiał się z własnego dowcipu, powtarzając go i kręcąc głową. - Buntownicza broń. Kapitanie, przykro mi z powodu Hawkshawa. Dobry był z niego chłop. - Szeroki uśmiech nieco się skrzywił. - Ze mnie też.

Thornleigh wetknął chłopakowi flaszkę w dłoń i wstał. Ranny spojrzał na niego.

- Kapitanie, już pan jej nie odzyska. Hugh machnął ręką.

- Wypij za Hawkshawa.

- Życzę panu powodzenia.

Thornleigh wstał. Światło miękło, w miarę jak zbliżał się letni wieczór kolejnego pięknego dnia. Odwrócił się w stronę budynku. W ciemnościach jęki stały się krzykami, a zapach drażniący i metaliczny. Chirurg ciężko pracował piłą, podłoga pod jego stopami spływała krwią i wymiocinami. Zaraz za nim widać było szeroką beczkę, z jej krawędzi zwisała okrwawiona ręka, wygięta w przegubie, dziwnie doskonała. Hugh zastawiał się, czy ocalała reszta tego człowieka.

Przeszedł obok, w kierunku szerokiej, otwartej sali właściwego lazaretu, podążając tym samym szlakiem, jaki kiedyś obrał wraz z Hawkshawem i Wicksteedem. Sklepienie było wysokie jak w kościele. Kamienne ściany tłumyły wycie dobiegające z miejsca, gdzie pracował chirurg. Tutaj ranni byli zazwyczaj cisi, jak się zdawało, zadowoleni, że mogą spokojnie oczekiwać, aż zabierze ich śmierć lub ich ciała okażą się chętne, by ozdrowieć. Odnalazł trzech swoich ludzi i usłyszał wieści o dwóch innych, co zmarli pod nożem. Dwóch miało opatrzone rany, mówili jednak, ze zwątpieniem w głosie, że kule, które ich raniły, pozostawiono nienaruszone, nie wyjmując ich. Thornleigh nie miał teraz nastroju do rozmowy o chirurgicznych modach. Słoma rozsypana między siennikami była śliska od krwi. Ponownie zaczerpnął wody. Usiadł i pozwolił mówić innym, opowiedział też historię własnej rany oraz posłuchał, jak jego słowa powtarza się między posłaniami. Zaczynało się ściemniać, a z bólu robiło mu się słabo. Musiał porozmyślać o kapitanie Hawkshawie i zużyć cały alkohol, jaki mu jeszcze został, by splukać to, co zostawił dzisiejszy dzień. Czuł, jak energia, która niosła go podczas walki, teraz uchodzi, zostawiając miejsce pustce i grozie. Miał już wychodzić, szedł właśnie ku drzwiom, kiedy poczuł, że ktoś stoi mu za ramieniem. Zobaczył Wicksteeda, po łokcie unurzanego we krwi.

- Kapitan Thornleigh! - Wicksteed spojrział na jego ranę. - Kapitanie Thornleigh, zanim pan odejdzie, powinien pan pokazać to chirurgowi.

- Ma ważniejsze sprawy na głowie.

Odwrócił się, chcąc odejść, ale szybka, prawa dłoń Wicksteeda chwyciła go za rękaw i zatrzymała.

- Kapitan Hawkshaw?

- Nie żyje.

Mężczyzna gwałtownie cofnął rękę.

- Szkoda. Był moim przyjacielem. Sądziłem, że może o mnie pomyśli, kiedy już będzie po wszystkim.

Thornleigh spoglądał na niego jednym okiem. Wicksteed przez chwilę patrzył w ziemię, a potem przysunął się do większego mężczyzny jak dziewczyna szukająca partnera na wiejskiej zabawie. Jego dłoń ponownie spoczęła na rękawie oficera. Palce miał czarne od posoki.

- Kapitanie Thornleigh, proszę mi pozwolić obmyć pańską ranę z brudu. Hugh nic nie powiedział, po prostu strząsnął jego dłoń ze swego rękawa i odszedł. Potrzeba ucieczki była jak ucisk za oczami. Szedł już z pięć minut, gdy jakiś młody chorąży zawołał do niego z drugiej strony ulicy.

- Kapitanie Thornleigh! wezwanie od gubernatora. Kiedy tylko się pan opatrzy, ma pan iść do twierdzy Stone i sprawdzić, co się da wyciągnąć od jeńców.

Hugh zmarszczył brwi.

- Co to za bzdura? Wyciąganie informacji to nie moje zadanie. Czemu właśnie mnie o to proszą?

Chłopak wydawał się zmieszany, jakby przekazał wiadomość w niewłaściwy sposób.

- Jeden z jeńców mówi, że pana zna. Nazywa się Shapin. Prosił, żeby pan tam przyszedł. Gubernator ma nadzieję, że przy panu zrobi się rozmowny. Hugh przypomniał sobie opowieść Hawkshawa i pokiwał głową ze znużeniem. Chorąży podniósł głos.

- Przepraszam, ale powiedzieli mi, że ma pan być tam tak szybko, jak tylko zdoła. Nie wiadomo, jak długo on jeszcze pożyje.

Hugh szedł, a ucisk za oczami narastał.

## CZESC 5



Wtorek, szosty czerwca 1780 roku

Z czyjzego polecenia? Z czyjzego polecenia, pytam? Krzyki dobiegały z boku budynku. Harriet i Crowther, wymieniwszy tylko jedno spojrzenie, ruszyli w tamtą stronę, nie czyniąc wiele hałasu. Za rogiem ujrzeli Wicksteeda, odwróconego do nich plecami. Jedną rękę miał uniesioną, trzymał w niej szpicrutę, drugą zaś zaciskał na nadgarstku młodej służącej, mniej więcej w wieku Rachel. Drzwi do kuchni w suterenie były otwarte. Wokół tłoczyła się służba z Thornleigh Hall. Dziewczyna musiała upaść, gdy zarządca ciągnął ją z kuchni w górę schodów. Spod czepka wy-smyknęło się nieco włosów, płakała. Podniosła wolną rękę, gotowa zasłonić się przed szpicrutą. Krzyczała i unosiła ramię coraz wyżej.

- Myślałam, że tak będzie lepiej! On był pijany! Pan położył się do łóżka, panie Wickstead!

Mężczyzna szarpnięciem podniósł ją na kolana.

- Myślałaś, że tak będzie lepiej? Myślicielka z ciebie, co? Myślisz, że będzie lepiej, jeśli zamkniesz własnego pana w jego komnatach?

Wykręcił jej nadgarstek, znowu pisnęła.

- Był pijany! Nie mam klucza do zbrojowni, ale klucz do salonu tkwił w zamku! Miał tam ogień! Myślałam, że otworzę rano i nikt by się nie dowiedział! Cieszę się, że tak zrobiłam!

Harriet i Crowther widzieli, jak ślina z ust Wicksteeda pryska jej na twarz. Zarządca prawie wrzeszczał.

- Cieszysz się, co?

Opuścił szpicrutę. Dziewczyna wyrwała się, ale trzymał ją mocno.

Uderzył ją w twarz z trzaskiem, który odbił się echem od ścian. Harriet wzdrygnęła się. Gdy Wicksteed znowu podniósł rękę, Crowther przebiegł kilka ostatnich kroków, dzielących go od zarządcy, i laską zatrzymał jego ramię w powietrzu.

- Jakiś kłopot ze służbą? - zapytał, przeciągając słowa. Wicksteed odwrócił się gwałtownie, oddychał ciężko, twarz miał szkarłatną.

- To tylko moja sprawa - syknął.

Crowther uśmiechnął się do niego krzywo, nadal trzymając laskę w tym samym położeniu.

- Chodźmy. Narobił pan już tej dziewczynie dosyć przykrości.

Patrzył surowo w twarz Wicksteeda, który opuścił wzrok ku postaci leżącej u jego stóp. Ślad ciosu pojawił się jako biała linia na nienaturalnie czerwonej twarzy. Pod okiem pękła skóra. Zarządca splunął na ziemię.

- Proszę ją puścić - spokojnie i bardzo powoli powiedział uczony.

Wicksteed uwolnił jej przegub. Zaczęła go rozmasowywać.

- A ty zmykaj, moja droga - dodał Crowther, nie ruszając się. Dziewczyna jakby się przebudziła i na klęczkach wyczołgała się

do kuchni. Służący wciągnęli ją do środka jak rozbitka na szalupę.

Crowther odczekał dłuższą chwilę, nim zabrał laskę. Postawił ją z powrotem na ziemi i oparł się na niej. Zarządca patrzył w przestrzeń przed sobą, tam gdzie przed chwilą leżała pokojówka, a jego pierś wznosiła się i opadała. Nie spojrzawszy już na anatoma ani na panią Westerman, odwrócił na pięcie i odszedł.

Harriet zrobiła kilka kroków w kierunku Gabriela.

- Pan w ogóle nie potrzebuje tego kijka, prawda, panie Crowther?

Patrzył na oddalającą się sylwetkę zarządcy.

- Potrzebowałem wczoraj. Dzisiaj po prostu cieszę się jego towarzystwem.

Podał Harriet ramię, ruszyli w stronę frontowych drzwi domu.

- I on chce być dżentelmenem - parsknęła pani Westerman.

- Wicksteed? Batożenie kobiet z trudem uznać można za sposób, w jaki da się to osiągnąć.

Uśmiechnęła się.

- Nie miałam jeszcze okazji, by panu o tym powiedzieć. Odwiedziłam go wczoraj, przejrzałam mu biurko.

- I zapewne nie znalazła pani notatników ze szczegółowym opisem jego zbrodni?

Zmarszczyła nos.

- Nie, ale jedna z szuflad w jego biurku była zamknięta. Znalazłam za to brudnopisy dosyć obłudnego listu do Heroldii Anglii. A dziś na własne oczy ujrzeliśmy, że jest zdolny do przemocy względem kobiety.

- Czasem każdy z nas jest do tego zdolny - mruknął Crowther.

Harriet postanowiła zignorować tę uwagę i nie powstrzymywać toku własnych myśli.

- Jestem pewna, że ma on nad Hugh jakąś władzę.

- Czy pani też sądzi, że to właśnie on posłał butelkę do Cartw-righta, wyręczając się Thornleighem? - Uczony wydał z siebie nieco rozpaczliwe westchnienie.

A gdy przytaknęła, dodał:

- Ale dlaczego, pani Westerman? Przecież to nie ma sensu. Owszem, jeśli ma jakąś władzę nad panem Thornleighem, to jego chęć usunięcia zagrożenia, związanego z powrotem Aleksandra albo jego dziedzica, byłaby logiczna. Ale skoro takie byłoby jego życzenie, z pewnością nie chciałby, aby za jego zbrodnie powieszono Hugh. I dlaczego miałyby chcieć, żeby ten człowiek mógł sam się zabić? Inaczej nie można zrozumieć sceny, jakiej właśnie byliśmy świadkami. Był wściekły, bo jego dobroczyńca nie mógł się zastrzelić po

pijanemu dzięki temu, co uczyniła ta mała służąca. A to wcale nie wskazuje, że jego los zależy od Hugh.

Pani Westerman nie dała się zbić z tropu.

- A może teraz jest lojalny względem kogoś innego. Gdyby zostali usunięci zarówno Hugh, jak i Aleksander, władza nad majątkiem przeszłaby w ręce lady Thornleigh, opiekunki małego syna. Może ją uznawać za lepszą panią.

Ta uwaga sprawiła, że anatom na chwilę się zatrzymał. Potem ruszył dalej, wzruszywszy ramionami.

- Nie ma na to dowodu - stwierdził. - Żadnego. Spekulacje i plotki, butelka z trucizną to wszystko, co mamy, a to prowadzi prosto do Hugh.

- Czy nie jest właściwą metodą naukową, by zasugerować hipotezę, a potem szukać wspierających ją dowodów?

- Nie, na pewno nie. Należy obserwować, zbierać wszystkie informacje, jakie się tylko zdoła, a potem stawiać hipotezy z wielką ostrożnością i rozwagą.

Harriet wzruszyła ramionami.

- Ja tam wolę swoją metodę.

Crowther nie odpowiedział, bo zbliżali się do drzwi dworu, tylko jęknął wymownie.

Nie byli tu dziś rano pierwszymi gośćmi. Kiedy czekali w holu, ujrzeli sędziego Bridgesa, który zatrzymał się na schodach i jak się wydawało, bardzo serdecznie żegnał z lady Thornleigh. Pochylił się nisko nad jej dłonią, patrzył z uwielbieniem na śliczną twarz. Uśmiechała się do niego, lekko przechylając głowę, i pożegnawszy go, odwróciła się, po czym zniknęła z widoku, idąc do salonów na piętrze. Sędzia zaczął schodzić w dół. Wtedy ich dostrzegł. Trochę się zawahał, bruzdy na czole pogłębiły się.

- Crowther. Pani Westerman. Wcześniej państwo przybywacie z wizytą. Anatom się uśmiechnął.

- Nie tak wcześniej jak pan, sędzio.

Bridges przysunął się bliżej.

- Mam tu pewną sprawę, jak się zresztą państwo domyślają. Choć nie pojmuję, jaką sprawę mogą mieć państwo.

Przez jakiś czas spoglądali na siebie bacznie. Crowther zaczął się właśnie zastanawiać, czy długo jeszcze potrwa ta próba sił, gdy pojawiła się pokojówka.

- Lady Thornleigh prosi o wybaczenie, ale nie jest dziś w stanie przyjmować gości. Czuje się nieco chora.

Na twarzy sędziego pojawiło się wielkie ukontentowanie. Gabriel odwrócił się ku niemu, unosząc brwi.

- Mam nadzieję, sędzio, że to nie po pańskiej wizycie zrobiło jej się niedobrze.

Bridges poczerwieniał i miał już odpowiedzieć, kiedy Hugh, blady i nieogolony, wyszedł z jednego z korytarzy na dole.

- Pani Westerman! Crowther! Wejdźcie, proszę. Spotkam się z państwem, nawet jeśli moja szanowna macocha tego nie robi.

Sędzia, nie patrząc na niego, odwrócił się. Gdy szli za Hugh przez sklepiony korytarz do dawnej sali biesiadnej, uczony zerknął na twarz Harriet.

- Panie Crowther, sędzia był nam kiedyś wielkim przyjacielem - szepnęła.

- Jest politykiem.

- I zdaje się, że stanął po stronie lady Thornleigh. Myślałam, że się nienawidzą.

- Zapewne wierzy, że ma dowody, które doprowadzą do powieszenia Hugh, i ma nadzieję, że zaprzyjaźni się z nową panią posiadłości.

Thornleigh odwrócił się przez ramię.

- O czym szepczecie?

Weszli do wielkiej, starej sali dworu. Zbudowano ją dwieście lat wcześniej niż resztę gmachu. Posiadłość ją obrosła, stając szykownym frontonem starożytnego serca domostwa. Wciąż leżała tu kamienna posadzka, stały masywne ciemne meble. Ściany obwieszono

starymi herbami i portretami, tak naznaczonymi przez upływ czasu, że z trudem dawało się rozpoznać profile pierwszych earłów Sussex, ponuro górujące nad ich głowami. Na drugim krańcu sali na ścianie wisiały dwie skrzyżowane halabardy z herbem rodu na zbutwiałym jedwabiu. W ogromnym, pustym kominku dałoby się upiec całego wołu. I pewnie pieczono, pomyślała Harriet, kiedy pierwsi earlowie ucztowali tu w otoczeniu psów i giermków, a przez kamienną posadzkę ciągnięto zwierzynę ubitą na łowach. Głowa jelenia, bezwładna, o pustym wzroku ślizgała się i obijała o kamienie, obok niej skakały i ujadały psy. Hugh podszedł do szerokiego, dębowego stołu pośrodku sali. Pani Westerman ruszyła ku niemu, suknia szeleściła na kamiennej podłodze.

- Nie wiedzieliśmy, że sędziego i lady Thornleigh łączą tak zażyłe stosunki.

Hugh trochę niepewnie sięgnął po butelkę wina z wielkiego stołu.

- Negocjują w sprawie mojej głowy. - Zacisnął palce na cienkiej zielonej szyjce, uniósł butelkę i zaczął wlewać klaret do dużych kielichów, rozlewając go po stole. - Bridges ma u nas długi, a ja nigdy się tym nie przejmowałem. Powiedziano mi, że regularnie spłaca raty. Sądzę, że to jakaś polityczna pożyczka, udzielona mu przez ojca i ośmielę się rzec, że moja piękna mamusia obiecuje mu, iż nie będzie miał już z nią kłopotu, jeśli ja trafię na stryczek, a ona przejmie tutaj władzę. Ale jeśli on za bardzo szuka innych przyjaciół, to przekona się, że Thornleigh nie będzie już przyjaznym pośrednikiem w interesach, kiedy odejdę. Albo zginę z własnej ręki. A ona przysporzy mu cierpień, niezależnie od tego, co mówi teraz.

Harriet przeraził spokój w jego głosie.

- Hugh, proszę! Co się tutaj dzieje?

Thornleigh odstawił kielich z winem, ale nadal odwracał głowę. Harriet podeszła do niego, otrząsając się z dłoni, którą ostrzegawczo położył jej na rękawie.

- Czy naprawdę zamordował pan tamtego człowieka, Cartera Brooka, zabił opiekunkę Bray, otruł Cartwrighta? Nie mogę w to uwierzyć. Nie będzie się pan ratował? Panie Thornleigh, pański brat...

Hugh odwrócił się gwałtownie i złapał ją za rękę. Kielich wina spadł ze stołu, roztrzaskał się o kamienne płyty posadzki. Rozbity kryształ zdawał się dzwonić w powietrzu.

- Harriet, co pani wie o Aleksandrze? - Pociągnął kobietę ku sobie.

Spojrzenie zdrowego oka tańczyło po jej twarzy. - Czy on żyje? Znalazła go pani?

Była rozdarta między strachem a współczuciem. Różowe i żółtawe blizny biegnące przez policzek i oko wyglądały jak szyderstwo z nadziei.

Poczuła, że Crowther podchodzi do nich bliżej. W oczach Hugh zobaczyła łzy. W martwym oku wciąż mógł gościć żal, nawet jeśli niczego już nie widziało. Łagodnie uwolniła rękę, trochę się odsunęła.

Czuła, że pod mankietami i skórą, na przegubach, wypełzają jej ciemne siniaki jak kwiaty naparstnicy. Pokręciła głową. Mówiła łagodnie, z wahaniem.

- Przypuszczamy, że nie żyje. Kilka dni temu został zamordowany w Londynie. Napisano o tym w „Advertiserze”. Aleksander Adams, prawdopodobnie takiego właśnie nazwiska używał w mieście.

Hugh odwrócił się, rycząc ze śmiechu.

- Skończone! Skończone! Na zawsze skończone! - Harriet odsunęła się jeszcze dalej. - To już koniec. Związali mnie i wychłostali. wszystko skończone! Pomyśleć tylko, co bym dał, żeby usłyszeć to nazwisko tydzień temu, co byłem gotów dać Brookowi, a teraz wy mi to sami przynosicie przy okazji porannej wizyty, a to już nic nie znaczy! Jest bezużyteczne! Tysiąc razy gorzej niż bezużyteczne!

Oparł głowę o chłodną czeluść kominka i otwartą dłonią uderzył w zimny kamień. Harriet poczekała, aż echo uderzenia powróci, odbiwszy się od obojętnych ścian. Gdy Hugh ponownie opuścił ramię, tam, gdzie trzasnął ręką, ujrzała na ścianie czerwony ślad.

- Kto, panie Thornleigh? Kto to uczynił? Czy jest pan w mocy Wicksteeda? Musimy pana uchronić od stryczka, a sądowi wykazać, kogo naprawdę trzeba oskarżyć.

Nie poruszył się, zaczęła go błagać:

- Chce pan zostawić to miejsce w rękach bandy morderców? Chce pan, aby na zawsze zapamiętano pana jako tchórza, truciciela, zabójcę słabszych? Jest pan żołnierzem!

Hugh zaśmiał jej się w twarz.

- Moja droga, głupiutka pani Westerman. Pani i pani rodzaj jesteście niczym oseski! Crowther pochodzi ze starszej krwi. Wie równie dobrze, jak ja, że to miejsce zawsze było w rękach bandy morderców! To taka arystokratyczna tradycja. My zaś jak najpoważniej traktujemy nasze powinności. A po cóż mam się przejmować, co się będzie mówiło, gdy będę już martwy? Sądźcie, że mnie to obchodzi, jak znajdę się na innym świecie? Chętnie zamienię to piekło najakieś inne. Nie zabiłem Brooka ani nie otrujęm Cartwrighta, ale może i tak zasługuję na stryczek.

Wickstead dał Bridgesowi mój zakrwawiony nóż, a ja nie będę się już tłumaczył. Niech tak będzie! Niechaj mnie powieszają! Uniknę wpakowania sobie kuli w łeb, aby dać im wszystkim wspaniałe widowisko. Niech patrzają, jak się duszę! Oto mój dar! Motłoch lubi oglądać, jak arystokrata wisi, prawda, Crowther?

Uczony wpatrywał się w kominek. Harriet zdawało się, że dostrzegła nieznaczące, gwałtowne skiniecie głową. Zrobiła krok do przodu.

- Hugh! Czy to Wickstead? Z jakiego powodu ma pana w ręku tak, że nawet teraz nie potrafi się pan wyrwać?

Spojrzał na nią, twarz miał mokrą i czerwoną od płaczu. Blizny na policzku połyskiwały przez to jak surowe mięso. Drżał. Nie odwracała wzroku, chcąc, aby coś powiedział. Popatrzył na nią, potem jęknął i odwrócił się. Zdawało się, że jego rozpacz jakby opadła mu z barków, pozostawiając mniejszym i słabym.

- Jestem winny. Pani Westerman, niech pani nie czyni sobie wroga z Wicksteeda. Dla dobra swej rodziny.



Jego but zatoczył krąg wewnątrz kominka, jakby rozgarniał nieistniejący popiół. Harriet położyła mu dłoń na ramieniu, odwróciła go, by na nią spojrzeć.

- Jakiś człowiek morduje pańskich przyjaciół, zabił pańskiego brata, a pan chce iść na szubienicę zamiast niego? Thornleigh, to śmieszne. Cóż, może...

Zacisnął pięści.

- Dosyć! Mam swoje powody. I to jest moja wina, pani Westerman.

Pięści otworzyły się, w jednej chwili złość stała się błaganiem.

- Jestem winny. A teraz, do diabła, odejdźcie z mego domu i trzymajcie się odeń z daleka. Aleksander dał mi kiedyś radę, próbowałem podążać wedle niej, naśladować go, ale to mnie zatrzymało. Wy zaś możecie uciec. Odejdźcie stąd. Proszę. Odejdźcie.

Wyszli z sali, ale nie z dworu. Crowther z początku sądził, że pani Westerman będzie teraz skłonna się wycofać. Wyczuwał w niej fale strachu i zmieszania, mimo to nie poprowadziła go do wielkiego wejścia do Thornleigh Hall, lecz w głąb domostwa.

- Chce tam pani pójść? - mruknął, gdy spostrzegł, w którą stronę zmierza.

- Chcę. - Zatrzymała się i spojrzała na anatoma. Zauważył zdrową biel jej oczu i zastanowił się, jak długo jeszcze potrwa, zanim poczerwienieją jak u niego, zranione oglądanym światem.

- Powiemy mu o dzieciach? Crowther westchnął.

- Nie umiem zdecydować. Po prostu nie umiem.

Zdawała się usatysfakcjonowana, stając pod drzwiami izby ochmistrzyni.

Zasuwę uniosła drobna kobieta w średnim wieku. Oczy miała zaczerwienione, fartuch skrywający codzienną suknię zawiązany był niedbale. Harriet uśmiechnęła się do niej i ujrzała w jej oczach błysk ulgi.

- Witam, pani Dougherty! Mój towarzysz to pan Crowther. Medyk.

Poczuła, że Gabriel zeszywniał, gdy wypowiedziała to słowo, ale nie protestował.

- Chcielibyśmy zobaczyć lorda Thornleigh. - Uśmiechnęła się beznamiętnie.

Stojąca przed nimi drobna kobieta wyglądała na zakłopotaną. Otarła dłonie o płócienny fartuch i wetknęła kosmyk włosów z powrotem pod czepek.

- Pani Westerman, to nie jest pokaz osobliwości. Nie jestem pewna, czy powinna pani...

Z tyłu coś się poruszyło. To pokojówka, którą na podwórzu uratowali przed pobiciem, wetknęła głowę w drzwi. Włosy miała już ułożone, rana od szpicruty nadal pozostawała widoczna, ale ją opatrzone.

- Ja ich tam zabiorę, pani Dougherty. Pan Wicksteed i lady Thornleigh poszli na przechadzkę do ogrodu lawendowego.

Pani Dougherty splotła dłonie, a potem wzruszyła chudymi ramionami.

- No dobrze, dobrze. - Przechyliła głowę i zapytała nieprzekonywająco swobodnym tonem: - Jak przypuszczam, pani Heathcote nie miała jeszcze sposobności, aby wypróbować mój przepis na potrawkę z królika?

Harriet obdarzyła ją promiennym uśmiechem.

- Mamy cieszyć się nią dziś wieczór. Uznała panią za mistrzynię, gdy tylko przejrzała pani zapiski.

Drobna kobieta triumfalnie zadarła podbródek.

- Istotnie. Najbardziej bezstronni ludzie przyznaliby, że znam się na tym, co robię.

Najwyraźniej tak się z nimi pożegnała. Dali się poprowadzić pokojówce.

- Mam na imię Patience, madame - oznajmiła dziewczyna, zanim ruszyli wysokimi schodami.

- Miło mi cię poznać - odparła Harriet.

Zaprowadziła ich do tylnych schodów i uniósłszy długą spódnicę, zaczęła wchodzić do komnat na górze, gdzie od tak dawna w zamknięciu przebywał lord Thornleigh.

Daniel Clode czuł niepokój. Nocą jechał bardzo szybko, lecz jego wjazd do miasta znacznie opóźniła kolumna ludzi opuszczających Londyn. Goniła go obawa, iż może zjawić się za późno, by zapobiec krzywdzie dzieci. Trakt zapchany był powozami i furgonami pełnymi zdenerwowanych mężczyzn i szlochających kobiet, ściskających tobołki z dobytkiem. Na kolanach trzymały zapłakane marudzące dzieci. Czasem od strony miasta przemykali jacyś konni z pochylonymi głowami, na zdyszanych, spienionych wierzchowcach. O jakich to okropnościach, o jakich nowinach ich panowie musieli dowiedzieć się aż tak szybko? Wszystko to wyglądało tak, jakby mieszczanie uciekali przed zarazą. W ostatnim porządnym zajeździe poza Southwark Daniel zatrzymał się na tyle długo, by zmienić konia i posłuchać nieco o zamieszkach. Zapychał sobie usta czerstwymi białymi bułkami, popijanymi cienkim piwem. Nie mógł się przyzwyczaić do zmielonej kredy w londyńskim chlebie ani do smrodu wody, w której opłukał ręce. Nie rozumiał, jak ludzie potrafią przetrwać w mieście, gdzie nawet rzeczy niezbędne do życia są zdradzieckie. Karczmarz okazał się zbyt zajęty przez swych przerażonych gości, by zdołał mu wiele opowiedzieć. Kilka słów podczas posiłku zamieniła z nim kelnerka, schowawszy się za załom ściany, aby tak ukryć swe próżnowanie przed okiem pracodawcy. Daniel należał do tych mężczyzn, w których towarzystwie dziewczki służebne spędzają dużo czasu i których darzą uśmiechem. Nie żeby kiedykolwiek czynił to świadomie - zazwyczaj tak jak teraz myśli skupiał na całkiem innych sprawach.

- Powiadają, że połowa miasta już stoi w ogniu. - Dziewczyna zawinęła wokół palców wąski kosmyk włosów i przyglądała się ich czarnym końcom, tak jakby potrafiła wyczytać z nich przyszłość. -A druga połowa spali się jak nic.

Daniel przytaknął, otarł usta, sięgnął po kolejną białą bułką leżącą na stole. Głód okazał się silniejszy od odrazy do tego jadła.

- Powiadają - mówiła dalej kelnerka - że nawet Żydzi powywieszali niebieskie transparenty, a na frontach sklepów napisali: „Wszyscy tutaj jesteśmy dobrymi protestantami”. - Zachichotała. - Nawet nie wiedziałam, że potrafią pisać po angielsku. Chyba tylko ciągle rachują, prawda? Kiedy Clode się odezwał, z ust posłał na stół chmurę kredowych okruchów.

- Wielu ludzi umie pisać. Wygięła biodro i uniosła brwi.

- No, ja tego nigdy nie potrzebowałam. Ruch ten odsłonił ją przed karczmarzem.

- Sephy! Są jeszcze inni panowie do obsłużenia! Spojrzała w jego stronę, twarz skrzywiły jej nuda i odraza.

- Już idę! - A potem, ścisząc głos, dodała: - Powinnam być jędzą i skłąć starego capa. Już ja wiem, jakiej on chce obsługi.

Odwróciła się i ruszyła pewnym krokiem, przez ramię promiennie uśmiechając się do Daniela.

Clode wstał i znalazł się za drzwiami, zanim jeszcze rzucone przezeń monety przestały dźwięczeć na ladzie.

Gdy wraz z Patience dotarli nad piętro mieszczące salony i wspinali się dalej, ku rzadziej użytkowanym częściom domu, znowu ze sobą porozmawiali.

- Jak twoja rana?

Pokojówka zatrzymała się na schodku.

- Szczypie, ale się zagoi. Ale dłużej tu nie zostanę. Ten dwór jest zły do szpiku kości. Wyczuwam takie rzeczy.

- Czasem się zastanawiałam, czy to miejsce nie nosi jakiegoś zła w samym sercu - oznajmiła Harriet.

Crowther widział już wiele nikczemności uczynionej przez żywych, oddychających ludzi, o którą winiono różne złowrogie duchy, a nawet samego Boga. Uważał to za wymówkę, uchylanie się od odpowiedzialności. Słabość. Odezwał się ostrym tonem:

- Jeśli o mnie chodzi, pani Westerman, to mój stosunek do takich spraw jest taki sam, jak do ludowych opowieści o tym, że trzeba spać ze świńskim pęcherzem pod poduszką, jeśli chce się urodzić chłopca, albo zostawiać chleb dla wrózek. Wierzę w to, czego można dotknąć i co można zobaczyć. Jeśli zaś tego nie rozumiem, mniemam, iż to wina mej inteligencji, a nie dowód na istnienie sił nadprzyrodzonych. Odpowiadam na pytania naukowe, resztę pozostawiam księżom i mistykom.

Uświadomił sobie, że mówi ze zniecierpliwieniem i pożałował tego.

Kobiety jednak zdawały się zbyt zatopione we własnych myślach, aby to zauważyć czy poczuć się urażone.

- Tutaj jest jakieś zło - mruknęła pokojówka. - Potrafię wręcz go dotknąć w tym domu. Już prawie jesteśmy na miejscu.

Weszli po kolejnych schodach do najwyższego pokoju we dworze.

Crowther zmagał się teraz z ciemnością. Szerokie, otwarte proporcje niższych kondygnacji tu zwężyły się i skurczyły. Kiedy weszli na pusty korytarz ostatniego półpiętra, musiał wręcz zwalczyć chęć, aby się pochylić.

- Lord Thornleigh mieszka w starym pokoju dziecięcym. Szli poprzez cienie, a Crowther poczuł gęsią skórę.

- Czy jest coś, co możesz nam powiedzieć na temat obecnego stanu lorda Thornleigh? - zapytał.

- Nie może mówić. Ledwie się rusza. Większość czasu śpi, ale czasem oczy ma otwarte. Pożywia się strawą, której nie trzeba żuć. Aby mógł ją wypić, podstawi mu się kubek do ust - pokojówka urwała. - Sądzę, że tęskni za opiekunką Bray. Od kiedy umarła, wydaje się mniej spokojny. Żadna z nas nie lubi przebywać z nim zbyt długo.

Dziewczyna sięgnęła do klamki jednych z drzwi barwy tabaki, ale Harriet chwyciła ją za ramię.

- Czy lady Thornleigh go odwiedza?

- Czasem. Czasem pozostaje z nim sama, a czasem nie kłopotuje się tym, aby nas odesłać. Tylko pan Hugh nigdy tu nie przychodzi.

Przycisnęła klamkę.

Po mroku wąskiego korytarza na piętrze Crowther nie był przygotowany na czyste białe ściany izby, do której weszli. Odbijały wpadające przez okno światło poranka i kłuły nim w oczy Gabriela, tak aż musiał zamrużyć. Kiedy wzrok mu już przywykł, zauważył kominek. Jakaś służąca niezgrabnie podniosła się na nogi, odkładając na bok robótkę ręczną. Dopiero wtedy ujrzał zwrócone ku niej krzesło z wysokim oparciem, masywne jak średniowieczny tron. Oparcie otaczał gruby pas skóry. Kolejną rzeczą, jaką zobaczył, był podłokietnik krzesła, podtrzymujący chude ramię w luźnej lnianej koszuli, zakończone dłonią tak białą, że niemal przejrzystą. Jej palce co kilka sekund zaciskały się konwulsyjnie.

Harriet odwróciła się do dziewczyny, która ich tutaj przyprowadziła.

- Dziękujemy ci, Patience.

Crowther usłyszał brzęknięcie monety, służąca odeszła. Druga, stojąca pokojówka zaprotestowała.

- Powiedz im, że została jeszcze tylko godzina! Nie będę tu dłużej siedziała.

Patience zamknęła bez słowa drzwi. Kobieta zmarszczyła czoło. Była niewysoka, przysadzista, czerwona na twarzy, jej dłonie wydawały się zbyt grube do delikatnych robótek ręcznych. Przyglądała się Crowtherowi i Harriet podejrzliwie.

- Co jej się stało? - zapytała, mając na myśl twarz Patience. Harriet spojrzała na nią chłodno

- Jakieś nieporozumienie z Wicksteedem. Przysadzista służąca skrzywiła się.

- A to drań.

- Proszę usiąść - polecił jej Crowther. Posłuchała, wzruszywszy ramionami.

Harriet została przy drzwiach, uczonego okrążył fotel i jego wzrok spoczął na lordzie Thornleigh, earlu Sussex, baronie Pulborough, towarzyszu herbowym, jednym z najbogatszych arystokratów Anglii. Gotów był na ten widok, ale i tak po plecach przeszedł mu dreszcz.

Mężczyzna na krześle miał od sześćdziesięciu pięciu do siedemdziesięciu lat. Ostatnio ogolono mu głowę, czaszkę porastała krótka szczecina. Ciało było chude i wycieńczone jak przejrzysta zasłona wokół szkieletu. Jeśli przy oparciu krzesła nie trzymał lorda gruby skórzany pas, umieszczony pod ramionami, chorego przytłaczał jego własny ciężar. Earla przypięto tak, aby siedział prosto na swoim tronie. Miał na sobie koszulę, a kolana okryte kocem. Przeguby rąk przywiązano do podłokietników. Głowa opadła na bok, z otwartych ust zwisało wąskie pasmo śliny. Oczy miał na wpół zamknięte.

Crowther się uklonił.

- Lordzie Thornleigh, nazywam się Gabriel Crowther. Jestem...

medykiem. Czy wolno mi pana zbadać?

wyciągnął chustkę z kieszeni i otarł choremu usta. Gdy to czynił, oczy lorda Thornleigh łypnęły ku jego twarzy. Puste i martwe, ale tak lodowato błękitne, że Crowther niemal odskoczył. Przypominały mu jego własne.

Chory zaczął cicho zawodzić. Dźwięk ów swym brakiem formy przypominał płacz niemowlęcia, ale starszy, bardziej zwierzęcy. Gabriel pomyślał o wilku, którego za młodu zastrzelił w Niemczech. Nie była to czysta śmierć, a pełen rozpacz, urywany skowyt poruszył nim tak bardzo, że od tamtej pory nigdy więcej nie polował. Przypomniawszy go sobie teraz, gdy patrzył na białą twarz. Zerknął w górę i napotkał spojrzenie Harriet, która wyglądała, jakby zrobiło jej się słabo.

Crowther ujął w palce skórę prawej dłoni lorda i mocno uszczypnął. Ręka drgnęła, a chory znowu zawył.

- Proszę o wybaczenie, mój panie. Chciałem przekonać się, jaką pana członki mają zdolność do odczuwania. - Patrzył, jak uszczypnięta skóra ze starczą powolnością wraca do poprzedniego stanu, krew cofa się i powraca pod cienką, mizerną osłoną. - A teraz, jeśli mi wolno, uwolnię pańskie ręce i przyjrę się panu bliżej.

Pochylił się, aby rozpiąć pasy przy łokciach, ujął między dłonie lekkie jak u ptaka ramię chorego. Ponownie zerknął na jego twarz.

Martwe spojrzenie sprzed kilku chwil zniknęło. Oczy patrzyły teraz przytomnie i ku zdumieniu Crowthera z obawą. Wycie lorda stało się piskliwsze i głośniejsze.

- Obiecuję, że już nie zadam panu bólu, a wszelkie niewygody będą nieznaczne.

Nie miał pojęcia, czy został usłyszany i zrozumiany. Lord Thorn-leigh ciągle na niego patrzył, zakłopotany i nieszczęśliwy. Crowther czuł w dołku narastający chłód.

Służąca znowu wstała.

- Auuu! On jest zły! Może chce swój naszyjnik!

Harriet i Crowther spojrzeli na nią zaskoczeni. Otworzyła pudełko, leżące na gzymsie kominka. Kiedy się odwróciła, trzymała w dłoni medalion na cienkim, srebrzystym łańcuszku.

- Tutaj jest, niech się pan nie boi.

Gabriel poczuł gwałtowne drżenie cienkiego ramienia. Gdy do lorda Thornleigh podeszła pokojówka, trzymając łańcuszek, gotowa opuścić medalion przed twarzą chorego, gwałtownie szarpnął głową z boku na bok. Jego skowyt stawał się coraz piskliwszy i głośniejszy.

- Na litość boską! - Crowther jednym uderzeniem wytrącił kobiecie medalion z dłoni, tak że poleciał przez pokój i potoczył się pod okno. - Nie widzisz, że on tego nie chce?

Wisiołek upadł na podłogę, lord Thornleigh zadrżał, wycie ścieliło do skomlenia. Pokojówka odsunęła się, oburzona, z rękami wspartymi na biodrach.

- No proszę! Jeszcze czegoś takiego nie widziałam! Rozumie go pan, tak? No to może się pan nim zająć. Milady mówi, żebyśmy mu go od czasu do czasu zakładali na szyję, bo mu to robi przyjemność. Podniecił się i tyle. Powiedziała, że to dar od wszystkich jego ukochanych. Przyniosła go w niedzielę, przed kościołem. Myślę, że to miły gest po tym, jak opiekunka się powiesiła.

Harriet przeszła przez pokój i podniosła medalion. Była to mała tania ozdóbka - widziała kiedyś, jak przekupnie sprzedawali podobne za szylinga i uważała tę cenę za wygórowaną. Otworzyła meda-



lion i w środku znalazła lok pływych włosów. Ponownie zatrzasnęła puzderko.

- Te jego ukochane nie były szczególnie szczodre. Pokojówka się wyprostowała.

- Sądzę, że to jakaś pamiątka, madame.

- Niezbyt miła, sądząc po reakcji lorda.

- Bzdura. Był po prostu podekscytowany.

- Czy ekscytował się tak, kiedy opiekowała się nim pani Bray? -Harriet spojrzała na nią uważnie.

Kobieta zmarszczyła brwi.

- Powiem, że opiekunka Bray nie była ekscytującą damą. Crowther delikatnie pociągnął rękaw koszuli lorda Thornleigh.

- Nie pytaliśmy o opiekunkę Bray. Czy można... - przerwał. Pani Westerman zamarła i spojrzała na niego. Odwrócił się gwałtownie.

- Co to jest?

Przesunął się tak, aby Harriet i pokojówka mogły ujrzeć trzymane przezeń drżące przedramię. Pani Westerman zakryła dłonią usta. Na prawie pozbawionej ciała prawej ręce Thornleigha widniał rząd głębokich nacięć. Równoległych, świeżych, błyszczących na tle sinawej skóry.

- A skąd ja mam wiedzieć? - rzuciła pokojówka. - Czasem się zadrapie.

Ręce mu się majtają, kiedy nie jest przywiązany.

- Nonsens. Zrobiono to celowo. Nożem, i tego noża nie trzymał lord Thornleigh.

- Ja tam nic nie wiem. Ja go tylko pilnowałam i szyłam sobie.

- Wyjdź.

Nie trzeba jej było żadnych wyjaśnień, opuściła izbę, zatraskując za sobą drzwi. Harriet podeszła tak, aby Thornleigh mógł ją zobaczyć. Wzdrygnął się, a potem nagle odprężył. Dygnęła, przyjrzała się jego ranom.

- Jest ich siedem.

- Siedem ran. - Anatom nachylił się ku choremu. - Czy rozumie pan, co mówię? Czy może pan raz mrugnąć, jeśli tak? - Spojrzenie

lodowato niebieskich oczu przeczesywało izbę. - Proszę, panie. Proszę tylko spróbować i posłuchać mnie. Niech pan raz mrugnie, jeśli pan może. - Spojrzenie znowu powędrowało, przesuwając się po twarzy Crowthera.

Harriet usłyszała na zewnątrz jakieś kroki.

- Crowther...

- Proszę, niech pan tylko spróbuje. - Przez chwilę lord patrzył prosto w oczy Gabriela. Powieki opadły i uniosły się. Drzwi otworzyły się gwałtownie. W progu stanęła lady Thornleigh. Wyglądała jak feniks, który wdarł się do gołębnika.

- Pani Westerman, co to ma znaczyć? Harriet płynnie ruszyła do przodu.

- Lady Thornleigh! Mam nadzieję, że czuje się pani lepiej... Lady Thornleigh wyciągnęła przed siebie rękę, jakby chciała usunąć ją ze swej drogi.

- Nie igrajcie sobie ze mną! Przyszliście, żeby męczyć mojego męża? Odwróciła się w stronę Crowthera.

- A może ocenia go pan, czy się nada na te pańskie preparaty?

Lord Thornleigh znowu wydał jęk pełen udreki. Lady Thornleigh nie patrzyła na niego.

- Nie martw się, najdroższy. Gdy tylko nadejdzie twój czas, każę cię pochować w trumnie obitej ołowiem.

- A czy to nie pani go męczy i torturuje, lady Thornleigh? - zapytał Crowther jakby od niechcienia.

Wściekłość czyniła ją jeszcze piękniejszą.

- Precz stąd! Precz stąd w tej chwili! Nie mogę się już doczekać, co będą teraz mówić o pani w całym hrabstwie, kiedy ta mała przygoda wyjdzie na jaw. Mam nadzieję, że pani mąż nie jest już zainteresowany karierą w parlamencie.

Harriet skrzyżowała ręce na piersi i się uśmiechnęła.

- Precz, powiedziałam! I to już! - Lady Thornleigh podeszła znowu do fotela i zajęła się sprzączką paska, podtrzymującego ramię

earla. - Jeśli nie wyjdziecie stąd, zanim zapnę pasek - warknęła -każę lokajom wyrzucić was na gościniec.

Harriet i Crowther skłonili się i ruszyli do wyjścia, pozostawiając lady Thornleigh z jej paskami. Lord Thornleigh był żałośnie jak potępiona dusza.

3

ani Westerman i Crowther wspięli się do zagajnika, gdzie umarł Brook. Podeszli do ławeczki, Harriet usiadła, kryjąc w dłoniach twarz. Uczony przysiadł obok i czekał. Nad nimi wydzierały się wrony. Wiatr zaszeleścił w liściach. Ramiona Harriet przestały drżeć, a po kilku chwilach wyciągnęła chusteczkę i głośno wydmuchała nos.

- Dziękuję - powiedziała.

- Nie ma za co, pani Westerman. Doszła już pani do siebie?

- Nie. - Uważnie patrzyła przed siebie, jakby starała się przywołać w myślach obraz własnego domu, by wypędzić z nich tamten drugi. - Co za potworność! Aż mi się w głowie od tego kręci. Jak to możliwe, by jakiś człowiek był w tak złym stanie i żył?

Uczony obrócił laskę w dłoniach. Jej koniec zagłębił się w leżące na ziemi liście.

- Dobrze się nim opiekowano, przynajmniej do niedawna. Aleksander przysłał dobrą opiekunkę. Mało który lekarz zdołałby tak długo utrzymać go przy życiu.

- A jego umysł...? Naprawdę wierzy pan, że można się z nim jakoś porozumieć?

- Ciało nie zawsze odzwierciedla stan umysłu, który się w nim mieści, i nie zawsze go słucha. Myślę, że jest świadom siebie samego i swego stanu. Przynajmniej chwilami.

Harriet zadrżała. Pochyliła do przodu, podpierając podbródek dłonią.

- Jak pan sądzi, jakie znaczenie ma ten medalion? - zapytała. -Od jego wszystkich ukochanych...

- Mówiłem pani o podejrzeniach sędziego co do śmierci tamtej dziewczynki.

- Właśnie. Wyglądał jak błyskotka, którą mogłoby nosić dziewczę w jej wieku. Ubogie dziewczę. Nie potrafię sobie wyobrazić, aby kobiety, z jakimi lord Thornleigh miał do czynienia, nosiły cokolwiek oprócz złota.

- Kto wówczas był sędzią?

- Nie wiem. To było ponad trzydzieści lat temu.

Crowther wyjął laskę z niewielkiego zagłębienia, które wygrzebał jej końcem i zaczął kopać na nowo.

- Bardziej prawdopodobne, że czterdzieści. Ale jeśli rodzina sumiennie przechowywała dokumenty...

- Czy to możliwe, aby tak starożytna historia miała jakiś wpływ na to, co dzieje się obecnie?

Gabriel uniósł brwi.

- Pani Westerman, byłoby uprzejmiej nie nazywać tego: „starożytną historią”, skoro wydarzyła się za mego życia.

Parsknęła niepewnie śmiechem. Uczony, też rozpogodzony, mówił dalej:

- Rozmyślałem o tym, co powiedział Hugh o winach jego rodziny, a także o medalionie i ranach. Zastanawiam się, czy nie jest on trzymany w szachu przez coś, co wydarzyło się w przeszłości. Jeśli nie możemy iść do przodu, cofnijmy się. Może tamta śmierć jest jak żeglarski węzeł. Jeśli go rozwiążemy, reszta rozsypła się sama.

Domostwo wielmożnego Stephena Younga nosiło ślady zaniedbania.

Poprzedni sędzia zmarł dwadzieścia lat temu w podeszłym wieku i z przyczyn naturalnych. Mówiono, że syn i dziedzic trochę zdziwaczał.

Służąca, która ich powitała, nie była przyzwyczajona do gości i zachowywała się tak, jak mógłby zachowywać się biskup w obliczu

gadającego lwa: była zadowolona, choć trochę zbity z tropu. Przybyszy zagoniono do salonu, który okazał się zakurzony i nieprzewietrzony, z meblami niezgrabnymi i odrapanymi. Farba na boazerii łuszczyła się, wyblakła tam, gdzie dosięgało jej światło słońca, a gdzie nie dotarło, panele zrobiły się okopcone i tłuste. Nie czekali długo, gdy drzwi otworzyły się ponownie, wśród jakiegoś zamieszania, i do pokoju wtoczył się mężczyzna mniej więcej w wieku Crowthera. Był nadzwyczaj niewysokiego wzrostu, a zdawał się jeszcze niższy, albowiem chodził ze zwieszoną głową i przygarbionymi ramionami. Pożółkła peruka przechyliła się na bok, surdut był dziwnie ubrudzony w okolicy mankietów. Dało się jednak w owym człowieku dostrzec niewątpliwą energię, a radość z przyjmowania gości niemal go rozpierała. Harriet pomyślała, że przypomina to powitanie rozentuzjasmowanego kreta. Mężczyzna zerknął ku przybyszom, mrużąc oczy ukryte za brudnymi okularami. Radośnie zmarszczył nos, jakby starał się ich rozpoznać nie wzrokiem, a węchem.

- Jakże się cieszę, jakże cieszę! Cóż za wspaniali goście! Mam nadzieję, że wybaczycie mi stan mego domostwa. Nie mam na nie czasu! Ani baczności! To tylko skorupa! Jego sercem jest moja praca, a do niej nie trzeba mi salonu! - Mówiąc, gwałtownie kiwał głową.

- Bardzo pan uprzejmy, że nas pan przyjmuje. Harriet wyciągnęła ku niemu dłoń. Obwąchał ją.

- Jestem zaszczycony! Kiedy usłyszałem, że wielki pan Crowther przybywa do mego domu we własnej osobie, jaką radość poczułem! Tak dobrze jest spotkać kolegę przyrodnika, eksploratora uniwersalnego piękna bożego stworzenia!

Skłonił się Crowtherowi.

- Zapewne, panie, poznał pan moje nazwisko z publikacji o chrząszczach, żyjących w tych stronach. Znalazł mnie pan, aby lepiej zgłębić to zagadnienie?

Mężczyzna nadal gwałtownie kiwał głową. Harriet już domyśliła się, dlaczego ma ciągle przekrzywioną perukę. Pani Westerman

nie mogła oprzeć się sympatii do owego niewielkiego człowieczka, miała też nadzieję, że Crowther potraktuje go dobrze. Nie potrafiłaby znieść widoku swojego kredka miażdżonego stopą niczym jeden z badanych przezeń obiektów. Nie musiała się jednak lękać, albowiem Gabriel był w łaskawym nastroju.

- Przybyłem tu wraz z moją towarzyszką z dwojakich przyczyn. Czułbym się zaszczycony, mogąc usłyszeć więcej na temat pańskiej pracy - pan Young ponownie zmarszczył nos z zadowoleniem - zastanawiam się jednak, czy mógłby pan również pomóc nam w sprawie związanej z historią starożytną.

Harriet przysunęła dłoń do ust, aby ukryć uśmiech, pan Young zamrugał gwałtownie, złożył i rozłączył dłonie, a następnie pokręcił głową na lewo i prawo. Peruka nie poruszała się całkiem zgodnie z owym kręceniem, podążając za nim tak, jakby się potykała, niczym pijany zalotnik przy zwawej tancerce.

Crowther odchrząknął.

- Pański ojciec był sędzią w tych stronach jakieś czterdzieści lat temu i zastanawiałem się, czy trzyma pan u siebie dokumenty odnoszące się do tamtych czasów. Jest bowiem pewna sprawa, o której chętnie dowiedzielibyśmy się czegoś więcej.

- O tak. - Znowu kiwanie głową. - Mój ojciec starannie zbierał zapiski, wszystkie są w jego bibliotece. Czasem chcę je gdzieś wysłać. Ale wszystko, co nie wiąże się z moją pracą... Nigdy nie mam czasu, aby się tym zająć.

Crowther się skłonił.

- Rozumiem to doskonale.

Pan Young jaśniał po odnalezieniu bratniej duszy. Uczony jakby chwilę się nad czymś zastanawiał, a potem zaproponował:

- Może, gdyby tylko pan pozwolił, pani Westerman przejrzałaby te dokumenty, podczas gdy my porozmawialibyśmy trochę o pańskiej pracy.

Przytakiwanie stało się tak intensywne, że Harriet zaczęła się obawiać, iż peruka gdzieś odleci.

- Oczywiście, oczywiście. Każę Hester przynieść pani filiżankę herbaty, moja droga. - Uśmiechnął się do niej, w plamach na jego okularach odbiło się światło. Potem odezwał się do Crowthera konfidencjonalnym szeptem: - Płeć piękna, obawiam się, nie zawsze pojmuję fascynację naukami przyrodniczymi.

Harriet mruknęła coś stosownego i spuściła wzrok.

Dwie godziny później Crowther otworzył drzwi dawnego gabinetu sędziego Younga i znalazł tam Harriet, bez kapelusza i rękawiczek. Kaszłała wśród tumanu kurzu, wzbitego po zbyt chyba energicznym odłożeniu jakiegoś tomu na stolik.

- Łowy się udały, pani Westerman? - odezwał się, uprzejmie odczekawszy chwilę.

- I to bardzo, panie Crowther - odparła, krztusząc się. Gabriel podszedł do biurka, chwycił stosy papierów chybotające się na stojących wokół krzesłach. Spojrzał na Harriet pytająco.

- Tak, może je pan przesunąć. Tutaj mam to, czego mi trzeba. Podniósł jedną ze stert i położył na podłogę, następnie obejrzał siedzenie krzesła. Krzywiąc się, wyjął chusteczkę z kieszeni. Zanim usiadł, spróbował pozbyć się nieco brudu.

- Nie sądzę, Crowther, by zdołał pan tutaj uniknąć kurzu. Jak tam chrząszcze?

- Liczne. Dumam nad arogancją ludzkości, przyjmującej, że to właśnie my jesteśmy stworzeni na Boże podobieństwo. Sądząc po różnorodności oraz przystosowaniu okazów z kolekcji pana Younga, po ich zdolności utrzymywania się w każdym otoczeniu, nie zaskoczyłoby mnie, gdyby okazało się, iż nasz Stwórca jest w rzeczywistości bardzo dużym owadem. - Uśmiechnął się kpiąco. - Może wszyscy powinniśmy nauczyć się ostrożniej szego stąpania.

Harriet uśmiechnęła się, nie unosząc jednak wzroku znad swej lektury.

- Zostanę jednak pomszczony - kontynuował uczone. - Pan Young odwiedzi mnie za jakiś tydzień, aby obejrzeć moje preparaty.

- Nie zazdroszczę pańskiej służbie, która musi utrzymywać te obrzydlistwa w czystości - zauważyła. - Ale czy pan Young jest godzien, aby obejrzeć odkrycia wielkiego pana Crowthera?

Gabriel położył dłonie na główce laski i oparł na nich podbródek. Jeśli zauważył jej sarkazm, postanowił nie zwracać nań uwagi.

- On wcale nie jest pozbawiony inteligencji, jeśli jest zbyt chętny, by dostrzegać Boga we wszystkim, zwłaszcza w chrząszczach, toteż nie sądzę, by poparł moją nową teologię. Służbie zaś nie wolno zbliżać się do preparatów, które są zresztą, na swój sposób, bardzo piękne.

- Nie zgodzimy się ze sobą. Wolę ludzkie ciało w całości, a nie nastrzyknięte żywicą... Do licha, przez to całe pańskie gadanie zgubiłam swój akapit! Nie, tutaj jest! Zjawił się pan w szczęśliwej godzinie.

Crowther wstał i ostrożnie obszedł stosy papierów, by w końcu zerknąć towarzysze przez ramię. Trzymała w dłoni opasy, ręcznie spisany tom, wskazując stosowny ustęp.

- Pan Young miał rację - oznajmiła. - Jego ojciec był sumiennym kronikarzem swych obserwacji, chociaż bardziej niż insekty ciekawili go ludzie. Z tego, co wyczytałam, mniej był zadowolony z poczynionych przez siebie postrzeżeń. Jego zapiski są obfite. Tomy związane z latami trzydziestymi stały za tymi dotyczącymi lat dwudziestych, toteż ja wiem teraz o sprawach mych starszych sąsiadów o wiele więcej, niż powinnam. Ale dość o tym. Znalazłam dziennik sędziego z tego roku, w którym zamordowano Sarah Randle. Był to rok trzydziesty dziewiąty. Napisał o tej śmierci i o śledztwie, przeczytałam jeszcze to. - Uniosła spojrzenie na Crowthera. - To nie sędzia ją znalazł, tylko nasz gospodarz.

Uczony uniósł brwi:

- Obecny lord Stephen Young musiał być wówczas ledwie chłopcem. Harriet przytaknęła.

- Miał biedak tylko dwanaście lat. Był w tym samym wieku co Sarah. Jego ojciec przelał wiele atramentu, spisując swój żal, że tak



właśnie się stało i obawiając się, iż szok źle na niego podziała. Bridges był w grupie, która przyszła później. Jak pan myśli, dlaczego pana okłamał?

- Myślę, że chciał się znaleźć w centrum opowieści. Pochlebia mi, że zapragnął na mnie zrobić wrażenie. Czy jest tam jakiś opis zwłok?

- Owszem, ale to nie ta część tekstu, którą chciałabym panu pokazać.

- Proszę zaspokoić mą zachciankę, pani Westerman. Westchnęła i przewertowała pożółkłe stronic.

- O, tutaj: „Ciało miała całkiem wystygłe, a suknię wilgotną od rosy... jedna rana kłuta...”

- Jedna? Sędzia mówił o wielu, o wściekłym ataku.

- Może kolejny raz coś ubarwił. Jedna rana na piersi, między czwartym a piątym zębem z lewej.

- Serce. Jeśli ostrze było długie i ostre, umarła natychmiast. Palec Harriet przesunął się po stronie.

- Tutaj... „brzuch napęczniały za sprawą dziecka...”, przynajmniej tutaj sędzia był dokładny. Białe zadrapanie na szyi, które nie krwawiło. -

Znowu uniosła ku niemu wzrok. - Jakie to ma znaczenie?

- Może nie mieć żadnego. Ale wygląda na to, że obrażenie powstało już po jej śmierci.

- Coś jej zdjęto z szyi?

- Coś jakby medalion na łańcuszku. Jakiego koloru miała włosy?

- Były ciemne. Sędzia wspomina o ciemnych włosach, zestawionych z zielenią długich traw. Włosy, które widziałam w medalionie, były płowe.

- Czy znamy naturalny kolor włosów lorda Thornleigh?

- Na wszystkich portretach, jakie znam, jest upudrowany, naturalny kolor włosów Hugh jest jasny, Aleksandra też. Może nosiła kosmyk włosów swego kochanka?

- Włosy bogacza w puzderku, które sama kupiła... - westchnął Crowther. - Może właśnie dlatego za mordercę uznano przekupnia.

Pewnie jakiś zacy mieszczanin widział ją, jak kupuje coś od niego. Biedne dziecko. A teraz, pani Westerman, cóż tak bardzo chciała mi pani pokazać?

Uśmiechnęła się i przewróciła kilka stron, aż znalazła swój akapit.

- Tutaj. Niedługo po pogrzebie lord Thornleigh zjawił się u sędziego Younga. Stwierdził, że słyszał, jakoby jego nazwisko łączone było z morderstwem, i życzył sobie, by sędzia jasno wykazał, że nie ma krzty prawdy w owych pogłoskach.

- A cóż na to sędzia? - dopytywał się Crowther.

- Powiedział, że lord Thornleigh, jeśli sobie życzy, może zrobić użytek z prawa obrony przed oszczerstwami. Dodał jeszcze coś takiego: „Mój lord z dzikiego podrostka stał się bardzo niemiłym młodzieńcem. Żał mi jego dzierzawców, żał mi wszystkich, nad którymi ma władzę”. A potem jeszcze: „Powinienem ostrzec Bridgesa, aby nie posuwał się zbyt daleko w swym koloryzowaniu. Nie lubię Thornleigha bardziej niż każdy z jego sąsiadów, ale nie wolno mówić o kimś źle, nie mając na to dowodów i uniknąć potem potępienia, a jak Bridges sam się przekonał, podobnie jak my wszyscy, wpływy Thornleigha sięgają daleko i są groźne.

- Zaczynam lubić sędziego Younga, podobnie jak jego syna. Czy może mi pani pokazać ten dziennik, pani Westerman? Moje oczy nie spisują się dobrze w półmroku.

Podawała mu księgę, trzymając ją otwartą we wskazanym miejscu. Gdy Crowther wziął tom, spomiędzy kart z szelestem wypadła jakaś złożona stronica. Harriet złapała ją jak pies myśliwski, lecz zaraz mina jej zrzędła.

- To list, ale związany z jakimś śledztwem, datowany lata później. Coś o jakimś wypadku.

- Sądzę, że sędzia musiał po kimś odziedziczyć zamiłowanie do katalogowania. Jest pani pewna, że nie ma on nic wspólnego z naszą sprawą?

Rozłożyła więc kartkę i zaczęła czytać. Otworzyła szeroko oczy, odwróciła stronę, szukając podpisu, i znowu westchnęła, niczego nie znajdując.

- Ma pan rację, panie Crowther. Co jest u pana dość irytującym zwyczajem.

Uczony powrócił do swego krzesła, trzymając dziennik starego sędziego, i uprzejmie skłonił się towarzyszcze, nim usiadł. Ostrożnie rozprostowała kartkę.

- Przeczytam to panu. List datowany jest na dwudziestego marca 1748 roku. „Drogi Panie! Piszę z zapytaniem, chociaż lękam się, iż muszę prosić, aby Pańska odpowiedź dotarła sekretnie i nie bezpośrednio. Wiem, iż nie będzie Pan z tego zadowolony. Jednakowoż mam wrażenie, bo żywię wręcz obawę, że to pytanie należy zadać i należy na nie odpowiedzieć. Wierzę, iż się Pan ze mną zgodzi. Usłyszałam o śmierci pewnego dziewczęcia, imieniem Sarah, wiele lat temu. Moje pytanie brzmi: czy dziewczę to nosiło medalionik, puzderko z posrebrzonej cyny, na starym cynowym łańcuszku? Jeśli tak, czy zdjęto go z niej po zamordowaniu? Pytania owe mogą się zdawać Panu dziwne i pozbawione sensu, a jednak mrozą mi one krew w żyłach i ciążyły na mnie przez wiele nieprzespanych nocy. Jeśli odpowie Pan »tak« na oba pytania, wtenczas będę musiała rzec Panu, iż widziałam taki medalionik i to wśród rzeczy człowieka o wielkiej władzy, pozycji, jak również okrutnym usposobieniu. Być może popadam w obłęd i wyobrażam sobie demony, czyhające pod łóżkiem, podczas gdy nie ma tam nic prócz wytworów mych nerwów. Muszę zatem oczekiwać Pańskiej odpowiedzi. Jeśli medalionik, o którym piszę, należał do zmarłego dziewczęcia, to czy mógłby Pan na kilka dni założyć dewizkę, którą załączam do niniejszego listu? Z pewnością przez ów czas będę się z Panem widywać, a jeśli w ten sposób udzieli mi Pan odpowiedzi, napiszę ponownie i podam Panu nazwisko, którego nie ważę się jeszcze teraz przelewać na papier, a także powiem, gdzie można odnaleźć to puzderko”.

Harriet uniosła wzrok. Crowther jak szary cień wśród mroku złożył przed sobą dłonie.

- Tak, rzekłbym, że ma to związek ze sprawą. Nie ma tam nic więcej? Żadnej notatki sędziego?

- Nie tutaj. Gdzie nasi obserwatorzy zapisywaliby swe przemyślenia i poczynania?

Crowther otworzył trzymany na kolanach dziennik na ostatniej stronie.

- Proszę, system nie zawiódł. Notatki są na ostatnich stronicach. Teraz moja kolej, aby coś pani przeczytać, madame; „Włożyłem ten list do mojego dziennika z roku zamordowania Sarah Randle. Wierzę, nadal wierzę, że napisała go lady Thornleigh. Przyglądałem się też tragicznemu małżeństwu i nie mogłem nic pomóc. Tak jak proszono, nosiłem dewizkę od dnia, w którym otrzymałem list, nikt jednak się ze mną już nie skontaktował. Nosiłem ją od dwóch dni, kiedy lady Thornleigh doznała groźnego, śmiertelnego upadku. Wyciągnąłem własne wnioski i uczynienie tego samego pozostawiam przyszłym czytelnikom tych słów. Niechaj Bóg okaże miłosierdzie ich duszom”.

Zamknął tom i znowu ukrył słowa sędziego Younga przed światłem dnia, a potem spojrzął ponad nimi na Harriet wpatrzoną w okno. Za okiennicami widać było niewielkie skrawki zieleni i słońca. Światło letniego popołudnia zacierało kontury jej twarzy dojrzał jednak łzę spływającą po bladym policzku.

rzeprawa przez Londyn zajęła Danielowi Clode'owi znacznie więcej czasu, niż się spodziewał. Pozostawił w końcu wierzchowca w jakimś zacnym miejscu, na skraju miasta, mając nadzieję, że szybciej będzie się poruszał na piechotę. Nadeszło późne popołudnie i nadzieja ta okazała się płonna. Nim jeszcze uświadomił sobie skalę chaosu, który toczył się przez miasto niebieskimi falami, dostrzegł, że może mieć problem z odnalezieniem właściwej drogi. Jego znajomość topografii Londynu okazała się w najlepszym razie

mglista, wkrótce też znalazł się w labiryncie ulic, budynków i dźwięków, który zaskoczył go i zdenerwował. Dwukrotnie już wracał na ten sam plac, mimo że miał pewność, iż zmierza dokładnie na zachód. Przed i za sobą widział rzeczy, o których dotąd tylko czytywał. Londyn okazał się miejscem bardziej groźnym, niż to zapamiętał.

Młodzieniec zaczął się zastanawiać, czy Crowther i pani Westerman postąpili dobrze, wybierając właśnie jego. Dotąd odwiedził stolicę jedynie raz. Wycieczkę odbył jako chłopiec, a urządził mu ją wuj, dzięki uprzejmości jednego ze swych lepszych klientów. Przemierzali ulice w karocy. Mały Daniel przylgnął do okna trzęsącego się wehikułu i wytrzeszczonymi, pełnymi ciekawości oczyma przyglądał się mijanym tłumom ludzi. Dojrzał wówczas mężczyznę, ubranego tak okazale jak w książce z obrazkami. Potrąciła go gromada obszarpanych urwisów, ich pohukiwania i okrzyki rozbrzmiewały echem, kiedy na pożegnanie pomachali ku niemu jego własną chustką do nosa. Widział ciągnięte ulicami zwierzęta, jak unosiły ogony i brudziły pod siebie, a jacyś dżentelmeni na wdzięcznie stąpających koniach, które wyglądały dla Daniela jak jednorożce w przebraniu, od niechcienia, uderzeniami batów, usuwali je z drogi. Ujrzał sprzedawców mleka i makreli, okrzykami zachwalających swe towary, a pod białymi kamiennymi murami grupki mężczyzn stłoczonych nad butelkami i grą w kości. Kiedy ich mijali, wychylił się nieco i jakaś kobieta, która ślady po ospie nie całkiem zdołała osłonić muszkami i trupioblady makijażem, stanęła na palcach, zwrócona ku oknu powozu, po czym kościstą dłonią poklepała chłopca po policzku. Zaśmiała się z jego przerażenia, obnażając przy tym czarne pieńki zębów.

Teraz znowu o niej myślał, rozglądając się dookoła i mocno przyciskając torbę do piersi. W umyśle Daniela stała się uosobieniem Londynu. Odwrócił się, spodziewając zobaczyć ją przed sobą na ulicy, i usłyszał jej szyderczy śmiech. Stał spokojnie, poruszający się tłum opływał go. Wreszcie podniósł rękę i zatrzymał jakiegoś mężczyznę, który przynajmniej wyglądał czysto, choć może niezbyt przyjaźnie. Nikt tutaj nie wyglądał przyjaźnie.

- Gdzie jest Tichfield Street? Nieznajomy spojrzał na niego podejrzliwie.  
- Stąd na północ - burknął, a widząc na twarzy Clode'a kontuzję, dodał: -  
Idź pan tutaj do końca, potem w prawo i prosto przed siebie. To niedaleko  
Golden Square i jeśli dotrzesz pan do pół, to znaczy, że zaszedłeś pan za  
daleko.

Daniel uklonił się. Mężczyzna ruszył przed siebie, ale potem odwrócił się,  
drapiąc po głowie.

- Synu, uważaj, kiedy będziesz szedł. Ci od Gordona są tam bardzo  
zawzięci.

Gdy Daniel ponownie uklonił się z podziękowaniami, mężczyzna  
westchnął i zawrócił.

- I na miłość boską, nie noś tej swojej torby w taki sposób. Obróć ją i  
schowaj pod płaszczem. Kiedy zobaczyłem, że ją tak kurczowo trzymasz,  
mnie samego kusilo, żeby cię obrabować.

Przesunął Danielowi torbę, odsunął się, aby podziwiać swe dzieło, a  
następnie wtopił się w tłum, nim Clode zdołał się odezwać.

- Nie.

- Panienko, to bardzo ważne.

- Nie. Jeśli życzy pan sobie teraz zostawić u mnie wiadomość, to zadbam,  
aby trafiła do dzieci, ale bardziej możliwe, że nie zadbam. Nie może pan  
mieć do nich takiej sprawy, która nie może poczekać.

- Mam, jechałem całą noc, aby się z nimi spotkać.

- To proszę o niej powiedzieć.

- To sprawa poufna.

- A zatem musi poczekać.

Jane miała już zatrzaskać mu drzwi przed nosem, gdy Daniel podniósł  
rękę

- Jestem prawnikiem!

- To bardzo miłe z pana strony. Do widzenia.

Drzwi sklepu zamknęły się z hukiem. Clode odwrócił się i oparł o nie  
plecami. Nie miał pojęcia, jaka siła zaprowadziła go aż tak daleko. Dzień  
przemijał, niemal wyczuwał w powietrzu pierwsze nuty

wieczoru. Nie spał, długa konna jazda wplotła mu w mięśnie ból, który jak czerwona nić naciągał się, kiedy tylko się poruszył. Znowu pomyślał o opiekunce Bray, jej szerokiej twarzy i małych niebieskich oczach, o tym, jak kolejno podawała zapisy w kancelarii wuja, przypomniał sobie własne zdenerwowanie, z jakim dotykał papieru piórem, dbając, aby nie zrobić żadnego kleksa, który wuj mógłby skwitować uniesieniem brwi. Przypomniał sobie, jak wyliczała, co zawiera jej skromny majątek, jej dziwny sposób wyrażania się, dumę, gdy na różowych palcach pokazywała, co pozostawi w spadku: broszę, zaskakująco wysoki zapis dla przyjaciółki. Opadło z niego zmęczenie i powiedział głośno w przestrzeń. - Pani Service. Tichfield Street.

Zaprowadzono go do skromnego salonu, gdzie usiadł na jednym z foteli przy pustym kominku. Pani Service brzęknęła filiżankami do herbaty i postawiła je na trzeszczącym stoliku. Policzki miała gładkie, ale każdy upstrzony był czerwonymi plamkami. Clode chciałby móc jej powiedzieć, że wcale nie musi przeproszać za swój ciemny mały pokoik ani za kuchenną dziewczkę, która przyniosła wrzątek z kuchni, pogwizdując i puszczając oko, a nie dygając. Ubranie pani Service było znoszone i połatane, wszystko w niej jednak i w jej izdebce było schludne i czyste. Clode zastanawiał się, ilu gości tu przyjmuje, jak spędza wieczory przy wygasłym kominku, mając tylko własne towarzystwo.

Kiedy nadeszła pora, aby się odezwać, Daniel postarał się ostrożnie dobierać słowa. Poczekał, póki nie wziął filiżanki, nie posmakował herbaty - słabej, zaparzonej ze zwietrzałych liści - pochwalił ją i dopiero wtedy wspomniął o powodzie swej wizyty.

- Przykro mi, madame, ale obawiam się, że mam dla pani złe wieści. Pani Service odstawiła filiżankę, bardzo ostrożnie i wyprostowała się, gotowa, aby być dzielną. Serce Clode'a się ścisnęło - z każdej zmarszczki na jej twarzy widział, że wdowa wielokrotnie już stawiała czoło złym wieściom. Życzył jej siły.

- Pani stara przyjaciółka, Madeleine Bray, nie żyje. Oczekiwał, iż kobieta teraz się rozpłacze. Zamiast tego uśmiechnęła się z ulgą.

- Skądże! Drogi chłopcze, jest pan w błędzie! Ledwie dziś rano dostałam od niej list. - Nagle przez twarz przemknął jej grymas z wątpienia. - Chociaż sędzę, iż treść jego jest nieco dziwna. Jakby nie była całkiem sobą.

Czekał, na jej twarzy pojawiał się lęk.

- Może to było... Boże. Jest pan pewien? Opiekunka, Madeleine Bray? Clode odstawił filiżankę.

- Tak, z Thornleigh Hall. Przykro mi. Z tego, co mi wiadomo, zmarła w niedzielę po południu. Proszę przyjąć wyrazy współczucia.

Pani Service spuściła wzrok na kolana. Jedną dłonią stukała w drugą, dotykając niemodnych, szarozielonych fałd sukienki. Przez jakiś czas się nie odzywała. Clode zaczął rozumieć, że ulepiono ją z twardszej gliny, niż sobie wyobrażał.

- Czy to była gorączka? - zapytała cicho. - Potrafi zjawić się straszliwie szybko. Może list stanowił pierwszą tego oznakę.

Odchrząknął.

- Przykro mi, ale nie. Obawiam się, że muszę pani przysporzyć jeszcze większych trosk. Odnaleziono ją powieszoną, w starej chatce na terenie posiadłości Thornleighów.

Czekał, nie wiedząc, co może ani co powinien teraz powiedzieć. Czuł na sobie uważne spojrzenie bladych oczu.

- Nie jest całkiem pewne, czy śmierć nastąpiła wskutek samobójstwa, czy też z bardziej podejrzanych przyczyn.

Ton pani Service stał się ostry. Daniel pojął, iż starsza pani jest zła.

- Moja biedna Madeleine. Została zamordowana! Nigdy nie obróciłaby ręki przeciwko sobie!

- Sama przecież pani powiedziała, że w tym liście zdawała się nie być sobą.



- O, to całkiem co innego. - Wstała energicznie, wysunęła górną szufladę niewielkiej komody pod jedynym, lichym oknem izby. Wyjęła z niej jakąś złożoną kartkę i powróciła z nią na swoje miejsce. - Oto ten list. Nie będę pana nudziła zwyczajowymi głupstewkami, jakie kobiety w naszym wieku wypisują do siebie - nagle przerwała i jakby ubyło jej wiele poprzedniej nagłej energii. - Już zaczęłam jej odpisywać, panie Clode. Nie ma potrzeby, abym kończyła ten list. Biedna Madeleine.

Powróciła do trzymanej w dłoniach kartki.

- Oto ten ustęp, którym się zmartwiłam: „Moja droga Beatrice”, to ja, panie Clode. „Zastanawiam się, do jakiego stopnia skromne istoty, takie jak my, powinny mieszać się do spraw swych panów. Dziś wydarzył się tu pewien incydent, wstrząsający, który przysporzył mi mnóstwa trosk, opiszę Ci go później, w jakimś następnym liście”. O, panie Clode, jakże bogowie kpią sobie z nas, gdy czynimy jakieś plany. „Jednak zatrwożył mnie on, jako że sądzę, iż posiadam wiadomości, które mogą przysłużyć się komuś w tym domu, nie znam jednak wszystkich okoliczności tak dobrze, aby wiedzieć, czy winnam o tym mówić, czy też nie. Może powinnam w ogóle o tym nie wspominać, ale na tym domu coś ciąży. Już wcześniej Ci mówiłam, ma droga, że mniemam, iż ów dwór, mimo swych wszystkich wygód, to nieszczęśliwe i ponure miejsce. Stałam się przez to podejrzliwa, ponieważ jednak nie wiem o niczym bardzo złym, co by tyczyło się pana Hugh, zatem może to jemu winnam dać wskazówkę. Jestem pewna, że Tobie wydaje się to nonsensem, ale nawet pisząc owe słowa, widzę Twą mądrą, życzliwą twarz, a to daje mi odpowiedź, jakiej potrzebuję. Widzę, że tego wieczoru będę musiała napisać jeszcze jeden list, ten zatem muszę już kończyć i pozostawić Cię skonfundowaną na dzień czy dwa. Wybacz mi. Serdecznie Cię pozdrawiam, Madeleine”. Pani Service uniosła wzrok na Clode'a, a jego niebieskie oczy spojrzały na nią uważnie.

- Czy zna pan pana Hugh Thornleigha? Sądzę, że jest on paniczem z tego rodu, co dał posadę Madeleine.

- Widziałem go jedynie z daleka, ale obecnie ciąży na nim podejrzenie, że zamordował opiekunkę Bray.

Powoli pokiwała głową.

- Zastanawiam się, jakież to inny list, który chciała napisać, miała na myśli....

- Nie znam niczego, co mogłoby zagoić ranę po stracie przyjaciela - zaczął Daniel, a kąciki jej ust uniosło smutne widmo uśmiechu, tak jakby domyślała się, że jest zbyt młody, aby doznać wielu takich ran - spisałem jednak dla pani Bray jej ostatnią wolę. Pozostawiła pani sumę pięćdziesięciu funtów. Gdybym mógł poznać szczegóły związane z tym, gdzie chciałaby pani, aby złożono pieniądze, mogę zająć się przypilnowaniem, żeby wysłano tam ową sumę.

Wdowa szeroko otworzyła oczy.

- Dobry Boże! Skąd Madeleine miała pięćdziesiąt funtów? Daniel się uśmiechnął.

- No tak, panie Clode, jak sam pan widzi, jestem uboga. Pięćdziesiąt funtów znaczy dla mnie tyle, co dla innych tysiąc. To szlachetnie z jej strony.

Znowu spojrzała na swoje kolana, a potem na młodzieńca, z zaciekawieniem przechylając głowę.

- Widzę więc, że wyznaczyła pana wykonawcą swego testamentu.

Pięćdziesiąt funtów... - Znowu opuściła wzrok ku swym złożonym dłoniom. - Dziękuję ci, kochana. Chociaż wołałabym raczej towarzystwo twych listów niż wszystkie pieniądze świata.

Chwilę milczała, a potem odezwała się do Clode'a:

- Może pan sobie pomyśleć, że to nieładnie z mojej strony pytać, ale czy w jej testamencie znajdowała się jakaś wzmianka o broszce z kameą?

- W rzeczy samej. Prosiła, aby przekazać ją córeczce swego znajomego, Susan Adams. Sądzę, że mieszka na tej samej ulicy.

Pani Service się zdumiała.

- Jakież to niezwykle! Owszem, Susan Adams tu mieszkała, biedne dziecko! Jej ojca zamordowano na tej samej ulicy, ledwie kil-

ka dni temu. Na jakimże świecie żyjemy, panie Clode? A co niezwykle, dałam jej już bliźniaczą broszę. Cieszę się, że obie brosze połączą się teraz znowu w jej rękach. Znajdzie ją pan u państwa Chase, strzeżoną przez przyjaciela jej ojca, pana Gravesa. Mieszkają tuż za rogiem Sutton Street. - Wróciła do okna, napisała kilka słów w kajecie i wyrwała kartkę, a potem wręczyła ją Danielowi. - Pieniądze można dostarczyć pod ten adres - umilkła na chwilę. - Mimo tych pięćdziesięciu funtów, panie Clode, Madeleine miała niewielu przyjaciół i jak sądzę, żaden z nich nie był możliwy. Czyjej morderca zostanie odnaleziony? Czy jest nim Hugh Thornleigh? Daniel spojrzał sobie pod nogi.

- Nie wiem - przyznał. - W sąsiedniej posiadłości mieszka pewna dama, jest tam z nią również pewien dżentelmen, z tego co wiem, przyrodnik o świetnej reputacji. Zaczęli już badać sprawę i próbują odkryć, kogo tak naprawdę należy winić i zaprowadzić przed oblicze sprawiedliwości. Starsza pani z wolna pokiwała głową.

- Dziękuję, że pan mi to powiedział - rzekła. - Teraz mogę już być spokojna. Mam nadzieję, że napisze pan do mnie i da mi znać, co się dzieje, jeśli tylko nie przysporzy to panu zbyt wielkiego kłopotu.

- Oczywiście, pani. - Daniel się uklonił. - Dostanie pani pieniądze w ciągu kilku tygodni.

I Clode wyszedł, pozostawiając panią Service zadumaną nad dziwnymi kolejami jej życia od ubóstwa przez morderstwo do bogactwa.

## 5

Co teraz, Crowther? Harriet przez dłuższą chwilę nic nie mówiła, jej dłoń spoczywała na leżącym przed nią liście. Crowther podniósł głowę, spojrzał na nią poprzez na wpółprzymknięte powieki, niczym kot, wyczuwający zmianę wiatru.

- Nie wiem.

- Czy możemy zmusić sędziego, aby obejrzał Hugh i Wicksteeda, szukając zadrapań, zrobionych przez opiekunkę Bray?

- To nie będzie przekonujący dowód, każdy mógł się zadrapać, każdy może twierdzić, że skóra pod paznokciami opiekunki pochodzi z innego źródła.

- Ale pan w to nie wierzy.

- Oczywiście, że nie. Pani Bray uczyniła krzywdę swemu napastnikowi i on wciąż nosi rany. Przypuszczalnie na przedramieniu.

Zamilkł, a kiedy znowu uniósł wzrok, zobaczył, że Harriet obserwuje go, mrużąc oczy.

- Crowther, nad czym się pan zastanawia?

- Gdzie jest ciało opiekunki Bray?

- W starej chłodni oberży Pod Niedźwiedziem i Koroną, drzwi pilnuje miejscowy konstabl, a Michaels wtedy, gdy odbywa się dochodzenie. Co pan planuje?

- Uzyskać od tej zacnej damy nieco więcej informacji.

- Skąd pan wie, że była zacną damą? - zapytała Harriet.

- Starannie wypełniała swe obowiązki. To taka zawodowa uprzejmość. Zastanawiam się, czy mogłaby pani zrobić pożytek z przyjaciółki, jaka pozostała nam we dworze.

- Ma pan na myśli Patience? Pokojówkę, którą pobił Wickstead?

- Owszem.

Harriet wbiła spojrzenie w sufit gabinetu sędziego Younga, zastanawiała się.

- wydaje się nie całkiem głupia i może chętnie zrobiłaby dobre wrażenie na przyszłym pracodawcy. Zastanawiam się, czy mogłaby nam powiedzieć, jak butelka trafiła z piwniczki w ręce Cartwrighta.

Harriet znowu podniosła anonimowy list, obróciła go między palcami.

- Kiedy już to wszystko skończymy, liczba naszej służby się podwoi.

Crowther pomyślał o inteligentnym spojrzeniu byłej służącej Cartwrighta oraz o złożonej jej obietnicy.

- Podejrzewam, że moja już się podwoiła.

- Bardzo dobrze.

Rozległo się pukanie do drzwi, pojawił się młody pan Young, poszukując ich cieni wśród półmroku i kurzu.

- Dobry Boże! Jakże rzeczy doprowadzają się do takiego nieładu, i to całkiem same z siebie! Pani Westerman, znalazła pani to, czego szukała? Harriet wstała, uśmiechnęła się.

- O tak, znaleźliśmy to. Dziękuję. - Spojrzała na pomarszczoną, jaśniejącą twarz ich gospodarza. - Szukaliśmy jakichkolwiek obserwacji, które pański ojciec mógł poczynić w związku ze śmiercią Sarah Randle.

Twarz pana Younga skrzywiła się ze smutku, zmarkotniała.

- Biedna Sarah. Rok 1739. Nie było tak ciepło jak dziś. Smutne.

- Pański ojciec wspomniał w swych zapiskach...

- Tak. Ja ją znalazłem. Znałem ją, bawiliśmy się razem. - Nagle podniósł wzrok i się uśmiechnął. - Ona też lubiła chrząszcze! - A potem znowu się zasmucił. - Pamiętam, jak przyszedł lord Thornleigh. Krzyczał na mego ojca, paskudny człowiek. - Przechylił głowę na bok. - Chociaż sędzę, że ocalił swego parobka od stryczka. Albo może tylko tak udawał. Nie udało mu się go powiesić. Nazwał to miłosierdziem. Ławnicy są zabawni.

Harriet pochyliła się do przodu.

- Proszę mi wybaczyć, nie całkiem...

Spod krawędzi peruki pana Younga wysunęło się nieco jego własnych siwych włosów, wyglądało to, jakby do peruki przyczepił się puszek ostu.  
- To był jego parobek, zacnego charakteru, przyłapano go jednak na kradzieży w jego londyńskim domu, niedługo po tym, jak się doń sprowadził. Zesłali go na pełne czternaście lat. Tak naprawdę powinni go powiesić.

Crowther rozprostował palce, spojrzął na nie tak, jakby widział je pierwszy raz.

- Panie Young, czy pamięta pan, kiedy to było?

- Dwa miesiące po tym, jak w 1758 roku umarła lady Thorn-leigh. Znałem ją, była bardzo piękna, ale smutna.

Zerknął na twarz Harriet i zaraz trochę się zarumienił, choć jego żywiołowość oraz radość zniknęły, gdy tylko wymieniła nazwisko Sarah Randle, i jeszcze nie zdołał uchwycić ich na nowo i ułożyć sobie na ramionach.

- Nie będziemy już więcej pana trudzić - oznajmiła Harriet - zanim jednak pójdziemy, choć brak mi uczoności, aby w pełni wszystko pojąć, chętnie obejrzałabym nieco chrząszczy. Pan Crowther mówił, że są naprawdę wyjątkowe.

- Chciałaby pani? Och, oczywiście! Niektóre mają ładne kolory. Mam kuzynkę w Londynie, która powiedziała, że chciałaby mieć jedwabną sukienkę w kolorze jej ulubionego chrząszcza. Czy obejrzałaby go pani?

- Bardzo chętnie - odparła Harriet, obchodząc stół i ujmując ramię przyrodnika. - i proszę mi opowiedzieć o swojej kuzynce.

Crowther ruszył za nimi wolnym krokiem.

Kilka godzin później siedzieli już w alkierzu Pod Niedźwiedziem i Koroną. Potężna postać Michaela tkwiła w kącie. Prawie się nie ruszał, gdy opowiadali mu, co się wydarzyło od ich ostatniego spotkania.

Podniósł do ust cynowy kufel i wychylił go, gdy kończyli.

- Znam trochę tę Patience. Chociaż nie cenię jej sobie zbyt ani jej towarzystwa, mogę teraz dostarczyć jej wiadomość. Przez

parę dni może nie móc wyjść z domu - oznajmił. - Miała wolne popołudnie ledwie z tydzień czy dwa temu - burknął cicho. - Ale chyba zdołam coś wymyślić, by sprowadzić ją tutaj dziś wieczorem. Powiadają, że ochmistrzyni skarży się wszystkim, że jest niedoceniana, przez co mniej dba teraz o dyscyplinę, a Wicksteed cały czas tańczy tylko wokół lady.

Harriet i Crowther nie odezwali się słowem.

- Mogę się popytać, czy ktoś pamięta tamtego parobka. Znają państwo jego nazwisko?

- Pan Young nie mógł sobie przypomnieć - odparła Harriet.

- A co do innych spraw, Toller to poczciwy człowiek. Mogę sprowadzić go tutaj na wieczerzę, mogą wtedy państwo spędzić ze świętej pamięci panią Brayjakiś czas, a sędzia o niczym się nie dowie.

- Co się mówi o sędzim? - zapytał Crowther. Michaels pogłaskał się po czarnej brodzie, szarpiąc ją nieco.

- To, że ma zamiar powiesić Hugh i w ten sposób przypochlebić się lady. Głupiec!

Ostatnie słowa wypowiedział z mocą, która starczyła, by Crowther uniósł brwi.

- On i ta lady oraz wszyscy im podobni pewnego dnia się obudzą i zobaczą, że ja i córka Cartwrighta wykupiliśmy ich długi i jesteśmy właścicielami całego jedwabiu, którym się owijają. Nigdy nie pomyślą, że to w ogóle możliwe, dopóki się nie zdarzy.

- Michaels, to brzmi jak rewolucja. - Uczony był rozbawiony. Mężczyzna odwrócił swe wielkie ciało, aby spojrzeć mu w twarz.

- A ja, panie Crowther, nazwałbym to postępem. Postępem. A teraz zwabmy tutaj Tollera. Moja żona uśmiechnie się do niego, a on na co najmniej godzinę zrobi się potulny jak kocię.

Pod drzwiami starej chłodni Crowther zawahał się i odwrócił do Harriet z pytającym spojrzeniem. Napotkała jego wzrok, pokiwała głową. Pchnął drzwi, omiótł ich podmuch chłodnego powietrza. Mógłby nawet być przyjemny, gdyby nie skryte w nim cmentarne nutki.

Gabriel stwierdził z zadowoleniem, że ciało ułożono starannie, a proces rozkładu nie posunął się jeszcze daleko. Postawił świecę, wyjął z kieszeni krzesiwo. Uderzał nim tak długo, póki nie uzyskał płomienia wystarczającego, by knot ożył. Musiał nieco się schylić pod krzywizną muru. Było to dość ciasne miejsce, które dzielić mieli teraz z trzydniowymi zwłokami.

Opiekunka Bray leżała na stole na krzyżakach, pośrodku okrągłego ceglanego budynku. Harriet przypomniał się rzymski Panteon, który odwiedziła z mężem niedługo po ślubie. Kształt tej wiejskiej chłodni skojarzył jej się właśnie z owym gmachem, choć rozmiary były tu inne. Ciągłe słyszała dochodzące z zewnątrz ciche nawoływania leśnych gołębi. Michaels kazał najwyraźniej przynieść tu nieco słomy, a także lodu, żeby schłodzić powietrze. Od czasu do czasu słyszała trzaski, delikatnie odbijające się echem i powolne kapanie wody, walczącej o to, by uwolnić się ze swej stałej formy i znowu stać nieokiełznanym żywiołem. W owym świetle i z tej odległości opiekunka Bray wydawała się uosobieniem spokoju. Nienaturalny bezruch, a także unoszący się w powietrzu zapach przypominały jednak Harriet o niebezpieczeństwach oraz mroku, tak często czających się pod pozorami spokoju.

Świeca zamigotała jakby ożywiona, na ceglach zatańczyły cienie. Niczym potwory spiętrzyły się nad zwłokami. Harriet wyrecytowała:

*Tak, ale umrzeć i odejść w nieznane;*

*Leżeć w ciemności zimnej i gnić z wolna.*

*Póki się w bryłę ziemi nie przemieni*

*To ciało żywe, ciepłe i czujące.*

*A duch tak drogi zatonie w ognistej*

*Rzece lub pójdzie na wieczne mieszkanie*

*Drżeć w niezmiernych lodowych pustyniach;'''*

Crowther zerknął na nią przez ramię.

**William Szekspir, *Dziela*, przeł. M. Słomczyński, Kraków 1982.**



- Jest pani miłośniczką Szekspira, pani Westerman?  
- Uważam go za największego z naszych poetów. A pan nie?  
- Sądzę, że ostatnio modne stało się traktowanie go właśnie w ten sposób.  
Ja sam wolę Pope'a.

- To do pana pasuje.

Nie zwrócił uwagi na te słowa i rozejrzał się wokół. Jego wzrok spoczął na blokach lodu pod okryciem ze słomy.

- Muszę wszakże przyznać, że pani cytat jest na miejscu. Jak to się stało, że pani Bray spoczęła tutaj? Sądziłem, iż zabrano ją do dworu.

- Zabrano - przytaknęła Harriet - ale Michaels powiedział, że po dochodzeniu zaproponował koronerowi to miejsce. Zwolennicy Thornleigha byli zadowoleni, że pozbyli się kłopotu. Hugh został, rzecz jasna, aresztowany i wątpię, by koroner zgodził się, aby cokolwiek mu przekazywano.

Przyglądała się wychudzonym rysom Crowthera, wszystkim zagłębieniom i kantom wymalowanym na nich przez cienie i tańczący płomień świecy. Zauważyła, że uczony myślami jest gdzie indziej.

- Gdybym panią zaatakował, jak by się pani broniła?

- Znam sposób obrony, którego nauczył mnie mąż, taki, by w razie potrzeby dało się powalić większość mężczyzn. Sądzę jednak, iż proszę mnie pan, żebym wyobraziła sobie, jak mogłaby się bronić opiekunka Bray.

- Istotnie.

- Pod paznokciami prawej dłoni ma resztki skóry, jeśli dobrze pamiętam. Załóżmy, że trzymałby mnie pan, zwróconą do siebie twarzą, ściskając za nadgarstki. Zdołałabym uwolnić prawą rękę i przejechać paznokciami po pańskim prawym ramieniu. Wyobrażam sobie, że moja dłoń miałaby wówczas taki oto kształt.

Wykrzywiła palce prawej dłoni, zmieniając ją w ostre szpony.

- Górna część lewego ramienia znalazłaby się pewnie tam, gdzie zdołałabym pana dosięgnąć. Oczywiście, to tylko jedna możliwość. - Harriet wzruszyła ramionami.

- Ale najbardziej prawdopodobna - odparł Crowther. - Nie widzieliśmy nikogo z zadrapaniami na twarzy. Gdyby miała wolne ręce i mogła drapać, jest mało prawdopodobne, by zamiast uciekać, atakowała odślonięte plecy napastnika. Pod paznokciami nie miała żadnych włókien, nie sądzę więc, by powalona na podłogę, przez bryczesy dotarła aż do skóry.

Harriet odpowiedziała ze zmarszczonymi brwiami:

- Zakładamy, że cios, który ją powalił na podłogę, wystarczył, by stłumić jej opór. A potem skrepowano jej ręce.

Crowther podał towarzyszce świecę i wyjął z kieszeni małe puzderko z drewna różanego. Otworzył je, splunął na zawartość. Zerknął, ujrzał zaskoczenie Harriet, kiedy gmerał w otrzymanej masie czubkiem palca. Przechylił pudełko, aby pokazać, co zawiera.

- To wkład do nauki młodych Michaelsów, farba akwarelowa.

Pomalujemy trochę palcem.

Harriet pokiwała głową, zauważyła, że cieszy się, iż spośród różnych farbek uczoney wybrał kolor czarny, a nie szkarłatny.

Podeszli do ciała. Skóra miejscami stawała się już fioletowa. Harriet starannie trzymała nieruchomo świecę. Gdy Crowther uniósł prawą dłoń zmarłej, ciało tchnęło pierwszą wonią rozkładu, ale światło nie zamigotało. Przycisnął zimne, woskowe palce do farbki, a potem, odkładając pudełko, wyciągnął z kieszeni arkusz papieru. Pani Westerman dostrzegła wydrukowaną na nim, nieco zamazaną podobiznę tańczącego niedźwiedzia, który wysuwał łapy ku wielkiemu diademowi. Położył arkusz na piersiach opiekunki. Ujął jej przegub, podtrzymując wnętrze dłoni, tak aby palce ułożyły się w takie same brutalne szpony, jakie Harriet sformowała z własnej dłoni. Następnie przeciągnął nimi po kartce. Powoli przesuwali się po papierze, który szeleścił w zetknięciu z trumienną suknią zwłok. Pozostawiły na nim cztery ślady. Pani Westerman zadrżała. Crowther spojrział na swe dzieło i skłonił się, a potem splunawszy na mankiet, zaczął wycierać pigment z martwych palców.

- Sądzę - rzekł, pochylając się nad swoim dziełem - że ta kartka papieru może sprawić, iż komuś ciężiej będzie twierdzić, że zadrapania na jego ramieniu stanowią dzieło zwierzęcia. Chociaż może powinienem dla porównania przygotować jeszcze kilka.

Przypatrywała mu się wśród tańczącego blasku świecy. Mówił tak beztrząsco, chociaż ścisnął dłoń martwej kobiety.

- Jeśli okaże się to konieczne, czasu mamy dość - oznajmiła. - Dajmy znak Michaelsowi, że Toller może wracać na posterunek i zobaczymy, czy udało mu się sprowadzić Patience ze dworu.

Crowther z powrotem ułożył ramię opiekunki Bray na stole, a potem podmuchawszy na papier, złożył go.

- Co pan sądzi o słowach Michaela? - zapytała Harriet. - O wykupieniu dworu, zanim jego właściciel zorientuje się, co się święci?

Uczony wygładził kartkę.

- Moje dawne ziemie uprawia były sklepikarz, który zbił majątek w Londynie. Ten człowiek w ciągu dwudziestu lat zgromadził tyle pieniędzy, ile moja rodzina przez setki lat.

Harriet powoli pokiwała głową.

- Myśli pan, że i tutaj dojdzie do rewolucji? Crowther się uśmiechnął.

- Wątpię. Każdy Anglik czuje jeszcze w nosie swąd wojny domowej. Tej z czterdziestego piątego.

Przypomniał sobie panikę, jaka ogarnęła Londyn jego dzieciennych lat na wieść o tym, że księżę Charlie mknie przez kraj niczym kometa, a jego szlak znaczą rzezie i represje.

- Nie, ja się tylko drażniłem z Michaelsem, kiedy używałem słowa rewolucja. Żyjemy teraz w epoce, gdy człowiek może, w rzeczy samej musi, dojść do czegoś dzięki własnym talentom. A to przecież wyjdzie wszystkim na dobre.

Przytrzymał jej otwarte drzwi, a gdy zatrzymała się, zaskoczona nagłą jasnością dnia, zdmuchnął świecę.

Gdy Graves zbliżał się do drzwi wychodzących na ulicę, jego pewność siebie bardzo podupadła. Powiedziano mu, że jakiś dżentelmen pragnie widzieć się z nim w poufnej sprawie i woli poczekać na ulicy. Spodziewał się szyderczego uśmiechu Molloya, chciwego i rozzuchwalonego.

Spotkała go niespodzianka, gdyż zobaczył, że zbliża się doń mężczyzna w jego wieku, może nieco starszy. Miał gładką skórę, niebieskie oczy i chociaż zdawał się zmęczony, to jak pomyślał Graves, wyglądał zdrowiej niż jakikolwiek mieszkaniec Londynu. Tylko cień zarostu na podbródku sugerował, że sprawę ma pilną, podobnie jak rozglądanie się po ulicy, gdy się zbliżał.

- Czy pan Graves? Owen przytaknął.

- Nazywam się Daniel Clode, jestem prawnikiem z Sussex. - Graves starał się patrzeć spokojnie, wiedząc, że przybysz go obserwuje. - Z okolic Thornleigh Hall.

Stało się. Graves był wstrząśnięty. Obejrzał się za siebie, aby sprawdzić, czy drzwi do domu Chase'a są zamknięte, i z ulgą stwierdził, że są. Młody prawnik dostrzegł to.

- Czy istnieje jakieś miejsce, gdzie moglibyśmy rozmawiać w tajemnicy?

- zapytał. - Czy dobrze mnie poinformowano, że to właśnie pan został wyznaczony opiekunem dwojga dzieci pana Aleksandra Adamsa?

Spodziewałem się kogoś nieco starszego.

Graves się wyprostował. Młody człowiek stojący przed nim nie mógłby już chyba bardziej różnić się od łotra o żółtym obliczu, który zabił mu przyjaciela - gdy jednak diabłu nie uda się pokonać nas ogniem i zarazą, przyjmuje wszak postać znacznie miłszą. Owen próbował teraz zdecydować, jak bardzo darzyć może nieznanego zaufaniem.

- Jestem nim. Aleksander był moim najlepszym przyjacielem. Uważnie przyjrzał się Clode'owi. Mężczyzna wydawał się znużony i szczerze zatroskany. Choć Owen sam skłonny był zaryzyko-

wać, nie mógł kogoś obcego - nim nie dowiedział się czegoś więcej -wprowadzać do domu, gdzie w salonie u stóp panny Chase czekały dzieci.

- Za rogiem jest szynk. Obskurny, ale tam każdy pilnuje własnych spraw, a ja nie lubię na długo pozostawiać dzieci. Czy to wystarczy?

Clode skinął głową i czekał. Graves ruszył ku drzwiom i odbył tam cichą rozmowę ze służącym. Gdy powrócił do Daniela, ten zatrzymał się nagle spojrzawszy mu w oczy.

- Czy dzieci są dobrze strzeżone?

Ton jego głosu sprawił, iż Graves poczuł chłód w żołądku. Przełknął ślinę, rozejrzał się po ulicy. Nagle zaczęło mu się wydawać, że pełna jest demonów i wiem z ksiązek z bajkami, jakie miała Susan.

- W domu są pan Chase i jego rodzina.

Clode przeciągnął dłoń po twarzy, przemknęła po nim kolejna fala znużenia. Potarł grzbiet nosa.

- Dobrze. Chodźmy, postawię panu szklaneczkę i wyjaśnię wszystko.

Graves, patrząc, jak Clode opiera się o brudną ścianę piwniczki z dżinem, słuchając go, jak mówi, zaczynał pojmować, jak znużony był ten człowiek. W półmroku jego twarz zdawała się całkiem pusta, kości policzkowe nienaturalnie wystające. Nie zdziwił się, gdy usłyszał, że spędził w siodle całą noc, a w skwarze dnia torował sobie drogę przez Londyn.

- Tak daleko, w Sussex, niewiele słyszeliśmy o niepokojach -wyjaśniał Daniel - nie miałem więc pojęcia...

- ...że Londyn tak szybko można powalić na kolana. - Graves wychylił trunek z kieliszka, poczuł, jak pali mu gardło. Syknął, wypuszczając przez zęby zgęstniałe powietrze. Rozmawiali cicho, nachylając się ku sobie w jednym z tych ciemnych zakątków, jakie da się znaleźć tylko w szynku. W izbie siedziały niewielkie grupki mężczyzn w zakurzonych kurtkach, wśród tytoniowego dymu.

Nieopodal drzwi jakaś kobieta w średnim wieku przykucnęła pod ścianą. Nuciała pod nosem jakąś żołnierską balladę, nie zwracając uwagi na resztę pijących. - W ciągu ostatniego tygodnia świat wywrócił się do góry nogami. Prośmy Boga, aby znowu ustawił się prosto, zanim wszyscy stracimy grunt pod nogami. Niech mi pan powie coś więcej o Thornleigh Hall.

Clode uniósł szklankę i otworzył usta. Żar dżinu wywołał u niego kaszel, sprawił, że oczy zaszczyły łzami. Poczuł, że trunek ponownie poskładał mu kości do kupy, dając doraźną ulgę.

- Powiedziałem już panu o naszych podejrzeniach co do prawdziwych nazwisk i pozycji dzieci.

Graves pokiwał głową.

- Ma pan rację. Mam na to dowód, jak również na ich legalne pochodzenie.

- Dzięki Bogu. - Clode nieco ciężiej opadł na krzesło w swoim kącie. - To uprości sprawę, kiedy niebezpieczeństwo minie, ale... - nachylił się do przodu i położył dłoń na rękawie towarzysza - niebezpieczeństwo nadal istnieje. Nie wiemy, czy ktokolwiek poza zabójcą Aleksandra wie o dzieciach, a ulga, iż ten łotr znalazł się już w więzieniu, jest tak wielka, że ledwie mogę ustać. Pani Westerman i Crowther sądzą, że ten, kto dokonał zabójstwa ich ojca, w Hartswood trzykrotnie zamordował własnymi rękoma. Niebezpieczeństwo jest rzeczywiste. Ktoś inny może przyjechać tak jak ja i podjąć te same poszukiwania.

Graves przytrzymał dłoń swego nowego przyjaciela, tam gdzie chwyciła go za połą, i spróbował odezwać się z większym przekonaniem niż to, które w istocie czuł.

- Możemy ich strzec. Uczyńmy tak, ale wpierw muszę pana zabrać do domu pana Chase'a. Trzeba panu odpoczynku, ja zaś muszę znaleźć jakiś sposób, aby opowiedzieć dzieciom to, co pan opowiedział mnie. Zdaje się, że Susan miała rację, snując najgorsze podejrzenia.

Daniel uśmiechnął się ponuro. Przyglądał się plamom na swej brudnej szklance.

- Widać, że to sprytna dziewczynka.

- I dobra, tak jak jej brat. Aleksander dobrze ich wychował.

W tej właśnie chwili gwałtownie otworzyły się tylne drzwi szynku, wpadł przez nie kuchcik pana Chase'a.

- Panie Graves! Szybko! Płonie skład mego pana nad rzeką, on idzie go ratować. A pan musi pilnować dzieci.

Graves zaklął pod nosem, rzucając kilka pensów za trunek i wypadł na ulicę, ciągnąc za sobą Clode'a.

W całym domu panowało zamieszanie. Graves dosłownie wepchnął Clode'a do gabinetu pana Chase'a i polecił mu tam zostać. Po konnej jeździe, całym dniu na mieście oraz po dzinie Daniel zdołał tylko wymamrotać kilka słów protestu, a potem ułożył się na sofie i przykrył płaszczem.

Na korytarzu państwo Chase spierali się z córką, pod drzwi z turkotem podjechał powóz. Wokół niego zgromadzili się służący, na twarzy każdego z nich widać było udrękę troski i pośpiechu.

- Chodźże, Verity! Musisz jechać z nami! Nie wolno mi tu ciebie zostawić!

Panna Chase zdawała się jedynym spokojnym aktorem owej sztuki.

Luźno splotła ręce przed sobą.

- A ja nie mogę zostawić dzieci, tato, one zaś nie mogą, wręcz nie wolno im stąd iść, obawiam się więc, że musicie mnie tu zostawić.

- A jeśli motłochowi przyjdzie do głowy zjawić się tutaj?

- Pozostawiacie mnie pod opieką pana Gravesa i jego przyjaciela.

Najwyraźniej zauważyła przybycie Clode'a. Graves miał nadzieję, że pan Chase nie wyczuje dzinu w jego oddechu. Pani Chase mruczała coś pod nosem. Owen dosłyszał słowo „reputacja” i poczuł, jak w środku się kurczy.

Panna Chase odpowiedziała z uśmiechem, zwyczajnym, jasnym głosem:

- Wcielę się w rolę opiekunki Susan, zaś ona w rolę mej przyzwoitki.

Rodzice dziewczyny wymienili się spojrzeniami. Pan Chase wzruszył ramionami, rzucił Gravesowi spojrzenie, które miało w sobie więcej treści niż długa przemowa innego człowieka. Pocałował córkę w policzek i wyciągnął żonę z domu. Drzwi za nimi trzasnęły, zamknięto je na zasuwę. Owen podszedł do panny Chase.

- Dlaczego ugodzono akurat w pani ojca? Przecież nie jest katolikiem? Ujęła jego ramię i zaprowadziła do salonu.

- Jednak jego sąsiad w dokach jest katolikiem i być może tego wieczoru to wystarczyło.

Zza drzwi salonu wyłoniła się zaciekawiona buzia Susan. Dziewczynka westchnęła z ulgą, widząc nadchodzących pannę Chase oraz Gravesa.

Podeszła do nich, wtuliła twarz w kurtkę Owena. Objął ją ramieniem, pochylił się, aby pocałować w czubek głowy. Uniosła ku niemu wzrok.

- Gdzie pan był? A pana płaszcz? Pachnie obrzydliwie! Kim jest ten drugi człowiek? Czy to przyjaciel?

Uśmiechnął się do niej.

- Tak, to przyjaciel. Ale jest zmęczony. Odesłałem go, żeby wypoczął. - Zawahał się. - Susan, ten pan przywiózł ze sobą wieści. Czy Jonathan...?

Młoda twarzyczka przybrała poważny wyraz.

- Śpi jak dziecko na kobiercu przy kominku. Może nam pan wszystko powiedzieć, nie straszając go. Bo właśnie o to panu chodzi, prawda?

Przytaknął.

- Właśnie tak, młoda damo. Tak.

Ruszyli do jasnego salonu, a gdy zamknęły się za nimi drzwi, wydawało się, że odcięły też furie i zgiełk tłumu.

Graves był wobec dziewczynki szczery, ona zaś słuchała z uwagą, trzymając pannę Chase za rękę i przyglądając się sylwetce śpiącego brata, zwiniętego na podłodze, okrytego szalem panny Chase. Gdy skończył, przez chwilę milczała, a potem nie spoglądając na niego, zapytała:



- Jak nazywał się ten człowiek w lesie, ten z pierścieniem papy? Czy może Carter?

Graves zmarszczył brwi.

- Chyba tak, Susan. Carter Brook. Ale skąd to wiesz? Czy go kiedykolwiek spotkałaś?

Pokręciła głową, a jasne loki wokół jej uszu zakołysały się niczym spławiki na wodzie.

- Nie, ale Jonathan go spotkał. Kiedy się bawił, ten mężczyzna pokazał mu jakiś obrazek, herb z pierścienia papy, a Jonathan opowiedział mu o pierścieniu i jak sądzę, także gdzie on jest. Jonathan go polubił.

Powiedział, że to był miły pan, że miał ładną kamizelkę. A jak on kogoś polubi, może paplać bez przerwy. - Przełknęła ślinę. - Gdyby tego nie powiedział, może papa ciągle by żył, prawda? Papa i ci inni ludzie.

Panna Chase nachyliła się ku niej.

- Nie możemy tego wiedzieć, kochanie. Dziewczynka była bardzo cicha i smutna.

- Nie, ale myślę, że tak by mogło być.

Patrzyła na Gravesa, a jego spojrzenie powędrowało po jej wciąż jeszcze kształtujących się rysach i nagle poczuł ogromną czułość.

- Panie Graves, obyśmy mu tego nigdy nie powiedzieli. Nie byłoby dobrze, gdyby się dowiedział.

Owen zdołał jedynie skinąć głową i cała trójka popatrzyła tam, gdzie wielmożny Jonathan Thornleigh, wicehrabia Hardew, spał, śniąc o koniach, z paluszkami zaciśniętymi na frędzlach kobierca.

## 7

Patience czekała na nich w jednym z prywatnych pokojów na piętrze gospody Pod Niedźwiedziem i Koroną, przeznaczonych dla gości potrzebujących noclegu albo tych, co pragnęli odświeżyć

się w zaciszu, powodowani subtelnością czy też pragnieniem bezpieczeństwa. Wstała, gdy weszli Crowther i Harriet. Pospiesznie dygnęła. Pani Westerman zastanawiała się, czy zdoła przyjąć ją na służbę. Dziewczynę cechowała swoista hardość wyglądu i zachowania, co sprawiało, że jej nie dowierzała. Obawiała się, że Caveley wydane zostanie na jej łaskę. Postąpiła jednak krok naprzód, po czym ze zwykłą dla siebie otwartością ujęła dziewczynę za rękę.

- Patience, znowu się spotykamy. Dziękuję ci, że z nami rozmawiasz. Służąca uśmiechnęła się sztywno. Harriet usadowiła się na jednym z niedopasowanych krzeseł Michaela, a Crowther nieopodal gzymsu kominka.

- Chcieliśmy zapytać o wydarzenia z minionej soboty - zaczęła żona komandora.

- Właśnie - odezwał się oberżysta.

- Pamiętasz, co wydarzyło się, kiedy pan Thornleigh i Wickste-ed wrócili z dochodzenia, związanego ze śmiercią tamtego obcego, w lesie? Patience wzruszyła ramionami.

- Niezbyt. Pan Wicksteed jadł obiad sam. Lady Thornleigh czekała z posiłkiem, aż mój pan powróci do domu. Kiedy jednak już przybył, oznajmił, że nie jest głodny, i poszedł do siebie, aby pić i grać w bilard. - Dziewczyna uśmiechnęła się. - Lady Thornleigh była zła.

Harriet przechyliła głowę na bok.

- A zatem Hugh spędził noc samotnie, grając w bilard i pijąc?

- Tak, choć także trochę mnie uczył - wyjaśniła pokojówka. - Czasem mnie uczy, kiedy mu usługuję.

- A uczył cię też w sobotę?

- Owszem. Powiedział, że zrobi ze mnie gracza. Wówczas także trochę ćwiczyliśmy.

Znowu na jej wargach zjawił się uśmiech tak zmysłowy, że Harriet zlekła się, że się rumieni. Czuła na sobie kocie oczy dziewczyny czekającej na jej reakcję.

Crowther przesunął się pod ścianą. Patience zamrugła, odwróciła głowę w jego stronę.

- Spędziłaś więc z panem Thornleighem większość wieczoru? - zapytał. Uniosła podbródek.

- O, miewam też inne obowiązki. Na przykład przynoszenie panu Wicksteedowi jego tacy. Pewnie chcielibyście państwo wiedzieć, co też pan Wicksteed wziął sobie do wieszery?

- Czyżby?

- Z pewnością. Kiedy to, co pozostawił, niosłam z powrotem do kuchni, kazał przynieść mi butelkę okowity - przerwała, aby wyciągnąć jakąś nitkę ze swej szarej spódnicy, radując się uwagą, z jakim jej słuchano - chociaż Bóg jeden wie, co z nią potem zrobił, bo nigdy już więcej nie widziałam tej flaszki. Rankiem pani Dougherty chodziła jak na szpilkach, bo zauważyła brak jednej butelki, ale Wicksteed dał mi szylinga, aby nie wpisywać tego do ksiąg. - Poklepała się po udzie, wskazując, jak przypuszczał Crowther, miejsce, gdzie chowała sakiewkę. - Potem pan Hugh powiedział, że to on wziął butelkę dla starego Cartwrighta i to ją znowuż uciszyło. Starsza pani najwyraźniej pomyliła się w rachunkach. Nie byłabym zdziwiona, gdyby zgromadziła też własny zapasik, a ostatnimi czasy dość często sobie popija.

Harriet wstrzymała oddech, pochyliła się do przodu.

- Patience, zastanów się nad tym, co nam właśnie powiedziałaś. Pan Hugh całą noc pił i grał w bilard, Wicksteed miał w swym pokoju butelkę, która jakoby zniknęła. Cartwright został otruty tym napitkiem. Musisz powiedzieć sędziemu to samo co nam. Jeśli tylko chcesz ocalić pana Hugh od stryczka!

Dziewczyna słuchała jej z wielką uwagą.

- Pan Hugh musi zadbać sam o siebie. Ja mam własne troski i nie mam ochoty na rozmowę z sędzią. Zresztą już państwu o tym powiedziałam. - Przesunęła dłoń po brzuchu. - Opuściłam Thornleighów. Wybieram się do Londynu. Właśnie dlatego tu jestem. Chłopak od Michaela spotkał mnie na gościńcu wiodącym z dworu.

Twarz służącej nieco się zarumieniła, a oczy rozbłysły. Słowo „Londyn” zdawało się działać na nią jak pokrzepienie. Crowther spojrzał na służącą nieco zmieszany.

- Byłaś wystarczająco bystra, aby zeszłej nocy uważać na Hugh, zamykając go z daleka od broni.

Pokiwała głową, a jej wymowna dłoń przesunęła się na udo i poklepała je.

- Dzisiaj moje widoki bardzo się polepszyły. Zajmę się robieniem interesów. Mój kuzyn i ja postanowiliśmy otworzyć niewielki sklepik, mam nadzieję, że wszystko wyjdzie nam całkiem zgrabnie. Ale teraz już musicie państwo pozwolić mi odejść. Jadę do Pulborough, aby zdążyć na wieczorny dyliżans. George będzie chciał od razu wyjeżdżać.

Na dole rozległ się jakiś stukot i krzyki. Crowther wyjrzał przez okno. Jakiś farmerski chłopak stojący przy swoim wozie wiercił się, zerkał w górę, ku nim - tak jak zapowiadała dziewczyna. Patience schyliła się, aby podnieść płaszcz, dopiero wtedy Crowther zauważył schludny tobolek pod jej krzesłem.

- Uważaj na siebie - powiedział, patrząc, jak służąca zabiera małe zawiniątko, wbrew sobie samemu rozeźlony beztroską i zadowoleniem z siebie, widocznym w jej ruchach.

- Słyszeliśmy, że służącym lorda Thornleigh nie zawsze dobrze się wiodło w Londynie.

wstała i narzuciła płaszcz na ramiona.

- Chodzi o Shapina? - zapytała. - Tego człowieka, którego zesłano wiele lat temu?

Harriet pokiwała głową.

- To był mój wuj. Zginął, walcząc w Bostonie po stronie rebeliantów. Matka zawsze mówiła, że tak naprawdę był prostakiem, zdumiało ją, że okazał się złodziejem. Nie sądziła, iż ma wystarczający ku temu spryt. Zabrała tobolek, trzymała go nad nieznacznie zaokrąglonym brzuchem.

- Mnie tam nie brak sprytu. Ale może pewnego dnia też wybiorę się do Ameryki. Stamtąd powyrzucali wszystkich królów i lor-

dów. W Londynie znajdziecie mnie państwo, pytając w herbaciarni Caleba Jacksona w Southwark.

- Patience, jeszcze jedno. - Anatom sięgnął do kieszeni i wyjął mały skrawek haftu, jaki znalazł na kolcach w zagajniku. - Poznajesz to? Zerknęła.

- Owszem. Pan Hugh nosił kamizelkę z takiego materiału. Uszyłają pani Mortimer. Zimą dał jej jednak Wicksteadowi. Miałam mu ją przerobić. Pan Hugh jest szerszy w barkach.

Uśmiechnęła się do nich ponownie i nie czekając na odpowiedź, przekroczyła próg. Odeszła, pozostawiając panią Westerman oraz Crowthera w osłupieniu.

- Dobry Boże - odezwała się Harriet po kilku chwilach. Potem usłyszeli śmiech dobiegający z zewnątrz i wóz z trzaskiem potoczył się po gościńcu. Patience odjechała. Zona komandora wyobraziła ją sobie, jak trzyma się trzęsących boków wozu, z pełnym zadowolenia uśmiechem i szeroko otwartymi oczyma, niczym dziecko, co dopiero oblizało wargi z kremu. Crowther przyglądał się czubkom palców.

- Co pani o tym sądzi? To chyba czwarty miesiąc? Harriet przytaknęła.

- Dziecko Hugh.

- Wygląda na to, że on tak sądzi. Zresztą jest to prawdopodobne. -

Crowtherowi nagle przyszło coś do głowy. - Jest pani wstrząśnięta?

Zastanowiła się.

- Być może tak, a to bardzo kłopotliwe odkryć u siebie pruderię.

- To nie pani pruderia, ale fakt, że nie przepada pani za tą dziewczyną, sprawił, iż jest pani wstrząśnięta. Chodźmy, wracajmy do Caveley. Pani siostra pomyśli, że zaginęliśmy na amen, a my musimy postanowić, czy wiemy już wystarczająco dużo, by tak nastraszyć sędziego, żeby wrócił do obozu Hugh.

- Nie jestem pewna, czy tego dokonamy, dopóki nie wyjaśnimy motywów Wicksteeda i tego, czym on utrzymuje Hugh w szachu.

Patience miała rację, musimy jeszcze walczyć z przekonaniem Hugh, że z jakiegoś powodu powinno się go powiesić. Dopóki tego nie uzyskamy, niczego nie osiągniemy.

Rachel oczekiwała ich powrotu z wielkim niepokojem. Była blada, a zanim zamknęły się za nimi drzwi salonu, wręczyła Harriet jakiś list.

- Ja też taki dostałam. Doręczono je zaraz po waszym wyjściu. Panie Crowther, jestem pewna, że taki sam czeka na pana w pańskim domu. Zdawało się, że się zaraz rozplacze, uczony ujął ją więc za łokieć i poprowadził tam, gdzie mogła usiąść. Harriet otworzyła list i przeczytała go. Na policzkach wykwitły jej mocne rumieńce. Spojrzała na siostrę.

- Sajeszcie jakieś inne?

- Taki sam dostała również pani Heathcote i przyniosła prosto do mnie, kiedy czytałam swój. Powiedziała, że jej zdaniem powinniśmy je spalić, a ona pójdzie za nami nawet na kraj świata. - Rachel uśmiechnęła się słabo.

- Jeszcze nigdy nie widziałam jej tak wzburzonej.

- A więc dobrze.

Harriet podała kartkę Crowtherowi. Widniało na niej starannie spisanych, gramatycznie bez zarzutu, dwadzieścia linijek czystej nienawiści. Pani Westerman wedle nich była cudzołożnicą i wiedźmą, Gabriel nikczemnym poganinem, co wycina ludziom dusze i pożera ich ciała.

Mieli odejść, zanim cała okolica nie dowie się tego, co wie już autor listu, a ich domy zostaną spalone. List kończył się słowami: „Nie pozwolisz żyć czarownicy”. Crowther nie zdziwił się wcale, że brakowało podpisu.

- Zgadza się z panią Heathcote - oznajmił, rzucając kartkę na stolik.

Rachel patrzyła na nią nerwowo, jakby list mógł ożyć, skoczyć i ją ukąsić.

- Powinno się je spalić. Czy rozpoznaje pani charakter pisma?

Harriet usiadła, z wystudiowaną beztroską rzuciła rękawiczki na kartkę.

- Tak. Sądzę, że napisała to ochmistryni z Thornleigh. Zapewne rozmawiał z nią sędzia albo Wicksteed. Wiem, że potrzeba niewiele, aby się wściekła, nawet gdy wszystko dobrze się układa.

Umilkła i złożyła ręce na kolanach

- Cieszę się, że je dostaliśmy.

- Harriet!

- Nie, Rachel. Cieszę się. Sądziłam, że motamy się, odkrywamy wiele nieprzyjemnych rzeczy, ale nie zbliżamy się do prawdy. To zaś... - wskazała list - pokazuje, że utrafiliśmy w sedno.

Rachel się nie uspokoiła.

- Czyżby? A może to znaczy, że ludzie zaczynają nas uważać za kłopotliwych sąsiadów?

Harriet zrobiło się nieswojo.

- Michaels jest po naszej stronie. Większość wioski za nim pójdzie.

Panna Trench westchnęła i wstała. Podeszła do kominka, wpatrując się w puste palenisko.

- A większość miejscowej szlachty pójdzie za sędzią. Harriet, my też byśmy za nim poszły jeszcze tydzień temu. Gdyby on źle o kimś się wyraził, uznałybyśmy to za wskazówkę.

Teraz Harriet nie wiedziała już, co ma powiedzieć. Rachel podeszła od kominka i wyjrzała przez okno, gdzie ostatni blask słonecznego dnia pozwalał jej coś ujrzeć.

- Mam tylko nadzieję, że pan Clode dotarł do Londynu. Jeżeli umieścimy dzieci poza zasięgiem tego, co je ściga, chętnie zniosę nienawistne spojrzenia sąsiadów.

Crowther odchrząknął.

- Panno Trench, sądzą, że siostra pani ma rację. Zbliżamy się do celu, a co do listów i naszych sąsiadów, obawiam się, iż jedyna droga wiedzie przez sam środek. Musimy strachem wydobyć prawdę z dworu, dowiedzieć się, dlaczego lord naznaczony jest siedmioma ranami, i komu tak naprawdę przypisać morderstwa w naszym otoczeniu.

## 8

Clode wstał, przetarł oczy. W blasku ostatniego ogarka świecy ujrzał zegar pana Chase'a. Zbliżała się północ. Czuł jeszcze oszołomienie towarzyszące przebudzeniu; strzępy snów i wydarzeń z ostatnich dni mieszały się i rozdzielały ciemności. Powoli wszystko sobie przypomniał. Dotarł do dzieci, porozmawiał z ich młodym opiekunem i polubił go. Oparł się na łokciu, przesunął dłonią po szczęce, wyczuł tam szorstkość, a w ustach smak przetrawionego dżinu. Kiedy się podźwignął, jego ramię zaprotestowało. Spał na sofie pana Chase'a twardo i bez ruchu. Spoglądając ponad ramieniem, dostrzegł, że pogasły już ostatnie światła, jednak w domu nie panował spokój. Przypomniał sobie, co go obudziło - jakiś rumor w pobliżu drzwi.

Graves i panna Chase wymienili spojrzenia i wstali. Dobijanie się do drzwi stało się zbyt natarczywe, aby dało się je zlekceważyć, wyszedł na korytarz. Wystraszona dziewczka kuchenna drżała obok donicy z fiołkami, ustawionej w przedpokoju. Uderzenia były tak mocne, że wokół kwiatów aż zmarszczyła się woda, przez co zdawały się trząść, jakby współodczuwając strach dziewczyny. Służąca dostrzegła ich, odwróciła się przez ramię i uśmiechnęła niepewnie.

- Wracaj do kuchni i zostań tam.

Odeszła szybko, miękkie buty zaszurały po posadzce. Owen podszedł do drzwi.

- Kto tam?

Łomotanie umilkło, rozległ się okrzyk.

- Graves! To ty? Tu Molloy! Otwieraj pan!

Owen poczuł, jak płyną przezeń ulga i złość. Otworzył drzwi, chwycił lichwiarza za kołnierz i korzystając z masyjego ciała, zatrzasnął drzwi.

- To ty? Teraz? Boże, Molloy, o tej porze dobijasz się do drzwi o pieniądze? Przyszedłeś, żeby zabrać mnie do Marshalsea, tej właśnie nocy? Co ty sobie myślisz?



Molloy był purpurowy. Kiedy już odzyskał głos, zdumione „o”, w jakie ułożyły mu się wargi, zmieniło się w grymas.

- Ja i pan nie mamy już żadnych spraw, głupcze. - Lichwiarz wyrwał się z osłabłego uchwytu Gravesa i spojrzał na jego zdziwioną twarz. - Tak. Pańskie damy to załatwiły, ale to jest już ich sprawa i sam się pan ich o to zapyta.

Graves poczuł, że mieni się na twarzy. Molloy uśmiechnął się doń brzydko, pociągnął nosem i wygładził kawałek brudnego lnu, służący mu za krawat.

- Rzecz w tym - oznajmił ponuro - że spalono Newgate. Graves pobladł. - Owszem, sam pan zobaczy. Przychodzę tu jako przyjaciel, chociaż bez dobrych wieści. To się zdarzyło kilka godzin temu. Strażnik usiłował powstrzymać motłoch, ale było ich po prostu zbyt wielu. Więzienie obróciło się w popiół, a każdy, kto tam siedział, wydostał się na wolność. Nie tylko ci od niebieskich kokard. Każdy.

Graves oparł się plecami o ścianę i zaklął. Molloy wygładził rękawy.

- Sprawa w tym, że sytuacja się pogarsza. Godzinę temu byłem Pod Białym Koniem i słyszałem tam, jak jakiś mężczyzna wypytywał o dzieciaki. Tę małą dziewczynkę i jej brata. Taki opryszek z paskudną gębą, ja wyglądam przy nim jak jakiś cherubin. Z żółtawą twarzą.

Graves dotknął dłonią brody.

- To on. Człowiek, który zabił Aleksandra.

- Pomyślałem, że to możliwe, odstawiłem więc szklaneczkę i przybiegłem tutaj, żeby powiedzieć o wszystkim, tak szybko, jakby mi się tyłek palił. Synu, nie jest wielką tajemnicą, że się tu zatrzymałeś. On niedługo was znajdzie. Dobrał sobie jeszcze jednego kompana, potężnego skurczybyka.

Molloy spojrzał sobie pod nogi.

- Nie zgrywałem bohatera - mruknął. - Nie byłem pewien, prawda? Ale chciałem tutaj dotrzeć i wszystko wam powiedzieć.

Graves zrobił się całkiem blady.

- Dziękuję. Zdaje się, że znowu mam u ciebie dług. - Z poczuciem winy uniósł wzrok. - I przepraszam za to, co było wcześniej.

Molloy parsknął.

- Nie przejmowałbym się tym. Gorzej mnie witano w lepszych domach niż ten i nie dziękuj mi pan, bo dla ciebie nie ścierałbym sobie kopyt. Ale panna Chase jest bardzo zacna i ta mała dziewczynka. Ja też mam córkę. - Łypnął na fiołki i znowu pociągnął nosem. - Muszę już iść zająć się swoimi, ale wy nie powinniście tutaj zostać. On już po was idzie.

Graves przesunął dłonią po włosach.

- Możemy pozamykać okiennice, zaryglować drzwi. Molloy pokręcił głową.

- Zgaduję, że tak właśnie myślał sobie sędzia Hyde, i rozwalili mu dom w ciągu godziny. Ten żółty musi tylko coś zacząć i w jednej chwili znajdzie ze stu chętnych, aby razem z nim roztrzaskać dom. Potem będzie mógł sobie polować na dzieci, jak tylko zechce. Słuchaj, potrafię poznać zawodowca, a ten ma jeszcze kompana. Nie macie tu szans, w każdym razie teraz, gdy każdy chłop z okolicy pobiegł ratować skład. Musicie uciekać.

Nagle się wyprostował. Graves odwrócił się i zobaczył, że otworzyły się drzwi gabinetu i salonu, i stanęli w nich Clode i panna Chase. Z ich twarzy potrafił wyczytać, że wystarczająco dużo usłyszeli. Dziewczyna przyjaźnie skłoniła głowę na widok Molloya, a ten uśmiechnął się niczym lord major na defiladzie.

- Dokąd możemy iść? - spytał Owen.

Clode sięgnął do kieszeni płaszcza, wyciągnął pomięty list i podniósł go w garści.

- Znam pewne miejsce.

Siedemnasty czerwca 1775 roku,  
Wieżenie Stone, Boston,  
Zatoka Massachusetts, Ameryka Północna

Hugh dyszał ciężko, wspinając się po schodach więzienia Stone, i co jakiś czas odpoczywał. Słuch wciąż miał przytępiony od rozrywającego trzasku i huku muszkietów. Rany wczepiały się w niego, a za każdym razem, gdy zamazywał mu się obraz przed oczyma, widział mgłę prochowego dymu i twarz rebelianta, którego zadźgał bagnetem, gdy ów gmerał wśród resztek posiłku, usiłując załadować broń. Zawsze kiedy ten obraz wracał, krwawy rozbryzg wokół ust tamtego człowieka zdawał się rosnąć, rozkwitać, aż wreszcie gdy teraz Hugh zamknął oczy, stawał się fontanną, falą zalewającą ich obu. Spojrzał na swoją dłoń, tam gdzie opierał ją o ścianę. Spodziewał się zobaczyć krew i żywe mięso. Okazała się jednak biała, nieruchoma, posłuszenie podtrzymująca jego ciężar na szorstkiej powierzchni muru. Prawie jej nie rozpoznał.

- Panie Hugh, zjawił się pan, aby odwiedzić swego przyjaciela?

- Wicksteed! - Uniósł wzrok z mieszaniną przerażenia i zaskoczenia. - Skąd się tu wzięłaś, u diabła?

- Słyszałem, że ma pan przyjaciela wśród rannych buntowników, pośpieszyłem więc tutaj, by zobaczyć, czy coś można zrobić. Obawiam się, że niewiele. To rana brzucha. Nie przeżyje nocy, biedny Shapin.

- Nie jest moim przyjacielem.

- A jednak pan się tutaj zjawił! - Wicksteed wzruszył ramionami. - Czyli, że coś musi dla pana znaczyć. Dam panu porozmawiać z nim na osobności. Kto wie, co może rzec przyjacielowi. Poczekam tu na pana. Trzeba by się zająć pańską raną.

Hugh precyzyjnie się obok niego i wszedł do niewielkiej izdebki, gdzie pod ścianami na szorstkiej słomie spało albo leżało bez zmysłów z pół tuzina ludzi. Thornleigh widział już, dlaczego rebelianci nie starali się zabrać ich ze sobą, gdy się wycofywali. Zdziwiłby

się, gdyby którykolwiek dożył poranka. W gęstniejącym mroku zauważył jakiś ruch. Na łokciu z trudem uniósł się mężczyzna w średnim wieku.

- Pan Thornleigh? Pan Hugh Thornleigh? Hugh podszedł do niego i ukląkł przy pościeli.

- Jestem kapitan Thornleigh. A ty nazywasz się Shapin? Ranny spojrzał na niego uważnie.

- To ja. Kiedyś służyłem w pańskiej posiadłości w Sussex. Thornleigh spojrzał na niego i dostrzegł starą bliznę na gardle.

Przypominała uśmiech.

- Jakżeś tu trafił?

Mężczyzna znowu się położył. Odetchnął przeciągle, rzeźąco. Wpatrzył się w sufit.

- Zabawne, że to właśnie pan mnie o to pyta, kapitanie. Zadawałem sobie to samo pytanie każdego poranka przez ostatnich trzydzieści lat. „Shapin, jakżeś tu trafił?” Wie pan, za każdym razem gdy się budzę i otwieram oczy, myślę, że jestem w pokoju na poddaszu domu pańskiego ojca w Londynie, nawet teraz. Powiedzieli, że ukradłem to, co mu skradziono, znaleźli to pod moim łóżkiem, a ja pomyślałem, że może naprawdę ukradłem, tak często mi to powtarzali, kręcąc głowami z troską.

Odwrócił się tak, aby móc spojrzeć Hugh prosto w oczy.

- Ale wie pan, kapitanie, wydaje mi się, że wreszcie to wszystko rozgryzłem. Gdy tylko tamten sukinsyn z krwawym grzbietem zrobił mi dziurę w brzuchu, jakby obudził we mnie jakiś zmysł. Wszystkie obrazy złożyły się do kupy i teraz widzę całość.

Hugh splunął na słomę flegmą zmieszaną z krwią. Wybuch muszkietu kosztował go dwa zęby, również większość policzka i oko. Człowiek przed nim zdawał się jakimś filozofem, wszechobecny zapach krwi zaczynał drażnić. Czuł, jakby po skórze pełzało mu coś żywego, owijając się na ramionach pod rękawami. Coś łomotało w głowie jak bęben, a każde uderzenie czyniło świat mroczniejszym. Krawędzie pola widzenia miał rozmazane, uczepliły się ich ból i tępe czerwone rozbłyski.

- Wszystko w porządku, Shapin. Opowiedz mi to, po co mnie wezwałeś. Mężczyzna uśmiechnął się do niego z wielkim ukontentowaniem, wręcz radością. Zajaśniała ona poprzez brud i szczecinę na jego twarzy, oczy zdały się wręcz dziecięce.

- Tak jest, panie. A zatem: pański ojciec, kapitanie, zamordował jakieś młode dziewczę. Wychędożył je, uczynił brzemiennym, a potem zamordował. Następnie, gdy pańska matka wydała na świat dziedzica i jeszcze jednego synalka, ciebie, przyjacielu, jako gwarancję, też ją zabił. Zrzucił ją ze schodów, na moich oczach.

Spomiędzy żółtych popękanych warg Shapina słowa wysuwały się wyraźne, jedno po drugim, jak kolejne perły spadające ze sznura, a jednak walenie bębna w głowie Hugh sprawiało, że nie dawały się pojąć.

Thornleigh odpowiedział automatycznie, beznamiętnie.

- Kłamiesz.

- Nie. To pierwsza prawdziwa rzecz, którą mówię od trzydziestu lat. -

Shapin uśmiechnął się, jakby otrzymał błogosławieństwo. Oblizał wargi, delektując się słowami. - Lord Thornleigh zabrał tej dziewczynie medalionik.

W środku były jego włosy, zachował go tylko po to, aby pokazać sobie samemu, co uczynił. Potem znalazła to pańska matka.

Zabił ją, bo poznała prawdę. Umarła z tym puzderkiem w dłoni. Byłem tam.

To własne sobie przypomniałem wśród dymu. - Zdawał się tak szczęśliwy, jak uczeń pochwalony za dobrze wykonane rachunki. -

Widziałem tamtą dziewczynkę, co miała ów medalionik. Słyszałem krzyk pańskiej matki, jak spadała, i widziałem lorda Thornleigh spoglądającego z góry kiedy podniosłem ją u podnóża schodów. Widziałem krew na jej twarzy i medalion w dłoni. Chociaż dopiero dzisiaj, kiedy leżałem w polu, na trawie, z niebem nade mną, pomyślałem o niej znowu i wszystko stało się jasne.

- Jesteś kłamcą. Złodziejem.

Radość zniknęła z twarzy mężczyzny, poczerwieniał i zaczął wypluwać słowa.

- Nie jestem ani jednym, ani drugim. Pański ojciec myślał, że mogę się wszystkiego domyślić i zawczasu się mnie pozbył.

Trzydzieści lat spędziłem w tym cuchnącym miejscu, o ocean od niego, i raptem wpada pan tutaj, kapitanie. Właśnie pan. Mały panicz Hugh. Wpierw wstydzilem się panu pokazać w moim stanie. Ale patrzyłem na pana przez obóz i wszystko powróciło. Potem, leżąc na trawie, zrozumiałem, że jest pan nikim. Moja krew jest lepsza od pańskiej. Jest pan synem zbrodniarza, honor pańskiego rodu to jakaś kpina, twoja pozycja to ułuda, jesteś trucizną, twoje gnaty nie są warte, by nakarmić nimi psy...

Mówił dalej, słowa docierały z dołu prosto ku Hugh, jakby Thornleigh właśnie odkopał samego diabła. Łomot bębna w głowie oficera zdawał się dopasowywać do rytmu tej tyrady. Stał się szybszy, głośniejszy, Hugh poczuł, że powraca do mgły i dymu, znowu klęczy we krwi, jego matka w balowej sukni zwisa z reduty, postrzelona w brzuch z rebelianckiej flinty, jakaś dziewczyna biegnie przez łąkę ku jego ojcu, stojącemu z uniesionym pistoletem. Potem zjawia się ten buntownik, ten, który nadział się na bagniet tak, że Hugh musiał oswobadzać broń, zapierając się butem, tyle że teraz rebeliant ma twarz Hawkshawa, śmieje się z niego, wszyscy się śmieją, pijąc zdrowie jego ojca i jego dziwki, śmieją się, gdy brnie przez krew w stronę dziewczynki. Czuje wybuch na twarzy, smagnięcie gorącym metalem powala go na ziemię, z powrotem w krew. Zalewa go ona, dostaje się do ust i oczu, on szamocze się, starając uwolnić, potem wszystko ogarnia czerwień.

Łomot zwolnił. Zamrugał i zobaczył, że klęczy, dłonie trzyma na twarzy Shapina, jedną trzyma z tyłu głowy, drugą, rozcapierzoną, na nosie i ustach rannego. Ręka Shapina, którą musiał zaciskać mu na przegubie, opadła. Hugh odsunął się i spojrzął na niego martwe oczy. Thornleigh rozprostował palce, spojrzął na wnętrze swych dłoni - trzęsły się. Łomot bębnowych ucichł. Umysł stał się nagle spokojny, otwarty.

Wstał i podszedł do drzwi. Zauważył Wicksteeda tylko dlatego, że ten wzdrygnął się, gdy go mijał. Przez chwilę spoglądali na siebie - Hugh tępym wzrokiem, Wickstead z otwartymi ustami - a potem

Thornleigh odszedł, jego buty uderzały w ziemię z echem, kiedy wypadł prosto na ulicę.

List przyszedł trzy tygodnie później. Ojciec doznał ataku apopleksji, macocha była brzemienna i prosiła go o pomoc. List z pewnością wysłano przed otrzymaniem jego niezgrabnych gratulacji. Ojcowskie zdrowie starczyło ledwie na trzy miesiące małżeńskiego życia. Nowa matka Hugh wyrażała się dość poprawnie, a styl miała znacznie bardziej dystygowany, niż się spodziewał, znając jej reputację. Przeczytał wszystko dwukrotnie, potem włożył najlepszy mundur i zwrócił się do swego przełożonego oficera o pozwolenie na wyjazd. Gdyby wówczas bardziej był sobą, zauważyłby, może ze smutkiem, radość, z jaką przyjęto jego prośbę i znaleziono miejsce na następnym statku, wypływającym do Plymouth.

Ostatniego wieczoru przed wyjazdem, stojąc w półmroku panującym w obozie, Hugh znowu rozmyślał o Aleksandrze. To, że brat może być gdzieś, w świecie, wolny od lorda Thornleigh i jego nowej żony, wolny od Shapina i Thornleigh Hall, wlało mu do duszy maleńką kropelkę ukojenia i przez krótką chwilę koszmary, zamiast ryczeć mu w głowie, tylko szeptały. Ostatnią rozmowę odbyli w pośpiechu, nie dokończyli. Były uściski i szepty, gdy Aleksander po raz ostatni opuszczał dom. Starszy brat po rozmowie z ojcem zrobił się bardzo blady. Przystanął tylko, aby na chwilę zatrzymać Hugh i powiedzieć:

- Uciekaj stąd, Hugh. Trzymaj się z dala od tego człowieka. Młodszy brat uczynił wszystko, co w jego mocy, lecz okazało się, że mocy tej nie starczyło.

Wicksteed odnalazł go, Hugh wiedział, że na pewno w końcu to się wydarzy. Stało się tak po południu tego dnia, gdy Thornleigh miał wypływać. Wicksteed przysunął się do niego, gdy patrzył, jak w doku trwa załadunek statku, którym wybierał się do domu.

- Kapitanie Thornleigh?

Hugh odwrócił się i zamrugał. Chudy mężczyzna stał nienaturalnie, spokojne dłonie złożone przed sobą.

- Wicksteed.

- Słyszałem, że jutro pan wypływa. Przykro mi słyszeć, iż pański ojciec jest chory.

Hugh się nie odzywał.

- A zatem może pan zostać lordem Thornleigh. A nawet teraz już nim jest? - Ręce Wicksteeda nie poruszały się, oczy błyszczały.

- Mam brata.

Wicksteed spojrział na statek.

- Słyszałem, że nikt nie potrafi go odnaleźć. - Hugh milczał. - Lord Thornleigh, cóż za tytuł! Lord Thornleigh może być zdolny czynić w swym życiu to, czego tylko zapragnie, nie sądzi pan? Ale może jego syn też zawsze zdoła swobodnie czynić, co zechce. Albo myśli, że zdoła.

Hugh poczuł, jak ściska go w dołku na myśl o ostatnich chwilach, jakie spędził z Shapinem. Starał się nie zastanawiać, co z tego zobaczył Wicksteed. Milczenie Thornleigha zdawało się zachęcać drugiego mężczyznę do dalszej przemowy.

- Jednak musimy mieć przyjaciół, aby zdołać czynić tak, jak chcemy, wie pan o tym, kapitanie. Aby zachować nasze okręty. Aby zachować niesplamiony honor naszego rodu. Aby utrzymać nasze wpływy.

Hugh sięgnął do kieszeni i wyciągnął banknot, który złożony trzymał w kieszeni, od kiedy dowódca zgodził się na jego odejście. Odchrząknął, wyprostował się.

- Nie całkiem cię zrozumiałem, Wicksteed, ale mam to dla ciebie. Dowód uznania twych zasług dla pułku.

Wetknął banknot Wicksteedowi w rękę. Mężczyzna rozłożył go i popatrzył nań. Hugh czekał na podziękowania, z zaskoczeniem więc spostrzegł, że mężczyzna zaczyna się trząść. Na policzkach pojawiły mu się jaskrawe rumieńce.



- Pięć funtów! Kapitanie, jak pan sądzi, ile miłości można za to dzisiaj kupić?

Hugh był tak wstrząśnięty, że aż się cofnął. Wicksteed ruszył za nim, sycząc mu w twarz:

- Moja lojalność jest dla pana warta tylko pięć funtów? Z tym, co teraz wiem? Wiem o tej dziewczynie, wiem, że pański ojciec to morderca, i wiem, że pan jest taki sam. Pięć funtów!

Zmiał banknot palcami, cisnął go na ziemię. W kącikach ust zebrała mu się ślina.

- Nie jestem byle głupcem! Mogę opowiedzieć o wszystkim, co wiem, a czy wtedy ktoś z dobrego towarzystwa odważy się do pana odezwać?

Historia pańskiej rodziny wszędzie na świecie doprowadziłaby do rewolucji. Czy przyjaciele waszych ofiar będą was karmić i dbać o was? Ostatnie pytanie wyrzyczał mu w twarz, a w oczach Hugh jego twarz nagle stała się płótnem, na którym jakiś diabeł wciąż na nowo malował twarz każdego, kogo kiedykolwiek w życiu skrzywdził: każdego człowieka, którego zabił, każdej kobiety, którą rozczarował, każdego dzierżawcy i dziecka z jego posiadłości. Hawkshawa, Shapina, syna Cartwrighta. Zatoczył się do tyłu, z otwartymi ustami.

- Czekaj tylko, Thornleigh. Przyjdę po ciebie. Wyrwę ci serce i zjem na twych oczach, a potem sprawię, że mi jeszcze za to podziękujesz.

Wicksteed obrócił się na pięcie i odszedł. Hugh schylił się, podniósł zmięty banknot, wygładził drżącymi palcami, złożył, po czym z powrotem schował do kieszeni.

## CZESC 6

1

Sroda, siodmy czerwca 1780 roku,  
Sutton Street nieopodal Soho Square, Londyn

Graves, zataczając się, wszedł prosto z ulicy.

- Nie ma żadnej bryczki ani nawet wózka.

Ujrzał, że Clode klęczy, zapinając płaszcz Jonathanowi na szyi.

Młodzieniec uniósł wzrok.

- To daleko?

Owen przesunął dłonią po włosach.

- Może trzy, cztery mile. To zależy, czy pójdziemy przez ulice, czy przez pola.

Panna Chase wiązała sobie tobolek na ramieniu, mówiła, zaciskając supeł.

- Ulicami. Można nas zobaczyć, ale łatwiej będzie się ukryć. Susan, jesteś gotowa?

Dziewczynka była blada, ale stała dosyć pewnie. Skinęła głową. Panna Chase chwyciła ją za ramiona.

- Cokolwiek się stanie, nie wolno ci puszczać mojej dłoni, rozumiesz?

Mała znowu pokiwała głową.

Graves złapał Clode'a za łokieć, odciągnął na bok.

- Ma pan broń? Młodzieniec pokręcił głową.

- wszystko co mam to nożyk do ostrzenia pióra.
- Niech pan idzie do kuchni i weźmie parę dobrych noży. Kiedy wyjdziemy, służba zamknie dom i ukryje się w okolicy.

Graves położył mu rękę na ramieniu i złapał mocno.

- Idziemy, już za długo czekaliśmy.

Niewielka grupka wyszła w ciemność. Czerń nieba tam, gdzie trwały pożary, plamiły pomarańczowe plamy. Mijali ich inni ludzie o twarzach błyszczących od potu, gdy padało na nich drżące światło pochodni, wyglądali niczym przechodnie z obrazów Caravag-gia. Owen ponagłał pozostałych. Znajome ulice, wyboista droga pod stopami znana tak dobrze jak własna kieszeń zdawały się teraz zmienione mocą nocnego koszmaru i ukształtowane przezeń. Jonathan potknął się, nim jeszcze minęli front pierwszego z sąsiednich domów. Graves odwrócił się i zobaczył chłopca niesionego przez Clode'a w ramionach. Zawisł młodzieńcowi na szyi, starając się usadowić wygodnie, dłońmi chwycił ciemne włosy prawnika.

Graves rozejrzał się wokół, wszędzie było zbyt wielu ludzi, w ciemnościach nie potrafił odróżnić przyjaciela od dręczyciela. Ruszył prosto przed siebie, wiedząc, że panna Chase oraz Susan podążają tuż za nim. Pochód zamykał Clode, jedną ręką podtrzymujący Jonathana, z drugą wetkniętą w kamizelkę. Owen wiedział, że zaciska palce na rękojeści noża do krojenia mięsa, bo sam obejmował dłonią taki sam. Skręcili w Soho. Plac zdawał się płonąć głodnym ogniem i pijackim śmiechem. Jakiś mężczyzna zatoczył się do tyłu, niemal wpadając mu w ramiona. Cuchnął brandy i spalenizną. Graves odsunął go na bok.

Po jego prawej stronie rozległ się jakiś krzyk. Odwrócił się gwałtownie i zobaczył młodą kobietę z rozpuszczonymi, rozwianymi włosami, z dzieckiem w ramionach. Krzyczała w stronę dachu nędznego budynekczku naprzeciwko, który prężył się i wydymał pomarańczowym płomieniem.

- O Boże! Gdzie ja mam teraz iść! Gdzie ja mam teraz iść!

Z domu wyłonili się dwaj mężczyźni, w blasku ognia widać było ich niebieskie kokardy. Jeden pchnął kobietę mocno, tak że upadła na bruk.  
- Idź do Rzymu, dziwko! - zawołał, a potem z rechem odwrócił się do kompana.

Kobieta objęła ramionami dziecko, zakołysała się z boku na bok.  
Susan wyrwała dłoń z uchwytu panny Chase i podbiegła do nieznajomej.  
Wcisnęła jej w dłonie niewielką sakiewkę.

- Proszę to wziąć! Znaleźć sobie jakieś bezpieczne miejsce! Kobieta spojrzała na nią, przeżegnała się.

- Niech cię Bóg błogosławi, panienczko! - powiedziała ze szlochem. - A czy wy macie jakieś takie miejsce?

- Tak, na Earl's Court. Ale wszyscy musimy już iść.

- Susan, na miłość boską, wracaj! - zawołała panna Chase. Nieznajoma pokiwała głową.

- Znajdę sobie jakieś - obiecała. - Już nigdy tutaj nie wrócę. Panna Chase pociągnęła dziewczynkę za sobą.

- Susan, chodźże! Więcej już ode mnie nie odchodź! Dziewczynka poszła z nią do miejsca, gdzie czekali mężczyźni, bacznie obserwujący motłoch.

- Panno Chase, przecież ona miała dzidziusia! - wysapała. Graves rozglądał się wśród ciemności.

- Bardzo dobrze, Susan - powiedział. - Ale teraz chodź. Dostrzegł, że Clode się wzdrygnął.

- Co?

- Nic. Sam nie wiem. Ruszajmy.

Crowther wrócił do domu nieco po północy. Zapalił świecę, którą dla niego przygotowano, i zaniósł do gabinetu. List już czekał. Przeczytał go, trzymając kartkę za krawędź, jakby lękając się, iż jad przesączy mu się na palce, a potem odłożył delikatnie na blat. Przysunąwszy ku sobie czysty papier, zaczął pisać, notując spostrzeżenia

związane ze zwłokami, jakby zbadał je w związku z własnymi zainteresowaniami lub też chciał przedstawić obserwacje kolegom po fachu, aby się nad nimi zastanowili. Później, raz jeszcze zaostrzywszy pióro, zanotował wszystko, co wiedział na temat mieszkańców oraz dziejów dworu Thornleigh Hall. Starał się przyglądać, jak jego słowa rosną niczym pajęcza sieć, zmieniając punkty łączące ludzi i wydarzenia w siatkę, nadając im kształt. Był przekonany, że w samym jej centrum znajduje się Wicksteed, jednak wszystko, co rządca czynił, spoglądało gniewnie ze środka, nie pozwalając się dotknąć rozciągającym wokół pasmom. Muskały go tylko wątki butelki oraz strzępy haftowanego materiału, jakże łatwo wytłumaczalne. A Patience już odeszła.

Crowther spojrział w górę, jego wzrok spoczął na wysuszonej, czarnej dłoni, która z palcami swobodnie zwróconymi w dół stała na szczycie regału z preparatami. Szerniała od żywicy, żyły jednak i arterie, które karmiły ją przed śmiercią, a także mięśnie, umożliwiające poruszanie się, wyodrębnione zostały niebieskim i żółtym woskiem. Gdyby te mięśnie się skurczyły, dłoń by się zacisnęła. Na chwilę uczony rozcapierzył własną rękę, potem znowu zaczął czytać notatki. Gdzie winien położyć nacisk, gdzie przycisnąć, jaki ruch uczynić, aby pajak podskoczył z furją, zatańczył i powiesił się we własnej sieci?

Na ulicach na skraju miasta było już spokojniej. Ustępowały miejsca polom, ciągnącym się wzdłuż King's New Road po Kensington.

Danielowi zdrętwiała ręka, na której dźwigał Jonathana. Jak automat podążał za cieniami przed sobą i liczył kroki. Myślał

o pani Westerman oraz pannie Trench pozostawionych w Caveley.

Zastanawiał się, co by sobie teraz pomyślały, widząc go niosącego w ramionach dziedzica całego tamtego bogactwa i przepychu, okrytego sadzą i kurzem drogi. Miał nadzieję, że pomyślałyby o nim dobrze.

Zgubił krok, potknął się. wstrząs wytrącił Jonathana z drzemki, w której dryfował przez ostatnie pół godziny. Chłopiec zadrżał

i poprawił uchwyt. Daniel dorastał bez młodszego rodzeństwa,

uczucie wywołane przez dziecięce rączki, obejmujące mu ramiona z tak całkowitym zaufaniem, było dlań czymś nowym. Zaczął zazdrościć ludziom mającym własne potomstwo. Malec coś do niego szepnął.

- O co chodzi, Jon? Nie słyszę cię.

- Pytałem, czy widział pan dwór Thornleigh. Clode uśmiechnął się do niego wśród ciemności.

- Widziałem. Ale nie byłem w środku.

- Są tam konie?

- Mnóstwo.

Chłopczyk westchnął zadowolony, potem nagle jego ciało się wyprężyło i zawołał:

- Tam!

Daniel odwrócił się gwałtownie, wyciągając nóż spod kamizelki.

Usłyszał, jak podbiega do nich Graves. Jonathan skoczył na ziemię, przyciśnięty do Clode'a.

- Jonathanie, co to było?

- Widziałem go, jestem pewien! Tam, na końcu ulicy, tam gdzie jest lampa.

Odgłosy zamieszek były tu stłumione i odległe. Kiedy przeciąg zatrzasnął jakąś okiennicę, uderzając nią o framugę, zabrzmiało to niby strzał.

Graves podniósł dłoń do ust.

- Pokaż się, jeśli nie brak ci odwagi! - zawołał.

Lampa w dalszym ciągu kołysała się lekko, ale na ulicy nie poruszyło się nic innego.

Graves nachylił się ku Clode'owi i szepnął:

- Idź naprzód z pozostałymi. Poczekał tutaj, żeby zobaczyć, czy nikt nas nie śledzi, i potem dołączę.

Daniel nie odrywał spojrzenia od ulicy przed nimi i pokręcił głową.

- Nie. Ty znasz te ulice lepiej, a poza tym nie powinniśmy się rozdzielać.

Jeśli jesteśmy śledzeni i on jakoś się prześlizgnie obok ciebie, ja i panna Chase nie mamy szans przeciw temu człowiekowi i jego kamratowi.

Owen zawahał się. Panna Chase podeszła do nich, wolną dłoń delikatnie położyła mu na ramieniu.

- Graves, on ma rację. Chodźmy bardziej uczęszczanymi ulicami. To miejsce jest zbyt odludne.

Jej dotyk podziałał na Owena niczym balsam. Pokiwał głową. Clode znów wziął Jonathana w ramiona, uśmiechnął się do malca.

- Chłopcze, jesteś naszym obserwatorem. Miej oczy otwarte i mów, kiedy jeszcze coś zobaczysz.

Jonathan pobladł. Wzmocnił uścisk i pokiwał głową.

Usłyszeli, jak gdzieś w oddali jeden z wielkich dzwonów zaczyna wybijać godzinę. Graves schował nóż pod kamizelką i odwrócił się w stronę King's Bridge.

- Już pierwsza. Pospieszmy się.

## 2

Harriet usłyszała, jak zegar na korytarzu miedzianym kurantem wybija godzinę pierwszą. Próba zaśnięcia okazała się niemądrym pomysłem; jej umysł już od godziny gonił w kółko sam siebie. Opuściła nogi na podłogę, z westchnieniem wzięła szlafrok. Na morzu nigdy nie zaznała bezsenności. Niezależnie od trosk czy zmartwień, ruch okrętu zawsze pozwalał odpocząć. Wciąż jeszcze, tuż po przebudzeniu spodziewała się usłyszeć wokół wyraźny skrzyp desek i powiew bryzy.

Przechodząc przez pokój, zapaliła świecę na toaletce i gdy knot zajął się płomieniem, a światło przestało migotać, usiadła przed lustrem. W blasku świecy wyglądała całkiem dobrze. Przyjaciele mówili, że życie na morzu może ją postarzyć i oszpecić skórę, na razie jednak pod oczyma oraz wokół ust miała ledwie sugestię zmarszczek. Zaczynała wyglądać starzej dopiero wtedy, gdy obok siadała



siostra. Rachel, w rozkwicie młodości, jakby okryta poranną rosą, wciąż jeszcze nieukształtowana.

Harriet obróciła mały kluczyk w szufladzie pod lustrem i wyciągnęła ostatni list od męża. Dostała go prawie dwa miesiące temu, jeszcze nawet nie mogła się spodziewać następnego. Wygładziła stronicę, uśmiechnęła się do znajomego charakteru pisma. Pozwoliła opuszkom palców spocząć na papierze, wydawało jej się to prawie dotykaniem mężowskiej dłoni. List zaczynał się od opisu kłopotów oraz targów związanych z uzupełnianiem zapasów na Gibraltarze, problemów, które nieuchronnie nastąpiły po zwycięstwach. Komandor znalazł wśród załogi człowieka, który choć pijanica, a po alkoholu skory do bitki, dogadał się z córką kwatermistrza i okazał twardym negocjatorem działającym dla dobra okrętu. Co do samego statku, tego jak szybko teraz pływał, otrzymawszy nowe, miedziane blachy, Westerman wprost nie mógł się nachwalić. Ostatnie linijki zawierały szybkie pożegnanie. Niektórzy z jego przyjaciół wracali do floty na kanale, on ruszał na Wyspy Podwietrzne, nie mógł więc przepuścić sposobności wysłania listu.

Mąż zakończył list słowami przeznaczonymi tylko dla niej, wyczerpująco prostą deklaracją miłości i zaufania oraz poleceniem, aby ucałowała od niego dzieci. Powiedział kiedyś, że zawsze unosi te ostatnie linijki do ust, gdy atrament już wyschnie. Teraz ona uczyniła tak samo. Mogłaby przysiąc, że papier pachniał solą i chłodnym wiatrem.

Odłożyła arkusz z uśmiechem, przez własne odbicie w lustrze spojrzała na otaczającą ją, ciemną wiejską okolicę. Dziwne. Mąż umiłował morze niczym kochankę, ale wiedziała, że jego serce jest tutaj i że choć od chwili, gdy kupił Caveley, spędził tu ledwie kilka miesięcy, to miejsce stało się jego domem, wzywało przez oceany. Oczywiście, była tu ona, były jego dzieci, chodziło jednak o coś więcej. Kiedy jechali traktem w pożyczonej bryczce, kamienie i ziemia śpiewały dla niego. Nie widziała na twarzy komandora takiej radości od dnia, w którym zgodziła się zostać jego żoną. Naturalnie, też kochała swój dom, jednak to, co czuła do tego miejsca, stanowiło

tylko słabe odbicie żarliwej miłości Westermana. Jej mąż potrafiłby w myślach przespacerować się po domu i okolicy, widząc wszystko znacznie wyraźniej od niej. Kiedy spał, sny zawsze zabierały go tutaj. Serce Harriet pozostało na morzu, tęskniła za nim. Okropności, jakie tam widziała, nadal potrafiły obudzić ją w środku nocy, lecz one tylko mocniej wiązały ją z okrętem i załogą. Wiedziała, że wciąż pozostała ich towarzyszką, dobrym aniołem, nieważne, ile lat trwa rozłąka. Tęskniła, aby poczuć pod dłonią gładkie deski, usłyszeć gwizdki i okrzyki, zobaczyć oszalamiający bezmiar wód. Przypomniła sobie nagle przyspieszenie pulsu w czasie bitwy, politykowanie w porcie i w składach, mocną czarną kawę, podawaną przez stewarda, gdy dzwonki wybijały początek dnia.

Jakaś sowa zahukała ponad lasem, a uformowane w umyśle obrazy wiatru i wody ustąpiły miejsca widokowi Brooka, gdy ujrzała go po raz pierwszy: z grymasem zdziwienia i dezaprobaty z nieprzyzwoitą raną na szyi. Wyobraziła go sobie żywego, stojącego w mroku i postać wychylającą się zza jego pleców, z nożem Hugh w dłoni. Spoglądając w ciemność, odegrała całą scenę w myślach. Wyobraziła sobie wyłaniającą się z ciemności okaleczoną twarz Thornleigha, a potem Wicksteeda. Czy rządcą miał tyle odwagi, by zabić człowieka? Co mogło uczynić go mordercą?

Verity Chase, przyciągając do siebie dzieci wśród ciemności, usłyszała odgłos stłumionego szlochu. To płakała Susan. Wiedziała, że dziewczynka nie chce, by ktokolwiek to zauważył. Przed swymi opiekunami, przed braciszkiem starała się być tak dzielna, jak tylko potrafiła. Verity przytuliła ją mocniej do siebie i przycisnęła ramię dziewczynki. Miała nadzieję, że w ten sposób doda małej odwagi i zdecydowania, nie miała jednak pewności, czyjej samej pozostało ich wystarczająco dużo. Oczy wpatrzone w ciemność piekły ją z niewyspania i strachu. Popioły różnych pożarów znalazły drogę za kaptur, do bladej skóry, osiadły na rzęsach. Pannie Chase zdawało się, że po twarzy spływają jej szare, pełne sadzy łzy. Uniosła wzrok, tam gdzie Clode oparł się o boczną ścianę zatrzaśniętej na głucho gospo-

dy. Jonathan leżał na swoim płaszczu, skulony u jego stóp. Daniel uśmiechnął się do niej - smutno, z powagą. Złapała się na myśli, że prawnik umyty i ogolony wygląda niemal jak chłopiec. W tej chwili jednak bardziej przypominał drzeworytowe wyobrażenie rozbójnika. Tym lepiej. Usłyszała kroki, pojawił się Graves.

- Jesteśmy już bardzo blisko domu Huntera. Ale nie jest dobrze. Widzę stąd, z krańca ulicy, gdzie jest ów dom: palą się tam światła, to może być jeszcze z pół mili. Ale to otwarta przestrzeń. Jeśli Jonathan ma rację i ten człowiek wciąż za nami idzie, jest to dla niego doskonała chwila, by zaatakować.

Susan zachlipała i szybko przygryzła wargę. Graves przykucnął obok.

- Kochanie, przepraszam, że cię wystraszyłem. Głupiec ze mnie.

Dziewczynka szybko pokręciła głową.

- Nie, to ja przepraszam. Nie chciałam być wystraszona. Panna Chase znowu ścisnęła jej ramię.

- Susan, wszyscy jesteśmy wystraszeni. To po prostu zdrowy rozsądek. - Spojrzała kolejno na mężczyzn. - Co robimy?

Graves znowu wstał.

- Będziemy musieli tam pobiec. Panno Chase, zdoła pani tak daleko zanieść Jonathana?

Przytaknęła.

- Bardzo dobrze. Kiedy tylko wyjdziemy na otwartą przestrzeń, proszę kierować się w prawo. I biec. Jeśli brama jest zamknięta, będziecie musieli się na nią wspierać. Cokolwiek się wydarzy, nie czekajcie na ulicy.

- Oczywiście.

Gravesowi, kiedy szukał w ciemności zarysu twarzy dziewczyny, trudno było nie wyznać jej miłości, teraz, zaraz. Przełknął ślinę.

- Clode i ja pójdziemy za każdym, kto nas minie, i powstrzymamy go.

Jesteście gotowi?

Daniel ułożył Jonathana w ramionach panny Chase. Susan wzięła od niej tobolek i zawiązała go sobie na pasie. Kiwnęli głowami.

- Doskonale. Ruszamy.

### 3

Dotarli na róg. Panna Chase skręciła i zanurkowała w ciemność, jedną ręką podtrzymywała Jonathana, za drugą trzymała ją Susan. Clode i Graves ruszyli do tyłu. Odrobina światła, jaką dawał księżyc, odbijała się teraz od szpiców dzierzonych przez nich ostrzy. Za plecami mężczyzn kroki zaczynały cichnąć i na jeden radosny moment noc stała się całkiem cicha. Daniel pomyślał, że może się mylili, że zwiódło ich przerażenie wywołane zamieszkami i własny lęk, a wszystko jest w porządku... i wtedy rozległ się okrzyk, a ulicą ruszyły jakieś dwie postaci. Clode skoczył na mężczyznę, który szedł najbliżej. W jednej chwili zniknęło całe zmęczenie, stał się kimś zupełnie innym. Poczł, jak ów człowiek potyka się pod jego ciężarem, a potem świat zawirował, gdy pięść obcego grzmotnęła go w szczękę i głowa z trzaskiem odskoczyła mu do tyłu. Trzymał mężczyznę za koszulę, noc eksplodowała bólem, zdającym się rozbijać kości, nie puścił go jednak. Oddał cios wolną ręką, pięścią zaciśniętą na rękojeści noża waląc tam, gdzie jak się domyślał, była twarz przeciwnika. Ów krzyknął, uniósł się pod nim, uderzając mocno w bok. Cios spowodował rozluźnienie uchwytu, nóż poleciał na pobocze ulicy. Mężczyzna obrócił Clode'a na plecy i usiadł mu na piersiach. Czas zwolnił. Daniel zobaczył, jak tamten sięga do kieszeni po własną broń. Umysł uprzejmie go poinformował, że zaraz zginie z ręki jakiegoś nieznanego cienia. Krew zapulsowała mu w dłoniach, zgarnął ziemię z ulicy i cisnął nią w twarz mężczyzny. Cień skrzywił się i lekko odchylił do tyłu. To wystarczyło, aby Clode zdołał sięgnąć prawą ręką tam, gdzie bardziej wyczuł, niż ujrzał, słaby błysk ostrza. Usłyszał nad brzuchem wrzask walczącego z nim olbrzyma, zobaczył, jak ów człowiek też się unosi, trzymając wysoko swój nóż i kierując go prosto ku jego sercu. Palce Daniela musnęły drewnianą rękojeść. Sięgnął, a każdy mięsień i kość zawyły mu z bólu i wysiłku. Wymacał nóż, złapał go i pchnął mężczyznę. Kiedy ten opadł na niego,

prawnikowi na chwilę pociemniało przed oczyma. Potem otworzył je znowu. Pierś miał wilgotną, ale go nie bolała. Wygramolił się spod zwalistego cielska, chwiejąc się, stanął na nogi, przykładając dłoń do tułowia. Czuł na sobie krew, ale wiedział, że cudzą. Butem odwrócił leżące u stóp ciało. Dryblas rozpostarł się na łopatkach. Oczy miał otwarte i puste, ostrze głęboko zatoneło w masywnej piersi. Daniel pochylił się i wyszarpnął broń. Potem odwrócił się, szukając Gravesa. Owen dostrzegł po swojej lewej, że Clode przewraca jakiegoś mężczyznę. Skoczył w prawo, zdołał zewrzeć się z chudą postacią, usiłującą przemknąć obok niego i też ją przewrócił. Zaatakowany upadł na kolana, ale nim Gravesowi udało się nań skoczyć, chwiejąc się, ponownie stanął na nogi. Odwrócił się ku niemu twarzą. Księżyc zapewnił wystarczająco dużo światła, aby pod rogiem kapelusza dostrzec żółtawe oblicze.

- Znowu ty - powiedział mężczyzna. Graves stanął przed nim.

- Masz rację.

Żółtawa twarz rozpełkała się w uśmiechu.

- Skoro, chłopcze, tak właśnie chcesz się pobawić...

Nagle, jakby tańcząc, ruszył do przodu. Graves zamachnął się nań prawą ręką. Mężczyzna zachichotał i zanim Owen zdołał w ogóle dostrzec jakiś ruch, już się z nim zwał, przygważdżając do boku ramię z nożem i tą samą ręką łapiąc za nadgarstek. Przypominało to uścisk niecierpliwego kochanka. Graves poczuł na twarzy gorzki oddech przeciwnika. Pchnął, chwyt jednak okazał się zbyt mocny. Żółtawy odezwał się spokojnym głosem jak rozczarowany ojciec do syna.

- Czy wy, dżentelmeni, nie uczycie się niczego przydatnego w tych swoich szkołach? - Graves szarpnął się, tamten jednak trzymał mocno jak w żelaznej obręczy. - Sądziłem, że dałem ci lekcję, robiąc to drobne zacięcie po goleniu. - Owen poczuł, jak zjełczały oddech wędruje po świeżej jeszcze ranie na jego twarzy. - Rzecz w tym, chłopcze, aby trzymać kciuk na klindze. I uderzać w górę.

Graves spojrzał w dół, na błysk ostrza i kciuk mężczyzny przyciśnięty do płaskiej strony metalu. Poczł, jak ciało przeciwnika tężyje przed zadaniem ciosu. A zatem zawiedzie. Skończy tutaj, na ulicy przedmieścia płonącego przed nim Londynu. Pomyślał o Susan, zagryzł wargę, przeszła go wściekłość. Z rykiem wygiął ciało, niewystarczająco jednak szybko ani wystarczająco daleko. Poczł, jak chłodny koniec noża sunie poprzez jego skórę, wszystko spłynęło czernią nocy. Upadł, żółtawy mężczyzna odwrócił się i zaczął uciekać długimi susami. Wnet obok rannego znalazł się Clode.

- Graves!

Owen pokręcił głową, wstając z trudem. Mógł chodzić, rana okazała się niezbyt głęboka. Żółtawy minął ich, kierując się w stronę dzieci. Graves zachłysnął się powietrzem. Smakowało żelazem, jednak zamknęło mu ranę i wyrzuciło ból.

- Dzieci. Dalej. Pomknęli w ciemność.

Panna Chase usłyszała hałas dobiegający z ulicy. Susan szarpnęła ją za rękę, starając się zawrócić. Verity tylko mocniej pociągnęła dziewczynkę. Światła domu Huntera były już bardzo blisko. Pędziła swą niewielką drużynę przez ostatnich kilka jardów, aż wreszcie dotarła do metalowej bramy, sięgającej głowy. Prawie o nią uderzyła. Uniosła Jonathana pod pachą.

- Dalej, Jonathanie, idź.

Dłonie chłopca coś wymacały, zacisnęły się na tym, poczuła, jak malec dźwiga się z jej objęć, ujrzała jego ciało zwinnie przemykające między szpikulcami ogrodzenia.

- Susan, teraz ty.

Przyklękła, aby z dłoni utworzyć schodek dla stóp dziewczynki.

Usłyszała, jak Susan gramoli się na drugą stronę, potem sama zaczęła szukać wśród cegieł i żelaza oparcia dla własnych nóg. Postawiła stopę na kamieniu, ręką chwyciła pręt, druga ześlizgnęła jej się na zamek.

Podciągnęła się i wymacała prawą dłonią nowy uchwyt, gdzieś wyżej.

Zacisnęła palce na pysku kamiennego lwa na szczy-

cie słupa bramy. Dźwignęła się, a potem opadła po drugiej stronie muru, wokół niej załopotiała spódnica. Odwróciła się, żeby zerknąć na ulicę, wypatrując między prętami jakiegokolwiek oznaki tego, co tam się dzieje. Po drugiej stronie, z trzaskiem, w kraty uderzyło jakieś ciało i oto Verity znalazła się twarzą w twarz z dyszącym żółtawym mężczyzną z koszmarów Susan. Uśmiechnął się, przez chwilę patrzyli sobie prosto w oczy. Wyciągnęła ręce, wyczuła stojących za nią chłopczyka i dziewczynkę. Zdołała jakoś otworzyć usta.

- Uciekamy.

Cała trójka odwróciła się i ruszyła przez długi ogród domu pana Huntera. Verity usłyszała, jak brama grzechocze, trzęsąc się, gdy tamten się po niej wspinał. W gmachu przed nimi zaczęły poruszać się światła. Pędem ruszyli naprzód i nagle Susan krzyknęła, a ziemia jakby usunęła im się spod stóp. Panna Chase poczuła, jak noga jej się wygina i cała gdzieś wpadła, aż wycisnęło z niej dech.

Ciemność była w tym miejscu całkowita, jednak ożywiona. Usłyszała jakiś hałas. Tutaj coś już było, poruszało się, wyginało w mroku. Dźwięk przypominał odgłosy morza albo darcie szmat, pochodził jednak od zwierzęcia. Verity wysunęła ramiona, przyciągnęła do siebie dzieci, odsuwając się od tych odgłosów, tego ruchu. Dłońmi zakrywała malcom buzie, żeby nie pisnęły. Niepotrzebnie, bo ich szczupłe ciała zesztyniały ze zgrozy. Rozległ się szczeł metalu, łańcucha. Potem dziwny, ryczący pomruk. Z oddali dobiegły jeszcze jakieś inne głosy, znajome. Clode i Graves. Poczula łzy cisnące się do oczu. Żyli. Nagle przed sobą usłyszała uderzenie. Pośród cieni mignął inny cień, jeszcze ciemniejszy.

- Hej, pięknie. Wjakiej to jamie się skryliście?

W ustach jej zaschło. Z trudem zdołała krzyknąć przez ściśnięte gardło.

- Graves! Clode! Tutaj! On nas ma!

Dobiegły ją z góry odgłosy kroków. Popchnęła dzieci za siebie, w najdalszy kąt miejsca, w którym się znaleźli. Słyszała oddech żółtawego mężczyzny, jak zbliżał się ku nim wśród ciemności. Zaczął

się śmiać. A potem zabrzmiał jeszcze inny dźwięk - przypominał pomruk wielkiego psa. Żółtawy odwrócił się w tamtą stronę.

- Co, u diabła?

Znowu ruszył ku nim. Panna Chase zaczynała już coś widzieć.

Mężczyzna był przed nimi, zbliżał się. Za nim dostrzegła dziwny, pulsujący ruch w ciemności. Nagle rozległ się okrzyk, zobaczyła innego mężczyznę, który przemknął jej przed oczyma, wbijając żółtawego z powrotem w mrok. Dziwny, obcy pomruk za jego plecami przeszedł w ryk. Cienie zaczęły się poruszać. Usłyszała piskliwy wrzask, pulsujące cienie ryknęły, rozdzieliły się. Zabrzmiał kolejny okrzyk, pojawiła się następna postać i odgłosy rozrywania czegoś.

- Graves?

- Tutaj! Mają go!

Okrzyk przerażenia. Nagle, w samym środku ciemności pojawił się jakiś mężczyzna, na wpół ubrany, dzierżący ponad głową zapaloną pochodnię.

- Co tu się dzieje, na Boga?

Nadpłynął blask ognia. Panna Chase kurczowo przycisnęła dzieci. U gardła żółtawego mężczyzny zobaczyła dwa wielkie, podobne do kotów stwory, rzucające nim jak szmacianą laską. Graves, z zakrwawionym tułowiem i oczami wytrzeszczonymi ze zgrozy, odczołgiwał się na plecach. Zobaczyła, jak Clode chwycił jedno ze zwierząt za kark i wrzucił je prosto 'do jamy, a potem złapał nogę żółtawego człowieka, próbując odciągnąć go od strasznych zębów. Pochodnia upadła. Ten, kto ją trzymał, skoczył do przodu, by pomóc Danielowi. Kopał drugiego kota w gardło, póki ten nie zwolnił uścisku szczęk. Panna Chase wstała z trudem, wzięła pochodnię i skierowała ją w stronę jaskini.

- Nie patrzcie - powiedziała dzieciom, a potem zerknęła tam, gdzie one już patrzyły, i nie potrafiła odwrócić spojrzenia.

Żółty mężczyzna leżał rozciągnięty u ich stóp, jego szyja była poszarpaną masą rozdartego ciała. W poprzek piersi biegly obwie-



dzione czerwienią szerokie, równe ślady pazurów, które rozdarły mu ubranie. Panna Chase zerknęła na swych niezwykłych wybawicieli. Koty miały obroże i przykuto je łańcuchami. Ich muskularne ciała pokrywały plamy, przypominające ślady małych kopyt. Zwierzęta rzucały się przed siebie tak daleko, jak tylko pozwalały im łańcuchy, cętkowane pyski miały czerwone i ociekające krwią, nie potrafiły jednak dosięgnąć żadnego ze swych pozostałych gości. Graves ciężko oparł się o mur z drugiej strony, twarz miał bladą, bok zakrwawiony oraz wilgotny. Susan wydała dźwięk będący czymś pomiędzy kwileniem a krzykiem i pogramoliła się ku niemu. Objął dziewczynkę ramieniem, przytulił.

- Susan, wszystko w porządku. Przeżyję.

Clode klęczał przy boku żółtawego mężczyzny. Wyglądał tak, jakby w trakcie walki postradał zmysły. Oddychał ciężko, z przodu okrywała go krew. Panna Chase nigdy nie sądziła, że na świecie jest tyle krwi.

Wszyscy zdawali się w niej nurzać. Zerknęła na własne dłonie.

Zobaczyła, że są odrapane i pokaleczone o ściany i podłogę. Mężczyzna, który przyniósł pochodnię, stał pośrodku tego wszystkiego, rozglądając się oszołomiony. Podniosła ku niemu wzrok.

- Co to za zwierzęta?

- To dwa samce *Panthera pardus* z rodziny *Felidae*. Powszechnie znane jako lamparty. A ja nazywam się John Hunter. To mój dom. A teraz, madame, kim pani jest, do diabła?

Clode zamrugał i spojrzał na niego, potem sięgnął do kieszeni, rzucając na ziemię zakrwawiony nóż. Wyciągnął list, który otrzymał w salonie Caveley. Wciąż klęcząc, uniósł pomięty brudny papier i podał go Hunterowi. Cały czas, z trudem starał się złapać wystarczająco dużo oddechu, by móc się odezwać. Hunter wziął kartkę i Danielowi wreszcie udało się wydyszeć:

- Wyrazy uszanowania od Gabriela Crowthera, wielmożny panie.

Wprowadź ich.

Głos Huntera stłumiony był jednymi z ciężkich drzwi na tyłach domu, oddzielających pomieszczenia mieszkalne od tych, w których prowadził badania. Choć naprawdę cały ów gmach stanowił miejsce jego pracy. Na ścianach wisiały olejne obrazy dziwacznych zwierząt, namalowane ze skrupulatną dokładnością, stały też czaszki i szkielety istot, jakich Susan nawet nie potrafiła sobie wyobrazić. Jonathana przygwoździł wręcz widok szkieletu węża, który spoczywał zwinięty w szklanym słoju u jego stóp, tak jakby za chwilę miał zaatakować. Gdy drzwi się otworzyły, siostra chłopca mocno ścisnęła dłoń panny Chase.

Hunter był mężczyzną w średnim wieku. Twarz miał dosyć płaską i rumianą, a na kamizelkę napierał mu znaczny brzuch. Stojący obok Clode zdawał się przy nim bardzo młody. Daniel włożył świeżą koszulę, jednak wokół szyi widać było na skórze ślady krwi. Próbował się uśmiechać i skrzywił się, czując ból szczęki. Mężczyźni stali za wielkim dębowym blatem, na którym leżały dwa ciała okryte brudnymi prześcieradłami. - Chcieliśmy, abyście ich zobaczyli, zanim pójdziecie spać -oznajmił Clode. - Ostatni raz. Aby pokazać wam, że naprawdę ich już nie ma. Susan przytaknęła i wypuściła dłoń panny Chase. Hunter zdjął prześcieradło z żółtawej twarzy zwłok bliższych dziewczynce, gardło jednak zostawił osłonięte. Dzieci zbliżyły się, przyglądały dłuższy czas. Trup miał oczy otwarte, bez wyrazu. Blask świec oblewał pomarszczoną pożółkłą skórę, tworzył kałuże cienia kołyszące się na tkaninie okrywającej szyję. Usta nieżywego mężczyzny były otwarte. Jonathan spojrział na Huntera.

- Czy jest martwy?

- I to bardzo.

- A kim jest ten? - Jonathan wskazał drugie ciało. Hunter odgiął prześcieradło, aby pokazać grube rysy towarzysza Żółtej Twarzy. Panna Chase dostrzegła, że Clode wzdrygnął się, gdy ukazano trupa. A więc to twoje dzieło, pomyślała. Dzieci znowu spojrzwały na zwłoki. Tym razem odezwała się Susan.

- Jest trochę podobny do syna pana Yellinga. - Uniosła wzrok ku Clode'owi, który patrzył na nią z życzliwą troską. - On był trochę przygłupi. Ale to nie on. I cieszę się, że nie żyje. Dziękuję, że ich pan zabił.

Odstąpiła, Daniel wydawał się nieco zakłopotany. Dziewczynka zwróciła się do Huntera.

- Co teraz z nimi będzie?

Hunter spojrzął na młodszego mężczyznę, ten zaś odpowiedział za niego.

- Ciała znikną - oznajmił. - Właśnie dlatego chcieliśmy, abyście zobaczyli je teraz.

Jonathan ziewnął, oparł się o szczupłe biodro panny Chase.

- Jak to znikną? - zapytał. Hunter się uśmiechnął.

- Potnę je na pokazach dla moich studentów. Chociaż może zatrzymam sobie ich czaszki.

Chłopiec uśmiechnął się zaspany.

- To dobrze.

Panna Chase objęła go ramieniem.

- Muszę położyć dzieci spać. Właśnie mieliśmy powiedzieć panu Gravesowi dobranoc.

Dżentelmeni ukłonili się, a ona wyprowadziła swych podopiecznych z izby, odwracając się plecami do dziwnego, podobnego do ropuchy mężczyzny stojącego między świecami i trupami.

- Dziękuję, panie Hunter - powiedziała cicho.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Chase.

Graves czuł się już dobrze. Był blady wskutek utraty krwi, został jednak porządnie opatrzony i teraz wręcz promieniał. Gdy tylko

drzwi się otworzyły, dzieci podbiegły do niego i wtuliły mu się w ramiona.

- Spokojnie! O Boże, taki sam z wami kłopot, jak z tamtym nożownikiem!

- Panna Chase przysiadła na skraju łóżka, patrząc, jak dzieci wciskają się weń niczym niemowlaki. Jonathan spojrział na niego jaśniejącymi oczyma.

- Pan Hunter ich potnie i zatrzyma sobie czaszki.

- To całkiem niezły plan.

Przez jakiś czas mówili sobie różne głupstwa, śmiejąc się bardziej, niż wydałoby się stosowne komuś, kto nie przeżył tej nocy strachu, nie poczuł, jak on odchodzi i został zeń obmyty - w końcu panna Chase spostrzegła na zewnątrz pierwszy blask świtu. Zaczęła się podnosić, gotowa zabrać dzieci z powrotem do łóżka. Drzwi otworzyły się gwałtownie. Pojawił się Clode, każdyjego ruch cechował pośpiech.

- Dobrze! Wciąż jeszcze nie śpicie. Patrzcie, co znaleźliśmy w kurtce tego człowieka! - Cisnął im plik papierów. Graves sięgnął po nie nad głową Susan. Panna Chase spojrzała na Owena wyczekująco.

- To jakiś liścik: „Oto jego adres. Załatw go i każdego z jego rodziny, jakiego tam znajdziesz”. No, to jest całkiem jasne. Na tym drugim świstku zapisany jest adres sklepu Aleksandra. Inną ręką.

Daniel pokiwał głową.

- Myślę, że znam tego, kto zapisał adres. To Carter Brook.

- Pierwszy człowiek zabity w Thornleigh?

- Tak. I postawię każde pieniądze, że pani Westerman i Crow-ther będą potrafili powiedzieć mi, kim jest autor drugiej notki. Udało się nam!

Wypędzimy żmije z twego domostwa, panie. - Puszczając oko, skłonił się przed Jonathanem. - A gdy się w nim zjawisz, będzie już dla ciebie gotowe. - Spojrzał po twarzach zgromadzonych. - Mam nadzieję, że dla was wszystkich. Ale ja muszę już ruszać, Hunter da mi konie. Muszę dostarczyć te papiery do rąk pani Westerman możliwie szybko.

Panna Chase uniosła dłoń.

- Ależ Clode, przez ostatnie dni prawie pan nie spał! Jest pan ranny! Pan musi wypocząć.

Wzruszył ramionami, wolną ręką macając obolałą część szczęki.

- Później będzie na to czas, panno Chase. To ostateczna rozgrywka, ostatnie rozdanie kart. Odpocznę, kiedy będzie po wszystkim.

Odwrócił się na pięcie i ponownie ruszył ku drzwiom. Za nim rozległy się ciche kroki, poczuł, jak ramiona Susan mocno go obejmują. Stała na paluszkach, aby pocałować go w brudny, zarośnięty policzek.

- Dziękuję, panie Clode.

Zarumienił się. Gdy go puściła, skłonił się przed nią dwornie.

- Cała przyjemność po mojej stronie, panno Thornleigh. Uniósł wzrok, uchwycił spojrzenie Gravesa. Ukłonili się sobie nawzajem, po chwili wyszedł. Susan długo wpatrywała się w miejsce, gdzie stał.

Harriet zdołała uchwycić kilka godzin niespokojnego snu, lecz wkrótce po pierwszym brzasku znalazła się w swoich lasach. Coś ją tam stale ciągnęło. Miejsce samo w sobie było miłe, wiedziała jednak, że bardziej chodzi jej o to, by zobaczyć miejsce, na które upadł Carter Brook.

Zatrzymała się tam, jej dłoń spoczęła na kolczastym krzewie, gdzie odnaleziono skrawek haftowanej tkaniny. Powtórzyła sobie w myślach każde swe działanie z ostatnich kilku dni. Czy istniało coś, co powinna uczynić inaczej?

Usiadła na ławeczce, z westchnieniem kryjąc twarz w dłoniach. Przez jej zmęczony mózg popłynęły obrazy. Opiekunka Bray, wisząca w starej chatce, straszna głębina rany na szyi Brooka, sycząca nienawiść listu, który dotarł do niej zeszłego wieczoru, żałosna walka z trucizną toczona przez psa Michaela, Wicksteed z ręką uniesioną, by wybatożyć kochankę Hugh. Czy można wytropić ślady trucizny? Zapyta Crowthera, on mógł to wiedzieć. Dlaczego Hugh nie wyjawiał im, że butelkę kazał mu zanieść jego rządca? Czym ów człowiek trzymał go w szachu?

Usłyszała za sobą jakiś ruch i podskoczyła, odwracając się gwałtownie. Zobaczyła Wicksteeda we własnej osobie, serdecznie uśmiechniętego.

- Wicksteed!

- Owszem, pani Westerman. wyszła pani na poranny spacer?

Zachowywał się dziwnie zuchwale. Stał się mniej ostrożny, a bardziej triumfujący, wyzbył się uniżoności. Patrzył na nią i nie mogła oprzeć się wrażeniu, iż bawi go jej widok. Wyprostowała się, starając się spoglądać nań zimnym, rozkazującym wzrokiem. Kraniec ust skrzywił mu uśmiezek.

- Jak pan widzi - oznajmiła chłodno.

- Pani Westerman, lubię wybrać się na mały obchód swych ziem, nim zabiorę się do codziennych obowiązków.

- Pańskich ziem? - Ironia, jaką usiłowała zawrzeć w głosie, o mało jej nie zadławiła.

- Powiniennem rzec: ziem mych chlebobawców, prawda? Chociaż jeśli kapitan Thornleigh zawiśnie, dziedzic będzie synem kaleki i dziwki, sądzę zatem, że moja krew będzie równie dobra, jak jego. Usiadł na ławce z wystudiowaną swobodą i uśmiechnął się do Harriet. Stała przed nim.

- Sądzisz, Wicksteed, że nadal będą cię zatrudniać, skoro wyrażasz się o lady Thornleigh w taki sposób?

Na jego twarzy pojawiła się nagle czułość, przez chwilę wydawał się prawie łagodny. Wyciągnął z kamizelki tabakierę wysadzaną bogato klejnotami i podsunął ją Harriet, ona jednak z odrazą zbyła go machnięciem ręki. Wzruszył ramionami, wziął sobie porcję, roztarł tytoń na grzbiecie dłoni, po czym wciągnął do nosa. Odezwał się, obracając pudełeczkiem w dłoni. Zauważyła, że gdy jest odprężony, w jego głosie pojawia się przyjemny, tenorowy zaśpiew, co sprawiało, że słowa brzmiały jeszcze brutalniej.

- Moja lady wie, kim jest, pani Westerman. Jest nieustraszona w obliczu prawdy. A co do pani, to kim pani jest? Dziwką marynarza, szwendającą się po okolicy, tu i tam wywołującą skandale, jak pijany majtek z jego załogi po zejściu na ląd.

Harriet nagle źle się poczuła. Przełknęła ślinę.

- Jak pan śmie odzywać się do mnie w taki sposób? Uśmiechnął się.

- A czemu mam się ciebie bać? Ty i ten twój rzeźnik robiliście wszystko, co w waszej mocy, a nie wskóraliście nic, oprócz zgrabnego wsunięcia Hugh pętli na szyję, a sędziego do mej kieszeni.

Przechylił głowę na bok, prawa dłoń uniosła się i zatańczyła w powietrzu, jakby leniwymi parabolami dyrygowała przepływem spraw.

- Nie, słodziutka. To ty powinnaś się bać, nie ja. Nie lubię cię i nie sędzę, żebyś powinna dłużej pozostawać w Caveley.

Harriet zamrugwała.

- A co pan ma do powiedzenia w tej sprawie?

- No, dalej! Czyż właśnie tego nie mówiłem? Słuchaj uważnie, kochana! Za miesiąc Hugh nie będzie żył, a ja będę władał dworem. Wiesz to równie dobrze, jak ja. Wówczas moim pierwszym, moim głównym zadaniem będzie uczynienie ci życia piekłem na ziemi. Nikt dobrze urodzony się do ciebie nie odezwie, nie będziesz mogła zaopatrzyć swego gospodarstwa w nic, co będzie w jakikolwiek sposób związane z dworem Thornleigh. Twoja reputacja, choć i teraz niepewna, legnie w gruzach, a twą siostrą zaś będzie się gardzić - umilkł na chwilę, a potem dodał łagodnie: - Tak właśnie będzie, pani Westerman. Z całą pewnością.

Odsunęła się od niego o krok. Przypomniała sobie widzianego kiedyś na Barbadosie żółtego jaszczura, który wyrzucał różowy język, aby łapać muchy. Miała wrażenie, że znów ogląda to stworzenie, tyle że ubrane i rozmawiające z nią.

- Wicksteed, niech pan nie będzie taki pewny. Coś się jeszcze wydarzy. A zadrapania na twym ramieniu mogą ściągnąć na ciebie zgubę.

Wydał się szczerze zdumiony.

- Zadrapania?

Zrzucił gwałtownie kubrak, podwinął luźne rękawy lnianej koszuli, powoli obracając przeguby tak, aby Harriet mogła je sobie

obejrzeć. Od ramienia aż po dłoń na skórze nie było żadnego śladu. Ręce miał białe i wypiełgnowane, bez ran. Zobaczył jej zaskoczenie i znowu się roześmiał.

- Słonko, chciałaś mnie przestraszyć, a sprawiłaś, że jestem bezpieczniejszy!

Harriet poczuła, jak szybko łomocze jej serce. Twarz mężczyzny aż poróżowiła z zadowolenia. Bez namysłu uniosła szpicrutę, chcąc go uderzyć. Okazał się jednak dla niej zbyt silny. Szybka dłoń pomknęła do przodu, złapała końcówkę bacika. Zacisnął na nim palce, mocno pociągnął, aż kobieta potknęła się, przechylając do przodu. Ciężko dyszał, na kilka chwil ogarnęło go rozbawienie, które przeszło we wściekłość. Dostrzegła ją w jego bladoniebieskich oczach.

- Wiesz, co suko? - Ich twarze znalazły się tak blisko siebie, że poczuła gorąco oddechu. - Wyjedziesz stąd. Tylko ty. Zostaw męża, siostrę, dzieci, odejź gdzieś, a ja będę dla nich najśłodszym sąsiadem na świecie. Zostaniesz albo sprzedasz wszystko i zabierzesz ich ze sobą, a ja będę na ciebie polował. Twój majątek, majątek twego męża, twej siostry... wszystko przepadnie. Gdy skończę, nic już nie zostanie. Jeśli jednak wyjedziesz, zdołam ocalić ich przed tą karą. Tak. Tak będzie nawet lepiej. Odbiorę ci rodzinę.

Ślina mężczyzny opryskała jej twarz. Wypuścił kraniec szpicruty a Harriet, mając w głowie tylko zgrozę, odwróciła się i popędziła w dół zbocza, ku Caveley.

## 5

Ona nie chce ze mną porozmawiać!

Crowther poklepał dłoń Rachel, gdy spoczęła mu na ramieniu. - Co się stało?

Dziewczyna patrzyła nań, cała zapłakana.



- Wbiegła w chwili, gdy zeszłam na śniadanie, z płaczem, a Harriet nigdy nie płacze. Potem ruszyła prosto do swego pokoju. Pukałam i pukałam, ale ona tylko prosi, żebym zostawiła ją samą.

Uczony zmarszczył brwi.

- Dziś rano nie przyszło więcej listów?

- Nie. A wieczorem nie zdawała się nimi zbyt przejmować. Crowther wzruszył ramionami i oparł łaskę o jeden z regałów z książkami w salonie.

- Panno Trench, czy chciałaby pani, abym z nią porozmawiał?

Przytaknęła, gorliwie otworzyła przed nim drzwi.

Gabriel się zatroskał. Gdyby tydzień temu ktoś powiedział mu, że znajdzie się pod sypialnią szanowanej damy, prosząc o wpuszczenie do środka, poczułby się zbyt zaskoczony i urażony, żeby chociaż się roześmiać. A jednak teraz właśnie był w takim miejscu. Myślał, że zna panią Westerman dość dobrze, by wiedzieć, że nie zachowywałaby się tak, nie mając poważnego powodu. Zapukał więc delikatnie.

- Pani Westerman, tutaj Crowther. Czy mogę z panią porozmawiać? Pani siostra się martwi.

Z pokoju rozległo się westchnienie i jakiś szelest. Do drzwi zbliżył się odgłos kroków, ale potem ustał. Usłyszał głos Harriet.

- Jest pan sam?

- Tak.

Drzwi otworzyły się i Gabriel ujrzał panią Westerman z oczami zapuchniętymi od płaczu i bardzo bladą twarzą.

- Niech pan wejdzie, Crowther. Coś się stało.

Nie przerywając, pozwolił jej zrelacjonować rozmowę z Wick-steedem, potem siedział dłuższą chwilę w milczeniu. Następnie potrząsnął dzwonkiem. Szybkość, z jaką zareagowano na jego wezwanie, świadczyła o tym, że pani Heathcote już od jakiegoś czasu wyczekiwała na zewnątrz. Spotkał ją w drzwiach.

- Pani Heathcote, pani Westerman wypije kawę i zje grzanekę w swojej sypialni. - Wstał, aby wyjść, potem zatrzymał się i odwrócił.

- I proszę powiedzieć panie Trench, że z jej siostrą wszystko w porządku.

Gospodyni spojrzała na niego z wdzięcznością.

- Oczywiście. Dziękuję panu.

W jej głosie było tyle szczerego ciepła, iż Crowther aż się uśmiechnął.

Wrócił na fotel, stojący przy kominku naprzeciwko Harriet i założył nogę na nogę.

- Nie wiem, co mam pani powiedzieć, pani Westerman, a w moim wieku to wstrząsające wyznanie. Każdy cywilizowany człowiek powinien dokładnie wiedzieć, co ma mówić w takich okolicznościach.

Wywołało to u niej niechętny śmiech.

- Crowther, nigdy nie miałam pana za kogoś szczególnie cywilizowanego.

Uśmiechnął się, ale znowu zobaczył na twarzy kobiety paroksyzm bólu.

- O Boże! Sądzi pan, że będę musiała opuścić Caveley?

Od udzielenia odpowiedzi ocaliło go zjawienie się pani Heath-cote niosącej śniadanie dla Harriet. Jemu też przyniosła filiżankę i z ostentacyjną starannością nalala kawy. Gdy tylko zamknęła za sobą drzwi, odparł:

- Być może.

- Ale co ja pocznę? Powiedział mi, że muszę zostawić tutaj całą swoją rodzinę. Będę wygnańcem.

- To nie jest zbyt wdzięczna rola, wiem coś o tym. Ale da się znieść - mówił łagodnie, a ona w odpowiedzi powoli kiwała głową. Crowther odchrząknął, jego głos stał się bardziej energiczny. - Mówi pani, że na rękach nie było żadnych śladów?

- Żadnych. Może to jednak był Hugh?

- Nie wierzy w to pani?

- Nie.

Przyglądał się swoim paznokciom, a potem złożył dłonie w daszek i z powrotem rozsiadł się w fotelu.

- A zatem, pani Westerman, niech pani jeszcze nie porzuca nadziei. Musimy spróbować dowiedzieć się czegoś o truciznie, no i mamy nad Wicksteedem jedną przewagę.

Szybko na niego spojrzała.

- Mamy te dzieci.

Panna Chase delikatnie zapukała do drzwi, a potem weszła do pokoju, w którym odpoczywał Graves. Zajmował się nim John Hunter, który spojrzał na nią wściekle, a potem, rozpoznając ją, pozwolił sobie na uśmiech.

- Jak tam nasz pacjent, panie Hunter?

Starszy z mężczyzn, nim odpowiedział, skończył mierzyć Gravesowi puls i z wielką delikatnością odłożył rękę pacjenta na pościel.

- Jest młody. Jeśli w ranę nie wda się zakażenie, a nie dostrzegam żadnych tego oznak, poradzi sobie.

Graves uniósł się z powrotem na poduszkach. Wyglądał blado, ale poza tym raczej tak, jak panna Chase się spodziewała.

- Zatem nie zamierza pan upuszczać mi krwi? Hunter parsknął śmiechem.

- O Boże, nie! Już kto inny wystarczająco pana wykrwawił. Uważam to za barbarzyńską praktykę. Upuszczam krew tylko kokietkom, które wyobrażają sobie, że są nieco nerwowe i pragną mieć wymówkę, aby mdleć i być blade. To nie jest medycyna. Nigdy nie widziałem w tym niczego poza czynieniem słabego ciała jeszcze słabszym.

Verity uśmiechnęła się do niego.

- Jest pan prawdziwym rewolucjonistą. Pokiwał głową.

- Panno Chase, podobnie jak Gabriel Crowther, z dumą mienię się uczonym. Uczymy się, korzystając z danych nam przez Boga oczu, uszu oraz umysłów. Połowa ludzi, zowiących się w Londynie medykami, tego, co wie, nauczyła się, recytując łacinę starożytnych

i mieląc kolorowe proszki. Nigdy nie robią notatek. Nigdy tak naprawdę nie przypatrują się pracującemu ciału i tak tylko przeszkadzają. - Cały się wzdrygnął. - Panno Chase, sprawiła pani, że właśnie wsiadłem na swego konika i gdybym nie był ostrożny, jeździłbym na nim aż do obiadu. - Znow spjrzał na rannego. - Zostawię pana w towarzystwie tej młodej damy. Musi pan jednak odpoczywać. I proszę nie pozwalać chłopczykowi skakać po sobie i przesunąć opatrunków, jakie panu założyłem. Dowiem się, jeśli pan tego nie przypilnuje.

Uklonił się, wyszedł z izby, a panna Chase usiadła obok łóżka. Graves podźwignął się na ramieniu i odwrócił ku dziewczynie. Dostrzegła pod jego koszulą kształt obojczyków, cień w zagłębieniach w pobliżu szyi. Uśmiechnęła się przelotnie, spojrzała na swe dłonie, nagle czując się niezręcznie.

- Pan Hunter jest dla nas bardzo miły. Graves się roześmiał.

- Podejrzewam, że nie mogliśmy lepiej mu się przedstawić, niż przynosząc dwa świeże trupy. Zwłaszcza takie, za które nie musi płacić porywaczom zwłok.

- Próbowałam mu wyjaśnić nieco więcej. Uciszył mnie i odparł, że nie interesują go żadne opowieści i że ma swoją pracę do zrobienia.

- Zal mi jego kolegów po fachu, którym okazuje tak niewiele szacunku. Wątpię, aby czyniąc tak, miał jakiegokolwiek wyrzuty sumienia.

Nastała chwila ciszy. Panna Chase nie patrzyła na Oweną, choć tak mocno odczuwała jego obecność, że aż bolało.

- Panno Chase...

Nie pamiętała, aby kiedykolwiek mówił tak cicho. Zawsze go lubiła, oczywiście, lecz miała raczej za niezdarnego młodzieńca. Dostrzegła, że ją adoruje i rada była z jego uwagi, jednak ani przez moment nie przyszło jej do głowy, by mogło pojawić się u niej mocniejsze uczucie wobec tego mężczyzny. Potem wszystko zaczęło się zmieniać, razem z nim.

Przerwała mu.

- Wysłałam wiadomość do rodziców. Mam nadzieję, że wkrótce się do nas odezwą. - Potem uśmiechnęła się i zerknęła na towarzysza. - Sądzę, że może mieć pan kłopot ze swoją podopieczną. Panna Susan Thornleigh zakochała się po uszy w Danielu Clodzie.

Graves roześmiał się serdecznie, a potem skrzywił, kiedy zaprotestowała skóra, odrastająca wokół rany.

- Myślę, że mogła gorzej trafić. Jest dobrym człowiekiem i do tego przystojnym. Z całego serca daję jej więc przyzwolenie, aby go lubiła.

Panna Chase nieco się zarumieniła i odwzajemniła uśmiech.

- Okropny z pana opiekun. Ona przecież będzie bogata. Utytułowana. Z koneksjami. Powinien pan myśleć dla niej o co najmniej diuku, a nie jakimś prowincjonalny prawniku.

Odwrócił się na plecy i podziwiał baldachim łożka nad głową.

- Każdy bogacz potrzebuje prawnika. Dzięki temu rodzina oszczędzi fortunę na honorariach. Chociaż dziadek tych dzieci nadal żyje, prawda?

- Tak właśnie powiedział pan Clode. I jest jeszcze stryj, chociaż nie odniosłam wrażenia, aby lubił jednego i drugiego.

Graves nagle poczuł się zmęczony. Piekły go oczy, powieki zrobiły się ciężkie, rozpalone. Pozwolił im opaść na chwilę, wydało mu się, że obecność tej kobiety w pokoju wywoływała blask. Żłoty i jasny pośród ciemności.

- Proszę pamiętać, że on pojechał, aby wypłenić żmije z Thornleigh Hall. Musimy mu zaufać, jemu i naszym nowym przyjaciółom, temu Gabrielowi Crowtherowi i pani Westerman, iż odpowiednio przygotują miejsce na przyjęcie dzieci.

## 6

Mała, przypominająca krecią twarz spojrzała na nich, ożywiona ruchami wężącego nosa.

- Pan Crowther, pani Westerman! Cóż za radość! Jakaż przyjemność! Czy w papierach mego ojca jest jeszcze coś, co pragną państwo przestudiować? - Pan Young rozpostarł ramiona na ich powitanie. Harriet uśmiechnęła się do niego, podała mu rękę.

- Niestety tak. I nam przykro, że znowu pana kłopotujemy.

- Na Boga, pani Westerman, to dla mnie żaden kłopot. Od lat nie udzielałem się tak towarzysko. Aż uderza mi to do głowy.

Drepcząc; zaprowadził ich prosto do dawnego gabinetu swego ojca i wszedł tam za nimi. Crowther rozejrzał się przez chwilę dookoła, a potem odwrócił w stronę gospodarza.

- Chciałbym także, aby oświecił mnie pan, udzielając zawodowej porady. Mały człowieczek z zapalem pokiwał głową, na tyle gwałtownie, że peruka zsunęła mu się na ucho.

- Muszę się dowiedzieć, kto tu w okolicy jest jednym z lepszych aptekarzy. Nie jest mi wygodnie stale posyłać do Londynu po moje chemiczne preparaty. Jacy dżentelmeni z okolicy znają się na truciznach? Twarz pana Younga pojaśniała.

- O, nie ma tutaj wielkiego wyboru, panie Crowther, sądzę jednak, że będzie pan zadowolony z Augustusa Gladwella, pochodzącego stąd, z Pulborough. To on jest właśnie aptekarzem, do którego udaje się cała okolica. Jego dom znajduje się ledwie krok stąd, a chociaż zdecydowana większość jego prac związana jest z truciznami i lekarstwami, zobaczy pan, że potrafi wykonać znacznie bardziej złożone substancje... - nachylił się, ściszył głos do konfidencjonalnego szeptu - ...jeśli zostanie stosownie poinstruowany. Mniemam, że wzdycha nieco, gdy widzi mnie wchodzącego do swego sklepu, albowiem od czasu do czasu lubię poeksperymentować sobie z efektami dawanymi przez różnorakie dodatki oraz różne proporcje, w mych uśmiercających gazach i środkach konserwujących. Ale wzbudziłem jego zainteresowanie i często przeżywaliśmy niewielką przygodę, sporządzając właśnie taką mieszankę, jakiej nam było trzeba. On też kolekcjonuje różne osobliwości, powinien więc z przyjemnością pana poznać.

Pochylił głowę i wyraźnie puścił oko. Ten ruch zaskoczył perukę, toteż po raz pierwszy, odkąd Crowther i Harriet go spotkali, usadowiła się dokładnie tam, gdzie było jej miejsce.

Pan Young dopilnował, aby podano im przekąskę, po czym zostawił ich wraz z ich studiami. Niedługo potem Crowther usłyszał, że Harriet go wzywa.

- Miał pan rację. Stary sędzia nie pozwolił, aby cokolwiek umknęło jego dziennikom. Oto co napisał o śmierci lady Thornleigh: „Rozmawiałem z lordem, który dobrowolnie przyznał się do tego, iż towarzyszył żonie, kiedy upadła, a potem spojrzał mi w oczy, jakby ciekaw, czy ważę się wypytywać go o coś jeszcze. Nie ma wszak nic prostszego niż upadek. Wszyscy, od czasu do czasu, się potykamy. Widziałem milady leżącą na ziemi i sędzę, że wyglądała na spokojną, choć to może mój umysł starał się uciszyć sam siebie, zwłaszcza biorąc pod uwagę te wcale nie ciche chwile, kiedy czekałem, aż ona oskarży swego męża o zamordowanie tamtego dziewczęcia, kilka lat temu. Na ciele zasadniczo nie było śladów, chociaż na przegubie miała siniak, tak jakby ktoś zań trzymał.

Ktokolwiek zostawił te ślady, wyglądały, jakby chwycił mocno. Czy jednak próbował ją ratować, czy też sam ją zrzucił, tego już rzecz nie mogę. Służący, Shapin, który widział upadek, niewiele miał do powiedzenia - nie tyle, aby jego zeznanie dało się kiedykolwiek wykorzystać przeciwko jego panu. I rzecz jasna, gdy opowiadał, Thornleigh znajdował się wraz z nim w tym samym pomieszczeniu. Shapin sądził, że kiedy do niej dotarł, wciąż jeszcze żyła. »Widziałem, jak światło uchodzi jej z oczu«, mówił. Earl się z tym nie zgadzał. »Shapin, gdy masz złamany kark, światło znika od razu«. On zaś był odpowiednio pokorny i przyznał, że mógł się mylić. Mój lord zamierza po pogrzebie żony większość czasu spędzić w Londynie. Rad jestem z tego. Mam nadzieję, że jego synowie okażą się lepszymi ludźmi niż ich ojciec. Przynajmniej połowa ich krwi pochodzi od matki".

Crowther się uśmiechnął.

- Widzi pani, pani Westerman?

Przyłożyła dłoń do czoła.

- Sądzę, że...

Z nagłym stukiem ściągnął łaskę w dół, na wyłożoną grubym dywanem podłogę. Uniosła się niewielka chmurka kurzu i opadła mu na wypolerowane buty.

- Ale my wiemy. Proszę mi powiedzieć!

Spojrzała na niego z nagłym zrozumieniem, ujrzała jego poczerwieniałe policzki, lodowy błysk w oczach.

- Lord Thornleigh zabił Sarah Randle, zatrzymał sobie na pamiątkę medalionik z własnymi włosami. Jego żona go znalazła, oskarżyła i została zrzucona ze schodów, Shapin zaś to zobaczył, widział może nawet więcej, niż wtedy pojmował.

- Został zatem odsunięty od swych przyjaciół, oskarżony o kradzież i zesłany do Ameryki.

- Gdzie w końcu spotkał Hugh... - powiedziała Harriet.

- ...i Wicksteeda. To właśnie on musi być człowiekiem, za którego sprawą kapitan Thornleigh pokutuje. Hugh musiał zabić Shapina. Wicksteed wiedział zaś o tym i wiedział, dlaczego tak się stało.

- Wykorzystał tę wiedzę, aby zarządzać dworem po odejściu z wojska. Crowther uśmiechnął się do niej.

- Uważam, że może tak być. Niezwykłych ma pani sąsiadów, pani Westerman. Czy idziemy teraz w odwiedziny do miejscowego truciciela? Augustus Gładwell należał do najwyższych mężczyzn, na których kiedykolwiek spoczął wzrok pani Westerman. Był też tak chudy, że Crowther zdawał się przy nim masywny. Gabriel przyglądał mu z takim zainteresowaniem, że Harriet aż zrobiło się nieswojo. Aptekarz miał zapadnięte policzki, włosy rzadkie i posiwiałe, spięte ponad szyją. Sklep był spory, chociaż nadzwyczajny wzrost właściciela sprawiał, iż wydawał się niższy i ciaśniej szy niż w rzeczywistości. Wszędzie wokół leżały narzędzia pracy Gładwella. Ścianę za



lada zaopatrzone w setkę szufladek, każdą opatrzone miedzianą tabliczką, opisaną pajączymi literami. Sama lada, a także boczne stoliki zastawione były dużymi słojami, stłoczonymi i błyszczącymi w popołudniowym słońcu. Zona komandora zdumiała się, że przez cztery lata, przez które nazywała Caveley domem, nie miała jeszcze ani razu sposobności, by tutaj zawitać. Owszem, kupowała leki u aptekarza, lecz tylko przez służbę. Zapach przypominał jej własną kuchnię, kiedy pani Heathcote robiła przetwory na zimę. W powietrzu wisiał zapach goździkowego olejku, przez co owo miejsce zdawało jej się jesienne nawet w letni dzień. Na ladzie stało kilka szalkowych wag, począwszy od takiej, na której dałoby się zważyć ziemniaki, po najmniejszą, co do której Harriet była pewna, że zważyłaby jej oddech - tak misterna i delikatna się wydawała. Aptekarz uśmiechnął się i ruszył w ich stronę.

- Pan Gładwell, nieprawdaż? - zapytał Crowther. Mężczyzna powoli pokiwał głową. - Ja nazywam się Gabriel Crowther. Przysłał mnie tu pan Young.

Oczy aptekarza załśniły szczerym zachwytem.

- To jeden z mych najlepszych klientów i jeden z najbardziej wymagających. Sądzę, że słyszałem pańskie nazwisko i liczyłem na poznanie pana.

Głos miał dziwnie szepczący, brzmiał, jakby pergamin posypywano piaskiem. Crowther rozglądał się wokół z wielkim ukontentowaniem.

- Myślę, że znalazłem tu przyjaciela. - Uczony zerknął do jednego ze szklanych słoików, w którym pływało coś, czego Harriet dla spokoju własnego umysłu postanowiła nie rozpoznawać. - Jak dawno wykonano ten preparat?

- Dwa lata temu.

- Niezwykłe.

- Tyle samo czasu spędziłem nad szczeliwem i nad samą cieczą.

Słyszałem jednak, że i pan ma niezwykłą kolekcję.

Obaj mężczyźni schylili się nad pojemnikiem. Harriet chrząknęła, uczony wyprostował się niechętnie.

- Mam nadzieję, że będziemy jeszcze mieli czas, aby w pełni przedyskutować tę sprawę, wprawdzie jednak moja towarzyszka chciałaby o coś pana zapytać.

Pani Westerman uśmiechnęła się uprzejmie i zrobiła krok do przodu.

- Potrzebuję czegoś, co wytępi myszy. Gladwell zmarszczył czoło.

- Pani Westerman, zaledwie miesiąc temu pani gospodyni wzięła ode mnie coś stosownego na zwierzęta w pani stodole.

Kobieta zamrugnęła, zamachała rękoma.

- Tak, ale w majątności lorda Thornleigh powiedziano mi, że mają coś jeszcze lepszego i myślę, że powinniśmy to wypróbować.

Mars na czole Gladwella pogłębił się, ślady życzliwego powitania zdały się z niej zniknąć, jakby wymiecione pustynnym wiatrem.

- Mają dokładnie taki sam preparat, jaki jest u pani w domu, madame.

- Sądziłam, że pan Wicksteed...

- wystarczy, pani Westerman - wtrącił się Crowther. Gladwell spojrzał na niego zaskoczony. Uczony oparł się na lasce i zerknął na swą towarzyszkę.

- Jak zwykle pani przedstawienie jest wyjątkowe, jednak jestem pewien, że więcej dowiemy się od pana Gladwella, zaprezentowawszy sprawę bardziej wprost.

Harriet przestała się uśmiechać.

- Naprawdę?

- Z pewnością.

Wzruszyła ramionami i usiadła nieopodal jednego ze stolików. W słoju obok jej łokcia spoczywała mysz z dwoma ogonami. Powieki miała zamknięte, niby śpiąca, unosiła się w cieczy, jakby leciała wśród przestworzy. Kobieta oparła się pokusie, aby zapukać w szkło i przekonać się, czy gryzoń otworzy oczy i spojrzy na nią. Pan Gladwell dalej marszczył czoło, stojąc za ladą i przypatrywał się Crowtherowi.

- W niedzielę wieczór, w Hartswood, otruto Joshuę Cartwrighta.

Arszenikiem. Podejrzewam, że zabił go zarządca dworu

Thornleigh i zastanawiam się, czy ostatnio kupował od pana arszenik. Pan Gladwell przez dłuższą chwilę wytrzymał spojrzenie anatoma. Wreszcie odchrząknął.

- Zakładam, panie Crowther, iż pan...

- Tak, sprawdziliśmy na psie to, co pozostało w butelce. - Harriet mimowolnie się skrzywiła. - To z pewnością był arszenik. Czy Wickstead kupował od pana arszenik?

Zamiast odpowiedzieć natychmiast, aptekarz wyszedł zza lady, przeszedł przez izbę, zbliżył się do okna wychodzącego na ulicę i zaciągnął roletę. Zdało się, że przemierzył tę przestrzeń jednym tylko krokiem, bardziej niż idąc, po prostu rozkładając i składając swe członki.

- Może czymś państwa poczęstuję? Gdybyście byli państwo tak uprzejmi i przeszli do salonu...

Prywatne pokoje pana Gladwella, z tyłu sklepu, umeblowaniem nie różniły się zbyt od tych, w których zajmował się interesami, jednak tutejsze krzesła przeznaczone, by siedzieć na nich dłuższy czas, a szuflady z ziołami i tynkturami ustąpiły miejsca oprawionym w skórę foliałom. Zamkniętych w słojach dziwactw zrobiło się jednak nieco więcej. Aptekarz zdawał się mieć upodobanie do wybryków natury, o czym świadczyła już mysz o dwóch ogonach, a potwierdziła w bawialni jaszczurka z dwoma głowami. O tych właśnie preparatach obaj mężczyźni dyskutowali czas jakiś, póki nie dostali herbaty i nie usiedli. Filiżanka pana Gladwella, w jego długich chudych dłoniach wyglądała jak dziecinna zabawka. Skóra jego dłoni była tak biała, że błyszcząca porcelana zdawała się przy nich matowa i pożółkła.

- Dziękuję panu za szczerą, panie Crowther - zaczął Gladwell swym piaskowym głosem, po tym jak krótki okres ciszy oznajmił, że zmiierzają ku nowemu tematowi. - To, co powiedziałem pani Westerman, jest całkowitą prawdą. Preparat, który Thornleigh Hall wzięło ode mnie, aby pozbyć się niechcianego zwierzęcego życia,

jest taki sam, w jaki zaopatrzyliśmy Caveley i oparty na strychninie, nie na arszeniku. Ale niedawno odbyłem rozmowę, którą, jak teraz mniemam, powinienem się z państwem podzielić.

Harriet odstawiła filiżankę, w tym celu zrobiła sobie miejsce na stoliku, odsuwając słój, z którego bycze oko przypatrywało się jej życzliwie.

- Z ciekawością tego posłuchamy - zapewniła. Olbrzym się uśmiechnął.

- Mam w okolicy sporo konkurentów, niektórzy to zacni ludzie, a niektórzy, jak sądzę, nie. Jeden z tych drugich zajrzał do mego sklepu ledwie wczoraj. Liczył, że zostawi u mnie jakieś pigułki przeciw podagrze, własnej receptury. Stawiał przy tym rozmaite żądania, które uznałem za wygórowane i może nie ukryłem tego faktu. Nieco się na mnie rozgniewał.

Uśmiechnął się nieznacznie na to wspomnienie i uniósł dłoń, jakby chciał w ten sposób wymieść zły humor swego kolegi po fachu. Harriet przypomniała sobie, jak jej koń machał ogonem, odganiając meszki.

- Sądzę, że jego duma została nieco urażona. Powiedział mi, abym w przyszłości nie liczył na klientelę w Thornleigh Hall, albowiem to on robi z nimi interesy. Ale to nie pan Wicksteed dokonał zamówienia, o którym wspominał. Powiedział mi, że w niedzielny poranek sprzedał sto siedemdziesiąt dwa gramy arszeniku samej lady Thornleigh.

Harriet gwałtownie przełknęła ślinę, Crowther odstawił filiżankę.

Odezwał się po chwili.

- To spora ilość.

- W rzeczy samej. Starczy, aby wyplenić myszy w całym mieście.

i koty. I psy. Sądzę, iż mój kolega był dumny, że sprzedał tak dużo.

Zawsze sprzedawał więcej, niż potrzebowali klienci, nie znosił, kiedy opuszczali jego sklep z pustymi rękoma. Znam parę osób, które weszły tam całkiem zdrowe, a wyszły przekonane, iż tak naprawdę, za sprawą najróżniejszych chorób, znajdują się na skraju śmierci. Sądziło się, że mają niebywałe szczęście, natykając na niego akurat we właściwym momencie, by uniknąć kataklizmu.

Crowther uśmiechnął się do czubków swych palców.

- To nie może być korzystne dla pańskich interesów. Olbrzym uniósł chude ramiona.

- Koniec końców, większość z nich powraca do mnie. Niewielu wyrządził jakąś trwałą krzywdę, ale sprzedaż tak wielkiej ilości arszeniku utkwiała mi w pamięci.

- Istotnie, panie Gladwell, to rzecz warta odnotowania. Czy znał pan pana Cartwrighta?

- Przelotnie, jak wielu z nas, którzy prowadzimy interesy w hrabstwie. Nie wydawał się człowiekiem, który zasłużył na to, by umrzeć w podobny sposób. Arszenik posyła nasze ciało do piekła na długo przed tym, jak dusza ucieka, by doń dołączyć. A lady Thornleigh wzięła tak wielką ilość. Mam nadzieję, że dla własnego dobra nie łamiecie się państwo chlebem przy jej stole.

Harriet ponownie uniosła filizankę. Oko w słoju zatrzęsło się, jakby chciało zwrócić na siebie jej uwagę.

- Nie. Ale nie podoba mi się, że mieszkam tak blisko.

7

Zyczy sobie pani udać się do sędziego? - Crowther właśnie pomagał pani Westerman wsiąść do jej powozu, stojącego pod najlepszym zajazdem w Pulborough. Harriet odwróciła się ku niemu, z jedną stopą na ziemi, drugą uniesioną na stopniu eleganckiej małej bryczki, z jakiej korzystała, podróżując po okolicy. Dłoń trzymała w jego dłoni.

- Nie wiemy jednak, jak Wicksteed dowiedział się o spotkaniu z Brookiem, a nasze wnioski co do Shapina to w najlepszym razie zgadywanka. Czy nie sądzi pan...?

Zanim jednak zdołała dokończyć myśl, na damę i dżentelmena wpadło dwóch wyrostków w powiewających zgrzebnych koszulach.

Przerażona Harriet nagle znalazła się na ziemi, czując, jak wykręca jej się kostka. Mocno uderzyła plecami w wysokie koło powozu. Usłyszała, że woźnica wrzeszczy i zeskakuje z kozła, każąc pachołkowi, aby trzymał zwierzęta. Laska Crowthera spadła na ziemię, wysunąwszy mu się z ręki, i potoczyła po bruku. David chwycił jednego z chłopaków za kołnier. Drugi młokos dostrzegł laskę anatoma, gdy ten po nią sięgał, postawił stopę na smukłym drewnie. Trzasnęło między przypominającymi poduchy kamieniami. Gabriel z trudem podniósł się na nogi, a wstając, grzbietem dłoni zdołał sięgnąć twarzy napastnika. Głowa wyrostka odskoczyła do tyłu, uniósł pięść, potem się zaśmiał i splunął pod nogi. Crowther ponownie sięgnął ku niemu, ale chłopak okazał się zbyt szybki. Rzucił się w stronę swego towarzysza, pomiędzy niego a czerwonoliciego woźnicę, który go wypuścił. Popędzili, ile sił w nogach, ścigani przez Davida, Crowther odwrócił się w stronę Harriet i pomógł jej wstać. Obe-rżystka wybiegła już, spiesząc przez kocie łby. Fartuch wydymał się wokół niej obłokiem zdenerwowania.

- Dobry Boże! Cóż to się dzieje? - Objęła Harriet i pomogła jej wstać.

- Nic mi nie jest. Chyba tylko skręciłam kostkę. - Pani Westerman spróbowała się oprzeć na bolącej nodze i mocno pobladła, a potem ustawiła się inaczej, pozwalając, aby na ramieniu anatoma spoczęła większość jej ciężaru.

Gospodyni wyglądała tak, jakby za chwilę miała się rozpłakać.

- Nie potrafię w to uwierzyć! Nigdy czegoś takiego nie widziałam! Harriet spróbowała się uśmiechnąć.

- Naprawdę, pani Saunderton, zupełnie nic mi nie jest. To nic. Tylko dwóch głupich młokosów.

Uczony rozejrzał się. W drzwiach zajazdu dostrzegł znajomą postać Wicksteeda. Uśmiechał się do nich, ramiona miał skrzyżowane na piersi. David, woźnica, wrócił na podwórze. Crowther spostrzegł, że chłopiec stojący przy koniach poczuł ulgę, kiedy oddawał uzdę. To musiał być Jake Mortimer, kuzyn krawcowej. Uczony za-

uważył, że David w starciu z wyrostkiem został ranny. Skórę wokół oka miał już bardzo czerwoną.

- Przepraszam, madame. Uciekli mi na placu.

Pani Saunderton próbowała otrzepać długie fałdy sukni Harriet z pyłu podwórza. Harriet wyciągnęła dłoń, aby ją powstrzymać.

- Nie szkodzi, Davidzie. Dziękuję. Jesteś ranny?

- Nie ma o czym mówić, pani Westerman. Gospodyni ciągle jeszcze trzęsła się z przejęcia.

- Nigdy przedtem nie widziałam żadnego z tych chłopaków. Och, pani Westerman, co pani musiała sobie o nas pomyśleć! Nie wstąpi pani na chwilę, aby dojść do siebie? Cóż za wstrząs!

Harriet zdołała się uśmiechnąć.

- Dziękuję, nie. Jestem pewna, że wszystko jest ze mną w porządku, gdy już złapałam oddech. Ale jakże dziwne...

Jej spojrzenie odpłynęło od gospodyni, ona również zaważyła Wicksteeda. Z twarzy zniknął uśmiech, głos zamarł jej w krtani. Crowther wystąpił naprzód.

- Sądzę, że pani Westerman po tym wstrząsie szybciej dojdzie do siebie w domu.

Harriet przytaknęła i powoli odwróciła się w stronę powozu. Kiedy postawiła nogę na schodku, nieomal upadła. David zeskoczył z kozła.

- Potrzyмай konie, chłopcze. - W jednej chwili znalazł się u jej boku. - Pozwoli pani, madame?

Zarumieniła się i przytaknęła, obejmując ramieniem barki młodzieńca, zezwalając, aby uniósł ją na rękach i wygodnie usadowił w powozie. Z ponurą miną wrócił na swoje miejsce. Crowther wspiął się, aby też usiąść, ciągle świadomy obecności Wicksteeda, śmiejącego się do niej ze skraju podwórza. Obok siebie usłyszał ciche kasznięcie i z wysokości bryczki spojrział w dół, na dziedziniec. Stał tam nowy chłopiec stajenny pani Westerman i trzymał dwie części jego laski. Spoglądał w górę, bardzo blady i zdenerwowany. Nowa kurtka wydawała się trochę za duża. Crowther widział okrągłą, nieuformowaną jeszcze twarz, obraz życia, które dopiero

ma się zacząć, a potem wyciągnął ręce, by chwycić oba ułamki. Kościstymi palcami okrytymi cienką skórą, miejscami poplamionymi brązem, odebrał szczątki laski z młodych rąk chłopca. Pokiwał głową.

- Dzielny chłopak. Dziękuję.

Mały uśmiechnął się i wgramolił na kozioł obok Davida. Wick-steed stał wyprostowany, potem wolnym krokiem ruszył ku tej stronie bryczki, po której siedziała Harriet. Niedbale się uklonił, rzucił kilka słów, po czym skłoniwszy się Crowtherowi, ruszył dalej. Pani Saunderton wyglądała na zmieszaną. Wicksteed uśmiechnął się do niej szeroko, ona zaś niepewnie dygnęła przed nim.

- Jedziemy - nakazała Harriet stanowczo.

David cmoknął na konie. Uniosły kopyta, z szarpnięciem i turkotem bryczka ruszyła. Crowther ostrożnie umieścił resztki swojej laski na siedzeniu obok i pochylił się ku towarzyszce.

- Co on powiedział?

- Ze to dopiero początek.

Gabriel znów usadowił się w kącie powozu i skrzyżował dłonie na kolanach.

## 8

David przeniósł panią Westerman z wozu do salonu, a potem pospieszył do kuchni, aby zająć się własnymi zadrapaniami. Pani Heathcote wróciła po kilku chwilach z miednicą pełną gorącej wody oraz lnianymi szarpkami na ramieniu i zastała pannę Trench u stóp siostry, próbującą ściągnąć jej but. Jak dla Crowthera cała ta scena była zbyt niewieścia, skłoniwszy się więc pani Westerman ponad ramionami opiekunek, pozostawił na stole złamaną laskę i wyszedł przezszklonymi drzwiami, by chwilę pospacerować wśród lawendy. W końcu nogi poniosły go przed fronton domu. Zatrzymał



się na chwilę pod dębem, o którym komandor Westerman mówił, że będzie strzegł rodziny pod jego nieobecność. Lato przenikało przez liście, sprawiając, iż wzdychały ciężko. Uczony oparł się o pień.

- Kiepsko nam poszło, przyjacielu - powiedział, przyciskając dłoń do pnia.

Przy furtce coś się poruszyło, a gdy się odwrócił, dostrzegł dwóch jeźdźców, wpadających na podjazd. Pierwszym z nich był Michaels, na swym ulubionym koniu, bestii równie masywnej co i on. Powiadano, że zwierzę gryzie. Oberżysta wyciągał rękę ku drugiemu jeźdźcowi, jakby podtrzymywał go w siodle. Kiedy się zbliżyli, Gabriel rozpoznał Clode'a, prawnika, którego wysłali do Londynu. Obaj mężczyźni gwałtownie stanęli, a potem, gdy anatom wyłaniał się z cienia dębu, zachęcili konie, by ruszyły naprzód. Gdy znaleźli się na wprost Crowthera, Daniel zaczął zsuwać się z wierzchowca. Niemal wpadł anatomowi w ramiona.

Towarzysz podtrzymywał go za ramiona.

- Dzieci?

Clode miał gorączkę, pod porastającą policzki szczecina był niepokojąco blady.

- Wszystko dobrze. Bezpieczne. Z legalnego związku. Crowther poczuł taką ulgę, że objął młodzieńca i ścisnął go przez chwilę. Michaels zsiadł już z konia i gdy Gabriel wypuścił prawnika, podtrzymał barki Clode'a potężnym ramieniem.

- Spotkałem go na gościńcu, dwie mile stąd, ledwie trzymał się w siodle. Proszę go wpuścić, panie Crowther. Wątpię, czy w ogóle spał, od kiedy opuścił Hartswood.

Dźwignęli go wspólnie do wnętrza domu, a pani Heathcote musiała zająć się kolejnym inwalidą, skoro pierwszy wygodnie już odpoczywał. Gdy wnosili prawnika na piętro, Crowther wykrzyczał przez ramię te same słowa, jakie usłyszał od Clode'a, i usłyszał okrzyk ulgi wydany przez Harriet.

Clode, kiedy tylko spoczął na łożu, zapadł w niespokojny, urywany sen. Crowther przyjrzał się młodzieńcowi. Zobaczył spory krwiak na szczęcie, sińce były też na ramieniu i bladym boku. Anatom

miał pod ręką wodę i brandy, nakazał też oświetlić izbę. A zatem w Londynie doszło do przemocy. Na piersi młodego mężczyzny zauważył resztki plam krwi, nie dostrzegł jednak żadnej rany, zwrócił za to uwagę na zadrapania wewnątrz dłoni i na kostkach oraz głębokie nacięcie na kciuku - znak tego, że mężczyzna trzymał nóż i przymuszony okolicznościami użył go, bez wprawy, ale z mocą.

Michaels usiadł obok.

- Wygląda, jakby pan czytał książkę - powiedział cicho. Crowther uniósł wzrok i nieznacznie pokiwał głową.

- To, co robimy, nas naznacza. Zwłaszcza jeśli mamy do czynienia z przemocą. Kiedy pan Clode się obudzi, jestem pewien, że będzie nam mógł opowiedzieć o jakimś brutalnym zajściu po drodze. Sądzę, że drugi mężczyzna nie żyje i że po tym wszystkim Clode znalazł bezpieczne schronienie. Czemu zdecydował się je tak szybko porzucić, tego już jego ciało mi nie powie.

- Jak pan zdołał się tego wszystkiego dowiedzieć?

- Było wystarczająco dużo krwi, nie jego własnej, aby nie dało jej się szybko zmyć. Chociaż ma na sobie czystą koszulę.

- Czy wydobrzeje? Panie Crowther, nie mam ochoty patrzeć, jak znowu ktoś umiera w pana towarzystwie.

Gabriel się uśmiechnął.

- Sądzę, że poza sińcami cierpi jeszcze z powodu szoku i wyczerpania. Jest młody. Powinien dojść do siebie - anatem przerwał, uniósł przegub Daniela: puls trzepotał, nierówny. - Coś jednak nie pozwala mu zaznać odpoczynku, którego potrzebuje.

Rozległo się ciche pukanie do drzwi i do izby, kuśtykając, weszła Harriet. Gabriel uśmiechnął się do niej, potem odwrócił w stronę pacjenta. Gdy drzwi się zamknęły, Clode jęknął i otworzył oczy.

- Crowther!

- Tak, panie Clode, dotarł pan do nas. I musi pan odpocząć. Młodzieniec dźwignął się na ramionach, kręcąc głową. Dostrzegł Harriet.

- Och, jest pani Westerman. Jakże się cieszę.

W łożu wyglądał niczym miedzioryt, biel pościeli i skóry kontrastowały z ciemnymi włosami oraz sińcami widocznymi spod kołnierza koszuli.

Żona komandora uśmiechnęła się do niego.

- Crowther powiedział mi, że z dziećmi wszystko w porządku.

- Tak i mają najlepszego ze strażników. Zabiliśmy człowieka, który zamordował ich ojca. A raczej zrobił to jakiś lampart. - Harriet zastanawiała się, czy Daniel nie majaczy, i rzuciła zatroskane spojrzenie Crowtherowi. - W każdym razie, Hunter mówił, że to był lampart.

Uczony przez chwilę nie wiedział, o co chodzi, a potem uśmiechnął się ze zrozumieniem.

- Pan Hunter trzyma u siebie kilka egzotycznych zwierząt - wyjaśnił.

Uniosła brwi i pokiwała głową. Michaels pochylił się na krześle. Clode zdawał się na nic nie zwracać uwagi. Jego dłonie krążyły po pościeli.

- Miałem przy sobie pewien papier, jechałem od świtu, żeby go państwu doręczyć. Na pewno go mam.

Uczony odwrócił się tam, gdzie na oparciu krzesła wisiało okrycie Clode'a, i podał mu je. Daniel niecierpliwie po nie sięgnął, zanurzył dłoń w kieszeni. Wyjął dwie złożone, pomięte kartki. Jadąc, musiał co chwila dotykać ich koniuszkami palców, sprawdzając, czy są na swoim miejscu. Teraz podał je Crowtherowi, po czym od razu opadł z powrotem na poduszkę.

- Były w kieszeni tamtego żółtawego mężczyzny. To znaczy w kieszeni mężczyzny, który zabił Aleksandra. Dzieci nazwały go żółtawym. Susan jest bardzo dzielna. - Zabrakło mu sił, Crowther zbliżył do jego ust brandy z wodą. - Zbiegł, kiedy spłonęło więzienie Newgate... Musieliśmy uciekać... Zapewnić im bezpieczeństwo.

Daniel westchnął, poruszył zamkniętymi oczyma, jego oddech zwolnił.

Crowther przyglądał mu się przez chwilę.

- Dobrze. Teraz już będzie spał spokojnie.

Uniosł papiery i obszedł łóżko, zmierzając tam, gdzie siedziała Harriet. Włożył je Harriet do ręki. Kiedy rozkładała kartki, obaj z Michaësem stali za nią Przez kilka chwil wszyscy milczeli.

- Wciąż ma pani ten skrawek papieru, znaleziony przy ciele Brooka? Przytaknęła.
  - Tak. I wiem, że spisała to ręka Clavera Wicksteeda.
  - A zatem najwyższy czas, by zobaczyć się z sędzią. Harriet spojrzała na anatoma.
  - Tego popołudnia je obiad w Thornleigh Hall, tak słyszała pani Heathcote.
- Crowther wyciągnął papiery z jej ręki, złożył je starannie i wsadził sobie do kieszeni.
- Możemy zatem tam go odwiedzić. Przyłączy się pan do nas, panie Michaels?
  - Nie zwykłem wchodzić tam główną bramą. Ale nie widzę powodu, dla którego nie miałbym z państwem pójść.

## 9

- Musimy zobaczyć się z sędzią - oznajmił spokojnie Crowther. Kamerdyner Thornleighów wyglądał na zakłopotanego.
- Jest przy stole - odparł - a my dostaliśmy rozkaz, żeby nie wpuszczać do tego domu nikogo z Caveley, ani pana, panie Crowther.
- Nie był chyba specjalnie zadowolony z tych poleceń. Odwrócił się do Michaela i nieco wyprostował.
- Pana zaś nie wpuścilibyśmy w żadnych okolicznościach. Oberżysta uśmiechnął się i podparł rękami pod boki.
  - W takim razie głupioście uczynili, wpuszczając nas za próg. Kątem oka Harriet dostrzegła, że pokojówka, która otworzyła drzwi i nieświadoma zakazu pozwoliła im wejść, zarumieniła się i odstąpiła o krok. Oczy lokaja powędrowały w tę samą stronę.
  - Tak, to był błąd - oznajmił sztywno.

Michaels z kolei zdawał się całkiem swobodny.

- A zatem, jeśli ktokolwiek z was, pieszczochy, spróbuję nas teraz wyrzucić, mogę mu tylko życzyć powodzenia. - Zatarł wielkie dłonie. Crowther westchnął.

- Musimy zobaczyć się z sędzią - powtórzył.

Wprowadzono ich do wielkiej sali dworu, aby tam oczekiwali na biesiadników. Na miejscu spotkali Hugh, skulonego w fotelu przed kominkiem, z karafką u boku. Spojrzał na nich, wzrok miał już mętny.

- I co? Coraz więcej trupów?

Harriet niezdarnie podeszła do drugiego fotela i usiadła. Młodzieniec przyglądał jej się przez kilka chwil, a potem, widząc, że kobieta nie zamierza się odezwać, zapytał szorstko:

- Co się pani stało? Spojrzała mu prosto w oczy.

- Wicksteed opłacił dwóch młokosów, żeby dzisiaj w Pulbo-rough wpadli na mnie i na Crowthera i przewrócili nas. Skręciłam kostkę. - Hugh wyglądał na zakłopotanego. Wyjaśniała mu dalej, jakby mówiła do głupawego dziecka: - Zażądał, abym opuściła Ca-veley, mego męża i dzieci. Pokazuje mi teraz, czego mam się spodziewać, jeśli tak nie uczynię.

Hugh poprawił się na krześle i mruknął coś, czego nikt nie zrozumiał. Nie poproszono go, aby powtórzył. Crowther spojrzał na młodzieńca z góry.

- Kapitanie Thornleigh, wie pan, że pański ojciec jest torturowany?

Hugh z trudem skupił spojrzenie.

- Torturowany? Co pan ma na myśli?

Gabriel przez chwilę przyglądał mu się uważnie, a potem odwrócił od niego, jakby ów widok wzbudził w nim odrazę.

- Pocięto go. Sądzymy, że ktoś każe mu pokutować za jego grzechy. A może i za pańskie.

Hugh mocno pobladł, zanim jednak zdołał cokolwiek odpowiedzieć, drzwi otworzyły się i do pokoju weszli goście. Wicksteed szedł pod ramię z lady Thornleigh, za nimi dreptał sędzia. Harriet musiała przyznać, że tworzyli piękną parę. Każde z nich wyglądało na pełne wigoru i świadome własnej siły. Ciemny kolor ich włosów pasował do siebie, zdawało się też, że zarządca uzyskał pewną grację ruchów, jakby owa zwierzęca moc przepływała teraz w jakiś sposób poprzez doskonałe ramię, które się na nim wspierało. Tylko niezdrowy blask oczu oraz jakaś dziwna, mroczna aura wokół nich sprawiała, że oboje wcale nie wydawali się pociągający. Harriet czuła, jak przechodzą ją ciarki, i zastanawiała się, czy sędzia Bridges dławiał się tą niegodziwością, ciągnącą się za nimi niczym dym.

Lady Thornleigh puściła ramię zarządcy i ruszyła w stronę długiego dębowego stołu, dzielącego salę na dwie części. Oparła dłoń o blat. Suknia otarła się z szelestem. Uśmiechnęła się leniwie do Harriet, ona zaś zamrugła zielonymi oczyma i chcąc nie chcąc, napawała się całym tym pięknem, jaśniejącym pod starożytnymi herbami i portretami rodu Thornleighów.

Milady przyjrzała się każdemu z przybyszy po kolei, po czym odezwała się:

- No i?

Crowther się uklonił.

- Lady Thornleigh, przybyliśmy, aby porozmawiać z sędzią Bridgesem. Milady uniosła brwi i spojrzała na swego gościa. Bridges zrobił ze złością krok czy dwa do przodu.

- Wszystko, co macie państwo do powiedzenia, możecie rzec w obecności tych zacnych ludzi.

Harriet nie całkiem się udało zdusić gorzki śmiech, jaki zrodził się jej w gardle. Wicksteed spojrzał na nią wściekle. Crowther pokiwał głową.

- Doskonale. A zatem opowiem państwu wszystko. Panie Bridges, miał pan rację co do morderstwa Sarah Randle. Tak, to lord Thornleigh ją zabił, dlatego że była brzemienna albo dla własnej

przyjemności. Niezależnie od tego, jaki miał powód, zabrał jej medalionik. Kilka lat później odnalazła go matka Hugh i aby pozbyć się kłopotu, zrzuciono ją ze schodów.

Sędzia stał z rozdziawionymi ustami. Hugh skulił się w fotelu, jakby poraził go nagły ból. A zatem Shapin powiedział mu o tym. Wicksteed zrobił się blady. Lady Thornleigh, milcząc, bębniła palcami po stole, wpatrzona w podłogę i najwyraźniej znudzona.

- Hugh dowiedział się tego w Ameryce - mówił Crowther dalej  
- od byłego sługi, Shapina. Podejrzewam, że podsłuchał to Claver Wicksteed. Swoją drogą, panie Thornleigh, co się z nim stało?  
Hugh zdawał się całkowicie zdrtwiał, anatem zauważył też zaciśnięte wargi Wicksteeda.

- Zabił go pan, prawda? Czy to jest owo morderstwo, za które chce pan teraz zawisnąć?

Sędzia uniósł ręce.

- Naprawdę, muszę zaprotestować. Jak pan śmie...? Wicksteed gwałtownie odwrócił się ku niemu.

- Milcz, Bridges.

Sędzia odsunął się, wstrząśnięty. Crowther skinął głową ku Harriet. Dalej mówiła już ona.

- Wicksteed, szantażem utorował pan sobie drogę do tego domu, wiedząc, że obaj jego panowie są słabi. - Na twarzy miała jakiś ostatni ślad współczucia, kiedy powiedziawszy te słowa, spojrzała na Hugh.

- Trzymał pan Hugh w garści, jednak on, gdy zobaczył, jak rozwija się pańska zażyłość z lady Thornleigh, poprosił Joshuę Cartwrighta, aby znalazł kogoś, kto wytropi Aleksandra Thornleigha. Czyniąc tak, dał panu okazję, aby musiał pan całkiem zamknąć chwyt. Zamordował pan Brooka w moim zagajniku, skradł adres, jaki Brook przywiózł dla Hugh, i posłał jakiegoś wynajętego zbira, żeby pozbył się jedyne dziedzica Thornleigh Hall, który pozostawał poza pańską władzą. - Uniosła ku niemu wzrok. - Kiedy pan się dowiedział, że to Aleksander przysłał opiekunkę Bray, aby zajmowała się lordem Thornleigh?

Hugh z trudem wyprostował się na fotelu i rozejrzał wokół oszołomiony. Wicksteed się nie poruszył. Harriet wzruszyła ramionami.

- Napisała liścik do Hugh i pan go znalazł, prawda? Tak jak znalazł pan przy Brooku jego zapisek? wątpię, aby jakikolwiek skrawek papieru w tym dworze nie był przez pana obejrzany, gdy tylko się pojawi. Może pani Bray spróbowała porozmawiać z Hugh, a pan się wtrącił. W każdym razie usunął ją pan i na dokładkę posłał Hugh z arszenikiem do biednego Joshui, aby upewnić się, że nie wyjdą na jaw żadne informacje co do miejscu pobytu Aleksandra i zarazem, by za swoje zbrodnie włożyć głowę Hugh w stryczek - Zaśmiała się nieco. - A mordując dokoła, jednocześnie domagał się pan w Heroldii, aby uznano tam pańskie nazwisko i dziedzictwo! Przypuszczalnie pragnie pan poślubić lady Thornleigh, kiedy zostanie wdową. Jestem pewna, że jeśli lord Thornleigh dotrwa chwili, gdy zobaczy Hugh na szubienicy, nie pożyje już długo. Już zrobił pan na jego ramionach nacięcia za każdego zabitego. Nie wątpię, że ostatnim nacięciem oznaczy pan zamordowanie jego samego.

Przy ostatnich słowach Wicksteed poczerwieniał. Potem ruszył przez salę, tam, gdzie lady Thornleigh cały czas opierała się o stół, ujął jej dłoń i przycisnął do warg z wielką czułością. Spojrzała mu prosto w oczy, przez chwilę obecni poczuli, jakby byli niewidzialni dla tych dwojga. Harriet przypatrywała się tej parze: w tej chwili mieli w sobie coś doskonałego i jakaś cząstka zazdrościła im tego.

Potem Wicksteed wyprostował się i odwrócił z powrotem ku nim. Głos miał łagodny i spokojny.

- Niczego nie możecie udowodnić. I nikt nie posłucha bełkotu obłąkanej kobiety, która porzuciła własną rodzinę, ani brata ojcobójcy. -

Uśmiechnął się pogardliwie do Harriet. - Widziałaś moje ramiona w trakcie naszej zajmującej pogawędki w lesie. Gdzie są ślady paznokci opiekunki Bray, które, jak nalegałaś, powinny na nich być? Opowiadasz bajki i tyle.

Michaels wyłonił się z cienia za fotelem Harriet.

- No, Claver, sporą część tego da się udowodnić. Wicksteed zdawał się nieco rozbawiony.

- Ważysz się odzywać do mnie po imieniu?



- Ważę się nazywać cię zbrodniczym psem, Claver - oznajmił potężny mężczyzna.

Zarządca roześmiał się i szybko chwycił lady Thornleigh za rękę.

Uśmiechnęła się do niego ciepło.

- Zawsze cię lubiłem, Michaels - powiedział. - Czemuż się do nas nie przyłączysz? Mógłbym uczynić cię bogatym człowiekiem. Czemu wiązesz swój los z nimi? - Ruchem głowy wskazał Crow-thera i Harriet. - Mogą być dla ciebie uprzejmi, ale zawsze będą się spodziewać, iż będziesz stał, gdy oni będą siedzieć, i nigdy się nie zastanowią, czemu właśnie tak ma być.

- Jeszcze zobaczymy, Claver - spokojnie odparł oberżysta. - Mimo całego twego sprytu, a nie mówię, że nie jest z ciebie cwany chłoptaş, wiem o czymś, o czym nie wiesz ty.

Crowther dostrzegł, jak na twarzy Wicksteeda pojawiło się napięcie. Pulsowało mu tuż pod linią szczęk Michaels skłonił się ku Crowtherowi, który czekał, aż panujące napięcie odczuje niczym łomot dalekiego bębna.

- Przeliczyłeś się. Syn lady Thornleigh nie jest jedynym dziedzicem. Aleksander miał dwoje dzieci, chłopca i dziewczynkę. Oboje z prawego łoża, zapisane pod prawdziwym nazwiskiem. Oboje są bezpieczni i pod dobrą opieką w Londynie. Twój morderca nie zdołał wygasić rodu i sam teraz nie żyje.

Hugh zerwał się na równe nogi i od razu padł przed Harriet na kolana.

- Czy to prawda? On miał dzieci? Żyją?

Uniósł ku niej wzrok, na twarzy miał radość i dezorientowanie.

Wyciągnęła dłoń, dotknęła jego policzka.

- Żyją, mają się dobrze i mają prawo dziedziczenia. Dwór będzie należał do nich. A my możemy udowodnić, że to Wicksteed zaaranżował morderstwo ich ojca. Napisał list i przez ów list zawiśnie. - Jej głos miał łagodny, uspokajający ton.

Crowther odwrócił się w stronę zarządcy, który wypuścił dłoń lady Thornleigh i patrzył na kamienną posadzkę przed sobą. Dłonie zacisnął w pięści. Rozległ się śmiech, Harriet się odwróciła. Zobaczyła, że

lady Thornleigh cała drży. Uniosła dłoń do klejnotów we włosach, zaczęła je z nich wrywać i ciskać na kamienną podłogę sali.

- No to powinni sobie wziąć to i jeszcze to!

Wicksteed spróbował chwycić towarzyszkę za rękę, ale wyrwała mu się i przeszła na drugi kraniec stołu. Jej rozleniwienie gdzieś się ulotniło, ciałem wstrząsały dreszcze, jakby płonęło z szafu.

- Biedny, stary żółtogęby Moore! - zawołała. - Któż go zabił? Boże, ileż to razy, kiedy sprzedawał mnie na ulicach, chciałam wsadzić mu nóż w plecy, ale miałam tylko dwanaście lat, on zaś zdawał się niezniszczalny niczym jakiś bóg! - Roześmiała się znowu. - A teraz nie żyje! Smaży się w piekle, zawsze wiedziałam, że tak będzie! Och, zaraz tam pójde i wytargam go za włosy za splatanie nam takiego figla!

Wicksteed nagle się ocknął, spróbował do niej dotrzeć, twarz miał bladą i spoconą.

- Kochanie! Na Boga! Nic nie mów!

Lady Thornleigh zerwała z szyi brylanty, cisnęła nimi na podłogę. Z grzechotem zatrzymały się u stóp Crowthera.

- Weź je! Cwany z ciebie chłoptaş! Niech się stanie sprawiedliwość! Zostaw mnie, Claver. Wszystko skończone, teraz będę mówić.

Szalonymi oczyma spojrzała na bladą twarz Harriet.

- I co? Myśleliście, że będę tutaj siedzieć i dam Claverowi odwalić za mnie całą robotę? - Rozpuszczone włosy wiły się ponad nagimi ramionami. - To stary Moore, alfons miał już wtedy chyba ze sto lat, to właśnie on sprzedał mnie memu pierwszemu starcowi, zanim jeszcze zaczęłam krwawić, ale mnie zmusił, tak jak inne po mnie. Wiedziałam, do kogo się zwrócić, kiedy Claver zabrał notatkę z ręki Brooka. A wy myślicie, że rany lorda Thornleigh to za jego smutną, ładną żonkę i sługę? - mówiła coraz głośniej. - A cóż mnie oni obchodzą? Nie, to za te małe dziewczynki, takie jak ja, a nawet młodsze ode mnie, które zgwałcił w Londynie, odkąd go poznałam. Prawie co tydzień przyprowadzano mu jakieś biedne dziecko, zawsze ciemnowłose, zawsze w prostej zielonej sukience, żeby przypominało mu o jego pierwszej miłości, tak jak ja kiedyś mu o niej

przypomniałam. Widywałam, jak potem wyrzucano je na tyłach mego burdelu, zapłakane, a ja dostawałam perły za milczenie. Nosłam tamten medalionik! Każda z nas nosiła. Może nawet założył go żonie na szyję. Słyszałam, że kiedy ją posiadał, też była młoda. Wiedział, że tylko czekam, aby mu odpłacić. Nigdy jednak nie podejrzewał, że będę miała ku temu okazję. Bawiło go, że za żonę bierze nienawidzącą go ladacznice. Nigdy mu się nie śniło, że będzie się kulił pod moim nożem.

Ponownie uniosła wzrok na Crowthera. Przygryzła wargę, z ust pociekła jej krew. Nieco ucichła.

- To jest cudowne, prawda, Crowther, jak ciało ustępuje i otwiera się pod ostrzem?

Harriet spojrzała na nią.

- Pomogłaś zabić opiekunkę Bray.

Lady Thornleigh uniosła dłoń ku ramieniu i rozdarła rękaw sukni. Przez miękką biel jej barku biegły cztery głębokie zadrapania, właśnie zaczynające się goić. Uczony pomyślał o rysunku w kieszeni. Nawet z takiej odległości widział, że idealnie do niego pasują.

- Przyszła do mnie! Żeby mi opowiedzieć, że być może wie, gdzie jest Aleksander, chociaż nigdy nie wspomniała o dzieciach, to muszę przyznać. Powiedziała, że sądzi, iż najlepiej porozmawiać z panią domu. Bo lord wie, że ona zawsze rozmawia z Hugh! - Lady Thornleigh jęknęła i odwróciła się na pięcie. - Spaliliśmy wszystkie jej papiery! Jak dowiedzieliście się o dzieciach?

Głos Harriet drżał, kiedy odpowiadała:

- Zostawiła testament. Zapisała broszkę z kameą córeczce Aleksandra. Jęk przyszedł w śmiech, milady zerwała z nadgarstków wysadzone klejnotami bransolety.

- I to wszystko stracone przez jakąś tanią broszkę! Wicksteed chwycił ją za rękę.

- Przestań! Przestań! Jemimo, czemu się poddajesz? Moja ukochana! Pomyśl o swoim synu! O Eustachym! Proszę, moja droga, przestań.

Zdało się, że pod dotykiem Wicksteeda stopniowo się uspokaja. Uniosła dłoń do jego twarzy i otarła mu kciukiem łzę z policzka.

- Claver, pochowałam dwoje dzieci, a jedno oddałam. Czemu miałabym się przejmować pomiotem lorda Thornleigh, skoro nie ma z niego dla ciebie żadnego pożytku?

Claver opuścił głowę na jej ramię. Zakołysała się i zamruczała do niego kojąco, głaszcząc palcami po karku, tam gdzie ciemne włosy dotykały kołnierza.

- Już po wszystkim, kochany. - Claver skłonił się ku niej i łapczywie pocałował w usta. Gdy się objęli, wsunęła mu dłoń do kieszeni kamizelki.

- Ale mogę jeszcze zrobić dla ciebie ostatnią rzecz. Nie pozwolę im cię powiesić. - Uśmiechnęła się łagodnie. - „Kciuk na ostrzu, chłopcze, i uderzaj w górę”.

Odsunął się od niej nieco, zdziwiony. Harriet dojrzała, jak kobieta wyjmując rękę z jego kieszeni, zobaczyła wygięcie jej nadgarstka, złowrogi błysk w powietrzu...

- Crowther! Ona ma nóż!

Wicksteed odwrócił się w stronę żony komandora, jakby nie wiedząc, co się dzieje. Zanim Michaels czy Crowther zdążyli skoczyć w jej stronę, lady Thornleigh gwałtownie wyrzuciła rękę do tyłu, a potem do przodu.

- Jemimo? - W głosie Clavera zabrzmiało zaskoczenie, potem upadł na kolana u jej stóp, czoło oparł o jedwab sukni. Jej wolna dłoń na chwilę spoczęła mu na głowie, w sposób, w jaki kobieta mogłaby złożyć ją na główce dziecka. Potem odstepiła, kręcąc nieznacznie śliczną główką.

Odwróciła się i wybiegła z sali z nożem w ręku. Kiedy mijała Harriet, ta wyciągnęła ku niej ręce ze swego fotela, chcąc ją zatrzymać. Gdy dłońmi dotknęła bogatego materiału sukni, rzuciła się do przodu. Lady

Thornleigh potknęła się i zobaczyła, że druga kobieta wczepiła się w nią.

Przez krótką chwilę pani Westerman widziała jej oczy - czarne, wytrzeszczone. A potem milady znowu się wyprostowała, uwalniając się tak jak wiejska dziewczucha, która wpadła w krzaki jeżyn. Wybiegła.

Hugh doszedł do siebie i podniósł Harriet. Sędzia stał blady, roztrzęsiony, niezdolny ogarnąć tego, co się przed nim dzieje. Mi-

chaels podniósł Wicksteeda, chwytając go pod pachami jak zabawkę, i niemal czule ułożył na dębowym stole. Crowther podszedł bliżej. Gdy Harriet popatrzyła w tamtą stronę, człowiek na stole jęknął i zadygotał. Gabriel uchwycił jej spojrzenie, pokręcił głową, ale zdjął wierzchnie okrycie, starając się zatamować upływ krwi. Z wnętrza dworu przybiegli służący, posłano ich po bandażę i wodę. Anatom czuł, że ciało, które opatruje, umiera. Wreszcie spojrzął w głębokie czarne oczy Wicksteeda. Mężczyzna odwrócił się, aby utkwić wzrok w herbie Thomleighów, uśmiechał się doń, wydając ostatnie tchnienie.

Harriet nie była pewna, czy to, co właśnie oglądała oraz słyszała, wydarzyło się naprawdę.

Nim wróciły jej zmysły, kilkakrotnie powtórzono okrzyk „pożar!”  
Do sali wpadli służący. Wśród nich kroczył Michaels.

- Co? Gdzie?

Lokaj, który próbował wcześniej zabronić im wstępu, pobiegł ku wielkim schodom.

- W salonach i nad nimi. Wszystko w płomieniach! Wszystko! Milady nie zejdzie! Ma ze sobą syna!

Oberżysta zaczął przedzierać się w stronę klatki schodowej, Crowther i Hugh deptali mu po piętach. Harriet pogramoliła się za nimi, zatrzymując przy lokaju, który dotarł do podnóża schodów. Syknęła z bólu.

- Wydostań stąd ludzi - poleciła. - My pójdziemy po nią. Kiedy znaleźli się na piętrze z salonami, Crowther odwrócił się ku Hugh.

- Thornleigh, twój ojciec!

Hugh skinął głową i popędził przed siebie. Michaels i Crowther zatrzymali się na głównych schodach. Usłyszeli jakiś śmiech, a potem płacz. Przed nimi wzdłuż korytarza kłębił się dym - promienie lizały już draperie, wyciągały się ku sufitowi ponad ich głowami. Jakaś pokojówka stała przed nimi jak strażniczka ognia.

- Lady zamknęła się w swoim pokoju z małym paniczem Eustachym! Nie mam klucza!

Michaels zawrócił i popędził w dół schodów. Crowther rzucił dziewczynie:

- Uciekaj na dziedziniec.

Dziewczyna zatrzymała się, a potem krzyknęła, kiedy jedno z okien za nią pękło i obsypał ich deszcz iskier. Gabriel zaparł się o drzwi, te jednak nie ustąpiły. Do anataoma dołączyła Harriet i stanęła obok. Usłyszeli dobiegający z wnętrza pokoju piskliwy płacz dziecka. Crowther zerknął na towarzyszkę.

- Nie powinno pani tutaj być.

Ich spojrzenia spotkały się i o nic więcej już nie pytał.

Michaels, potykając się, podbiegł do nich, trzymając w dłoni pęk kluczy. Crowther obwiązał ząbkiem usta i nos. Harriet wyciągnęła chusteczkę i zrobiła to samo. Oberżysta wypróbował dwa klucze -żaden nie pasował. Zaklął, potem cisnął klucze na podłogę i uderzył w zamek całym swym ciężarem. Pani Westerman odkuśtykała do tyłu, obaj mężczyźni raz jeszcze rzucili się na drzwi. Rozległ się trzask pękającego drewna. Michaels kopnął mocno, drzwi ustąpiły, wypłynęły zza nich chmury dymu, sprawiając, iż żonie komandora aż zapłonęły płuca. Odwróciła twarz, gwałtownie kaszląc.

- Lady Thornleigh, niech nam pani odda dziecko! - zawołał Crowther w ciemność.

Zatrzeszczało okno, Harriet dostrzegła jakąś postać leżącą na podłodze twarzą do dołu. Nad nią klęczał mały chłopiec. Pokuśtykała do środka, zapominając o bólu nogi, i chwyciła malca. Wyrzywał się, krzykiem wzywał mamę, ale nie puściła, zaczęła go ciągnąć na zewnątrz pokoju i w dół schodów. Spojrzała do góry, tam gdzie schody pięły się jeszcze wyżej, zobaczyła świeże płomienie liżące następne kondygnacje.

Earlowie Sussex, nieruchomi na swych portretach, przyglądali się, jak ogień smakuje narożniki płócien. Właśnie w tej chwili pożar przegryzł się przez drewno wyższej galerii. Schody jęknęły.

- Crowther! Michaels!

Byli za nią. Oberżysta dźwigał w ramionach lady Thornleigh niczym jakąś lalkę.

Uczony spojrzał do góry, na schody.

- Idźcie! - krzyknął. - Muszę pomóc Hugh! - Harriet zaczęła protestować, ale Gabriel rozkazującym tonem dodał: - I to już! - Po czym odwrócił się, aby wbiec po schodach, prosto w szalejące piekło.

Pani Westerman wraz z Michaelsem pokuśtykała korytarzem, a potem po schodach, na podjazd i świeże powietrze. W oknach każdego pokoju wschodniego skrzydła tańczyły płomienie. Mężczyzna złożył swe brzemie na żwirze, Harriet usadowiła chłopczyka. Rzucił się na ciało matki i zaczął płakać. Lady Thornleigh nie ruszała się, a żona komandora nie dostrzegła w niej życia. Na piersiach kobiety była krew. Po raz kolejny milady zrobiła użytek ze swego noża. Chłopczyk próbował przyciągnąć jej ramię i ułożyć na sobie. Cokolwiek do tej pory trzymało Harriet na nogach, teraz zniknęło. Upadła na kolana wśród krzyków i lamentów służby.

Crowther odnalazł Hugh w górnym korytarzu. Młodzieniec niósł w ramionach nieprzytomnego lorda Thornleigh. Między nich a Gabriela upadła płonąca krokiew. Anatom kopnął ją na bok, Hugh, krztusząc się, pokuśtykał w jego stronę.

- Dalej, naprzód!

Dotarli na piętro, tam gdzie ogień zdawał się teraz szaleć najbardziej. Młodzieniec spojrzał na Crowthera.

- Możemy się przez to przebić. Biegiem!

Skoczyli przed siebie. Uczony poczuł, jak wokół niego płonie powietrze, żar liżący mu twarz był tak mocny, że zdołałby go napiętnować. Udało mu się jakoś dotrzeć na dół, obejrzał się. Hugh znajdował się na półpiętrze, w połowie schodów, w ramionach trzymał ojca. Rozglądał się wokół, patrząc na płonących przodków niczym dziecko zamknięte w katedrze.

- Hugh! Rusz się pan!

Anatom usłyszał nad sobą kolejny jęk belek i spojrzał w górę. Hugh był już teraz w połowie drogi do niego, przyspieszając kroku.

Gabriel usłyszał, że ktoś woła jego nazwisko i zobaczył Michaela wracającego do dworu, pędzącego prosto ku niemu. Rozległ się trzask, Crowther ponownie uniósł wzrok ku freskowi przedstawiającemu lorda Thornleigh oraz jego rodzinę w dniu Sądu Ostatecznego. Czas jakby zwolnił. Piekło pokazane na malowidle teraz się tliło. Młody lord Thornleigh, zaprezentowany w pełni swej chwały, patrzył w dół na brudny, okrwawiony strzęp swego ciała, ze zwykłą dla siebie chłodną pogardą. Zabrzmiał kolejny jęk i trzask, a Crowther, nawet czując ręce oberżysty łapiące go za barki, przejęty grozą oraz fascynacją, patrzył, jak fresk pęka nad ojcem i synem, zaczyna się walić, pozostawiając niebiosy pełne ciemnych płomieni. Potem wszystko ogarnęła czerń.



## Zakończenie

Piątek, dziewiąty czerwca 1780 roku

Gdy nadjechał powóz, pani Westerman i Crowther z Danielem Clode'em stali u wejścia do Caveley Park. Drzwi otworzyły się i z powozu wysiadła dwójka dzieci, natychmiast rzucając się ku Danielowi. Prawnik zawirował, unosząc dziewczynkę w ramionach, potem chwycił malca i uczynił z nim to samo. Z powozu wyszli też, w stateczniejszy sposób, jakaś młoda dama oraz dżentelmen, a za nimi nieco starsza pani, szczupła, o zaróżowionych policzkach. Harriet i Crowther uśmiechnęli się do siebie i ruszyli, aby ich przywitać. Graves się uklonił.

- Pani Westerman, panie Crowther, pozwolą państwo, że przedstawię pannę Chase i jej towarzyszkę, panią Service.

Damy dygnęły, a Clode podszedł, aby ciepło przywitać panią Service, ściskając jej dłoń. Harriet się uśmiechnęła.

- Jakże się cieszę, mogąc państwa tutaj gościć - oznajmiła. - Obawiam się, że przez jakiś czas nowi właściciele nie będą mogli zamieszkać we dworze. Wschodnie skrzydło jest zniszczone. Pozostał tylko rdzeń starego gmachu. Wielka sala jest niemal nietknięta.

Graves pokiwał głową.

- Dziękuję, że pozwolili państwo nam tu przyjechać. Uznaliśmy, że najlepiej będzie, jeśli lord Thornleigh oraz jego siostra wezmą udział w pogrzebie swego dziada.

- Zgadzam się całkowicie - odparł Crowther. Panna Chase uniosła ku Harriet chabrowe oczy.

- A jak ma się ich stryj?

Pani Westerman uśmiechnęła się ze smutkiem.

- Może mnie pani uznać za śmieszna, wierzę jednak, że on żyje tylko po to, by ujrzeć dzieci Aleksandra.

Hugh leżał tam, gdzie jeszcze dwa dni temu mieścił się pokój dzienny dam. Przez okna widać było głównie listowie wielkiego dębu. Chorym opiekowała się Rachel. Twierdziła, że widok ogromnego drzewa zdaje się napawać go spokojem. Odkąd młodzieńca wyciągnięto z płomieni, wciąż trzymającego w ramionach niczym umiłowane dziecko, trupa ojca, rzadko na dłużej odzyskiwał przytomność. Miał coraz wyższą gorączkę, lecz za każdym razem, gdy się budził, dopytywał się o dzieci.

Harriet przemówiła do nich na krótko przed tym, jak weszli do domu.

Rada była widzieć, że nie okazują lęku. Zapukała delikatnie do drzwi i pchnięciem otworzyła je na oścież. Hugh odwrócił ku nim głowę.

- Aleksander! - zawołał. Chłopiec ruszył przed siebie.

- Mam na imię Jonathan. A pan jest moim stryjkiem - powiedział, po chwili zaś dodał: - To ja jestem earlem. - Podeszedł do łoża i nachylił się, aby ucałować poparzoną twarz Hugh.

- Tak, jesteś nim - wyszeptał ranny. Podeszła Susan i nachyliła się, aby go pocałować, tak jak wcześniej brat.

Hugh uśmiechnął się do niej. Wstrząsnął nim kaszel, zamknął oczy, złapał oddech.

- Twój ojciec pokazał mi kiedyś podobiznę twojej matki. Wyglądasz dokładnie tak jak ona.

Susan pokręciła głową.

- Nie jestem taka ładna.

- Myślę, że jesteś ładniejsza. - Zakasłał znowu. - Wiesz, że mam młodszego brata?

- Tak - powiedziała dziewczynka. - Eustachego.  
- On jest jeszcze jednym stryjkiem, ale młodszym od nas - zaznaczył Jonathan z dumą.

Hugh uśmiechnął się, oczy zaczęły mu błyszczeć.

- Musicie być dla niego mili - rzekł. Susan przytaknęła i włożyła swoją dłoń w jego rękę. Odwzajemnił delikatny uścisk jej paluszków.

- Oczywiście - odparła. - My też straciliśmy ojca i matkę. Będziemy się nim opiekować, a pan Graves będzie opiekował się nami.

- To dobry człowiek. Lubicie go?

- Bardzo!

- Cieszę się. Jest naszym powiernikiem i opiekunem. - Hugh westchnął głęboko, zamrugnął powiekami. - Mój brat powiedział, że znajdzie sposób, aby do mnie dotrzeć, i może właśnie mu się udało. - Zamknął oczy. -

Wybaczcie mi, kochani. Jestem zmęczony.

Kilka godzin później, kiedy dorośli siedzieli w blasku lata i przyglądali się dzieciom pośrodku trawnika zatopionym we własnych rozmowach i zabawach, przyszła do nich Rachel z panią Service u boku. Pochyliła się, objęła siostrę za szyję. Potem wyprostowała się i otarła oczy.

- Odszedł kilka chwil temu.

Popatrzyła na dzieci bawiące się na trawie. Stephen był pod urokiem Susan, ostatni z synów starego earla patrzył też na Jonathana niczym na jakiegoś boga.

- Powiemy dzieciom? Graves spojrział w ich kierunku.

- Dajmy im jeszcze chwilę. Mamy dużo czasu.

Crowther wstał i odszedł. Dopiero gdy kilka chwil później Harriet znalazła go pod dębem, uświadomił sobie, dokąd zaprowadziły go nogi.

Podniósł na nią wzrok, kiedy podeszła ze skrzyżowanymi rękami, patrząc przed siebie zielonymi oczyma.

- Ich miłość była dziwaczna i mroczna, prawda, Crowther? Nie odpowiedział, ona zaś oparła się obok niego o wielki pień.

- Dziś rano dostałam list od sędziego. Zaproszenie dla Rachel i dla mnie na obiad, wraz z mnóstwem wyrazów sympatii i dobrej woli. Muszę iść, chociaż lękam się, że zadławię się jego strawą.

Crowther odwrócił się do niej z błyskiem w oku.

- Dostałem podobny list, ale zbyt jestem zazdrosny o swoją reputację ekscentryka, aby przyjąć zaproszenie. Jeśli będę potrzebować towarzystwa, napiję się z Michaelsem albo zjem obiad tutaj.

- A od kiedy to w ogóle potrzeba panu towarzystwa? Ukłonił się.

- Lękam się, że przyzwyczałem się do spotkań towarzyskich. Może wycofam się do swej kryjówki, kiedy skończymy już omawiać wydarzenia ostatnich kilku dni. Nigdy nie będę ciekaw ani nie będę udawał, że jestem ciekaw, jak ma pani zamiar lepiej wykorzystać górne łąki albo gdzie można kupić jakieś szczególnie dobre sukno za ułamek jego zwykłej ceny. Kiedy takie tematy wybierze pani, madame, jako obiekt swych konwersacji, nigdy już więcej mnie pani nie zobaczy.

Roześmiała się, potrząsając czerwonymi kędziorami, on zaś poczuł, jak przez to robi mu się lżej na duszy.

- Nie wątpię, że nie może się pan już doczekać powrotu do swoich noży.

- Moich „narzędzi piekła”, jak wyraziła się kiedyś o nich pani siostra.

Tamtego ranka, kiedy oglądałem jej rysunki kota, o ile dobrze pamiętam.

- „Narzędzia piekła prawdę nam podają”\*. Trafne. Jakie to niezwykle, że zacytowała *Makbeta*, zanim jeszcze nabraliśmy podejrzeń... - Spojrzała na gęste listowie nad sobą. Światło tańczyło jej na szyi. - Lady Thornleigh miała w swoim małym pięknym paluszkę więcej siły i zdecydowania niż, jak sądzę, ja przez całe swoje życie, ze wszystkimi moimi skrupułami.

Zastanawiam się, kim mogłaby zostać, gdyby urodziła się gdzie indziej.

**Przeł. J. Paszkowski.**

- Brzmi to tak, jakby pani ją podziwiała - zauważył Crowther, uśmiechając się łagodnie.

Harriet zamyśliła się, nadal wpatrzona w przesuwane się liście.

- Nie. Po prostu uświadamiam sobie, że nigdy się jej wystarczająco nie bałam. Nigdy mi się nie wydało, by mogła kiedykolwiek uczynić to, co uczyniła. Wicksteed szantażował, ale chyba by nie mordował, nie mając jej u swego boku.

- To błąd nie doceniać pięknej kobiety. - Crowther przerwał na chwilę. - Potrafią być bardzo niebezpieczne.

Harriet roześmiała się i odsunęła od dębu.

- Jakimż stał się pan pochlebcą, panie Crowther - stwierdziła, a potem ująwszy go pod ramię, zaprowadziła z powrotem do towarzystwa na trawniku. Nagle przystanąła. - Nieomal ponieśliśmy porażkę. Mury i wielki dąb nie są wcale taką ochroną, jaką się wydają, choć sadzę, że wszystko zrobiłabym raz jeszcze. Pan również, panie Crowther?

Spojrzał na nią, unosząc brwi.

- Raczej nie. Gdybym miał jakiegokolwiek pojęcie, co z tego może wyniknąć, zostałbym w łóżku i zwolnił z pracy służącą za to, że nie była względem pani bardziej stanowcza.

Harriet parsknęła śmiechem.

- Czyżby? Gdyby list zawiódł, moim następnym posunięciem byłoby śpiewanie szant tak głośno, jak tylko się da, póki by pan nie wyszedł. Crowther spojrzał przerażony, a ona się roześmiała.

## Epilog

Osmy czerwca 1778 roku

Jakieś osiemnaście miesięcy po powrocie z Ameryki, wracając konno z obiadu w Caveley Park, Hugh uświadomił sobie, że jest szczęśliwy. Od kiedy przybył do Thornleigh Hall, zamęt zaczął maleć. Na początku robił niewiele poza wypijaniem zapasów z ojcowskiej piwniczki, ale od spotkania z komandorem Westermanem, jego żoną, a zwłaszcza od spotkania w Caveley z panną Trench coś zaczęło się w nim zmieniać. Coraz lepiej poznawał posiadłość, widział już, jakie szkody poczyniono, i zauważył, że odkąd wziął się do pracy, jest w znacznie lepszym nastroju. Niepokój, sny, to trwało, ale z każdym spotkaniem z panną Trench, z każdym wieczorem, gdy kładł się do łóżka, nie będąc całkiem pijany, i z każdym porankiem, kiedy do czegoś się brał, ich groza malała, a do jego duszy wkradało się światło.

Tego wieczoru coś się wydarzyło. Nie wiedział co, ale jakieś spojrzenie, jakieś słowo Rachel - wyszeptał jej imię niby modlitwę - sprawiło, że wąta, słaba nadzieja rozkwitła. Uśmiechnął się do siebie. Jeszcze nie wszystko stracone. Jego grzechy i grzechy jego ojca da się odpokutować ciężką pracą i szczerym sercem. Zbuduje posiadłość godną szacunku, sprawi, iż jego macocha i przyrodni brat będą żyć wygodnie. Jego widzące oko błyszczało w ciemności, ale myślami zawędrował daleko, tak że dopiero gdy znalazł się

pod własną bramą, dostrzegł mężczyznę przechadzającego się w jej cieniu.

Człowiek ów stanął i uniósł na niego wzrok. Twarz miał ogorzałą, ubranie pokryte kurzem. Hugh zobaczył tobołek u jego stóp.

- Witam, kapitanie Thornleigh.

Świat zadrżał. W nozdrzach Hugh czuł znów smród prochowego dymu. Nagle zrobiło mu się słabo.

- Wicksteed.

- Cieszę się, że pan o mnie nie zapomniał.

Ręka Hugh zadrżała na wodzach, koń poruszył się niespokojnie. Jeździec zdołał wydusić:

- A zatem, tak to się zaczyna?

Claver splunął na kurz przed sobą i wyprostował się z uśmiechem.

- Tak można by to ująć. Tak to się zaczyna.

## Nota historyczna

Wszystkie sytuacje i główni bohaterowie *Narzędzi piekła* są fikcyjni, jednak dwie postaci istniały naprawdę i zasługują na uznanie.

John Hunter (1728-1793) był niezwykle wpływowym chirurgiem georgiańskiego Londynu i posiadał coś na kształt prywatnego zoo, w którego skład przez pewien czas wchodziły też lamparty. Jego kolekcję próbek preparatów można nadal oglądać w Hunterian Museum, w Royal College of Surgeons na Lincoln's Inn Fields w Londynie. Co do informacji związanych z życiem uczonego, polecam książkę *The Knife Man* Wendy Moore.

Stephen Paxton (1734-1787) urodził się w Durham, jednak aż do śmierci był w Londynie kimś w rodzaju wiolonczelisty cele-bryty. O jego muzyce długo nie pamiętano, ale pierwsze nagranie jego *Koncertu* - którego Susan słuchała u swego ojca - można teraz znaleźć w dziale Cello Classics na stronie [www.celloclassics.com](http://www.celloclassics.com), w wykonaniu Sebastiana Combertiego.

Rozruchy Gordona w dniach 2-7 czerwca 1780 roku sprawiły, że Londyn pogrążył się w chaosie. Wezwano w końcu wojsko i setki wicherzycieli zostało zastrzelonych. Niektórych stracono, chociaż sam lord George Gordon okazał się niewinny zdrady stanu.

Zaciągnęłam ogromny dług u licznych, znakomitych historyków epoki georgiańskiej, zwłaszcza u Amandy Vickery za jej książkę *The Gentleman's Daughter: Woman's Lives in Georgian England* (Córka dżentelmena: życie kobiet w Anglii epoki georgiańskiej) i Royowi



Porterowi, między innymi za *Flesh in the Age of Reason* (Ciało w erze rozumu). Znakomita biografia Fanny Burney autorstwa Claire Harman również stanowiła wspaniałe źródło informacji i inspiracji. Wszystkie nieścisłości, anachronizmy i zwykłe pomyłki są tylko moją winą.

## Podziękowania

Dziękuję jak najmocniej wszystkim wymienionym poniżej: Ros Taylor i Rachel Halliburton za ich niezwykle istotne rady związane z pierwszymi szkicami książki; sędziom konkursu „Pierwszych tysiąc słów powieści” w „Daily Telegraph” za zachętę oraz za lunch; koleżankom i kolegom pisarzom, Roddy'emu Lumsdenowi, Ahren Warner, Camellii Stafford, AmyKey, Heather Phillipson oraz Wayne'owi Smithowi za, między innymi, w sprawie kadencji; personelowi przewspaniałej British Library, gdzie prowadziłam większość swoich badań; Kath, Emmie, Neel, Samowi, Skonie, Natowi, Daudowi, Stephenowi, Duncanowi, Jonathanowi, Nedowi oraz moim rodzicom za niezbędne mi wsparcie emocjonalne; Annette Green za to, że książka spodobała jej się na tyle, aby ją sprzedała; Jane Morpeth i Florze Rees za to, że spodobała im się na tyle, by ją kupić; a szczególne podziękowania należą się Edowi Sternowi i rodzinie za życzliwość zbyt często okazywaną, aby dało się ją opisać.